

GRZEGORZ
KAPLA

BEZMIAR

SPRAWY UMARŁYCH

TRZEBA ZAŁATWIĆ

DO KOŃCA

GRZEGORZ
KAPLA

BEZMIAR



Burda Media Polska Sp. z o.o.
ul. Marynarska 15, 02-674 Warszawa
Dział Handlowy: tel. 22 360 38 41–42
Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 360 2519

Tekst © 2019 Grzegorz Kapla

Opracowanie redakcyjne: Katarzyna Wójcik
Projekt graficzny okładki: Krzysztof Rychter
Projekt graficzny makiety, korekta: erte
Redaktor prowadzący: Małgorzata Zemsta
Redaktor techniczny: Mariusz Teler
Zdjęcia na okładce: Clayton Bastiani/Arcangel

Copyright for Polish Edition © 2019 Burda Media Polska Sp. z o.o.

All rights reserved.

ISBN 978-83-8053-637-1

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyjątkowym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

www.kultowy.pl

www.burdaksiazki.pl

Na zlecenie Woblink

woblink

plik przygotowała Katarzyna Rek

SPIS TREŚCI

Okładka

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Prolog

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

Rozdział dwudziesty

Rozdział dwudziesty pierwszy

Rozdział dwudziesty drugi

[Rozdział dwudziesty trzeci](#)
[Rozdział dwudziesty czwarty](#)
[Rozdział dwudziesty piąty](#)
[Rozdział dwudziesty szósty](#)
[Rozdział dwudziesty siódmy](#)
[Rozdział dwudziesty ósmy](#)
[Rozdział dwudziesty dziewiąty](#)
[Rozdział trzydziesty](#)
[Rozdział trzydziesty pierwszy](#)
[Rozdział trzydziesty drugi](#)
[Rozdział trzydziesty trzeci](#)
[Rozdział trzydziesty czwarty](#)
[Rozdział trzydziesty piąty](#)
[Rozdział trzydziesty szósty](#)
[Rozdział trzydziesty siódmy](#)
[Rozdział trzydziesty ósmy](#)
[Rozdział trzydziesty dziewiąty](#)
[Rozdział czterdziesty](#)
[Rozdział czterdziesty pierwszy](#)
[Rozdział czterdziesty drugi](#)
[Rozdział czterdziesty trzeci](#)
[Rozdział czterdziesty czwarty](#)
[Rozdział czterdziesty piąty](#)
[Rozdział czterdziesty szósty](#)
[Epilog](#)

[Podziękowania](#)

Miasto płonęło w złotym, nierealnym blasku, jaki może dać jedynie niskie słońce, kiedy rozedrze na moment wielorybie cielska chmur ucierających sobie drogę poprzez północny niż. Gdyby dało się tam podejść, słyszałyby, jak tłuką jedna o drugą z beznadziejnym, głuchym westchnieniem żalu. Samolot złamał się na prawe skrzydło i zobaczyła pod sobą mgłę, która wypełniała Warszawę po sam horyzont. Tkwiły w niej szczyty najwyższych budynków, rozpalone teraz lśnieniem wschodu. Pekin, Libeskind, Novotel, Marriott, Cosmopolitan i dalej, jakby osobno – Spire...

Mój Boże, pomyślała, to miasto nigdy nie przestanie mnie zadziwiać.

W złotej mgle budynki wydały jej się tkwić niczym wieże w bezkresie Sahary.

Dreamliner wyrównał lot i znowu miała przed oczami ścianę wysokich chmur północnego frontu. Rozlewały się nad miastem jak obca armia, uśpiona jeszcze i leniwa, ale kiedy przyjdzie odpowiedni moment, gotowa rzucić się w dół jak wilki do gardeł.

Westchnęła, sprawdziła po raz kolejny, czy pas jest dobrze ściągnięty, i poprawiła włosy.

– Ciekawe, jak tam oczy – westchnęła. – Nocne loty nie są zdrowe na cerę, strasznie wysuszają skórę. Będę musiała coś z tym zrobić jeszcze dziś. Kobieta w moim wieku musi zwracać uwagę na drobiazgi. Samolot przyziemił twardo, ale olbrzymi fotel biznes klasy uchronił ją przed wstrząsem maszyny.

Nie czekała na bagaż. Lubiła luksus posiadania mieszkań w miastach, w których żyła. Nigdzie nie musiała zabierać walizki. Tłum biegnący w stronę taśmociągu z bagażami to nie było jej naturalne środowisko. Skinęła na pracownika lotniska i pokazała mu kartę VIP, a on zapytał, czy ma ponieść torbę. Wziął ją, jakby to była co najmniej monstrancja, po czym zeszli schodami do oczekującej przy bocznych drzwiach niemieckiej limuzyny. Złapała się na tym, że dawno już przestała zwracać uwagę na marki samochodów. Mimo ciężkiej pracy marketingowców na tylnym siedzeniu nie miało żadnego znaczenia, czy to audi, czy bmw. Przejechali może sto metrów, wprost pod szklane drzwi saloniku VIP.

Pokręciła głową i pomyślała, że salonik VIP schodzi na psy. Kiedyś ludzi w tanich garniturach by tu nie spotkała. Ledwo udało jej się uniknąć zderzenia z drzwiami od toalety, które z impetem otworzył tęgawy mężczyzna, którego twarz wydała się jej znajoma. Nigdy nie zapominała twarzy. Nawet tych z telewizji... Tak, to ten minister z kancelarii prezydenta, gadający byle co na każdy temat w różnych telewizjach. Szła korytarzem i mrużyła oczy, bo oglądanie tych potwornych, wielkoformatowych bohomazów sprawiało jej ból. Znała anegdotę o autorze, któremu przyjaźń z rodziną państwa Kwaśniewskich przyniosła artystyczny kontrakt na siedmiocyfrową kwotę z budżetu państwa. W zamian za to kilkadziesiąt metrów kwadratowych jego twórczości straszy do dzisiaj gości VIP Line na Okęciu.

– Masz ładną torebkę – powiedział czekający na nią mężczyzna.

– Prawda? Nie pytaj, ile kosztowała. – Pocałowała go w policzek i pomyślała, że musi mieć jakąś nową kochankę, bo tego zapachu jeszcze u niego nie czuła. Hm... to był zapach lasu. I to kompletnie do niego nie pasowało.

– To co, kawa czy jednak szampan? – zapytał.

– Na szampana chyba za wcześnie. – Spojrzała na zegarek w telefonie. Pokazywał już polski czas.

– A jet lag?

– Przekonałeś mnie.

Na miejscu czekał zwałisty mężczyzna w średnim wieku. Spodobały się jej jego żylaste, duże dłonie i dwudniowy zarost. Nie, nie taki wypielegnowany przez jakiegoś barbera dla zniewieściałych hipsterów. Miał mocny uścisk dłoni. Kiedy siadali, podniosła dyskretnie dłoń do nosa. Gość pachniał prawdziwą solą. Nie podał imienia.

Przez chwilę, zanim jeszcze rozsiadła się w fotelu z rzeźbionymi, niemal rokokowymi poręczami, chciała rzucić jakiś żarcik o podsłuchach. Ale nie, to by nie było w dobrym tonie. Pod jej długimi palcami drewno zdawało się delikatnie pulsować i wiedziała, że nie będzie potrafiła powstrzymać się od tego, żeby poruszać po nich dłonią. Usiadła, splatając nogi tak, jak to zwykły robić telewizyjne damy z czasów jej młodości. Czas zresztą, wiedziała o tym doskonale, obszedł się z nią nader łaskawie. Wykorzystywała to, zmuszając mężczyzn do zakłopotania, ale ze swoim gospodarzem nigdy nie próbowała żadnych sztuczek. Znał je. Sam ją wszystkiego nauczył w czasach, kiedy była jeszcze studentką. Ambitną, dumną, pragnącą świata i zbuntowaną przeciwko temu, że urodziła się po złej stronie muru. Wy tłumaczył jej, że mury czy granice są istotne tylko dla tych, którzy w nie uwierzą.

– Podoba ci się? – Poprawił okulary w złotej oprawie.

Podniosła pytająco brwi.

– No wewnątrz. – Rozłożył palce.

– Spotkaliśmy się tu, żeby porozmawiać o restauracjach? – Wydęła usta.

– Nie sądziłam, że masz jeszcze czas na takie głupstwa.

– Spotkaliśmy się, bo sytuacja robi się skomplikowana – westchnął i odchylił się w fotelu, tak jakby dopadł go ból pleców i musiał je nagle wyprostować. – Ale powiedz, że ci się podoba, w końcu jesteśmy u mnie.

– A więc jesteśmy u ciebie? Nigdy bym nie pomyślała, że zostaniesz restauratorem – uśmiechnęła się czarująco. – Porzuciłeś piękno sztuki dla

kawioru i szampana?

Nie zwrócił jej uwagi, że nie mówił o kawiorze, ale wiedziała, że to zauważył.

– Dzisiaj restauracja jest świątynią sztuki. Ludzie przestali czytać poezję, nie potrafią odróżnić metonimii od synekdochy, nie mają satysfakcji z rozszyfrowania metafory. Słaby pieniądz wypiera mocniejszy, a tandeta wypiera piękno. Poniekąd to nasza wina. – Skinął na kelnera. – To my przekonaliśmy masę, że są godne elit, że nie muszą marnować czasu na czytanie Prousta, bo wystarczy wynająć stylistę, który przebierze ich w modne ubrania, albo nawet zaprowadzi do krawca, który uszyje im garnitur na miarę.

Szepnął coś kelnerowi, a ten uniósł brwi. Gospodarz położył mu uspokajająco rękę na dłoni.

– No i kawę oczywiście też?

– Oj tak! – westchnęła.

– Dla mnie wodę. Wodę bez gazu – uśmiechnął się zwalisty. Siedział z nieskrępowaną swobodą mężczyzny, który jest pewien swojej siły. Podobał się jej. Bez dwóch zdań.

– O czym to mówiliśmy? – Z trudem skierowała wzrok na gospodarza.

– O tym, że masa nie wybierają się do opery, bo to wymaga kompetencji i nauki, ale jeśli je stać, przyjdą do drogiej restauracji, żeby się wymądrzać na temat mleka bez laktozy, sushi i kaszotto.

– Dlaczego uważasz, że my to zrobiliśmy? – Bawił ją jego zaangażowany ton.

– Musieliśmy, bo chcemy, żeby byli głupi. Chcemy, żeby byli zafascynowani swoją nowoczesnością, otwartością na zdobycze demokracji, na wolność słowa. Chcemy, żeby walczyli o prawa zwierząt, żeby pragnęli przyjmować uchodźców i z troską pochylali się nad losem osób niepewnych swojej seksualności. Trzeba im jeszcze dać „Vogue” po polsku i będą zachwyceni. A tym drugim trzeba pozwolić na miesięcznice, na ściganie

mafii vatowskich, „odzyskiwanie telewizji”, reformę szkolnictwa i wstawanie z kolan. I też będą zachwyceni. A czego nie robią zachwyceni ludzie?

Znała odpowiedź. Wiedziała, dlaczego cywilizowany świat musi dawać tym biednym głupcom smartfony, darmowy internet, tanie narkotyki, dochód gwarantowany, mieszkania na kredyt i ułatwiać im zaspokojenie potrzeb seksualnych dzięki aplikacjom i tabletkom. Jeden procent najbogatszych posiada dziewięćdziesiąt kilka procent zasobów świata, więc elity muszą trzymać motłoch z daleka od siebie. Kiedyś biedni przestaną być konieczni. Zastąpi ich sztuczna inteligencja.

– Zachwyceni ludzie nie zadają zbędnych pytań. – Pochyliła się do przodu.

Kelner postawił przed nimi srebrny pojemnik z lodem.

– Kawior i szampan – gospodarz się uśmiechnął.

– No a teraz powiedz, po co się spotkaliśmy, chyba nie chodzi o to, że masz w sejfie jakiś nowy nabytek... obraz uznany za zaginiony od czasów wojny?

Trafiła.

– Może jakiś El Greco?

– Nie, nie El Greco, próbuj dalej.

Wydawał się nieporuszony, ale zbyt dobrze znała mężczyzn i wiedziała, że każdy ma jakąś namiętność, na ogół dość prymitywną. On był jednak wyrafinowanym człowiekiem, nie pozwoliłby sobie na żadną tandetną słabość do młodości czy szczególnej urody. Obrazy to było jednak coś nieprzemijającego. Wiedziała, ile wysiłku wkłada w budowanie swej kolekcji i że kilka dzieł sztuki odzyskał już dla Polski. Tak o tym myślał. Dla Polski. Oczywiście obecna Polska nie była Polską jego marzeń i nie zasługiwała na skarb. Polska Platformy też na niego nie zasługiwała. Mali ludzie lubią małe sprawy, powtarzał. Tamtych miał za cwaniaczków, a obecnych za oszołomów. Ale nie miał oficjalnego spadkobiercy,

a przecież do grobu tych płócien i desek nie zabierze. Poza tym dzieła sztuki nie są stworzone do tego, żeby wisieć w sejfie. Rembrandty w Zamku Królewskim mają osobną salę wystawienniczą. Tylko dwa obrazy w całym pomieszczeniu. Dwa, które w zupełności wystarczą. Ciekawe, co upolował. Może *Portret młodzieńca* Rafaela, najcenniejszy ze wszystkich, a może Cranacha albo Rembrandta...

– Jak myślisz?

– No przecież nie odgadnę. – Zatrzepotała powiekami. Wiedziała, że tego nie znosił.

– Spróbuj.

– Rembrandt?

– *Zwiastowanie*... no powiem ci, że jestem na tropie, ale to raczej będzie zadanie dla naszego przyjaciela. – Spojrzał w kierunku milczącego mężczyzny. – I dla kilku jego kolegów z Academi.

– Wolę nazwę Blackwater – powiedział tamten. – Jestem w zasadzie konserwatystą i nie lubię, kiedy się zmieniają szyldy.

Dowcipny, pomyślała.

– A więc nie Rembrandt... a taką miałam ochotę dotknąć tego obrazu.

– To akwaforta, ze śladami siarkowania, wyjątkowa, bezcenna... Niewielka rzecz, łatwo ją było zabrać jakiemuś sowieckiemu watażce. Jestem na tropie, ale sprzedać nie chcę, trzeba będzie więc jakoś ten nasz depozyt odebrać... wicie państwo, Rembrandt zdaje się zapomniał, kiedy wykonywał ryt, że sama odbitka będzie lustrzana, więc tak przygotował ten materiał, że anioł błogosławi Marii lewą ręką. Czy to nie zachwycające?

Zwróciła uwagę na to „Marii”. Tyle lat w katolickim kraju, a on wciąż się nie nauczył, że Maryja jest tylko jedna.

– Nie zgadnę – powiedziała tonem, który mówił: przejdźmy do rzeczy.

– To Canaletto. *Król Stanisław August ogląda remontowany Zamek Warszawski po pożarze*. Zdaje mi się, że raczej chodzi o pałac

Kazanowskich, który przebudowują na swoje cele bernardynki. W tle Kolumna Zygmunta i dachy katedry Świętego Jana. Piękna rzecz.

– Aukcja?

– Darkweb. Bardzo kosztowna operacja. Ale przecież to bezcenne dzieło.

Pili w milczeniu. Kawior był zimny i z blinami oraz śmietaną smakował jak pocałunek z kimś, kto dopiero co wyszedł z morza.

– Dlaczego się spotkaliśmy? Dlaczego kazałeś mi przylecieć? Czekamy.

– Spojrzała na zwalistego. Nie tknął kawioru. Powiedział, że nie jada niczego, co pochodzi z morza.

– Rzeczywiście, jest pewien problem... – Gospodarz rozejrzał się za popielniczką, ale po chwili przypomniał sobie, że obiecał swojej nowej, młodej narzeczonej, że nie będzie więcej palił.

– Jaki problem?

– Zadają pytania.

– Kto zadaje?

– Ludzie, którzy nie są dość zadowoleni. – Zmarszczył brew, bo nie używał wulgaryzmów. – Dobra zmiana.

– Jakiego rodzaju pytania?

– Ależ proszę cię, czy ty zupełnie nie czytasz gazet?

– Czytam „Vogue”.

– Ale czasami warto czytać, żeby wiedzieć o tym, co nastąpi.

– Horoskopy? Nigdy – zażartowała, a Andrzej się uśmiechnął. Kiedyś, przed laty, kiedy byli jeszcze kochankami, robił to bardzo często.

– Szykują komisję, która może zaszkodzić naszym interesom – powiedział. – Uznaliśmy, że nie możemy sobie pozwolić na to, żeby ktokolwiek miał ochotę na wspomnienia przed tą komisją.

– Jaką komisję?

– Do spraw reprivatyzacji.

– Ach tak... – spoważniała. – Nadgorliwość dziennikarzy „Wyborczej” okazała się jednak szkodliwa.

– Mówiłem panu, że trzeba im było wyperswadować te potrzeby – mruknął zwalisty.

– Uznaliśmy wtedy, że to nam nie posłuży.

– Ale, ale... odbyliście posiedzenie beze mnie? – zapytała Izabela.

– Byliśmy zmuszeni działać, a ty przecież byłaś zajęta.

– Och, to była tylko premiera *Così fan tutte* pod batutą Davida Robertsona z Kelli O’Harą w roli Despiny.

– W Metropolitanie?

Pokiwała głową.

– Nie chciałem ci tego odbierać. Dlatego dzisiaj się spotykamy, żeby cię wtajemniczyć.

Znów pokiwała głową.

Kelner podszedł i dolał im szampana.

– Uznaliśmy, że sytuacja wymaga interwencji. Powołanie komisji reprivatyzacyjnej nie jest nam na rękę. Próbowaliśmy to oczywiście zablokować, ale nasze środki perswazji nie były wystarczające.

– Aż tak dużo chcieli?

– Nie w tym rzecz... Ten nowy Sejm, przypadkowi ludzie, w większości niestety ta zbieranina wdzięczna jest prezesowi za to, że ich wyrwał z jakichś prowincjonalnych aptek i pokojów nauczycielskich, więc nie mają dość odwagi, żeby włączyć się do gry świadomie i z korzyścią dla świata i dla nich. To się oczywiście zmieni, ale jednak chwila minie i dlatego powołaniu komisji nie mogliśmy zapobiec.

– Mają telewizję, więc urzędzą pokazowy proces...

– Urzędzą przedstawienie, które zechcą ciągnąć do wyborów. Przynajmniej samorządowych.

– Mają też do dyspozycji prokuraturę. – Szampan w jej ustach stał się

nagle cierpki.

– Teoretycznie, moja droga, przecież wiesz, że tylko teoretycznie. Prokuratura mnie nie martwi, bo działa w cieniu, a w cieniu łatwo jest się pogubić, pomylić, stracić pamięć, zmienić poglądy, a nawet zachorować i przejść na emeryturę, zabierając ze sobą kilka sekretów. Nie martwi mnie ani prokuratura, ani sądy. Mamy tam przyjaciół.

– Aparat bezpieczeństwa państwa – wyrecytowała.

Uśmiechnął się. Lubił inteligentne kobiety.

– Ale komisja nas martwi?

– Tak, bo komisja ma działać jawnie. A kamery, rozgłos, setki pytań, to może być ogromny stres dla niektórych ludzi. Martwi mnie, że na liście osób wyznaczonych do przesłuchania są takie, które znają nasze nazwiska. Znają nasze interesy. Mogą nas zmusić do wyjścia z cienia. A tego przecież nie chcemy. Nie możemy tego uczynić, bo to nasz kraj i mamy obowiązek o niego dbać. Nie wolno nam dopuścić do tego, żeby w czasie przesłuchań prezydent miasta albo któryś z jego współpracowników, albo jakiś były czy obecny poseł lub senator przypomniał sobie o czymkolwiek, co ma związek z naszą organizacją. Dopóki „Wyborcza” pisała o naszej konkurencji, pozwalaliśmy im na to. Ale nie możemy pozwolić, aby ktoś wpadł na ślad naszych interesów. Nie tylko z państwem czy z władzami miast, ale też interesów z Kościołem. Kościół miał mnóstwo nieruchomości, które przestały być mu potrzebne. Ale Kościół to często słabi ludzie. Mogą nie wytrzymać długotrwałego stresu.

– Co ustaliliście?

– Że damy Kościołowi zajęcie. Twój znajomy reżyser kręci, zdaje się, film o Kościele? O pedałach w sutannach – starannie wycodził słowo „pedał”, rozkoszując się jego mięsistą niepoprawnością. – Podpowiesz mu o kilku zapomnianych wątkach z lat osiemdziesiątych. Podsuniesz jakichś czarnych celebrytów, bo wtedy skandal będzie większy. A kilku naszych dawnych przyjaciół skłonisz do publicznych wyznań, że byli molestowani

jako ministranci. Nie obchodzi mnie, czy to prawda, ważne, żeby sobie przypominali, a my roześlemy ich wspomnienia. Poproszę kilku szanowanych publicystów starszego pokolenia o mocny głos w sprawie rozliczenia pedofilii w Kościele. Czarni będą mieli zajęcie i nie wystarczy im czasu na rozważania o legalności naszych wspólnych przedsięwzięć. Przecież zaczynamy już budować i nie są nam potrzebne pytania o to, jak weszliśmy w posiadanie nieruchomości w centrum. Kościół to łatwiejsza część. Trudniejsza jest sprawa komisji.

– Przewodniczący ma się zagubić? – zapytał zwalisty.

– To by nic nie dało. Powołaliby nowego. Staliby się ostrożniejsi. Znam tę listę nazwisk i to nie są wybitne osobowości. Raczej katalog kandydatur na przyszłego prezydenta miasta. Wszystkie partie idą wedle podobnego klucza. Może zresztą będzie tam ktoś z naszych, poczyniliśmy już starania.

– Skoro nie przewodniczący, to kto?

– Ktoś, czyja przygoda sprawiłaby, że świat musiałby się na moment zatrzymać z przerażenia.

– Jakiego rodzaju przygoda?

– Nasi przyjaciele uznali, że najlepiej, gdyby to była przygoda ostateczna.

– Czyli kto? – Zwalisty rozluźnił krawat, co nie uszło uwagi Andrzeja.

– Ktoś, kogo tragiczne odejście wywołałoby ogólnonarodową dyskusję o granicach, do jakich doprowadzić mogą polityczne podziały, mowa nienawiści, wzajemne oskarżenia i podejrzenia. Ktoś, kto pociągnąłby ludzi do marszów milczenia, narodowej żałoby, kto miałby pogrzeb w katedrze, państwowe honory i w pierwszej ławce Kaczyńskiego oraz Tuska obok siebie.

– Prezydent kraju? – zapytała.

– Żałuję, ale nie. Nikt by go nie skojarzył z naszym przekazem.

– A jaki to jest przekaz? – zapytał zwalisty.

– Zapominacie o wszystkim albo będziecie następnymi. – Gospodarz oglądał swoje paznokcie, no tak, pora odwiedzić manikiurzystkę.

– A więc ona? – Kobieta uniosła brwi. – Poważnie?

– Jej rola i tak dobiega już końca, nie będzie się starać o reelekcję. Byłaby to dla niej szansa na wieczną chwałę i miejsce w historii. Miałaby nawet swoją ulicę. Niewykluczone, że i pomnik.

– Niełatwa sprawa, ona rzadko wychodzi, nigdy sama – powiedział zwalisty.

– Nie zrozumiał mnie pan. – Gospodarz uniosł brwi w wyrazie niezadowolenia. – To nie może być w parku, na parkingu czy w jej gabinecie. Nie chodzi o wariant Pupały czy Leppera. Nie chodzi o to, żeby ludzie się domyślali.

– Chodzi o... spektakl – kobieta znalazła właściwe słowo.

– Mniej więcej. O akt terroru. Tylko terror sprawi, że ludzie się przelęką i będą milczeć.

– Czyli jak? – Zwalisty wstał i nalał sobie szampana.

– Trzeba, żeby to się stało na jakiejś wielkiej, otwartej imprezie. Żeby były tam kamery i setki smartfonów. Żeby nasza bohaterka promieniała i mówiła o rozwoju i przyszłości. Żeby zapowiadała, nie wiem... fajerwerki, albo przecinała jakąś wstęgę.

– Dokładnie. – Gospodarz był zadowolony. – Chodzi o to, żeby wtedy ktoś wszedł i strzelił do niej z bliska. I żeby wtedy powiedział do kamer, że to zemsta na urzędnikach, którzy mu zabrali mieszkanie.

– Po co ma cokolwiek mówić? – Zwalisty nie był przekonany do tego scenariusza.

– Żeby ci, którzy mieli się przestraszyć, wiedzieli, że to o nich chodzi. Czy to jest zbyt trudne?

Tamten milczał, po czym powiedział:

– Nie, jeśli się zna jakiegoś wariata, który potrafiłby to zrobić.

– Dlaczego wariata? – zapytała ona.

– Bo nie będzie go można skazać. Pójdzie do psychuszki, a po dwóch latach wyjdzie, zmieni nazwisko i będzie sobie żył dalej, jak chce – gospodarz wyręczył zwalistego. – Zna pan kogoś takiego?

Tamten tylko się uśmiechnął.

Kiedy wyszli, pożałowała jednak, że nie jest w Nowym Jorku. Wrony krążyły po niebie z okropnym krakaniem.

TERAZ

Albo takie wrony. Kręciły się na skrawku trawy, grzebiąc dziobami w ziemi. Czasami uderzały mocniej, jakby przekonane, że gdzieś tam pomiędzy grudami, które powoli zaczynały już rozmarzać, znajdzie się jakiś kawałek życia. Czasami łypały jednym okiem na siebie. Były tak niby razem, ale jednak osobno. W ogóle nie zwracały uwagi na resztę wszechświata. Miały w głębokim, smolistym poważaniu plastik w brzuchach wielorybów, smog, który zakotwiczył gdzieś między Pekinem i Libeskindem i zamierzał zostać w Warszawie na zawsze. Nie obchodziły ich konsultacje prezydenta Donalda Trumpa z kanclerz Angelą Merkel na temat stosunków wolnego świata z prezydentem Rosji ani przemówienie smoleńskie, ani wynik głosowania nad przedłużeniem mandatu szefa Rady Europejskiej.

„Tusk 27, Polska 1” – Olga słyszała to od wczoraj we wszystkich wiadomościach. Ale wron to nie obchodziło. Miały w dupie nawet globalne ocieplenie.

– Może po pączki wyskoczę, co? – Kosiński kulił się w swojej cienkiej kurtce. Cierpiał, ale wyglądał w niej szczupło i po męsku. Odkąd wrócił z urlopu zdrowotnego, nosił czarny, kilkudniowy zarost. Na pozór niechłujny, ale wytłumaczył jej, jaka to upierdliwość, żeby się w tym mieście umówić na seans do barbera.

– Popieprzyło cię, dokąd pójdziesz? Przecież na służbie jesteśmy. Masz uważać na drzwi, to się gap na drzwi.

– No ale do środka wejść. Będę uważał od środka. W lobby mają te ciastka.

– Żartujesz? – Na myśl o ciastku poczuła, że tego pragnienia nie będzie potrafiła już zatrzymać.

– Nie, no nie żartuję, wiem. Wchodzę przez obrotowe drzwi i potem wiesz: w lewo recepcja, prosto windy, a po prawej, tuż przy wejściu, przeszklona lada z ciastkami.

– Jaja sobie robisz?

– Nie... no byłem tu kilka dni temu, zapamiętałem. Ciastka i zdaje się owoce. Więc cały czas mam na oku windy, gdyby go wyprowadzali. Serio.

– Kawa też? – Miękkła.

– Nie. Kawa nie.

– Kurwa... idź.

Trzasnął drzwiami. Widziała jego długie nogi w wąskich spodniach. I czarne, ciężkie, skórzane buty. Stawiał kroki jak wielki ptak. Przygarbiony. Zmarznięty. Marabut. Jej chłopak. Chłopak, który nie ma łatwo w robocie, bo darli łacha z tych jego okularów i chudych ramion. I który o mało nie stracił ręki na służbie, więc nie mogłaby mieć do niego pretensji, gdyby odszedł. Miałaby żal, ale nie pretensje. Nie powiedziała mu o tym, że żałuje, ale byłoby szkoda. Jej chłopak. Uczyła go, jak być twardym. No i chyba wiedział. Wrócił. Lubiła go zawsze. A teraz lubiła go bardzo. I w dodatku potrzebowała.

Każdy potrzebuje kogoś drugiego. Kogoś, komu można powiedzieć wszystko. O rozstęпах na pupie, o tym, jak się przetłuszczają włosy, jak trudno zacząć biegać po takiej długiej przerwie. O tym, jak się siedzi w pustym dziecięcym pokoju i myśli, co zrobić z wiadomościami, których się nie spodziewała. Jak to nie wypadek? Więc jak nie wypadek, to co? Albo nawet o tym, jak się człowiek czasami boi zasnąć, bo co będzie, jeśli obudzi się, wisząc głową w dół w worku na głowie? O tym, że nie ma nic bardziej smutnego w życiu niż myśl, że całe twoje życie intymne, każdą

bliskość, jaką będziesz miała, możesz mieć tylko sama ze sobą.

Nie, no nie powiedziałyby Kosińskiemu żadnej z tych rzeczy, ale wiedziała, że gdyby przyszło co do czego, to mogłaby go poprosić, żeby ją przytulił, i on by to zrobił. Nie. Nigdy by go o to nie poprosiła. Ale z ciastka mogłaby się ucieszyć.

Każdy potrzebuje bliskości. I żeby komuś choćby raz na miesiąc, raz na dwa miesiące powiedzieć prawdę. I cukru. Ech, cukru i kawy.

Wrony pokłóciły się nagle o skrawek jakiejś szmaty. Jedna odskoczyła niezdarnie, a druga darła się wniebogłoso, jakby jej mieli wyrwać pióra na żywca. Olga przypomniała sobie, że kiedyś nad kanałkiem widziała, jak wrona maltretuje pisklę. Pisklę było już duże, ale wrona była cierpliwa i przekonana o sile swego uścisku. Olga myślała, że drapieżniki uderzają po prostu dziobem i po zawodach. Ale nie, wrona wpiła się pazurami w gałąź wierzby i dusiła pisklę, zaciskając mu dziób na gardle. Pisklę trzepotało skrzydłami z każdą chwilą mocniej i wydawało się, że się uwolni. Nie. To była już agonía.

Odpędziła to wspomnienie, bo niewiele brakowało, żeby zaczęła się rozklejać. Zresztą ptaki nie pamiętają. Tym się różnią od ludzi, że umieją zapomnieć. Nie potrafią zapamiętać, ile miały piskląt. A jeśli potrafią nawet, to są w stanie z tym żyć.

Palce marzły jej nawet w rękawiczkach. Powinna włączyć silnik, bo ford tracił ciepło na tym wietrze. Ale zaraz przylezie portier i powie, że to nieekologiczne albo co...

Kawy by się napiła. Posiedziałyby sobie przy kominku na grubym dywanie, który odkurzałyby godzinę, żeby nie było na nim ani jednego pyłku. I nastawiłyby Marillion. Stare płyty mają w sobie jakąś metafizyczną władzę nad czasem. Jakby się człowiek stawał młodszy, co nie? Szczuplejszy, smuklejszy, jakby miał prostsze plecy. I jakby coś w środku miękło. Siedziałyby tam, przy ogniu, robiłyby się coraz cieplej, a ona miałaby na sobie biały sweter. Taki z golfem. Miękki, jeszcze nigdy

nieprany. A na blaszanej płycie, przed kominkiem zawsze są takie płyty, zostawałyby odciski po kubkach. Piliby wino z kubków. Po całym kubku, żeby nie wstawać, nie dolewać, nie szukać butelek, nie troszczyć się o to, czy lampki do wina nie mają na sobie tych maleńkich śladów po palcach albo po osadzie z kranu. Więc piliby z kubków. Na rancie byłyby czerwony odcisk, bo mogłaby sobie pomalować usta choć raz. Albo ślad po kropelce wina. I byłoby już tak ciepło, że zdjęłaby sweter i powiedziała Szymonowi, żeby też zdjął, a on by się przekomarzał, ale potem by zdjął i to tak niezdarnie, że oboje by się z tego śmiali i nie byłiby wcale zażenowani.

Olga, przecież ty nie masz kominka, zgała się w myślach. Chłopaka też nie masz.

Wrony gdzieś się zapodziały. Wyciągnęła telefon i włączyła Facebooka. Tylko na sekundę. Jeden mem. Jeden zabawny obrazek i wyłączam.

„Nie zapomnij o tym, żeby celebrować szczęście...” – no ja cię pier... – przewinęła dalej.

Jakieś buty i torebki. Poranne przemówienie prezesa w kościele seminaryjnym. Prezydent Duda gratuluje Donaldowi Tuskwowi wyboru na szefa Komisji Europejskiej. Portret Gandhiego z sentencją o zagrożeniach dla ludzkiej natury: „Wiedza bez charakteru, nauka bez humanizmu, biznes bez etyki, religia bez gotowości do poświęceń”. Dalej zdjęcie z zachodem słońca nad górami opatrzone podpisem: „Uporządkuj wszystko, ustal, co było pozytywne, co było błędem, a czego wcale nie było”.

Wyłączyła ekran.

Co było pozytywne, a czego wcale nie było... Wzruszyła ramionami. Przypomniało jej się opowiadanie Żeromskiego. Napisał kiedyś o wronach. Opowiadanie. Zaczynało się od martwych piskląt. Wrona umiała zapomnieć. Gdyby nie umiała, nie potrafiłaby żyć. Ludzie są z innej gliny. Nie umieją „postanowić, co było, a czego nie było”. Gлина pamięta każdy odcisk palca, który jej dotykał. Roztarła kark i zobaczyła, że wrony znowu

penetrują trawnik, ktoś wysiada z białego audi A6, jedna karminowoczerwona walizka, długie nogi w czarnych kozakach, białe futerko, Chryste, gdybym mogła mieć takie nogi, portier kłania się i odbiera walizkę, Kosiński idzie z pudełkiem ciastek. No nie za duże to pudełko, ale chyba nie kupił tylko dla siebie. Nie, nie byłby taką świnia, nie po tym, co przeszliśmy. Nie po tym, co dla niego zrobiłam.

Pochyliła się w prawo i otworzyła mu drzwi.

Lewa ręka młodego wciąż nie wróciła do sprawności.

Podał jej pudełko. Poczowała przez kartonik ciepło pączków. Jakby dopiero co wyszły z masła. Momentalnie zrobiła się głodna. Otworzyła kartonik. Były dwa. Jeden z pudrem, a drugi lukrowany z pomarańczową skórką. Lukier topniał pod wpływem ciepła. Chciała, żeby Kosiński wybrał tego z pudrem.

– No bierz – popędziła Kosińskiego. Chłopak wgramolił się już na fotel, zatrzasnął drzwi. Sięgnął po lukrowanego. I dobrze. Przynajmniej nie zapaskudzę kierownicy. Zresztą nie po to jem coraz mniej, żeby się tuczyć lukrem. Ile ma taki pączek? Pięć kilometrów biegu. A ten z pudrem tylko cztery i pół kilometra.

Kosiński ugryzł pierwszy kęs i zobaczyła na jego twarzy błogość. Aż się do tego uśmiechnęła.

I wtedy wytrzeszczył oczy.

– O w mołdę! – próbował krzyknąć, ale gruby kęs stłumił głos.

– Nie wierzę. – Olga kręciła głową, patrząc, jak marmolada z róży spływa mu po brodzie.

– On, on! – wykrzyknął Kosiński, wskazując palcem przez przednią szybę.

Wysoki, długowłosy blondyn wyszedł z hotelu, odsunął portiera, kładąc mu ręce na ramionach jak dziecku, i pewnym krokiem podszedł do ciasno zaparkowanych na podjeździe limuzyn. Nie miała wątpliwości. To był facet z fotografii, którą dostali na odprawie. Mieli tylko osłaniać tę operację.

Niemiec, pedofil, przyjeżdżał do Warszawy zabawić się z jakimś chłopcem, którego podstawiali mu handlarze. Ostrożny, na wysokim stanowisku, plan był taki, że złapią go na gorącym uczynku. Z wysoko postawionymi prawnikami trudno sobie poradzić bez ewidentnych dowodów. Wspólna niemiecko-polska akcja. Najlepsi ludzie pojechali po niego na górę. Miał wyjść w kajdankach, a teraz dzieliły go od niej audi i dwie biało-zielone taksówki Eko Taxi. Cholera, nie mieli kiedy podjechać.

– Odpalaj, kułwa. – Kosiński przeżuwał kęs pączka.

Olga upuściła otwarte pudełko na kolana i przekręciła kluczyk. Wentylatory forda plunęły w nich chłodnym powietrzem. Na szczęście nie całkiem zimnym. Silnik nie ostygł zupełnie. Ile mogli tu stać? Dwadzieścia minut, pół godziny?

Zobaczyła, jak blondyn przeszedł przed maską A6, obrócił się, zrobił dwa kroki w lewo, wyszarpnął rękę z kieszeni i rozpieprzył w drobny mak boczną szybę od strony kierowcy.

– Kurwa, kastet ma czy co?! – Poczowała uderzenie adrenaliny. – Co ja mam z tymi pączkami zrobić?! – Chwyciła pudełko i rzuciła na tylną kanapę. Pączek zostawił na welurze białą ścieżkę pudru. Patrzyła na to jak zaczarowana.

– Jedź! – Kosiński przełknął.

Obudziła się z odrętwienia. Ile to trwało? Dziesiątą część sekundy? A wydawało się, jakby minuty upłynęły. Adrenalina sprawiła, że Olga wszystko widziała teraz krystalicznie czyste, powolne, jakby zanurzone w formalinie gęstnącej nagle w mroźnym powietrzu.

Byli o jakieś sześć, siedem metrów od wysokiego gościa. Wcisnęła klakson, ale już wiedziała, że to bez sensu. Że za późno. Taksówkarze uśpieni gapieniem się w ekrany komputerów nie widzieli niczego poza swoim światem map, cen, klientów na lotnisko i umykającego czasu. Nagle zobaczyła, jak blondyn wywleka kierowcę i uderza go w łeb na odlew. I że nie, to nie jest kastet, to kolba. Boże święty! Gość ma broń!

Tymczasem napadnięty, jakby podtrzymywany przez jakieś niewidzialne sznurki, osuwał się na ziemię groteskowo powolnym ruchem. Krew z ust, błoto. Brązowy garnitur nasiąka wodą, dłonie w kałużę, rękawiczka z jasnej skóry.

– Kosiński, masz broń? – Spojrzała na chłopaka.

Miał wytrzeszczone oczy. Lewa ręka zabandażowana. W prawej rozmemłany pączek. Konfitura z róży leci na spodnie.

– Wypierdol go!

– Co?

– Pączka wypierdol!

– Ale gdzie?!

– Za okno, lecimy!

Szarpnęła drzwiami. Telefon spadł z głuchym trzaskiem, musiała go wciąż mieć na kolanach. Nie spuszczała wzroku z tamtego. Blondyn, jakby był z gumy, złożył się i mimo wysokiego wzrostu wsunął się na siedzenie w tym swoim jasnobieżowym płaszczu, pewnie wełna.

– Policja! – krzyknęła na cały głos. – Stać! Policja!

Biegła niezdarnie, jeden krok, drugi, bo musiała przecież sięgnąć po broń, trzeci krok, pośliznęła się. Oparła na kufrze taksówki i zobaczyła, że tamten rusza. Kierowca w brązowym garniturze próbował się podnieść, ale oberwał tylko zderzakiem audi i znowu stoczył się w kałużę, wrony poderwały się do lotu, samochód ruszył, rozchlapując flejtuchy błota na eleganckie walizki gości zmierzających w kierunku Eko Taxi. Olga odwróciła się bez chwili wahania. Kosiński właśnie zdołał się wygramolić z forda.

– Wracaj! – krzyknęła. – Zapierdalamy!

– Fuck. – Podniósł ramiona w górę. Usłyszeli, jak silnik audi rozkręca się na wysokich obrotach, a potem zobaczyli, jak nabiera rozpędu i zjeżdża z parkingu w lewo, waląc kufrem w zaparkowane po drugiej stronie ulicy

samochody. Wybrał Aleje. Też by tak zrobiła, gdyby nie знаła miasta. Lepiej nie pakować się w wąskie uliczki. Ale to był błąd, pomyślała, cholerny błąd, bo Aleje są najbardziej zakorkowaną ulicą w całym mieście. W tym kraju, w którym nikt już prawie nie potrafi czytać papierowej mapy i nikt, kto ma GPS, nie używa mózgu, wszyscy jadą po linii najmniejszego oporu. A teraz, wieczorem, wszyscy wracają z biur, ze sklepów, jadą do dzieci, do seriali, do randek z Tindera i wszyscy, wszyscy spotkają się na tej jednej ulicy, więc nie masz szans, kimkolwiek jesteś.

– Korki są, nie spierdoli! – krzyknęła może do Kosińskiego, może do siebie. Czowała, jak po pierwszej chwili paniki ogarnia ją spokój. Teraz, kiedy nie było już miejsca na wątpliwości, na to, żeby myśleć, rozważać, żeby się zastanawiać, kiedy wiadomo już było, co należy robić, wrócił jej spokój.

– Pas – mruknęła i wrzuciła wsteczny. – Pas, do jasnej cholery!

Kosiński szarpał się ze sprzączką. Twarz wykrzywiona bólem, lewa ręka ciągle nie wróciła do pełnej sprawności. Odwróciła wzrok. Portier biegł po mokrym bruku, pobity kierowca unosił się na łokciach, głowa w dół, czoło wciąż dotykało ziemi, krew płynęła mu po policzku, jakaś kobieta krzyczała, no na pewno krzyczała, ręce przy twarzy, usta otwarte, musiała wrzeszczeć, takie lale zawsze są histeryczkami, ale ona, Olga nie słyszała tego krzyku. Nie słyszała nic poza uderzeniami krwi w skroniach. Raz-raz. Raz-raz. Wcisnęła pedał gazu i ford wyrwał do tyłu, a telefon, którego nie podniosła, poleciał na przód. Cholera, żeby nie utknął gdzieś pod pedałem hamulca! Ściągnęła kierownicę z całej siły w prawo w dół, nie patrząc na nic, bo wiedziała, że tam tylko jakieś kwietniki, no i ten murek z reklamami, najwyżej przywali, ale nie zarzuciło jej, wjechała idealnie w rozmemłany trawnik.

– Pas, kurwa! – wykrzyknęła tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Usłyszała kliknięcie.

– Zuch!

Wrzuciła jedynekę. Szarpnęło.

– Włącz ten cały cyrk – powiedziała. Wszystkie jej mięśnie były napięte. Jakby miała skoczyć. Raz-raz. Raz-raz. Nie chciała odrywać rąk od kierownicy. Kosiński trzymał się prawą ręką uchwytu nad drzwiami. Sięgnął do przełącznika, kiedy wytoczyła się z parkingu w lewo pod prąd. Tymczasem właśnie zapaliło się zielone światło dla skręcających w prawo. A niech się bujają, zacisnęła zęby, aż zgrzytnęło, i wcisnęła gaz do podłogi, bez litości szorując o spojler zabłoconego sedana. Teraz trójka. Przytarła drzwi od strony Kosińskiego o jakiś słupek. Spojrzała w prawo. Ludzie na rogu Alej wytrzeszczyli oczy, ale miała to w dupie.

– Ucieka Alejami na wschód... – słyszała, że Kosiński składa meldunek.
– No do mostu, do mostu chyba jedzie... odchodzi od nas, ale korek jest koło Rotundy...

– Uważaj na niego – warknęła. – Jeszcze i nas zgubi. Blokady w mieście nikt ci i tak nie postawi, zapomnij, mają tylko nas.

Daleko przed nimi samochody na rondzie Dmowskiego właśnie ruszały. Widziała, jak audi wpycha się na prawy pas. Zredukowała do trójki, silnik fordą zawył, kiedy dorzuciła mocy, ale wyrwał do przodu, teraz czwórka, nie była pewna na sto procent, ale zdawało jej się, że audi pojechało w kierunku rzeki. Zanim dopadła skrzyżowania, zapaliło się czerwone.

– Żeby tylko, kurwa, nie było tramwaju, żeby nie było tramwaju. – Zacisnęła zęby i pomyślała, że nie spojrzy. Jeśli nie spojrzy, tramwaju nie będzie. Zresztą nawet jakby był, to przecież tramwaj potrafi zatrzymać się niemal w miejscu, bo będzie ruszał z przystanku. Rzuciła okiem w lewo, czysto, z prawej samochodu już wjeżdżały na skrzyżowanie. Twarz Kosińskiego blada, wydłużona, jakby miał rzygać. Patrzył przed siebie. Za boczną szybą mignął jej motorniczy. Biała koszula, wąsy, obwisłe podgardle, odruchowo szarpnęła w prawo i choć szli na sygnale, samochody rozlewały się po rondzie Dmowskiego jak mleko. W którą stronę, kurwa! Odbiła jeszcze mocniej w lewo i od razu w prawo, w Aleje. Poczula, jak telefon obija jej się o stopy. Dodała gazu ile wlezie. Dobrze, że przedni

napęd, dobrze, że nie jest ślisko.

– Jest! Przy Vitkacu go widzę! – Kosiński odezwał się po męsku, nie usłyszała w jego głosie ani odrobiny hysterii. Ogarnął się nareszcie.

– Daleko! – Próbowwała dostrzec coś przed sobą, ale zasłaniały jej samochody, które wylały się z Kruczej. – A ja już mam do samej dechy.

Zjechała na prawy pas. Śmigły jej przed oczami światła sklepów.

– Skręcił przy Vitkacu!

– Pewien jesteś?

– Pewien.

Była tam po kilku sekundach i dała po hamulcach do samego spodu. Telefon poleciał pod fotel. Dobrze, przynajmniej się gdzieś nie zaklinuje.

– Hołowczyc wzięłby to driftem – powiedział spokojnie Kosiński.

– Kurwa, chłopie, ja tu próbuję przeżyć przecież! – Wjechała w Bracką. Zastawiona, zapchana. Ktoś zatarasował wjazd na parking na Mysiej. Dobrze jest. Dopadniemy go, musiał zwolnić.

– Musiał, kurwa, zwolnić!

Stanęli. Sztau na twardo.

– Mam biec? – Kosiński nie żartował.

– Nie, no nie pierdol mi! Patrz, czy go wypatrzysz gdzieś przed nami.

Wcisnęła klakson, choć przy wyciu koguta pewnie i tak nikt tego nie słyszał. Ruszyła na lewo. Niech się rozstąpią czy jak! Rozstępowali się. Naprawdę się rozstępowali.

– Skręcał?

– Nie widziałem.

– Jasna cholera. – Czują ciągle uderzenia tętna. Oddychaj, oddychaj. Jest. Zobaczyła audi skręcające ostro w lewo. Blisko, cztery samochody przed nimi. Pięćdziesiąt metrów, ale zdążył skręcić. Ciekawe, dokąd jedzie. Pewnie tam, gdzie ma wolną drogę. Gdzie będzie miał wolną drogę? Na pewno nie do palmy... No oczywiście, że nie do palmy, do palmy wszystko

zatkane, autobusy, tramwaje, zamknięty Nowy Świat. Na dół, na dół pojedzie.

– No szybciej, krowo pieprzona!

– Skąd wiesz, że to krowa? – Kosiński wydawał się całkiem opanowany.

– No a jak? Co ty sobie wyobrażasz, to baba! No to musi być baba, baby tak jeżdżą, kurwa, SUV-ami na zakupy! No rusz się, rusz, no ja...

Range Rover ruszył wreszcie w kierunku ministerstwa gospodarki, czy jak ono się teraz nazywa, i Olga wypadła na plac Trzech Krzyży jak wściekła, kręcąc w lewo, ale udało jej się uniknąć poślizgu. Pusto, audi zniknęło za przejściem dla pieszych w czeluści ulicy między pierzeją zakończoną gmachem giełdy a galerią Ethos firmy deweloperskiej Kulczyka. Nie traciła czasu i przeskoczyła przez czerwone całkiem gładko, bo tym razem kierowcy karnie ustawili się na krawędzi jezdni i tylko dwaj piesi, zagapieni w telefony, wyleźli jej wprost przed maskę. Wcisnęła sprzęgło i hamulec, zarzuciło fordem, ale piesi ocknęli się i uskoczyli w ostatnim momencie.

Gapili się w boczną szybę na Kosińskiego. Dwie pary oczu zdziwionych i wystraszonych. Kosiński pokręcił głową i pokazał im środkowy palec. Stracili z pięć sekund, może więcej.

– Nie poznaję cię. – Wrzuciła jedynekę i pojechali w dół.

– Zgubiliśmy go – westchnął Kosiński.

– Myślisz?

– Mógł skręcić w Rozbrat albo w Kruczkowskiego, albo mógł jechać na Wisłostradę.

– Kurwa. – Olga zwolniła. – Masz rację. Co robimy?

– Zakładamy, że gość nie zna miasta, więc mu wszystko jedno. Zależy mu na czasie, no to ja bym pojechał prosto. Byle dalej od nas.

Olga nie odpowiedziała. Przelecieli przez skrzyżowanie i potem łukiem

w lewo, przyspieszyła do granic, w jakich nie bała się utrzymać samochodu w torze jazdy. Zobaczyli audi na końcu sznura samochodów czekających na światłach przed Wisłostradą. Musiał zobaczyć niebieskie światło w lusterku, bo dał wsteczny i tuż przed kawalkadą, która ruszyła właśnie w Ludną, szarpnął w lewo, w Solec, wyskakując w górę na wysepce okalającej przejście dla pieszych. Obrócił się w poprzek jezdni i wtedy zahaczył go czarny mercedes. Tylny zderzak audi odłamał się jak kawał tektury, wyleciał w górę i spadł na chodnik. Mercedes zatrzymał się, blokując wjazd na Solec. Zbieg nerwowo próbował cofnąć na tyle, żeby złożyć się w zakręt. Ruszył nagle, rozbijając słupki wokół figury Świętej Barbary. Olga widziała to wszystko, jakby oglądała time lapse video, jakby już to wszystko przeżyła, jakby to była gra, którą katowała od miesięcy i teraz ten etap nie miał dla niej żadnych tajemnic. Zjechała na przeciwny pas tuż przed przejściem dla pieszych i wbiła się na krawężnik. Nie było już słupków na łuku drogi, więc minęła mercedesa, rzucając uśmiech zszokowanej kobiecie za jego kierownicą. Przyspieszyła, Solec był dziwnie opustoszały, więc pod Łazienkowskim i pod średnicowym śmignęli bez kłopotu, ale na Dobrej musiała już wyprzedzać. Na szczęście samochody zjeżdżały i znowu zobaczyła przed sobą tylne światła A6. Wyprzedzał po lewej stronie wszystkich oczekujących na światłach przed Tamką. Zanim dojechała, włączyło się zielone i oczekujący z naprzeciwka ruszyli lewym pasem.

– No i chuj! – Kosiński sięgnął po mikrofon. – Powiem dyżurnemu, że spierdolił nam i że jedzie na północ.

– Gówno tam. – Olga skręciła na lewy pas, na czołówkę, jadący z naprzeciwka zamrugął światłami.

– Widzę, kurwa, widzę, że na mnie jedziesz! – krzyknęła i zjechała na chodnik. Jej umysł odnotował wielkie zielone litery. „Kwiaciarnia”. A potem huk. Ścięła słupek z nazwami ulic. Prawe lusterko trzepnęło w sygnalizator i rozpieprzyło się w drobny mak. Przednia szyba pękła, ale się nie posypała. Olga nie zwolniła ani na ułamek sekundy, zeskoczyli

z chodnika i skręciła ostro w prawo, unikając zderzenia ze słupkami chroniącymi chodnik. Na szczęście z naprzeciwka nie było więcej pojazdów. Wyprzedziła wszystkich jadących na Żoliborz lewym pasem. Dalej było już łatwo, ale audi odchodziło. Znowu im odchodziło. Ale nie na zawsze. Zobaczyła je koło biblioteki uwięzione za autobusem. Nie dawał rady precyzyjnie się pomiędzy jadącymi z naprzeciwka a starym, powolnym 118.

– Mamy go!

Wyprzedził autobus na wysokości ogrodów Biblioteki Uniwersyteckiej. Olga straciła tylko jedną, dwie sekundy. Wzięła sto osiemnastkę akurat w takiej chwili, że zdążyła zobaczyć, jak audi skręca w lewo, w stronę BBN-u. Dalej cała Dobra zakorkowana była po rąbki.

– Poszedł na Barbórkę! – zauważył Kosiński.

– Na jaką Barbórkę?

– No kryterium na Karowej. Nie słyszałaś? Rajd Barbórki?

– Dyżurnemu melduj. – Wzięła zakręt z piskiem opon. Daleko przed nimi audi skręcało już w lewo w pierwszy łuk. Rajd Barbórki? No coś tam słyszała. No na pewno słyszała. Ale że co? Że zakręty?

– Jest na Karowej. No na Karowej, w górę zapierdala! – mówił Kosiński do mikrofonu.

– Cholera! – odkrzyknął oficer dyżurny.

Zdziwiła się. Na dyżurnego nie nadawał się gość, który tracił zimną krew. Weszła w pierwszy wiraż i poczuła, jak forda wynosi dupą w prawo, zredukowała, silnik zawył, ale nie odpuszczała.

– Miesięcznica idzie! – dokończył dyżurny.

– No i chuj. – Kosiński odwiesił mikrofon i mocniej zacisnął prawą rękę na uchwycie. Olga skręciła w prawo, ale wiedziała już, że za późno. Wyniosło ją do lewego tunelu, ale to nawet lepiej, nadrobiła kilkanaście metrów. Szła całą szerokością jezdni. Prawy łuk, potem lewa dziewiątka. Zobaczyła przed sobą w oddali, jak otwierają się drzwi audi i mężczyzna

w popielatym płaszczu wyskakuje z auta i biegnie pod górę, w stronę zagrodzonej barierkami ulicy.

– Skur-wy-syn – wycedził Kosiński.

Ford przywalił cały pędem w otwarte drzwi audi, a te wyleciały z zawiasów, demolując burtę forda. Wcisnęła hamulec i poczuła, jak ściąga ją w prawo, pięć metrów od barierek, trzy, zatrzymała się. Uciekinier wbił się w tłum po lewej stronie. Nie miał żadnych szans, żeby biec prosto, wszystko zagradzały bariery odgradzające przeciwników i uczestników miesięcznicy.

– Lecimy!

– Dupa tam! – Kosiński nie mógł otworzyć drzwi.

– Dogonisz mnie – powiedziała i rzuciła się w tłum, póki widziała jeszcze jasne jak słoma włosy uciekiniera. Roztrącał właśnie starsze kobiety, które wciskały ludziom w ręce białe róże. Jedna z nich upuściła kwiaty.

– Wariat! Normalny wariat! – Załamała rękę. Popatrzyły na te kwiaty. Podnosić, nie podnosić, Olga przepchnęła się między nimi, deptając róże bez litości.

– O-bro-ni-my de-mo-kra-cję – skandował tłum. – O-bro-ni-my de-mo-kra-cję!

Jezusie, jak dobrze, że facet jest taki wysoki, myślała roztrącając ludzi na prawo i lewo. Była niedaleko, trzy, może cztery metry, ale gość płynął przez tę ludzką rzekę niczym pływak, wysoki, wyprostowany, miarowo ruszał ramionami, rozpychał tłum, choć było mu chyba coraz trudniej, bo im bliżej był Hotelu Europejskiego, tym gęstsza była atmosfera. Olga czuła, jak tłum staje naprzeciw niej twardym, nieustępliwym murem. Jakby wszystko oprócz okrzyków zastygało. Może gdyby szła naprzeciw, byłoby jej łatwiej? Czuliaby jej adrenalinę, widzieli determinację. Ludzie, chociaż wynaleźli statki kosmiczne, filozofię, technologię przeszczepiania serc i twarzy, a nawet zmywarki i haiku, są przecież w środku zwierzętami i adrenalinę

pod swoimi garniturami, sukienkami, komżami, garsonkami i co tam jeszcze na siebie zakładają, wyczują bez pudła.

– Przepraszam, proszę się odsunąć. – Nie chciała krzyknąć, że jest z policji, zresztą kto by cokolwiek usłyszał w takim jazgocie?

– Do-nald Tusk! Do-nald Tusk! – skandował teraz tłum.

– O radooooości, iskroo bogów – zaintonował ktoś przez megafon, a tłum podchwycił. Uciekinier jakby zwolnił, ale Olga też nie miała gdzie wcisnąć nogi. Jasna cholera, jest przecież tak blisko.

– Jeszcze Polska nie zginęęęęęęęła, póki my żyjemy – doszło ją z przodu, ale ciszej. To musieli być ci smoleńscy, ci z miesięcznicy. Obie pieśni mieszały się w powietrzu w jeden szum. Ludzie z prawej, stojący pod Europejskim, zaczęli dmuchać w wuwuzele. Zrobiło jej się słabo. Tłum naciskał. Nie teraz, Olga, nie teraz. Oddychaj! Przywołała się do porządku. Wszystko dobrze, niebo nad głową, mnóstwo, mnóstwo powietrza, oddychaj! Rozpięła kurtkę. Miała pod nią koszulkę z napisem „Wódko, pozwól żyć”. To miał być żart kolegów z pracy. W sam raz na manifestację, pomyślała.

– ...Z ziemi włoskiej do Polski, za twoiim przewooodem – chór głosów dobiegający od strony pałacu mocował się z chórem Unii Europejskiej. Ci pod pałacem mieli nagłośnienie, przeciwnicy megafony, a może po prostu ludzie utkani gęsto jeden przy drugim wokół niej mieli za mało powietrza, żeby śpiewać? Może nie pamiętali słów? Przesunęła się w lewo, żeby lepiej widzieć swojego zbója. Ci z prawej natarli nagle w przód ze zdwojoną siłą. Rozwinęli transparent z napisem „Towarzyszu Kaczyński, znowu was Tusk ograł, jak chciał”. Ludzka fala pchnęła ją we właściwą stronę. Była blisko jasnowłosego. Gdyby wyciągnęła rękę, pewnie mogłaby go dotknąć. Ale co dalej? Co teraz? Pomyślała, że nie może być zbyt blisko, że musi go jakoś stąd wyprowadzić, bo przecież jak on tu, kurwa, zacznie szaleć, to będzie jatka. Wszystkiego tu już zanadto, jedyne, czego potrzeba, to bandyta z bronią, a ten duperszwanc niemiecki jest przecież uzbrojony. Jeszcze krok

w lewo.

– Kurwa mać! Przesadzasz, kobito! – To był niziutki mężczyzna. Stał z lewej strony, sumiaste wąsy, pucułowata twarz, futrzana czapka z daszkiem, znaczek KOD. Zobaczyła to wszystko w ułamku sekundy. I swój łokieć wbity w jego ramię.

– Przepraszam, pan się przesunie – warknęła tylko, bo zobaczyła, że jej obiekt zaczyna dryfować w lewo, w kierunku wylotu ulicy Tokarzewskiego. Wydawało się, że tam ludzi jest mniej, że jej ucieknie!

– Grzeczniej poproszę! Tu jest pokojowa manifestacja! – Zaparł się ten w czapce.

Naparła mocniej, ale gość naprawdę się zaparł.

– Ożeż ty, kur...

– Stul pan ryj. – Popchnęła mężczyznę obiema rękami, skutecznie i bezwzględnie. Upadłby, gdyby miał miejsce, ale tylko się cofnął. Zaczęła przesuwać się w lewo, w skos.

– Jędza, kurwa! Idź stąd, jędzo pisowska!

Nie chciała tłumaczyć, przepraszać, nie miała czasu. Rzuciła mu jedno spojrzenie. Musiało zaboлеć, bo aż się skulił pod wypisanym na kartonie hasłem, które trzymał na kiju: „27:1”.

– Ty pisowska agenturo! – krzyknął jeszcze, ale jego słowa zginęły we wrzawie.

Z głośników od strony pałacu dobiegło ją *Ojczyzna nasza*. Z tyłu odpowiedzieli: „Tu obywateli!”.

Brnęła w ludzkiej cizbie w nadziei, że nie zgubi swojego człowieka, że on nie spierdoli nagle w jakąś lukę, że nie wypatrzy w tłumie tego słabego miejsca. No i że pod murem Europejskiego będzie odrobina przestrzeni, która jej pozwoli oddychać, że znajdzie sposób, aby go zatrzymać, unieszkodliwić i że to nie będzie w tym cholernym ścisku. Podskoczyła, żeby zobaczyć, co się dzieje z przodu. Nie ma lekko, Niemiec jest wysoki, góruje nad tłumem, ale ona nie potrafi dostrzec, dokąd idzie. Kiedy skacze,

widzi przed sobą dwie furgonetki, policjantów i olbrzymie transparenty. Droga w kierunku pałacu jest zablokowana, Niemiec brnie konsekwentnie w stronę Domu bez Kantów.

Spierdoli, myśli Olga i wtedy docierają do niej słowa prezesa Kaczyńskiego. Jego nagłośnienie pokonuje megafony.

– Ta furia, ta nienawiść, ta *Oda do radości* grana w imię nienawiści nic tutaj nie zmieni. Ona jest tylko dowodem tego, jak bardzo boją się ci, którzy uczynili tyle złego Polsce i którzy dzisiaj próbują przejść do nowej ofensywy, jeszcze bardziej brutalnej, jeszcze bardziej wręcz niesłychanej.

Uciekinier powoli przebijał się w kierunku Europejskiego. Rozumiała, że jeśli tam dotrze, będzie mu o wiele łatwiej przeciskać się między tłumem a murem budynku. O wiele łatwiej niż jej, uwięzionej pośród ludzi, którzy kompletnie nie widzą tego, co się wokół nich dzieje. Czuła, jak narasta w nich gniew. Wściekłość. Momentami przez ich wrzask docierały do niej słowa przemówienia. Prezes Kaczyński mówił o tym, że spektakl *Kłątwa* to atak na wartości, atak na tradycję, atak na kulturę, atak na Polskę.

– Przepra...aaaszam! – Na niektórych ludzi to działało. Czasem musiała krzyknąć. Raz to było: „Nastap się, stara dupo!”. Ale podziałało. Była trzy metry za nim, ale już niedaleko muru hotelu.

Kurwa, myślała, są tu wokół barierek tysiące policjantów, a ona nie może żadnemu z nich powiedzieć, że to groźny przestępca poszukiwany przez Interpol, że jest uzbrojony i niebezpieczny! Nie może, bo nie jest w stanie przedrzeć się te trzy metry do policyjnego kordonu. Jeśli to zrobi, zbieg zniknie, rozplynie się w tłumie. Zrzuci płaszcz i już go nikt nie pozna. Może krzyczeć? Wzywać policję? Ale nie usłyszą, a zresztą jeśli usłyszą, nie uwierzą. Mogłaby wystrzelić w powietrze, ale wywoła panikę, a wtedy ten gość może zacząć strzelać. Musi iść za nim, skradać się, pełznąć, kryć, odwracać wzrok, kiedy się rozgląda, musi dać mu pewność, że jest bezpieczny, że się może odprężyć, musi być o krok za nim, a kiedy tylko tamten na chwilę się zagapi, musi uderzyć. Ale jak uderzyć? Widziała, jak

zmasakrował tego szofera przed hotelem. To bezwzględny potwór. Gdyby nie był potworem, nie robiłby małym chłopcom te-go, co im powiedziano na odprawie. Stanęły jej przed oczami zdjęcia z jakichś filmów, które miał w komputerze. Ale na żadnej z fotografii go nie było. Śledzili go aż do Warszawy, żeby zdobyć dowody. Spieprzyli coś w hotelu, ciekawe co, ale coś spieprzyli poważnie, skoro ma go tutaj przed sobą. I co ma zrobić? Przecież się na niego nie rzuci. A jak on przejdzie przez ten cały tłum, to co zrobi? Pobiegnie, zastrzeli pierwszego lepszego taksówkarza? Kurwa, co ja mam zrobić?! Na razie idź, Olga, idź, idź, napieraj. I była coraz bliżej, dwa metry, półtora.

– A to, co tutaj się dzieje, ten atak na Polskę i na to, co jest istotą tej Unii – słyszała wciąż przemówienie prezesa PiS – to atak na to, co chcieli Europie przygotować ci, którzy Unię stworzyli, a co niszczą ci, którzy dzisiaj wypaczają ich idee...

Była metr za ściganym, kiedy nagle tłum ruszył. Napał na kordon policji, a policja miała rozkazy, że ani kroku dalej. Dość, że tłum ściśnięty nagle coraz bardziej między policjantami a zachodnią ścianą Krakowskiego Przedmieścia poniósł Olgę wprost ku pedofilowi. Musiał to wyczuć, bo odwrócił się nagle, odepchnął trzech ludzi, którzy dzielili go od Olgi. Zanotowała wzrokiem, że to dwaj starszankowie i jakiś żul. Starszankowie z hasłami na kijach najwyraźniej zabłąkani nie po swojej stronie barierek. Pierwszy miał napis „«Wyborcza» kłamie” a drugi „Jarosław, Polskę zbaw”. Trzeci, jakiś żul, miał na sobie ze trzy kurtki. Śmierdział moczem jak zmoknięty pies.

– My tu będziemy i my tutaj zwyciężymy. – Głos prezesa PiS dobiegał aż tutaj. – Będzie wolna Polska. Będzie prawda o Smoleńsku i będzie klęska tych, którzy są łotrami, którzy tutaj czymś rzucają. Ale powtarzam: nic wam to nie pomoże.

Bandyta, którego ściagała od godziny, patrzy jej prosto w oczy. Serbia widzi, jak wyciąga z kieszeni pistolet. To walther, myśli, widzi, jak go

trzyma za lufę, bierze zamach i wali na odlew w miejsce, gdzie Olga powinna mieć twarz, ale chybia, bo ona kuli się w sobie, kierowana jakimś niewiadomym instynktem. Pada na kolana i cały impet uderzenia przewala się ponad nią niczym burza. I nagle ma tuż przed sobą jego krocze. Uderza pięścią najmocniej, jak może, ale chybia, bo siła odśrodkowa jego nietrafionego ciosu wyrzywa go z miejsca, facet robi półobrót i Olga uderza go tylko w biodro.

– Poniesiecie klęskę! – krzyczy Kaczyński. – Polska zwycięży!

Niemiec odwraca się i wali Olgę w głowę kolbą walthera. Wie, że już się nie podniesie, że ją kopnie, zmiążdży jej twarz i że już nikt nigdy nie powie jej, że ma piękne usta, Szymon nie przyjedzie, żeby ją uratować, a potem, kiedy uderzy o bruk i pęknie jej skroń, będzie umierać tutaj, w tym popieprzonym tłumie, który nie rozumie, że polityka to chuj, że się w życiu liczy, żeby kochać i żeby ktoś ci przyniósł kawę do łóżka.

Nie pozwolił jej upaść. Chwycił za włosy i pociągnął do góry. Poddała się bez walki. Nie szarpała się, nie gryzła, nie krzyczała. Uderzenie było silne. Nie bardzo rozumiała, co się dzieje. Widziała, że ludzie krzyczą, ale wszyscy odwróceni są w drugą stronę, a potem zobaczyła twarz. Tę samą, którą widzieli na fotografiach na ostatniej odprawie. Twarz wybitnego niemieckiego prawnika. Pedofila i zwykłej, kurewskiej szmaty, którą trzeba było złapać na gorącym uczynku. I zrobiła wszystko, co mogła, żeby go dopaść. Tak, to była ta sama twarz. Ale teraz się nie uśmiechała. Obrócił ją i objął ręką za szyję.

Widziała gdzieś daleko, bardzo daleko, reflektory wycelowane w mównicę, nie umiała jednak dostrzec tam Jarosława Kaczyńskiego, zobaczyła tylko olbrzymi gmach hotelu Bristol, słyszała, jak ktoś zaczyna krzyczeć przez głośniki *Ojciec nasz*, a potem poczuła tylko, że Niemiec wlecze ją za sobą. A ona nie ma siły iść, bo przecież nie oddycha, jej stopy powłóczą po bruku. Zdechnie tu w tłumie uduszona, szmaciana lalka. A potem poczuła, że napastnik się zatrzymał. Coś się zmieniło w jego

ustawieniu ciała.

Zabije mnie. Złapała oddech. Kurwa, zdechnę tu i nie zjem już nigdy tortu bezowego.

Puścił ją i dotknęła stopami ziemi. Zobaczyła, jak ten zaszczany żul wytrzeszczał na nią oczy. I jak napastnik podnosił rękę z pistoletem.

– Walther P 99 – natychmiast rozpoznał bezdomny, wyświetliło mu się w głowie wszystko, co należy. – Wersja AS, magazynek dwurzędowy, piętnaście nabojów 9 mm.

Potem zobaczył, jak spod rozpiętej kurtki kobiety, którą ten wielkolud podnosił za szyję, zaświeciły się litery. „Pozwól żyć”.

– Pozwól żyć – powiedział.

Ale olbrzym nie słuchał. Podniósł kobietę tak, że stanęła na czubkach palców.

– Pozwól żyć! – krzyknął.

Tamten spojrział. W jego wzroku była tylko pogarda.

Włóczęga pomyślał, że tamten podniósł kobietę zbyt wysoko, że teraz nie będzie mógł jej uderzyć tak, żeby wyeliminować. Powinien uderzyć, kiedy była na kolanach. Najlepiej w skroń. Kość czaszki na skroni jest dość cienka. Można ją łatwo uszkodzić, a nawet złamać. Jeden porządny cios i obiekt jest skutecznie unieszkodliwiony.

– Pozwól żyć! – krzyknął, jakby to był rozkaz. Litery krzyczały do niego z całą mocą.

– Was!? – zdziwił się ten z bronią. Puścił kobietę. Zanim upadła, zdążył przełożyć pistolet do lewej ręki i wycelował w pijaczka.

Tamten rozejrzał się dookoła.

– Zbaw! – rozkazał mu napis na ręcznie malowanym plakacie w roztrzęsionym ręku staruszka. – Zbaw!

Więc skoczył, chwycił lewą ręką za broń, a prawą owinał tamtemu wokół łokcia i złamał mu ramię. A potem uderzył.

Olga leżała. Zobaczyła buty. Buty prawnika były z dwukolorowej skóry. Lakierowane. Cudowne. A tamten drugi miał adidas. Jeden czerwony, a drugi niebieski. Potem zobaczyła, że te ładne buty odrywają się od ziemi, a w następnej chwili zbieg upadł obok niej. Widziała jego głowę. Czerwony adidas nastąpił Niemcowi na głowę. Potem oderwał się na chwilę i uderzył.

Odwróciła się na plecy i spojrzała w górę. Włóczęga miał zarośniętą twarz. Futerko z kaptura tej kurtki, co ją miał na sobie, było tak samo brudne jak jego broda. Jego oczy były bardzo niebieskie. Jak mogła to dostrzec, przecież widziała go pod światło? No ale widziała je. Bardzo, bardzo niebieskie. Pod nosem miał zaschnięty kożuszek smarków.

Dobrze, że nie mam grypy, pomyślała. Kiedy człowiek ma grypę, to mu lecą z nosa smarki. A jak ma tylko smutek, to mu się robią niebieskie oczy.

A potem była nad nią już tylko ciemność.

KIEDYŚ

Była nad nimi już tylko ciemność. Jeszcze przed pół godziną słońce skalpelem cieniutkim jak włos odcinało czerń nieba od szarości pustyni, ale kiedy lecisz na wschód, ten wątył blask znika w ułamku sekundy. Teraz łąd dawał się rozpoznać tylko po liszajach światła. Żeby je zobaczyć, trzeba było przytknąć czoło do iluminatora i osłonić oczy rękami, żeby odsunąć światło z wnętrza kadłuba. Czasami to było dużo światła, krzyżowały się w centrach miast. Częściej niewiele więcej niż kilka iskier. Miasteczka w dolinach.

– Pięć minut do dekompresji – zaskrzeczał megafon. Lampki w brzuchu herculesa z białych stały się nagle czerwone, a on usłyszał rżenie maszyny, zupełnie jakby właśnie wybudził się z letargu. W ciągu ostatnich dwadziestu minut przestał cokolwiek słyszeć i widzieć. Nie spał, ale udało mu się w zasadzie wyłączyć świadomość. To nie jest łatwe, kiedy pieprzy ci się życie, ale przecież uczyli go technik opanowania umysłu właśnie po to, żeby potrafił poradzić sobie w silnym stresie. Żeby potrafił zasnąć w stresie nawet na kilka minut. Zasnąć i nie myśleć o tym, co nieistotne. Widzieć sprawy we właściwej perspektywie i we właściwej kolejności. Nie słyszeć, kiedy to nie jest konieczne. Nie zwracać uwagi na hałas, nawet jeśli to huk pocisków. Nie widzieć łez, nawet jeśli to własne łzy. Przez ostatnie kilkanaście minut nie słyszał łoskotu, ale teraz, kiedy był całkowicie wybudzony, łomot silników wydał mu się nieznośny. Aż do bólu zębów.

– No jak? – uśmiechnął się do Druida.

Lampki błyskały tylko w środkowej części kadłuba. Poza nimi dwoma i ich sprzętem nie było tu nikogo. Siedzieli w pulsującej, czerwonej kuli ognia. Poza nią w jedną i drugą stronę kadłuba rozciągał się tylko mrok gdzieś rozświetlony wątlm blaskiem kontroltek. Wyglądały jak świetliki.

– Zbieramy się? – zapytał Druid.

– Tak, tak. – Luter pokiwał głową i wyłamał palce, strzeliło, ale kości i chrząstki były znowu na swoim miejscu. – Zostawię im jeszcze kasztana – powiedział, kiedy tylko zdjął maskę tlenową. Przed skokiem oddychali mieszanką powietrza wzbogaconego tlenem. Westchnął i stanął na nogach szeroko, żeby przywrócić im normalne krążenie.

– Zdążysz?

– Zawsze zwarty, zawsze gotowy. – Mrugnął do kolegi, ale nie miał pewności, czy tamten to dostrzegł w błyskających światłach.

Roztarł kark. Wyprostował plecy. To nie był lot w biznesklasie. A wojskowy transportowiec to nie prezydencka salonka. Zamiast dywanu blaszana, porowata podłoga. Zamiast toalety przykręcona do burty rama z deską, na której siadasz. Załatwiasz się do worka, zawiązujesz go po wszystkim i zabierasz ze sobą. Ale tylko jeśli to zwyczajny lot, jeśli lądujesz na ziemi. Ten dzisiejszy nie był zwyczajny. Luter nie musiał zabierać ze sobą worka. Zawiązał supeł i zostawił pod ścianą. Dzisiaj posprząta po nim załoga.

Toaleta zabrała mu minutę. Zostały cztery. Cztery minuty to cała wieczność, jeśli nie masz nic do roboty. Ale to przecież dość, żeby przebiec kilometr. Albo żeby dolecieć do Ziemi z wysokości ponad trzydziestu kilometrów. To dość czasu, żeby złożyć karabin SRS, załadować, obliczyć trajektorię, trafić, złożyć go i zacząć procedurę ewakuacji. Cztery minuty w zupełności wystarczą, żeby komuś, kogo kochasz, rozpieprzyć życie w drobny mak, bo akurat nie umiesz znaleźć tych słów co trzeba. A przecież istnieje całe mnóstwo słów. Podobno Mickiewicz znał ich ze trzydzieści

tysięcy. Dzisiaj nawet zwyczajne dzieciaki, których świat zamyka się między smartfonem, gramy, filmikami i pizzą, potrafią użyć pewnie z pięć, sześć tysięcy. Więc dlaczego kiedy ktoś mówi: muszę wiedzieć, czy chcesz ze mną zamieszkać, i muszę to wiedzieć teraz, bo muszę podjąć właściwą decyzję, zanim znowu znikniesz, a ja nie będę wiedziała gdzie, to ty, dorosły człowiek z wysokim ilorazem inteligencji, wyszkolony w radzeniu sobie z problemami, nie wiesz, co odpowiedzieć, i mówisz tylko: nie wiem. Przecież chcesz wiedzieć. Chcesz wiedzieć, co zaszło między nią a tym jakimś nauczycielem angielskiego czy też może tłumaczem z angielskiego. Wszystko jedno. Z jakimś łysym, miękkim, gładkim jak dupa gościem w wąskich dżinsach i okularkach w drewnianej oprawce. Jak można się kimś takim w ogóle zainteresować?

– Budź się. – Druid trącił go w ramię i wyrwał z odrętwienia.

Mieli mnóstwo do zrobienia i powinni wszystko wykonać w skupieniu. Burczenie w brzuchu samolotu było równe. Na szczęście lecieli gładko, a nie zawsze to się udaje na pułapie trzydziestu tysięcy stóp.

– Trzy i pół minuty... mnóstwo czasu.

Naciągnęli kombinezony, krótka broń, nóż, spadochron, lokalizator, komunikator, hełm tlenowy, butla. Dzisiaj, jutro, może jeszcze nawet pojutrze nie będą mogli do siebie mówić ani słowa. Tamci potrafili przechwytywać komunikaty głosowe, więc dowództwo operacji zarządziło pełną ciszę. Tylko komunikat txt na wyświetlaczu. Litery, które wędrują w kosmos. Nie umierają, toną w cyfrowej chmurze. Niebieskie litery.

Mógł ustawić zielone albo niebieskie. Takie cuda są dzisiaj możliwe. Producent zalecał zielone. Najlepiej je widać w trudnych warunkach.

Ale on wolał niebieskie.

– Dwie minuty do dekompresji – powiedziały głośniki.

Zaświeciły się małe lampki w tylnej części kadłuba. Poszli tam i stanęli każdy przy jednej burcie.

Właściwie powinienem coś powiedzieć Druidowi, pomyślał, ale co tu

jest do powiedzenia? Nagadamy się jeszcze w życiu nie raz i nie dwa. Pewnie trzeba byłoby krzyczeć, żeby mnie usłyszał w tym hełmie. Normalnie wystarczałoby mówić do mikrofonu. Ale cisza oznacza ciszę. Nie zamontowali mikrofonów. A jemu chciało się gadać. Opowiedzieć jakąś historię, dowcip może? Koncentrował się lepiej, kiedy mówił. Kiedy nie myślał o zadaniu. Przypomniawszy sobie historię Stappa i Kittingera. Stapp, chirurg wojskowy badający zdolność organizmu ludzkiego do przeżycia w warunkach ekstremalnych przeciążeń, zbudował najszybszą wtedy maszynę lądową – odrzutowe sanie. Ustawił je na torze, na którym w bazie Edwards w Antelope Canyon bada się aerodynamikę rakiet i kadłubów lotniczych. Zaczynała się era odrzutowców, amerykańskie lotnictwo potrzebowało sposobu, żeby pilot mógł wyjść cało z awarii maszyny. Stapp zbudował fotel katapultę. Ale musiał zbadać szanse pilotów na przeżycie w sytuacjach ekstremalnych przeciążeń. Do badań potrzebował ochotników. Ponieważ ich nie było, usiadł w fotelu sam. Kiedy na tych saniach przekroczył prędkość 1077 kilometrów na godzinę, młody oficer Kittinger oświadczył, że chce z nim pracować. Najpierw wzniósł się balonem na wysokość 31 tysięcy metrów. Nikt przed nim nie wzleciał wyżej. Był pierwszym człowiekiem, który na własne oczy zobaczył, że Ziemia naprawdę jest okrągła. No, w każdym razie, że jest zakrzywiona. A kiedy się już napatrzył i nalatał balonami, skoczył ze spadochronem z wysokości 23 tysięcy metrów.

– Minuta do dekompresji.

Lampki zaczęły migać, a do tego piloci włączyli im muzykę. Wiiiip! Wiiiip!

Jakby ten jazgoczący alarm mógł w czymkolwiek pomóc. Kurwa mać. Trzeba się skupić. Kiedy Kittinger skoczył z 23 tysięcy metrów, doznał takiego szoku, że stracił przytomność i tylko cudem przeżył, bo w korkociągu przeciążenie dochodzi do 22 g. Na szczęście odpalił mu się automatycznie awaryjny spadochron. Nawet się wtedy nie połamał.

– Trzydzieści sekund do dekompresji.

Podpięli butle tlenowe do hełmów i otworzyli zawory.

– Hej, Druid. – Luter podniósł rękę z wyprostowanym kciukiem.

– Hej, Luter. – Tamten skinął głową i wyciągnął rękę w ten sam sposób.

Luter sprawdził, czy obrazek z Aniołem Stróżem, który przysiągł nosić przy sobie za każdym razem, kiedy wchodzi do wody, jest tam, gdzie powinien. Odkąd zabezpieczył go wodoszczelną folią, anioł miał szansę się nie utopić ani nie rozmyć. Potem pochylnia opuściła się, podeszli do krawędzi, przycisnęli ramiona do tułowi, podkulili nogi i wyskoczyli w mrok.

Nie zobaczył krzywizny Ziemi. Nie zobaczył absolutnie niczego, bo nad zatoką było idealnie ciemno. Gdyby nie hełm i maska, pęd powietrza wgniótłby mu oczy w głąb czaszki, ale szyba zapewniała komfort. Miała mikrowyświetlacz i widział na niej, jak uciekają mu czas i wysokość. Dwieście na godzinę. Słyszał wizg powietrza twardego jak kamień i starał się nie myśleć o niczym dobrym ani o niczym złym. Tylko o cyfrach.

Po minucie, kiedy wyświetlacz pokazał szesnaście tysięcy stóp, rozpostarł ramiona i rozstawił nogi. Uderzenie było bolesne, ale wiedział, że tak się stanie, więc nie pozwolił, żeby pęd powietrza wyrwał mu kości ze stawów.

– Jak to: nie wiem, co dalej robić? – Przypomniał mu się ten moment, kiedy ją zapytał.

– Bo ja nie wiem, na czym stoję! Nie wiem, kim jesteś. Nie wiem, co robisz, kiedy znikasz na całe tygodnie. Ty mi niczego nie mówisz.

– Mówię ci, że cię kocham.

– No prooooszę cię! Co ty pieprzysz?! Czy ty siebie w ogóle słyszysz? To jest twoim zdaniem kochanie?!

Starał się utrzymać ciało poziomo. Jeśli to opanujesz, lecis. Czasami ludzie, którzy dużo skaczą, wpadają w euforię. Może ma to jakiś związek z oddychaniem czystym tlenem przed skokiem? Zdarza się, wiedział o tym, ale nie można dać się ponieść. Trzeba hamować.

To mały spadochron. Nowoczesny, lekki, trwałe, niezawodny, ale mały. Jeśli pomylisz się z cyframi, jeśli otworzysz go za późno, nie wyłapie cię w porę i przyłożysz w wodę jak w beton. Nie będzie czego zbierać. W najlepszym razie stracisz przytomność. W najgorszym się połamiesz. Jeśli nie wypniesz spadochronu tuż ponad falą, pociągnie cię on w górę albo w bok, wiatr skręci linki... Jeśli owiną się wokół głowy, masz przejebane, udusi cię albo utopi.

Trzeba się wypiąć tuż nad falą. To możliwe, jeśli ją widzisz, ale teraz szli w dół w kompletnej ciemności. Może byłoby widać lśnienie morza, gdyby świecił choćby księżyc, ale to była bezksiężycowa noc. Dwa dni do nowiu. Może widać byłoby te fale mimo wszystko nawet dzisiaj, gdyby nie wyświetlacz na szybie. Ale nie zobaczy niczego. Ma tylko cyfry. Musi im zaufać. Kiedy przyjdzie moment, zluzuje taśmy i wysunie się z szelek spadochronu.

– Ja przecież nie wiem, czym ty się zajmujesz! Czy to jest miłość?

I co jej miał odpowiedzieć? Że czasem skacze do morza z trzydziestu tysięcy stóp? Że w jego pracy chodzi o to, żeby być gotowym na wszystko? No i żeby być gotowym bez ustanku. I że nie zostaje wiele miejsca na inne sprawy. Nawet na miłość.

Milczał.

Patrzył, jak zakłada czapkę, zapina płaszcz, jak gniecie torebkę w obydwu dłoniach. Jak chce jeszcze coś dodać, ale już milczy, robi te dwa kroki w przepaść i trzaska drzwiami.

Wiedział, że tam stoi, nie usłyszał kroków na schodach. Wiedział, że płacze. Ale, do cholery, miał dziesięć minut, żeby się spakować i wyjść. Myślał już tylko o tym, żeby ruszyła. Żeby sobie poszła. Nie mogła przecież widzieć samochodu, który będzie na niego czekał.

To nie był jego pierwszy skok nad wodą, ale pierwszy w zupełnej ciemności. Skakał do morza z różnej wysokości. Czasami to był metr albo dwa. Czasami dziesięć z pokładu okrętu. A czasami dziesięć tysięcy.

Skakali już wcześniej w nocy, ale zawsze do tej pory ze śmigłowca. Śmigłowiec leci nisko. Skoki HALO zaliczył w dzień, chociaż jeden w sztormie. Cała sztuka w tym, żeby otworzyć spadochron bardzo nisko. W powietrzu nurek jest widoczny dużo lepiej niż w wodzie.

Dzisiaj mieli szansę wylądować niezauważenie. Jeśli w ogóle jest możliwe, żeby uczynić coś niezauważalnego we współczesnym świecie, to właśnie nocny skok z dużej wysokości nad morzem z dala od brzegu.

Zostało tysiąc dwieście stóp.

Nie bał się. Tysiąc stóp, wyciągnął pilocik, szarpnęło mocno, ale był na to gotowy. Skupił się, bo wiedział, że morze nie wybacza, nawet jeśli skaczesz z brzegu, możesz skrócić kark. Jeśli skaczesz z trzydziestu tysięcy stóp, musisz wiedzieć, jak się zderzyć z falą. Dwieście stóp, sto, pięćdziesiąt, cyferki na wyświetlaczu szalały, rozluźnił uprząż. Trzydzieści stóp. Zrzucił spadochron i przycisnął ramiona do siebie. Wszedł w wodę jak nóż w ciało. Była ciepła. Pięć, może cztery metry, rozłożył ramiona i wypłynął.

TERAZ

Rozłożyła ramiona i płynęła. Ale w którą stronę? Wszędzie był mrok. Pewnie była głęboko. Bardzo głęboko i w dodatku w kompletnej ciemności. I nie miała już czym oddychać. Czuła, że coś jej uciska twarz, i że właśnie z tego powodu, przez ten knebel, a może jednak maskę nie daje rady złapać oddechu. Ale po chwili zobaczyła światło. Rozmiękczone, rozmemłane, jakby roztarte na brudnej szybie. I wiedziała już, w którą stronę musi podążać. Popłynęła. Płuca bolały z braku tlenu, ale światło było coraz bliżej, wydało jej się wreszcie, że rozgarnia wodę rękoma, i wypłynęła na powierzchnię.

– Achhh... – Zerwała maskę tlenową i zassała powietrze z całych sił. Oślepiło ją światło, ale poczuła też, że ktoś głaszcze ją po włosach.

– Wszystko dobrze – usłyszała – wszystko będzie już dobrze.

Kontury wróciły. Leżała, Kosiński gaskał ją po głowie, a nad nim widziała przypięte na jakiejś półeczce defibrylator i koc. Za mleczną szybą majaczyły co i raz jakieś plamy światła w różnych kolorach. Zrozumiała, że jest w ambulansie.

– Co z nim? – zapytała.

– Jak się pani nazywa? – Pochylił się nad nią ktoś w czerwonej kurtce. Może lekarz, może ratownik, nie umiała rozpoznać.

– Olga Suszczyńska – powiedziała powoli – i co dalej mam mówić? Ile lat, gdzie zamieszkała? Zamieszkała Żoliborz...

– Zgadza się? – medyk wszedł jej w słowo, kierując pytanie do

Kosińskiego.

– Tak, tak, zgadza się, to ona. Sam pan widzi, jaka nadąsana.

– Spuchnięta może jestem, bo oberwałam, ale nigdy nie jestem nadąsana!

– No, to cała ona – uspokoił medyka Kosiński.

– Zachodzi podejrzenie, że doznała pani wstrząśnienia mózgu, musimy zabrać panią na obserwację. Czy pamięta pani, co się wydarzyło?

– Próbuję właśnie to ustalić, a pan mi przerwa. Macie go? – Przeniosła wzrok na Kosińskiego. Nie mogła obrócić głowy, bo założyli jej pieprzony kołnierz!

– Mamy go. – Głowa Kosińskiego kołysała się na wybojach. Czasami w zasięgu wzroku widziała też tego drugiego, ale chwilami jej znikał. Kiedy znikał, czuła mdłości. Może powinna usiąść?

– Może ja usiądę, co?

– W żadnym wypadku. – Poczowała na sobie mocne, ciepłe dotknięcie. – Niech pani odpoczywa, już dojeżdżamy.

– Kosiński, melduj – poprosiła słabym głosem. Nie chciała zemdleć. A jeszcze bardziej rzygać. Najlepiej się na czymś skupić.

– Jak się na niego rzuciłaś, zrobiła się jakaś bijatyka, awantura, musiał się potknąć, rozwalił łeb... ludzie się rozpierzchli i jak was znalazłem, to już policjanci, co obstawiali imprezę, wezwali łapiduchów. No i powiedziałem im, że to ten poszukiwany, żeby go skuli.

– A bezdomny? – Poczowała skurcz i chwyciła się za gardło.

– No jeszcze mi brakuje, żeby pani wymiotowała. – Zobaczyła nad sobą twarz medyka. Ganił ją, ale nie wyglądał na zagniewanego. Co za cudowny facet. Postanowiła, że jednak się nie zrzyga.

– Może pani mieć wstrząśnienie, może nawet krwiak, zaraz sprawdzimy, proszę wytrzymać.

Chciała powiedzieć, żeby się odpierdolił, bo krwiak to ona może mieć

na dupie od tego leżenia i bujania, ale nie powiedziała nic. Nie mogła skrzywdzić kogoś, kto się o nią martwił bardziej niż o tapicerkę.

– Co z bezdomnym? Mów.

– Jaki bezdomny? Nikogo nie było obok was. Leżeliście pod murem Hotelu Europejskiego, a dookoła lamentowały te całe „obywatelki”, że was pisowcy skopali i pobili. No i że uciekli.

– A broń?

– Twoja czy jego?

– Moja. – Nagle się wystraszyła.

– Twoją mam. Policjanci, którzy się tobą zajęli, znaleźli broń, więc jak dobiegłem, to zdążyli ci już skrępować ręce. Ale nie, wszystko w porządku, mam twoją broń i wszystko jest okej.

– A jego broń?

– Nie miał.

– No jak, kurwa, nie miał?! Przecież widziałeś, jak uderzył tego kierowcę pod hotelem.

Ambulans przechylił się na zakręcie, a ona poczuła znowu mdłości.

– Nie widziałem, bo nie zdążyłem wyskoczyć, wszystko było tak szybko – tłumaczył się Kosiński – ale jak im powiedziałem, że jest poszukiwany, skuli go i przeszukali. Nie miał broni. Jedzie innym ambulansem, dyżurny powiadomiony, więc już go pewnie przejęli ci z Interpolu.

– Cholera... no nie miał broni. Znaczący bezdomny zabrał.

– Jaki bezdomny? Tam nie było żadnego bezdomnego.

– No śmiesz się szczyną jak zdychający pies, ale zdaje się, że mi ocalił skórę – powiedziała wolniej, bo poczuła, że zaraz straci przytomność.

– Nikogo takiego tam nie było.

– No to weź posprawdzaj monitoring... tyle tam kamer było... naszych kamer, telewizyjnych, no i ci wszyscy kodowcy też kręcili. Ktoś musiał coś nagrać...

– Tak, tak, sprawdzę. – Położył jej rękę na włosach. – Nie zasypiaj, dobrze? Już naprawdę blisko jesteśmy.

Do izby przyjęć wjechała na wózku. Wstydziła się, że Kosiński na to patrzy, ale wciąż była bliska omdlenia i ciągle miała nudności. W sumie więc niech będzie tak, jak jest. Niech, kurwa, wiozą. Niech się udławiają, niech jej tylko dadzą ketonal i do domu.

Ustawili ją w kolejce. Lekarka młoda. Ruda, ale z odrostami. Powieki pomalowane na zielono, choć karnawał minął już dawno temu. Może ma tyle roboty, że się nie zdążyła umyć?

Kosiński usiadł na ławce. Drewniana. Bez oparcia. Ściana za nią wysmarowana na szaro, ale kiedyś była biała. Pewnie ludzie głowy tam opierają, a głowy szare od smutku, jak to w szpitalach. Zlustrowała twarze. Nikt się nie uśmiechał. Wszyscy milczeli. Na szczęście nikt nie płakał. Nawet dziecko. Milczenie aż bolało. No i to cholerne jarzeniowe światło. Jakby miała w nim siedzieć całe noce, też by sobie wymalowała oczy na zielono. Nudności i złość. Nie czuła niczego więcej.

– Młody, a ty, kurwa, co tak siedzisz, nie możesz po nasze auto pojechać? Ma tam tak stać na środku drogi?

– Spokojnie, już ogarnąłem, żeby ściągnęli. Przecież się trochę uszkodziło, co nie?

– Dobrze, że już nie te czasy co kiedyś, że trzeba było za naprawę płacić – westchnęła. – Bo były takie czasy, że ci odciągali z pensji.

– Serio?

– Serio, no w Zielonej Górze tak mieli.

– O Jezu, to ile oni tam zarabiali? – Kosiński chwycił się za głowę i potrząsnął nią jak żydowski handlarz.

Uśmiechnęła się.

– To jak wrócimy? Uberem?

– Ty zostajesz, szefowo. Lekarz z ambulansu powiedział, że konieczna

jest obserwacja.

– Dokładnie. – Ruda stanęła nad Olgą niczym kat. – Zostajemy tu na noc. Pidżamka jest? Szczoteczka do zębów jest, kochana? No co jesteście taka smutna? Pewnie nigdy nie byliśmy w szpitalu, co? Pierwszy raz to zawsze jest trochę szok.

– Nie jestem pierwszy raz – powiedziała Olga. – Byłam na porodówce, leżałam też na intensywnej terapii i czekałam, aż mi ktoś przyjdzie powiedzieć, co z moją córką. Ktoś przyszedł i powiedział, że nie przeżyła tego wypadku. A ostatnio leżałam u was, w tym szpitalu i leczyłam rany po tym, jak mnie pewien psychol skuł i powiesił za nogi. Pokazać ci blizny, kochana?

– Przepraszam. – Ruda uśmiechnęła się rozbrajająco. Miała uśmiech tak słodki, że Olga poczuła, jak jej cała złość rozchodzi się po kościach. Ale nie mogła odpuścić tak łatwo.

– No ale nie mogę zostać. Mam pedofila na rozkładzie, gościa z bronią na mieście, może być niebezpieczny, no, a ty mi tutaj, żeby zostać? – Olga chciała, by jej głos brzmiał pewnie i mocno, ale złał się zniechęca. Przełknęła ślinę. – Ty sobie nie zdajesz sprawy...

– Oooo kochana. – Młoda lekarka uklękła przy niej. – To ty jesteś ta, co dzisiaj złamała rękę jakiemuś bandycie? Słyszałam. Jestem z ciebie dumna. No i muszę o ciebie teraz zadbać.

– Nie, nie złamałam – powiedziała Olga. Zabrakło jej słów, zresztą co miała mówić? – Ja po prostu przeżyłam.

– I tak jestem z ciebie dumna... To co? Pidżamy nie masz? Dostaniesz naszą służbową albo, jak wolisz, syn pojedzie do domu przywiezie twoją, tak? A ja ci zrobię w tym czasie tomografię. Zasłużyłaś.

– To nie jest mój syn przecież! – oburzyła się Olga.

Tamta mrugnęła. Zmarszczyła przy tym nos.

– Widzę, widzę. – Nachyliła się aż do ucha. – Fajniutkie ciasteczko, ale ma spodnie poplamione czymś słodkim, widziałaś? Myślisz, że to krew?

– Kurde, coś ty, to maliny – szepnęła Olga.

– Jak to maliny? Skąd?

– Z pączka.

– O Jezzzzu – uśmiechnęła się tamta. – Wrócę po ciebie za kwadrans.

Może za dwadzieścia minut.

Kosiński dostał klucz do mieszkania i wyraźne instrukcje, żeby nie wachał jej bielizny, niczego nie przekładał i żeby nie wchodził do kuchni. W kuchni jest przecież sterta brudnych naczyń.

– Jak to brudnych? – nie zrozumiał.

– Idź już. Ubra se zamów, żebyś wrócił szybciej. Oddam ci.

Poszedł, a ona siedziała w szpitalnym fotelu, całkiem wygodnym zresztą, i myślała, że niektórzy przecież zmywają naczynia, dopiero kiedy w zlewie tyle już garnków i talerzy, że nie da się wody nabrać do czajnika. To są ci, którzy nikogo nie mają. Nikt im nie mówi: ruszyłabyś się, zanim zarośniemy brudem. I nikt im nie mówi też: mam, zrobisz mi kanapkę z pomidorem? Albo: to mój nowy chłopak, no nie bój się, nie bój, normalny. Albo że nie wolno pić wódki bez umiaru. Nawet jeśli to rocznica śmierci twojego dziecka, to jeśli kogoś masz, powie ci na przykład: dosyć. Już dosyć. Nie martw się, żyj, Kochaj, wszystko będzie dobrze. Gównu tam będzie... Szymon dzwoni coraz rzadziej. Pisze. Wciąż pisze, ale nie ma już w tym ognia. Może nigdy nie było? Może trzeba było iść z nim do łóżka? Może o to chodzi facetom najbardziej, a nie żeby się o siebie troszczyć. Dzwonić do siebie. Pytać, czy wszystko w porządku, czy kataru nie masz, czapkę nosisz. Noszę, Szymon, no pewnie, że noszę. I rękawiczki. Nie mam już takich zgrabiących rąk i popękanych skórek. No ale nie zmywam. Nie zmywam i dobrze. Nie muszę. I nie mam zmywarki. Nie, nie wszyscy mają zmywarki, kiedyś to w ogóle zmywarek nie było, a ludzie żyli przecież i czasami byli szczęśliwi...

Gdyby ten chuj uderzył mocniej, może bym już nie żyła. Wiesz, Szymon? Zresztą może umrę, zanim mi zrobią tę tomografię. Umrę. I nie

będę wiedziała, co zrobiłam nie tak. Człowiek, gdyby wiedział, ile mu zostało czasu, nabrałby go przynajmniej rękami. Wycieknie, to wycieknie, ale zawsze na dnie coś tam jeszcze przecież zostanie.

Pomyślała, że zadzwoni. Zadzwoni i powie mu: wiesz, o mało nie zginęłam, a on zapyta: jak to?, a wtedy ona mu opowie, jak jechała, jak normalnie driftem szła na Karowej, jak była o cztery metry, o dwa i jak tamten wyciągnął broń i ona wtedy pomyślała, że najbardziej, najbardziej w życiu to żałuje, że już się nie dotkną. Nie przytulą. A on wtedy rzuci ten swój Wrocław i przyjedzie. Jakby wsiadł na motor, to byłby w dwie godziny. Może w dwie i pół. Na pewno na rano by był. I powie mu, że samotność jest najgorszą karą. Że jest piekłem. Nie ma innego piekła. Tylko to jedno: jest w nim pełen zlew naczyń i nikogo, kto mógłby powiedzieć: kochana, zrób z tym coś, bo mecz oglądam. Chciało jej się płakać, ale przecież nie w tym pierdolonym szpitalu. Kurtka? Gdzie moja kurtka? Jest. Kosiński zostawił na krzeselku. Poda mi pani kurtkę? Tak, tę, tę zieloną z futerkiem dookoła kaptura. No wiem, wiem, że fajna. Dziękuję.

Przeszukała kieszenie. Nie ma. Kurwa, gdzie mój telefon? Gorączkowo przeszukała kieszenie jeszcze raz. A potem obmacała biodra. Nie, no nie zmieściłby się telefon w te elastyczne džinsy. Odkąd przestała jeść ciasteczka i biegała, znowu częściej wbijała się w wąskie spodnie, ale telefon by się tam nie zmieścił w żadnej kieszeni. Klucze tak, ale telefon nie...

– No, jak tam, kochana? – Wróciła ruda lekarka. – Co to za mina?

– Telefon zgubiłam...

– Och, tak mi przykro – chyba naprawdę się zmartwiła. – Bez telefonu w szpitalu jesteś przecież najbardziej samotną dziewczyną świata.

Popchnęła wózek i pojechały.

– No, ale gdzie zgubiłaś? W walce?

– Nie. W samochodzie został. Spadł, kiedy ściagałam tego bandytę – przypomniała sobie Olga.

– No to się znajdzie przecież.

– Nie znajdzie się. Odholowali go do naszych warsztatów, chłopaki znajdą i przejrzą moje zdjęcia.

– No i co zobaczą? – Skręciły na końcu korytarza. Ruda musiała się teraz trochę postarać, bo podjazd szedł skosem w górę na wysokość dwóch stopni.

– No rozbierane zdjęcia tych facetów z Tindera – powiedziała Olga i zakręciło jej się w głowie.

KIEDYŚ

Kręciło mu się w głowie. Ciało zatrzymane nagłym uderzeniem musiało przywyknąć do tego, że już nie jest w powietrzu, że nie spada jak kamień, że teraz porusza się w górę. W górę i w dół. W górę i w dół. Fale szły pod nim twardym, zwartym, czarnym szeregiem.

Nieustępliwe jak smutek, pomyślał. Cierpliwe jak krew.

Zerwał przewód od butli i zwolnił zatrask owiewki. Ufff. Wciągnął w płuca oddech morza. Nie widział, jak zatonęła owiewka. Rozejrzał się. Ale to nie miało sensu. Fale były wysokie i gładkie. Nie zobaczyłby Druida nawet w dzień. Czarny, mały spadochron może pływałyby jeszcze chwilę na powierzchni, ale ludzka głowa jest nie do wypatrzenia.

Podniósł lewą rękę na wysokość oczu.

„11650.345” – pierwsza liczba to odległość. Jakieś trzy i pół kilometra do brzegu. Druga to kurs. Na wyświetlaczu pojawiła się mała niebieska strzałka. Kombinezon utrzymałby go na powierzchni, nawet gdyby stracił przytomność, ale machać rękami za niego nie będzie. Przesunął bagaż z brzucha na plecy. Teraz, kiedy nie miał na grzbiecie spadochronu, nieprzemakalny plecak mógł trafić we właściwe miejsce.

Płynął kwadrans, od czasu do czasu sprawdzając, czy zbliża się do punktu „zero”. W nocy, na wysokiej fali łatwo stracić orientację. Cyfr ubywało. Powoli, ale jednak ubywało. Wyglądało na to, że póki co wszystko jest w porządku.

Płynął już z dziesięć minut, kiedy poczuł, że dłoń zawibrowała.

„CODE 3. RT Ready” – odczytał i zaklął. Druid miał kłopoty. Kod trzy oznaczał, że od teraz musi być gotowy, żeby zadanie wykonać samodzielnie. Ekipa ratunkowa jest przygotowana, jednak nie ruszą, dopóki zadanie trwa. Pojedynczy człowiek w morzu jest niewidoczny dla radarów, ale ponton, nawet niewielkiego zodiaca, widzieliby jak na dłoni. Druid jest zdany na siebie.

Ale co się mogło stać? Luter nie przestawał płynąć. Nauczyli ich tego. Choćby trwała wojna światowa i choćby tsunami przelewało się przez cały kontynent, i choćby mieli w nim utonąć ci, których kochał, jemu nie wolno było przestać płynąć.

Co się stało? Co się stało? Usłyszał w głowie głos przyjaciela: shit, kurwa, happens. Pewnie lokalizator Druida nie dawał odczytu zmiany pozycji. Mógł stracić przytomność w chwili zderzenia z powierzchnią wody. Jeśli tak się stało, to dryfuje po prostu. Normalnie. Skórka go ochroni. Skafander nie pozwoli utonąć. W końcu się ocknie. A jak się ocknie, to popłynie. No ale mógł się udusić. Mogło się coś nie udać w czasie skoku. Albo mógł zderzyć się z czymś, co płynęło po powierzchni zatoki. Jeśli masz pecha, to nawet na oceanie trafisz w kawał drewna. Kurwa.

– Kuuuurwaaaa! – krzyknął w mrok. Nie pomogło. Morze nie przestało się kołysać, wiatr nie zmienił kierunku. Sprawdził komunikator. „10.211” – powiedziały niebieskie litery. Wszystko dobrze. Trzymał tempo.

Nie, no nie mógł się udusić. Kurwa jego mać. Przecież jest mistrzem skoków z dużej wysokości. A skórki Eques są naprawdę jak z filmu z Bondem. Kurwa. Takie skafandry nie pozwolą utonąć.

Płynął.

Może Druid po prostu źle wszedł w wodę? Złamał nogę albo rękę. Wtedy poruszałyby się wolniej. Nie mieliby jasnego odczytu, więc ogłosiliby kod trzeci...

Nawet nie spostrzegł, kiedy zaczął się modlić. „Aniele Boży, stróżu

mój...”. Przez tę dziecięcą modlitwę przezwali go Lutrem, chociaż prawdziwy Luter był protestantem, a protestanci nie wierzą w Anioła Stróża i nie noszą w pamięci pacierzy dziecięcych. Nie modlą się w ogóle do żadnych aniołów ani do żadnej „Świętej Panienki”, nie znają „zdrowaś Maryi”. No ale on przez ten obrazek z Aniołem Stróżem i przez te modlitwy, od czasu do czasu, ale w akcji takich spraw nie ukryjesz, został Lutrem. Modlitwa nie przeszkadza, odpowiadał im. Tak. Modlitwa nie przeszkadza ani nie zabija.

Zresztą lubił to imię. Na morzu musisz mieć swoje imię. Wszystko, co wartościowe, na morzu ma swoje imię. Okręt ma imię, statek, i ten wielki, panamax, i ten mały rzeczny holownik je ma. Ale też ponton i w ogóle każdy sprzęt do pływania. Nawet deska. Zwykła deska też ma imię. I człowiek, który walczy na morzu, też ma swoje imię. Nie to imię z domu, z kalendarza, ale morskie imię. Pod tym imieniem zna cię morze. Tak, tak, nawet deska do pływania miałaby swoje imię, gdyby służyła w marynarce. Tak jej tłumaczył, Aśce, a ona się śmiała. Dla ludzi morza taki sprzęt, zwykła deska, to jest jak żywa istota. A jakby żywa istota miała się odnaleźć w świecie bez imienia? Człowiek dostaje w kość na morzu, ale sprzętowi morze też daje popalić. Musisz na nim polegać, to kwestia przeżycia.

– No, ale co ty mówisz? – śmiała się. – Deska ma imię?

W Sopocie nocą, latem, dziewczyny śmieją się łatwo.

– Naprawdę.

– I jakie imię ma twoja deska?

– Tupala. – Pociągnął łyk piwa z wiśniówką. Podobało jej się, kiedy kupił dwa piwa i dwie małe wiśniówki. Upijasz piwa, dolewasz wiśniówki. Z każdym łykiem świat jest słodszy. Zdawało się, że morze jest tak spokojne, jakby milczało. Lubił, kiedy morze milczało. To się zdarzało tylko w snach.

– Tupala? – Odgarnęła włosy z policzka. Miała piegowatą twarz. Nigdy

nie całował dziewczyny, która miałaby piegi. – Co to za imię? Znaczy coś?

– To imię legendarnego nawigatora z Vanuatu. – Pociągnął jeszcze jeden łyk i dolał wiśniówki. Kilka kropel spłynęło po szyjce, więc je zlizął. Były słodkie i zarazem słone. Musiał mieć słone palce. Nie dotykał dzisiaj morza, ale przecież kiedy siedzisz w wodzie niemal bez przerwy, twoja skóra zawsze będzie słona.

– Skąd? – Pochyliła twarz w jego stronę. Ona też upiła i dolała wódki. Idealnie. Nie uroniła ni jednej kropli.

Ciekawe, czy jej skóra jest słodka, pomyślał.

– No, z Vanuatu. Nie wiadomo do końca, czy to prawdziwa historia, ale szaman nawigator występuje w opisach wyprawy Jamesa Cooka. Słyszałaś, prawda?

Kurwa, pomyślał, mogłem tego nie mówić. Ale było już za późno. Zresztą po cholere gadać z jakąś blacharą? Głupie dziewczyny są dobre na szybko. Ale teraz, choć miał wolny tylko ten jeden dzień, chciał, żeby powiedziała: tak, słyszałam.

Na razie piła piwo.

– Słyszałam – powiedziała. – Popłynął w siedemnastym wieku na wyspy południowego Pacyfiku i zjedli go ludożercy.

Uśmiechnął się.

– Tak, zjedli go ludożercy, ale podobno głowę i serce zostawili i oddali. Brytyjczycy mogli pochować je w morzu.

– A Tupala?

– Był szamanem, czarodziejem. James Cook spotkał go w czasie swojej drugiej wyprawy. Tupala narysował mu z pamięci liczącą cztery i pół tysiąca kilometrów trasę z Markizów na Fidżi, używając nazw stu wysp, na których można się zatrzymać po świeżą wodę.

– Jak to z pamięci?

– Podobno na Vanuatu mają taką tradycję, że rysują na piasku jakieś

wzory i do każdego wzoru przynależą określone opowieści. I ten rysunek i słowa zawsze są takie same.

– Nie mogą rysować na papierze?

– Nie. Przecież oni nie znali papieru. Uczyli się od stuleci zapamiętywania tych rysunków. I Tupala był w tym mistrzem. Cook zabrał go ze sobą. I ilekroć pytał, szaman, który nigdy w życiu nie widział kompasu, zawsze potrafił bezbłędnie wskazać jeden kierunek. Kierunek domu.

– A ty znasz ten kierunek? – Nie patrzyła na niego. Piła piwo i patrzyła na morze. Piasek wciąż był ciepły. Sierpień w Sopocie jest piękny nawet w piątek o czwartej nad ranem.

– Znam. – Sięgnął po nią i wtedy całowali się pierwszy raz. Jej skóra też była słona. Najbardziej na brzuchu.

– A ty? Masz swoje morskie imię? – zapytała, kiedy słońce stało już całkiem wysoko, ale miało jeszcze upłynąć wiele wody, zanim miasto zacznie się budzić na dobre.

– Mam – powiedział wtedy – ale jeśli ci je zdradzę, będziesz musiała zginąć.

– Naprawdę?

– No... powiem ci, jeśli za mnie wyjdiesz.

Myślał, że będzie się śmiała, ale wcale się nie śmiała. Zasnęła. Normalnie zasnęła. A teraz pewnie śpi z tym pieprzonym nauczycielem. Luter wiosłował coraz mocniej. Powoli dopadało go zmęczenie, ale do tego przecież przywykł. Lata treningu zrobiły swoje i potrafił, mimo wszystkiego co ze sobą ciągnął, płynąć niemal bez końca. Potrafił na zimno kalkulować i nie wpadać w panikę. Znał priorytety. Umiał znosić ból. Naprawdę poważny ból. Ale nie ten. Nie ten... Nie myśl, że ten pieprzony aktywista od psów, kotów i wegetariańskiego jedzenia śpi teraz z jego kobietą. Jeden z tych, co zapierdalają po lesie z trytrytkami, żeby się przykuć do drzewa. Ała, ała! Żli ludzie chcą zagospodarować Rospudę czy tam wyciąć drzewo

przy łuku drogi, a on jedzie protestować. Jezusie, mówiła, dzięki takim jak on świat staje się lepszym miejscem. O nie, kochana. Świat staje się lepszym miejscem, kiedy tacy jak ja nie dadzą żyć kilku skurwielom, co odcinają maczetami głowy dzieciom i matkom w imię Allacha. Rozumiesz? No ale nie mógł jej tego powiedzieć. Musiał słuchać zachwyków nad marszami dla uchodźców... Kurwa. To przecież przez takich jak ten nauczyciel wojna w Syrii nigdy się nie skończy. Amerykanie zrobiliby tam porządek w dwa tygodnie, ale będziemy humanitarnie i ofiarnie przyglądać się tej rzezi przez kolejne dziesięć lat. A Taliban będzie odcinał ludziom głowy. I kto się tym zajmie? Aktywista, wymoczek jebany w spodniach rurkach? Nie rozumie, że to operacja Ruskich? Że cała ta wojna jest tylko po to, żeby popędzić Taliban do Europy? Żeby się nasze rządy wzięły za łby między sobą? Listy pisze i na rowerku Veturilo zapierdala na protesty i nie rozumie, że przez takich jak on Putin urządza nam na własnym podwórku wojnę. My jego trzymamy w szachu cenami ropy, bo dopóki nie zarabia, nie może sobie kupować amunicji. On nas tymi łodziami pełnymi uchodźców, których pędzi przez pół świata, rozpieprzając im domy w Syrii. A teraz ja muszę jechać załatwić to gówno, które narobił, a jebany ekodemokrata śpi z moją dziewczyną. Moja wina. Dałem się nabrać na tę ideologię, na ten jego dzender, na te obcisłe ubranka, na te wąskie spodnie. No pedał. Byłem pewien, że pedał, a to cholerny przebieraniec. Zesrałby się, gdyby miał skoczyć ze spadochronem. W tęczowej peruce zapierdalać na manię to ma odwagę. Ale powiedzieć stój bandycie, który odcina głowę maczetą niewinnym ludziom, to już musi powiedzieć kto inny. A taki jest mądry, kurwa, taki jest wykształcony. Trzeba mieć, jak to mówi, globalną świadomość.

Luter był raz na jego wykładzie. Aśka mówiła: chodź, posłuchasz, czym żyje świat. Ty tylko to morze i morze. Wy tam nic nie wiecie o świecie przecież. Chodź, wykłady otwarte, każdy może przyjść. Sprytna formuła. Każdy może przyjść, wysłuchać, po-dyskutować, a w przerwie darmowa

kawa. To mu się wydało podejrzane. Nie ma darmowych obiadów i nie ma darmowej kawy. Wykład był o tym, że w Polsce „po kilkunastu latach budowy demokratycznego, obywatelskiego, wolnościowego społeczeństwa powracają tendencje neopatriarchalne, ulegające konserwatywnym wpływom, nieodporne na hipokryzję klerykałów i populistów, polskie społeczeństwo jest w swoich wspólnotowych dążeniach przeciwnie skuteczne. W czasie kiedy świat, kiedy Europa, budują społeczności oparte na równości kultur, przekonań, płci, aspiracji i szans, niezależnie od uwarunkowań, w Polsce obserwujemy umiejscawianie choćby feminizmu w orbicie ideologii symbolicznych, a więc pozbawionych racjonalnych podstaw i silnie nacechowanych afektywnie oraz ubogich pod względem poznawczym. Takie postawy wobec feminizmu lokują nas na peryferiach Wolnego Świata”.

Wyszedł. Nie mógł tego słuchać. Co taki okularnik może wiedzieć o tym, kto i czym się zajmuje w Wolnym Świecie? I dzięki czemu i komu jesteśmy w NATO, i jesteśmy tam nie w oślej ławce, ale w pierwszej? W pierwszym rządzie.

Aśka była zawiedziona. Myślała, że wychodzą, bo on, Luter, porucznik marynarki wojennej nie rozumie, co to znaczy ideologia symboliczna... no ale rozumiał przecież. Doskonale rozumiał. Ale to, co wiedział, wiedział z doświadczenia. A doświadczenie mówiło mu, że nie żaden postępowy holenderski gej ani nie żaden niemiecki transwestyta – światowiec, dla którego całą odwagą jest to, że odpali czasem Tindera w obcym mieście, będzie siedział trzy dni w zatoce u brzegów Talibanu, ale Polak. Kurwa, Polak, katolik, który lewackiemu zjebowi mógłby przerobić dupę na tatar w dziesięć sekund.

I może, kurwa, tak trzeba zrobić. Tak trzeba robić gnojom, którzy podrywają nie swoje dziewczyny.

Wibracje. Komunikator. „UOK? Pulse 115” – powiedziały litery.

– Kurwa, ochłoń Luter... ochłoń. Wiosłuj.

Odegnął myśli i skupił się na ruchach ramion. Tymczasem wyczuł w morzu zmianę. Najpierw niedostrzegalnie, ale potem coraz silniej i silniej musiał walczyć z prądem, żeby utrzymać kurs.

A później wróciła myśl o tym, że kiedy wróci, odwiedzi okularnika i rozmówi się z nim po męsku. Wiedział wszystko o torturach. Wszystko, co jeden człowiek potrafi zrobić innym ludziom. Znał wszystkie sztuczki hunwejbiniów, wahabitów, talibów, Czeczeńców, neofaszystów. Uczyli ich tego. Nie, nie po to, żeby mieli kogokolwiek torturować, ale po to, by nigdy, przenigdy nie dali się złapać. I oni naprawdę nigdy się złapać nie dali. Wszystko wiedział o torturach. Wiedział, że archaiczne metody komunistycznych służb bezpieczeństwa były tanie, proste i stuprocentowo skuteczne. Lepsze od całego tego amerykańskiego Guantanamo. Lepsze od strachu, jaki potrafił wywoływać Taliban. Esbecja łamała ludzi na wieki wieków amen. Wychodziłeś z ich przesłuchań z depresją, która nie mijała. Wyobraził sobie, jak nowy chłopak jego Aśki siada gołą dupą na nodze od taboretu, i zrobiło mu się na duszy jakoś lżej.

TERAZ

Zrobiło jej się na duszy jakoś lżej, kiedy Kosiński wrócił i przywiózł jej z domu prawdziwą, normalną pidżamę. Ludzką, miękką i pachnącą domem. Nie mogła wytrzymać w tej szpitalnej. Cztery inne kobiety leżące na tej samej sali zdawały się nie zwracać uwagi na to, jak Olga wygląda, ale ona czuła się okropnie. Są ludzie, którzy nie potrafią znieść nieporządku i muszą na przykład ułożyć książki na półkach, dobierając je kolorami okładek. Albo ustawiając od najgrubszej do najcieńszej. Olga czuła się źle w nie swoim ubraniu. Szpitalna pidżama, pewnie jednorazowa i nieużywana, wydawała jej się obca i w dodatku za duża. Na całe szczęście Kosiński przyjechał, zanim zasnęła, i przywiózł kilka jej własnych rzeczy. Wszystko porządnie poukładane w szmacianej torbie z nadrukowanym obrazkiem z książki o Małym Księciu.

– Co to za torba? – zapytała.

– Miałaś w kuchni – wyjaśnił. – Chyba nie chciałabyś, żebym ci przywoził rzeczy w reklamówce z Biedronki?

– Grzebałeś w moich rzeczach? – Poczwała nagle nudności. Ruda ostrzegła, że to się może powtarzać.

– Nie, nie grzebałem, tylko zrobiłem trochę porządku. Nie mogłem po prostu być w jednym pomieszczeniu ze stertą brudnych naczyń. Musiałem sprawdzić, czy masz jakiś bardziej ekologiczny płyn do zmywania niż te tanie środki, więc zajrzałem do szafki pod zlewem i tam w stercie reklamówek była ta torba.

– Pozmywałeś moje naczynia?

– Tak. – Pokiwał głową. – Niestety przy użyciu chemikaliów, jakie były dostępne w twojej kuchni.

– Kurwa! Chyba cię pokręciło!

Olga ściszyła głos, bo kobieta, która leżała na sąsiednim łóżku, popatrzyła na nich karcącym wzrokiem.

– Przepraszam.

– Niech pani nie przepasza, tylko niech pani sobie uświadomi, jaka jest już godzina i że o tej porze nie ma odwiedzin. Jak pan tu w ogóle wszedł?

Kosiński wzruszył ramionami. Wszedł, bo pokazał blachę i powiedział, że to służbowa sprawa, ale nie zamierzał się z tego tłumaczyć.

Olga pomyślała, że najlepiej byłoby go opierdolić na korytarzu, ale przecież za nic nie pokaże mu się w szpitalnym ubraniu. Naciągnęła koc na siebie.

– Co jeszcze?

– Co, co?

– No co jeszcze zrobiłeś w moim domu?! – syknęła. Głowa bolała coraz bardziej. To pewnie od ciśnienia. Cholera jasna, naczynia pozmywał! Świnia. I pewnie do kosza zajrzał. Policzył butelki. Dobry policjant powinien był zajrzeć do śmietnika odruchowo. Za to go nie powinna opieprzać.

– A długo zostajesz?

– Dwa dni.

– A więc dobrze, że ci wzięłam bieliznę, skarpety i książkę.

– Skąd bieliznę?

– Z szuflady wzięłam.

– No co ty pieprzysz w ogóle? – Zbladła. – Ruszałeś moje gacie?

– Nie ruszałem, tylko wzięłam ci dwie pary. No... zrobiłem trochę porządek, bo przecież skarpety nie mogą leżeć wymieszane razem

z bielizną. I powinny być dobrane w pary zaraz po praniu. Jeśli masz z tym kłopot, kupuj zawsze takie same.

– Jak śmiałeś! Wynoś się. – Głowa wciąż bolała. Coraz bardziej.

– Przesadziłem? – zapytał. Posmutniał. Naprawdę posmutniał, a ona pomyślała, że to jest właściwy moment.

– Tak, kurwa, przesadziłeś. Ale możesz się wykupić, jeśli mi przywieziesz telefon.

Uśmiechnął się, kiedy odkrył, że dał się podejść jak dzieciak.

– Gdzie jest ten telefon?

– W naszym rozbitym samochodzie.

– Dzisiaj pewnie nikogo w warsztacie już nie ma, przecież noc.

– Wiem... przywieziesz mi rano? Proszę. Muszę zadzwonić do kogoś.

– A numer znasz na pamięć?

Pokiwała głową. Ten jeden, jedyny numer znała na pamięć.

– To weź. – Kosiński wyjął swój telefon. – Ja już po służbie. I nie mam nikogo, do kogo mógłbym zadzwonić po dwudziestą drugą.

– Żartujesz? – Nie potrafiła ukryć, że naprawdę chce mieć ten smartfon.

– Nie. Ale jesteśmy kwita? – zapytał. – Bo wiesz, przy okazji poskładałem ci skarpety, a majtki poukładałem ci kolorami.

Rozciągnął usta w uśmiechu, o którym myślał, że jest złośliwy.

– Wynoś się! – Wzięła telefon z jego ręki.

– Zera. Same zera.

– Co same zera? – Nie zrozumiała.

– No kod, żeby odblokować telefon.

– Wiem. No przecież wiem.

Przebrała się i zamknęła w toalecie. Minęło kilkanaście dni, odkąd rozmawiali. Zresztą co to za relacja na kilkaset kilometrów w kraju, w którym jest zimno i szaro, a jak się zaczyna robić dobrze i ładnie, to miesięcznice, czarne marsze, wybory, czystki i źli ludzie w pracy? Zbóje,

złodzieje, gwałciciele... Albo dzieciaki z liceum, które zmusiły swoją koleżankę do masturbacji, bo ktoś jej zrobił rozbierane zdjęcia, a potem zagroził, że wszystkim pokaże.

Jak po tym wszystkim dzwonić do kogoś i mówić o miłości?

Nie odebrał po pięciu sygnałach. Albo musi wyjść na balkon, bo kogoś ma, albo może śpi? Szósty sygnał. Nie, no co za głupie myślenie. Przecież nie zna numeru, z którego dzwonię, więc skąd miałby wiedzieć? Siódmy sygnał.

– Feliński, phoszę. – Zrobiło jej się od razu lepiej. Nawet gdyby za chwilę powiedział, że kogoś już ma, to i tak by się jej zrobiło lepiej.

– To ja, Olga.

– Co tam, dziewczyno? Masz nowy numeh widzę? Nie dzwoniłaś tak długo, bo zmieniałaś telefon?

– To pożyczony telefon. Ty też dawno nie dzwoniłeś.

– Nie wiedziałem, czy odbierzesz.

– Ja też nie wiedziałam, czy odbierzesz. Ale odebrałeś i cieszę się.

– No to mów. Mów, co się stało. Coś się stało, phawda?

Opowiedziała mu. O pościgu, o tym, jak dostała w głowę. Jak ją ktoś szarpał za włosy. O bezdomnym. O tym, że myśli o nim bez przerwy. O tym, że jedynym stanem, jakiego człowiek może doświadczyć, jeśli przegapi miłość, jest samotność. Samotność oznacza, że nie masz domu. Rozumiesz?

– Hozumiem. Może jesteśmy w fabhyce, bo nie umiemy mieć domu?

– A miłość?

– Miłość zdarza się nawet policjantom.

– Skąd wiesz?

– Mój ojciec jest z hesohtu. Mówiłem ci kiedyś. Czasami wydaje mi się, że jak na emehyta to więcej może niż ministeh sphawiedliwości.

– Tak, mówiłeś. – Pamiętała, że Szymon potrafił znaleźć esbeckie

papiery, o które ona ani jej szefowie nie potrafili nawet zapytać. – A miłość?

– Ja nie pochwalam tego, kim on jest, co hobił. Hobił złe rzeczy. Ale matkę kocha. Nie zdhadzał jej pewnie nigdy. Nie okłamywał, choć nie wszystko mówił. Pies nie może przynosić do budy wszystkich bhudów. Ale ona i tak wiedziała. Przychodził i pachniał sthachem. Phała ten jego sthach każdego wieczoha. Phała go w takiej fhani, wiesz... kiedyś phalki były ładowane od góhy. Czasami to był tylko pot pod pachami. A czasami była khew. To sthach, mówiła mi, to tylko sthach. Na początku nie hozumiałem, a potem nie wiedziałem, czy to jego sthach, czy tych, któhych wtedy gnoił za NZS, za Pomahańczową Altehnatywę. Nie wiem za co jeszcze. Przynosił jej kwiaty. Każdego dnia. Jeden kwiat. Wciąż to hobi.

– Co robi?

– No w sezonie idzie na działkę, a zimą do kwiaciahni i przynosi jej jeden kwiat.

– I co o tym myślisz?

– Że nawet wściekły pies może poznać miłość.

– Ale jak ją poznać? – Była wdzięczna Szymonowi, że mówi. Chciała, żeby mówił jak najdłużej.

– Nie wiem. Dzisiaj ludzie poznają się na Tinderze.

– Wiem... Kiedy idę koło Kolumny Zygmunta albo koło Rotundy, widzę. Łatwo rozpoznać tych, co się umawiają z Tindera, bo dziewczyny wymalowane na ostro łypią tylko spod powiek oczami, żeby czmychnąć, jeśli zamiast Brada Pitta ze schodów ruchomych wytoczy się jakiś morświn. Czmychnąć, zanim zdąży je rozpoznać.

Roześmiał się i wtedy telefon Kosińskiego zdechł.

Obudziła się następnego dnia w szpitalnym łóżku, ale we własnej pidżamie.

– No, jak u ciebie? Wyspałaś się? – Ruda przyszła specjalnie, żeby powiedzieć Oldze, że jest pod dobrą opieką, ale żeby, jeśli to nie jest

absolutnie konieczne, unikała na razie luster.

– A coś ze mną nie tak? – Dotknęła głowy w poszukiwaniu bandaża, bo spodziewała się, że może kiedy spała, wycięli jej pół mózgu albo co, ale nie. Nie było bandaża. Były tam tylko włosy. Posklejane i przetłuszczone, ale jej osobiste.

– No taki żarcik – powiedziała Ruda. – Masz strasznie podkrążone oczy. To normalne. Uspokoi się, przejdzie. Okład z ogórka pomoże. Ale nie jest za dobrze. Obrzęk masz. Musisz u mnie zostać kilka dni. Poobserwuję cię. Zrobimy rezonans.

– Co mi grozi?

– Wylew. Jeśli coś przegapimy. Po poważnym urazie głowy wylew może wystąpić nawet do czterech tygodni.

– Co to znaczy?

– No wiesz... można na to umrzeć albo mieć paraliż. Na ogół połowiczny. Jedna ręka ci zostanie, ale możesz nie mówić albo nie słyszeć.

Kosiński przywiózł jej telefon wieczorem. Wiedział, że będzie musiała zostać. No i że to poważna sprawa.

W nocy zadzwoniła do Szymona. Powiedziała mu, że może mieć wylew. Może być sparaliżowana albo nawet umrzeć i że nie histeryzuje, i nie udaje, i nie kłamie, ale chce, żeby przyjechał.

– Chcę z tobą pobyc. Kotlet chcę. Nie mam wielkich pragnień. Film obejrzymy na komputerze i usmażysz kotlety. Tylko tyle. I możesz spać w łóżku mojej córki. I jutro już nie zadzwonię i nie poproszę. Jutro znowu będę się wstydziała prosić.

– Mam hobotę – powiedział. – Zbhodnia w godzinie. Kobieta zabiła męża. Wiem, że to zhibiła. Ale nie ma ciała. Jest poszukiwany. Muszę ją dopaść, hozumiesz?

– Rozumiem. Będę czekała.

– Wiem. Przyjadę. Mięso na kotlety kup. Nie jutho i nie pojutrze, ale

trzymaj hękę na pulsie.

Kosiński odebrał ją tydzień później. W sumie nie było źle. Na tej szpitalnej diecie schudła. Głowa nie bolała już bardzo. Ale oczy były ciągle podkrążone. Sine. Czasami wydawało jej się, że sinożółte.

W sumie to miała zwolnienie jeszcze do piątku, ale komendant zadzwonił i zapytał, czy mogłaby się pofatygować.

– Kiedy?

– Teraz.

– Za godzinę?

– U mnie.

Zwlekła się z łóżka i powędrowała do łazienki. Ogórek nie pomógł. Nie dało się tego zamalować pudrem. Chociaż więc i dzień był pochmurny, i bez śladu słońca, pojechała do fabryki w największych ciemnych okularach, jakie udało się jej znaleźć.

Młodszy inspektor Kazimierz Leśmian był wysokim, łysiejącym, energicznym facetem, słoikiem z Dolnego Śląska. Olga знаła go z Żoliborza, bo tam zaczynał. Może nawet mówiła mu kiedyś per ty, ale nie teraz. Teraz awansował.

– Podkomisarz Olga Suszczyńska. – Nie zdjęła okularów.

– Siadaj, Serbia – powiedział. – Kawy chcesz?

Nie pasował tu, do gabinetu Siwego. To miejsce zawsze będzie należało do jej prawdziwego dowódcy.

– Dziękuję, postoję – powiedziała.

– Siadaj, bo nie zaczniemy.

Nie poruszyła się.

– Siadaj, dziewczyno, przecież dopiero co byłaś w szpitalu. Proszę.

Usiadła.

– Zrobię nam kawy. Dostałem w prezencie od żony taki ekspres. Kapsułki wkładasz i kawa gotowa. Z mlekiem chcesz czy czarną? Czarną. –

Nie dał jej wyboru.

Pili w milczeniu.

– Dlaczego tu jestem? – Znała tę teorię przesłuchań. Pierwszy zaczyna mówić ten, kto ma słabszą psychikę. Wiedziała, ale głowa ciągle ją bolała i chciała już wracać do domu. W dupie miała jego gierki.

– Wiesz, jak mnie nazywają? – zapytał.

– Młodszy inspek...

– Nie pierdol. – Odstawił filiżankę. – Znamy się nie od dzisiaj, pamiętasz? Wiesz, jak mnie tu nazywają? Jak o mnie mówią?

– Chuj z pisu? – zaryzykowała.

– Hahaha – roześmiał się. – Przynajmniej ty masz oficerską odwagę. Bo kogo bym zapytał, wszyscy udają, że nie wiedzą, o co chodzi. I co, mam udawać, że nie słyszę ani tego o chujowej zmianie, ani o tym chuju z pisu?

– Ja nie wiem. Apolityczna jestem. Zbójów łapię. Nie pytam ich, na kogo głosują.

– Ale Siwego lubiłaś.

– Siwego kocham. Kocham go tak, jak się kocha ojca. Takiego ojca, który czasami przychodził pijany i lał w dupę, ale kiedy trzeba było cię uratować, bo starsi chcieli ci zrobić krzywdę, to zawsze był tam, gdzie trzeba, i ratował.

Tamten milczał. W sumie słusznie, pomyślała, co miałyby powiedzieć? Że się postara? Żeby mu zaufać? No mógłby jeszcze powiedzieć, że Siwy obsrał się tą ostatnią sprawą z Izraelczykiem. Lepiej, żeby milczał. Dopiła kawę.

– Czy jestem jeszcze potrzebna? – Odstawiła pustą filiżankę. Teraz pewnie przesunie ją do papierów. Kurwa. Na gaciową ze względu na stan zdrowia. Będzie sortowała mundury albo gniła w archiwum. No to będzie. Skończy się „dobra zmiana”, to Siwy wróci.

– A wiesz, Olga, ja jestem z Lubina. To prawda. Słoik. Ale mój

pradziadek był przed wojną policjantem w tym mieście. Dwunastego maja w dwudziestym szóstym roku był na moście, kiedy Piłsudski rozmawiał z prezydentem. Chyba po właściwej stronie, bo awansował, ale już nie w Warszawie, tylko w Brześciu. Zginął potem prawdopodobnie jak ci w Katyniu. O białoruskiej liście słyszałaś?

Olga milczała.

– Dziadek zginął w powstaniu. Nie wyszedł z kanału. Tyle o nim wiadomo. Wszedł, ale nie wyszedł.

Ojciec go nie za bardzo pamiętał, bo ledwo zdążył się urodzić. Babka po tym wszystkim nie wróciła do miasta. Wtedy się jechało na Ziemię Odzyskane. Do tych trzystu miast, co wróciły do Polski. W aptecce pracowała, najpierw biednie, a potem było lepiej, bo odkryli pod Lubinem złoża miedzi. Wychowała syna na milicjanta. To była peerelowska milicja, wiem, co wszyscy myślicie, ale dla niego była polska. Jedyna Polska, jaką znał, była przecież peerelowska. I ja też służbę pojmuję w ten sposób. Nie PiS-owi ślubujesz, tylko narodowi. Polsce. Polska mojego ojca jest inna niż moja. Ale to ciągle ta sama Polska. Nie wiem, czy to rozumiesz.

– Rozumiem, słyszałam takie opowieści nie raz i nie dwa. Ale nie wiem, po co mi pan to mówi?

Wstał.

– Wolałbym, żebyś tak jak kiedyś mówiła mi na ty, ale rozumiem twoje powody. Rozumiem i szanuję. To ułatwia kilka spraw nam obojgu. Także tak... – Zaczął przechadzać się po pokoju. – Chodzi o to, że będziesz zeznawać przed komisją reprzywatyzacyjną.

– Przed jaką komisją? – nie zrozumiała.

– No cóż... kilka dni temu Sejm przyjął ustawę o powołaniu komisji, która zajmie się sprawą reprzywatyzacji kamienic w Warszawie. Sprawa jest dogadana, PiS-owi zależy, żeby dopaść Hannę Gronkiewicz-Waltz. Innym partiom nie bardzo jest jak się z tego wykręcić, gazety o tym piszą. Nie czytałaś?

– O tym, że będę wezwana?

– Nie. O tym nie. O tym, że trzeba było taką komisję powołać. Będzie o niej głośno, bo wezwą na przesłuchania Gronkiewicz, a ona będzie tego unikać jak ognia. To będzie ważny spektakl polityczny na rok, dwa przynajmniej. Za półtora roku wybory prezydentów miast. No i w Warszawie PiS będzie chciał wygrać. Ale nie tylko PiS. Także PSL będzie chciał wyrwać trochę głosów, żeby wzmocnić pozycję marszałka. No i Nowoczesna, żeby podkreślić swoją odrębność. A Platforma będzie chciała się wybronić. Wszyscy mają jakiś interes w tej komisji. A ciebie wezwą.

– No ale co ja mam do tego? Skąd wiadomo w ogóle, że mnie wezwą?

– Spotykamy się, bo wiem, że cię wezwą. W polityce zdarzają się prowizorki, ale ta sprawa ma swój scenariusz i wiadomo, co się będzie działo i kiedy. Więc mówię, że cię wezwą, bo o tym wiem. Wezwą cię, bo jesteś w to zamieszana.

– Jak jestem zamieszana?! W co? Ja przecież nawet nie jestem z Warszawy. Mam mieszkanie na kredyt, nie mam żadnej kamienicy.

– Wiem, wiem. Pamiętam, Serbia, czemu tak na ciebie mówią.

– Doprawdy?

– Tak, wiem, jak na słoiki mówi nasza gangsterka. Serbia. Baba z Otwocka czy tam ze Skierniewic.

– Może nie baba, co? – Poczwała, że głowa znowu ją boli. Zdjęła okulary, żeby rozetrzeć skronie.

Komendant nalał jej wody z karafki.

Kurde, pomyślała, Siwy nalałby mi jednak wódki.

Leśmian patrzył na nią z troską. Może nie był całkiem chujem. Mizoginem był z pewnością, usłyszała tę „babę z Otwocka”, ale chujem może nie do końca.

– Wiesz. Staniesz przed komisją, oczywiście w telewizji zmienią ci głos

i zasłonią twarz, ale przecież będzie wiadomo, że jesteś z policji.

– Jak to w telewizji? – Poczują, że mogłaby wypić jeszcze z litr tej wody.

– To telewizyjna komisja. Będą transmisje na żywo. Będą mówili, że policja nic nie robiła. Że się nie interesowała. Że zabójcy Jolanty Brzeskiej nie znalazła. Że się nawet nie starała go znaleźć. Będą o tym pisać wszyscy od nowa.

– Nie prowadziłam tej sprawy.

– Wiem. Ale prowadziłaś sprawę Pawliszuka.

– Moja pierwsza samodzielna sprawa. Pamiętam. Nie dokończyłam. Miałam wypadek. Zginęła w nim moja córka. Potem szpital, rehabilitacja, wszystko w firmie musiałam zacząć od nowa.

– No wiem, wiem, twoja sprawa trafiła do szuflady. – Zatrzymał się w pół kroku. – No ale komisja ma plan. W tym planie kilka kamienic interesować ich będzie szczególnie mocno: Hoża 25, Nabelaka, Noakowskiego 16, no i ta na Wilczej 36.

– Nie wiem, gdzie to jest.

– Na Wilczej, tuż obok Marszałkowskiej. Są papiery, z których wynika, że należała przed wojną do jakiegoś Żyda, który sprzedał roszczenia szanowanej warszawskiej firmie adwokackiej.

– No i w czym rzecz?

– Pawliszук miał w tej kamienicy stumetrowe mieszkanie.

– Jak to, przecież pamiętam, mieszkał w domku na działce... Spalił się z wnuczką, z Kasią. Chodziła do jednej klasy z moją córką. Sprawa była oczywista, zasnęli, on w nocy pewnie papierosa palił i od niedopałka domek spłonął. Pokręciłam coś? – Przestraszyła się, że może jednak w głowie rośnie jej ten krwiał i że traci pamięć.

– Nie, nie pokręciłaś. Wody ci jeszcze naleję, dajże tę szklanę.

Podał jej.

– No ale okazuje się, że Pawliszuk tam mieszkał, na Wilczej. Pułkownik Pawliszuk. Esbecki oficer. Sam na stu metrach. Jak mógł tam mieszkać, skoro kamienica należała do kogoś innego? Ciekawe, co? No więc odgrzebiesz tę sprawę, tego młodego, Kosińskiego masz do pomocy. Każ mu przeczytać akta tej Brzeskiej, niech tam się rozejrzy w papierach twojej sprawy, może coś mu się rzuci w oczy. Ty też te papiery sobie przypomnij. Może znajdziecie sposób, żeby to wznowić.

– Ale to stara sprawa jest. Kogo to dzisiaj obchodzi?

– No właśnie wyobraź sobie, że kogoś to obchodzi. Komisja sejmowa cię wezwie, żeby o nią zapytać. Będą po policji jechać jak po łysej kobyle, więc kiedy cię wezwą, chcę, żebyś była gotowa.

KIEDYŚ

Kiedy cię wzywają, jesteś gotowy. W tej robocie nie ma zmiłuj. Nie można mieć bólu głowy. Nie można odkładać na później. Nie można poczuć się zmęczonym. Nie da się wyjść na papierosa. Nie da się przejrzeć Twittera ani Fejsa. Nie można zadzwonić do kolegi. Nie ma sklepiku, w którym możesz kupić sobie pączka albo Snickersa. Nie da się wyjść do toalety. Nie srasz. Po prostu nie srasz, dopóki nie zrobisz tego, co jest do zrobienia. Dotarł na miejsce o czasie plus trzy. Trzy godziny czekania do świtu. Dużo i niedużo. Bywało więcej. Gdyby zerwał się sztorm albo gdyby wydarzyły się jakieś nieprzewidziane okoliczności, te trzy godziny mogłoby się przydać. Trzy godziny, w czasie których nie możesz zasnąć. Nie możesz dać się nikomu zauważyć. Nie możesz niczego przegapić, chociaż to, na co patrzysz, będzie tu przez jeden, jedyny ułamek sekundy. Jeżeli jesteś kierowcą autobusu, masz obowiązkowe postoje. Jeśli prowadzisz samochód osobowy, to co dwie godziny komputer pokładowy sugeruje ci, że powinieneś wypić kawę, odpocząć, bo uwaga staje coraz bardziej obciążona. Ale jeżeli jesteś tutaj, w morzu, to nikogo nie obchodzi, jak się masz. Jesteś maszyną do liczenia fal.

Znał morze. Potrafił wyczuć jego puls. Ułożyć się tak, żeby patrzącemu z brzegu wydawało się, że jest tylko blikiem fali. Taka jest natura słonej wody. To, co ważne, jest zakryte dla oczu. Załoga Titanica nie umiała rozpoznać, jak wielka jest góra lodowa, z którą się zderzą. Kiedy spotykasz wieloryba, widzisz tylko czubek jego nosa. Czasami ogon. Z całego rekina widzisz jedynie płetwę. A kiedy spotykasz kogoś takiego jak Luter, nie

widzisz nic. Tylko cień.

Kiedy on i morze spotkali się po raz pierwszy, bał się.

W Warszawie nie było morza. I nie byli bogaci. Nie mogli wyjechać do Hurghady jak niektórzy chłopacy z jego podwórka. Nigdy nie nurkował jako dziecko. Nawet sobie tego nie wyobrażał. Pierwszy raz pod wodę zszedł dopiero w Akademii. Pierwszy sztorm przeżył jako dziewiętnastolatek i myślał, że to jego ostatni rejs. Że to nie jest dla niego i jeśli tylko będzie potrafił przeżyć i nie wypluje tu ani żołądka, ani serca, to przeniesie się na politechnikę i zacznie projektować domy. Potrafił rysować. Nadałby się. Ale przetrwał. Ten sztorm. I kolejny. A po czterech sztormach wiedział, że można przetrwać na morzu, jeśli je do siebie przekonasz. Jeśli znasz jego język. Język morza nie jest łatwy. Są w nim takie słowa jak pokora, szacunek. No i nawet strach. O tym akurat wiedział od pierwszego razu.

Pojechał z mamą do Dębek. Miał cztery lata. Szli pomiędzy budami z plastikowymi zabawkami, pontonami, dmuchanymi kólkami, lodami i stęchłą, kwaśną wonią starego oleju do smażenia ryb.

A potem skończyły się płytki chodnika i trzeba było brnąć przez piach. Mama pierwsza, bo mama ma długie nogi, a jej stopy nie zapadają się tak łatwo. A on za nią. Trochę idzie, a trochę wisi za rękę, ale dzięki temu daje radę pokonać jakąś tę wydmnę. Ma niebieską koszulkę. Do dzisiaj to pamięta. A mama jest cała w paski. Idą pod górę, a potem już robi się w dół, ale piach ciągle wielki. I słyszy szum, podnosi głowę. I widzi bezmiar.

Bezmiar po prostu.

Nie zna jeszcze tego słowa, ale wie, że kiedyś, kiedy je pozna, będzie pasowało idealnie. I przed tym bezmiarem granatowo-szarym, aż czarnym, czuje strach. Bezmiar jest zbyt wielki, żeby potrafił na niego patrzeć bez lęku.

– Boję się – mówi.

– E tam... – mówi mama i rozkłada koc niedaleko od brzegu. – Coś

poradzimy.

Mama niczego się nie boi. Morze strasznie szumi, ale ona bierze łopatkę i wykopuje dołek tuż koło koca. Dołek nie chce się kopać. Piach spada do środka, ale w końcu z jasnożółtego robi się ciemny, ciężki i już się nie zapada.

Wtedy mama bierze wiaderko i przynosi trochę morza. Wstawia wiaderko do tego wykopanego dołka. Luter, który na razie ma na imię Krzysio, miesza w tym wiaderku łopatką. A potem ręką. Podnosi rękę do ust. I tak się poznają. Od tamtego dnia on zna wodę, a słona woda zna wszystkie jego lęki.

Poczuł wibracje. Sprawdził komunikator. „N.1OTW” – powiedziały litery. I potem „CODE 3”. I jeszcze raz „CODE 3”. Odetchnął. Druid płynął. Jakoś więc się pozbierał. Płynął, ale powoli. Może nie zdążyć. W każdym razie trwająca procedura przewiduje, że Luter musi całą robotę wziąć na siebie. Nie może się pomylić. No nie, nie pomyli się. Tacy jak on się nie mylą. Dzięki temu jesteśmy w NATO kimś. Nie jakimiś idiotami z oślej ławki. Firmą. Gdyby wszyscy byli jak ten działacz ekologiczny, to by nas w NATO nie trzymali w ogóle. Maminsynków nikt nie będzie niańczył w męskim świecie. Wydaje im się, że jak się przykują do drzewa albo jak w masce gazowej protestują przeciwko zmianom klimatu, to zmieniają bieg świata. Naiwniacy. Karmią się tym reklamowym gównem jak kury mączką rybną. Nic nie pojmują. Ciekawe, co z Asią. Ciekawe, czy jest szczęśliwa. Ciekawe, czy jej nie bije. Tacy na pewno biją. Nie, nie biją... To by nie było dzenderowe. Dzenderowe jest znęcanie się psychiczne. Żadnej przemocy, mówią i zmuszają cię, żebyś myślał jak oni. Inaczej jesteś moherem. Tacy są mistrzami w udowadnianiu tym, których kochają, wróć, swoim partnerom, że nie są dość dobrzy, że się nie dość angażują. Zmielą ci serce na popiół, ale nie biją. Brzydzą się. Brzydzą się przemocą fizyczną i surowym mięsem. Ale krzyczeć pod urzędem, że aborcja to wolność jednostki, już się nie brzydzą.

Żałował, że jej nie powiedział o swoim morskim imieniu. I że jej nie mógł powiedzieć, że normalnie to każdy dostaje imię po jakiejś bojowej misji. Na przykład po wyprawie do Szkocji jego kapitan dostał swoje imię – Brejwhart. To było ściśle tajne zadanie. Zresztą jak wszystkie ich zadania. Luter lubił kapitana. Jeden z najlepszych. Mógłby awansować już dawno, ale komandor podporucznik nie skacze ze spadochronem i nie tkwi tygodniami w oceanie, a on został żołnierzem po to, żeby być operatorem wojsk specjalnych, a nie urzędnikiem w sztabie. I to szanowali. Sami też byli w marynarce właśnie z tego powodu. Luter, Druid, Husajn. Wszyscy. A po misji w Libii Husajn dostał swoje imię i od tej pory jest Husajnem, który potrafił wyjąć waleta z talii kart. Zrobił to w prawdziwym boju. A on jest, kurwa, Lutrem przez obrazek z Aniołem Stróżem, który obiecał matce zabierać ze sobą za każdym razem, kiedy wyjeżdża. W zamian matka obiecała nie pytać dokąd. No i nie pytała. Trzeba jej przyznać, że była twarda. Nie pytała, więc brał obrazek. Taki obrazek się nie ukryje przed drużyną. Nic się nie ukryje. Nie próbował. Luter nie jest złe imię. Kiedyś, kiedy będzie już kontradmirałem, co nie wstaje zza biurka, wytatuuje sobie to imię na przedramieniu.

Czas płynął wolno. Zbyt wolno. Ale Luter uczył się cierpliwości. Uczył się, jak utrzymać wysoki poziom adrenaliny, kiedy nic się nie dzieje.

No i lubił takie chwile jak ta. Tę ciszę przed burzą. Moment, kiedy niebo niezauważalnie, ale jednak nie jest już czarne. Jest atramentowe, potem jedna po drugiej gasną gwiazdy na Mlecznej Drodze. To zajmuje im mnóstwo czasu. Potem niebo jest granatowe, a wreszcie powoli staje się niebieskie. Dobra chwila. O wiele lepsza niż ta, kiedy staje się białe. Kiedy niebo staje się białe, człowiek wysycha. Jesteś w wodzie, a jednak wysychasz. To zły czas. Najlepiej być pod takim niebem jak najkrócej. W dodatku jesteś już niedaleko brzegu. A przy brzegu mogą się dziać różne rzeczy. Rybacy, wieśniacy, dzieciaki albo snajper. Morze wokół niego za pół godziny stanie się zielone. To nie pomaga. Lepiej, kiedy morze jest

czarne.

Rozwidniło się już na tyle, że po prawej zaczęły majaczyć instalacje kopalni fosfatów z jej olbrzymim portem przeładunkowym. Szejkowie nie chcieli, żeby ten syf jeździł po ich pustyni. Po lewej niewielki pirs wychodzący w morze. Rodzaj falochronu. Długość, pamiętał o tym doskonale z odprawy, czterysta dwadzieścia metrów. Na końcu może zacumować łódź o zanurzeniu do metra sześćdziesięciu. To całkiem sporo. Wystarczy dla luksusowego, motorowego jachtu. Albo dla niewielkiej, szybkiej łodzi bojowej. Na szczęście nic nie stoi przycumowane do pirsu. To dobrze. Bardzo dobrze. Jeszcze dalej na prawo ciężarówka wyładowane palami larsena. To znaczy, że szejkowie będą tu budować kolejne nabrzeże na środku pustyni. Żeby takie ciężarówka mogły tu przyjechać, trzeba było im zbudować asfaltową szosę.

Ale nie to jest najważniejsze. Najważniejsze są te trzy budynki, które widzi przez lunetę na wprost siebie. Dalmierz wskazuje odległość 972 metrów. Budynki stoją nieco powyżej poziomu plaży, ale podjazd i tak zasypany jest piachem. Gdzieś tam, za wałem monumentalnych wydm, pomarańczowych w promieniach wschodzącego słońca, jest lotnisko polowe używane przez zarządzających kopalnią.

Czasami wykorzystują je samoloty z Bahrajnu. Bahrajn jest niedaleko. Pustynną drogą na południe jedynie 286 kilometrów. Ale Teheran to już 1487 kilometrów. I gdybyś chciał jechać drogą, masz do pokonania dwa razy granicę z Kuwejtem. Nie da się ich przebyć łatwo i niepostrzeżenie. Łatwiej zorganizować przelot samolotem. Na tych pustynnych lotniskach nie ma żadnej obsługi. A jeśli pilot leci tuż nad powierzchnią pustyni, nie zauważą go radary. Tyle że nocą nie da się lecieć tuż nad ziemią, więc to musi być po świcie. Luter oczywiście nie zobaczy samolotu. Ale jeśli informacje wywiadu się potwierdzą, zobaczy chmurę pyłu za samochodem, który przywiezie tu Jaafara Tayara. Z drugiej strony przybędzie Abu Arif.

Trzeba tylko czekać.

Problem w tym, żeby się nie dać wypatrzeć Talibanowi. Człowiek nie rzuci kotwicy, a bez kotwicy fale mogą go znieść za daleko. Trzeba być cały czas w ruchu, ale nie wolno poruszać się tak, żeby ktokolwiek mógł przypuszczać, że w morzu jest cokolwiek innego niż tylko fale.

Ledwo weszło słońce, zrobiło mu się ciepło i poczuł głód. Dobrze, że ma jeszcze dwie tuby żelu. To nie to samo co tatar, ale żel można żreć bez noża i widelca. Znowu pomyślał o Aśce: „Ja przecież nie wiem, czym ty się zajmujesz! Czy to jest miłość?”. A potem jeszcze, że musisz teraz. Musisz teraz podjąć decyzję, przeprowadzasz się do niej czy nie. A ty wiesz, że nie możesz, nie możesz teraz, bo zaraz przyjadą po ciebie i nie możesz teraz myśleć o niczym innym. Więc mówisz: nie teraz, chociaż chcesz powiedzieć: polecę zbawić świat od kogoś bardzo, bardzo złego, a wtedy wrócę i za mnie wyjdiesz. Ale nie wolno ci tego powiedzieć. Wszystko, co możesz powiedzieć to: „Czy ty zawsze musisz znaleźć sobie jakiś problem w najgorszym momencie? Kurwa, dlaczego teraz?”. Nie powinieś być powiedzieć „kurwa”. Ale nie znalazłeś żadnego właściwego słowa. Trzydzieści tysięcy słów i ani jedno nie pasowało, żeby zatrzymać ją, i wiedziałeś, że płacze za drzwiami, a dopóki płacze – czeka. Czeka, żebyś otworzył, żebyś ją przytulił, a ty do Anioła Stróża modlisz się, żeby poszła, żeby, kurwa, poszła już sobie, bo nie może wiedzieć. I Anioł Stróż jak zawsze działa. I prowadzi ją tam, dokąd wcale nie chciałeś, żeby ją prowadził. Będzie szła ulicą i sięgnie po telefon, i zadzwoni do tego łysego, miękkiego, gładkiego jak dupa gościa w wąskich džinsach i okularkach w drewnianej oprawce. I on powie: zaczekaj, zaraz po ciebie przyjadę.

A przecież byliśmy razem na Święta. Kurwa. Kochaliśmy się w Sylwestra jak nigdy wcześniej.

A potem ten nauczyciel... Odczekał chuj swoje. Kurwa. Spokój... spokój. Nie wolno pozwolić, żeby podskoczył puls. Jeśli się zorientują, napędzi im stracha. Takie operacje to kosztowna sprawa. Miał świadomość, ilu ludzi na całym świecie jest w nią zaangażowanych. I że jego miejsce

w tej maszynie to tylko miejsce celownika w olbrzymiej machinerii do zabijania. Druid, jeśli dopłynął, może być gdzieś niedaleko. Ale niedaleko w morzu to sto, dwieście metrów. Nie wypatrzy go. Nie ma sygnału na CODE 1, ale Luter i tak czuje, że Druid jest blisko. Może dopłynął. Może nie dopłynął. Teraz to już lepiej, żeby się nie poruszał. Obiekt, który się porusza, nawet na stromej fali, łatwiej wypatrzeć niż nieruchomy. Nieruchomy cel. Oni nie są idiotami. Nie dali się złapać przez tyle lat, więc nie są idiotami. Nie wiadomo, ilu już próbowało ich podchodzić. Więc spokój. Spokój.

Mama zadbała, żeby potrafił zachowywać spokój. I żeby był dumny z tego, kim jest. Nieważne, co będą mówili. Był w szóstej klasie, kiedy przyszedł do ich szkoły pan fotograf. Zrobił grupowe zdjęcie i portret każdemu. Krzysiek był jedynym dzieckiem, które nie przyniosło tych dwunastu złotych na zdjęcia.

– A ty nie chcesz zdjęcia, Krzysiu? – zapytała przy całej klasie.

– A wie pani, ile można za to kupić parówek?

Nie byli wtedy bogaci. Ale mama wiedziała, kiedy można za darmo iść do Narodowego i popatrzeć na obrazy. Nie możesz ich mieć, ale jeśli się im dobrze przyjrzyysz, są przecież twoje tak samo jak tego, co je namalował. Naprawdę? Naprawdę. W siódmej klasie wiedział, że mężczyzna ma do załatwienia parę spraw. Że nie liczą się imprezy i dyskoteki. Mężczyzna jest odpowiedzialny za utrzymanie rodziny. Taka jest polska kultura. Teraz ta kultura się zmienia, fakt, ale mężczyzna to mężczyzna, a kobieta to kobieta. Natura o tym decyduje. Mężczyzna nie odpuszcza, a dzieci i dziewczyny wiedzą, że mogą na niego liczyć.

Było mu coraz bardziej gorąco. Skafander doskonale chronił przed chłodem, ale teraz nie było mu już komfortowo. Wycisnął żel. Jeden zostawi na czarną godzinę. Przecież muszą jeszcze wrócić. Zjadł i wrócił do obserwacji terenu. Pomyślał o najzimniejszym dniu, jaki przeżył. To było w Akademii, jak poszli w rejs w październiku. Na ORP Iskra każdy dostał

przydział do swojej koi, do środków ratowniczych, do masztu i do rei. On dostał bombramsel foka. Kurwa, ostatnia, najwyższa reja na tym całym okręcie. Strach. No bo idziesz po wantach, po tych sznurowych drabinkach mokrych i słonych. Skórę rozetniesz i można oszaleć z bólu. A tu sztorm. Okręt rozhuśtany do granic szaleństwa. I musisz wyleźć na te trzydzieści metrów. Wtedy jeszcze o tym nie wiedział, ale ze wspinaczką na fokmaszt jest jak z pierwszym skokiem spadochronowym. Musisz coś w sobie pokonać. Buja wzdłuż i w poprzek, okręt chodzi na boki. Więc co chwila wyrywa cię z want, rzuca ciałem w olinowanie. A lifelinę możesz wpiąć dopiero na górze. Więc, kurwa, walczysz. To jest męskie zadanie. I nie wszyscy dają radę. Ci w spodniach rurkach dają radę ryja drzeć na protestach. Charakter trzeba mieć. Jeśli masz charakter, nie podrywasz dziewczyny innego faceta. Za to nawet jeśli jesteś gruby i miękki, robisz pompkę. Dzisiaj jedną, ale kiedyś zrobisz dwieście. Dzisiaj Luter potrafił zrobić sto dwadzieścia. I być niewidzialny. I nawet jeśli myślał o Aśce i tym gnoju, to kiedy tylko zobaczył gdzieś daleko chmurę pyłu, umiał wyłączyć to myślenie w jednej chwili.

TERAZ

Telefon od Kosińskiego obudził ją w jednej chwili. Tak już jest na służbie. Jeden sygnał i adrenalina do samego spodu.

– Kurwa, młody, przecież jest sobota, a ja mam zwolnienie do poniedziałku.

– Oj nieważne, czytałaś?

– Co czytałam?

– „Wyborcza” napisała, że mają zwolnić Komendanta Głównego.

– Szymczaka? Żartujesz, przecież dopiero co go powołali...

– No z rok już minął, ale teraz mają go odwołać, bo ma nastać Kołnierowicz, szef policji z Białegostoku.

– Piszą, kto to taki?

– Jakiś kolega tego chuja Zielińskiego.

– No i co z tego?

– No nie wiem, myślałem, że cię to zaciekawi.

– Spałabym jeszcze, a ty mi, kurwa, z jakimiś gazetami wyjeżdżasz! Ty nie masz co robić? Nie miałaś przeczytać akt tej Brzeskiej? Nie wydali ci? Miałaś wziąć. I mógłbyś mi przejrzeć, co o niej pisali w gazetach...

– Wziąłem się za to, wziąłem przecież, ale jakoś mi się zdaje, że by było szkoda komendanta, gdyby zwolnili. Co nie?

Nie miała ochoty o tym rozmawiać. Skoro już i tak nie spała, mogłaby poleżeć w wannie, słuchać Archive, a potem, skoro bieganie nie wchodziło dzisiaj w grę, bo wciąż bolała ją głowa, to mogłaby chociaż pochodzić nad

wodą. Iść aż nad kanałek, wypić piwo u Araba. Jeść szarlotkę. Popatrzeć na te znane osobistości, które siadywały tam nad kawą i czasem nad piwem jak gdyby nigdy nic. Martyna Wojciechowska była z każdym na ty, a Grzegorz Miecugow nie musiał niczego zamawiać, bo i tak wiedzieli, co weźmie.

Ale kiedy już wyszła z domu, pomyślała, że skręci do parku przy Teatrze Komedia, tym dziwnym budynku, kompletnie niepasującym do całego Żoliborza. Odnalazłby się może gdzieś na Krakowskim Przedmieściu, ale tutaj, pośród dwudziestowiecznej architektury, ten stylizowany na klasycystyczny, stanisławowski budynek teatru kłócił jej się z całym światem swoją bielą i attykami. I tą kopułą jak z obrazów Canaletta. Było chłodno i jednak szaro, choć przecież zapowiadali przejaśnienia. Kłęb chmur szary jak smutek lepił się do łysych gałęzi. Wrony nastroszone. Sikory śmigają wokół karmnika. Ale od samego apetytu karmnik nie chciał się wypełnić. Wiało. Ludzie poprawiali płaszcze, ale psy były zadowolone. Psy zawsze są zadowolone, kiedy mogą biegać po błocie. Psy nie chorują na meteopatię. Przeszła przez Słowackiego i skręciła w kierunku Marymontu. Znała tę drogę. Nie żeby Żoliborz nie miał już przed nią tajemnic. W muzeum Popiełuszki nie była nigdy. I nie ciągnie jej. Pamiątek z miejsca zbrodni naoglądała się w robocie. Ale kilka miejsc zdążyła poznać. I wiedziała już, że każdy budynek jest tu jak strona z podręcznika historii tego miasta. W domu, który właśnie mijała, na pierwszym piętrze mieszkał porucznik Pietraszewicz, dowódca zamachu na Kutcherę. Zmarł od ran w tej akcji. Miał 21 lat. Wystarczyło, żeby zdobyć Virtuti Militari, Krzyż Walecznych i tę tablicę pod własnym oknem, które należy już teraz do kogoś zupełnie innego. Minęła skwerek, na którym prezydent Komorowski zasadził kiedyś drzewko pokoju, a dalej był już budynek z czerwonej cegły. W stanie wojennym była to Wyższa Oficerska Szkoła Pożarnicza. Studenci zastrajkowali i żyła tym wówczas cała Polska. Spacyfikowały ich oddziały antyterrorystyczne, ZOMO i milicja. Przed drzwiami wisi teraz tablica z informacją, że wśród strajkujących był wtedy

ksiądz Popiełuszko. Blisko miał. Jak tam szedł, to musiał przechodzić pod oknami Olgi. W czasie strajku śpiewał ze strażakami. Dwie zwrotki tej pieśni wyryte są na tablicy: „Nigdy z królami nie będziem w aliansach, Nigdy przed mocą nie ugniemy szyi”¹... Przeszła przez placyk Jacka Kuronia. Kuroń mieszkał co prawda dwa przystanki stąd, ale nazwa tamtego placu, placu Wilsona, była już przecież zajęta. Skręciła w Gdańską. Minęła dom, w którym mieszkał Marian Rejewski, matematyk, jeden z tych, co rozszyfrowali Enigmę, i po przejściu dwustu metrów była na Marymoncie. Kościół w dawnym dworze królowej Marysienki otwarty. Jest jakaś msza, więc zatrzymała się w kruchcie. Gdyby to nie był dwudziesty pierwszy wiek, właściwie nie mogłaby wejść dalej. Rozwodnicy nie mogli się zbliżyć do prezbiterium. Nie przeszkadzało jej to. Nie miała ochoty iść dalej niż tutaj. Nad głową miała tablicę księdza Trószyńskiego. Był kapelanem Żywiciela. Żołnierzem powstania. Pseudonim Alkazar. Na tablicy napisali mu: „wcielenie ideału ubóstwa”. Obok skromna tablica. Jan Ejbich. Stanisław Ejbich. Ojciec i syn. Poszli walczyć. Trafili do Oświęcimia. Nie mają grobu na Marymoncie. Nie mają nigdzie. I jeszcze jedno epitafium: Hanna Lehman. Tekla. Łączniczka. Zginęła w Oświęcimiu.

Ksiądz właśnie szykował się do podniesienia, kiedy jej telefon zaterkotał, więc wyszła.

– No jak tam, Szymon? – ucieszyła się.

– Dobrze, mam dużo hoboty, ale ogahnę i przyjadę na kilka dni, jeśli mnie przygahniesz.

– Jeśli nie będziesz się do mnie dobierał, to przygarnę.

– To po co mam przyjeżdżać?

– Kotlety miałeś robić, nie pamiętasz?

– Co te haz hobisz?

Opowiedziała mu. O chłopaku, co miał *Virtuti Militari*, o Rejewskim, Kuroniu i tych, z którymi Popiełuszko śpiewał *Pieśń Konfederatów*. O Kościele.

– Ale stało się coś? – zapytał.

– Nie, po prostu na spacer poszłam. To takie miasto jest, wiesz? W każdym budynku łyzy, co nie dają o sobie zapomnieć.

– A tehas? Co tehas widzisz? Opowiesz mi?

– A ty co? Nie masz co robić?

– A ja leżę, wiesz? Kiedy z tobą rozmawiam, leżę na łóżku. I nic nie hobię. Nic innego. Tylko słucham. Cały jestem słuchaniem.

– Nie przeglądasz Fejsa?

– Nie.

– I nie masz wyciszonego telewizora?

– Nie.

– I nie dotykasz jakiejś obcej dziewczyny, którą ocaliłeś właśnie z katastrofy?

– Nie.

– No to ci opowiem. Jestem na Gdańskiej. Idę obok zakładu wulkanizacyjnego, gdzie zawsze zmieniam opony. To jakiś rodzinny zakład. Pracuje tam dwójka starszych państwa i ich syn, jak myślę. Zawsze narzekają, że to moje auto takie już zaniedbane, że trzeba byłoby nowe kupić albo im na dłużej zostawić, to przejrzą wszystko. I hamulce, i zawieszenie. Bo to miasto, mówią, pani, to nie jest na takie delikatne zawieszenia. Tu ludzie muszą mieć twarde serca, a samochody muszą mieć twarde dupy. No a po lewej ręce mam tablicę. O... nigdy nie zwracałam uwagi. Bo ja tu zawsze samochodem. Za szybko mijają te wszystkie tablice. Człowiek ciągle w biegu. Nawet jak idzie, to biegnie.

Zamilkła.

– Olga?

– Jestem. Wiesz, tu piszą, że na podwórzu tego domu 15 września 1944 hitlerowcy rozstrzelali stu mieszkańców, bestialsko mordując dzieci.

Zamilkła znowu.

– Wszystko w porządku?

– Tak. Tylko wiesz, tutaj mieszkam. Idę i pociągam nosem. Bo w mojej dzielnicy się, kurwa, nie płacze.

– Wszystko dobrze?

– Tak, tylko mogłam jednak nad kanałek iść. Wrócę do domu i okna umyję.

– Zasmuciłaś się?

– Zasmuciłam. Wiesz, jakoś pomyślałem o Ance. Że jej nie opowiem, jak tu jest. Ani o żołnierzach, ani o strażakach jej nie zdążyłam opowiedzieć. Ani do teatru nie poszliśmy razem, chociaż chciała. Tylko tę czytelnikę zdążyła poznać w Teatrze Komedia. Za granicą nie była nigdy. Nie wiedziała, kto to jest Jacek Kuroń. Nie obejrzała *Gwiezdnych wojen*. Co ona wiedziała o świecie? Tylko królika miała i do ZOO chodziłyśmy. Nad morzem była, ale krótko i zimno było i się może z raz kąpała, nie więcej. A we Wrocławiu nie była nigdy. I nie całowała się z chłopakami. No i teraz się, kurwa, rozpłaczę, wiesz?

– Wiem – powiedział. – Ale tylko na chwilę przecież. Przecież dziewczyny z twojego miasta nie płaczą na zawsze. Sama powiedziałaś.

– Gówno tam – odparła. I miała już dodać, że powinien tu być. Ale przecież był. Nie rozłączył się. Słyszała ciszę po drugiej stronie świata i ta cisza nie była pikaniem przerwane połączenia. Była sygnałem trwania.

– Present perfect. – Pociągnęła nosem.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Czas przeszły trwający. – Przełknęła ślinę. – A ty co będziesz teraz robił?

– Do matki pojedę na obiad.

– Powiesz mi, jaki kupił kwiat?

– Powiem ci.

– Wiesz, rozłączę się teraz. Muszę wrócić i umyć okna.

– Nie myj. Do kina idź. Kino dobrze hobi na sehce.

Szła potem szybszym krokiem, bo zrobiło się jej nagle chłodniej. Ciekawe, czy ojciec Szymona już przyniósł ten kwiat. Pewnie kiedyś byłoby go stać na cały bukiet. Ale teraz odebrali esbekom emerytury. Może dlatego kupuje kwiaty na sztuki? Kiedyś ludzie na sztuki kupowali papierosy. Podobno w niektórych krajach ciągle tak jest. Ciekawe, czy i nam kiedyś odbiorą emerytury. Nie, nie miała złudzeń co do esbeków i złych rzeczy, do jakich niektórzy z nich byli zdolni. Ale przecież wolna Polska w 1990 roku oceniła, kto może zostać w UOP i w Policji, a kto musi odejść. Były dwie grupy wyrzucanych. Ci nieposiadający kwalifikacji do służby w organach demokratycznego państwa z powodów moralnych albo ci nieposiadający ich z innych powodów. Pozostali mogli służyć dalej wolnej ojczyźnie.

„– Czy jest pan gotów stać na straży porządku prawnego odnowionej, demokratycznej Rzeczpospolitej Polskiej?

– Bezapelacyjnie, do samego końca... mojego lub jej...”.

Uśmiechnęła się do myśli o Franzu Maurerze. *Psy* to najślawniejszy film tamtej dekady. Uczynił z esbeków bohaterów. Nie miała złudzeń. Byli między nimi źli ludzie. Ale skoro odnowiona, demokratyczna dała im szansę w 1990, to dlaczego teraz pozbawiała ich godności i poczucia bezpieczeństwa? Może o to chodziło? Może Macierewicze bali się w 1990 spuścić z łańcucha potwora i woleli go mieć i oszukiwać. Poczekać, aż się zestarzeje. Aż go będą bolały nogi i kręgosłup. Aż będzie potrzebował leków na artretyzm i na nowotwory. I wtedy im pokażą. Starym ludziom. Ciekawe, czy nam to kiedyś zrobią. Czy nie powiedzą: nie szliście w Czarnym Marszu, nie nieśliście transparentów w obronie Konstytucji. Albo, jeśli zwyciężą ci drudzy, nie powiedzą: nie pałowaliście tych bab z KOD-u. Na komisję mnie wezwą. Na jakąś cholerną komisję. A co ja im powiem? Że nie pamiętam? Naprawdę nie pamiętam.

Pamięta tylko ten ostatni moment. Są z Anką w samochodzie.

Samochód obraca się na asfalcie do góry nogami. Obie wiszą w pasach. Do góry nogami. Szyba rozbita, powietrze nieruchome, nie ma w jej pamięci ani tej ulewy, ani wichury, która przecież jeszcze chwilę temu szalała dookoła. Potem Olga widzi, że asfalt ciągle jest mokry. Widzi czerwone światła. Wysoko, wysoko. A potem czuje, że się obracają razem z samochodem, czerwone światła znikają, tamten samochód odjeżdża, potem jest chwila ciemności. Mamo! – krzyczy Anka, a wtedy rozżarzone do białości lampy ciężarówki rozpędzonej jak ekspres pożerają wszystko. Ankę, ją, cały wszechświat i Olga dusi się w zmiażdżonej kabinie. Wszystko wiruje jak na karuzeli. Od dziecka bała się karuzeli. Nigdy nie zapomniała tego strachu, kiedy drzewa, niebo, dalekie domy i kolorowe budy cyrkowych artystów rozmyły się w jedną niebiesko-żółtą masę. Pamięta jeszcze pokrwawione ciało Anki. Jej otwarte oczy. Mamo! Ciągle jeszcze słyszy to wołanie. Słyszy, ale usta dziewczynki się już nie poruszają. I Olga rozumie, że to ona sama tak krzyczy.

Wieczorem głowa bolała ją jakoś mniej. Było tylko pięć stopni, ale przynajmniej nie padało. Pokazało się nawet trochę słońca. Poszła do kina Wisła na *Sztukę kochania*. Oglądała film i nie wierzyła własnym oczom, bo widziała znajome półki, znajome książki, okno i znajomy stół. Kręcili ten film w mieszkaniu jej znajomego, rzeźbiarza ze Starówki, Zbyszka Maleszewskiego.

Patrzyła na stół, na książki, na te wszystkie jego rzeczy upchnięte, spiętrzone... Maleszewski był jedynym facetem oprócz jej taty, któremu pozwalała mówić do siebie „Olu”, i pierwszym człowiekiem, któremu przyznała się sama, z własnej nieprzymuszonej woli, że już nie jest matką. Że jest w środku całkiem pusta. Oczywiście przed Zbyszkiem wiedzieli inni. Ale się nie liczyli. Nie liczyli się lekarze ani jej matka, ani były mąż, wtedy jeszcze nie były, ale praktycznie już przecież były. Nie liczyli się koledzy z policji ani nawet Siwy. Oni wszyscy wiedzieli niezależnie od tego, czy Olga tego chciała, czy nie. Wiedzieli, zanim odzyskała

przytomność.

Ale nie wiedzieli, że Anka nie odchodziła. Nikt nie wiedział, że nocami, kiedy Olga budziła się nagle przez ten pieprzony cewnik i nie umiała potem zasnąć, to widziała dziewczynkę w za dużych rajtuzach z królikiem w ramionach. Siedziała przy łóżku i patrzyła. Nic nie mówiła, nie płakała. Miała wielkie, zdziwione oczy. Wychudła w tym niebie, zsiniała. Może słabo tam karmią? A może przez to szpitalne światło wydawała się taka sina? Może tak naprawdę była cała niebieska? Przecież powinna być niebieska.

– Mamo – chciała usłyszeć Olga. Chciała to usłyszeć z całych sił. Ale Anka tylko kręciła głową. Nie umiała odejść.

Kiedyś szły z Anką na rynek od przystanku przy Wisłostradzie. Było piękne słońce, przeszły przez sad owocowy i usłyszały stukanie stali o kamień. Stary człowiek rozłupywał dłutem i młotem kawał skały.

– Co pan lobi? – zapytała Anka.

– Strugam ptaka z kamienia – odpowiedział. – Chcesz, to pokażę ci moje koty.

Wpadała tam czasami. Kupowała wino i szła posiedzieć w ogrodzie. Posłuchać opowieści o tym, jak się z kamienia rodzi wieczność. Tak mówił.

Kiedy zabrakło już Anki i wyszła ze szpitala, chodziła byle gdzie, żeby popatrzeć na ludzi. Ani pijana, ani trzeźwa. Ani żywa, ani umarła. W robocie przekładała papiery z kupki na kupkę. Nie pozwalali jej brać się za nic istotnego. Czytała akta do późna w nocy. Aż zostawali tylko dyżurni. Prewencja. Nocna zmiana. A ona wciąż pod tą lampką. Podnosiła wzrok i widziała tuż za tą żółtą poświatą córkę. Same rajtuzy. Nie dawali tam buczków w lepszym świecie? Gdyby miała dość odwagi, wystarczyło wyciągnąć rękę, ale Olga bała się, że kiedy tak uczyni, dziewczynka zniknie. Więc tylko pytała szeptem, czy pozwalali jej jechać do innych krajów. Albo się całować z chłopakami. Anka milczała.

Olga wybiegła pewnej nocy z pałacu. Było już chłodno, może nawet

zbierało się na deszcz. Nie pamięta. Ale kiedy stanęła przed tym wyrzeźbionym ptakiem, pomyślała, że nawet kamień płacze, taki mokry. A ona nie potrafi. I już nigdy nie będzie umiała płakać. Myślała, że taka właśnie jest cena. Nie zapominasz. Czas nie leczy z takich spraw. Po prostu twardniejesz w tych miejscach, które są potrzebne, żeby przytulać. Zwyczajnie, niczego już odtąd nie pragniesz.

Nie wiadomo, jak to się stało, że rzeźbiarz wyszedł z domu. Po co by wychodził nocą na deszcz? Jakby czuł, że na niego czeka, ale że nie zadzwoni, nie zapuka. Już prędzej zamarznie, jeśli przyjdzie teraz nagle zima.

– Chodź, dam ci herbaty z prądem – powiedział po prostu. Przytulił ją, a ona nie zaprotestowała. Nauczyła się nie odpychać ręki.

Tego dnia przyznała mu się, że nie ma już dziecka. Objął ją wtedy ramieniem. Nie powiedział ani słowa, pozwolił, żeby płakała. Więc płakała, aż koty zaczęły ocierać się o jej nogi. Nie wiedziała, czy to te same koty co przed laty, chciała zapytać, ale płakała tak bardzo, że przecież nie mogła nagle przestać.

Od tamtego czasu Anka już nigdy jej się nie pokazała.

KIEDYŚ

Od długiego czasu żadna literka nie pokazała się na komunikatorze. Wyprostował grzbiet i położył się na fali. To jest właśnie istota rozmowy z morzem. Balans. Ten zadziwiający stan równowagi pomiędzy grawitacją i wypornością. Jeśli potrafisz go odszukać, morze stanie po twojej stronie. Najpierw będzie próbowało cię z siebie zrzucić. Oszukać. Zdeptać. Jak koń, zanim nauczy się szanować jeźdźca. Jego też na początku próbowało ograć, a może po prostu sprawdzić? Byli wówczas w morzu tak długo, żeby dotrzeć do granic wytrzymałości. Dla niektórych z nich oznaczało to, że muszą te granice przekroczyć. Nie mieli na sobie tych ultranowoczesnych skafandrów, które w zależności od potrzeby pozwalają płynąć albo zanurkować. Mieli zwykłe treningowe ubrania. Kiedy nie miał już siły płynąć, oderwał nogawkę od spodni, nadmuchał ją, zacisnął węzeł i położył sobie pod głowę. To wystarczyło, żeby znaleźć równowagę.

Poczuł wibracje.

„B.READY”.

Wysłał sygnał potwierdzenia i uruchomił kamery. Tę w lunecie i tę, którą miał na opasce na głowie. Gdzieś w Pentagonie albo może tylko w którejś bazie w Kuwejcie na wielkich ekranach wyświetlił się obraz wybrzeża.

Ciekawe, czy widzą też obraz Druida, pomyślał. Nie mógł zapytać. Przyjdzie na to pora, ale teraz musiał skupić się na zadaniu. Fale były coraz wyższe. Nieznacznie, ale jeśli umiesz je przeczytać, będziesz wiedział, że

coś się zmienia. Teraz, kiedy powietrze nad pustynią nagrzewało się coraz bardziej, zaczął wiać wiatr od lądu. To nie było po jego myśli. Lepiej być na dziewięćset metrach niż na tysiącu stu.

Elektronicznie spreparowany obraz z lunety na taką odległość nie dawał stuprocentowej pewności. Może za pięć, dziesięć, piętnaście lat będzie inaczej. Nadejdą czasy sztucznej inteligencji i takie zadania będą wykonywać automaty. Będą się skradać po ziemi, w wodzie i w powietrzu, będą bezszelestnie docierać w miejsce, czekać godzinami bez znużenia. A kiedy przyjdzie odpowiedni moment, będą kąsać bez litości. Kiedyś wojna była inna. Trójmasztowce uderzały o siebie burtami, a żeglarze przeskakiwali z pokładu na pokład, żeby dokonać abordażu. Potem kolosalne pancerniki strzelały do siebie z największych dział jakie można sobie było wyobrazić. W Wietnamie dywanowe naloty ruszały tylko po to, żeby zlikwidować jeden, konkretny cel. Dzisiaj wojna z Talibanem czy z piratami z Rogu Afryki albo z ludźmi od human traffic jest zupełnie inna. Cicha. Po jednej stronie supertechnologia i bezwzględność bandytów, bo oni przecież mogą sobie kupić taką broń i wyposażenie, jakie tylko zechcą. Z drugiej – wiedza operacyjna zwiadowców krępowana kagańcem regulaminów i zasadami prawa międzynarodowego. Dlatego dzisiaj na wojnę nie posyła się już ani pancernych zagonów ani nawet dywizjonu bombowców, ale ich dwóch: Druida i Lutra. Dziś większy efekt przyniosą wyspecjalizowane zadaniowe grupy. Zamiast dywanowego nalotu jeden samolot z rakieta i dwóch operatorów naprowadzania. Trafić w okno budynku, który widzi te 956 metrów przed sobą, jest banalnie łatwo. Operator potrzebny jest, kiedy trzeba wykryć i wskazać cel, który jest w ruchu. Jeśli wywiad miał rację i jeśli obaj terroryści poszukiwani od lat wielkim nakładem środków mają się tu dzisiaj spotkać, to będzie dobry dzień dla świata.

Jaafar Tayar. Specjalista od broni chemicznej, terrorysta odpowiedzialny za zamachy z 2009 roku, spotyka Abu Arifa, dowódcę

Bojowników Allacha, człowieka, który lubi odcinać głowy chrześcijanom z Syrii i Kurdystanu.

Wyostrzył, niepewny już, czy naprawdę widział ten pył ponad krawędzią wydm, czy to tylko złudzenie. Może stado ptaków? Nie, no jakich ptaków? Morskie ptaki potrafiłyby rozpoznać. Zresztą nie było powodów, żeby poszukiwały czegoś w głębi lądu, chyba że istniało tam jakieś wysypisko. Zdjęcia satelitarne tego nie potwierdzały. Ale kopalnia zatrudniała sporo ludzi, mogli wyrzucić gdzieś na wydmach truchło jakiejś krowy. Zawsze to taniej przywieźć rzeźnika i kilka sztuk bydła niż transportować mrożone półtusze przez całą pustynię.

Wiosłował delikatnie lewą ręką i nogami, żeby nie pozwolić płynom odepchnąć go z pozycji, z jakiej straci z oczu podjazd i wejście do budynku mieszkalnego. Jeszcze z pięćdziesiąt metrów i wszystko zniknęłoby za pirsem. Ciekawe, czy Druid dopłynął. Jaką ma pozycję? Ciekawe, kiedy będzie można się wreszcie napić wody... Żel pomagał ugasić pragnienie, ale nie na długo. A teraz, kiedy zrobiło się już naprawdę gorąco, pragnienie stawało się nieznosne.

Miał na plecach 250 mililitrów wody w worku, ale nie mógł po nią sięgnąć, dopóki nie wykona zadania.

Jest. Na przełamaniu wydm zobaczył błysk. Słońce odbiło się na moment w szybie samochodu. Odnalazł go i wyostrzył. Toyota Land Cruiser. Biała, sfatygowana, taka jaką poruszają się po pustyni wszyscy pracownicy zagranicznych korporacji, urzędnicy i nawet działacze Czerwonego Krzyża. Kierowca znał swój fach i zupełnie się nie pierniczył. Wystarczyła mu minuta, żeby samochód zniknął na przeciwstoku, ale wkrótce pokonał kolejną wydnię i zjechał na nadbrzeżną drogę dla ciężarówek. Luter miał złudzenie, że słyszy jazgot silnika i pisk opon, kiedy te dotknęły wreszcie asfaltu.

Wibracje. Przełożył lunetę do prawej ręki.

„O.S.?” – zapytały litery.

– Widzę, no jasne, że widzę – mruknął. Musiał oderwać wzrok od samochodu, żeby wcisnąć sygnał potwierdzenia. Zdenerwował się. To nie było profesjonalne. Kto tam, kurwa, siedzi za tą konsolą? Pewnie jakiś rekrut z poboru. Może obraz, który mają z kamery, nie jest najlepszej jakości? Ale skoro operator jest na miejscu, to znaczy, że widzi to, co ma zobaczyć.

Toyota zatrzymała się przed budynkiem.

Kurz opadał. Nic się nie działo. To tylko pozory. Z okien na piętrze bystre oczy snajpera z pewnością przeczesywały teren. Taliban nie jest głupi. O nie. I mają świetnie wyszkolonych ludzi, bo takich ludzi też można dzisiaj kupić. Minęła minuta. Toyota stała nieporuszona. Drzwi się nie otwierały. Kurz opadł. Coś było nie tak... Nie chciał spuszczać wzroku z samochodu, ale korciło go, żeby zobaczyć, co się dzieje dookoła. Może się zorientowali? Przechwycili sygnał komunikatora? Może wypatrzył go obserwator? Może zobaczył odbicie światła w obiektywie lunety? Nie, przecież słońce było za plecami. Czekał. Dopóki auto nie ruszy, trzeba czekać. Nagle dostrzegł lekki błysk, lśnienie na dachu najwyższego budynku. Zrozumiał. Z okna oderwał się niewielki, biały przedmiot i poleciał prosto w kierunku morza, kilka stopni w prawo od jego pozycji.

Dron. Chuje mieli drona. Ciekawe, jaki ma zasięg. Pewnie kilometr ma. Luter rozpląszczył się na fali jeszcze bardziej. Najbardziej, jak mógł. Jego atutem było słońce. Pod słońce w tej kamerce z drona nie będą widzieli za wiele, jeżeli się nie poruszy. Odruch, żeby patrzeć, dokąd leci maszyna, był bardzo silny, ale przecież te brodate cwele nie są głupie. Nie mogą wiedzieć, czy ktoś ich obserwuje. Skąd niby mieliby to wiedzieć? Oni wysłali flarę. Podpuchę... Drzwi toyoty otworzyły się i wysiadł z niej wysoki, ubrany w dżalabiję gość w ciemnych okularach. Podszedł do drzwi, a z nich wyszedł otyły starszy mężczyzna w okularach. Luter przyjrzał mu się uważnie. Tak... to był Jaafar. Na siedemdziesiąt pięć procent to on. Stał w cieniu, ale wyglądał jak na zdjęciu. Tylko skąd się wziął, skoro miał

przyjechać dopiero rano? Może przywieźli go w nocy? Na pewno w nocy, nie może być inaczej. Jego samochód musi być ukryty gdzieś poza domem. Na dziewięćdziesiąt procent to Jaafar. Wysoki podszedł do niego i ujął wyciągniętą dłoń w obie swoje ręce, po czym pochylił głowę i pocałował. To nie był Abu Arif. Arif nie ma prawej dłoni. Nie mógłby się tak zachować.

Wibracje.

„?” – zapytały litery.

– Negative – zdecydował obserwator. – Nie strzelamy.

Nie jest łatwo podjąć decyzję, czy rozpierdolić w drobny mak bandytę, za którego głowę wyznaczono pięć milionów dolarów nagrody, czy czekać, aż pojawi się ten drugi. Najlepiej byłoby ich ustrzelić teraz, kiedy gadają przed domem, bo nie ma pewności, czy w środku nie ma przypadkiem jakiegoś bunkra. Przy okazji budowy kopalni Taliban mógł przecież wybudować sobie specjalne umocnienia, a rakietę Hellfire wystrzelona z Predatora trafia doskonale po wiązce naprowadzającej, ale jeśli budynek jest opancerzony, to potrzebna byłaby głowica 114M. A, nie D... Kurwa. No tak, ale zdecydował. Czekamy. Trzeba ufać przeczuciom.

Facet w dżalabii sięgnął po radiostację i powiedział kilka słów, żywo przy tym gestykułując i kiwając głową. Luter spojrzał dookoła w poszukiwaniu drona. Nie było widać tego dziada, może miał go gdzieś za plecami? Wątpliwe, zwyczajne drony nie są zbyt sprawne na dużą odległość. Kusilo go, żeby się rozejrzeć za maszyną, ale w tym samym momencie na wydmach zobaczył znowu krótkie, ostre lśnienie słońca odbitego w jakiejś szklanej powierzchni. Wyostrzył. Ku morzu zjeżdżała druga toyota. Identyczna. Ale na dachu miała wiązkę anten. A więc jeśli kierownik Talibanu przyjechał, to siedzi w tym drugim pojeździe – pomyślał. Predator był wysoko. Rakietę potrzebowaliby trzech minut, żeby tu dotrzeć. Jeśli wysła sygnał w tej chwili, to akurat dość czasu, żeby samochód dotarł na miejsce. Wtedy oznaczy cel i po zawodach. Ale jeśli to

nie jest Abu Arif, tylko jakieś dziwki? Może nawet dziewczyny z Polski? Podobno obciągnąć grubemu bandycie z Arabii to dobry interes dla najlepszych modelek. Zdrętwiał od tego bezruchu. Ale przynajmniej zapomniał o pragnieniu. Jeszcze półtorej minuty. Toyota wspinała się już na podjazd. Wolno, wolniej niż pierwsze auto. Nie chcieli pewnie zakurzyć stojących w drzwiach mężczyzn.

Otworzyły się drzwi pasażera i wysiadł z nich uzbrojony mężczyzna w kamizelce kuloodpornej. Miał w łapie krótki automat, na głowie bandanę. Biały. Najemnik. Otworzył drzwi pasażera i na chwilę zasłonił obraz, ale sekundę później Luter zobaczył Arifa. Wysunął rękę z wody i wysłał sygnał „Positive” – zanim literki o cokolwiek go zapytały.

Aniele Boży, strózu mój, spraw, żeby te krwawe chuje, mordercy kobiet i dzieci, miały ochotę na modlitwę, na papierosa, na to, żeby się poklepać po plecach.

Abu Arif przywitał się Jaafarem. Rozmawiają, poklepują się po plecach. Gość w kamizelce kuloodpornej idzie za węgiel budynku i szcza przodem do morza. Tamci kręcą głowami z zadowoleniem. Pewnie sobie opowiadają jakieś dowcipy o Żydach.

Aniele Boży, strózu mój, niech zapalą papierosy.

Hahahaha – słyszy w głowie Luter. Arif trzyma się za brzuch. A może to nie dowcip? Może sobie opowiadają, jak gwałcili dziewczynki Jazydów? Przecież i tak miały zaraz umrzeć. A ten chuj, nowy facet Asi, chce ich wszystkich zaprosić do Polski. Proszę bardzo, przyjeżdżajcie, wszystkie dzieci są nasze. Kurwa jego mać, Aniele Boży, Ojciec nasz, gdzie ta pierdolona rakietka? Arif pyta o coś. Jaafar kręci głową jak Hindus. Nie wiadomo, czy tak, czy nie. Śmieją się, ale nie wyciągają papierosów. Ten w kamizelce kończy szczać. Ci trzej znikają we drzwiach. Ten w kamizelce opiera się o próg. Wyciąga fajki. Nie ma innej rady. Luter wysła wiązki prosto na niego i minutę później Hellfire robi z całej posiadłości jebany tatar. Kłęb dymu jest oleisty i czarny. Jeśli nie wylecieli w powietrze, to

może zdechną od ran, może się poduszą, myśli Luter, ale wolałby, żeby zdychali powoli, żeby ich ciała płonęły jak na stosie. Żeby wiedzieli, że nie uciekną, żeby ich bolało tak, jak bolały serca matek, którym kazali patrzeć, jak odcinają głowy ich córkom i synom.

Piętnaście sekund później druga rakietą rozpięrdala to, co zostało z budynku w drobny mak.

No i pozamiatane – myśli Luter.

Ale nie wie, czy nie mieli wewnątrz bunkra. I czy tam gdzieś nie siedzą jak szczury.

Wibracje.

„Confirmed?” – pytają literki.

Gównno tam wiem!

„Negative” – wysyła. Patrzy jeszcze raz przez lunetę i widzi, jak z terenu kopalni ruszają samochody. Wyciąga ramiona i zaczyna płynąć do brzegu. Płynie pod wiatr, ale i tak przyspiesza.

TERAZ

Pewnie będzie pod wiatr. Ale i tak to zrobi. Pobiegnie. Niedziela to dobry dzień, idealny dzień, żeby pobiegać. Miała głębokie przekonanie, że właśnie tak zrobi. Wciągnie na siebie spodnie do biegania, założy buty, po praniu czyściutkie jak nowe, choć podeszwy wytarte, a od strony pięty w środku już się poprzecierały. Stała przed lustrem. Nie było tak źle. Blizny na przegubach i na kostkach wciąż miały ten sinoczerwony odcień, ale blizny dodają charakteru dziewczynom, które o wszystko muszą walczyć, i nie będzie ich zakrywać latem na żadnej plaży. Co ty gadasz, dziewczyno, na jakiej plaży? Byłaś kiedyś na jakiejś plaży? Poza tą nad Świdrem? Stała bokiem. Brzuch nie był jakiś szczególnie wielki. Ale nie będzie jadła w robocie żadnych czekoladek ani nie będzie jadła już żadnych pączków. To powinno wystarczyć. Ale pupa była ładna. Już nie taka smutna jak przez ostatnie kilka lat. To pewnie z miłości. Z miłości facetom brzuchy robią się płaskie, a dziewczynom robią się ładne pośladki. Podciągnęła je w górę dłonią. Nie, no nie jest najgorzej, ale tych obcisłych legginsów do biegania dzisiaj nie wciągnie. Raczej normalne, ortalionowe, szerokie spodnie. Nastawiła czajnik i otworzyła internet.

Przejrzała wiadomości. Szczyt G20, topnieje przewaga PiS nad Platformą, znani ludzie wspominają Wojciecha Młynarskiego... Słowo „żałoba” przypomniało jej o Ance. „Żałoba”. Przejrzała listę wyników. „Żałoba to trwanie w milczeniu”. Otworzyła. To była relacja ze spotkania w Żydowskim Ośrodku Kultury JCC. Justyna Sobolewska zaprosiła dwóch pisarzy i rabina Schudricha.

– Jeśli ktoś bliski umiera Żydowi, to nie może on się modlić aż do dnia pogrzebu. Nawet przed jedzeniem się nie może modlić. I nie może jeść mięsa. I nie może wychodzić z domu. A pierwszy posiłek po pogrzebie musi mu przygotować ktoś drugi. Nie wolno tego uczynić samemu. To uczy człowieka dwóch spraw: ten, kto umarł, nie powróci. A ty, który pozostajesz, nie jesteś w świecie sam. Ale ten, kto przychodzi cię pocieszyć w czasie żałoby, nie powinien odzywać się pierwszy. Musi po prostu usiąść i wysłuchać. To wielka prawda i wielki dar, trwanie w milczeniu. Jeśli chcesz pomóc komuś, kto cierpi, przyjdź i milcz razem z nim, aż do tej chwili, kiedy zechce mówić. Wtedy słuchaj. Słuchaj i milcz. Bo i tak nie ma słów, które mogłyby coś zmienić.

Pomyślała, że wtedy Siwy, Doliński, jej dowódca, tak właśnie się zachował. Nie mówił. No i dawał jej robotę, od razu kiedy tylko wyszła ze szpitala i kiedy tylko mogła bez bólu głowy pochylić się nad nią.

– Nie dostaniesz żadnego zadania w terenie – powiedział – dopóki opinia psychologiczna nie będzie pozytywna, a to z pewnością trochę potrwa. Nie będę naciskał, jeśli zechcesz odejść, nie wiem, żeby w banku popracować czy gdzieś. Zrozumiem. Ale jeśli zechcesz zostać, masz obowiązek spotkań z psychologiem, aż napisze, że wszystko z tobą w porządku, że nie skrewisz. Wtedy wrócisz w teren. A do tego czasu – papiery. Będziesz czytać dokumentacje spraw, których nie udało się rozwikłać. Szukaj błędów. Szukaj śladów. Ucz się. Dzisiaj jest tak, jak jest.

– Tak jest – powiedziała. – Tak, jak jest.

O Ankę nie zapytał. Ani o tego jej męża, który znalazł sobie nową miłość, w czasie kiedy Olga leżała w szpitalu.

Była wdzięczna, że dowódca o nic ją nie zapytał. Zajęła się papierami. Nie odkryła zbyt wiele, ale wiele się nauczyła.

Zadzwoiła do Siwego.

Telefon milczał.

Spróbowała jeszcze raz. Bez skutku. Cholera, co jest...? Coś jest nie

tak... Nie dzwoniła do Siwego od dawna, co najmniej od dwóch tygodni. Sporo pracy, czas szybko biegł, nie dzwoniła. A przecież nie miał nikogo. To znaczy nikogo na co dzień, bo w ogóle to miał, miał córkę, ale nie było między nimi dobrze. On – były esbek. Ona zawsze po drugiej stronie. Nie chciała stać tam, gdzie stało ZOMO. Nie interesowała się ojcem. Nie spędzali razem Świąt. Nie dzwoniła. W ostatnich latach miał więc właściwie tylko ją, Serbię, ale nie dzwoniła. Sama się temu dziwiła. Jak łatwo ci, z którymi przestajemy pracować, znikają z naszego życia. Zwłaszcza kiedy okazuje się, że są chorzy i że mogą czegoś chcieć. Albo czegoś potrzebować. Znajdować usprawiedliwienia. No bo przecież on też mógł zadzwonić. I kogoś tam jednak miał, bo przecież na Święta przygotował mu ktoś pierogi. Jeśli nikogo nie masz, jesz te z Biedronki. Znała ich smak doskonale. Uszka z Biedronki z barszczem Winiary. Pycha. Zadzwońi później.

Zaparkowała nad kanałkiem i przebiegła jedno pełne okrażenie. Pięć kilometrów. W słuchawkach Sting: *„On and on the rain will fall, like tears from a star, like tears from a star”*². Padało i pewnie dlatego było jej szalenie zimno. Palce powykręcało, czuła, że skóra na twarzy pęka. Psy po chodnikach szły z lękiem, może od soli bolały je łapy? Sypią, kiedy ślisko, a potem to wszystko przecież zostaje na wierzchu. A psy widać zatraciły już kompletnie instynkt zwierzęcia lasu, które biegłoby po śniegu obok ścieżki. Pies, zdrajca świata zwierząt. Wciąż przypominał zwierzę swoją czworonożną postawą. Ale żyje z nosem na wysokości ludzkich kolan, gotowy na każde wyzwanie w zamian za ciasteczko albo kawałek kiełbasy. Kiedy patrzyła, jak spacerują w ubrankach, wydawały jej się tylko wspomnieniem samych siebie. Zupełnie jak ich opiekunowie, dzieciaki i dorośli z nosami w ekranach telefonów.

Do samochodu dotarła z ulgą. Na szczęście do domu blisko, wykapała się, zrobiła sobie kawy, okryła kocem, włączyła telewizję, wyciszyła i zadzwoniła do Kosińskiego. Poprosiła o raport. Tak mu powiedziała.

– Raport?! – zdziwił się. – Po ludzku nie możesz powiedzieć?

– No żartuję, o śmierci tej kobiety, tej Brzeskiej, możesz mi powiedzieć? Gotowy jesteś?

– Ja swoje odrobiłem. Powiedz mi, co wiesz, żebym się nie powtarzał.

– Nic nie wiem. Wiem, że się protesty odbywają, że prokuratura i my nie potrafimy znaleźć sprawców. Tyle wiem. I że to stara sprawa. Trwa dłużej niż moja robota w fabryce.

– No to było w 2011. Wieczorem, 1 marca gość był z psem na spacerze. Tam w Lesie Kabackim za Parkiem Kultury w Powsinie jest taka polana, gdzie ludzie grilla robią latem. No i dalej, na południe się ciągnie taka leśna droga. To tam było. Ludzie tam często biegają, z psami chodzą. I temu gościowi pies zaczął szczekać, ciągnąć. Gość idzie, patrzy, ciało jeszcze się dymi. Ale już nie było kogo ratować, zwłoki tylko się dopalały. Było zimno, bezchmurnie, jakieś minus dwa, może o tej wpół do piątej minus trzy. Nie padał deszcz ani nie padał śnieg. Leżała twarzą do ziemi, nogi wyprostowane, jedna ręka zgięta, druga włożona pod głowę. Skóra była tak spalona, że nawet rodzina jej nie potrafiła rozpoznać. Ale to dopiero za kilka dni. No i kiedy przyjechali ci z Mokotowa, z Malczewskiego, to z ubrania zostały tylko buty. No ale torebkę znaleźli, torebka się nie spaliła. Otwarta, ale nie wiadomo, czego brakowało, były klucze, zegarek, fragmenty gazet. Nie było dokumentów i nie było aparatu słuchowego, ale wtedy nikt nie wiedział, kim jest denatka, no i nie mogli podejrzewać nawet, że była niedosłyszająca. Najciekawsze są wnioski z sekcji zwłok. Badanie wykazało obecność sadzy w dolnych drogach oddechowych.

– Co to znaczy?

– Że oddychała jeszcze, kiedy płonęła.

– Kurwa. Przytomna była?

– No tego na pewno nie wiadomo. Nieprzytomni przecież mają oddech, co nie? W każdym razie nie odkryli na jej ciele żadnych śladów, żeby była uderzona, dźgnięta, pobita, żadnej rany po kuli, po nożu... nie wiadomo.

– Czy umarła z poparzeń?

– Przyczyną śmierci był wstrząs termiczny. Nasi uznali, że to samobójstwo.

– Dlaczego?

– No bo nie było żadnych śladów walki, przemocy, nic.

– Ale mówiłeś, że spalona była tak, że nie można było jej rozpoznać.

– No właśnie. Jest taka uwaga nawet w tym raporcie: „Nie da się wykluczyć, że na ciele były drobne obrażenia w miejscach, które strawił ogień”.

– Ciekawe, jakie to są drobne obrażenia.

– No mogła mieć nóż przystawiony do szyi. Twarz całkiem spłonęła.

– Czyli w dupie była prokuratura?

– W czarnej dupie. Na Mokotowie nikt nie skojarzył, że to jest ta Brzeska, a mieli zgłoszenia zaginięcia. Córka złożyła. No a potem pół roku trwało, aż przyszło potwierdzenie z badań genetycznych. Nasi przejęli sprawę od Mokotowa cztery miesiące po zdarzeniu. No to już wtedy nie było śladów na miejscu żadnych. Więc dupa. W dodatku te protesty się zaczęły. Jest taki gość, Jan Baranek, działał z Brzeską w sprawie tego przejmowania kamienic. No i to on nakręcił gazety, do dziennikarzy chodził. Mówił, że przecież nikt samobójstwa nie popełnia przez samospalenie.

– Ale to nieprawda przecież. – Przypomniała sobie w jednej chwili tę opowieść, bo kiedyś zrobiła na niej ogromne wrażenie.

– Jak to?

– Był taki gość, który się spalił na Stadionie Dziesięciolecia. Polał się benzyną i podpalił. Nazywał się Siwiec. Podpalił się, bo chciał pokazać, że Polska protestuje, że Jaruzelski poprowadził Ludowe Wojsko na Czechosłowację. No w każdym razie on protestował. Może ona też chciała zaprotestować? Mówisz, że działała w jakimś ruchu.

– Ale jakby to był protest, to by przecież list zostawiła. Albo by się podpaliła gdzieś na mieście, a nie w lesie, w krzakach – powiedział Kosiński.

– Prawda...

– No więc kiedy nasi dostali dochodzenie, to już nawet do świadków dotrzeć było nie sposób. Nie wiadomo, co kto pamięta, a co mu się wydaje. Przesłuchiwali w nieskończoność tę córkę Brzeskiej, tego gościa od psa, ale to nic nie dało. Przesłuchali tych wszystkich ludzi z protestu przeciwko przejmowaniu kamienic. Jakichś ludzi znaleźli, co tam ognisko palili tego dnia. Tych z Parku Kultury, czy nikogo nie widzieli. I nic. Dupa. Nikt nic nie słyszał, nic nie widział.

– Sprawdzali, co robiła tego dnia? – Serbia poczuła się nagle osamotniona. Pomyślała, że musi zadzwonić do Szymona. Pobyć z nim, choćby przez telefon. I że może by sobie pomalowała paznokcie? Przestraszyła się tej myśli. Głupio jej się zrobiło. Ale może to endorfiny po bieganiu nie dają jej spokoju.

Usłyszała, jak Kosiński grzebie w notatkach.

– No tak, sprawdzili i to dokładnie. Była na Puławskiej w banku o 13.07. To jest ostatnia pewna godzina. Była potem jeszcze w domu, bo ją tam widzieli, jak wchodziła. Trzy godziny później nie żyła. Sprawdzili monitoring na całej trasie, jaką by szła z domu do autobusu 519, bo tam, do Kabackiego, to jedzie z Mokotowa 519. Sprawdzili wszystkie możliwe opcje z przesiadkami, wszystkie zapisy monitoringu i nic.

– A metro?

– Metro sprawdzili od razu, bo to najłatwiejsze. Monitoring jest. Jakby przyjechała metrem, to musiałaby się gdzieś pojawić. Ale się nie pojawiła. Więc pomyśleli, że jednak 519.

– To mieli jeszcze ten monitoring po czterech miesiącach?

– Nie, no, to chyba jeszcze sprawdzali chłopaki z Mokotowa.

– A... czyli nie byli całkiem do kitu...

– Nie, no zrobili wszystko jak należy. Psa nawet sprowadzili. Ale pies nie poszedł na pętlę 519 tylko do drogi i stanął.

– Czyli samochodem przyjechała. – Serbia znowu złapała się na myśli o tych paznokciach. Ale skąd jej to przyszło? Przecież nie robiła nic takiego od śmierci Anki.

– No nie ma pewności.

– Co nie ma pewności?

– Ten od psa nie miał pewności, pies mógł czuć jakieś mięso, jakiegoś innego psa. Nie musiał iść za zapachem torebki, a zwłok nie dali mu wachać, bo sama spalenizna.

– Ale mogła samochodem przyjechać.

– Mogła.

– Miała samochód?

– Nie miała.

– Taksówki sprawdzili? – Gdzieś powinna mieć jeszcze buteleczkę lakieru z dawnych, szczęśliwych czasów.

– Tak. Sprawdzili. Ale bez rezultatu.

– A co prokurator? Jak się zrobiło gorąco, to przecież musieli zareagować?

– No był nadzór apelacyjnego i nie miał zastrzeżeń.

– A ci co przejęli kamienicę?

– Też ich przesłuchiwali. Mossakowski i Massalski. Mossakowski znał Brzeską, bo jak mu oddali kamienicę, znaczy, jak już miał akt własności, to, czekaj – usłyszała, jak przekłada papiery – na Nabelaka 9, to do jej domu przychodził, żeby się wynosiła. Wszyscy się stamtąd wyprowadzili, a ona nie chciała. Czynyś jej podniósł kilka razy, to nie płaciła. No i co? Sąd stanął po jego stronie, wygrał, komornika przysłał i ją wynieśli. Komornik miał licytować jej majątek na poczet jego należności, więc jego zdaniem to było samobójstwo. Dowiedział się od Massalskiego, a Massalski od córki

tej Brzeskiej, bo zaczęła im wygrażać, że matkę zaszczuli. Że musiała po pięćset złotych płacić za przejście od drzwi do drzwi, że tam jakiś płot jej postawił, żeby nie mogła wejść do mieszkania. No tam jakieś szykany były.

Olga milczała dłuższą chwilę. Myślała. Czego brakowało w tym wszystkim? O co sama zapytałaby, gdyby to ona analizowała papiery?

– Wariograf przeszedł?

– Nic tu nie piszą, więc nie wiem.

– No to jeszcze sprawdź, co? Popytaj. Ale jak nie ma protokołu, to pewnie nie było decyzji. – Chciała się już pożegnać, ale przyszło jej jeszcze coś do głowy. – Ty, a było jakieś dochodzenie w sprawie tej kamienicy? Czy tam wszystko w porządku było?

– Z tego, co wiem, nie było takiej sprawy. Ten Mossakowski skupował roszczenia spadkobierców i uzbierał ich tyle, że wszedł w prawo własności. To nawet nie była cała kamienica, bo niektórzy tam już nabyli własność i mu nie chcieli odsprzedać. Ale przejął te mieszkania, co były w puli miasta.

– Podpisywała mu decyzje Gronkiewicz-Waltz?

– No nie, bo on zdobył własność w 2006, wtedy była dziwna sytuacja, prezydentem był Lech Kaczyński, ale już było po wyborach na prezydenta Polski i Kaczyński wygrał. Był już myślami raczej w pałacu prezydenckim niż w urzędzie miasta, no i udzielił pełnomocnictw – znowu szelest papieru, tym razem dłuższą chwilę – Markowi Kochalskiemu, sekretarzowi miasta, i Kochalski podpisał decyzję na Mossakowskiego. Zresztą niejedyną.

– Jak niejedyną?

– On ma z pięćdziesiąt działek. Skupował akty własności od starych ludzi, którzy już nie mieszkali w Warszawie albo mieli już inne życie. Skupował za małe pieniądze, ale uzbierał wielki majątek. Kawiarnię Literacką ma na Starówce i kamienicę na Hożej, trzy kamienice na Krakowskim Przedmieściu, no naprawdę to bogaty gość jest. W zeszłym roku „Wyborcza” napisała, że ma już czternaście kamienic. Ale chce dostać

od miasta jeszcze kolejnych sześćdziesiąt.

– No ja pierdolę! No to jaki on by mógł mieć motyw w sprawie tej Brzeskiej? O jedno jakieś mieszkanie by się tak napinał, skoro ma kilkanaście kamienic?

– Właśnie w tym kłopot: nie ma motywu, nikt nie miał motywu. Ten Mossakowski już ją wyrzucił. Za długi, jakie mu była winna, komornik miał ją zlicytować. Dlatego nasi uznali, że ona miała motyw do samobójstwa.

– A jaki to wszystko ma związek z moją sprawą? Ten Mossakowski ma kamienicę, w której mieszkał ten nasz Pawliszuka?

– No sprawdzę. Jaki to adres?

– Wilcza ileś. – Do jasnej cholery, nie potrafiła sobie przypomnieć numeru.

– Nie ma nic na Wilczej, ale o zwrot dwóch właśnie się stara.

– No dobrze, dziękuję ci, spisałeś się. A moje akta czytałeś? Śmierci tego Pawliszuka?

– W trakcie jestem – powiedział takim tonem, że wiedziała, iż kłamie.

– A z tym pedofilem, co go złapałam, wiadomo coś?

– Interpol go przejął. Jeśli jesteś wytypowana do awansu, to na razie nie ma do ciebie żadnej korespondencji w tej sprawie – zaśmiał się Kosiński.

– Nie pierdol mi tu – warknęła.

– Wiadomo, że to była poważna akcja. Złapali go na gorącym uczynku z chłopczykiem, spokojnie się zachowywał, poprosił, czy może założyć płaszcz. A byli go zdjąć facet i kobieta. No i kobieta zaraz do tego dziecka, żeby nie płakało, do łazienki je wzięła. A facet został z tym zbójem. Nagle jakieś trzaski, babka wyłazi z łazienki, a jej partner leży, łeb rozwalony, nieprzytomny, wybiegła za tamtym, korytarz pusty, dziecko w krzyk, bo zobaczyło tamtego we krwi, no i wróciła dzwonić, meldować, no i on zjechał prosto na nas.

– A broń?

– Co broń?

– Wiadomo, skąd miał broń?

– Nie.

– A nasi go przesłuchiwali?

– Nie, no tamci go przejęli i tyle. Dla nas sprawa zamknięta.

– No nie... Bo wiesz, mamy w mieście bezdomnego z bronią. – Miała przecucie, że to jeszcze się obróci przeciwko niej. Nie lekceważyła przecuć.

– Skoro tak twierdzisz...

– Co to znaczy? Co masz na myśli?

– No ja nie widziałem broni.

– Zaraz, kurwa, co ty do mnie mówisz?

– No że nie widziałem.

– I że ja kłamię, tak? Że mam przywidzenia? Co ty, kurwa, do mnie mówisz!?

– Nie, nic, przepraszam, pogadamy o tym, okej, jutro.

– A ten gość z audi, ten kierowca? Nie widział broni?

– Popytam tych, co go słuchali, dobrze?

Rozłączyła się i poszła do łazienki odszukać w szafce swój stary lakier do paznokci. Jeśli masz niewiele rzeczy, to szybko odszukasz takie sprawy. Wzięła buteleczkę i papier toaletowy. Usiadła na kanapie i zaczęła upychać sobie wałki papieru pomiędzy palcami stopy. Och, jak jej tego brakowało. Wykręciła numer do Szymona.

– Przyjedź. Odpoczniesz sobie. Będę ci robić śniadania, kupię ci abonament do Canal+ i do HBO, będziesz oglądał filmy, czytał, spał, chodził na odnowę biologiczną, wjedziesz na szczyt Pałacu Kultury i Nauki, odwiedzisz Muzeum Powstania Warszawskiego...

– A ty? – Wyczekał moment, kiedy musiała wziąć oddech.

– No co ja? Robotę mam. Jasna cholera!

- Czemu się denerwujesz? Rzuć tę hobotę w diabły.
- Nie na robotę się denerwuję, tylko lakier mi zasechł.
- Jaki znowu lakiech?
- No do paznokci.
- Handkę masz? – Usłyszała, jak się uśmiecha.
- Nooo... – uśmiechnęła się. – No mam!
- Z kim?
- Z chłopakiem, który mnie będzie... no... – szukała słów.
- Hahaha. – Usłyszała, że teraz Szymon się śmieje.
- No co! Z lakierem się moczuję. – To nie była prawda. Leżała na kanapie i myślała gorączkowo, jaki jest ten chłopak, z którym się umówiła.
- Umówiłam się z mężczyzną o wrażliwych dłoniach.
 - Whaaat?
 - No wiesz, on jest artystą. Będzie mnie zabierał do teatru i do filharmonii. I do bazyliki na koncerty muzyki sakralnej...
 - O hany – Szymon wciąż się uśmiechał – skoho tyle będziecie hazem wychodzić, to po co mu te wrażliwe dłonie?
 - No bo potem będziemy uprawiać... nie, nie tak, on będzie wygrywać na moim ciele najpiękniejsze melodie. Same molowe nuty.
 - Olu, ty poetką jesteś!
- Zatrzymało ją to „Olu”. Co powiedzieć? Nigdy tak do mnie nie mów? Czy może: przestań się wygłupiać i przyjedź? Kurwa mać. Zrobiło jej się zimno w stopy.
 - Czemu milczysz? Powiedziałem coś nie tak?
 - Zimno mi w stopy, wiesz? – Poczowała się nagle jakaś smutna. Niczyja.
 - Przephaszam, że mnie tam nie ma. Daj mi kilka dni, zamknę jedną sphawę i dostanę wolne. Okej?
 - Uważasz, że warto czekać?
 - Tak.

– Na co? Na te kotlety?

– Hahaha, lubię cię.

– Naprawdę?

Przytaknęła. Wtedy zapytała go, czy może mu opowiedzieć o pracy. Mówiła z kwadrans. O wszystkim. O Brzeskiej, o Pawliszuku i o tym, że komendant z PiS-u kazał jej grzebać w tym z powodu komisji, którą Sejm właśnie powołał, ale która jeszcze nie ma nawet składu.

– No i co o tym myślisz? – zakończyła.

– Skoho podpisał taką decyzję ktoś z „dobłej zmiany”, to czemu komendant z „dobłej zmiany” każe się wam tym zająć?

– No nie wiem – westchnęła. – Tego, kurwa, nie wiem.

KIEDYŚ

Nie wiem, no nie wiem, co tam zastaną, Aniele Boży, stróżu mój, ale nie daj, żeby w tych samochodach nadjeżdżali strażnicy Talibanu, niech to będą górnicy, inżynier z kopalni, medyk, kurwa, nawet jakiś imam, byle nie ich najemnicy. Wiosłował rytmicznie, zaklinając rzeczywistość na wszystkie świętości. Trzeba było liczyć się z najgorszym, zawsze trzeba liczyć się z najgorszym, ale w pojedynkę nie miał szans z żołnierzami. Na pomoc z zewnątrz nie było co liczyć. Kawaleria nie nadciągnie. Nie będzie odsiecz. Nie przylecą śmigłowce, skoczki nie pojawią się nagle na niebie i nie będzie bombardowania. Jeśli nie da sobie rady, wszystkim, co tamci zastaną, będzie jego ciało na brzegu. Mundur pozbawiony jakichkolwiek cech, które pozwalałyby na identyfikację. Będą się domyślać, będą gadać w tych swoich YouTubach i Instagramach o amerykańskim imperializmie, ale nie będzie żadnych dowodów na to, kto ich zaatakował.

Aniele Boży, stróżu mój, spraw, żeby zdechli w tym płonącym domu, ale nie spłonęli, żebym mógł sfotografować ich ciała.

Płynął. Kiedy jesteś w ruchu, łatwiej myśleć. Dużo łatwiej. Obserwować brzeg trudniej, ale myśleć łatwiej. Pić mu się chciało, szczać, przytulić dziewczynę, bawić się z kotem. Może dziecko mieć, syna, uczyć go o tym, dlaczego barwy są białe i czerwone. Nie, nie o tym, myśl o tym, ile masz naboji.

W nieprzemakalnej kaburze miał SIG Sauera P 226 NAVY z magazynkiem na 15 naboji 9x19 milimetra Parabellum. Lekki, waży

jedynie 750 gramów, można z niego strzelać z obu rąk, mechanizm zwalniania magazynka ma po obu stronach. W worku na plecach miał MAS HP MP5-N, naboje 9 milimetrów. Szybka broń, bardzo skuteczna na sto pięćdziesiąt, dwieście metrów. Ale żeby po niego sięgnąć, trzeba zrzucić z siebie worek. To zabiera czas. Dwa magazynki. W sumie sześćdziesiąt pocisków. I dużo, i mało.

Zostało mu jeszcze z pięćset metrów. Na brzegu dymy opadały rozwiewane przez wiatr. Budynek oberwał, w miejscu, gdzie kiedyś były drzwi, widniała rozpieprzona ściana, ale jednak stał. A to nie wróżyło dobrze. Musiał mieć żelbetonowy szkielet. Najwyraźniej coś się w nim zapaliło, bo z piętra płomienie strzeliły w górę. Samochody z kopalni już dojeżdżały. Zatrzymał się, żeby przyjrzeć się im bliżej. Trzy toyoty. Przynajmniej trzech ludzi, ale trzeba się liczyć z tym, że więcej, może nawet dużo więcej. Nie mógł płynąć po prostu do plaży, bo nie miałby się tam gdzie ukryć. Zmienił kierunek tak, żeby dopłynąć do pirsu. To nie był niestety ani pomost, ani molo, pod którym można byłoby się schować, to tylko zwyczajny, usypany z kamieni i betonowych bloków falochron, na którego końcu znajdowała się przystań. Na przystani istniałaby szansa na schronienie, nawet dobre, ale to nie było rozwiązanie, bo musiałby potem przebiec zupełnie na widoku całą długość falochronu. Jeśli gdzieś tam czai się jakiś strzelec albo jeśli ten facet od drona przeżył i ma porządny karabin pod ręką, Luter oberwałby po kilku metrach, nawet gdyby biegł zygzakiem. Nie. On jest bezpieczny w morzu. I tego się trzeba trzymać.

Ciekawe, czy znają nasze procedury, myślał. No pewnie, że znają, gdyby nie znali, nie potrafiliby tak długo uchodzić z życiem z tego pościgu. Więc znają. Przekupują żołnierzy. Może nie operatorów, bo elita nie robi tego, co robi, dla kasy. Ale urzędników na pewno można przekupić. Urzędnicy to tchórze. Pieczeniarze. Lubił to słowo. Stare słowo z innego świata. Trzydzieści tysięcy słów, a kiedy Aśka odchodziła, brakowało mu tego jednego, jedyne, które potrafiłoby ją zatrzymać. A teraz co? Teraz

pewnie się kochają, bo w Polsce dzień wstaje. Niedziela. Aktywista ma wolne. Może przygotowują plakaty na jakąś manifestację. On maluje jej piersi czerwoną farbą.

Obraz był tak sugestywny, że Luter zmusił się do poważnego wysiłku, żeby go odegnąć. Trzysta metrów do brzegu, dwieście do falochronu. Widział, że są tam betonowe gwiazdoblaki, więc będzie się jak ukryć. Przynajmniej na początku.

Samochody dojechały. Ale on nie patrzył w ich stronę, tylko płynął ile sił, bo to była jego chwila. Teraz ludzie wyskoczą z aut i będą próbowali dostać się do środka, żeby ratować co tylko możliwe. Ich uwaga będzie skupiona na tym, co się dzieje w pożarze, a nie na tym, co w morzu.

Skupił się na oddechu. To zawsze pomaga.

Dopłynął do falochronu. Fale rozbijały się na betonowych blokach o kształtach wielkich czterościanach. Ukrył się za jednym z nich i sięgnął do kieszeni po lunetę. Najpierw zobaczył trzy samochody z kopalni, stały w oddaleniu od płonącego budynku. Ludzie w kaskach wyciągali z pierwszego z nich sprzęt gaśniczy. Mieli na twarzach maski tlenowe. Dwaj z nich wciągali na siebie srebrne kombinezony. Strażacy z kopalni. Prawdopodobnie profesjonaliści. Pięciu. Do tego jeden z torbą medyczną i plecakiem z respiratorem. Ratownik medyczny. Niewielu. Mógł ich wystrzelać, ale to rozwiązanie nie wchodziło w grę. Nie strzela się do cywilów. Musiał poczekać, aż podejmą próbę wejścia do budynku. To podnosiło ryzyko. Powinien jak najszybciej ustalić, czy bandyci z Talibanu nie żyją, zrobić zdjęcia zwłok, przeszukać ich kieszenie. Podjąć procedurę ewakuacji... Ale teraz będą się tam szwendać strażacy. Na szczęście tylko kilku. Może odnajdą ciała. Wtedy będzie trzeba przemyśleć, jak do nich dotrzeć. Pewnie sterroryzuje strażaków i na tym koniec. Ale niepokoiło go, że budynek stał. Jeśli Taliban urządził sobie to miejsce spotkań w domu zbudowanym jak bunkier, jeśli jest tam schron czy jakiś tunel, cokolwiek, to słabo. Co robić, co robić...?

Przypomni  sobie, co jego dow dca m wił o morzu: morze, kiedy chce pokaza  swoj  sił , idzie fal  tsunami. Ale potrafi teŹ cierpliwie czeka . Draj c – skał , beton, cokolwiek. JeŹli nie potrafi zmia dŹy , umie naruszy  konstrukcj . I to wystarcza.

Postanowił poczeka . Siedem minut. Nie dłuŹej. Przyjrzał si  budynkowi. Rakiety trafiły w otw r drzwiowy. Fasada zawaliła si , ale dalej konstrukcja wci Ź stała. Dym walił z pi tra. Palily si  jakieŹ plastiki, pewnie okładziny. Dym był czarny i ŹmierdŹący. Luter nie rozpoznawał zapachu. Obie toyoty, kt re stały przed wejściem, wygl dały na uszkodzone odł mkami, lecz samochody str Źaków nadawały si  do szybkiej ewakuacji. Spojrzał w kierunku pustyni, ale teraz widok mi ł bardzo ograniczony. Z lewej strony wysoki mur falochronu. Z prawej dym. StraŹacy zał Źyli tym dw m w kombinezonach butle z tlenem i cała sz stka ruszyła w kierunku zawalonej Źciany. Luter schował lunet  do kieszeni, a potem, nie wstaj c z kolan, wygrzebał wreszcie penisa ze spodni i wyszczał si  wprost do morza. Zdjął pakunek z pleców. Najpierw wyci gn ł worek z wod  i wypil do ostatniej kropli. Potem MP5. Zał Źył magazynek. Wypiłby jeszcze Źel czy dwa, ale adrenalina powinna go teraz utrzyma  w gotowoŹci. Na razie trwa zadanie. Trzeba sprawdzi , czy oba obiekty s  skutecznie wył czone.

Zaczął przesuwac si  w wodzie od jednego gwiazdobloku do nast pnego. To upierdliwa czynnoŹ . Woda płytk , nie zanurkujesz, konstrukcje obł , nie daj  oparcia, ale daj  jakie takie schronienie. Trzeba korzysta  z tego, co si  ma. Wolałby mrok i wod . Woda jest jego sprzymierzeńcem. Pozwala si  ukry , podejŹ  do obiektu, zapewnia bezpieczeŹstwo. No i przypadkowi ludzie si  tam nie kr c . Fale w morzu s  po to, Źeby g wno wyrzuci  na brzeg.

Do brzegu zostało mu jakieŹ pi ćdziesiąt metr w, ale wody było juŹ zbyt mało, Źeby si  w niej kry . DwadzieŹcia centymetr w. Był przy plaŹy. Sto metr w do budynk w. Trzej str Źacy zamykali jakieŹ zwłoki w czarnym worku. To musiały by  resztki tego, kt ry stał w drzwiach. Zostało trzech.

Powinny być jeszcze przynajmniej trzy ciała. O nie! Przynajmniej cztery. Był jeszcze ten, który operował dronem. A więc przynajmniej cztery ciała. Kurwa, a może więcej? Może mają tam cały bunkier bojowników? Dziesięciu pieprzonych talibów?! Mógłby teraz wstać i iść w stronę brzegu. Sterroryzować bronią tych czterech gości ze straży, związać im ręce za pomocą trytrytek. Potem poczekać, aż dwaj kolejni strażacy wyjdą z ognia.

Dał im jeszcze cztery minuty.

I wtedy wszystko się popieprzyło.

Zza budynku wyszedł zamaskowany mężczyzna z karabinem maszynowym w rękach i w pięć sekund, jedną precyzyjną serią skosił strażaków i medyka. Krzyknął coś i po chwili Luter zobaczył Jaafara Tayara w okularach całego i zdrowego. Za nim wyszedł Abu Arif i jeszcze jeden gość. Ten wysoki, ten, który przyjechał jako pierwszy. Musieli mieć tam jednak schron, drugie wyjście, piwnicę, tunel, chuj wie, co mieli, ale wszystko się popierdoliło. Tamci, pochyleni, ruszyli w kierunku nieuszkodzonych pojazdów. Luter zerwał się na równe nogi i zaczął biec w kierunku plaży, rozchlapując fale. Tayar pewnie to usłyszał albo zobaczył kątem oka, albo jego talibański, szatański zmysł podpowiedział mu, żeby odwrócił wzrok. Do brzegu trzydzieści metrów, Luter podnosi broń do strzału, nie zwalnia ani na moment, teraz musi być doskonały jak maszyna, jak automat, jak, kurwa, pociąg, który zawsze trzyma pozycję niezależnie od te-go, na czym leżą szyny. Trzydzieści strzałów, najpierw do tego, który trzyma karabin. Już zdążył usłyszeć ostrzegawczy krzyk Tayara, już się obejrzał, zobaczył Lutra, podnosi broń do strzału. Luter strzela po dwie kule. Trzydzieści to nie jest dużo. Pierwsza kula w ogień, druga w ciało strażaka. Widzi, jak zamaskowany kładzie palec na spuście, jak go naciska, jak odrzut szarpie mu ramię. A jemu zostało jeszcze tylko pięć metrów do brzegu. Trzeci pocisk w korpus. Czwarty w głowę. Teraz Jaafar Tayar. Szczur pada na ziemię, wyciąga ramiona przed siebie, boi się o pierdzielone okulary. Luter strzela. Zanim dosięgnie ziemi, dostaje w korpus. Raz.

I drugi raz. Drugi to chyba w udo. Luter robi kolejny krok, do brzegu jeszcze tylko dwa metry. I nagle stopa, zamiast trafić w płytki, zbity falą na beton piach, grzęźnie w rozmemlanej brei w miejscu, w którym fale przyboju żłobią sobie koryto, w którym miały się z falami odboju. Luter gubi rytm. Traci równowagę, a wtedy jego pociski trafiają w piach, zamiast dosięgnąć Jednorękiego. Tymczasem Wysoki spod swojej dżalabii wyszarpuje automat. Nie pieprzy się z celowaniem, tylko wypluwa pociski długą ognistą serią. Luter robi jeszcze jeden krok, grzęźnie w fali przyboju i czuje kule tamtego rozrywające mu ramię. Jeszcze jeden krok w tym grząskim bagnie, jeszcze jeden. Widzi, jak Jednoręki dopada toyoty, jak szarpie za klamkę i otwiera drzwi. Wysoki wypluwa drugą serię, ale tym razem chybia.

Luter jest już na brzegu. Lewe ramię rwie go z bólu, ale wie, że póki adrenalina krąży w żyłach, da radę wystrzelić jeszcze kilka razy. Widzi, że tamten, Wysoki, nie zamierza ryzykować. Staje w pozycji strzeleckiej. Przykłada broń do oka. Ta seria nie chybi, więc Luter zamiast kolejnego kroku w przód rzuca się w bok, w tę lukę między szelfem a brzegiem, w której fale kotłują się tam i z powrotem, bo jest człowiekiem morza i wie, że jeśli trzeba szukać ucieczki, schronienia, to tylko w tym jednym miejscu. Wysoki wypuszcza kulę, ale Luter już pada. Kątem oka z prawej strony widzi jakiś kształt i bardziej czuje, niż wie, że to Druid.

Druid opiera się na prawej nodze. Lewa, po tym jak wyszedł z wody, jest mu tylko kulą, balastem, który utrudnia ruchy, wie, że jest złamana i że się na niej nie może oprzeć, ale teraz nie jest czas na to, żeby kalkulować. Teraz ma przed sobą strzelca i musi mu przeszkodzić, więc wypluwa z MP5 dwa razy po dwa naboje. I jeszcze dwa. Chybia. To przez tę nogę. Strzela jeszcze raz i jeszcze. Kurwa, znowu nic. Przesuwa się do przodu. Tamten strzelec rezygnuje z pomysłu dobitcia Lutra, odrzuca broń, pewnie i tak nie miał już wielu pocisków, wskakuje do toyoty i odpala silnik.

Druid nie może biec ani przyklęknąć, ani porządnie złożyć się do

strzał, puszcza w kierunku samochodu kolejne pociski, cztery, może sześć, ale tamten jest wytrawnym kierowcą, rusza z impetem, który pozwala mu zawrócić niemal w miejscu.

Ale nie odjedzie tak łatwo, bo Druid ładuje mu wreszcie dwie kule prosto w koła.

TERAZ

Koła miały poranną ciapę cierpliwie, ale bez wielkich efektów. Miasto pełzało w tym błocie jakieś dziesięć na godzinę, a ciężkie, lepkie gluty śniegu spadały na szybę jak białe, mokre, martwe żuki. Poniedziałkowy poranek był tak szary i zimny, że właściwie nadawał się tylko do tego, aby zostać w łóżku. Mogłaby leżeć z nosem ukrytym pod kołdrą i oglądać na komputerze kolejny sezon *Wikingów*. Pić nalewkę z głogu, dostawać od przyjaciół esemesy pełne dobrych myśli i od nieznajomych facetów kwiaty. Mogłaby mieć na sobie pidżamę z grubej flaneli, a pod nią szczupłą, opalone uda.

– Z tego wszystkiego, Olga, masz tylko nalewkę, ale to dopiero po robocie – mruknęła do siebie i skupiła się na jeździe. Radio nadawało jakiegoś przemądrzałego gościa, który wyjaśniał właśnie, że tak długa zima w naszym kraju to rezultat efektu cieplarnianego.

– Im cieplejszy klimat, tym dłuższa zima – tłumaczył. – W pogodzie standardem jest cyrkulacja strefowa, czyli swobodny przepływ układów niżowych przez Europę z zachodu na wschód. Ocieplenie klimatu powoduje powstawanie trwałego wyżu nad Arktyką. Wówczas mroźne masy powietrza muszą go okrążyć i wędrują nad Europę, przynosząc długie, ciężkie zimy. Dlatego im cieplejszy klimat, tym dłuższa zima nad Polską.

– Kurwa, co on pieprzy! – zaklęła i próbowała opanować odruch wciskania klaksonu. – Przecież dzisiaj jest chyba pierwszy dzień wiosny!

Warszawa to miasto dziwnych kierowców. Jeśli pada deszcz, wszyscy

zwalniają do dwudziestu na godzinę. A jeśli z nieba spada śniegowa breja, to nie ma szans, żeby zdążyć gdziekolwiek na czas. Dobrze, że ford ma ogrzewaną przednią szybę. Że nie zaparowuje, nie zamarza, nie trzeba jej bez przerwy skrobać. Gdyby mogła rozdawać Nagrody Nobla, to dałaby ją komuś, kto wymyślił ten prosty patent.

– Kwiecień za pasem, a u nas ciągle zima – powiedział pan redaktor.

– To wszystko przez ocieplenie klimatu, wszystko przez to, że palimy węglem. A już my, w Polsce, palimy go najwięcej w Europie. To sprawia, że topią się lody Arktyki, które utrzymywały cyrkulację powietrza w ryzach. I dlatego na Boże Narodzenie mamy ciągle jesień, a w kwietniu może jeszcze trwać zima.

– Wierzyć się nie chce, patrząc na to, co za oknem – powiedział redaktor i zapowiedział wiadomości.

Tkwiła w korku na placu Inwalidów. Miała nadzieję, że tylko do światła.

„Z okazji obchodzonego dzisiaj Światowego Dnia Szczęścia ONZ opublikowała raport pokazujący, które kraje są uznawane za najszczęśliwsze – powiedziało radio. – Pierwsze miejsce w tym rankingu zajęła Norwegia, która awansowała o trzy pozycje. Na podium znalazły się też Dania oraz Islandia. Tuż za pudłem Szwajcaria. Wśród państw, które zostały uznane za najmniej szczęśliwe, są kraje, w których toczą się konflikty zbrojne, a więc Jemen, Togo, Rwanda, Tanzania oraz Syria. Autorzy badania brali pod uwagę czynniki takie jak długość życia, dostęp do opieki medycznej, bezpieczeństwo, stabilność zatrudnienia i PKB przypadające na jednego mieszkańca. Polska na 46 miejscu tuż przed Uzbekistanem”.

– Tam przynajmniej mają ciepło. – Miała dość. Włączyła sygnalizację i uruchomiła syrenę. Kierowcy z ociąganiem zaczęli zjeżdżać do prawej i mogła wreszcie dojechać do pracy.

Kosiński był na miejscu już dość długo, żeby po jego kawie został tylko

osad na dnie kubka.

– Już trzecią będę pił, chcesz, to ci od razu przygotuję – uśmiechnął się do niej promiennie.

– W korku stałam, bo pada śnieg z deszczem. – Zlustrowała jego jasny golf, obcisłe spodnie rurki i nowe albo naprawdę bardzo czyste buty. A przecież szedł tu po błocie.

– Ja nic nie mówię, nic nie mówię. – Rozłożył ręce jak żydowski handlarz w starych filmach. – Ja sobie myślę, że jeśli twój szef jest szczęśliwy, to cała fabryka może być szczęśliwa.

– Idźżeż ty! – Rzuciła w niego czapką, ale niecelnie. – Powiedz lepiej, czego się dowiedziałeś, skoro warujesz od rana w psiarni.

– Oj, widzę, że szefowa w przednim humorze. Tindera masz? – Mrugnął do niej.

– Naprawdę tak myślisz? Że w dobrym?

– Że się zakochałaś? – Miał w oczach taki szelmowski błysk, że aż się odwróciła, udając, że musi powiesić kurtkę.

– Jeśli coś jest ze mną nie tak, to dlatego, że pewien przestępca, ohydny, odrażający bandyta i zbój rozbił mi głowę i nie ma pewności, czy w ciągu kolejnych dwóch tygodni nie umrę na wylew albo na pęknięcie tętniaka czy sama nie wiem, na co – wycedziła. – Więc jak, dowiedziałeś się o czymś istotnym czy nie?

– O czym?

– O tym pedofilu, co mi rozwalił głowę.

– No przejrzałem zeznania tych gości pod hotelem i ten kierowca z audi... – Sięgnął po notatnik. – Krystian Zdanowski, zamieszkały Piaseczno i tak dalej, zeznał, że on nie wie, czym tamten nieznany mu mężczyzna rozbił szybę pojazdu należącego do przedsiębiorstwa Vip Class, w którym Zdanowski jest zatrudniony w charakterze szofera. Tak zeznał. Szofera, a nie kierowcy.

– Jak to nie zauważył? Nie widział broni?

– Zeznał, że nie zauważył. Może tamten czymś metalowym uderzył, może kamieniem, on nie wie, nie zauważył tego, bo radio ustawiał.

– Kurwa mać. Nikt nie widział broni? No, a monitoring? Muszą mieć tam monitoring. Na pewno nasi zabezpieczyli. Sprawdzisz?

– Sprawdzić monitoring. – Zapisał w notesie. – Ale ja nie mam głowy z gumy. Może byśmy sobie wzięli stażystę?

Elektryczny czajnik strzelił na znak, że woda jest już wystarczająco gorąca. Kosiński wstał od biurka i zabrał się za robienie kawy.

– Ale jakiego stażystę? – zapytała.

– No wszędzie teraz są stażyści, wiesz, takie czasy, że ludzie za darmo pracują, żeby mieć to w CV, a więc pomyślałem sobie... – Podniósł oba kubki, jeden z mlekiem, a drugi tak czarny, jak tylko czarna potrafi być kawa rozpuszczalna z Biedronki. – Pomyślałem sobie, że na pewno ktoś by chciał mieć w CV, że pracował w terrorze kryminalnym.

Postawił Serbii kawę przed nosem.

– Wiem – powiedział, patrząc jej w oczy – nie to samo co wódka, ale sama rozumiesz, w pracy nie wolno.

Poczuła, jak topnieje jej serce, i zrozumiała, że nie może się na niego więcej złościć. Nie jego wina, że nie widział broni. Ale ona miała pewność, że było tak, jak pamięta. Gdzieś tam po mieście łązi teraz bezdomny z gnatem. I to nie jest dobre. Ani nie jest bezpieczne. I to jej wina.

Wypiła łyk. Dobrze poczuć, jak kawa wpływa do samego serca.

– No, ale skąd tego stażystę?

– Nie wiem... z biura pracy?

– No co ty gadasz, przecież tu policja jest, a nie sklep spożywczy.

– Czyli nic z tego?

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo jej telefon rozspiewał się nagle głosem Nicka Cave'a. „Do you love me? Do you love me?”³. Spojrzała na

Kosińskiego. Jego mina – bezcenna. Odebrała.

– Olga Suszczyńska, słucham.

– No coś ty, córcia, nie poznajesz mnie? – To był Siwy. Jej były dowódca, mentor i przyjaciel. Wciąż był zawieszony, po tym jak strzelił do bandyty. Ale zły człowiek był teraz bohaterem wojennym naszego zaprzyjaźnionego państwa. Ślady wskazywały, że Siwy strzelał w obronie własnej, ale Olga wiedziała, że kryło się za tym coś więcej. Nie powiedziała o tym nikomu. Miała u Siwego dług, bo ten chory na raka były esbek ocalił jej życie. Był rozżalony wobec „dobrej zmiany”, która dotknęła go po dwudziestu kilku latach służby dla wolnej Rzeczypospolitej. Najwyraźniej służył jej dobrze, skoro dotarł aż do ścisłego kierownictwa Komendy Stołecznej Policji. Wszystko zaczęło się psuć wraz z odejściem Ludwika Dorna z funkcji ministra spraw wewnętrznych. Doliński przestał czuć się w komendzie gospodarzem, ale był dobrym śledczym, więc kolejne dziesięć lat kierował wydziałem. Aż do teraz.

– Jak tam, dowódco? – zażartowała. – Słyszę, że żyjesz. Dzwoniłam, ale nie odbierałeś.

– Dzwoniłaś raz w ciągu kilkunastu dni. I to w momencie, kiedy już przestałem czekać – powiedział. – Odłożyłem telefon i całkiem o nim zapomniałem. Nie potrzebuje telefonu ten, do którego dzwonią już tylko prawnicy.

– Jak twoja sprawa?

– Dyplomaci robią swoje i być może rozejdzie się po kościach... Oni nie chcą, żeby wyszła na jaw przeszłość ich bohatera. My nie chcemy, żeby się rozeszło, że obywatel zaprzyjaźnionego kraju zginął tragicznie na terenie kraju Zagłady. Dyplomaci mają więc zbieżne cele, chociaż muszą pewnie uzgodnić cenę.

– Jaką cenę?

– No kogoś trzeba będzie odstawić. Dla mnie to już pewnie oznacza emeryturę. A wiesz, jakie teraz nam zostawili emerytury?

– No jak to? Myślisz, że się pozbędą dobrego psa?

– Najlepszego psa w resorcie po samej Sabie – zażartował Siwy.

Olga nie zrozumiała.

– Po jakiej Sabie?

– „Ludwiku Dorn, psie Sabo, nie idźcie tą drogą”. Nie pamiętasz? Prezydent Kwaśniewski miał o niej przemówienie.

– No proszę, a ty myślisz, że ile ja mam lat?

– No dobrze, był taki minister kiedyś, przychodził tu czasami na fabrykę ze swoją suką, Sabą, i ona ogryzała meble.

Zaśmiał się na to wspomnienie, ale Olga nie zrozumiała żartu.

– No to pożartowaliśmy, a teraz mów, jak się czujesz.

– Jak zбитy pies – powiedział. – Chory jestem.

– Wiem.

– Chemioterapię muszę przyjąć. Wyjdą mi ostatnie włosy.

– Kurwa...

– Eeee, córuchna, nie ma tego złego. Powiedzieli, że mogę sobie perukę zamówić na koszt państwa. No i przynajmniej schudnę. Wiesz, jakie mamy czasy... żarcie z pudełek ludzie jedzą, żeby schudnąć, głodzą się, na siłowniach wytracają majątek, żeby dobrze wyglądać. Schudnę przy okazji. Nie zbiednieję, bo chociaż emerytury zabrali, to chemię będę miał z tej darmowej służby zdrowia.

– Więc pewnie nie najlepszą?

– Może mnie nie zabiją. Wiesz, tam w szpitalu nasi zawsze mieli swoje kadry, więc jakieś zasady obowiązują i dostanę pewnie lepsze łóżko niż by dostał minister z dobrej zmiany.

Tak. Wiedziała. W najważniejszych szpitalach służby zawsze miały swoich ludzi. Nie można było dopuścić, żeby ktoś istotny dla aparatu bezpieczeństwa państwa leczony był bez należytej staranności. No i z drugiej strony, jeśli aparat uznał, że ktoś jest państwu zbędny, to szpital

był najlepszym miejscem, żeby mu się przytrafił zgon z przyczyn naturalnych. Uczą tego na historii. Ale to nie była pora na tę rozmowę.

– Kiedy idziesz do szpitala?

– W środę.

– Przywieźć ci coś?

– Wiesz, jak swoi pilnują, wódki nie przeniesiesz. Nie wiem. Może będę musiał zostać. Powiedzieli, że lepiej, żebyśmy został. Że to długotrwała procedura i mogą potem czuć się różnie. No, ale ja nie po to dzwonię, żebyśmy gadali o szpitalu, ale o tej twojej sprawie.

– O jakiej sprawie?

– O twojej pierwszej sprawie, słyszałem, że ją robisz od nowa.

– Od kogo słyszałeś?

– No wiesz – usłyszała w głosie swojego dawnego szefa nutkę satysfakcji – w naszej robocie musisz węszyć, nieważne, czy siedzisz w budzie, czy latasz po polu.

– Pamiętasz coś?

– Niewiele. Wtedy nie byłem twoim szefem i nie wszystko wiem. Różnie gadali. Rozumiesz, Pawliszук cwany gość był. Ze starej gwardii...

– Co masz na myśli?

– No ze służb. Rozumiesz?

– Aha. – Nastawiła uszu. – Zdjęli ci już podsłuch?

– A rzeczywiście, dzisiaj nie sobota, więc starsi bracia w wierze mogą podsłuchiwać – zażartował Siwy. Żartował, więc nie było z nim najgorzej. – No tak. Był ze służb. Ale przy jego stażu to jednak tylko pułkownik, znaczy nie za wysoko awansował. Zdaje się, że pracował najpierw w wydziale II, wiesz, dywersja ideologiczna, ci wszyscy żołnierze wyklęci, rewizjoniści, dogmatycy, mniejszości narodowe, ale potem nagle go dali do wydziału XII. Więc należał do elity, ale coś poszło nie tak i wylądował z „masonerią”.

– Co to znaczy?

– No wiesz... jaka tam w peerelu była masoneria? Odsunęli go. Dostał odcinek pilnowania, żeby się próba odrodzenia loży masońskiej nie powiodła. Zdaje się, że nazywali to operacją „Loża Kopernik”.

– Poważnie mówisz?

– Poważnie. Kościół brał ten problem poważnie, a władza ludowa słuchała głosu kleru bardzo uważnie. Prymas Wyszyński miał taką tezę, że masoneria chce zniszczyć Kościół z pomocą proletariatu miast i wsi. A jak już Kościół będzie zlikwidowany, to masoneria pozbędzie się komunistów. Generał Jaruzelski był człowiekiem podejrzliwym, więc powołali wydział XII i on był między innymi do walki z masonerią, i Pawliszuk tam dostał zadanie. To tak, jakby go wysłali na Berdyczów, bo nikt tak poważnie masonerii nie brał pod uwagę. No i w ten sposób wypadł z pierwszej ligi.

Siwy zamilkł.

– Co jeszcze powinnam wiedzieć?

– Jak miałś ten wypadek, to chodziło na mieście, że to wcale nie był wypadek – powiedział wreszcie.

Olga poczuła, że robi jej się gorąco. Ktoś już mówił, że to nie był wypadek. Kowal. Kowal jej o tym powiedział. Zbigniew Kowalski. Bogaty gość, podejrzewany o wszystko. O dziwki, narkotyki, nielegalne walki, przemyt ludzi na Zachód. Niczego mu nie dowiedziono. Oficjalnie inwestor. Król deweloperów. Olga odnalazła zabójcę jego młodszej siostry. I wtedy Kowal powiedział jej, jakoś w poczuciu wdzięczności, że wypadek Olgi nie był przypadkowy.

To był moment, w którym zginęła Anka.

– Olga? – Siwego zaniepokoiło jej milczenie.

– Jestem, jestem – westchnęła. – Skąd wiesz?

– Z operacyjnego nasłuchu. Pojawiła się taka plotka, ale szybko przycichła.

– Uwierzyłeś?

– Wtedy nie miałem na fabryce za wiele do gadania.

– Nie pytam, czy miałeś coś do gadania, pytam, czy uwierzyłeś.

Teraz on zamilkł.

– Dowódco? – ponagliła go.

– Tak. Nie dlatego, że ktoś gadał. Miasto często gada pierdoły różne. Ale jeśli jakaś plotka w półświatku nagle kończy życie, to mi się wydaje podejrzane. Sprawdziłem wtedy, czy to jest w naszych papierach. Nie było. Nikt nie dał wiary plotkom o napadzie na jedną z naszych? To też było jakieś dziwne. Potem odzyskałaś przytomność, ale nie pamięć. Długo nie wracałaś. Może ktoś pomyślał, że już po sprawie. A potem postanowiłaś wrócić do służby...

– A ty się mną zająłeś.

– No. Bo już mogłem. Awansowałem. Zostałem twoim szefem. Co prawda sprawę Pawliszuka zapieczętowali wcześniej w archiwum, ale chciałem cię mieć na oku jakby co.

– Jakby co?

– Jakby ktoś wrócił zapytać, co pamiętasz.

KIEDYŚ

– Pamiętasz, co ci mówiłem? – krzyczy Druid. – *Shit happens!*

Toyota uciekinierów grzęźnie w piachu. Ma ciężki nos i z rozerwaną oponą nie da rady się wygrzebać. Gdyby była dwa, trzy metry dalej, tam gdzie zaczyna się asfalt, mieliby szansę. Ale nie w piachu. W piachu dobrze jechać na kołach z niskim ciśnieniem. Ale nie da się wystartować na rozerwanej oponie. Oni to wiedzą. Są ludźmi pustyni. Spróbują dopaść innego auta. To nie będzie proste, bo mają do pokonania z dziesięć, może jedenaście metrów i nie posiadają broni. Chyba że krótką. Tak, myśli Luter, mogą mieć krótką, ze źmiją nigdy nie masz pewności, że nie ukąsi. Toyota obrócona jest tak, że przez okna od strony kierowcy widać, jak Jednoręki szarpie się z klamką.

Druid nie może swobodnie iść, ale mierzy tym razem dokładnie, bo nie może więcej chybić. Nie wie, ile wystrzelił pocisków, ale przecież ma świadomość, że za dużo. Za dużo razy spudłował. Ile mam? Może sześć, może osiem. Na pewno cztery.

Luter łapie oddech, kiedy fala na chwilę się nad nim otwiera. Przewraca się z pleców na bok, a potem klęka, choć ramię rwie go z bólu. Druga ręka sprawna, broni nie wypuścił i ma pewność, że nie zapiaszczył w tej fali, bo przecież upadać tak, żeby nie stracić żądła, to podstawowy trening w jego fachu. Ma kilkanaście pocisków, słyszał strzały Druida, więc rozumie, że teraz więcej zależy od niego. Próbuje unieść lewą rękę, żeby oprzeć na niej MP5, ale ramię nie chce słuchać. Może kula strzaskała kość? Nie da się tego

ocenić w tym momencie. Teraz trzeba wytrzymać ból. Wysoki wytacza się z toyoty i pada na ziemię. Jednorękiego nie widać. Pewnie wypełził z drugiej strony. Wysoki leży płasko, rozciągnięty na piachu. Dym z płonącego piętra wali w niebo. Bóg dał, że nie ma już wiatru, gdyby wciąż wiało od pustyni, dym zasłoniłby Lutrowi cały obraz. Gdzieś daleko w kopalni odzywa się wycie syreny. Ktoś musiał tam podnieść alarm. Pewnie usłyszeli strzały. Luter czuje wibracje na przegubie, ale teraz nie może tam spojrzeć, nie uniesie przecież ręki. Analitycy muszą polegać tylko na odczycie z kamery i czujników. Pewnie widzą, że ma znacznie podwyższony puls. Luter podnosi się i wychodzi na brzeg. Ma do Wysokiego ze dwadzieścia metrów. Nie wie, czy tamten ma krótką broń. Widzi tylko jego grzbiet i nogi. Tamten osłania głowę rękami. Co z Druidem? Zmieniał pozycję? Luter musiałby spojrzeć w prawo, ale nie może spuścić oka z Wysokiego.

– Aniele Boży, stróżu mój – szepce na głos i strzela Wysokiemu w nogi.

Widzi, jak kula rozszarpuje but, i ma pewność, że tamten nie ucieknie. Ale wciąż nie wie, co z Jednorękim. Robi błyskawicznie, w każdym razie wydaje mu się, że błyskawicznie, kilka kroków w stronę toyoty.

Druid kuśtyka, właściwie skacze na lewej nodze, powłócząc za sobą prawą. Wie, że noga jest złamana. Nie boli, bo wstrzyknął sobie to przeciwbólowe świństwo, jakie mają na wyposażeniu, ale choć nie czuje bólu, nie za bardzo ma w nodze oparcie. W morzu po prostu ciągnął ją za sobą jak balast, ale teraz na brzegu noga to prawdziwy kłopot.

Wciąż jednak ma sprawne obie ręce i ma w lufie pocisk, o którym wie, że jeśli trzeba, nie chybi. Zostało jakieś czterdzieści metrów do toyoty. Widzi Lutra, który jest już tylko o pięć kroków od leżącego na ziemi Araba. Widzi, jak Arab, ranny w nogę, przetacza się nagle na plecy i w ułamku sekundy Druid wie, że gość ma w ręku krótką broń. Inaczej leżałby przecież bez ruchu. Czekalby. Zresztą... Druid nie myśli. Reaguje natychmiast. Wypuszcza ten swój przedostatni pocisk i wie, że nie chybi.

Kiedy Luter staje nad ciałem Wysokiego, dostrzega stróżkę krwi, która

wypływa z policzka. Bardzo mało jest tej krwi, myśli, bardzo mało. Otwór po kuli jest mały. Jakby ktoś przypalił skórę papierosem. Rany wylotowej nie widać. Ale pewnie jest większa, bo piach robi się pod głową Araba gęsty i czerwony. Wysoki ma w ręku nóż. Krótkie, trójkątne, grube ostrze do otwierania tętnicy. Nie ma lepszej broni.

Słyszysz huk płomieni. Ogień znalazł jakąś nową strawę. Dalej, od strony kopalni słycać wycie syren i jazgot silnika. Zaraz, za minutę, może dwie, będzie tu znowu towarzystwo. Nie mogą sobie na to pozwolić.

Ale o tym pomyśli za chwilę. Teraz musi odszukać Jednorękiego, więc obiega toyotę cały napięty, bo prawa ręka, w której broń ciąży mu coraz bardziej, zaczyna drżeć. Ale to nic, jest gotowy na wszystko, bo też wszystko, co przeżył, czego doświadczył i czego się nauczył, prowadziło go do tego miejsca. To jego chwila prawdy. Tak, to brzmi jak tytuł jakiegoś żalosego teleturnieju, ale jeśli Jednoręki ma przy sobie broń albo na przykład granat, wszystko może się natychmiast, w jednym momencie, zmienić w dramat. A Luter czuje lęk. Nie, żeby się nie bał. Bał się wiele razy. W drodze, którą wybrał, trzeba się nauczyć z tym żyć, oddychać powietrzem, które śmierdzi strachem. Zasypiać mimo lęku. Jeść, jakby nigdy nic. Żartować ze śmierci i drzeć łacha z kostuchy. Ale teraz ma przeczucie, że trzeba uważać. Zawsze kiedyś jest ostatni raz.

– Hej, Druid! – krzyczy na cały głos.

– Hej, Luter! – słyszy. To mu dodaje otuchy. Po chwili do jego uszu dociera jeszcze trzask zmienianego magazynka.

I wie, że nie może czekać, że musi zobaczyć, co jest po drugiej stronie tego auta. Może to będą tylko ślady na piasku? Gówno tam ślady. Jeśli spierdolił, nie będzie żadnych śladów, tak zdeptane tu wszystko wokoło. A może to będzie lufa jakiegoś izraelskiego karabinka? Arabowie lubią izraelski sprzęt. To musi być jakiś rodzaj perwersji. No nic. Może zabiorą ciało do Polski i może mama powie Aśce co i jak. Zrobił ostatnie dwa kroki i spojrzał w oczy Abu Arifa. Człowiek, który tak lubił odcinać głowy innym

ludziom, leży wsparty na prawym ramieniu, a lewym, tym z kikutem dłoni próbuje osłaniać głowę.

– *No shot!* – krzyczy, a Luter widzi, jak jego biała dżalabija, teraz brudna od kurzu i strachu, robi się w kroku błękitna od wilgoci.

– Co tam!?! – krzyczy Druid.

– Nic, ten chujec szcza w spodnie!

– Co? – Druid nie zrozumiał.

– Szcza! – krzyczy Luter, podchodzi i kopie Abu Arifa w krocze.

Arab zwija się w kłębek.

Z bliska nie jest taki wielki jak na tym zdjęciu z listu gończego.

– *Stand up!* – krzyczy. – *Go!*

A kiedy tamten wstaje, wciąż rozedrgany, popycha go lufą w kierunku otwartych drzwi samochodu, którym przyjechali strażacy. Mają do niego dziesięć metrów. Arab biegnie drobnymi krokami.

Kurwa – myśli Luter – co z tymi dwoma, co weszli do budynku? Może tam gdzieś tkwią w jakimś zawalonym pomieszczeniu, może trafili na tych tutaj i już nigdy nikogo nie wyciągną z pożaru? Ich pech, nie ma czasu, żeby się tym zająć. Kopie Abu Arifa w dupę i nie ma do siebie pretensji, bo pamięta zdjęcia dziewczyn jazydzkich z odciętymi głowami. I pamięta, że na tamtym zdjęciu plamy krwi na ich ubraniach rozlewały się nie tylko wokół szyi. Abu Arif potyka się i opiera kikutem o drzwi samochodu.

– *Go!* – Luter kopie go znowu, a tamten otwiera drzwi i wchodzi na miejsce pasażera.

– *Further!* – Popycha go lufą i skinieniem głowy. – Dalej, przesun się dalej. – Sam przecież nie będzie mógł prowadzić po pustyni z jednym ramieniem przestrelonym, nie wiadomo jeszcze, czy kula przeszła na wylot. Terrorysta podciąga dżalabiję i przenosi nogę ponad panelem z manetką automatu. Toyota jest wielka jak przedział kolejowy, gdyby Abu Arif miał ukrytą jakąś broń, musiałby jej dobyć teraz, ale przecież ma tylko

jedną rękę. Luter nie spuszcza oka z jego pleców. Na białej tkaninie plamy brudu i sadzy.

Wsiada obok terrorysty i, nie spuszczać go z oka, każe ruszać.

– *We will take him.* – Pokazuje wzrokiem w kierunku Druida. Druid stoi na brzegu, broń przy oku, patrzy w kierunku drogi, po której przyjadą samochody z kopalni. Ile czasu jeszcze mają? Minutę, półtorej?

– *Go!* – Toyota zawraca i podjeżdżają do brzegu, Druid wdrapuje się na tylną kanapę.

– Hej, Luter!

– *Go! Idhab!* – krzyczy Luter do Abu Arifa i tamten rozumie, że trzeba ruszać. – Hej, Druid. Dasz radę prowadzić?

Druid pochyla się do przodu, żeby lepiej słyszeć, wytrzepuje sobie wodę z ucha. Toyota buksuje chwilę, kiedy z twardego nadmorskiego piachu wjeżdża w ten rozjeżdżony pas przed płonącym budynkiem.

– Wolałbym, żeby on nas nie wiózł jednak.

– *Roger* – mówi Druid, sięga po nóż, który ma w pochwie pod prawym kolaniem, i podcina gardło Abu Arifowi. Toyota jedzie dalej, przez chwilę przyspiesza, a Arif napręża ciało w zdziwieniu, strachu i bolesnym skurczu, kiedy wszystko w tobie twardnieje w jednym krótkim momencie, zanim życie opuści na dobre tę brązową, żylastą, lśniącą skórę i sprawdzi, czy za horyzontem nieba czeka prorok czy demon. Ale po chwili jego ciało wiotczeje i wówczas toyota zwalnia i toczy się jak zabawka aż do ściany budynku. Uderzenie jest delikatne i samochód staje. Krew leci z rozciętego gardła jak barszcz. Czerwona i pełna flegmy.

– Po co to było? – pyta Luter. – Mogliśmy go wziąć żywego.

– Dwóch rannych operatorów i morderca, który ucieka od lat armiom wolnego świata? Wedle mojej oceny sytuacji nie mogliśmy – mówi Druid, otwiera drzwi i niezdarnie wyłazi z auta, bo na lewej nodze nie może się oprzeć bez bólu.

– Identyfikacja! – nakazuje Lutrowi, ale zupełnie niepotrzebnie, bo

Luter przecie wie, co robić. Wie, że nie wolno wracać do tej śmierci, bo co się stało, to się już stało. Żeby zostać operatorem, trzeba być jednym na tysiąc. Mieć tę wyjątkową, daną tylko nielicznym umiejętność podejmowania błyskawicznych decyzji w sytuacji granicznej. Cały trening polega na tym, żeby stawiać człowieka przed granicą jego możliwości. Wtedy wiadomo, kto potrafi je przekraczać, a kto nie potrafi. A przy tym trzeba sobie zdawać sprawę z tego, że żadna granica nie jest ostateczna. Nie ma w wojsku miejsca dla tych, którzy odkładają na później. I nie chodzi o to, czy potrafisz zrobić tysiąc przysiadów, tylko o to, żeby szybko myśleć. Więcej dostrzec. Więcej zapamiętać, przewidzieć więcej wariantów w krótszym czasie. Wszystko tkwi w głowie. W dodatku są zespołem. Każdy zna swoje miejsce. Drobnemu facetowi łatwiej się ukryć. Wysokiemu łatwiej sięgnąć na górną półkę. Każdy musi mieć wolę przetrwania, silny charakter, pokorę i opanowanie. Luter nie traci czasu na wyjaśnienia, na pretensje, na narzekanie. Teraz trzeba pokazać światu, kogo mają do wykreślenia z rejestrów poszukiwań. Wychodzi z samochodu, sprawdza, czy kamera z boku głowy wciąż działa. Odpina ją i robi zbliżenia na twarze trzech zabitych terrorystów. Po kolei. Na każdego dwie, trzy sekundy stopklatki. Potem chowa kamerkę do kieszeni, bo potrzeba mu obu rąk, żeby ją z powrotem wpiąć. Pochyla się i przegląda kieszenie Jaafarowi. Wyciąga z nich wszystko i upycha sobie do kieszeni na piersi. Słyszy, że samochody z kopalni są już naprawdę blisko. Wie, że w tym czasie Druid fotografuje Abu Arifa, a potem wsuwa się na miejsce kierowcy. Zanim Luter wróci na swoje, Druid wysyła z komunikatora sygnał „Positive” i ustawia przekładnię toyoty w pozycji „R”.

Czeka tylko ułamek sekundy na odzew i sprawdza komunikator.

– „CODE 12” – mówi głośno. – Wybrali wariant ewakuacji z pustyni w pobliżu granicy z Kuwejtem, więc mamy kawał drogi do zrobienia.

„Positive” – wysyła sygnał.

– „EV.2000” – odczytuje. Mają cały dzień na przejechanie dwustu

kilometrów bezdroży.

Ruszają od razu w stronę przeciwną do tej, gdzie leży kopalnia, i jadą asfaltem w nadziei, że tamci przegapią ich ucieczkę, że zajmą się zwłokami, pożarem, że się wystraszą tego, co zobaczyli, będą się naradzać, panikować, że zanim któryś sięgnie po telefon i wezwie policję, miną ze trzy minuty. A potem, zanim policja tu dojedzie, oni skręcą na pustynię i pojedą przez jej pomarańczowe wzgórza daleko na północ. Policja zorientuje się, kim są zabici, i wtedy w ślad za uciekinierami ruszy cała elektroniczna machina na Bliskim Wschodzie. Ale na pustyni, wbrew pozorom, panuje spory ruch. Zanim ich odnajdą, będą w strefie, do której może dotrzeć śmigłowiec. Skręcają w piach w miejscu, gdzie widać wyraźne koleiny. Ludzie z kopalni pewnie przyjeżdżają tu pojeździć po wydmach. Pustynia jest rozpalona, jakby miały się jej wyrzynać zęby. Wydaje się ludziom morza wroga i bliska zarazem. Bliska, bo bezkres pustyni jest taki sam jak bezkres oceanu. Nie da się go opisać ani nie da się ogarnąć. Ale obca, bo przecież w piachu nie można się ukryć. Pustynia nie zapomina. Zasypuje w piasku ślad po śladzie, ale to się nie dzieje od razu. Nie w jednej chwili. W morzu nie zostawiasz śladów. Morze zapomina, że wyszedłeś tylko na chwilę, i pamięta, że obiecywałeś być na zawsze. Pustynia nie zapomni. Ślady samochodów wiły się na jej brzuchu pomiędzy wydmami niczym ślady węża. Takich śladów nie można umyć deszczem. Tutaj przecież nie padają deszcze.

– Dasz radę?

– A, kurwa, co? – Druid odwraca się na chwilę i mruga do Lutra. – Mamy inne wyjście?

Czasami pustynia jest skalną skorupą pełną połamanych, potrzaskanych skał. Innym razem jedziesz po oszlifowanych przez piach okrągłych kamykach, które lśnią w słońcu jak monety. Są ich miliardy. Bywają wadi, wyschnięte rzeki, albo zarośla ostrokrzewów. Widzisz w oddali namioty nomadów albo musisz zatrzymać się i czekać, aż przejdą przed nosem stada

wielbłądów i kóz.

Bywa, że ślady na północ są wyraźne, a z przeciwka jadą pikapy albo nawet ciężarówki. Bywa, że kończą się ślady i zaczynają diuny. Wtedy jest najtrudniej. Czasami wydmy mają łagodne stoki. A czasami są bardzo strome. Zwłaszcza że kiedy słońce w zenicie, pustynia traci swoje kontury i wydaje się kompletnie płaska. Żeby się nie zsunąć, trzeba dojechać do przełamania, korzystając z pełnej mocy silnika, a na przełamaniu stoku zwolnić, żeby nie okazało się, że po przeciwnej stronie stok jest podcięty i polecisz pełnym wiórem na przeciwstok sąsiedniej wydmy, a wtedy wszystko się skończy, bo nawet jeśli wyjdą z tego cało, to samochód dalej już nie pojedzie.

Druid jedzie uważnie, ale pewnie. Wciąż naładowany adrenaliną. Luter znajduje w schowku w drzwiach puszek coli. Nie są zimne, ale to nic nie szkodzi. Są z wody i cukru. Ze wszystkiego, czego im teraz najbardziej brak.

Kiedy zjeżdżają z wydm, zasypia. Śni mu się Aśka. Jest w niebieskiej sukience, ale włosy ma inne, krótsze, spadają jej do oczu, kiedy płacze. Ale nad czym płacze, nie wie, bo kiedy się budzi, niczego przecież nie pamięta. Kiedy się budzi, jest w toyocie sam. Niebo nie jest już rozpalone do białości, ale nabrało głębokiej, błękitnej barwy popołudnia. Silnik wyłączony. Druida nie ma. Luter wysiada i obchodzi wóz dookoła. Stoją na wysokiej wydmy. Pomarańczowe diuny ciągną się po horyzont, ale w dole widać szarą, płaską skorupę gołej, lśniącej od kryształów soli ziemi. Arabowie nazywają takie przestrzenie szapkami. Szapka pozwala jechać szybko i pewnie. Ale jeśli ktoś ich szuka, a z pewnością ktoś ich już szuka, i jeśli domyślił się, że jadą na północ, będzie ich przecież tropił właśnie tam, na tych śródwydmowych szlakach dawnych karawan.

Samochód stoi tak jak należy, tak jak ich uczyli, nosem w dół. Na piachu po równym nie ruszysz. Samochód musi stać na twardym i musi być przodem w dół. To jedyna szansa.

Druid szcza jakieś pięć kroków dalej.

Lewą nogę ma obandażowaną razem z trzonkiem od saperki.

– Przejrzałem bagaż – mówi, nie odwracając się. – Jest sporo wody, więc pij. Trzeba się nawadniać. Są też czipsy.

– A wódka?

– Wódki, kurwa, nie, taki kraj.

Potem Druid rozcina rękaw skafandra Lutra i ogląda ranę. Kula przeszła na wylot. Nic się teraz nie poradzi. Wysypuje mu w tę ranę sulfamidy z saszetki i bandażuje najlepiej, jak można.

Siedzą potem na wydmie, piją wodę i patrzą.

Jest tylko kilka spraw, które mogą się równać z pustynią: usta pierwszej kochanki, burza na oceanie, kiedy dopiero zbiera siły i jeszcze spod niej widać bliznę słońca. Albo kiedy dzień wstaje nad dżunglą. Albo słońce w wysokich górach po wielkim śniegu. Ze wszystkich stworzeń pustynia jest najbardziej kobieca. Ma skórę złotą i miękką, a przed świtem i po zmierzchu jest chłodna i pełna mgły. Myślisz, że w takiej mgle wszystko by się mogło zdarzyć całkiem od nowa.

Wieczorem docierają do miejsca, gdzie wszystko jest już płaskie i szare.

Dwaj chłopcy po dziesięć, może dwanaście lat pilnują stada. Mają szare, długie kaftany z wełny. Ładne. Podłużne pasy na przemian szare i bordowe. Kóz jest mnóstwo. Nie wiadomo ile, ale mnóstwo. Obzerają zarośla ostrokrzewów.

Chłopcy mają mleko i ser.

Zgadzą się wymienić je na puszki coli, wodę i czipsy.

Muszą być blisko granicy, bo kiedy Druid wysyła ich pozycję w kosmos, komunikator decyduje. „OK.HalfH”. Mają pół godziny.

Luter przysypia. Boli go ręka. Czuje się zmęczony. Chłodne powietrze nocy i ciepły płomień ogniska sprawiają, że wreszcie się rozluźnia. Dzieciaki nie wyglądają niebezpiecznie. Zajrzał do ich namiotu, ale były

tam tylko ubrania, garnki, palenisko, Koran, agregat, butle z wodą. Nic specjalnego. Mleka nie mają dużo, bo tylko kilka kóz ma małe.

Druid próbuje gadać z dzieciakami. Pokazuje im zdjęcia w małym cyfrowym aparacie.

Jak on, kurwa, to zrobił, że zabrał ze sobą aparat? – myśli Luter. To kompletnie wbrew instrukcjom. Gdyby zostali przez kogokolwiek wyeliminowani, po tym pierdolonym aparacie można byłoby ich zidentyfikować. Co za debil. No ale głośno niczego nie powie. Pogada z nim w bazie. W cztery oczy. Druid jest dobrym żołnierzem, ale ma skłonność do samodzielnego podejmowania decyzji niezgodnych z duchem ich pracy. Mimo to szefowie uznali, że się nadaje. Że jego niewyparzona gęba i nieposłuszeństwo dają się zrównoważyć wolą walki i kreatywnością w trudnych sytuacjach. Więc chuj z aparatem... Niech się pochwali zdjęciami. Co takie chłopaki mogą zapamiętać? Warszawę rozpoznają ze zdjęcia?

Śmieją się. Oglądają śnieg. Pewnie nigdy nie widzieli śniegu.

Jakieś nocne zwierzę przebiega w pobliżu. To nie koza, raczej jakiś kot... Luter zasypia. Druid pokazuje dzieciakom zdjęcia Abu Arifa.

– A tego gościa znacie?

Patrzą.

– Abu Arif... – mówi jeden – *dead*?

Druid potakuje, pokazuje im inne zdjęcie. Gdzieś w oddali słychać terkot silnika.

– *Our chopper.* – Druid podnosi palec w górę. – *We going home.*

Młodszy chłopak wstaje i idzie do namiotu. Wychodzi po chwili z pistoletem o długiej lufie i zanim Druid zdąży się zorientować, strzela śpiącemu Lutrowi w głowę. Odwraca się, żeby strzelić do Druida, ale ten zdążył już dobyć swoją krótką broń. Jest doskonałym strzelcem. Trafia chłopca w szyję. Pewny strzał, z bliska. Drugi kręci głową, krzyczy *no, no...* tego trafia w serce. Z chłopaków krew leci jak z zarżniętych jagniąt.

Potem ogląda towarzysza. Z dziury w głowie Lutra krew leci czarna jak kawa. Niewiele tej krwi. Strasznie mało.

TERAZ

– Niewiele tej krwi było, strasznie mało... – Już nie płakała. Ale jeszcze ją dławiał ten spazm, niepohamowany brak oddechu. Ni to zgon, ni czkawka. Kiedy była dzieckiem, matka mówiła jej, że jeśli za długo płaczesz, to się serce nie chce uspokoić.

Szymon nie pytał. Pozwolił jej opowiedzieć to wszystko jeszcze raz. I jeszcze. Przeżyć deszcz w późny sobotni wieczór. Wracaly z kina Atlantic. To był animowany film o jakiejś papudze. Nie pamiętała szczegółów, bo go nigdy więcej nie chciała oglądać. Może teraz, może gdyby Szymon przyjechał, to mogłaby obejrzeć? Leżeliby na podłodze, na wszystkich kocach, jakie ma w domu, i oglądaliby na laptopie. A może by nie oglądali, ale już by się odważyła dowiedzieć, o czym był. Bo nie pamiętała. Sprawdziła, co wtedy grali. I przeczytała o tym filmie na jakimś portalu. Rio... Ale nie odważyła się obejrzeć. Po wypadku o tym nie pamiętała, ale dzisiaj już wie, że wracały przez miasto. Nie umiała sobie przypomnieć, ale musiała wtedy pracować z psychologiem... a ten doktor, doktor Skotnicki, cierpliwy był, a ona się starała, bo chciała wrócić do pracy. Ale nie mogła przypomnieć sobie nic. Tylko sam moment uderzenia. Sprawdziła jednak, co jest w papierach. No i okazało się, że ktoś nad tym pracował, ktoś sprawdził monitoringi. Przeczytała, że z odczytu kamer wynika, że jechały wtedy przez Stare Miasto. Wtedy dopiero przypomniała sobie więcej. Że Anka chciała zobaczyć Kolumnę Zygmunta. Tam zawsze tłok w sobotę wieczorem, ale w deszczu jakoś mniej ludzi. Niestety nie było miejsca, żeby zaparkowały.

– Jedźmy – powiedziała. – Pogramy w coś.

– Aleee maaamo! – obraziła się Anka.

– Nie chciałam się zatrzymać, zimno mi było. Nie lubię w deszczu po ciemku jeździć. Zmęczona byłam. Nie miałam ochoty moknąć na rynku, a Anka chciałaby na rynek. I jeszcze potem na Krakowskie, żeby jej kupić zapiekankę. Anka zapiekanka. Tak czasem mówiłam... wiesz, ona uwielbiała ser i pieczarki. Wiesz?

Szymon milczał.

Milczał tak bardzo, że nie miała pewności, czy słucha, ale bała się, że kiedy zapyta, to nie wróci już do tego miejsca, że już nie będzie potrafiła przedrzeć się przez mrok. Milczał, ale wiedziała, że jest po drugiej stronie. Wiedziała, że słucha. Że choć to kawał świata, to jednak nie jest sama w ciemnym teraz, cichym pokoju na Żoliborzu. Bez królika. Bez kota i bez psa. I bez dziecka. Ale jednak z kimś, kto słyszy. Jej matka powiedziałaby, że Bóg zawsze słyszy, ale Olga nie miała pewności. Gdyby zawsze słyszał, to słyszałby, jak jej córka woła pomocy. Ale nie usłyszał. Nie przechodził obok, nie pochylił się, nie dotknął rany i nie powiedział: chcę, bądź zdrowa.

Ale Szymon jest. Słyszy. Więc Olga będzie mówić.

– Wiesz, miałam wtedy taką nową bluzkę, myślałam, wrócimy, zrobię jej jajko na miękko albo tosty. Wino otworzę, poczekam, aż Krzysiek wróci. Miał wrócić wieczorem. Myślałam, że paznokcie pomaluję, zapalę świece i poudajemy, że jesteśmy w jakiejś restauracji albo kawiarni. Chciałam wracać. Przebrać się, wyszykować. Przejechałyśmy więc Podwale i nie zrobiłam drugiego kółka, i na Miodowej skręciłam w prawo.

– Oj maaaaaaamo! – marudziła Anka. – Jaaaaak mogłaś? Obraaażam się na ciebie.

Od tej pory już milczała. Skręciłyśmy w lewo koło pomnika katyńskiego, znaczy tego wiesz, tego z krzyżami na wagonie, sybiraków. Różne krzyże. Normalne, ukraińskie, nawet są gwiazdy Dawida i ten nagrobek muzulmański, kiedyś ci pokażę ten pomnik. Ludzie go w ogóle

nie czytają, mija się go, bo stoi tak jakby w połowie drogi między pasami ruchu. No a potem przez wiadukt. I na placu Inwalidów to było. Musiał wyjechać z boku i uderzyć z dużą prędkością. No ale tego nie umiałam sobie przypomnieć nigdy. I nie zobaczyłam na monitoringu, bo jakoś w dokumentach śladu nie było. A kiedy wyszłam ze szpitala, to nie próbowałam szukać. A pewnie by tam jakieś kamery były jednak. No ale nie wiem. Pamiętam tylko ten ostatni moment. Auto do góry nogami. My w pasach wisimy. Szyba rozbita, miałam potem takie ranki na twarzy od tej szyby. Zdaje mi się, że nie padał już deszcz, ale asfalt mokry i na tym asfalcie widzę, jak się odbijają czerwone światła. Ale nie słyszę. Nic nie słyszę. A potem czuję, że się obracamy razem z samochodem. Ciemno się robi i Anka krzyczy. Wtedy widzę te światła ciężarówki, która w nas wjechała. No a potem się duszę. Mam czasami ten bezdech ze strachu w małych pomieszczeniach, wiesz, w windzie, w toalecie w pociągu, chociaż teraz już nie, bo teraz większe toalety robią, ale w tych wagonach starego typu to wolę nie wchodzić. A potem jeszcze pamiętam, jak ciało Anki wisi w tych pasach i ona ma otwarte oczy. I usta ma otwarte. I ma tę żółtą kurtkę. I na tę kurtkę kapie krew. Kap. Kap. A ja myślę: Boże! Jak mało krwi, widzisz, Anka? Upierze się. A ona nic nie mówi i ja krzyczę. No i tyle pamiętam.

Kończy mówić. I czuje się lżejsza. Nie płacze już. I nie brakuje jej oddechu. Brakuje jej bliskości. Nawet nie chodzi o miłość, o „że cię nie opuszczę aż do śmierci” i wszystkie te zaklęcia i przysięgi. Bliskości jej brakuje. Żeby ktoś się z nią położył na kanapie tak, żeby mogła pupą się wtulić w podbrzusze. I żeby to był Szymon. Nawet w samych majtkach. Znowu jej się chce płakać, ale wstrzymuje to, połyka.

– Przyjadę i cię przytulę, dobrze? – mówi on wreszcie. – Pamiętaj. Masz zamówione.

– Tak – mówi ona. – W samych majtkach? – pyta i zaraz myśli sobie, że jest głupia, bo teraz Szymon się roześmieje albo z niej zakpi i wszystko

zepsuje.

– Ale co?

– No przytulisz.

– Tak – mówi on. Całkiem poważnie. – W samych majtkach.

I robi jej się wtedy jakoś lżej. Płacze sobie, ale samymi oczami. Nie pociąga nawet nosem, nie wyje i nie histeryzuje. Jest tak, jakby oglądała *Listy do M. Albo Lot nad kukułczym gniazdem*.

– A tehas powiedz mi o tym monitohingu – prosi Szymon.

– O jakim?

– Na Stahym Mieście, tak mówiłaś, że był odczyt z monitohingu.

– Był.

– Ciekawe. Sądzisz, że to standahdowa phoceduha, że sphawdzają monitohing ze Stahego Miasta w postępowaniu o wypadek na Żoliborzu?

– No ale ten kierowca uciekł.

– Ale uciekł kilka kilomethów dalej, phawda?

– Tak, to prawda... – zamyśliła się. – Myślisz, że ktoś chciał sprawdzić, czy za mną jechał, czy mnie ktoś śledził?

– No. Tak myślę. A ten z ciężarówki?

– No jechał za szybko, nie wyhamował na śliskiej nawierzchni. To nie była jego wina. Prokurator umorzył postępowanie przeciwko niemu. A tego, co w nas uderzył z boku, nie ustalono.

– A monitohingów nie ma?

– Nie ma. I nie ma świadków. Nikt nawet z psem nie szedł wtedy, taka była pogoda do dupy. Wszystkie odcienie szarości.

– Co mówisz?

– A nic. Skala kolorów polskiej jesieni. Wszystkie odcienie szarości.

W internecie widziałam taki obrazek.

– Gadałaś z nim?

– Z kim?

– Z tym z ciężarówka?

– Nie. Nie gadałam.

– A przecież to twój jedyny świadek. Więc tehas, skoho sphawa jest odwieszona, powinnaś z nim pogadać.

– Nie ta jest odwieszona, tylko sprawa Pawliszuka, mówiłam ci.

– A jeśli, jak mówi ten twój szef, te sphawy się łączą? Może na coś thafiłaś? Na coś, czego nie pamiętasz? Może powiedziałaś komuś za dużo?

– Nie pamiętam. O Pawliszuku nie pamiętam za wiele. Przecież miałam tę sprawę dwa dni.

– No to jutho hano zacznij od tego, że przeczytasz akta.

– Jutro rano, mój kochany, mam śniadanie z bardzo dystyngowanym biznesmenem czy też może raczej przedsiębiorcą, bo on woli polski od angielskiego.

– Stahasz się o phacę?

– Nie. Staram się o prawdę... – Ziewnęła. – Gdybyś tu był, przytuliłabym się do ciebie i może potrafiłabym zasnąć...

Ugryzła się w język przed „szczęśliwa”.

Ranek był szary i jakiś mroczny, ale tym razem przemknęła do śródmieścia bez większych opóźnień.

W wiadomościach radiowych usłyszała, że prezydent Duda domaga się od ministra Macierewicza wyjaśnień w sprawie nieobsadzania stanowisk attaché obrony w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii.

„Czy po tym ruchu prezydent zapyta o kwestie nominacji generalskich?” – zastanawiał się redaktor. Usłyszała też, że film *Wołyń* Smarzowskiego otrzymał dziewięć statuetek na Gali Orłów i pomyślała, że poza jej Warszawą jest gdzieś jakaś zupełnie inna. Miasto nienominowanych generałów i wielkich bankietów, na których można się bezkarnie upić całkiem za darmo w dobrym towarzystwie. I że nigdy w życiu nie miała sukienki odpowiedniej do pokazania się w takim

towarzystwie. W ogóle jedyną, jaką miała tak naprawdę w dorosłym życiu, była ta ślubna. I że nikt żadnej sukienki nigdy nie zsuwał jej z ramion i że to nie jest sprawiedliwe.

Na światłach stała za śmieciarą. Mimo chłodu i mżawki po prawej stronie na stopniu stał chłopak w pomarańczowym kombinezonie. Niektórzy zrobią wszystko, żeby spełnić dziecięce marzenia. Czytała, że chłopcy chcą być strażakami albo jeździć śmieciarą. A dziewczynki chcą być księżniczkami albo tańczyć w balecie.

– Służbowo jestem. – Zaparkowała przed Intercontinentalem na podjeździe dla taksówek i pokazała blachę portierowi. – Proszę zwrócić uwagę, żeby mi jakiś Uber nie zastawił wyjazdu, dobrze?

– Nasi goście nie korzystają z Ubera. – Wydał wargi, jakby cały dzień trenował selfie z... nie wiedziała, z kim się teraz robi selfie. Chyba z Dodą. A może z Dawidem Podsiadłą.

Zapytała o Downtown i usłyszała, że najlepiej windą. Olśnił ją widok na Pałac Kultury, ale nie zdążyła się przyjrzeć, kiedy podszedł do niej młody człowiek, wysoki, granatowa marynarka, dobrze skrojona, szyta na miarę, bo pod żadną sklepową marynarką broń nie kryje się tak niezauważalnie.

– Pan Kowalski oczekuje, zaprowadzę panią – powiedział, a ona pomyślała, że na układaniu i przystrzyganiu brody ten chłopiec musiał spędzić dzisiaj więcej czasu niż ona na myciu włosów. Szedł sprężystym krokiem skoczka narciarskiego, a ona dziwiła się, dlaczego przychodzą jej do głowy takie myśli.

– Witam panią, Olgo. – Kowalski wstał, żeby odsunąć jej krzesło. Wybrał stolik pod oknem, a krzesło, które jej odsunął, było właśnie tym z widokiem. – Miała pani dobrą podróż? Świetnie pani wygląda.

– Dzień dobry. – Uśmiechnęła się i pomyślała czy zauważył, że ma dzisiaj pomalowane usta. Ledwo, ledwo. Może nie zauważył.

– Podadzą nam tatar, chyba że woli pani carpaccio. Sery pleśniowe, regionalne wędliny i chleb, a mają tu naprawdę nieprawdopodobny chleb.

No i kawę. Pewnie nie tak dobrą jak ta, którą piliśmy u pani. Najjar, prawda? Libańska.

Wzruszyło ją, że zapamiętał.

– Mam ochotę na naleśniki z czymś słodkim. – Uśmiechnęła się. A Kowal pokiwał głową w sposób, który kazał jej przypuszczać, że się tego domyślał.

– Ale po tatarze oczywiście.

– Oczywiście.

Zapytała o jego ochroniarza. Tego, który kiedyś przyniósł jej zakupy i który chodził za Kowalem krok w krok. Zwalisty, goryłowaty typ, który wyglądał, jakby sto dwadzieścia kilo wyciskał jedną ręką.

– Stasiu? No cóż, poprosił mnie o urlop.

– Przeskrobał coś?

– Nie... – roześmiał się Kowalski – licencjat postanowił napisać. Z literatury iberoamerykańskiej. Ja sporo czytam. W końcu i on zaczął. Lubi Llose. Więc dostał urlop. Oczywiście jego uposażenie się nie zmieniło. Pewnego dnia przecież wróci. To świetny chłopak. Może trochę nieśmiały w stosunku do kobiet, ale odważny. Nie, nie w tym sensie, który mógłby przyjść do głowy policjantce na widok uzbrojonego kulturysty. – Uśmiechnął się lekko, a Serbia zawstydziała się tego „przeskrobał”. Całe szczęście, że nie zapytała wprost, czy „siedzi”. – Odważny, bo potrafi na przykład zapytać wprost: „Szefie, co trzeba zrobić, żeby w biznesie osiągnąć sukces?”.

– I co pan odpowiedział?

– Zapytałem, kiedy ostatni raz patrzył w lustro. Kiedy zadał sobie pytanie, czy sam siebie lubi. A potem poprosiłem, żeby odpowiedział sobie na pytanie, czy lubi ludzi, z którymi pracuje. Nie, nie dlatego, żeby mi przyklaskiwał, potakiwał, powiedziałem mu tak, żeby sobie to przemyślał. Sekret w tym, że człowiek, który siebie nie lubi, buduje wokół siebie bariery, a ludzi trzeba dopuścić blisko, to pozwala wymieniać wiedzę

i doświadczenie, pozwala dawać i otrzymywać. W sukcesie finansowym nie ma tajemnicy. W ciągu sześciu, dziesięciu miesięcy finansów może się nauczyć psycholog, inżynier budownictwa czy specjalista od literatury. Nie o to chodzi. Chodzi o to, żeby odkryć swój własny talent. Trzeba znaleźć sposób na to, by stale mieć motywację, trzeba widzieć cel, do jakiego się zmierza. Każdy z nas ma talent, ale nie każdy go wykorzystuje, często nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, jaki talent posiada.

– I co?

– I wtedy Stasiu zapytał, czy może zrobić licencjat.

Tatar był pyszny. Ale nie przyszła tu na wymianę uprzejmości. I nie miała czasu, żeby tak siedzieć w nieskończoność.

– Panie Zbigniewie... – Poczwała, że się czerwieni.

– Nie musi pani kończyć. – Popatrzył jej w oczy. – Mam wobec pani dług. Nie zapomniałem.

Tak. Miał dług. Trzy miesiące temu Olga odkryła, kto i dlaczego zabił jego siostrę. Po pogrzebie powiedział jej, że jest wdzięczny, bo zmarli muszą mieć spokój, nie wolno zostawiać za sobą niezamkniętych spraw. I dopóki nie załatwi się spraw naszych zmarłych, oni nie będą mogli spokojnie odejść.

– Chcę, żeby pani wiedziała, że to dla mnie ważne. Dla Doroty. Dla mojej matki – powiedział wtedy. Szli wolno, a śnieg skrzypiał im pod butami. – Ale pani wie, o czym mówię, prawda? – zapytał.

– Nie rozumiem...

– Pani miała córkę.

– Tak, zginęła w wypadku. To ja prowadziłam...

– Wiem – odparł. – Znam tę historię. Ale to nie jest załatwiona sprawa. Bo to nie był przecież wypadek.

– Jak to? – Podniosła oczy w górę.

– To nie był wypadek. Tak mówili o tej sprawie źli ludzie, którzy nigdy

nie kłamią. Powinna pani do tego wrócić...

A teraz patrzył na nią. Miał smutne spojrzenie. A może nie, nie smutne, ale pełne troski.

– Pamiętam, co powiedziałem. Sprawy zmarłych trzeba załatwić do końca.

– Ja też pamiętam. „Źli ludzie, którzy nigdy nie kłamią”.

Pokiwał głową.

– Bardzo źli?

– Tak, że nie będę mógł pani pomóc. Nie złożę zeznań, to oczywiste. Ale też nie przyjadę na białym koniu, kiedy będą panią obdzierać ze skóry. Ani ja, ani Stasiu, ani ten mój nowy talent, Eugeniusz.

– Ale powie mi pan?

– Spróbujmy tych naleśników, dobrze? – Milczał chwilę. – Pani była zbyt spostrzegawcza na miejscu tego pożaru na działkach na Kępie Potockiej. Nie wiem, co pani zobaczyła, ale to się im nie spodobało.

Teraz ona milczała.

– A więc to ktoś od nas?

– Że z policji? Nie... kiedyś tak, ale wtedy już długo, długo nie...

– Ze służb?

Przynieśli naleśniki, gofry i dżem.

– Dżem z maracui – powiedział kelner. – Wspaniały.

Tak. Był wspaniały.

– Powiem pani taką rzecz – zaczął Kowalski tonem, który zmusił ją do uwagi. – W tym kraju wszyscy, no, prawie wszyscy, i opozycja, i „dobra zmiana”, i nawet byli komuniści wierzą, że w 1989 roku mieliśmy bezkrwawą rewolucję i demokratyczne siły w naszym społeczeństwie, nazwijmy je środowiskami Solidarności, w pokojowy sposób, bez rozlewu krwi pokonały komunistyczny reżim przy okrągłym stole. Można ten mebel obejrzeć do dzisiaj przy okazji zwiedzania pałacu prezydenckiego.

– A nie było tak?

Uśmiechnął się.

– Żli ludzie, dokładnie tak samo jak dobrzy, chcą szczęścia dla swoich dzieci. Chcą zbudować im przyszłość. Zorganizować przedsiębiorstwa, które im przekażą, zgromadzić majątki, wybudować pałace i wypełnić ich ściany dziełami sztuki. W tamtych czasach dobrzy ludzie mieli życie na kartki. Wie pani, od pierwszego do pierwszego. I czasami mieli też małego fiata. Ale źli ludzie mieli kapitał w zagranicznych bankach oraz wiedzę, jak go użyć. Wysyłali dzieci na zagraniczne uczelnie. Mieli plan, jak przejąć majątek należący do ludu pracującego miast i wsi. Wszystko, oprócz jednego. Rozumie pani, co mam na myśli?

– Nie – przyznała. Nie chciała się domyślać. Chciała usłyszeć.

– Nie mieli poczucia bezpieczeństwa, bo żyli w kraju, w którym każdego mogli wziąć na przejażdżkę „nieznani sprawcy”. I księdza Popiełuszkę, i członka biura politycznego. W komunistycznej dyktaturze nikt nie był bezpieczny. A oni chcieli bezpiecznego świata dla swoich bogatych i wykształconych dzieci. Wiedzieli o tym, jak deprawujący jest system demokratyczny; o tym, że można kupić wybory, załatwić nominację kogoś zaprzyjaźnionego na sędziego trybunału w Ameryce i załatwić sobie w ten sposób podpis na decyzji, o którą im chodzi. Nie mieli złudzeń, że świat wolnego rynku to świat przekrętów, przekupstw, korupcji i szantażu. Że można kupić miejsce w senacie albo przekupić lub zastraszyć senatora. Znali wszystkie słabości demokracji, to prawda. Ale w demokracji nikt nie przychodzi o świcie, żeby bogatego człowieka wywieźć w nieznane. Demokracja zapewnia bogatym ludziom bezpieczeństwo. I tego chcieli dla swoich dzieci.

– Co to ma wspólnego ze mną?

– Nie wiem. Ale przypuszczam, że wynajęli specjalistę, żeby profesjonalnie panią wyeliminował w wypadku drogowym.

– Nie był profesjonalistą – powiedziała głucho. – Zabił mi córkę.

– Słyszałem, że nie byli zadowoleni, ale wyjaśnił im, że *shit happens*...

Dokończył kawę.

– A teraz zapewne się pani spieszy, a ja nie znam już żadnej interesującej historii.

KIEDYŚ

– Może już wystarczy? Pani się zapewne spieszy, a ja nie mam już nic do dodania w tej sprawie. – Tak, był opryskliwy, ale przesłuchania trwały w nieskończoność. Było dużo gorzej niż po Afganistanie. Po Afganistanie procedura jest zresztą standardowa: najpierw urlop, a potem stajesz przed komisją, która określi gotowość bojową.

Teraz komisja była podobna, a jednak specjalna. Dwóch z jego branży, jeden w stopniu generała, psycholog i dwóch posłów, a do tego dwoje wysoko postawionych urzędników z ministerstwa. Cywilna kontrola nad armią. Dlaczego zabił Abu Arifa, potrafili zrozumieć. Nie od razu, ale jednak potrafili. Przyznali, że dwaj poważnie ranni operatorzy nie mieliby szans na ucieczkę w towarzystwie jednego z najbardziej niebezpiecznych przestępców świata. Że szansa na jego wyeliminowanie była realna, tylko dopóki czuł się zdominowany. Nie dało się wykluczyć, że miał plan ucieczki. Że za którąś kolejną wydmą czekał na niego pluton uzbrojonych ludzi albo snajper, dron, cokolwiek. Pozostawienie go żywego za kierownicą narażało misję. A misją była jego eliminacja, a nie porywanie w celu postawienia przed jakimkolwiek sądem. Zresztą co to są teraz za sądy? Ale nie umieli zrozumieć, dlaczego zabił dwóch chłopców. Dzieci. Jedno z nich strzeliło do jego towarzysza, miało w ręku broń, więc uzasadnieniem było, że zrobił to w obronie własnej. Ale dlaczego zabił i drugie dziecko? Śmigłowiec był już naprawdę blisko.

Przypomniał im sprawę z 1991 roku. To było w Iraku, 25 stycznia 1991. Przypadkowy chłopak odkrył obecność obserwatora brytyjskich żołnierzy

z Bravo Two Zero. Brytyjczyk nie zdjął chłopaka. Ten podniósł alarm i Brytyjczycy ginęli jeden po drugim. Trzech poległych, czterech okrutnie torturowanych w niewoli. Jeden zdołał z tego wyjść cało.

– Są decyzje i są ich konsekwencje – Druid mówił spokojnie. – Ktoś musi je podejmować, żeby w naszym kraju bezpiecznie można było siedzieć w kawiarni i czytać co tam nowego na żółtym pasku w TVN 24. Czy w TVP, czy co wy oglądacie. I to ja muszę podejmować te decyzje, podczas gdy wy zajadacie ośmiorniczki i pijecie szampana. Przecież pojechaliśmy tam, żeby wyeliminować gości, za których głowy Ameryka wypłaca nagrodę w wysokości miliona dolarów! Rozumiecie to? Rozumiecie, jakie byłyby skutki, gdybyśmy zawiedli?

– Zawiedliście, panowie – powiedział poseł, wysoki, szczupły, broda jak u Lenina, niebieskie przenikliwe oczy, kiedy się odwracał przypominał Druidowi wielkiego indora. – Zawiedliście Polskę, zawiedliście NATO, zawiedliście wszystkich, którzy mieli nadzieję, że świat zapamięta naszych żołnierzy jako szlachetnych, prawych i uczciwych.

– Przecież nie zażądaliśmy dwóch milionów dolarów – mruknął Druid.

– Ach! O to wam chodzi! Chciałby pan, żeby państwo polskie zwróciło się do sekretarza obrony z zapytaniem, czy wypłaci panu milion dolarów nagrody? – Poseł złożył ręce jak do modlitwy, ale wskazujące palce wycelował w Druida.

– Gdybym dla pieniędzy chciał robić coś w wojsku, to zostałem lekarzem. To, co robię, nie jest dla pieniędzy. I nie jest dla frajdy. Wojna z terrorystami nie jest frajdą. I jeśli chce pan wiedzieć, ja to robię dla Polski. Nie poszedłbym do wojska w peerelu, bo uważam, że to nie było całkiem polskie wojsko. Ale teraz jest polskie. I dlatego to robię. Dla kraju i dla przyjaciół, z którymi pracuję.

– No, to czego byście chcieli? – zapytał tamten z uśmiechem.

– Chcielibyśmy, żeby Polska znalazła dla nas miejsce, kiedy już wyjdziemy z morza. No przecież nie będziemy stali na bramce w dyskotece

albo w ochronie Tesco, co nie?

– Pan, poruczniku, uważa się za najlepszego na świecie? – zapytała kobieta z ministerstwa. Nosiła okropny kostium i włosy w kok. Wymalowana była tak, że trafiłby w nią z dwóch i pół tysiąca metrów z zamkniętymi oczami, nawet gdyby siedziała w tłumie na stadionie.

– Najlepszy na świecie to może być sportowiec, wie pani? Wie pani, jaka jest różnica? Sportowiec staje na podium. Cały świat to widzi. A o tym, co ja, co my potrafimy, wie tylko kilka osób. Nie popiszesz się przed nikim, że umiesz nocą chodzić po linie rozpiętej pomiędzy wieżowcami albo trafić złotówkę z ośmiuset metrów, albo w ułamku sekundy umiesz rozpoznać zagrożenie oraz osoby postronne. My tym, co potrafimy, możemy się cieszyć tylko między nami. Nie możemy o tym powiedzieć nawet najbliższym. Ale nie narzekamy, bo wiemy, że życie składa się z decyzji i ich konsekwencji. W naszej pracy konsekwencje są bolesne.

– Mówi pan o postrzale swojego partnera?

– Nie. Nie o tym mówię. Mówię o tym, że czasami śnią mi się oczy, w które patrzyłem przez lunetę z tysiąca metrów.

Odwróciła wzrok.

Kiedy ogłosili przerwę i wyszedł na korytarz wsparty już tylko na jednej kuli, podeszła na chwilę i zostawiła mu swój numer. Zadzwoił. Potrafił szybko podejmować decyzje i nie miał nic do roboty w tym mieście.

– Zawsze chciałeś być komandosem? – zapytała, kiedy leżeli nadszy i spoceni w jej łóżku tak dużym, że wypełniało cały pokój. Piesek, mały, biały, drżał z niepokoju, czy Druid kiedykolwiek opuści jego terytorium, ale nie odważył się nawet warknąć.

– Nie jestem komandosem. – Trzymał głowę na jej brzuchu i patrzył na małe, nabrzmiące teraz piersi. – Jestem operatorem. Komandos to gość z filmu ze Stallone'em albo Schwarzeneggerem. Wyskakuje w dżungli ze śmigłowca z CKM-em w łapie, z fajką w gębie, rozpieprza wszystko i sam jeden wygrywa wojnę.

– A operator?

– Operator... – Wyciągnął rękę i zaczął powoli drażnić jej sutek. – Operator jest taką częścią zespołu, o której inni wiedzą, że nie zawodzi. Jeśli wszyscy są niezawodni, to można wykonać zadanie. Zniszczyć cel, pozyskać wiedzę, rozwiązać problem. Żeby to zrobić, każdego dnia trzeba się uczyć nowych rzeczy albo doskonalić te, które już potrafisz. Jak w karate.

Westchnęła cicho, a on ścisnął jej sutek między palcami.

– Która z cech operatora jest najważniejsza? – zapytała.

Milczał. Pieścił ją coraz intensywniej. Myślała, że zapamiętał się w tym i że jej nie usłyszał. Ale była w błędzie.

– Najważniejsza jest zdolność do adaptacji w zastanych warunkach. Nie chodzi o to, żebym potrafił siedzieć w przeręblu dziesięć minut, ale o to, żebym potrafił znaleźć sposób, jak się ogrzać w ekstremalnie niskiej temperaturze. Ja nie jestem ekstremalnym podróżnikiem, nie idę w pole, żeby przetrwać. Idę wykonać zadanie.

– No ale teraz nie wykonaliście zadania zbyt dobrze. – Pożałowała natychmiast, kiedy powiedziała te słowa, bo jego palce, choć wciąż ją pieściły, stały się nagle chłodne.

– Mówisz o moim partnerze?

– Nie. – Położyła swoją dłoń na jego ręce i przycisnęła do piersi. – Mówię o tych dzieciakach. Poseł opozycji nie odpuści. Nie podpiszą twoich papierów, bo zabiłeś niewinne dziecko.

– Tak powiedział?

– Tak. Powiedział, że to niegodne ideałów polskiego oręza.

Druid nie odpowiedział. Uwolnił swoją rękę, wstał, wciągnął spodnie i koszulę.

– No, ale przecież przynajmniej nie będzie postępowania, procesu, nie staniesz przed sądem za strzelanie do bezbronnego cywila. No słyszysz, co

do ciebie mówię! Powinieneś być mi wdzięczny.

Piesek zaczął nagle wściekle ujadać, ale żołnierz nawet na niego nie spojrzał. Odsunął go po prostu ręką od nogawki spodni.

Na nią też nie spojrzał. Widział już kilka kobiet lepiej umalowanych od tej jędzy.

Decyzja komisji miała być ujawniona za tydzień. Może będzie jakiś tryb odwoławczy, badania psychologiczne, jakiś okres przejściowy albo co? Zresztą to niczego nie zmienia. Czuł się dotknięty. Upokorzony. Tak. Upokorzony. Oni nie rozumieją, czym jest wojna. Wycierają sobie usta honorem i ojczyzną, ale nie wiedzą. Nie wiedzą, jak to jest walczyć o życie swoich przyjaciół. Jak to jest, kiedy w ułamku sekundy musisz zdecydować: strzelić czy pozwolić żyć komuś, kto chwilę później może wypalić do ciebie? Albo może odpalić flarę. Wystrzelić raketę. Wysłać impuls z telefonu komórkowego i ten impuls ujawni twoją pozycję. A wtedy zginiesz i ty, i wszyscy ludzie w śmigłowcu. Oni też mają swoją ojczyznę. Dzieci, matki, żony, kochanki. Są w obcym świecie i liczą na to, że ich nie zawiedziesz. No tak, miał ten aparat. Kurwa, miał. I co z tego? Nikt o tym nie wie. A on potrzebuje przecież czegoś dotykającego. Jest w końcu łowcą. Tropicielem śladów, ale i łowcą. A każdy łowca zabiera jakiś ślad po swojej ofierze. Jeśli zabijasz tygrysa, odcinasz mu uszy. Jeśli niedźwiedzia, dostajesz jego pazury. Potrzebował tego. To utwierdzało go w przekonaniu, że to, co robi, dzieje się naprawdę. Kawałek rękawa dżalabii Abu Arifa, kępka włosów z brody tego drugiego, Jaafara. Moneta, dwadzieścia pięć halali, z kieszeni tego, któremu trafił w serce. Pocisk z pistoletu, którym ten młodszy ustrzelił mu Lutra... No i zdjęcia. Nikomu ich nigdy nie pokazywał. A wtedy... sam nie wie, dlaczego tak się stało. Może zmęczenie? Może przez to stracił czujność? Urlop go nudził. Armia nie wiedziała, co począć. Szef walczył o niego, ale zbliżały się wybory i nie chciał zadzierać z opozycją, a poseł z Komisji Obrony Narodowej uparł się i nie było rady na to, żeby zmienił zdanie.

Polska nie wiedziała, co zrobić z ludźmi, którzy gotowi byli dla niej poświęcić wszystko.

W następnym miesiącu Druid pojechał do Sopotu i odszukał tę szkołę, w której pracowała. To nie jest trudne zadanie, jeśli wiesz, jak szukać. No a on wiedział. Szkoła miała niebieskie drzwi, a nad nimi płaskorzeźbę z orłem i sztandarami. Rzeźbione sztandary wyglądały na amerykańskie. Miała też murek po obu stronach drzwi. W sam raz, żeby usiąść i czekać. Czasami trzeba czekać długo, ale on potrafił to robić zawodowo. Autobusy przyjeżdżały i odjeżdżały. Gdyby poszedł stąd prosto na zachód, po tysiącu metrów byłby nad morzem. Ładne miejsce ten Sopot. Wyszła jakoś po piętnastej i poznał ją od razu, choć była teraz bledsza niż na zdjęciach. Może po prostu zmęczona?

– Dzień dobry. – Zerwał się. – Pani pozwoli, że się przedstawię, jestem przyjacielem Lutra, znaczy Krzyśka. Jestem jego kolegą z pracy.

– Jakiego Krzyśka? – Chyba nie zrozumiała.

– Pani Joanna, prawda? No... chyba że ma pani siostrę bliźniaczkę...

– Joanna, tak, Joanna. – Ruszyła szybkim krokiem w lewo, a on, mimo że wysoki, musiał się wysilić, żeby za nią nadążyć, bo kolano wciąż wymagało rehabilitacji, choć nie potrzebował już kul ani laski. Musiała to zauważyć, bo po jakichś pięćdziesięciu krokach nagle zwolniła.

– Ma pan minutę – powiedziała. – Słucham.

– Wiem, że się pokłóciliście...

– Porzucił mnie, dla ścisłości.

– Nie wiem... Nie wiem, jak to dokładnie było. Mówił, że nie mógł powiedzieć. Że nie znalazł odpowiednich słów. Ja, jak pani widzi, też nie znajduję. My jesteśmy skryci. Nie opowiadamy o sobie za wiele, ale ja go znam od dziesięciu lat. Wiem, że go nie bawią ani *Taniec z gwiazdami*, ani hamburgery, ani imprezki, ani seriale. Wiem, ile dla niego pani znaczyła. I wiem, że to bardzo przeżywał. I że chciałby, żebyśmy to pani powiedział.

– Co?

– No... że panią pokochał. I dlaczego nie może wrócić.

Nie wiedział, jak to powiedzieć. Układał sobie w głowie, ale teraz nie wiedział. Nie mógł jej powiedzieć, co się stało. Wszystko było przecież ściśle tajne.

Stali w milczeniu. Dwa strachy na wróble. Nad morzem potrafi potężnie wiać. Jej włosy na wietrze jak płomień. Milczała. Potem podniosła rękę, odgarnęła je z twarzy.

– Halo, człowieku! To, co pan mówi, czy też czego pan nie może powiedzieć, to wszystko i tak już bez znaczenia.

Druid milczał. Patrzył jej w oczy. Nie rozumiał.

– No, jak bez znaczenia? Przecież on to dla...

– To nieważne dlaczego – przerwała mu nauczycielka. – Jestem w ciąży. Niech mu pan powie, że wszystko zepsuł. Jestem w ciąży z innym człowiekiem.

Odwróciła się, żeby nie dostrzegł, że robi się czerwona. Ruszyła szybko przed siebie. Druid został. Wrócił do dworca SKM i przeszedł na drugą stronę torów.

Kurwa, myślał, zwykła kurwa. Nawet nie zapytała, co się stało z Lutrem. Znaczy z Krzyśkiem, bo przecież Lutra już nie ma.

Potem wszedł na molo i patrzył w morze, aż zrobił się całkiem głodny.

Krzysztof Bielski tymczasem nie wiedział niczego ani o komisji, ani o tym, że dziewczyna, którą kochał, jest w ciąży. Nie wiedział, że w Polsce zbliżają się wybory. Ani o tym, że amerykański prezydent napisał list do polskiego prezydenta. I że na tym liście prezydent Ameryki, zanim złożył swój podpis, zrobił odręczną uwagę: „Z wdzięcznością, o jakiej nie zapomnimy”. Nie wiedział o tym nic a nic. Leżał w dobrym szpitalu dla weteranów. Dowództwo postawiło twarde warunki. Że Polska jest mu to winna. I NATO. Że zasłużył. Nie wiedział, że zasłużył. Lekarze wyjęli mu kulę z głowy, ale w takich sprawach trudno o jednoznaczne rokowania. Oddychał za niego respirator.

TERAZ

Czuła się, jakby oddychał za nią respirator. Dławiło ją coś do samego spodu, jak gdyby znowu przestała panować nad wydechem. „Wynajęli profesjonalistę”... Kiedy tego słuchała, nie patrzyła Kowalowi w oczy, ale za okno, na Pałac Kultury. Tak było lepiej dla nich obojga. Nie trzeba pokazywać innym, kiedy ci się szklą oczy. Właściwie nie miała podstaw, żeby wątpić w słowa Kowalskiego. Nie musiał jej tego wszystkiego mówić. Stara sprawa, więc dzisiaj niczego na tym nie zyskiwał. Chyba że źli ludzie, którzy zajmują się przejmowaniem kamienic, smrodzą mu w interesach. W końcu siedzi w deweloperce w luksusowych lokalizacjach. Jeśli napuści ją na kogoś, popsuje mu szyki. Może więc jednak ma w tym interes? No ale Siwy powiedział jej to samo. Siwy nie miał żadnych interesów. PiS-owskie władze odebrały mu esbecką emeryturę, więc będzie teraz żył skromniej. Ale on i tak żył skromnie, jeśli nie liczyć domu w sąsiedztwie Jaruzelskiego.

A jeśli dwaj ludzie mówią ci to samo, może należy to sprawdzić? Ale co powinna sprawdzić? Gdyby Kowalski mógł powiedzieć, kim są oni, ludzie, którym prawdopodobnie weszła w drogę, to przecież by powiedział. Nie zmusi go. Nie ma sposobu. Siwy też nie powie. Twierdzi, że nie wie, ale to nie musi być prawda. Siwy jest cwany. Kuty na cztery nogi. Wie, kiedy podsłuchują, a kiedy nie podsłuchują. Pewnie, wiele jej zawdzięcza, to prawda, ale może nie mówi jej wszystkiego, co wie? Może mówi tyle, ile uznał, że może powiedzieć...?

Potrzebowała czasu, żeby to przemyśleć. Poukładać w głowie wszystko,

co wiedziała. Po pierwsze to nie był wypadek. Po drugie wtedy, przed laty, ktoś sprawdzał, ile ona wie. Ktoś grzebał także w fabryce. W ich własnym archiwum. Ktoś większy niż Siwy i ktoś silniejszy niż Kowal. Siwy pięć lat temu nie był figurą. Ale potem, kiedy już mógł, nie tykał tego pożaru. A jeśli wiedział, że jej wypadek nie był przypadkowy, to dlaczego nic nie zrobił...? Musiał to więc być ktoś, kogo nie mógł ruszyć bezkarnie. A kogo on nie mógł ruszyć? Kurwa! No swoich starych kolegów by nie ruszył. I nowej władzy pewnie też nie. Podpadnięty glina z esbecką przeszłością nie mógł sobie pozwolić na zbyt wiele w kraju, w którym co roku są wybory.

Złapała się na tym, że bez sensu skręciła w kierunku Woli. Całkiem w drugą stronę. No nic, zawróci w pierwszym miejscu, które się nada... Co powinna zrobić? Musi tego kierowcę ciężarówki odszukać. Zejść do archiwum i sprawdzić jego nazwisko w papierach. Sprawdzała już kilka lat temu. Miała wtedy ochotę pojechać tam i spojrzeć mu w oczy. I powiedzieć, że zabił jej dziecko. Ale co by to dało? Trzeźwy był. Śmieciara to spora masa, kiedy się rozpędzi. Zeznał, że przycisnął, bo już się do domu spieszył, że chciał na zielone zdążyć i ktoś mu wepchnął ten samochód pod koła... Znała nawet kiedyś jego nazwisko. Ale najpierw musi się wziąć za sprawę tego Pawliszuka, bo jeśli gdzieś są klucze do tej sprawy, to właśnie na tej działce nad kanałkiem... Ale bardziej pociągało ją znalezienie dowodu na to, czy jej wypadek był przypadkowy, czy jednak nie. Trzeba będzie posprawdzać monitoringi... Nie no, to nic nie da. Za późno. Nikt nie trzyma takich zapisów latami.

Myśl o monitoringach sprawiła, że przypomniał jej się bezdomny. Irytowała ją ta sprawa. Miała przekonanie, że nie wolno jej tak zostawić. A tymczasem nikt nie widział broni. W każdym razie nikt nie zamierzał szukać ani broni, ani człowieka, który jest teraz uzbrojony i może być niebezpieczny. No, kurwa, na pewno jest niebezpieczny, złamał tamtemu gościowi rękę.

Zawróciła na rondzie Daszyńskiego.

Jest niebezpieczny. Bez wątpienia. To nie jest byle co złamać rękę komuś, kto mierzy do ciebie z pistoletu! A Kosiński niczego nie widział! No ale ktoś przecież musiał coś widzieć. Kiedy dojedzie do roboty, weźmie się za akta Pawliszuka, ale Kosińskiemu każe przejrzeć wszystko z tej miesięcznicy. Musi coś tam być, do jasnej cholery. Może ci z Hotelu Europejskiego mają nagranie... no ale może nie mają, bo tam przecież remont trwa, więc mogą nie mieć. Ale i tak każe mu popytać. No i z ministerstwa kultury? Nie, to za daleko, nic by nie było widać. Może z Bristolu? Też daleko, ale warto spróbować. No... to miała plan. Włączyła radio.

W Trójce profesor Brunon Hołyst mówił o depresji i o samobójstwach. Podkreśla, kiedy powiedział, że samobójcy wcale nie chcą umierać. Że oni nie godzą się na jakość życia, jakiej muszą doświadczać.

„Statystycznie trzy najważniejsze przyczyny samobójstw są dość oczywiste: utrata pracy związana z tym, że przestajemy być komukolwiek potrzebni. Utrata środków utrzymania. Nieodwzajemniona miłość lub zdrada – wyliczał. – Wśród gimnazjalistów są nowe przyczyny, do niedawna nieznanne: nadwaga albo niemożność uczestnictwa w grupie posiadaczy najnowszych technologii...”.

Wyłączyła radio. Kiedy parkowała, wolała, żeby było cicho. Szybciej usłyszysz, mniej porysujesz.

Teczka ze sprawy pożaru w altanie Stefana Pawliszuka nie była zbyt obfita. Kilkanaście fotografii, wydawało się jej, że są czarno-białe, ale nie, były kolorowe, po prostu śnieg padał tamtej nocy. Czarne zgliszcza, biały śnieg, krew mogłaby być czerwona, ale nie było widać krwi. Tylko nagą czaszkę. Bez włosów. Ile może mieć długości czaszka dziecka? Dziewczynki? Czaszka dziewczynki pośród zwęglonych książek i osmalonych, a poza tym nietkniętych, ładnych, być może porcelanowych talerzy, i grubych, połamanych krokwi i dachówek wyglądała, jakby była zabawką.

Z kanapy, na której pewnie zasnęła, zostały stalowe ramy i sprężyny.

Gdyby to było dzisiaj, zapytałabym Grzegorzycyka, czy cierpiała – pomyślała Serbia. Ale wtedy go przecież jeszcze nie znałam. Ale miałam tę sprawę. Kogoś musiałam pytać. O co pytałam?

Nie umiała sobie przypomnieć.

Zauważyła coś na zdjęciu, ale nie potrafiła rozpoznać... Sięgnęła po inne, przerzuciła wszystkie... jest! Ta sama czaszka, ale teraz inne ujęcie. To chyba... kolczyk?

Otworzyła szufladę i wygrzebała spośród papierów szkło powiększające. Stalowa oprawa jak z filmu z Sherlockiem Holmesem. Prezent od matki. Obejrzała fotografię jeszcze raz.

Dziecięcy kolczyk w kształcie kwiatka. Pewnie miał oczko z plastiku. Musiało się stopić. Twarz nie do poznania. Usta wypalone... widać, że brakuje zęba. Ósemka? Nie, to siódemka. Dzieciaki w tym wieku nie mają jeszcze wszystkich zębów. I nagle usłyszała w głowie jej głos.

Pani Olgo, a czy Ania może wyjść i pomóc mi wyprowadzić psa? – przypomniało jej się, że Kasia Najnert wciskała domofon długo, bardzo długo, do granic wytrzymałości.

Miała takie rude włosy, jakich nie mają już dzisiaj dzieciaki na Żoliborzu. Skąd takie włosy? Skąd taka piegowata skóra, myślała Olga. Przecież na wywiadówkach i na spotkaniach klasowych u Araba nad kanałkiem, znaczy na Kępie Potockiej, spotykała jej rodziców i oboje byli brunetami.

„Pani Olgo, a czy Ania może wyjść? Z psem pochodzimy. Może?”.

Taki pies to nie pies. Rudy, gruby, leniwy jamnik.

„Tak – usłyszała swój własny głos. – Tylko nie idźcie za daleko, może gdzieś koło domu, dobrze?”.

Otrząsnęła się i zaczęła czytać.

W protokole z sekcji Kasia nie była Kasią, tylko denatką. Nie miała już

psa i nie miała rudych włosów. I nie musiała już więcej odrabiać żadnych lekcji, do końca świata. Ominęły ją smartfony i reformy edukacji. Była denatką, która doznała obkurczenia organów wewnętrznych na skutek działania wysokiej temperatury i ich wysuszenia z powodu utraty wody w organizmie. Organy wewnętrzne tracą wówczas swoją objętość, nie tracąc kształtu. Ułożenie zwłok w pozycji charakterystycznej dla przypadków narażenia na działanie wysokich temperatur świadczyło o tym, że ciało denatki nie było skrępowane. Patolog uznał, że najbardziej prawdopodobną przyczyną zgonu było zatrucie tlenkiem węgla. Jednym słowem nic.

To mogło oznaczać, że przynajmniej nie cierpiała. Po prostu się nie obudziła...

– Coś przegapiłam. – Olga miała przeczucie, że powinna wrócić do tych fotografii. Skoro komuś zależało, żeby zginęła, skoro zadał sobie trud sfingowania wypadku, to przecież musiało tam być coś, co wówczas zrozumiała. Coś, czego teraz nie potrafiła zobaczyć. Czuła, że tak właśnie jest. Jak w grze „znajdź różnicę”, kiedy wiesz, że w całości tkwi jakiś błąd, ale nie potrafisz go zlokalizować.

Zadzwoiła do Szymona.

Pomyślała, że dobrze jej zrobi, jeśli powie mu kilka zdań o tym, że tęskni. No i może usłyszy kilka podobnych kłamstw. Czekala sześć sygnałów. Siedem. Nic. Pewnie kogoś ma. Masuje komuś plecy i gładzi włosy, i denerwuje się, czy ten ktoś wie, że telefon w kieszeni wibruje jak oszalały. Ósmy sygnał. Dziewiąty.

– Chuj z tym. Nie będę płakać – postanowiła. Niektórym się wszystko układa w życiu. Miłość, praca, rodzina. A inni, kurwa, muszą siedzieć przy lampce i patrzeć w oczy umarłym.

Wróciła do zdjęć z sekcji. Ta sama czaszka, druga strona. W prawym uchu kolczyka nie było. To dziwne. Dziewczynki z drugiej klasy raczej jeszcze dbają o symetrię. Wróciła do studiowania zdjęć z miejsca zdarzenia. Jakby chciała wypatrzeć ten kolczyk, ale to przecież było niemożliwe. Nie

w pogorzeliśku przysypanym w dodatku śniegiem. Zdeptanym przez strażaków. Cholera, ciężka sprawa. No tak, były tam poskręcane od temperatury, pokryte bąblami resztki plastikowych krzeseł. A może i stołu... Pewnie zgubiła i tyle.

Przejrzała raport dotyczący Pawliszuka. „Ofiara znajdowała się pod wpływem alkoholu. W krtani i tchawicy do wysokości górnych oskrzeli zaaspirowana sadza. Zwłoki częściowo zwęglone, co spowodowane jest bezpośrednim działaniem płomienia. Stopień zwęglenia zwłok uniemożliwia pełną ocenę, czy ofiara uległa przed pożarem jakimkolwiek ranom, czy też doznała uszkodzeń ciała. Natura obrażeń pozwala wykluczyć wybuch. Ciało nie nosi śladów obrażeń charakterystycznych dla eksplozji. Kości nie noszą śladów uszkodzeń mechanicznych”.

Zadzwoniła jeszcze raz. Nie, to nie było z premedytacją. W sumie nie była pewna, dlaczego zadzwoniła. To był odruch. Ostatnie połączenie... Przecież nie chciała mu niczego kazać, w niczym go ograniczać. Chciała tylko usłyszeć, że wszystko dobrze. Że nie miał wypadku, że nie ma zapalenia zatok, że się wciąż potrafi śmiać. Że nie jest głodny ani zmarznięty. Że właśnie wskoczył do pociągu do Warszawy, ale że wpadł na dworzec na pięć minut przed odjazdem i nie było już czasu, żeby kupić bilet, więc teraz siedzi w toalecie i ukrywa się przed konduktorem.

Sześć sygnałów.

Nic.

Kurwa.

A więc Pawliszuk nie próbował walczyć, nie próbował uciekać przed pożarem, spadającymi belkami czy krokwiemi oraz różnymi upadającymi przedmiotami. Nie próbował też dotrzeć do tej części pomieszczenia, w której znajdowało się dziecko. Prawdopodobnie kiedy pożar się rozwinął, był nieprzytomny. Stężenie karboksyhemoglobiny oznaczono metodą Wolffa... cyjanowodór oznaczono techniką mikrodyfuzji i kolorymetryczną w oparciu o reakcję Königa... cyfry nic jej nie mówiły, ale było jasne, że

zatrzał się tlenkiem węgla i cyjanowodorem. Poszukała objaśnienia. Obecność cyjanowodoru w miejscu pożaru jest wynikiem spalania tworzyw sztucznych w jego pierwszej fazie. Wyprzedza ekspozycję tkanek na działanie tlenku węgla.

Wróciła do pierwszej strony.

Oznaczono też alkohol etylowy metodą chromatografii gazowej techniką headspace... No wynika z tego, że pił.

Biegły w sprawie pożarów uznał, że pożar wybuchł z powodu zaproszenia ognia przez ofiarę. Że Pawliszук pił, palił, zasnął, zapaliły się jakieś plastikowe krzeselka czy stolik... Ale dlaczego dziewczynka się nie obudziła?

Został jej jeszcze jeden akapit o pułkowniku.

„Interpretacja wszelkich zmian urazowych bardzo utrudniona ze względu na stopień zwęglenia ciała. W zasadzie uniemożliwia rekonstrukcję zdarzenia, bo nie ma możliwości ustalenia zakresu i momentu powstania oparzeń i zwęgleń. Oględziny makroskopowe nie pozwalają na odróżnienie oparzeń powstałych za życia od tych, które powstały po śmierci ofiary. Badanie mikroskopowe oparzeń nie pozwala na ustalenie, czy reakcja zapalna rozwinęła się za życia, czy już po śmierci”.

Przejrzała zdjęcia w protokole z sekcji. Pawliszuka nie znała. Ale nawet gdyby go znała, nic by jej te zdjęcia nie powiedziały.

Sięgnęła po telefon jeszcze raz. Bo przecież do trzech razy sztuka. Cholera jasna, przecież coś mu się mogło stać... No, jakby wyłączył telefon, to by był inny sygnał, co nie? Więc nie wyłączył. Po prostu nie odbiera. Może coś mu się stało? Może wypadek miał? Cholera, powinni zabronić tych motocykli. No ale nie, nie zadzwoni. Kobiety mają swoją godność. Jeśli będzie jej potrzebował, wie, jak ją znaleźć, zresztą co to za pomysł, żeby dzwonić do faceta z innego miasta... ani nie jest jakiś specjalnie mądry, ani nie wygląda jak Brad Pitt. I w dodatku sepleni. I nogi mu śmierdzą. Bezczelny jest. Ale może coś mu się stało... normalnie

w takich sytuacjach dzwoni się do rodziców, ale przecież ja nie wiem nic o jego rodzicach. Nie powiedział mi o nich nic poza tym, że ojciec z resortu. Wiedziałyby więc, gdyby coś się stało. Ale nie dał mi numeru. Świnia. Pewnie masuje komuś stopy. Wie, że potrafi to dobrze zrobić. Cham. Cham z prowincji.

Ze zdjęć patrzyły na nią spalone ciała.

Przypomniały jej się rozmowy z Siwym. No i z Kowalskim.

Jeśli mają rację, to musiałam coś wiedzieć. Musiałam zobaczyć coś istotnego. A tu w tych papierach nie ma przecież nic istotnego. Odchyliła się na krześle i splótła ręce na karku. Wypiłaby setkę. Może być nawet koniak. Czego tu nie ma? Czego brakuje... Nie ma mojego raportu. Nie zdążyłam napisać czy napisałam i zniknął? Otworzyła teczkę. Na lewej okładce był spis zawartości. Prześledziła wpisy. Nie. Nie napisała raportu. Ciekawe. Przecież kiedy zaczynasz robotę, chcesz się wykazać. Masz w sobie entuzjizm. Piszesz od razu. Nie napisałam. A więc coś budziło moje wątpliwości... Kurwa mać. No. Naprawdę mógłby być tu gdzieś koniak.

Pomyślała, że musi porozmawiać z rodziną. W teźce były dane córki i zięcia. Numer telefonu, adres, wszystko sprzed pięciu lat, nie wiadomo, czy jeszcze mieszkają na Żoliborzu. Ale trzeba od czegoś zacząć. Przyszło jej do głowy, że najpierw zadzwoni, ale wtedy otworzyły się drzwi i Kosiński zapytał, czy może pójść coś zjeść, bo się zbiera na wieczór. Rzucił jej na biurko jakieś teczki.

– To sobie przejrzysz, jak wrócisz. Jedna ode mnie, druga od tego gościa z archiwum, coś jeszcze znalazł dla tej twojej sprawy Pawliszuka. No i ten twój wypadek, ale cieniutko. Tylko zeznanie kierowcy śmieciarki. To sobie poczytasz, a teraz idziemy, co?

– Tak, jasne. – Spojrzała na zegarek i odkryła, że dzień przetoczył się nad nią jak młodość. Nawet nie zdążyła się nacieszyć tą szminką na ustach.

Jedli koreański makaron. Duża Micha była pełna ludzi. Powiedział jej,

że znalazł tego bezdomnego, dopiero kiedy w jego misce widać było dno.

– No i dopiero teraz mi to mówisz!

– Inaczej byś nie zjadła. A trzeba jeść regularnie. – Mrugnął do niej.

– No ale on jest uzbrojony i niebezpieczny.

Nie powiedział nic, ale jego mina mówiła: nie wydaje mi się.

– Gdzie go znalazłeś? – zapytała.

– Nagrał się na kamerze z Hotelu Europejskiego. Tam remont, ale kamery są, żeby z budowy nic nie zniknęło. Nie widać tej twojej bójki, on tylko przechodzi. To jedyny monitoring, który celował w okolicę miejsca, gdzie cię znaleźli z tym uciekinierem. Wszystkie inne nagrania są skierowane na miesięcznicę.

– No i co tam widać, gdzie masz to nagranie?

– Nagrania nie mam przy sobie, ale ci zrobiłem wydruk. – Wyciągnął z tylnej kieszeni spodni złożone na cztery zwykłe strony z drukarki. Czarno-białe zdjęcia. Na jednym widać go z góry, to znaczy zupełnie nic nie widać, nawet nie wiadomo, jakiego koloru ma kurtkę, tyle że jest obszyta futerkiem. Głowa w kapturze. Przeciska się przez tłum. Na drugim też się przeciska, ale jest dwa, trzy kroki wcześniej i ma twarz podniesioną do góry, jakby czytał napis na transparencie. Widać długi nos, brodę, ale nie taką modną, wystrzyżoną w muzułmańskim stylu, ale raczej zmierzwioną i zaniedbaną. I głębokie oczodoły. Oczu nie widać. Zresztą zamazane to zdjęcie, jakby z fotoradaru. Ale to jest on.

– Zadowolona?

– No, a jak. – Uśmiechnęła się. – Przecież już zaczęłam wątpić, czy znowu nie mam utraty pamięci po tym uderzeniu. A jednak nie. Młody, zrobimy tak. Bo wiesz, ja muszę jeszcze sprawdzić jeden trop z tej sprawy pożaru. Zadzwonię do jego córki, a jeśli numer już nieaktualny, to namierzę ją i pojedę pogadać. Nie do protokołu, bo jeśli rzeczywiście ktoś przy tej sprawie gmerał, to ona może nie chcieć rozmawiać.

– No to co zrobisz?

– Porozmawia ze mną, bo przecież miałyśmy córki w jednej klasie. Z trójki klasowej się znamy. Porozmawia. A ty mi się zorientujesz, kto się u nas zajmuje bezdomnymi.

– A to nie jest sprawa straży miejskiej?

– Nie wiem. Dowiedz się. Na pewno dasz radę. Dzielnicowi, prewencja, pewnie jest ktoś, kto bardzo dobrze wie co i jak. Nie mów mu dlaczego, ale dowiedz się, od czego zacząć, jeśli chcemy odnaleźć dyskretnie tego gościa ze zdjęcia. Odszukaj mi miejsca, gdzie oni się gromadzą, nie wiem, gdzie mieszkają, gdzie piją, co robią. Gdzieś muszą mieć swoje miejsca, okej?

– Znaczy co? Chcesz wykaz dworców?

– Cokolwiek. Żebym mogła pojechać tam i się za nim rozejrzeć.

– Ale po co?

– Bo intuicja mi mówi, że powinnam. Że jeśli to tak zostawię, to ten gość – postukała palcem w fotografię – ustrzeli kogoś z pistoletu, który powinnam była mu odebrać.

Kosiński chciał coś powiedzieć, ale widząc jej minę, po prostu sobie odpuścił.

– To wracamy do roboty. – Pochuchała w dłonie, kiedy wyszli z Dużej Michy.

– No ja bym wolał już nie... umówiłem się. Gdybyś mnie mogła podrzucić... bo bez kalesonów jestem.

– Co ty pierdolisz, młody?

– No nie umiem w nich wysiedzieć cały dzień na fabryce. A teraz zimno, za zimno iść. – Zrobił minę jak dziecko. Dała mu kuksańca, a potem go przytuliła.

– Fajna chociaż? Z Tindera?

– Co fajna? A nie, nie... to nie randka. To ten mój znajomy z ABW, wiesz, mówiłem ci, czasami mi w czymś pomoże, jak chodzi o komputery.

Popatrzyła na niego badawczo. Może za bardzo, bo się stropił.

– Ja mu tylko muszę podziękować za jedną sprawę, więc idziemy na drinka. No pomógł mi z tymi monitoringami. Oni tam mają po miesięcznicy wszystkie nagrania, bo sprawdzają zachowanie policji.

– Okej, okej – burknęła. – No ja nie pytam przecież. To dokąd cię zawieźć?

Pożegnała Kosińskiego na Poznańskiej, przed Krakenem, i wróciła do Mostowskich.

Spojrzała na teczki zostawione przez Kosińskiego. W jednej były te wydruki z miesięcznicy i kilkanaście wydruków z innych kamer. Niektóre miały telewizyjne logotypy, inne logotypy KOD-u i Obywateli RP. W epoce smartfonów każdy jest operatorem. Ale na wydrukach byli policjanci i napierający tłum. Wyglądało na to, że wszyscy, którzy kręcili, byli odwrócenii plecami do jej pościgu.

Druga teczka była stara. Sprzed lat. W środku niewiele. Zeznanie Jana Ślusarka, kierowcy, niekaranego. Przejrzała. Nic. Tak jak to zapamiętała. Ale może powinna go jeszcze rozpytać? Czasami ludzie sobie przypominają po latach ważne sprawy. Kiedy nie umieją zasnąć. Zabici wracają. Albo we snach. Czasami przecież ktoś, kogo skrzywdzisz, przychodzi we śnie. Naprawdę w to wierzyła. Wierzyła, że czasami śni się swojemu mężowi – zdrajcy. I że kiedy mu się śni, to sama nie umie zasnąć.

W kolejnej teczce na wierzchu leżał wniosek do referatu dzielnicowych o rozpytanie sąsiadów Pawliszuka Stefana w miejscu jego zameldowania. Na wniosku jej podpis. Data z dnia wypadku. Musiała to pismo wysłać tuż przed wyjściem z fabryki. Ciekawe, nie pamiętała, że to zrobiła.

No a dalej notatka służbowa dzielnicowego z rejonu 36 Komendy Rejonowej Warszawa I, sierżanta Ludeckiego. „Z rozpytania środowiskowego wynika, że Stefan Pawliszuk cieszy się u sąsiadów opinią dobrą. Alkoholu nie nadużywa, nie sprowadza sobie żadnych kobiet, zabaw hucznych nie urządza. Kontaktów podejrzanych nie posiada. Służy sąsiadom pomocą w sprawach o mandaty. Znaczy załatwia. Dzwoni

i załatwia. Do kogo dzwoni, nie wiadomo. Żyje raczej skromnie, ale szczegółów nie znają, bo do mieszkania swojego raczej nie zaprasza. Przyjmuje ludzi w korytarzu i w kuchni, a dalej drzwi są pozamykane. Ma samochód polonez, ten sam od lat, nie ma drogich ubrań, ale mieszkanie ma duże, przed wojną należało do profesora Hubnera. Mieszkanie jest duże, Pawliszuk mieszka od lat gdzieś sześćdziesiątych, miał tam jeden pokój. A jak profesor z rodziną wyjechał do Izraela, to Pawliszuk zamieszkał z rodziną w całym mieszkaniu. A jak żona mu umarła, a córka wyszła za męża, to mieszka sam. Córka odwiedza go chyba że rzadko, ale czasami na sobotę i niedzielę jest u niego wnuczka. We wakacje na balkonie siedzą i gadają, to wiadomo, że odwiedza. Teraz z mieszkaniem to nie wiadomo, jak będzie, bo mówią, że Żydzi chcą odbierać Polakom kamienice. Pawliszuk Kwietniewskiej Annie powiedział, żeby się nie martwiła, bo on profesora zna i wie, że nie chciał wracać do Polski. W jakim charakterze pracował pan Pawliszuk, to sąsiedzi nie wiedzą. Chyba że urzędnik, bo go z pracy przywozili samochodem. Ale nie jakiś ważny, bo jakby był ważny, to by miał bmw, a nie poloneza. No jakaś logika w tym jest...”

Zatrzymała się na ostatnim zdaniu. To musiał być dobry policjant ten sierżant. Dowcipny. Spojrzała na datę. Dziesięć dni po jej wypadku. Więc nie dostała nigdy tej notatki.

„Profesor Hubner” wpisała w Google’a, ale wyszukiwarka wyświetliła jej tylko panią polityk, posłankę do Parlamentu Europejskiego.

„*Professor Hubner, Israel*” wpisała. Wyświetliła jej się lista odnośników. *Professor Uri Huebner* – przeczytała – *extremely low temperatures specialist... born in Warsaw, Poland 1914, died Tel Aviv, Israel 1991...*

– No rzeczywiście – pomyślała na głos. – Pan profesor już po kamienicę się nie zgłosi... Dobrze, czas do domu.

Chciała te ostatnie słowa powiedzieć do kogoś przez telefon. Ale już nie zadzwoniła. To przecież bez przyszłości, bez sensu. Szymon nie porzuci

swojego miejsca na Ziemi. Ona swojego też nie mogłaby zostawić. Więc nie, nie zadzwoni. Odbierze, zawsze odbierze, ale już pierwsza nie zadzwoni.

Zgarnęła papiery i przypomniała sobie, że w kieszeni ma ten wydruk z bezdomnym. Rozprostowała kartki i przyjrzała się zdjęciu jeszcze raz. Podążyła za wzrokiem mężczyzny na zdjęciu. Patrzył na transparent. Napis dało się odczytać. Głosił: „Idziemy po prawdę”.

1945

– Idźże po „Prawdę”, Ignacy, od Ruskich załatw, poczytamy, co tam sojusznik ma do powiedzenia o naszym froncie – zastępca dowódcy 1 Armii Wojska Polskiego do spraw polityczno-wychowawczych, podpułkownik Jaroszewicz, uśmiechnął się do swojego ordynansa. Może ordynans to nie było najlepsze określenie. Miało w sobie coś arystokratycznego, obcego, ale tak czasami myślał o Hubnerze. Młody chłopak, a maniery wielkopańskie. Jakby nie byli na pierdolonej wojnie, ale na zagranicznych wywczasach. Z tym swoim optymizmem i uśmiechem, którym rozbrajał każdą minę, do propagandy nadawał się idealnie. No ale przede wszystkim podpułkownik miał w nim oparcie, zwyczajne, ludzkie, wyrosłe na wspólnej udręce, bo przeszli już ze sobą kawał świata. W Archangielsku mieli obok siebie prycze. Jaroszewicz dzielił swoją z małżonką, a Hubner z jakimś drugim Żydem, nieznanym mu wcześniej, starym i schorowanym. Mówił do niego po swojemu i przytulał pólleżąc tak, żeby tamten mógł w spokoju umrzeć na zapalenie płuc. Tłukli się potem razem w bydlęcych wagonach ze Stalingradu całe dwadzieścia dni do Krasnoarmiejska. Jedzenia tyle, co po bochenku chleba, który dostali jeszcze w Stalingradzie, i czasami, jeśli pociąg stał, dostawali ciepłą, słoną wodę z twardą brukwią. Hubner wypijał wodę, a zanim sięgnął po brukiew, wycierał dokładnie dłonie chusteczką, którą składał starannie w kwadrat, zanim z powrotem wsunął do kieszeni spodni. Nigdy się nie skarżył. Ani kiedy ściągali chusty z grzbietów pomarżniętych kobiet, zanim wyrzucili ich trupy na skarpe przy torach. Ani kiedy zzuwali buty mężczyzn, bo mężczyźni też zdychali w tych wagonach,

choć rzadziej niż kobiety. Najszybciej umierały dzieci. Zbliżyło ich to, kiedy grzebali je w śniegu, żeby kruki nie wydziobały oczu, zanim cały ten skład ruszy.

Hubner odmawiał nad nimi swoją żydowską modlitwę, niezależnie od tego, czy były ukraińskie, litewskie, polskie, katolickie, żydowskie. Nie wiadomo przecież, w jakim języku trzeba się przedstawić, kiedy już dotrą do nieba, bo jakieś niebo przecież jest, chociaż pewnie daleko do niego, dużo dalej niż jeszcze przed rokiem. Za noszenie trupów z Jaroszewiczem dostawali czasami nawet chleb od Ruskich. Dla żydowskiego spiecznieszka-bieżnieszka bez rodziny znajomość z Jaroszewiczem była nieoceniona, bo Polak po rosyjsku gadał jak swój, żartować potrafił, machorkę nawet wyłudzić umiał od żołdatów. Zawsze to lepiej, jeśli tytoniu dodasz do tych drzazg zeskrobywanych z desek wagonu. Rusczy lubili Jaroszewicza, bo nie narzekał. Jeszcze w Archangielsku siekierą robił jak drwał, a przecież wykształcony człowiek. Przed wojną był dyrektorem szkoły.

Kiedy wysiedli z wagonów w bezmiarze stepów, byli właściwie zaprzyjaźnieni. Nie widzieli jeszcze takiej ziemi. Chłodnej, ale pokrytej trawą zeszlą i wypaloną słońcem. Rudej. Szorstkiej. Pustej tak, że nie sposób było w to uwierzyć. Tylko wiatr słyhać i smarkanie ludzi. Dzieciaki pochlipywały. Ludzie kaszleli z głodu, bo już nie było czym przełknąć, tak wyschli.

Potem dostali po zupie z kartoflem i pociąg odjechał, a oni siedzieli na ziemi pod pustym niebem. Widać ptaki nie lubiły tam błędzić. Polacy modlili się, jakby Bóg mógł im w czymkolwiek pomóc. Hubner milczał. Zamieszkali z Jaroszewiczami w tym samym domku, w niskiej oborze, której ściany polepiono z kawałków gliny nie wypalanej, ale wysuszonej na słońcu. Nie było podłogi ani mebli. Ale był dach z kawałków desek, pewnie wyrwanych z wagonów. I dwie krowy ciepłe i mleczone. Robactwo z całego stepu schodziło się tam w poszukiwaniu krwi. I żeby się schronić przed

mrozem.

W stepie nie było drewna.

Kiedy Sowieci ogłosili, że dobrowolcy mogą pojechać dalej, las rąbać, Hubner zgłosił się w ślad za Jaroszewiczem. Polak powiedział, że w lesie przynajmniej z głodu nie zdechną. Żona potrzebowała mięsa, a on wiedział, jak zrobić wnyki z łyka. Skąd wiedział? Z książek. Dużo czytał przed wojną. Pojechali na Syberię do lesopunktu. Zima była, ale nad lasem wciąż unosił się zapach żywicy. Mieszkali w normalnych barakach. W barakach mieszkać to luksus. Strażnicy polowali czasami, więc zupa była lepsza niż w stepie i żona Jaroszewicza poczuła się wreszcie lepiej. Mówiła, że Kuziel dobre miejsce, bo czasami gdzieś za lasem słychać było pociągi. A jeśli słyszysz pociągi, masz nadzieję.

– Ze mną nie zginiesz – mówił Jaroszewicz Hubnerowi, bo wiedział od Ruskich, że się znowu będzie szykować polska armia. – Okazja się trafi, wrócimy tym pociągiem do świata.

No i trafiło się w 1943. Poszli do 4 pułku piechoty w składzie 2 Dywizji Pierwszego Korpusu Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR. Najpierw pracowali w magazynie, bo potrzebny był ktoś, kto potrafi szybko liczyć i dobrze pisać. Jaroszewicz miał talent do zjednywania sobie ludzi i gadane miał, szybko awansował na zastępcę dowódcy 3 batalionu do spraw polityczno-wychowawczych. W grudniu otrzymał promocję do Wydziału Polityczno-Wychowawczego 2 Dywizji Piechoty na stanowisko instruktora propagandy. To już była poważna sprawa, czysty mundur, wypastowane buty i lepsze jedzenie. Pociągnął Hubnera za sobą.

Na wojnie zdolni ludzie awansują szybko. A im wyżej jesteś w tym sowieckim systemie, tym bezpieczniej. Byle nie za wysoko. Za wysoko niedobrze być, bo znowu, jak szeregowiec, jesteś na linii strzału. Ale dobrze być w górnej strefie stanów średnich. W listopadzie 1944 Jaroszewicz był już podpułkownikiem, a Hubner, wiadomo, Żyd, porucznikiem. Ale nie narzekał. Porucznik u zastępcy dowódcy 1 Armii Wojska Polskiego do

spraw polityczno-wychowawczych to nie to samo co porucznik na froncie.

Do Warszawy podpułkownik przybył 18 stycznia 1945, żeby się zająć organizacją defilady. Żołnierze odgarnęli gruzy z Alej Jerozolimskich naprzeciwko hotelu Polonia, jednego z kilku ocalałych w śródmieściu budynków, wypastowali buty i przemaszerowali przed kamerą rosyjskiej kroniki. Nagranie było krótkie, ale wystarczyło, żeby poszło w świat. Trybunę zbudowali z desek i dykty, ale przybili u jej podnóża biało-czerwoną flagę, żeby zasłonić gruzy na których stała. Na trybunie byli Bolesław Bierut, Władysław Gomułka, Edward Osóbka-Morawski, generał Rola-Żymierski, generał Popławski, pułkownik Spychalski oraz w samym środku marszałek Gieorgij Żukow. Jaroszewicz wiedział, że tak naprawdę defilada była dla Żukowa, ale znał już Sowietów. Wiedział, że jest czas, kiedy nie można im powiedzieć: *niet*. Nie mieli skrupułów w gwałceniu wracających do zrujnowanego miasta kobiet. Ale czuł, że przyjdzie moment, kiedy im się znudzi, kiedy nas zostawią.

Hubner przyjechał dopiero trzy dni później, z całym ich archiwum, które musiał załadować na ciężarówkę.

Taka jest kolej rzeczy, kiedy przesuwa się front: trzeba się przeprowadzać. Z miasta do miasta. Z domu do domu. Nie zagrzejesz miejsca nigdzie. Nie jesz z tego samego pieca i nie przytulasz się nocą do tej samej piersi. Czasami tęsknił za wojennymi kobietami. W sztabie życie nie było złe. Mieli chleb, konserwy, czasami nawet patefon z muzyką.

Nie dało się go zabrać do Warszawy. Ciężarówka nie była z gumy. A jeszcze przecież musiało się tam zmieścić tych sześciu konwojentów z pepeszami.

Szyby zaparowane, ale wytarł, żeby widzieć miasto. W końcu wracał do domu. Wiedział, że miasta nie ma. Był piętnastego września nad rzeką i widział, jak płonie. Był jeszcze raz, dziewiętnastego w nocy, i widział garstkę tych, którym udało się wrócić na praski brzeg po próbie zdobycia przyczółku na Żoliborzu.

Wiedział, że miasta nie ma. Ale nawet jeśli nie ma już tego miasta, to na zawsze pozostało jego domem.

A teraz jechali przez Pragę i gdyby z tego obrazka wymazać żołnierzy, to śladów wojny wcale nie było tak dużo. Na Dworzec Wschodni jeździły już normalnie pociągi. Słońce, choć to połu-dnie, stało nisko i oślepiało oczy tak, że nie dało się patrzeć bez ich mrużenia. Mróz był jak na Syberii. Śniegu wydawało mu się nawet więcej. Nie, no wiedział, że to tylko kilkanaście stopni poniżej zera, a nie czterdzieści, ale zimno odczuwał dokładnie tak samo, choć w samochodzie z pewnością było lżej niż na zewnątrz. Obejrzał się i zdrapał szron z tylnej szyby. Jego sześciu zbrojnych na pace ciężarówki gadało, buchały z nich kłęby pary. Żyli. Kolana prawie pod brodą, bo przecież pod nimi skrzynie papierów.

Dojechali nad brzeg i szofer wyhamował przed czerwoną chorągiewką żołnierza w grubym kożuchu.

– *Ždać nada!* – krzyknął tamten. – *Tipier oni prijedut na nasz bierieg*⁴.

– A któż to jedzie na tę stronę, ha? – Kierowca otworzył drzwi, żeby było go słychać na zewnątrz.

Mróz wdarł się do środka bezlitosny jak kobieca pamięć. Hubner wzdrygnął się. Otworzył swoje drzwi i wyskoczył na śnieg.

– *Kto, nu kto? Sztab jediet!*

– No to my też sztabowi przecież, a jedziemy we właściwą stronę. A most takowy wytrzymie?

– *Nu kanieszna, tanki prasły to i wy prajdiotie.*

Porucznik uderzył stopą o stopę, żeby krew zaczęła krążyć w żyłach. Zrobił kilka kroków w kierunku skarpy i spojrzał w lewo. W ostrym słońcu zwalony most Poniatowskiego wyglądał jak rozerwany pociskami pociąg. Most kolejowy zwalony. Po prawej stronie ruiny mostu Kierbedzia. Tylko skrajne przęsła siedziały na filarach, tak jak je pamiętał, gęste od kratownicy zamrożonej, białej i martwej. Na rzece kra posklejała się już w jedną białą, lśniącą i gładką pokrywę. Jeszcze było widać na lodzie rysy.

I już było znać ślady tych, co szli do miasta wprost po lodzie. Za rzeką Powiśle wydawało mu się kłębowiskiem zaśnieżonych drzew poskręcanych wiatrem i mrozem. Jak spalony syberyjski las. Nie snuło się ponad ruinami nic. Ani jedna stróżka dymu. Tylko zwalista bryła kościoła Świętej Anny wisiała nad miastem jak malowana, żółta dekoracja. Zamku nie było. Nie było dachów katedry. Pokręcił głową.

Skręciłby sobie papierosa, ale ręce zgrabiwały na kość. Po tym jak przemroził palce na Syberii, szybko tracił w nich czucie.

Potem przejechali na drugą stronę wprost na Karową. Wszędzie pustka. Tylko tam gdzie wojsko siedziało dookoła ognia, to jeszcze sadze i kłębowiska sprężyn po kanapach, tapczanach, krzesłach i co tam jeszcze nadawało się do spalenia. Czarne plamy popiołu w bieli śniegu. Ciekawe, co palą. Pewnie książki. Książki palą się łatwo, ale ciepła dają tylko na kilka chwil. Lepiej używać ich inaczej. W Archangielsku miał jedną książkę. Wrywał z niej strona po stronie i wkładał pod spodnie i pod koszulę. Papier dobrze izoluje od chłodu, jeśli go tak używać. I na dłużej wystarcza. Kiedy go po prostu wrzucasz do ognia, całą swoją energię wysyła w kosmos w jednej chwili.

– W prawo jedźcie, dobrze? – powiedział do kierowcy, kiedy już wyjechali na skarpe wiślaną pośród pustych, ale nie całkiem zwalonych kamienic.

– A to pan porucznik miasto zna? – zapytał tamten. – Sztab znajdziemy?

– No znam, co mam nie znać? Niech się pan, Stasiu, nie martwi, widzi, że wszędzie pusto? Zapytamy i znajdziemy, a teraz skręcaj pan. W prawo, w prawo!

– No to gdzie jechać?

– Zamek zobaczymy. – Nie chciał jechać do sztabu, zanim nie zobaczy domu. Robota nie ucieknie. Ale do domu nie chciał jechać, zanim nie zobaczy Starego Miasta. Wiedział, że zamku już nie ma. Tyle widać było z praskiej strony. Pałac Potockich spalony, ale brama wciąż stała ze swoimi

latarniami, urnami na filarach i ozdobną kratą. Hotel Bristol miał nawet szyby w oknach. Przed wejściem rosyjscy żołnierze, więc pewnie zajęli już na kwatery. Pałac prezesa Rady Ministrów ocalał, choć postrzelany i poraniony odłamkami. Ale kamienice na rogu Koziej i Krakowskiego Przedmieścia zwalone w proch, dalej, choć nie było dachów, trzymały się jednak aż do wysokości drugiego piętra.

– No, a zamek daleko, poruczniku? Bo tu strach jechać, miny mogą być przecież.

Po lewej stronie na zbitym z desek podejście leżały miny, przewody, zapalniki. Jednym słowem zło.

– To niech Stasiu uważnie jedzie, po śladach. – Hubner poklepał go po plecach. – Przecież ulica szeroka.

Na śniegu wiła się przed nimi podwójna stróżka śladów ciężarówki. Porucznik patrzył na martwy krajobraz i nie czuł nic. Nie było w tych martwych murach nic z tego, co zapamiętał ze swojego miasta. Nie było nawet gołębi. Zupełnie jak na kazachskim stepie. Kościół Świętej Anny stał jakby całkiem zapomniany przez Niemców. Jakby się im ukrył, kiedy wysadzali i palili budynki po przeciwnej stronie Krakowskiego Przedmieścia. Ale za kościołem, za wylotem wiaduktu Pancera był jedynie bezmiar gruzów. Śnieg litościwie pogrzebał truchło zamku.

– No i gdzie ten zamek? – zapytał jeszcze raz kierowca, zakręcając tuż przy trupie Zygmunta III Wazy. Potrzaskane kawały kolumny walały się tak, że nie dało się dalej przejechać. Król leżał na plecach. Ktoś odgarnął z niego śnieg.

Hubner pomyślał, że Zygmunt sam tego nie zrobił, bo zobaczył, że miał oderwane ręce. Przypomniała mu się legenda, o której uczył się w szkole. Dopóki król Zygmunt ma szablę wzniesioną, Warszawę obroni przed każdą plagą, głodem, ogniem i wojną.

Z oderwanymi rękami nie miał szans. Ale gdyby nie te ręce, pomyślał, wydawałoby się, że śpi po prostu z jakimś niezmiernym, spokojnym

uśmiechem na ustach, w koronie, z głową uniesioną i otwartymi oczami. Jakby widział lepsze czasy.

Kolumna została pocięta na plastry. Jak zrobiona z plasteliny, a nie z kamienia. Kapitel odłamany, ale ocalał. I latarnia ocalała nad zewłokiem króla. Gdyby był w mieście prąd, świeciłyby nad nim jak gwiazda.

– Nu, dali nie ma jak jechać, porucznik sam widzi.

– Widzę. – Hubner poczuł, że musi pobyć sam. – Zostańcie. Ja za chwilę wrócę.

Wszedł w Piwną, bo wydało mu się, że tam domy są jakby mniej zniszczone niż truchło zamku, na które patrzeć nie chciał, tak jak nie chciał patrzeć na zwłoki tych, co ich trzeba było wyrzucać z pociągu na Sybir, ani tych pociętych seriami i odłamkami na przedpolach Lenino. I tych, których ciała widzieli w pontonach, kiedy Niemcy odepchnęli ich we wrześniu z Warszawy. Miał zamek za plecami, ale zdawało mu się, że to wielkie, martwe cielsko drży, jakby jeszcze łąpało oddech, a pręty stalowe, drewniane krokwie i resztki konstrukcji dachu sterczące w górę niczym połamane żebra kruszą się i uginają pod ciężarem nieba.

Na Piwnej domy były wypalone, ale przeważnie stały. Ulica została zasypana gruzem do wysokości pierwszego piętra, ale ponad tym ściany stały. Tyle że żadnego ruchu, nic. Cisza. Nawet wiatru nie było. Domy pochylone, jakby nie dały rady zwalić się całkiem. Gdzieniedzie z oderwanej rynny sople lodu. Środkiem tego zwałowiska biegła po śniegu wąska ścieżka w górę. Po prawej stronie, gdzieś w połowie drogi między placem Zamkowym a kościołem, tkwiło w tym błękiecie wąskie, siwe, rachityczne źdźbło dymu. Wydało mu się, że musi zwisać z błękitu, bo przecież niemożliwe, żeby wydobywało się spod ziemi.

Wdrapał się ścieżką na górę, przeszedł przez okno pierwszego piętra na podwórze. Nad zwałowiskiem po kamienicy teren opadał. A ze ściany oficyny, jak spod ziemi, wyglądała na świat czarna, osmalona rura. Ściana była pochylona, ale trzymała się jakimś cudem. Nie było okien, tylko drzwi

przywleczone z jakiejś komórki. No a w dziurze po odłamku, zatkanej pakułami, tkwiła rura.

Dymiła.

– Halo! – krzyknął. – Jest tu kto?

Przesunął kaburę na przód i odpiął, żeby w razie czego sięgnąć bez zwłoki.

– Halo! – Pociągnął nosem. Ktoś gotował kaszę. Nie miał wątpliwości. Kto przeszedł Syberię, poznawał ten zapach zawsze i wszędzie.

Szarpnął drzwi. Nie były na zawiasach. Po prostu stały, zakrywając wejście do wypalanej dziury w ziemi.

– Kto tam? – Kobieta mrużyła oczy od blasku. W środku nie było żadnego światła, tylko płomień w piecyku. Małeńkie wrota kozy dawały nikły, drżący blask. Słońce i śnieg musiały ją oślepić.

– Kto? – powtórzyła. Usłyszał w tym głosie strach.

– Swoi, babciu, swoi – powiedział, ale kolby pistoletu nie puścił. Nie wiadomo, kto tam się jeszcze krył w tej jej norze.

Zrobiła krok do przodu. Miała długie włosy, szare od pyłu, i brudną, ziemistą twarz. Cała była owinięta w szmaty, jakiś przemarznięty, brudny koc. Na głowie stary ręcznik. Gołe ręce, pomimo mrozu. Dłonie duże. Czarne. Wszystko to, całe jej ubranie, powiązane sznurem. Śmierdziała zgnilizną, ziemią.

– Co tu robicie, babciu? – zapytał.

– Kazimiera – powiedziała. – Kazimiera Majchrzak. Wszyscy nie żyją.

– Słucham?

– Wszyscy nie żyją – powtórzyła. – Ludzie nie latają, nie wiedział pan, poruczniku?

Przez chwilę myślał, że jest szalona, ale szalona kobieta nie potrafiłaby przecież odczytać dystynkcji. Patrzyła na niego badawczo. Nie zrobiła kroku naprzód. Ani nie cofnęła się o krok.

– Ptaki potrafią odlecieć. Nawet orzeł, choć bez korony.

Pokiwał głową.

– Na Syberii koroną się nie najesz – powiedział. – Nawet jak jest złota.

Nie zrobiło to na niej wrażenia. Przesunął raportówkę na brzuch, chwilę mocował się ze sprzączką, a potem wyjął z niej dwie konserwy.

– Tuszonka, ruska, ale dobra.

– Gołębie nie jedzą tuszonki – powiedziała.

– To dla was.

– Dla gołębi macie co?

– Dla jakich gołębi?

– Dla gołębi ze Starego Miasta. – Wyciągnęła ręce po konserwy. – Ludzie nie odlecą. Pogrzebałam ich pod gruzami, tych, co nie zeszli do kanałów. Ale nie wszystkich. Zima przyszła za szybko. Dla ludzi, dla koni. Gołębie odleciały. Ale wróciły. Ziarna mi dla nich potrzeba. Ma pan ziarno, poruczniku?

Kiedy wrócił do tej niemieckiej, zdobyczej ciężarówki, jego ludzie siedzieli na śniegu oparci o potrzaskaną kolumnę i wystawiali twarze do słońca. Mróz był wielki, ale w słońcu czuło się nowe życie. Pojechali przez Miodową i Długą, jak koleiny śladów. Na Długiej spod śniegu wystawał trup konia. Ale pod numerem 7, naprzeciw kościoła, oficyna stała. Jakies baby ciągnęły przez zwały gruzów stare materace. Nie spodziewał więc się cudu, jednak jego rodzinny dom na Wilczej stał jakby zupełnie nietknięty. Osmalone tylko mieszkania na parterze, elewacja posiekana pociskami. Ale na piętrze ocalały nawet balkony. Tylko zamiast szyb w oknach była dykta. Na pierwszym piętrze poharatana. I Rusiński stał w bramie, w kufajce i czapce uszance. Musiał je wyhandlować z żołnierzami. Poczerniały, wychudły, nieogolony, ale to bez wątplenia on. Nikt inny nie potrafił brać się pod boki tak bardzo po wielkopańsku.

– Dzień dobry, panie Franciszku. – Hubner podszedł do dozorczy z otwartymi ramionami.

– A... pan inżynier, no dopiero po głosie poznałem.

– Jest ktoś? – zapytał Hubner, podnosząc wzrok do pierwszego piętra. – Mama?

– To nic pani inżynier nie wie? – Tamten zdjął czapkę. Siwy był pod nią zupełnie. Spuścił wzrok. – A jakieś wojskowe są w domu, Ruskie, zajęły na kwatery. Meble chcą rąbać, żeby w kominku palić, no nie poradzę, panie inżynierze, znoszę im stare meble z tej spalonej kamienicy pod 42, co były Szare Szeregi w powstaniu, ale tam trudno wchodzić, trupy pomarżnięte leżą...

Hubner machnął ręką.

– A matka? Wie pan coś o mamie?

– Zabrali wszystkich w czterdziestym pierwszym roku. Za mur, że tu będą mieszkać niemieccy oficerowie. Ojciec pana, niech mu Bóg błogosławi, porządny człowiek, chociaż Żyd, ale nigdy mnie krzywdy zrobić nie dał, mówił, jak odchodzili: „Franciszku, powierzam panu pieczę nad księgozbiorem, on jest cenniejszy niż życie”. Tak powiedział...

Stary pokiwał głową.

No tak. Sławny w całej Europie księgozbiór Hubnerów. Starodruki, Franckenberg, kabaliści, mistycy średniowieczni i luterkańscy, pansofiści Komeniusza, Molinos, Fénelon, Frank, Sefer Jecira... księgi alchemików i poszukiwaczy kamienia filozoficznego. Tylko Peuckert miał równie imponujący zbiór literatury na temat metafizyki. Hubner wiedział, że ojciec tak właśnie mógł powiedzieć. Księgi ważniejsze niż życie. Zawsze to powtarzał. Jesteśmy tymi, których wybrały, żeby je przechować i żeby je czytać. Księgi żyją, kiedy się je czyta.

– Chodźmy – powiedział.

– No, ale dokąd?

– Jak dokąd, do domu.

– No ale oni kazali spierdalać. Wino piją po tym Niemcu. Meble rąbią.

– Po jakim Niemcu?

– Po pilocie czy tam po lotniku.

– A czyj to dom? – Hubner poczuł się nagle gospodarzem. Wyjechał z Warszawy w lipcu trzydziestego dziewiątego na wschód, trafił do obozu, na zsyłkę, na koniec świata, a teraz jacyś barbarzyńcy będą mu palić meble?

Franciszek potruchtał za nim.

Hubner pchnął drzwi. Buchnęło zza nich gorące powietrze. Mame, jestem – chciał powiedzieć, ale wyszli już z salonu w tych swoich butach uwalonych błotem i gównem.

– Czewo? – Żołnierz ściągnął z pleców pepeszę.

– Pizduj – powiedział Hubner cicho. – Wypierdalaj. I wy wsie toże.

– Co spierdalać, co spierdalać? – tamten stropił się. Gęba czerwona. Widać nażłopali tego wina już dość.

– *Marszał Żukow budiet zdies guliał siewodnia, pizdujcie!*

– *Wy kto?* – Z salonu wytoczył się jeszcze jeden.

– *Tawariś starszyna wam nada uchodit.* – Hubner stanął na szeroko rozstawionych nogach, ręce założył do tyłu. Znał mowę ciała ruskich chamów na wrywki.

– *Wy kto?*

– *Lejtienant Hubner, so sztaba, zdies kwartira dla marszala Żukowa!*

Tamten stał w milczeniu. Jego podwładny opuścił bezradnie pepeszę.

– *Szto, szto praischodit* – dobiegło z głębi salonu.

– *Won!* – krzyknął Hubner. – *Wino bieritie i won!*

Poszli. Jeden po drugim, dziewięciu. Hubner pomyślał, że musi tu zakwaterować Jaroszewicza, na wypadek gdyby mieli wrócić.

– Franciszek wie przypadkiem, gdzie tu sztab?

– No, a jak? Ja przecie miejscowy.

Hubner kazał swoim sześciu żołnierzom wnieść skrzynie na górę i pilnować wina, na wypadek gdyby Ruscy mieli wrócić.

Jaroszewicz ucieszył się z perspektywy suchego łóżka, wina i kominka. Wieczorem pili je, przeglądali książki i słuchali opowieści Franciszka.

– No i Niemcy zajęli dom. Tutaj to jakiś oficer, pewno generał, bo samochodem po niego przyjeżdżali co rano. Buty mu musiałem pastować. Ale co było robić? Pan profesor powiedział, żeby książek pilnować, pilnowałem. No a Niemiec brał mnie i pytał o te księgi. Ja po niemiecku za dobrze nie gadam. Ale miał takiego z Poznańskiej, zdrajczyka jednego, i on tłumaczył. Lotnik. Pilot. Ten Niemiec. O księgi pytał. Powiedziałem mu, że są cenniejsze niż życie i jak będzie bombardował, to żeby pamiętał, że tutaj nie wolno. Śmiał się. A ja jemu, że niech pamięta, że na swój dom się nie rzuca bombami. Bo przecież to nie moje meble, prawda? Nie moje księgi. Teraz to jego. No i nie zbombardowali. Musieli pamiętać. Niemce to pamiętliwe są. No i meble zostały. I książki zostały. Przypilnowałem. Jak powstanie było, pilnowałem. Bo tu poczta była zaraz naprzeciwko, a tam obok, jak wyrzeć z balkonu, dowództwo Szarych Szeregów. A meble, pan inżynier widzi, inne. Bo on, ten Niemiec, to ściągał tu meble z całego miasta. Meble, obrazy... Myślałem, wróci pan profesor, wróci pan inżynier, sprzeda się te meble, obrazy i będzie jak znalazł na zagospodarowanie. Ja tu wszystkiego pilnowałem. Rano osiemnastego przyszedłem z Piaseczna, od szwagra, jak tylko się dowiedziałem, że już można. Patrę, dom jest. Obszedłem. Wszystko jest. No a wieczorem Ruskie zajęły. Wypili wino, meble zaczęli palić. Ale książki ocalały.

Jaroszewicz wypisał papiery, że dom zajęty na potrzeby państwa polskiego. Ostemplowali czym tam mogli ostemplować i zostawili Franciszkowi w depozyt, jakby kto chciał wleźć, to żeby gnał jak psa. Wojna jest i wojskowego ruszać nie wolno. A jak wrócą z Berlina, to się jakoś wszystko tu urządzi przecież.

Kiedy pułkownik zasnął, Hubner zapatrzył się na portret matki. Obraz, właściwie rysunek tego Witkacego, który często bywał u Ginzburgów pod 42. Hubner pamiętał go z dzieciństwa. Bella i Emil Ginzburgowie

przyjaźnili się z rodzicami. Witkacy kilka razy portretował pana Emila, przedsiębiorcę z branży dykty i forniry, którego uważał za wzór cierpliwości w czasie portretowania. Ojcu portret Witkacego się nie podobał, bo matka była na nim jakby poskładana z kantów i cieni, całkowicie zagubiła swoje miękkie krągłości.

Gdyby pojechała ze mną do Archangielska, pewnie tak by właśnie wyglądała, pomyślał. Wychudła, z głębokimi cieniami pod oczami i nosem.

Znowu zapytał Franciszka o matkę.

Dozorca pokręcił głową.

– Ja do getta nie chodził. To strach. No i nie wrócili, jak to getto spłonęło. No ale pan wrócił. I się książki ostały. I... – Poklepał się po kieszeni, w której miał papiery od Jaroszewicza. – I się wasza kamienica ostała. A to przecież cud.

TERAZ

Kamienica stała na swoim miejscu i to zakrawało na cud, bo po powstaniu Niemcy obrócili Warszawę w popiół i gruz. A jednak w okolicy skrzyżowania Marszałkowskiej i Alej przetrwało kilka budynków. Hotel Polonia, mimo że w czasie powstania był w nim szpital i kuchnie, bo magazyny miał dobrze zaopatrzone, ocalał, bo okupanci umieścili w nim swoje urzędy i dowództwa. Przetrwała kamienica przy Poznańskiej 15, w której jeszcze przed wojną Sowieci urządzili swoją ambasadę, a po zdobyciu Warszawy Niemcy zamienili ją na siedzibę Wehrmachtu. Sowieckich gwiazd nie skuli i kulę ziemską opasaną wieńcami komunizmu też zostawili nad wejściem. Ocalała również kamienica Hubnerów na rogu Marszałkowskiej i Wilczej. Olga miała w aktach jakieś jej zdjęcie sprzed wojny. Na pierwszym planie oddział kawalerii, paradne mundury, a w tle ten budynek z okazałymi balkonami na pierwszym piętrze.

Teraz, kiedy na nią patrzyła z perspektywy ulicy, balkony były niemal niewidoczne, bo zasłaniał je wysoki, blaszany płot odgradzający świat robót budowlanych od całej reszty rzeczywistości. Próbowała znaleźć jakąś dziurę, ale nie było to możliwe. Zdawało się, że płot niemal przylegał do ścian budynku, bo chodnik był węższy na całej długości kamienicy zaledwie o jakieś pół metra. Żaden robotnik by się nie zmieścił po tamtej stronie. Nie było żadnej furtki. Ani nie było tej żółtej tablicy, która na placach budów informuje o telefonach do inwestora i kierownika robót.

Nic.

Jedynie tabliczki z napisem „zakaz wieszania reklam”, a dookoła nich wlepki, graffiti, stare oberwane plakaty. Ale tablicy nie było.

– Kurwa mać. – Poczowała, że jej telefon zawibrował. Przytrzymała zębami rękawiczkę, wyswobodziła dłoń i zaczęła grzebać w kieszeni spodni. Nie było łatwo, odkąd zaczęła częściej biegać i wciskać się w wąskie spodnie.

Wyjęła telefon i okazało się, że to Szymon, ale właśnie kiedy miała odebrać, telefon przestał wibrować.

Nie oddzwaniał przez cały wieczór. Nie oddzwaniał przez kolejny dzień. I po trzech sygnałach wątpi... to nie jest w porządku. No, może po sześciu.

Rozejrzała się w obie strony i przeszła na drugą stronę Wilczej. Stąd mogła zobaczyć żeliwne, kute balustrady balkonów. W oknach nie było firanek. Szyby brudne.

Nie, no nie zadzwonię do niego, nie będę się o nic prosiła – postanowiła i natychmiast tego pożałowała. Nie chodziło przecież o nic wielkiego. Nie chciała miłości ani romansu, ani układania sobie życia, brania psa ze schroniska, wspólnego tycia przed telewizorem, znajdowania jego włosów na poduszkach i skarpet w jakimś kącie. Nauczyła się już nie pragnąć tego, czego nie można mieć. Nie może mieć już Anki. Nie może pojechać w podróż dookoła świata. Nie wysłucha na żywo Pink Floyd. Nie spłaci kredytu przez kolejne ćwierć wieku, nie doczeka dnia, w którym nie będzie musiała trzymać w robocie języka za zębami i będzie mogła mówić to, co naprawdę myśli o miesięcznicach smoleńskich, KOD, paskach w telewizji. I na kogo głośuje, a na kogo nie.

Ale lubiła jego dłonie na plecach, kiedy ją obejmował. I robił dobre kotlety. Ciekawe, dlaczego na tej kamienicy nie ma tablicy, to chyba obowiązkowe. Może jednak zadzwonię? Przeszła z powrotem przez ulicę i ruszyła w stronę Marszałkowskiej. To takie dziwne. Wilcza wydawała się cicha i uśpiona. Marszałkowska kipiała niczym Niagara. Gdyby ten

nieustający łoskot zatrzymać w jednej sekundzie, świat udławiłby się ze zdziwienia. Skręciła w lewo i zobaczyła tę żółtą tablicę. Stara, zawieszona wysoko i całkowicie zatarta. Nie dało się z niej niczego odczytać. Pewnie ktoś wypisał dane flamastrem mało odpornym na słońce i deszcz.

Jasna cholera, pomyślała. Spodziewała się, że będą tu jakieś numery telefonów, ale nic... pojedzie do urzędu i sprawdzi, co i jak z tą nieruchomością.

Telefon znowu zawibrował. Tym razem wyciągnęła go bardzo szybko.

– Cześć, już się bałam, że nie zadzwonisz drugi... – powiedziała głosem nieswoim, miękkim, aż musiała przełknąć ślinę.

– Cześć, córuchna – usłyszała. Siwy miał słaby głos, ale to był on. – Przepraszam, nie wypada mi przecież do ciebie dzwonić bez przerwy, jeszcze ten twój chłopak pomyśli, że mamy romans.

– Nie mam chłopaka. – Zrobiło jej się przykro, kiedy to powiedziała.

– Przestał się odzywać ten twój motocyklista?

– Przestał.

– Może przez tę zimę bez końca – powiedział Siwy. – Zima to nie jest pora na motocyklistów. Miałem nadzieję, że się wam jakoś poukłada, wiesz, kto lepiej zrozumie psa niż drugi pies.

– Bezpański i głodny?

– Nie, takie rzucają się sobie do gardeł.

– No właśnie, zaczekaj chwilę, bo dochodzę do samochodu. – Zaparkowała przy Marszałkowskiej. Miała szczęście, około jedenastej to się czasami udaje. Otworzyła auto, wgramoliła się do środka w tej grubej kurtce i z ulgą usłyszała, że silnik zaskoczył niemal od razu. – No, jestem. Jak się czujesz?

– Chemię mi dali wczoraj. Leżę w łóżku, dużo myślę. Wspomnienia bym napisał, gdybym miał siłę, ale nie mam.

– Boli?

– Nie wiem nawet, czy po tym wszystkim, co dostałem, powinno, ale słaby jestem. Przyszło mi do głowy, że zmarnowałem życie. I dlatego dzwonię. Żeby ci powiedzieć, nie zmarnuj życia. Rzuć to, wyjedź gdzieś.

– Dlaczego uważasz, że zmarnowałeś życie? – Otworzyła nawiew, ale silnik był jeszcze za zimny. – Zbójów nałapałeś, przysięgi dochowałeś.

– To była inna przysięga niż twoja.

– Chuj tam inna. Przecież łapałeś złych ludzi. Nie skurwiłeś się...

– Źle żyłem. Wiesz, trzeba żyć tak, jakby został ci tylko miesiąc. Nie marnuj czasu na niepotrzebne sprawy. Na smutek, żal i na stawianie na swoim. Na bezmyślne czynności, z których nie wynika nic dobrego ani dla ciebie, ani dla świata. Na narzekanie na korki, na podkrążone oczy, na myślenie o sprawach, do których nie ma powrotu.

– Ale co ty mówisz? – przestraszyła się, że to pożegnanie.

– Nie, nic. Mówię ci, co sobie teraz myślę. Jeśli wiesz, że masz miesiąc, skupiasz się tylko na tym, co prawdziwe. Na muzyce, na wschodach i zachodach słońca, na spotkaniach z przyjaciółmi, na tym, żeby jeszcze raz przeczytać najważniejszą książkę. Na tym, żeby mieć porządek wokół siebie. W góry jedź, listy napisz do tych, których kochałaś. Jeśli zadzwonisz, mogą nie odebrać, mają przecież inne, lepsze życia niż z tobą. Ale jeśli napiszesz – przeczytają.

– Co mi chcesz powiedzieć?

– Nie, nic... ksiądz do mnie przyszedł dzisiaj, łązi tu po szpitalu. Pyta, czy pogadamy, wzruszyłem ramionami, bo mi się gadać nie chce, ale co tu robić? Telewizji mam dość. Opowiedział mi, że kiedyś taki chłopak napisał list do Boga, że chciałby żyć tylko miesiąc, bo tylko wtedy będzie wiedział, jak pokazać ludziom to, co ważne. Następnego dnia zachorował. Wtedy malaria była śmiertelną chorobą. Ale miał miesiąc, żeby pożegnać się ze wszystkimi, których kochał, tak żeby świat zapamiętał go już na zawsze. Podobno to prawdziwa historia. Stanisław Kostka. Kiedy umierał, powiedział podobno, że widzi ich tam wszystkich w niebie.

– Bardzo źle z tobą?

– Nie. Nie aż tak... Zadzwoiłem, żeby ci powiedzieć, że są sprawy ważniejsze niż ten Pawliszuk. Zadzwoń do tego swojego chłopaka i zapytaj, czy nie mają tam miejsc we Wrocławiu w terrorze i zabójstwach. Byłabyś szczęśliwsza niż tutaj.

Wyłączył się.

Nie rozumiała, co jej chciał powiedzieć.

Ruszyła. Skręciła w Wilczą. Minęła ogrodzoną kamienicę, a potem, przy kolejnej, wielkiego chevroleta suburana. Pamiętała ten samochód. Kilka miesięcy temu o mało jej nie staranował na Marszałkowskiej. Rozmowa z Siwym wytrąciła ją z równowagi. No ale może to był znak. Może powinna zadzwonić. Skręciła w Poznańską. Samochody niemal stały. A przecież nie padło... co z tymi ludźmi.

Wykręciła numer Szymona.

– Hej – powiedział.

– Hej. – Postanowiła nie zaczynać od pretensji. Zresztą kiedy tylko go usłyszała, uspokoiła się. Że wszystko w porządku. – Nie odbier...

– Nie odbiehałem, bo akcję mieliśmy, zostawiliśmy telefony w biurze, żeby nie spłoszyć naszego bandyty.

– Może kłamiesz, a może nie kłamiesz... – Auta ruszyły. Była blisko skrzyżowania w Hożą. – Gdybym cię miała na dołku, to bym wiedziała, to niczego byś nie ukrył, wiesz?

– Świeciłabyś mi żarówką w oczy?

– Świeciłabym.

– Phowokowałabyś do niekontholowanych emocji?

– Prowokowałabym.

– Jak Shahon Stone w białej sukience bez majtek?

– To przecież ja bym cię przesłuchiwała.

– A, no tak... kazałabyś mi helacjonować sphawę w odwhócopnej

pihamidzie chhologicznej?

– Hahaha, chodziliśmy na te same zajęcia. Nie, tego bym nie zrobiła, ale kazałabym ci czytać na głos słownik języka polskiego, literka „r”. – Zapaliło się zielone i pojechała w lewo w Marszałkowską. Za chwilę zobaczy Pałac Kultury i Nauki i znowu pomyśli, że jest piękny.

– Co tam w twojej sphawie?

– Na razie nic. Nie mam żadnego punktu zaczepienia.

– Opowiesz mi?

Opowiedziała. O spotkaniu z Kowalem, o tym, co było w papierach. O notatce dzielnicowego też. No i o tym, że dziwnie mało jest w tych papierach. Czy to możliwe, żeby ktoś wyciągnął zawartość teczek? Że było tam coś jeszcze? Coś, o czym zapomniała? Może jakiś raport zdążyła napisać? Notatki zrobić?

– Ile nad tym phacowałaś?

– Wtedy? Dwa dni. No, czy tam dwa i pół. Nie miałam zbyt wiele czasu.

– Kiedy zaczęłaś?

– Wieczorem na miejscu oględziny... potem rano pewnie coś napisałam. Raportu z sekcji jeszcze nie było, to pewne, nie zrobiliby tak z dnia na dzień. Ale coś musiałam robić rano... może napisałam raport albo jakąś notatkę...? Poprosiłam, żeby dzielnicowy rozpytał o Pawliszuka w jego miejscu zamieszkania.

– Skąd wiedziałaś, że nie mieszka na działkach na stałe? Znaleźliście dokumenty?

– Nie pamiętam... Ale kiedy jest taki pożar, to zawsze się ludzie zbiegną i ktoś pewnie wiedział czyja. Ludzie się na Żoliborzu znają. No i dziecko zginęło. Pewnie tak trafiliśmy do rodziców... Ta dziewczynka, Kasia, była koleżanką mojej córki. Kilka razy odwiedziła nas w domu. Na pewno rozmawiałam z jej matką.

– Z Pawliszukową?

– Ona się nazywała Najnert. To była córka Pawliszuka. Przyjedziesz?

– A chcesz? Nie wygonisz mnie?

– Chcę.

– Przyjadę. Daj mi dwa, trzy dni. Muszę papięhy przygotować. Jutho mam przesłuchanie. A potem przyjadę.

Rozłączyła się, żeby mu nie pozwolić się rozmyślić.

Wróciła do roboty. Kosiński szukał bezdomnego. Ona czytała dokumenty.

Telefon na biurku zaskoczył ją bardzo. Rzadko dzwonił.

– Wzywa cię – usłyszała. – Wie, że jesteś na fabryce... Tak, teraz.

Obciągnęła sweter i poszła. Po drodze starała się wygładzić włosy. Uderzyła dwa razy dłońmi w policzki. Cholera, nie mogą być taka blada.

– Mam wejść od razu?

– Tak, czeka – powiedziała sekretarka.

Młodszy inspektor Kazimierz Leśmian wyglądał przez okno. Ręce miał założone za plecy. Kiwał się delikatnie na piętach. W granatowym swetrze wyglądał dużo lepiej niż w mundurze. Jeśli jesteś szczupły i wysoki, ludzie nie zauważą, że łysiejesz.

– Ha, jesteś wreszcie – powiedział bez przygany. Ale nie odwrócił się od okna. – Znowu ta mgła. Wiesz, dzisiaj rano w TVN powiedzieli, że ten całun nad Warszawą to nie jest mgła, ale smog. Przełączyłem na TVP chwilę później i powiedzieli, że to wcale nie jest smog, ale mgła... No i gdzie jest prawda?

Odwrócił się.

Serbia milczała.

– Kiedy byłem dzieckiem, jeździliśmy w Góry Izerskie, z Lubina to blisko, wiesz, a wtedy na wycieczki szkolne jeździło się raczej blisko. Widziałem, jak umierały lasy w tych wyziewach Celwiskozy, hut różnorakich, dwusuwowych silników, czarnobylskich opadów, a teraz

słyszę, że Polska jest najbardziej zatrutym krajem w Europie.

Zawiesił głos.

– Chyba w TVP mówią odwrotnie...

– No nie, właśnie nie. W sensie ogólnym mówią, że ze smogiem trzeba walczyć, ale w kwestii dnia dzisiejszego uważają, że to jednak mgła.

– O tym będziemy rozmawiać? Bo ja robotę mam.

– Nie, nie, siadaj, przepraszam. Czarną pijesz. – Znowu nie dał jej wyboru. Zapytał, jak sprawa. Opowiedziała, a on dopytał o szczegóły. A kiedy miała już wracać do siebie, zatrzymał ją gestem.

– Dlaczego oglądacie filmy z miesięcznicy?

– Młody na mnie nakablował? – Chyba nie umiała ukryć rozczarowania, bo Leśmian zaraz ją uspokoił, że nie, że Kosiński nie ma z tym nic wspólnego, ale on przecież musi wiedzieć, co robią jego ludzie.

– Zwłaszcza jeśli próbują rozpoznawać ludzi, którzy byli na miesięcznicy. Wiesz, że to drażliwa sprawa.

– Wiem. Chyba każdy to wie.

– Zwłaszcza że za kilkanaście dni jest dziesiąty kwietnia. Wiesz, co się będzie działo.

– Pewnie znowu piekło.

– A ja muszę wiedzieć, czego tam szukacie.

– Faceta z bronią.

– Jak to?

Opowiedziała o bezdomnym. I że jest pewna, że odebrał tamtemu broń.

– W tamtej sprawie nie ma mowy o broni. Funkcjonariusze Interpolu, zresztą masz dostać jakąś oficjalną pochwałę od nich, ale pewnie minister zechce się z tobą spotkać osobiście, no więc oni nie wspomnieli o broni.

– To jak im uciekł?

– Trzasnął to dziecko, chłopiec upadł, kobieta, bo ich było dwoje, rzuciła się ratować dziecko, a mężczyznę trzasnął butelką wody.

Cisowianki.

– I tamten się poddał?

– Przytomność stracił. Butelka była szklana, to elegancki hotel. O broni nie wspomnieli.

– Ale ja wiem, co widziałam.

– Pewna jesteś?

Pokiwała głową.

– No to trzeba go znaleźć. – Poglądził łysinę. – Dobrze byłoby to zrobić przed dziesiątym. Rozumiesz? Chuj wie, kto to jest. No nie może nam ktoś z bronią łączyć po demonstracjach. Przecież nie postawimy bramek na całym Krakowskim Przedmieściu.

Poczuła satysfakcję, kiedy Leśmian zaklął. Bał się. Nie był taki twardy. Bał się, że go wypierdola, jeśli coś się stanie na miesięcznicy.

– A jesteś pewna, że to bezdomny?

– Nie. Ale jestem pewna, że na takiego wyglądał.

– Cholera. A jesteś pewna, że Kosiński potrafi go odnaleźć?

TERAZ

– Jesteś pewien, że potrafisz odnaleźć właściwego człowieka do tego zadania?

– Tak, proszę pana. To ktoś, kogo nie można będzie skazać, bo jest niepoczytalny – powiedział zwalisty.

– Tak naprawdę?

– Tak naprawdę.

Samochód był doskonale wytłumiony, aż do przesady. Warszawa przesuwała się za szybami jak film. Filtry w szybach sprawiały, że barwy nawet w tej mgle były bardziej wysyczone, nierealne. Właściwie gdyby puścić jakiś film w monitorach wmontowanych w korpusy siedzeń przed nimi, pewnie nie byłoby wielkiej różnicy. Na przykład *Łowcę androidów*. Tyle że tam nie śnieg, ale deszcz robił grę. Tutaj koniec marca, a pogoda jak w lutym.

– A nie prościej wykorzystać któregoś z naszych sprawdzonych ludzi? Wyciągniemy z więzienia kogoś, kto ma za sobą psychiatryczne doświadczenia, on zrobi, co ma zrobić, wróci do aresztu, a wtedy okaże się, że był już leczony. Dostanie pięć lat, wyjdzie po dwóch. Zamieszka w ciepłych krajach.

– Jedno nie wyklucza drugiego. – Zwalisty sięgnął do lodówki i wyjął puszkę danielsa z colą.

– Co przez to rozumiesz?

– W trudnej operacji dobrze jest mieć drugi zespół, drugą drużynę. Jeśli

zawiedzie pierwszy operator, drugi jest w odwodzie i wtedy on uderza.

– To może okazać się zbyt skomplikowane... Panie Przemysławie, proszę pojechać Bracką, nie lubię Wisłostrady o tej porze roku. I proszę włączyć nam jakąś operę.

– Dlaczego skomplikowane?

– Na wypadek, gdyby trzeba było pozamiatać. Nie możemy sobie pozwolić na żadne kłopoty.

Wnętrze limuzyny wypełniła nagła kawalkada smyków, a po chwili także trąbek. Zwalisty poczuł się nagle nieswojo. Drażniła go ta muzyka swoim bezwzględny rozedrganiem.

– To oczywiste, że nie możemy.

– A ktoś, kto z więzienia wychodzi, może tam przecież powrócić. I nie musi doczekać zakończenia procesu. W szpitalach za kratkami dzieją się czasami straszne rzeczy, nawet sobie nie wyobrażasz jak straszne. Twoja opcja wydaje mi się ryzykowna.

– Niepotrzebnie. – Poczul się jeszcze bardziej rozdrażniony, kiedy jakiś męski głos włączył się nagle do gry i spróbował przekrzyczeć orkiestrę.

– *Madama Butterfly*. Panie Przemysławie, sprawił mi pan wielką przyjemność, nie musimy się już spieszyć – powiedział mężczyzna w złoconych okularach. – Proszę jechać spokojniej.

Zasunął szybę oddzielającą przedział pasażerski od kabiny kierowcy.

– Co rozumiesz przez to „niepotrzebnie”?

– Bo to prawdziwy wariat.

– W jakim sensie?

– Uszkodzenie mózgu.

– No więc jak mu powierzyć takie zadanie? Nie wiem, czy sobie zdajesz sprawę z odpowiedzialności. Nie wiem, czy rozumiesz, o jaką gramy stawkę. Ile już ponieśliśmy wyrzeczeń i ile trudnych decyzji musieliśmy podjąć. Nie możemy zaryzykować z powodu szaleństwa.

– Rozumiem. – Zwalisty zapragnął, żeby zapanowała cisza. Mijali Zachętę. Leżący, nagi wojownik z krótkim mieczem w dłoni znowu przyciągnął jego uwagę. Tak kończymy, pomyślał, kończymy wyrzuceni na brzeg. Westchnął. – Rozumiem, przecież to także moje decyzje. Mnie się śnią ci wszyscy ludzie po drodze, a nie panu.

– Mnie się też śnią – powiedział ten drugi i przez moment stanęło mu przed oczami tych kilku księży i górników z czasów, kiedy świat był prosty i przewidywalny. Widział ich zawsze tak samo. Bezzębne, zapadnięte usta i brudne, ordynarne ręce z pożółkłymi paznokciami. – Ale umiem sobie z nimi radzić. Tymczasem musimy sobie poradzić z sytuacją, która staje się kłopotliwa. Ta komisja... jej nazwy nie sposób zapamiętać... do spraw usuwania skutków prawnych decyzji reprivatyzacyjnych dotyczących nieruchomości warszawskich, wydanych z naruszeniem prawa, zacznie wkrótce pracować. Jak donoszą nasi ludzie w ministerstwie, już w maju. Zaczną przesłuchania od samej góry, a my nie chcemy, żeby ktokolwiek mówił. Żeby sobie ktokolwiek przypomniał o naszym istnieniu. Ostrzeżenie musi być więc wyraźne i jednoznaczne, a ty chcesz to załatwić przy pomocy jakiegoś upośledzonego? Z upośledzonym człowiekiem nie da się porozumieć.

– Z nim się da, pod warunkiem że pisemnie – uśmiechnął się zwalisty.

Jego gospodarz tylko westchnął i pokręcił głową. Ale mieli za sobą kilka, może nawet kilkanaście poważnych spraw i wiedział, że zwalistemu można ufać w sprawach ostatecznych rozwiązań.

– Więc mów, słucham.

– Znam takiego. Coś mu się po wypadku przestawiło w głowie tak, że mówią do niego napisy.

– Jakiego rodzaju napisy?

– Te, które widzi. Uważa, że wszechświat komunikuje się z nim za pomocą wiadomości tekstowych. Wystarczy, że będzie na miejscu i zobaczy napis: „zabij teraz babę w czerwonym”. No i zrobi to.

– Da radę?

– Oj tak. Zawodowo.

– Musimy to wypróbować przed pierwszym maja.

– Dlaczego?

– Pierwszy maja to będzie odpowiedni moment. W Łazienkach odbędzie się Piknik Europejski pod patronatem Ambasady Niemiec i Miasta Stołecznego. Będzie tłum ludzi, kamery, dzieci, zabawa. W takich momentach ochrona zwykle zasypia. Można podejść i strzelić z bliska. Jeśli nie uda się pierwszego maja, drugą szansę będziemy mieli dopiero w czerwcu.

– Co jest w czerwcu?

– Wianki nad Wisłą. Nasz obiekt nie pozwoli sobie na to, żeby ich nie otwierać. To nawet lepszy pomysł. Będzie odliczanie od dziesięciu do jednego przed fajerwerkami. Wtedy mógłby uderzyć. Cóż za dramatyczna sytuacja. Dziennikarze opowiadaliby o odliczaniu do swojej śmierci.

– To dlaczego nie zrobić tego właśnie w czerwcu?

– Bo zawsze lepiej mieć drugą szansę. Twój plan wypróbujemy w maju, a jeśli nie wypali, mój zrealizujemy w czerwcu. Tymczasem w kwietniu i maju mój człowiek posiedzi w więziennym szpitalu psychiatrycznym, żeby sobie załatwić alibi. No i pamiętaj, że on, kiedy już strzeli, musi się dać złapać. I powiedzieć, że zabił, bo mu odebrali mieszkanie. To bardzo ważne.

– Może mieć list?

– Co?

– List. Będzie miał przy sobie list, który wszystko wyjaśni. Tylko jego odciski palców. On nie mówi nic ponad to, co czyta.

– Jak to?

– Lekarze nie wiedzą dlaczego. Uszkodzenie mózgu.

– Naprawdę? – Gospodarz uśmiechnął się. Plan zaczął mu się podobać.

– A jakie są trudności?

– Muszę go odnaleźć.

– Rozumiem, że nie da się do niego zadzwonić?

– No nie za bardzo.

– Ale możesz to zrobić?

– Oczywiście – powiedział, a w myślach dodał: jestem przecież jego Aniołem Stróżem.

Wjechali na Senatorską i utknęli w korku. Ktoś pewnie znowu szukał miejsca do zaparkowania na Podwalu. Kolumna Zygmunta była mokra od wilgotnego powietrza, ale mróz nie mróz, mgła nie mgła, król trzymał szablę pewnym chwytem.

– Jest jeszcze jedna sprawa, zanim wysiądziesz... mój człowiek z policji poinformował, że trzeba było odgrzebać pewne sprawy.

– Tak?

– Stara kobieta w Lesie Kabackim. Ta spalona. I starszy pan z wnuczką w altance na Kępie Potockiej.

– Tylko te dwie?

– Tak. Reszty się nawet nie domyślają.

– Dobrze. W tych też niczego nie znajdują.

– Jesteś pewien?

– Tak. – Zwalisty cieszył się, że za chwilę wysiądzie. *Butterfly* działała mu na nerwy bez litości.

Wieczorem założył czarną, obcisłą kurtkę, która nie krępowała ruchów, czarne, luźne spodnie i buty z gładką podeszwą. Pod spodem tylko termoaktywna bielizna na wypadek, gdyby trzeba było biec. Nie mógł mieć na sobie nic ciężkiego. Trochę chłodno, ale przecież nie przewidywał wielkich kłopotów. Do plecaka załadował papierosy, trochę ecstasy w tabletkach, kilka ćwiartek wódki. Wódkę owinął w gąbkę. Nie chciał, żeby plecak pobrząkiwał.

Do kieszeni wsunął zdjęcie. Do tej w cholewie buta nóż o krótkim, trójkątnym ostrzu. Naciągnął na swoje krótkie, szorstkie włosy jasną perukę sklejoną właściwie z czapką. Włosy spadały na oczy i na kark. Na to wszystko długi płaszcz w żółto-czarną kratkę, który kupił na Targowej w ciucholandzie dwa lata temu. Miał w szafie sporo charakterystycznych, starych ubrań, które mógł gdziekolwiek zrzucić bez żalu. Oddawał je do czyszczenia i dbał o to, żeby nie miały żadnych metek, niczego w kieszeniach. Były nasączone stężonym olejkiem z cytrusów. Psy nie lubią tego zapachu. Poza tym to zapach, który tłumi wszystkie inne. Zanim wyszedł z domu, skulił ramiona, przygarbił się i zaczął utykać. Przeszedł przed lustrem kilka razy w tę i z powrotem.

Wyglądał źle. Charakterystycznie, ale źle. O to chodziło.

Zdjął płaszcz i perukę, zwinął je i wsunął pod pachę. Nie potrzebował świadków w windzie ani na monitoringu swojego obrzydliwie drogiego osiedla.

Zjechał do garażu i wyszedł garażowymi drzwiami wprost na ulicę. Dobrze mieć kartę, która otwiera tylne drzwi. Przeszedł na Grzybowską, a potem na Centralny. W miejscu, o którym wiedział, że jest poza zasięgiem kamer, założył płaszcz i perukę. Pojechał na Zachodni i pierwszemu napotkanemu żułowi pokazał wewnątrz plecaka.

Chłopak chciał się napić. Tylko tyle. Pokazał mu zdjęcie, ale tamten pokręcił głową. No i chuj. Nikt nie obiecywał, że będzie łatwo. Szedł od jednego do drugiego. Aż w końcu brodaty gość, na oko czterdzieści pięć lat, wysokie czoło, musiał być kiedyś przystojny, poznał.

- Literat – powiedział. – Wiem, gdzie łązi, ale chcę cztery tabletki.
- Dostaniesz sześć, jeśli mi jeszcze powiesz, dlaczego Literat.
- Bo, kurwa, czyta wszystkie napisy.
- To ten. – Zwalisty odliczył tamtemu dwie ecstasy.
- Miało być sześć.
- Jeśli mi powiesz, gdzie jest.

– Jeździ czasami kolejką. Na stadion.

– Skąd wiesz?

Tamten wzruszył ramionami.

– Tu każdy wie, gdzie jedziesz. Przyjeżdża tu gadać z taką dziewczyną, wolontariuszką. To jakaś sekta Jezusa. Przywozi zupę w termosie i opowiada o tym, jak Jezus kocha. Chujnia – położył tabletkę na języku – ale zupa dobra. Zjada zupę, siedzą razem na ławce. Ona gada. On nic nie mówi, a potem jedzie czterysta czternaście. Daj tabletki.

– O której przyjeżdża?

– Jakoś wieczorem, pewnie po szkole. Przed pociągiem do Bielska-Białej.

Zwalisty myślał przez chwilę o tym, czy warto. Ale nie... ten chujec go nie zapamięta, nie rozpozna. Śmieć. Odpad ludzki. Niech żyje. Da mu te tabletki, trochę wódki i może gnida zdechnie dzisiaj sama z siebie. Może zeżre wszystkie i zdechnie. Ecstasy w dużej dawce z alkoholem umie dziać cuda. Dorzucił żulowi ćwiartkę. Wszedł do budynku dworca i sprawdził odjazdy. Ten do Bielska miał ruszyć za trzydzieści minut. Postanowił zaczekać. Kupić gazetę, usiąść gdzieś w nie za bardzo chłodnym miejscu i poczekać, stopić się z otoczeniem. Zniknąć. Cierpliwym być. Cierpliwość jest w jego robocie najważniejsza. Wariat, którego szukał, był płochliwym stworzeniem. Miał wyczulone zmysły jak zajęc w maleńkim zagajniku pomiędzy kilkoma wioskami pełnymi kłusowników. Jak Żyd na ulicy w Strefie Gazy. O tak, to porównanie podobało mu się o wiele bardziej. Jak Żyd. Cierpliwości. Cierpliwości. On przyjdzie. Żule mają swoje rytuały, swój tajemny język, swoje kody i napisy, które zostawiają w kiblach, na ławkach, na ścianach budynków. Tajny kod ludzi bezdomnych. Dużo widzą. Ten, kto staje się elementem tła, widzi naprawdę dużo. Oczywiście pod warunkiem, że nie jest napruty. Nafaszerowany. Zwalisty sporo wiedział o bezdomnych. Przydawali się w sprawie mieszkań, kiedy trzeba było podstawić słupy na świadectwo notarialne, szli

jak w dym, po tym jak się ich wyprało, wykąpało, ubrało i zrobiło im paznokcie i fałszywe dokumenty. Kilka podpisów, kilka przytaknięć i stawali się właścicielami mieszkań albo i całych budynków, albo nawet niezabudowanych nieruchomości, które natychmiast przepisywali na konto innych właścicieli, oczywiście za wynagrodzeniem, jakiego nigdy nie mieli oglądać. Nołnejmy. Bardzo przydatny ludzki odpad. No ale ten Literat to co innego. On miał swoją opowieść, ale nikt jej nigdy nie pozna, bo chuj nie mówi. Czyta. Czyta na głos, ale nie mówi. Jakby nie miał własnych słów. Dziwak. Ale dobry do walki. Gdyby zwalisty miał więcej czasu, wystawiałby go do walki za kasę. Nawet do ostatecznej. Literat miał wyjątkowy talent.

Pomyślał o kawie, ale nie, lepiej pilnować pociągu. Postawił kołnierz tego swojego płaszcza od siedmiu boleści i stanął w przejściu podziemnym tak, żeby mieć widok na wszystkie wyjścia. W jarzeniowym świetle ludzie mieli twarze jakby wycięte z kartonu. I to nie był karton pierwszej świeżości. Taksował ich beznamiętnie i myślał, że będzie tu pewnie stał przez kilka dni z rzędu, bo przecież nie ma żadnej pewności, że Literat się pojawi. Wyciągnął papierosy. Zaciągnął się i pomyślał o tym, że warto mieć w życiu szczęście i że on je miał zawsze. Za każdym razem. I że dzisiaj też mu dopisze. Zobaczył, że tunelem idzie jakiś gość, ciągnąc za sobą rzeczy w torbie na dwóch kółkach.

Literat kończył zupę. Termos stał na żółtej ławce pod wiatą na przystanku autobusów. Trzymał w ręce menażkę i cieszył się, że blacha grzeje mu palce. Dziewczyna miała piegi i niebieskie oczy, nawet w tym dziwnym świetle. Z ławki łuszczyła się żółta farba. Najbardziej w miejscu, gdzie stawiała termos. Śnieg pewnie dawno nie padał, bo na szarej brudnej mazi leżały trzy farfocle tej farby.

– Dobra? – zapytała. – Wiem, że dobra. Sama sobie naleję, jak skończysz. Rękawiczki stare masz, może jakieś wynajdę w tych naszych skrzyniach. Na święta ludzie zostawili sporo ubrań. Nie wszystkie

rozdaliśmy, może jakieś ci znajdę. I skarpety, co?

Przyszło jeszcze dwóch. Zrzuciła plecak i wyjęła dwie miski. Stare, ale czyste. Otworzyła termos i naląła im. Gadali coś pijackimi głosami. O tym, że planeta umiera, bo topnieje czapa śnieżna nad Arktyką i nad Grenlandią. Więc jeśli ten jej Jezus ma przyjść, to lepiej, żeby się pospieszył. Z dworca wyszło jeszcze kilku. Literat znał ich twarze. A za nimi jakiś gość w płaszczu w kratkę.

– Jaka zupa? – Pierwszy z nowych był już o krok.

– Pieczarkowa z kiełbasą – powiedziała dziewczyna. Rozpięła kurtkę, musiało zrobić jej się gorąco.

Pod spodem miała koszulkę. Niebieskie tło, sylwetka biegacza. Żółte litery: *“Hyderabad LB Stadium. Run for Jesus 4th April 2016”*.

Facet w kraciastym płaszczu był o cztery kroki.

„*Run for Jesus*” – powiedziały litery. – „*Run!*”.

Literat rzucił menażkę i rzucił się w stronę Alej.

1945

Wrócili z Berlina pijani radością zwycięstwa. Jaroszewicz w stopniu generała, Hubner, wiadomo – Żyd, więc kapitana. Służyli w wojsku od dwudziestu ośmiu miesięcy. Wrócili pijani do miasta, w którym nie było światła i brakowało wody, ale nie trzeba już było rąbać mebli na opał, bo wreszcie wysychało. Tylko smród czasami był nie do zniesienia, bo spod gruzów i zwałów ziemi wyzierały coraz częściej groby powstańcze. Ekshumowano te szczątki na skwerach i na podwórkach, a ludzie modlili się pod murami rozstrzelań w nadziei, że zmarli powstaną z prochów, ale nie powstawali. Nawet jeden. Chociaż bywało, że odnalazł się ktoś, kogo bliscy mieli już za dokonanego, więc płoty, słupy i ruiny domów oblepione były adresami i słowami otuchy. Nocami lepiej było nie chodzić ścieżkami pośród zburzonych domów, bo bandytów nie brakowało, zwłaszcza w okolicach dworców. Milicja Obywatelska uformowana z przybyszów z prowincji, którzy chcieli robić karierę w nowym państwie, radziła sobie słabo. W mieście ruin bandyci bezwzględnie mieli przewagę. W kręgu Jaroszewicza zrodził się pomysł, żeby przyjmować do MO byłych powstańców, bo to ludzie wyszkoleni, zdyscyplinowani i zdeterminowani, którzy zaprowadzenie porządku w mieście potraktują jak kolejny etap walki, a przy okazji władze będą miały ich na oku. Oczywiście nikt poza ministrami i wojskowymi nie wiedział o tym, że za rok, dwa, kiedy spełnią już swoje zadania, to wszystkich „reakcjonistów” się wyrzuci albo i powsadza do więzień, gdzie ich miejsce.

Nie żyło się łatwo. W domach miny w piwnicach i granaty podwieszono

pod krokwiami. Handel jeszcze nie zdecydował, czy lepiej płacić okupacyjnymi młynarkami, czy nowymi pieniędzmi, na których komuniści napisali, że „odmowa przyjęcia pieniędzy będzie karana”. Najlepiej było mieć przy sobie coś na wymianę: cukier, masło, papierosy.

Niektórzy rzucali to miasto w cholere jasną i jechali do Łodzi, bo tam było przynajmniej jakieś życie, a nie tutaj, na tych wszystkich gruzach.

Ale komuniści wierzyli w nowy porządek. Kto miał tę odwagę, żeby burzyć stare i budować nowe, jeśli nie oni? Zakasali rękawy. Piekarnie działały, bud na skrzyżowaniu Marszałkowskiej i Alej było coraz więcej. Rząd potrzebował kadr gotowych podjąć się zadania odbudowy, więc Hubner skorzystał z okazji, pożegnał się z mundurem i dołączył do grupy, która przygotowywała uruchomienie politechniki. Miał blisko do pracy, główny gmach ocalał i można było zacząć zajęcia. Pracował, jak przed wojną, na fizyce. Od powrotu z zesłania interesował go coraz bardziej temat zachowania materiałów w ekstremalnie niskich temperaturach. Wieczorami, jeśli miał dość nafty, czytał książki z księgozbioru ojca. Znalazł starą żydowską książkę o znaczeniach imion. Uri. To było imię oznaczające ogień. Ale jego imię, Ignacy, nie było żydowskie. Było katolickie, polskie, bo ojciec był Żydem nowoczesnym, wolnym od przesądów, wierzącym, że Bóg jest jeden dla wszystkich: dla Żydów, którym pozwolił się poznać pierwszym, chrześcijan, których miał za zagubionych, trawionych gorączką zrozumienia, ale niepotrafiących pogodzić świata ducha i rozumu, ludzi miotanych emocjami takimi jak pycha czy potrzeba posiadania. Bóg był też dla muzułmanów, ale oni wydawali się ojcu niczym dzieci, prostolinijni i niezdolni do głębszej refleksji, dlatego im Bóg dał najłatwiejsze zadania i proste recepty.

A teraz nie było ojca i Ignacy nie miał kogo zapytać o nieistnienie Boga.

W świecie po Zagładzie Boga przecież nie było. Był tylko ból w miejscu, gdzie kiedyś mieszkał.

Jego polskie imię, Ignacy, też było naznaczone ogniem. Kiedy szkoła

ruszyła, uczył przyszłych architektów zasad termodynamiki, szedł pieszo na Pragę po pontonowym moście, żeby zapytać o ojca i matkę oraz Dawida w Centralnym Komitecie Żydów Polskich. Ale nic. Kamień w wodę. Cała trójka.

Zostawił kartkę z napisem, że ich szuka.

W soboty i w niedziele jeździł razem ze swoimi studentami na Starówkę, żeby odgruzowywać miasto. To był dobry czas. Śmiali się dużo. Tylko kiedy odnajdywali zwłoki, było źle. Tyle widział trupów w życiu, a wciąż nie potrafił przywyknąć do myśli, że ktoś ich kochał i ktoś na nich czekał. Ale że to, do kurwy nędzy, nie był jednak Bóg. Bóg, o którym jego lud czasami bał się nawet myśleć wprost, odszedł. A był to lud wierny i pokorny. Bał się naruszyć prawo do tego stopnia, że potrafił palić na stosie tych, którzy wymawiali na głos boskie imię jak nieszczęsny filozof Chanina ben Teradion. W czasach kiedy Żydzi posiadali jeszcze Świątynię, raz do roku, w Jom Kippur arcykapłan wypowiadał Imię, ale wszyscy obecni byli wówczas na kolanach z twarzą do ziemi, nie podnosząc wzroku, żeby chwała Pana ich nie poraziła. Ale odkąd nie ma Świątyni, Imię nie jest wypowiadane. I dziś nikt już nie wie, jak należy to uczynić. Może dlatego Boga nie było już na świecie? Może nikt nie potrafił Go wezwać, choć przecież w czasie Zagłady to by nie było nadaremno?

Nocami czytał księgi o liczbach i o imionach Boga. Czytał w jidisz, po hebrajsku i trochę po rosyjsku, w którym to języku mówił dobrze, ale liter rosyjskich nie lubił. Czytał też po niemiecku. Sporo ksiąg było po łacinie i w językach, jakich nie potrafił rozpoznać. Ale i to, co potrafił przeczytać, wystarczało. Żydzi nie używali cyfr, ale w starym alfabecie były litery, którymi oznaczano liczby. Pierwszych dziewięć liter oznaczało cyfry od jednego do dziewięciu. Kolejne oznaczały dziesiątki, jeszcze kolejne setki: od stu do dziewięciuset. Liczba piętnaście wymagała użycia dwóch znaków. Identycznych jak jedno z imion Boga. Imion, których nie wolno wypowiadać, bo nie wolno wzywać imienia Boga nadaremno. Dlatego

ortodoksyjny Żyd nie zapisywał piętnastu jako dziesięć i pięć, ale zawsze jako dziewięć i sześć. A ponieważ heretycy – chrześcijanie, spisując nauki swojego nauczyciela, Jezusa, używali imienia Boga, Żydzi nie mogli zniszczyć ich pism, bo paląc je, paliliby Imię Boga. Mogli je tylko zakopać w ziemi.

Jakby tego wszystkiego było mało, myślał, jakby nie dość trudno było być Żydem, chrześcijanie zgotowali nam wojnę.

Miał ze sobą w plecaku prześcieradło. Nie lubił, kiedy odsłonili zwłoki i nie było czym ich zasłonić przed niebem.

Kartka, którą zostawił z Komitecie Żydów, pożółkła, pozaginała się na rogach i miała coraz więcej dziur po gwoździu, bo kilka razy zmieniała miejsce. Mógł napisać nową, właściwie mógł za każdym razem, kiedy szedł na Pragę, powiesić nowy kawałek papieru, ale z przyczyny, której sam nie rozumiał, uważał, że imiona raz napisane wystarczą. Że nie trzeba ich budzić. Jeśli istnieją, usłyszą. Ale dopiero we wrześniu przy swojej kartce znalazł dopisek. „Mam wieści, Grzybowska 28”. Czasami, kiedy masz potrzebę, masz i szczęście. Złapał ciężarówkę na Marszałkowską i za paczkę papierosów mógł pojechać wygodnie na pace pełnej wapna. Nie było co wybrzydzać. Ubrania można przecież będzie kiedyś wyczyścić, a jak długo ten dopisek już wisi, nikt mu powiedzieć nie umiał. Może dwa dni, a może już tydzień? Od dziesięciu dni przecież na Pragę nie chodził.

Ciężarówka zatrzymała się na rogu Marszałkowskiej i Siennej. Kolejka pod zrujnowaną kamienicą, gdzie przed wojną był sklep z wełnami i jedwabiami, przestępowała z nogi na nogę. Ale nie był to tłumek łachmaniarzy: kobiety w sukienkach, mężczyźni rozluźniali krawaty, popołudnie gorące, a powietrze ciężkie, wiatr nie rozwiewał kurzu ruin. Na murze szyld Café Fogg. Pierwszy elegancki lokal w stolicy. Otrzeptał się trochę z wapna i poszedł Sienną. A potem ścieżką na prawo. Na placu Grzybowskim kościół nie miał dachu, a po jednej z wież została tylko rana do samego nieba. Ale pomiędzy zwałami gruzów przedeptane było już tak,

że przejechałby tamtędy nawet motocyklem.

Pod 28 na ścianie napisał ktoś: „Rozminowane. Jachowski”. A obok: „Nie pchać drzwi na siłę, framuga odchodzi”. Popchnął najdelikatniej, jak potrafił. Drzwi ciężkie, wiśniowa farba. Rozsądnie, pomyślał, na takiej farbie krwi nie znać. Dlaczego tak pomyślał? Trudno powiedzieć, może przez ten zapach stęchlizny? Jakiegoś grzyba? Choć przecież lato piękne, powinno wyschnąć już, wystygnać, już się powinno odradzać. Kwitnąć. Zawołał. Odpowiedział mu jakiś niski głos. Schorowany, kaszlący. Że na dół, niech idzie na dół. Ale nie wiedział którędy. A potem z jakiegoś pęknięcia w murze, z rozpadliny, jak z samego Szeolu wyszła kobieta. Błada, ciemne włosy wysuwały się spod chustki. Chusta czerwona. Oczy niebieskie. Chciał powiedzieć, że zakochał się bez opamiętania, ale nic nie powiedział, pokazał tylko tę kartkę.

– No... to ja napisałam. Proszę, proszę. – Poprowadziła go zwałoną klatką schodową do piwnicy, mieli tam uprzątnięte ze trzy pomieszczenia chyba, bo widział, świece się paliły, ale nie weszli, tylko korytarzem do samego końca. Miała klitkę małą, bez drzwi, tylko zasłona. Seledynowa, czysta. A pod ścianą łóżko. Ściana cała zagrzybiona. Pochoruje się, pochoruje się i nie zdążę powiedzieć, pomyślał, ale ona: proszę siadać. Wyszła. Usiadł. Zarwane to łóżko. Ale na brzegach sprężyny trzymały jeszcze, więc zapadł się i zawstydził tą nagłą intymnością, nieplanowaną i nieodwracalną. I tymi spodniami w wapnie. Naniósł jej wapna zamiast... Nie wiedział, czego powinien był przynieść, ale z pewnością nie wapna. Nie miałem czasu na miłość, zrozumiał. Miałem tylko na wojnę. W piwnicy było okienko, wysoko zawieszane, malutkie, osmalone dookoła, bo pewnie zimą wystawała przez nie rura pieca. Ale teraz było ciepło. Wieczór szedł, bo spłacheć nieba robił się już powoli ciemnoniebieski. Żaden kolor nie jest bardziej nieskończony niż taki niebieski. Patrzył w nie i było mu dobrze. Jakby szedł w to miejsce od lat i jakby wreszcie je odnalazł.

Kabaliści wierzyli, że liczby i słowa są ze sobą powiązane. Że

w słowach Tory zawarty jest sekretny kod, przesłanie, które Adonai chciał zostawić ludziom. Recepta nieśmiertelności. A może szczęścia. Może miejsca, w którym są schody do nieba. Albo wrota otchłani. Może cyfry, jakimi zapisane są współrzędne Grzybowskiej 28, przełożone na litery dają słowo błękit? Nie, no to już nie był błękit.

Mam kawę z cykorii, powiedziała, ciepła, gorzka, bo cukru nie mamy. A potem zapytała, kim dla niego był profesor, i Ignacy wiedział, że ojciec nie żyje. Ale poprosił, żeby mu opowiedziała. Czuł, że to ta jedyna chwila, kiedy o tym rozmawiają, że jeśli ją stąd zabierze do domu z oknami, kwiatami i obrazami, i z całą tą biblioteką, i portretem Witkacego, to już nie będzie miejsca na zmarłych. Że musi teraz. Opowiedziała mu o Majdanku. Że jak się wieczorem stanęło przed barakiem, to w dole, za drutami widać było, jak się słońce odbija na czerwono w oknach domów, w których ludzie mieli łóżka, piece, chleb, mleko i nocami przytulali się do siebie w nadziei, że jutro będzie dobre. Że o tym myślała każdego dnia. Czy oni tam są, ci ludzie normalni, co nie wiedzą, że ten dym oleisty, gęsty, to nie jest ze szmat. I że jak sadza czasami spada na śnieg, to jakby ludzie spadali. Nie wiedziała, czy są tam ludzie. Bo okna nocami ciemne były. Jak to na wojnie. Ale o zachodzie słońca wydawało się, że świecą. Dlatego przeżyła. Od tego świecenia właśnie. A potem mu powiedziała, że ojciec jego, profesor Hubner nie widział tego światła, bo był na Majdanku tylko kilkanaście minut. Tym samym pociągami przyjechali, ale ona się ostała, a oni poszli. Dlaczego jej nie kazali iść? Może to dlatego, że taki aryjski wygląd? Może że młoda była? Że się nadawała do roboty w polu? Profesora Hubnera znała z widzenia. Wszyscy go przecież znali w Warszawie. Z Tuwimem się kolegował, z Gałczyńskim. To poznała od razu w wagonie. I matkę. I brata. Wagon z desek. Próbowali te deski obruszyć, ale za ciasno było, za mało miejsca. A może sił nie mieli albo nie mieli wiary? I tak lepiej było tym, co przy ścianie, bo tam przez szpary było powietrze, a ci, co na środku, to mdleli. A jak kto omdlały, błądy, Niemcy od razu do łaźni. Brata

też wzięli na stronę. Na tych do przeżycia. A matkę i ojca do łaźni. Tak mówili, do łaźni. I jeszcze, że słyszała, jak mówił synowi: „Dawidzie, ty musisz żyć. Pamiętaj, że książki zostały na Wilczej. Jesteśmy tylko epizodem w życiu książek. Nie wolno im pozwolić spłonąć. Żyj. Choćbyś musiał się wyrzec samego siebie, Bóg ci wybaczy”. Profesor krzyczał te słowa. Wszyscy słyszeli. Po polsku krzyczał. Mógł po żydowsku, ale wołał po polsku. Taki był. Zawsze wołał po polsku. No i poszedł. Mama szła za nim złamana. Jakby cała była z trójkątów i z cieni. Ale on szedł jak do kawiarni. Rękę trzymał tak, jakby do fajki dłoń chciał przyłożyć. Pomyślała, że tak powinien Żyd iść do nieba. Jakby do siebie szedł. Jakby do przyjaciół.

Czy wiedział, że na śmierć? Każdy wiedział. Śmierci się nie da pomylić. A ty? Zapytał, bo nie znał jej imienia. A ja byłam na piątym polu. Żydówki, Cyganki. Ale też miałyśmy swoje radio. Jak Polki. Radio? Zdziwił się. Jak to radio? Nie mieściło się przecież w głowie. Ale powiedziała mu, że radio mówione. Jak któraś miała imieniny na baraku, to się składało życzenia, a potem wiadomości. No ja mówiłam. Mówiłam na cały głos. Wszystkie słuchały, chociaż to były te same wiadomości każdego dnia, bo my nie dostawałyśmy przecież paczek jak Polki. Mówiłam o tym, co się działo, jak pracowałyśmy, jak żeśmy nie pomarły, nie pozdychały. Ale czasami któraś przemyciła do baraku pieczone kartofle. Kartofle się kradło z pola, wiesz, ucieszyło go to „wiesz”. I że tak siedzą blisko siebie na tym zapadniętym łóżku dupami prawie na ziemi, ale jej udo takie ciepłe. I te kartofle jadłyśmy. A na koniec audycji mówiłam: pamiętajmy, że każdy dzień zbliża nas do wolności.

Siedzieli potem w milczeniu. Nie zapytał jej o numer na przedramieniu ani nie zapytał o imię, bo cyfry i litery nie były im potrzebne bardziej niż ta nagła bliskość w ciemności nocy. Bo się błękit zamienił w czerń. Nie powinienes iść teraz, powiedziała, bo przecież miny, bandyci, nie ma światła. Godzina milicyjna. Został. Siedzieli w milczeniu i patrzyli, jak się

Mleczna Droga obraca w tym małym okienku i po raz pierwszy, odkąd przestał być dzieckiem, pomyślał, że okna są właśnie po to, żeby Bóg, którego imienia nie wolno powtarzać, mógł zajrzeć ludziom w sny. Kiedyś będziemy mieli znowu miasto pełne świateł, powiedział, będzie ich tyle, że już nie da się zobaczyć Mlecznej Drogi. Naprawdę? Zdziwiła się, zanim zasnęła i oparła mu głowę na ramieniu, a jemu strasznie zachciało się sikać po tej kawie z cykorii, co wystygła, ale wypił. No i siedział tak zaciskając nogi i trzymając jej głowę na piersi, aż się Bóg napatrzył. Gwiazdy zgasły i był już ranek. Potem obudzili jej wuja. To nie był prawdziwy wujek. To był chory Żyd z Auschwitz, który nikogo nie miał, ale znał tę piwnicę i potrzebował kogoś do opieki, bo prawie zdechł w tym obozie, a kiedy już wrócił w gruzy, to się nabawił astmy. Powiedzieli mu, żeby brał, co dla niego ważne, i poszli na Wilczą, żeby mieć dzieci i dom.

Pod koniec października prezydent Bolesław Bierut ogłosił dekret o własności i użytkowaniu gruntów na obszarze miasta stołecznego Warszawy i okazało się, że Hubner straci kamienicę, a przynajmniej grunt, na którym ją pobudowali jego dziadkowie. Nie buntował się. Wierzył w nowe państwo i rozumiał, że tak trzeba, że bez tego nie da się odbudować Warszawy. Dekret wzbudził w warszawiakach mieszane uczucia. Opozycja uważała, że to kara komunistów wymierzona wobec miasta, które chciało być niezłomne. Ale były i argumenty prawne. Naruszenie konstytucyjnego prawa własności, wstrzymanie odbudowy, bo właściciele nie chcieli budować na nie swoim gruncie, bałagan w dokumentach, bo komunistyczni urzędnicy nie potrafili poradzić sobie z zapisami w księgach wieczystych, które zresztą trzeba było przecież odtwarzać w wielu przypadkach. Hubner się tym nie martwił, wystarczyło mu, że za wstawiennictwem Jaroszewicza dostał przydział na swoje piętro. Sto pięćdziesiąt metrów kwadratowych to było dość na ich czwórkę, bo Hela, Rachel, była w ciąży.

TERAZ

Dorota Najnert była w ciąży. Tak ją Olga zapamiętała z wywiadówek.

– Proszę usiąść tak, jak siedzą wasze dzieci, to znaczy w tych samych ławkach. – Pani nauczycielka uznała, że to może być ciekawy eksperyment, więc ludzie zaczęli suwać krzeselkami, podnosić z blatów swoje kurtki, nie wszyscy rozumieją przecież, do czego służy wieszak na korytarzu, kręcić się wokoło, pytać.

– Przecież nie wiemy, gdzie siedzą nasze dzieci – powiedziała kobieta w ciąży.

– To ja wam zaraz powiem, dzięki temu poznacie państwo siebie nawzajem. – Nauczycielka była pełna entuzjazmu. Olga ją polubiła od pierwszego wejrzenia za ten warkocz koloru słomy, za te niebieskie oczy, wielkie przez szkła okularów, i za niebieski powyciągany sweter.

Jesteś od nas młodsza o dziesięć lat i masz lepszą figurę, ale nie chcesz nam pokazać, że się postarzałyśmy. A ojcom naszych dzieci nie chcesz zawracać głowy, pomyślała. Jesteś mądra, ja kiedy miałam dwadzieścia pięć lat, to jeszcze mądra nie byłam.

Okazało się, że Anka siedzi w ławce z Kasią Najnert. A jej matka, Dorota, jest w ciąży z kolejnym dzieckiem.

Ale ich rozmowy z czasów po pożarze Olga nie pamiętała.

Zajrzała do papierów. Telefon zadziałał.

– Dorota Najnert – usłyszała.

– Dzień dobry, Suszczyńska z tej strony, nie wiem, czy pani mnie

pamięta.

– Dobry wieczór... czekałam, kiedy zadzwonisz. Mój mąż przestał czekać jakieś trzy lata temu. Ale ja wiedziałam, że kiedyś zadzwonisz.

– Dlaczego? – spytała Olga.

– Bo ja też jestem matką. Mieszkamy tam, gdzie może pamiętasz, na Suzina. Przyjedź, kiedy będziesz gotowa.

– Będę gotowa za godzinę.

Musiała jeszcze dodzwonić się do Jana Ślusarka, kierowcy śmieciarki, niekaranego, żona, dwoje dzieci. Tego, co nic nie pamiętał z wypadku.

Zadzwoniła.

– Nie ma takiego numeru, nie ma takiego numeru.

Sprawdziła adres.

Helenówek koło Pruszkowa. Zadzwoniła do tamtejszej komendy. Jeśli pracował w niej ktoś z Helenówka, może będzie znał tego Ślusarka. Tak, mieli kogoś z Helenówka, ale już nie pracował, już na emeryturze. Dostała telefon.

Mężczyzna miał zmęczony głos. Pomyślała, że każdy emerytowany pies brzmi tak, jakby sam siedział w klatce. I że pewnie ją też to czeka. Ten sam zmęczony głos. Chora wątroba. Worki pod oczami. Pusty dom. A może nie? Może Szymon jednak przyjedzie? Opowiedziała emerytowi co i jak.

– No to się pani spóźniła, pani podkomisarz – usłyszała – bo ten Ślusarek nie żyje. Nie żyje od paru lat, powiem pani.

– Skąd ta pewność?

– Myśli pani, że policjant na emeryturze to pamięta już tylko, gdzie trzyma samogon i pampersy? – Ton mu się zmienił, pomyślała, że może się uśmiechnął. – Pamiętam, bo go zbierałem z szyn. Tego się nie zapomina.

– Ach tak...

– No my w drogówce wcale nie widzimy mniej trupów niż wy w terrorze. Może widzimy ich nawet więcej. Czasami umierają nam na

rękach. On na szczęście już nie żył, kiedy go zbierałem.

– Wiele trupów, ale z jakiegoś powodu go pan zapamiętał?

– Bo tu się nikt oprócz niego nie rzucił pod pociąg.

– Samobójca...

– No. Dziecko zabił. W wypadku.

– Tam u was, w Pruszkowie? – Wydało jej się dziwne, że ten sam człowiek zabił dwójkę dzieci.

– Nie, tam u was, w Warszawie. Wszyscy tu znali tę jego opowieść, bo jak zabił, to zaczął pić. Siedział w knajpie nad jednym piwem i opowiadał, że mu ktoś normalnie pod ciężarówkę wepchnął auto, a on nie zdołał wyhamować. Uderzył i zabił. Codziennie tak siedział.

– Śledziliście go?

– No co pani, pani podkomisarz? Rano na niego czekaliśmy, żeby dmuchnął. Jechał do roboty o czwartej. Dmuchał. Nic. Zawsze tylko jedno piwo. No a po miesiącu od tego wypadku wlaź pod pociąg.

– Chyba wjechał?

– Wlaź. Na torach leżał. Maszynista nie zdołał wyhamować. Rozerwało go na kawałki.

– Miesiąc, mówi pan?

– Miesiąc.

Zamyśliła się.

– Ale aż tak się tym martwił?

– Czym?

– Tym wypadkiem w Warszawie.

– Tego nie wiem. Ale pamiętam, że jak mu zrobili sekcję, to miał we krwi tyle alkoholu, że musiałby wypić z litr wódki. A on wódki nie pił.

– Na pewno?

– No przepytaliśmy wszystkich, co tam byli w barze. Jedno piwo. Wyszedł i do domu już nie wrócił. Dwie godziny później nie żył.

Podziękowała, zebrała teczki w jedno miejsce i wysłała Kosińskiemu esemesa, żeby tego bezdomnego szukał, a nie się opierdalał po mieście. I pojechała na Suzina.

Siedziały przy białym kuchennym stole. Zresztą wszystko było tam białe. Lodówka, zmywarka, okap. Płytki. Pewnie trudno utrzymać to w czystości. Ale serweta na stole niebiesko-biała, wyszywana. Kubki nie chciały na niej równo stać przez te szeregi grubych splotów kolorowych kordonków, ale była piękna. Olga bezwiednie głaskała ją ręką.

– Ukraińska. Teraz tylu ludzi z Ukrainy, że można znaleźć takie piękne rzeczy całkiem tanio.

– Tak?

– No... na Kole. Naprawdę piękne rękodzieło. Wyszywane koszule, obrusy, ręczniki. Co tylko chcesz...

– Lalki?

– Lalek nie chcę. – Tamta pokręciła głową.

– Ale macie jeszcze dziecko, prawda? Dobrze pamiętam? Byłaś w ciąży.

– Tak. Gdybym powiedziała: synek, obraziłby się. Już sam gra w Minecrafta przecież. Po angielsku czytać zaczyna. Ale nie. Lalek nie chcę.

– Ja też nie. Ale już wchodzę do pokoju Anki i nie płaczę.

– Ale nie dlatego przyszłaś? Bierz ciasta jeszcze. Specjalnie kupiłam na twoje przyjście. Nie będę udawała, że upiekłam, ale kupiłam specjalnie.

Olga wzięła. Szarlotka z Merkurego. Kupowała taką samą. Szarlotka i wino. Kiedy Dorota zapytała, czy z kubka, czy z lampki, wybrała kubek. Wino zawsze lepiej smakowało jej z ceramiki niż ze szkła. Zwłaszcza takie cierpkie jak dzisiaj. Gorzkie wino bezdzietnych kobiet. Nie, no nie. Dorota miała jeszcze synka. Ona, Olga, też mogłaby jeszcze mieć. Gdyby miała z kim. Mogłaby mieć. Jeszcze nie była przecież zbyt stara.

– Nie, nie dlatego przyszłam.

– Powiesz mi?

– Nie wiem, od czego zacząć... wiesz... miałam wypadek i...

– Tak. – Dorota wypięła haustem, co tam jej jeszcze zostało w kubku, i sięgnęła po wino. – Tego nie musisz mówić, wiem dlaczego nie znalazłaś mordercy mojej córki i mojego ojca.

– Dlaczego mówisz: mordercy?

– Wtedy zapytałaś o to samo, pamiętasz?

Serbia pokręciła głową.

– Nie pamiętam... pamiętam wypadek. A może tylko mi się wydaje to, co pamiętam. – Zamilkła.

– No mów, mów, to pomaga.

Olga milczała, a potem zaczęła powoli.

– Czasami nie wiem, co było prawdą, a co nie było. Oglądam zdjęcia. Rozumiesz? Oglądam zdjęcia z życia jakiejś kobiety i ona wygląda tak jak ja na zdjęciu w starym paszporcie. Rozumiesz? Ma moje włosy i ma ten mój dziwny wyraz twarzy. Nosi ubrania, których nie wyrzuciła do dzisiaj. Na przykład ma takie buty do chodzenia po górach. Oglądam te zdjęcia, idę do szafy i wyciągam te buty. Zakurzone, stare, śmierdzą stęchlizną. Porysowane i pocięte na tatrzańskich szlakach. A w albumie jest takie zdjęcie, że widać całą podeszwę. Patrę na te buty i patrę na to zdjęcie i to są te same buty, rozumiesz? A więc ta kobieta na zdjęciu, radosna i szczęśliwa, to muszę być ja. I mam zdjęcia z chrztu Anki. I... kurwa – wypięła do końca i wylała wszystko, co tam jeszcze zostało w butelce – idę do piwnicy i w worku mam starą kołdrę, nie wiem, po co ją trzymam, ale mam z nią w tym samym worku tam ten pieprzony becik do chrztu. Rozumiesz? I cały album zdjęć z tą dziewczynką mam. I mam jej ubranka. Jak wyszłam ze szpitala, to czyściłam jej buty. Normalnie pastowałam. Nie schowałam ich. No teraz tak, ale przez lata nie schowałam. Ale nie wiem, czy to wszystko prawda. Ja jestem sobą od kilku lat, wiesz? Sobą. Serbią. Jebaną Serbią od trupów.

Dorota milczała. Miała wilgotne oczy, ale była twarda. Obie były twarde.

– Ale kim byłam przed wypadkiem? – Olga wypięła do reszty. – Nie wiem. Kurwa, nie wiem.

– Przyniosę jeszcze wina. – Dorota wstała.

Olga też wstała. Wyjrzała przez okno. Światła w oknach. Drzewa. Zaśnieżone. Niebo rozpalone łuną. Niebo w mieście nigdy nie jest dość czarne, żeby pamiętać o Mlecznej Drodze. Podobno w którymś z tych budynków mieszkał ten podróżnik, Olgierd Budrewicz. Człowiek, który był wszędzie...

– No to znalazłam takie naprawdę dobre. – Dorota weszła uśmiechnięta. – Casillero del Diablo. Więc nie pamiętasz, jak mnie zapytałaś, dlaczego uważam, że to morderstwo?

– No nie, nie pamiętam. Co odpowiedziałaś?

– Że ojciec nie pił. Może nie był aniołem. Może zrobił w życiu kilka złych spraw, ale swój honor miał. Jak przysięgał, to dotrzymywał. Zresztą tylko dwa razy przysięgał. Że mnie więcej nie uderzy i że nie wypije nigdy ani grama alkoholu. No nie, trzy. Przysięgał też Polsce Ludowej przecież. A może cztery, bo na ślubie też przysięgał.

– Wtedy ślubował. A komu przysięgał z tym pić?

– No matce. To niezła historia. Matka z Radomia. W siedemdziesiątym szóstym ją wyciągnął. Zakochał się od pierwszego wejrzenia. Tak opowiadają. – Dorota odkorkowała Casillero. – Wyciągnął ją, młodą dziewczynę, z tej komendy, w której bili. No to za niego wyszła. No i potem bił mnie. Takim milicyjnym pasem, wiesz?

Olga pokręciła głową.

Dorota napełniła kubki.

– Czarny, skórzany, dwa rzędy dziurek. Bił mnie, jak zostawaliśmy sami, a ja byłam niegrzeczna. Przez rajtuzy. Nigdy mi nie kazał ściągać. Dwa, trzy klapy. Nigdy więcej. Bałam się, więc mamie nigdy nie

powiedziałam. Ale kiedyś... miałam chyba ze sześć lat, zobaczyła te pręgi na dupie. Nie powiedziała mu nic, ani słowa. Zaczęła nas pakować. No i wtedy jej przysiągł. Że nie uderzy. I że nie będzie pił. Klęczał przed nią. Mówił, że ona nie potrafi sobie nawet wyobrazić, przez co on musi przechodzić w tej swojej pracy. I że to dlatego. Dlatego tak bije. Nie chce, żeby Dorotka, znaczy ja, żeby się wpakowała w coś, kiedy będzie starsza. W jakąś Oazę, scholę, ulotki. Nie chce. Lepiej, żeby on... Matka nie dała mu dokończyć. Kazała przysięgać. Więc nie pił. Wybaczyłam mu. Gdybym nie miała pewności, przecież Kasi bym do niego nie puszczała. Nie bałam się. Wiedziałam, że nie wypije. A ty mi przywiozłaś zdjęcia z tej spalonej altany. A tam butelki. Pytam, czy było więcej ciał. A ty: nie. Tylko on i Kasia. A ja ci mówię wtedy, że go zamordowali. I że mi zabili córkę. Tam na tych zdjęciach było szkło po butelkach od wódki. On by tego nie zrobił. Nie pił wtedy od kilkunastu lat. Kasię kochał nad życie. Nie pił, nie bił, mówił, że Kasia jest jego szansą. Że jak umrze, to właśnie jej dobroć go ocali.

Siorbnęła nosem.

Oldze też się zachciało płakać.

– Powiedziałam ci, że jeżeli w sekcji wyjdzie, że miał alkohol we krwi, to będzie dowód. Bo przecież mogli to szkło podrzucić, ale jeśli będzie alkohol we krwi, to ktoś go zmusił.

– No był alkohol.

– Skąd wiesz?

– Czytałam ten protokół, bo wznowili śledztwo.

– Kiedy czytałaś?

– No teraz. To śledztwo mam teraz.

– To znaczy, że zabili mi córkę, wiesz? – Dorota wypila cały kubek duszkiem. – A dwa dni potem zabili i twoją.

Potem milczały. A potem Dorota naląła im znowu po całym kubku.

– A teraz mi powiedz, po co przyszałaś. Po co to dochodzenie? Teraz, po

tylu latach. Ktoś się po pijanemu przyznał, że ich zabił i spalił?

– Nie – Olga pokręciła głową – takie sprawy się nie zdarzają. Ale Sejm powołał komisję w sprawie kamienic.

– No, słyszałam.

– I jedną z tych, co je mają przebadać, jest kamienica, w której mieszkał twój ojciec. I zdaje się, że ktoś podejrzewa, że może jest jakiś związek.

– Kto?

– Ten mój nowy szef. PiS-owiec. Powiedział, że stanę przed komisją w sprawie mieszkania twojego ojca. Dlatego przyszłam.

– A... – powiedziała Dorota – to się chyba na tej butelce nie skończy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

TERAZ

– Jak go znajdziemy, to się na jednej butelce nie skończy – obiecał Kosiński. Poczekali, aż kobieta z wózkiem przetoczy się po pośniegowym błocie przed maską samochodu, i zjechali z Alej w kierunku Zachodniego pod zakaz, trasą dla autobusów.

– A ty nie przesadzasz? – zapytał Artur. Kolega Kosińskiego z ABW był zadowolony, że zamiast siedzieć w barze jak zazwyczaj, wybrali się przyrzeć bezdomnym na Zachodnim.

– To przecież służbowy samochód i nie jestem tu prywatnie – powiedział.

– Skoro tak twierdzisz...

– Znajdziemy jakieś miejsce, zaparkuję i się rozejrzemy za tym gościem. – Kosiński postukał w leżące pod szybą zdjęcie Literata. – Nasi twierdzą, że wieczorem ich tu najwięcej, bo im jakaś chrześcijańska grupa przynosi jedzenie.

Jechali wolno, bo znowu się rozpadało. Wycieraczki memłły w mroku deszcz, rozgniatając go w barwną, tłustą tęczę światła.

Muzyka urwała się nagle.

„Synoptycy zapowiadają, że od jutra zrobi się naprawdę znacząco cieplej, a w sobotę w stolicy może być powyżej dziesięciu stopni – powiedziało radio – choć dzisiaj trudno w to jeszcze uwierzyć”.

Artur wziął zdjęcie do ręki, ale było zbyt ciemno, żeby mógł dostrzec szczegóły.

„Magazyn «Forbes» tymczasem opublikował listę najbogatszych osób świata. Na pozycji lidera czwarty rok z rzędu twórca Microsoftu Bill Gates, którego majątek wynosi obecnie osiemdziesiąt sześć miliardów dolarów. Miejsca Polaków odległe, Dominika i Sebastian Kulczyk na pięćset dwudziestej drugiej pozycji, a Michał Sołowow na siedemset czterdziestym piątym miejscu. Raport organizacji humanitarnej Oxfam stanowi, że pierwszych dwadzieścioro sześcioro najbogatszych ludzi posiada w sumie tyle dóbr, ile cztery miliardy normalnych ludzi. Za jeden procent majątku właściciela Amazona można sfinansować całą służbę zdrowia w Etiopii”.

– Kurwa – powiedział Kosiński – to nie idzie w dobrą stronę.

Skręcił w lewo, żeby dojechać bliżej wejścia do Zachodniego, i wtedy wprost na maskę wpadł im mężczyzna ze zdjęcia.

– Ja pierdolę! – Kosiński wcisnął hamulec, kia stanęła w skos, a mężczyzna zsunął się z maski wprost w kałużę.

– Co ty odpierdalasz? – Gdyby nie pasy Artur, roztrzaskałby sobie głowę.

– To on! – Kosiński otworzył drzwi i popchnął je z całej siły, uderzając Literata w bok. Bezdomny runął w kałużę po raz kolejny. – To ten jebany żul!

Kosiński szarpał się z pasem, ale jego dłoń wciąż nie wróciła do pełnej sprawności. Artur wyswobodził się pierwszy, otworzył drzwi i zobaczył, jak od strony dworca zbliża się do nich biegiem krępy mężczyzna, zrzucając w biegu płaszcz w żółto-czarną kratę. Artur był doświadczonym policjantem. W pochyleniu tułowia, oszczędnych i zdecydowanych ruchach i w jego skupionych oczach, mimo tej dziwacznej fryzury pod czapką, poznał zawodowca. Odruchowo ustawił się bokiem. Jak karateka.

– Kosa, tu jakaś maniana się odpier... – powiedział w kierunku auta, ale nie dokończył, bo tamten dobiegł właśnie i wpakował mu kopniaka w krocze. Gdyby stał frontem byłoby pozamiatane. Kopnięcie jednak było tak mocne, że Artur upadł. Kosiński wyswobodził się wreszcie z pasów i dał

susa w stronę bezdomnego, ale Literat nie zamierzał na nikogo czekać. Nie leżał już, ale biegł w stronę Alej, rozchlapując błoto, jakby chciał potopić odbicia latarni w czeluściach kałuż.

Kosiński spojrział na swoje buty. Nike Air Max 2016. Kosztowały go siedem stów. Zakładał je rzadko. Ale mieli wpaść na chwilę na dworzec, a potem po prostu posiedzieć w Krakenie...

– Chuj, chuj! – krzyknął i pobiegł.

Napastnik wzniosł stopę, żeby kopnąć Artura z góry w brzuch. Takim uderzeniem nie zabijesz, ale skutecznie wyłączysz przeciwnika z dalszej gry na minutę, dwie, a jeśli dobrze trafisz, to na dłużej, bo porzyga się, zwiotczeje, będzie miał dość. Ale Artur ćwiczył taką procedurę. W walce nie ma czasu na myślenie, musisz zdać się na wytrenowane odruchy. Spiął mięśnie brzucha, wyrzucił ramiona w przód, chwycił stopę tamtego i wykręcił gwałtownie prawą ręką, ciągnąc w prawo, a lewą pchając w górę. Napastnik stracił równowagę i poleciał na plecy. Odruchowo skulił kark i przyciągnął brodę do piersi, rozkładając ramiona tak, żeby uderzając na boki, oddać energię kinetyczną upadku.

Prask!

Artur przetoczył się na bok i wspiął na łokcie i kolana.

Napastnik wsparł dłonie za głowę, przyciągnął uda do klatki piersiowej, skulił się, po czym momentalnie wyrzucił nogi w górę i stanął. Bokiem do Artura, który zdążył już postawić prawą stopę na twardym, ale lewe kolano wciąż było na ziemi. Wiedział, że się spóźnił. I że go zaboli. Spodziewał się kopnięcia w głowę, ale tamten zrobił krok i uderzył agenta prostym uderzeniem pięści wyprowadzonej z biodra. Trafił w okolice śledziony. Artur skulił się, a napastnik wyprowadził kopnięcie lewym kolaniem w głowę. Agent schował twarz za gardą, ale cios sprawił, że znowu wylądował na plecach.

– Policja! – krzyknął Artur. – Jestem policjantem!

Tamten wzruszył ramionami i odgarnął z oczu sztuczne włosy. Zrobił

krok do przodu i kopnął w udo. Tak żeby zabolalo.

– Pobawiłbym się z tobą – powiedział zwalisty – ale muszę lecieć. Uniósł nogę do kopnięcia, które mogłoby złamać kolano, ale ułamek sekundy, który zmarnotrawił na gadanie, pozwolił Arturowi złapać oddech. Rzucił się w stronę napastnika, obie ręce zacisnął na kostce jego lewej nogi i pociągnął do siebie z całej siły. Zwalisty upadł, ale zdołał jeszcze trafić w kolano. Boleśnie, ale nie dość mocno, żeby je złamać.

– Kurwa, chłopcze – powiedział zniecierpliwionym tonem – przecież mówiłem ci, że się spieszę.

Nie wstawał, tylko leżąc, wyprowadził kopnięcie w twarz. Artur usłyszał, jak łamią mu się zęby. Drugie kopnięcie trafiło w nos i czoło.

– Jeszcze?

Artur nie odpowiedział. Leżał w kałuży. Deszcz zaczął padać i krew z nosa i ust rozmywała się w barwne, nieregularne plamy. Zwalisty wstał i ściągnął z głowy tę głupią czapkę z dolepienymi włosami. Rzucił obok nieprzytomnego. Podniósł wzrok. Literata nie było widać.

– Ja pierdołę – powiedział, obszedł kię i usiadł za kierownicą. Kluczyków nie było. Wysiadł i ruszył biegiem w stronę Alej.

Kosiński biegł, starając się oddychać równo i rytmicznie, daleko, jakieś dwadzieścia, może trzydzieści metrów przed sobą widział żula, który radził sobie całkiem dobrze. Nie kuśtykał. Nie zataczał się. Nie oglądał.

Biegł. Biegł, jakby to robił zawodowo. Oddychał miarowo. Czytał napisy. Teraz najważniejsze było to, co powiedzą. Ale na razie były nieprzejednane.

„Capital Park, *offices to let*” – mówiły. Biegł dalej prosto. Tam z wielkiego billboardu patrzył na niego Robert Lewandowski.

„Huawei P9. Zobacz każdy szczegół”.

Zobacz, zobacz – pulsowało w głowie Literata.

Obejrzał się.

Chłopak, który go gonił, był szczupły, wysoki i nie był w dobrej formie. Wąskie spodnie krępowwały mu ruchy. Powietrze brał jak ryba. Nie dogoni.

„Każdy szczegół” – pulsowały litery w głowie Literata. Każdy szczegół! Obejrzał się jeszcze raz.

Daleko, może nawet z czterysta metrów za nimi w świetle latarni zobaczył mały, ruchomy kształt. Ktoś biegł. Jeśli goni cię ktoś, kto uważa, że nadrobi czterysta metrów, jest głupcem, albo jest niebezpieczny.

Uff! Literat rozejrzał się znowu.

Na kolejnym billboardzie lśniło w słońcu nowe audi.

„Przewaga dzięki technice” – powiedziały litery, a uciekinier zrozumiał, że ten drugi kształt to nie jest kolejny amator. Że goni go maszyna do biegania.

Skreślił nagle w prawo i wpadł pomiędzy jadące samochody.

– Ja pierdolę! – Kosiński nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Wykorzystał moment, że samochody zatrzymywały się z piskiem opon przed uciekinierem i sam miał nagle trochę więcej przestrzeni. Przyspieszył, choć to było już ostatkiem sił. Hałas klaksonów był rozdzierający. Dopadł pasa między jezdniami Jerozolimskich. I co dalej? Uciekinier stał trzydzieści metrów przed nim i też czaił się na dobry moment, żeby przebiec. Teraz było trudniej. Samochody nadjeżdżały im zza pleców. Kosiński zaczął iść w jego kierunku po błocie między jezdniami. Nie mógł wyciągnąć kroku. Jego spodnie, teraz już mokre, zabłocone, lepiły się do nóg.

Żuł wyczuł, że samochodów jest mniej, i skoczył na jezdnię. Kosiński obejrzał się. No akurat nic nie jechało.

– Ja pierdolę. – Skoczył. Był przerażony, ale samochody zwalniały z daleka i udało mu się dopaść przeciwległego skraju jezdni. Próbował przyspieszać, ale nie mógł wyciągnąć kroku. No, kurwa, musiał sobie powiedzieć prawdę, że nie da rady dogonić tego dziadka. Ale przecież nie może dać dupy. No nie, nie może dać dupy! Telefon miał w ręku, bo dopóki

nie wyszarpnął go z kieszeni, w ogóle nie mógł się rozpędzić, tak go uwierał.

Skupił się, żeby biec jeszcze szybciej. Ale kłuło go już w boku i nie miał szansy złapać oddechu. Podniósł wzrok. Żuł dopadł przystanku autobusowego.

Wiata była oświetlona, a szybę od strony centrum miasta przesłaniał plakat z okładką książki. „Grzegorz Kalinowski. Pogromca grzeszników. Ktoś wyrównuje rachunki sprzed lat”.

„Wyrównuje rachunki” – powiedziały litery, więc zatrzymał się, skulił i skupił na dźwiękach.

Kurwa, ucieszył się Kosiński, kiedy tamten stanął. Zmęczył się, jebany świr.

Ostatnie metry pokonał już krok za krokiem.

– Omenda... ejska... olicji – wydyszał – proszę się odwrócić.

Literat odwrócił się i wyrównał rachunki. Trafił raz. W splot słoneczny. Idealnym, równym, mocnym ciosem.

Kosiński upadł na kolana. Nie potrafił złapać oddechu. Wciągał powietrze jak ryba, ale powietrze było zamknięte w olbrzymich, pulsujących balonach światła, a on nie potrafił żadnego z nich pochwycić zębami.

Popatrzył w oczy tamtemu. Literat podniósł pięść jeszcze raz i Kosiński zrozumiał, że za chwilę oberwie tak, że przejebane. Ale musiał mieć coś w tych oczach, pewnie jakiś lęk, bo żuł opuścił rękę i tylko popchnął chłopaka na plecy. Wtedy nadjechał autobus. Woda z kałuży oblepiła Kosińskiemu twarz.

– Sto pięćdziesiąt osiem – odczytał. Zobaczył, jak drzwi się otwierają i bezdomny wsiada do środka. Potem ujrzał, jak z autobusu próbuje wysiąść jakaś staruszka. Robi krok, ale widzi Kosińskiego i jej twarz się zmienia. Zaczyna się na niej malować lęk. Pomocy – chce powiedzieć Kosiński – pomocy. Nie umie złapać oddechu i czuje tylko, jak po gębie płynie mu coś

obrzydliwego.

Rzygowiny. Próbuje je wykrztusić i łapie wreszcie jeden oddech. Ale to za mało. Za mało, żeby krzyknąć, więc tylko patrzy na staruszkę, a ona odwraca się i wchodzi z powrotem do autobusu. Drzwi się zamykają. Kosiński łapie drugi oddech i wtedy przeskakuje nad nim jakiś cień. Mężczyzna w czarnym obcisłym stroju dopada drzwi i wciska ten zielony guzik, ale 158 rusza właśnie i woda z kałuży ochlapuje Kosińskiemu twarz.

– *Shit!* – krzyczy mężczyzna w czarnym trykocie i uderza dłonią w burtę autobusu. Pochyla się i patrzy Kosińskiemu w oczy. Policjant próbuje złapać oddech jeszcze raz, ale powietrze nie chce się precisnąć przez tchawicę. Tamten strzyka śliną. Patrzy z wyraźnym lekceważeniem na sneakersy i na te wąskie, czarne, nowiutkie dżinsy Kosińskiego. Może nawet z odrazą. Pochyla się.

– Będziesz żył, pedziu. – Klepie Kosińskiego po policzku i wyskakuje na ulicę wprost pod nadjeżdżającą taksówkę. Opel hamuje z piskiem. Powietrze z sykiem wciska się policjantowi do płuc, Kosiński siada nagle, jakby był pacynką i ktoś wreszcie pociągnął odpowiedni sznur. Gość w czarnym trykocie otwiera drzwi i wywleka taksówkarza na ulicę.

– *Szto wy?! – krzyczy kierowca. – Szto za chujnia?!*

Kosiński patrzy na to, ale nie ma siły wstać. Boi się, że powietrze wróciło do płuc tylko na chwilę. Słyszy, że w opłu wydziera się histerycznie jakaś kobieta. Czarny ma to w dupie, wsiada, trzaska drzwiami i odjeżdża.

Kosiński chce sięgnąć po broń, pod ramię, ale lewa ręka boli go tak bardzo, jak jeszcze nigdy dotąd. Spod bandaża leci mu brudnożółta jucha.

– *Szto za chujnia?* – Kierowca taksówki stoi na jezdni, trzymając się za głowę. – *Szto za chujnia?*

W głosie ma rozpacz. Takie rzeczy przecież się w Polsce nie dzieją. Mówili mu, że to dobry, bezpieczny kraj, w którym można sobie znaleźć kobietę, bo jest ich więcej niż facetów, że praca jest dobra i można nawet rodzinie wysłać pieniądze każdego miesiąca. A teraz stoi na środku ulicy

w samej koszuli.

Samochody trąbią, omijają go w czarnym deszczu.

Kosiński zagryza zęby i zaczyna szukać telefonu. Powinien być w tylnej kieszeni spodni, ale nie, nie ma... Może w kurtce? I wtedy przypomina sobie, że miał go w ręku. Zaczyna macać dookoła siebie po kałużach. I wreszcie widzi go, poleciał aż pod wiatę.

– Niech ktoś wezwie pomoc! – woła staruszka w autobusie. – Na przystanku leżał człowiek!

Jej głos ginie w tym łośkocie, bo przegubowy kadłub 158 zwija się właśnie jak scyzoryk w skręcie w Niemcewicza. Kierowca skupiony jest na tym, co się dzieje na jezdni, bo pogoda jak w piekle. Deszcz, mrok, niskie ciśnienie, a on przecież dawno nie miał w ustach nic słodkiego.

Bezdomny kuli się pod swoim kapturem na siedzeniu przy oknie. Brakuje mu znaku. Patrzy przez szybę, ale nic. Tylko domy i zaparkowane samochody. Autobus jest zbyt szybki, żeby mógł odczytać numery rejestracyjne. Dopiero kiedy zatrzymuje się na światłach przed Grójecką. Ale numery jak numery. Milczą. Autobus rusza, skręca ostro w lewo. Deszcz. A potem napis: „Klub Dekada. Przyjdź i tańcz. Dekada”. Co to może znaczyć? Dekada.

Kobieta w taksówce przestaje krzyczeć. Teraz płacze. Rozdzierająco, jakby jej pękły implanty. Ale zwalisty ma to w poważaniu. Potrafi działać w warunkach poważnego stresu. Brzęczyk kontrolki zapięcia pasów bezpieczeństwa wymyślony tak, żeby boleśnie ranić uszy kierowcom, służył mu od lat do treningu cierpliwości. Nie obchodzi go teraz ta wrzeszcząca wariatka, tylko mapa Warszawy. Nie jeździ komunikacją miejską i nie wie, gdzie 158 ma kolejny przystanek. Na razie tkwi w korku do światel w wąskim gardle Niemcewicza pięć samochodów za autobusem.

– O Jezu, Jeeeezu – zawodzi dziewczyna.

– Stul ryj, stara kurwo – rzuca za siebie zwalisty. Nie krzyczy, mówi wyraźnie, żeby ją trochę uspokoić.

– Tylko nie stara. – Tamta wydyma usta. – Czy to porwanie? Mój mąż nie będzie zadowolony. Zemści się. Zobaczysz. Zemści się! – krzyczy znowu.

Zwalisty wzdycha. Nie rozumie, dlaczego ona nie wysiada, skoro i tak zatrzymali się na światłach. Baby nie zrozumiesz. Naciska pedał gazu, skręcają w lewo, w Grójecką, kiedy nagle ona chwyta go za włosy i ciągnie z całej siły.

– Kurwo jebana! – Zwalisty wciska gaz, zaciąga ręczny i opel sunie bokiem w stronę szyn tramwajowych.

– Jezusieeeee! – krzyczy ona, puszcza włosy i pada na tylnej kanapie jak plaster bekonu.

– Stul ryj – zwalisty mówi spokojnie, jakby chciał okiełznać zwierzę – stul albo cię zabiję.

– Zemści się! – syczy ona.

– Zapłacił mi, żebyś zniknęła – żartuje zwalisty. Ale to jest dobry cios. Kobieta zaczyna szlochać. A potem znowu wyć.

– Wieeeedziałam. Aaaa wiedziałam, ten chuj, chuj jeeebany – zawodzi, bo trudno wyć przez łyzy. Kiwa się na boki. Kierowca widzi to we wstecznym lusterku. – Czuuuuułam, że kogoś ma, czuuuuułam.

Jedne światła, drugie, a ona nie próbuje uciec z samochodu. Tymczasem dojeżdża do 158 tuż przed Marriottem. Zwalisty wypatruje ludzi wysiadających z autobusu. Ale bezdomny się nie pojawia.

– Spierdalaj – mówi do kobiety. – Nigdy do niego nie wracaj.

– Ale co ja mam robić? – Ona siorbie nosem. Tusz rozmazany, pod jednym policzkiem płynie jej razem ze łzą wąska, ciemna stróżka.

– Dworzec tu jest naprzeciwko. Do matki jedź – mówi kierowca.

– Ale nie chcę.

– Spierdalaj, zanim się rozmyślę – zwalisty warczy. – Nie mam czasu się z tobą pieprzyć.

Ona wreszcie rozumie. Trzaska drzwiami.

Tymczasem wszystko wskazuje na to, że bezdomny nie ma zamiaru wysiadać. Zwalisty postanawia zaryzykować i wskoczyć do autobusu na następnym przystanku. Nie ma pewności, czy na wysokości rotundy skręca w Marszałkowską, czy pojedą prosto, więc trzymał się tuż za żółto-czerwonym pojazdem. Ruszyli. Autobus prosto. Zwalisty wyprzedził go, zjechał do prawej, wysiadł i zostawił taksówkę samą sobie, na awaryjnych światłach.

Wsiadł do autobusu przednimi drzwiami.

Był pełen, kiedy tu podejżdżał, ale na przystanku Centrum wsiadło drugie tyle. Jak zwykle.

Bezdomny siedzi tymczasem wciśnięty na ostatnim fotelu po prawej stronie. Siedzenie obok jest wolne. Nikt nie chce siedzieć koło niego. Może to kwestia zapachu? Może taki dar od losu w zamian za te wszystkie codzienne nędze? Zawsze masz siedzące miejsce. Kaptur obszyty mokrym teraz futerkiem nasunięty na oczy. Ale oczy nie są zamknięte. Jest czujny. Ktoś za nim biegł. Trzeba uważać. Litery za oknem nie mówią mu nic już od dłuższego czasu. Kiedy autobus zatrzymuje się na światłach, nie widać nic ciekawego. Tylko ostatnie światła były ciekawe. Dług publiczny nakręcał spiralę kryzysu. A ponad nim, na telebimie Cinema City zapraszało na nowy film. „Bądź gościem: *Piękna i Bestia*”.

„Bestia” – powiedziały litery. – „Bestia”.

Westchnął i zaczął rozgrzewać nadgarstki na wypadek, gdyby znowu trzeba było kogoś uderzyć. Ale kto jest bestią? Nie umiał odgadnąć.

Nie powinien się rozglądać. Gdyby miał za plecami niebezpieczeństwo, już by go dopadło. Nie. Bestia jest gdzieś przed nim. Autobus ruszył, Literat podniósł wzrok na ekran wyświetlacza zawieszony pod sufitem. Właśnie skończył się pokaz zdjęć ze zwierzętami, które można zobaczyć na terenie Warszawy, i wyświetliła się codzienna lekcja angielskich idiomów. „Read it between the lines” – powiedział ekran. „Czytaj między wierszami”.

Between, between – pulsowało w głowie bezdomnego.

Odsunął się od okna, przesunął się ku przejściu.

Zwalisty szedł od czoła autobusu, przepychając się pomiędzy ludźmi. Tłok był niemiłosierny. Zapachy takie, że szkoda gadać.

– Co pan, co pan? – Starsze kobiety w przemoczonych płaszczach przynajmniej słyszały, kiedy mówił: przepraszam, czy mogę przejść? Młode, w nieprzemakalnych makijażach, dumne i wyprostowane, myślące, że nigdy nie będą stare, brzydkie i niekochane, przewijały Instagrama w telefonach albo szukały szczęścia na Tinderze. Praska strona miasta pełna była przecież chętnych na wieczorny melanż chłopaków. Nie słyszały „przepraszam”. Tonęły w mazi, jaką tłoczyły im w uszy smartfonowe słuchawki. Ale kiedy się obok nich przeciskał, nie prychały. Nie dziwił się. Kobiety miały do niego słabość. Uważał to za jakiś rodzaj atawizmu. Czują drapieżnika. Mogły być wykształconymi nowoczesnymi feministkami z wielkiego miasta, ale głęboko w zwojach ich DNA tkwił przedwieczny impuls, który pozwalał odróżnić prawdziwego faceta od zwykłej pierdoły.

Zwalisty lubił w kobietach to, co nazywały intuicją.

Podejrzewał czasami, że chodzi o zapach. Samce alfa wydzielają inny zapach niż cała reszta tej męskiej galanterii, ci wszyscy tchórze, maminsynki, pedały, klechy, obleśni, zniewieściali prezesi, którzy do załatwiania własnych spraw musieli wynajmować ludzi. Ludzi takich jak on.

Wilki.

Gdyby świat toczył się dobrym torem, wilki załatwiałyby wszystko między sobą. Ale coś poszło nie tak. Spodnie rurki i jebane buciki jak z kreskówki – przypomniał sobie zarzyganego chłopaka na przystanku. Wszystko przez klechy i komunistów. Klechy ze swoją ideologią pokory i głaskania dzieci po główkach. I komuszkowie z pomysłem na jeden wielki lewicowy cyrk bez granic, za to pełen sklepów dla ciot i feministek.

Ale on był inny. Był dumny z tego, kim jest. Ale teraz trochę się

niepokoił, był już blisko końca autobusu i nie znalazł uciekiniera.

Pffsssss – autobus zatrzymał się jeszcze raz. Otworzył drzwi. To był przystanek naprzeciwko dawnego Orbisu. Nikt nie wysiadał, ale zrobiło się jeszcze gęściej.

Na tablicy za oknem wisiała reklama nowego telefonu. „*Apple iPhone. Focus on what You love*”.

„*Focus*” – rozbłysło przed oczyma bezdomnemu. – „*Focus*”.

Kiedy ruszyli, zwalisty zrobił jeszcze dwa kroki i zobaczył go wreszcie. Na ostatnim fotelu. Dookoła niego wolna przestrzeń. Luksus. Bonus od losu. Ludzie nie chcą przebywać w pobliżu bezdomnych. Boją się zapachu. Boją się zarazić śmiercią, samotnością i chujnią. Bezdomni nie są cool. Nie mają lajków na Instagramie.

Literat patrzył na ekran pod sufitem.

„Warszawa biega: 12. Półmaraton Warszawski odbędzie się w niedzielę 26 marca 2017” – przeczytał, a zaraz potem na niebieskim tle pojawił się stylizowany napis: „miło cię widzieć”.

„Miło cię widzieć” – powiedziały litery.

Nawet nie drgnął, kiedy ten w czarnym trykocie nad nim stanął. Zacisnął powieki. Czasami to pomaga. Zaciskasz powieki, opuszczasz głowę i to, czego nie chcesz widzieć, znika.

„Miło cię widzieć”.

Nie zniknęło. Patrzył na czarne, zabłocone buty i na czarne spodnie. A potem wyżej i wyżej, aż do twarzy.

Autobus jęknął i pochylił się w prawo, biorąc łukiem zakręt koło palmy, a potem zaczął zwalniać.

Bezdomny patrzył w górę. Znał tę twarz. O tak... znał ją.

– Hej, Luter – powiedział Druid – kopę lat.

Odsunął suwak i sięgnął do kieszeni, ale Luter nie czekał, odepchnął go, wcisnął przycisk otwierania drzwi i zaczął biec w stronę rzeki.

Woda była jego sprzymierzeńcem. Ale miał niewielką przewagę. Może pięć, może sześć metrów. I tę kurtkę krępującą ruchy. Nie mógł jej zdjąć, biegł. Kaptur zsunął mu się z głowy. Słyszał za sobą szybkie kroki tamtego. Do rzeki jest jakieś osiemset metrów. To tylko trzy minuty, może cztery. Deszcz. Deszcz też jest z wody, ale nie potrafił się ukryć w deszczu. Ale w rzece potrafi. W rzece może się ukryć, tak jak nikt inny nie potrafi. Rzeka jest jego domem.

Minął Muzeum Wojska Polskiego i wbiegł na wiadukt mostu.

Tramwaj przetoczył się z łoskotem czołgu.

– Stój! – usłyszał. – Stój, żołnierzu!

Nie miał wyjścia. Musiał się zatrzymać. Dyszał ciężko. Deszcz płynął mu po twarzy, ale kiedy dotykał go językiem, czuł słony smak. Pot.

– Luter, ja pierdolę, nie utrudniaj mi tego. – Tamten podszedł blisko, ale ręki na ramieniu Lutra nie położył. Wariat nie wariat, nie wiadomo, jak zareaguje. W końcu był może teraz szurniętą, ale jednak prawdziwą maszyną do zabijania.

Obszedł go łukiem, odsunął suwak kieszeni i wyjął miniaturowy komunikator. Dokładnie taki, jaki śnił się Lutrowi od lat z taką siłą, z jaką alkoholikowi śni się kieliszek, a samotnym żeglarzom dziewczęta Hiszpanii.

Luter wyciągnął rękę.

– Chcesz go – uśmiechnął się Druid. – Wiem, kurwa, że chcesz.

Zrobił gest, jakby chciał schować gadżet w kieszeni, a Luter jęknął.

– Żartowałem – powiedział Druid, podszedł i zapiął pasek na przegubie Lutra. – Teraz jesteśmy w kontakcie, brachu. Znowu razem.

Luter spojrzał na rękę.

Nic się nie działo. Potrząsnął. Druid tymczasem pomajstrował przy swoim smartfonie. Cuda robią teraz koledzy z Ameryki, jeśli wiesz, gdzie kupować. Wprowadził hasło i kliknął kilka liter.

Komunikator na przegubie Lutra rozbłysnął na niebiesko.

„Miło cię widzieć” – powiedziały litery i Luter poczuł nagłą, obezwładniającą ulgę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

1950

– Wejdz, wejdz, miło cię widzieć. – Jaroszewicz zdawał się być naprawdę zadowolony z odwiedzin swojego dawnego towarzysza broni. Hubner był już profesorem, ale zachował tę swoją chłopięcą sylwetkę, a odkąd wojna się zakończyła i jadał lepiej, nie miał już pod oczami tych ciemnych worków człowieka, który choruje na anemię czy niedobór żelaza. Powiedział Hubnerowi, że wygląda naprawdę dobrze. Pili koniak z Armenii. Jaroszewicz trzymał butelkę na specjalną okazję. Właśnie taką jak ta. Jaroszewicz był teraz generałem, ale Bierut odsunął go od armii i zesłał do Komisji Planowania Gospodarczego.

Powody, dla których popadł w niełaskę, budziły w Warszawie powszechną ciekawość, ale czasy, kiedy wolno było bezkarnie pytać o sprawy, bezpowrotnie minęły. Po Kongresie Zjednoczeniowym komunistów w auli politechniki lepiej było siedzieć cicho i patrzeć na czubki butów. Jaroszewicz mówił, że kiedy patrzysz psu w oczy, ten myśli, że chcesz mu zabrać kość, więc lepiej nie patrzeć zbyt długo.

Zwłaszcza Sowiecom. Hubner nie pytał. Po tym, co przeszli, rozumiał. Miał się za porządnego człowieka, takiego, co bez dowodów nie rzuca oskarżeń. I za nowoczesnego, czasami nawet niewierzącego Żyda, który ufa rewolucji. Nie wierzył, że Adonai zabije tych, co powiedzą na głos Jego imię, ale wierzył w konieczność zniwelowania różnic między bogaczami, do których należały zasoby planety, i robotnikami, którzy musieli pracować w hutach i kopalniach. Był przekonany, że w świecie rządzonego przez robotników Żydzi będą bezpieczni, bo różnice, które dzisiaj stoją między

ludźmi, przestaną być istotne.

Ale był na Syberii. Wiedział, że Rosjanom nie można ufać.

Tak jak Niemcom. Zwłaszcza że Niemcy znowu stawali się groźni. Na szczęście byli daleko. Za Odrą. Za rosyjską strefą okupacyjną. Za kurtyną.

– Pewnie chciałbyś wiedzieć, dlaczego mnie odsunęli – zapytał Jaroszewicz. – Wiem, że nie zapytasz. Ja też nikomu nie powiem. Nikomu nie ufam. Tobie ufam. Za dużo przeszliśmy razem, żebym nie ufał. Powiem ci. Poprosiłem sam. Nie pisałem, nie dzwoniłem, nie chwaliłem się nikomu. Poprosiłem. Pokazał Hubnerowi fragment swojej charakterystyki przygotowanej przez Sowietów „na okoliczność analizy nastrojów w Polsce w rok po wyborach do Sejmu Ustawodawczego”. Obaj mieli świadomość, że wybory były sfalszowane. Obaj wierzyli, że to tylko przyspieszyło tryby historii, bo rewolucja musiała zwyciężyć dlatego, że dynamika dziejów była zdeterminowana nieodwracalnie. Analiza zaliczała generała Jaroszewicza do elementów niepewnych. Pokazał ten zapis palcem. Rosyjskie bukwę układały się w wyrok: „jest jednym z ministrów, który prezentuje nacjonalistyczne dążenia, przeprowadzając w wojsku akcję usuwania ze stanowisk dowódczych oficerów radzieckich”.

Wy tłumaczył, że niewiele miał do gadania. I że o nic nie może już pytać na głos.

– Zresztą wy też macie w domu obserwanta. Ten co u was mieszka, ten dokwaterowany, to przecież z Urzędu Bezpieczeństwa.

– Dlaczego?

– Przez te twoje listy do świata. Nie chcą ci zabraniać, bo naukowców cenią, ale wolą wiedzieć, o czym piszesz.

Ustalenia dekretu o publicznej gospodarce lokalami i kontroli najmu początkowo szczęśliwie omijały Hubnerów, zapewne dzięki dyskretnej opiece Jaroszewicza, ale na początku czterdziestego ósmego Hubner otrzymał decyzję o odstąpieniu jednego pokoju nowemu lokatorowi, wraz z używalnością łazienki i kuchni. Hela nie była zachwycona, ale odwołania

od tej decyzji były nieskuteczne. Na szczęście nowemu wystarczyła przedwojenna służbówka, wysoka, wąska, z jednym oknem. Zamieszkał w niej starszy, milczący urzędnik, który z pokoju wychodził jedynie po to, żeby w kuchni zrobić sobie herbaty. Siadał przy stole i ciamkał, zjadając pajdy chleba ze smalcem.

Nazywał się Zygmunt Wolak i nigdy nie patrzył nawet na dzieci.

Hubner nie miał pojęcia, że to konfident. Ale przełknął tę informację gładko. Zapytał tylko, czy powinien się bać.

Jaroszewicz pokręcił głową. A potem powiedział, że on sam musi się bać. Przez rozmowę ze Świerczewskim. Znali się z Jaroszewiczem z Sejmu i z Komisji Wojskowej. Generał Świerczewski zginął trzy i pół roku temu w zasadzce Ukraińskiej Powstańczej Armii. Ale różnie o tym gadali. Czasami że to komuniści sami wystawili Waltera banderowcom. W szynelu generała były trzy dziury. Dwie od kul z przodu i jedna, co wyglądała jak od noża albo od bagnetu. W plecy. Ale nie wolno o to pytać, Ignacy, nie wolno. Świerczewski wygadał się komuś, żeśmy rozmawiali o popach. O tych rosyjskich kapłanach? Hubner nie rozumiał. Nie no, o popach. O „pełniących obowiązki Polaka”. O sowieckich agentach, których podstawiano w miejsce polskich oficerów i polityków. Wychowani w Sowietach na bezwzględnych agentów, od małego nauczony polskiego, śpiochy. Stalin ściągał naszych do Moskwy, zabijał albo więził, a na ich miejsce podstawiał agentów, którzy udawali Polaków. Słyszałeś o tym? Nie. I dobrze. Kto słyszał, nie żyje. Ja zaprzeczyłem, że słyszałem. Poprosiłem o przeniesienie. No i Świerczewskiego zastrzelili. A mnie przenieśli do Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego. Awans. Nawet generała brygady mi dali, ale faktycznie stałem się lokomotywą zamkniętą na bocznym torze. Mogę jechać bez końca, ale tylko dookoła podwórka pod oknami tych, co mają władzę.

A ci popi to prawda? Hubner miał w sobie ciekawość naukowca, nie szpiega. Jaroszewicz rozumiał to. Rozumiał Hubnera nawet lepiej, niż on

sam siebie rozumiał. Wiedział, dlaczego Hubnerowi nie śnią się trupy tych, których grzebali na Syberii. Jemu ciągle się śniły. Powiedział profesorowi, że to nieprawda. Że naprawdę nie jest ważne, czy Bierut jest agentem. I kilku generałów z armii i z milicji. A co jest ważne? Nie wiesz? Ważne jest, żeby nasze dzieci były szczęśliwe i bezpieczne. Kiepska sprawa z tym koniakiem. Kończy się tak szybko. Więc dałeś córce na imię księżniczka? No tak. Księżniczka. Sara znaczy księżniczka.

Kiedy wrócił na Wilczą, poprosił ją, żeby zatańczyła.

– Tańcz – zachęcał córkę profesor. – Tańcz, Sara.

A ona kręciła się jak fryga. Jak drejdel, bąk do chanukowej gry na cukierki. Czasami upadała, a wtedy Hubner bił brawo i nastawiał radio z jakąś wesołą melodią. Sara nie lubiła marszów ani polskiego folkloru. Lubiała piosenkę Szpilmana: „Znów wzywa nas radosna pieśń: Do szeregu!... do szeregu!... Czas nam pracą wznosić wolność i ład”.

Tańczyła, a Szymon podbiegał, żeby ściszyć radio:

– Tata, a przeczytać ci *Naszą Syrenkę*? – Szymon miał pięć lat i potrafił doskonale czytać, jak sam mówił, ze zrozumieniem, ale odkąd Sara nauczyła się tańczyć, to ona grała pierwsze skrzypce w dziedzinie domowej rozrywki.

– Chy... chyba będę musi... musiała wyjść za mąż, bo już nie daję rady moim wy... wydatkom! – przeczytał z dumą i pokazał ojcu rysunek Miklaszewskiego.

– No świetnie, doskonale. – Hubner ledwo rzucił okiem na rysunek, podkreślił radio i wrócił do wybijania rytmu tańca Sary.

Hej, junacy – hej, chłopcy, dziewczęta,

do roboty!... do roboty!...

Jedno hasło jak rozkaz pamiętaj:

Do roboty!... do roboty!...⁵

Żyło im się całkiem dobrze.

Nocami profesor czytał o znaczeniu imion. Szymon powinien właściwie mieć na imię Piotr, na cześć tej frontowej przyjaźni z Jaroszewiczem, ale podobała się Hubnerowi żydowska tradycja zmieniania imion dla podkreślenia znaczenia ważnych wydarzeń. Abram zmienia imię na Abraham, kiedy dostaje obietnicę syna. Saraj zmienia imię na Sara, kiedy ma zostać matką, Gedeon, kiedy ma zwyciężyć kultury pogan, zmienia imię na Jerubbaal, a Jakub, kiedy ma dać początek narodowi, przybiera imię Izrael. Profesor zauważył, że ten obyczaj przejęli od razu chrześcijanie. Szaweł, kiedy miał zostać apostołem, przybrał imię Pawła. A Szymon – Piotra.

Szymon i Piotr są ze sobą bardzo związane.

Sara znaczy księżniczka. Choć właściwie mogłoby znaczyć tancerka. Odkąd mieli radio, tańczyła coraz częściej w wielkim słonecznym mieszkaniu pełnym książek i zapachu fajki. Fajki ojca ocalały jakimś cudem. Przetrwały Niemców, powstanie i tę ruską barbarię. Kiedy ruszyli na Berlin i mieszkanie pozostało pod opieką Rusińskiego, ten co cenniejsze rzeczy schował. A kiedy do Warszawy wróciło życie i tytoń zastąpił wojenną machorkę, Hubner zaczął palić. Ale tylko w bibliotece. Zapach fajki i książki dobrze do siebie pasowały.

Pracy miał dużo, na architekturę przyjmowali po czterystu studentów rocznie, ale nikt nie narzekał, bo przecież kraj potrzebował wykształconych kadr na budowach. Nie chodziło już tylko o odgruzowywanie. Trzeba było budować MDM. Ale profesor umiał znaleźć czas na badania nad niskimi temperaturami, korespondował po rosyjsku z naukowcami z uniwersytetu w Tomsku, najstarszej rosyjskiej uczelni na Syberii, i po angielsku z uczonymi z Harvardu. Dla obu stron był pomostem do wymiany doświadczeń, wiedział o tym i lubił z tego korzystać. Oczywiście korespondencja była ściśle naukowa i nie widział problemu w tym, żeby przeglądali ją jego przełożeni. Rozumiał, że w przededniu wojny każda

informacja zawarta w takich listach może mieć znaczenie.

A on przecież nie chciał wojny.

Rany po niej w jego własnym świecie wciąż się nie zabiły. Ruiny Zamku Królewskiego bolały go tak, jakby to były rany na jego własnym ciele, a nie na skórze miasta. Rok temu patrzył dumny, kiedy uroczystie przecinano wstęgę przy wyremontowanej Kolumnie Zygmunta. Wciąż miał w pamięci tamtą zimę i powalonego króla, a teraz znowu trzymał szablę nad swoim miastem. Prezydent Bierut odsłonił pomnik osobiście 22 lipca, w czasie wyjątkowo okazałej uroczystości, bo otwierał też Trasę W-Z. Kolumna dostała nowe fundamenty, bo pomnik trzeba było przesunąć o całą sześć metrów w związku z budową tunelu pod placem Zamkowym. Kiedy kolumna stanęła w nowym miejscu, musieli ją obrócić. Przed wojną król patrzył w stronę Senatorskiej, bo to była najważniejsza ulica miasta. Teraz patrzy na Krakowskie Przedmieście.

W fundamenty wmurowano pamiątkową puszkę z nazwiskami osób, które miały być zaproszone na uroczyste otwarcie. Były tam nazwiska notabli, projektantów i budowniczych Trasy W-Z, przodowników pracy, artystów, wojskowych, a także kilku zaproszonych naukowców. Pewnie Jaroszewicz to załatwił, ale znalazło się tam także nazwisko Hubnera i profesor cieszył się z tego, że na wieki wieków będzie zatopione w ziemi, w samym sercu niezłomnego miasta. Miał jakąś sekretną satysfakcję, że dzieje się to w miejscu, w którym przed polskim królem klęczeli carowie, i że na tablicy na kolumnie wciąż widnieją słowa: „wziął do niewoli wodzów moskiewskich, stolicę i ziemie moskiewskie zdobył, wojska pokonał i odzyskał Smoleńsk”.

Może dlatego, że komuniści słabo sobie radzili z łaciną, a może dlatego, że czytali tylko te tablice, na których wisiały ich własne nazwiska? Prezydent Bierut zawiesił tabliczkę ze swoim na płycie od strony pleców Zygmunta III. To niewielka tablica, więcej nazwisk się na niej nie zmieściło. Co by nie mówić, 22 lipca to był piękny dzień. Ruszyły pierwsze

w mieście ruchome schody, podobno takie same, jakie mają w Moskwie, w metrze. A po odsłonięciu defilada ruszyła Trasą W-Z.

– W ciągu najbliższych sześciu lat podniesiemy bardzo znacząco stopę życiową robotników, chłopów i inteligencji pracującej – obiecywał Bierut. – Udostępnimy milionom ludzi światło elektryczne, książkę, radio, telefon, kino i teatr. Pokonamy analfabetyzm. Zapewnimy ludziom pracę, lepszą opiekę lekarską, uzdrowiska i wczasy. Zwalczać będziemy wszelkie choroby i przedłużymy życie ludzkie, uczynimy je lepszym i szczęśliwszym.

Hubner słuchał tego, patrzył na morze czerwonych chorągwi płynących od strony Pragi, jakby morze czerwone szło w poprzek rzeki. Czuł uniesienie i jakiś smutek, bo uświadomił sobie, że stoi właśnie w tym miejscu, z którego Janek, jego student, szkicował plac budowy Trasy W-Z. Świetnie rysował. Talent. Niektórzy mają taki dar. Nie muszą się nawet uczyć. Przeniósł się z wydziału elektrycznego od razu na drugi rok. Najbardziej nowoczesna trasa w Europie, mówił, widzi pan? Droga biegnie pod miastem, bo przecież kiedyś na górze staną wszystkie te domy, które pamiętamy sprzed wojny. Taka nowoczesność, a budują ją, wożąc piach wozami zaprzęgniętymi w konie.

Bawiło go to. Na roku było czterystu studentów, ale asystentów tylko dwóch: Piechotka i Krasowski. Wybrali dziesięciu studentów, którzy najlepiej rokowali, żeby prowadzili zajęcia terenowe w czasie inwentaryzacji architektury drewnianej. Jeden z nich, Świątkowski, namówił tego Janka, swojego kolegę, żeby z nimi pojechał do Gawłuszowic rysować kościół.

Asystenci przynieśli prace i okazało się, że ma chłopak talent. Miał też do organizacji, bo to Rodowicz przygotował fuksówkę, otrzęsiny w kreślarni politechniki. Od sufitu do podłogi wisiały papierowe chmury, stanęła scena. Udawał profesora i egzaminował tych młodych studentów. Pierwsze pytanie Hubner pamiętał nawet teraz: jaka jest różnica między

ćwiczeniami ze statyki i z rysunku odręcznego? Student nie wiedział. A Janek mówi: to bardzo proste. Ćwiczenia ze statyki polegają na tym, że bierze się pracę od kolegi, kalkę, przerysowuje się i oddaje profesorowi, a rysunek odręczny polega na tym, że pożyczą się pracę kolegi, kładzie na szybie i kopiuje się odręcznie.

O tym, że był sławnym żołnierzem, że brał udział w Akcji pod Arsenalem i odbiciu więźniów transportu do obozu koncentracyjnego, że miał Virtuti Militari, Hubner dowiedział się, kiedy aresztowali go w Wigilię czterdziestego ósmego. Wskoczył z okna na Koszykowej. Podobno nie wytrzymał śledztwa.

Nie tylko Rodowicz nie ukończył tych studiów, było takich chłopaków i dziewcząt coraz więcej.

Ale mimo wszystko, mimo że czasami znikali znajomi, że nie wolno było pytać o to, gdzie się podzieli, mimo sfalszowanych wyborów i konfidenta we własnym domu żyło się Hubnerom dobrze. Hela uczyła w szkole, wuj podleczył górne drogi oddechowe i lubił zajmować się dziećmi. Lokator się nie naprzykrzał ponad miarę. Komunistyczna władza ceniła naukowców. Profesor był kimś i zarabiał lepiej niż dorożkarz. Uszył sobie dwa garnitury i chodzili do kina i restauracji jak królowie. A dookoła nich rosła jak na drożdżach Marszałkowska Dzielnica Mieszkaniowa – najważniejsza inwestycja młodej Warszawy. Chodzili do Świtezianki posłuchać, jak się przekomarzają dziennikarze „Życia Warszawy” z tymi ze „Stolicy”. Andrzej Tewiaszew, romanista, dziennikarz, plotkował o przedwojennej Warszawie z autorem kryminałów o milicjantach Jackiem Wołowskim i karykaturzystą Żebrowskim, który znał w Warszawie wszystkich, a już na pewno wszyscy znali jego.

Raz jedli nawet obiad w restauracji Rarytas uchodzącej za najlepszy lokal w całym mieście. W karcie były szparagi i zupa rakowa. No i można się było napić takiego wina, o jakim czytało się tylko w książkach.

Tymczasem po studentach z politechniki zaczęli znikać także

naukowcy. Bierut dowództwo nad polską armią powierzył Rosjaninowi Rokossowskiemu, mianując go marszałkiem. Gazety coraz częściej pisały o politycznych procesach, światła w restauracjach na Marszałkowskiej gasły coraz wcześniej, ludzie przestali opowiadać dowcipy, a Rusiński nawet już nie pluł za lokatorem Hubnerów. Bierut wrócił z Moskwy i aresztował Gomułkę za nacjonalistyczne odchylenia. Gomułka nie rozumiał, że Polska w polskich granicach nie będzie nigdy tak szczęśliwa jak we wspólnej, komunistycznej Europie, w jednym internacjonalistycznym państwie bez granic, niespętany tradycją narodową, językową czy, nie daj Bóg, religijną.

Są dwie drogi do tego celu. Droga przez edukację, długa, mozolna i niepewna, bo nie ma pewności, czy wszyscy młodzi ludzie rozumieją, że w gruncie rzeczy są postępowi, nowocześni i mądrzy – a więc są komunistami. I droga przez eliminację elementu reakcyjnego. Prezydent Bierut rozumiał, że tak trzeba. Że nie ma co się pierdolić z opozycją.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

TERAZ

– Więc nie ma co się pierdolić z opozycją – mówił ojciec i to był ten jeden, jedyny raz, kiedy był zdenerwowany w naszym domu, po tym jak obiecał mamie, że nie będzie już nigdy pił ani sięgał po pas. To był przełom osiemdziesiątego ósmego i dziewiątego i przyszło wtedy do nas kilku ważnych ludzi. Mama powiedziała, że są bardzo ważni.

– Poznałaś ich? – Olga nie mogła czasami powstrzymać języka.

Ale Dorota nie przestała mówić. Wino rozwiązało jej język. Którą to już piły butelkę? Drugą, trzecią?

– Wtedy? Jak mogłabym poznać?

– No z telewizji.

– Nie mieliśmy już wtedy telewizji. Ojciec wyniósł telewizor pewnego dnia. Powiedział, że tak będzie lepiej i że będzie mnie za to zabierał do kina.

– Ha... – Olga uniosła brwi w górę i zabełtała winem w kubeczku. – Zabierał?

– Czasami zabierał. Na *Gwiazdne wojny* i na *Pana Kleksa w kosmosie*. Ten Kleks, Fronczewski, był naszym sąsiadem. Mieszkał tu na Wilczej w kamienicy obok, a jego polonez stał pod naszymi oknami. I powiem ci, wtedy to on był prawdziwą gwiazdą. Dzisiaj mamy celebrytów, a wtedy to były prawdziwe gwiazdy. Wszyscy mu się kłaniali. Myślę, że jeszcze by się kłaniali Borewiczowi, Korze, Hołdysowi i Krystynie Losce.

Dorota się roześmiała. Po raz pierwszy w czasie tej rozmowy roześmiała

się beztrosko.

– Ale po co ja ci to wszystko mówię?

– Mówiłaś o ważnych ludziach, którzy u was byli.

– No. Kiszczak i inni. Kiszczak chciał od ojca kupić obraz. Witkacego.

– Mieliście obraz Witkacego?

– No, wisiał nad kominkiem. Kobieta, portret, cała w trójkątów cienie. Tak mi się wydawało. Dziwny. Ojciec powiedział, że nie sprzeda. Że obiecał, że ona tu zawsze będzie. Ona i książki. Ale skoro teraz opozycja ma się brać do władzy, to pierdoli. Nie będzie strażnikiem ksiązek, skoro się wali kraj.

– Ale jakich ksiązek?

– A... nie mówiłam ci. Miałam dzieciństwo pośród ksiązek. – Dorota dołała im jeszcze wina. – A może ja coś do jedzenia zrobię? No bo ciasta więcej nie mam... Mam skitraną czekoladę. Czekaj. Przed mężem chowam, bo on nie rozumie, że kobieta nie może przecież odchudzać się bez przerwy. Że musi mieć przerwę na czekoladę.

Wyciągnęła tabliczkę z za słoików z różnymi rodzajami mąki.

Olga poczuła się odprężona. Jakby ta nagła bliskość, bo przecież nie zostały przyjaciółkami kiedyś, przed laty, była im potrzebna, żeby dopełnić się rytuał pożegnania. Nie rozmawiały już o córkach. Jakby zrobiły krok do wyjaśnienia tajemnicy ich odejścia. Jeśli to prawda, że Pawliszuk nigdy nie pił, to znaczy, że pożar nie był przypadkowy. A jeśli nie był przypadkowy, to jeśli odnajdzie tego, kto to zrobił, odnajdzie też sprawcę śmierci Anki. I być może kierowcy ciężarówki. Kogoś, przez kogo sama o mało nie zginęła. Przez kogo skończyło się jej małżeństwo. Miała przekonanie, że jest na właściwej drodze. To dlatego czuła się teraz odprężona. Po raz pierwszy od bardzo dawna, może nawet od lat. Jakby drzwi zatrzaśnięte na głucho zaczęły się nagle otwierać. Albo jakby je odnalazła. Nie miała klucza, ale wiedziała już, które to są drzwi.

A klucz?

Trzeba znaleźć tego, kto miał motyw.

Ale kto mógłby mieć motyw, żeby zabijać starego esbeka? Ktoś, kogo wsadził za kratki? No nie, nie dwie dekady po tym, jak go zwolnili ze służby. Pewnie naraził się wielu ludziom. Ale gdyby chcieli go skrzywdzić, mieli dość czasu. Chyba że to jakiś morderca, który dostał dwadzieścia pięć lat. Przypomniała sobie papiery Pawliszuka. Nie, nie brał udziału w żadnym takim śledztwie. Pewnie nie wszystko było w jego teczce, ale takie sprawy byłyby na pewno. Gdyby Dorota wiedziała o powodach, dla których ktoś chciałby skrzywdzić ojca, powiedziała o tym od razu. A więc nie wiedziała. Ale Olga czuła, że wyjaśnienie jest gdzieś blisko. Że ta sprawa ma związek z mieszkaniem na Wilczej.

Dorota przełamała czekoladę na pół.

– No więc miałam mnóstwo książek w dzieciństwie. Półki były od podłogi po sam sufit. A to wysokie mieszkanie, wiesz, nie to, co w komunistycznym bloku z wielkiej płyty, gdzie masz dwa metry czy tam dwa metry dziesięć. Wysokie. Cztery metry i jeszcze odrobina, mówił ojciec. I dom był z dozorcą. Ojciec ciągle się z nim kłócił. Franciszek Rusiński. Ojciec chciał go wyrzucić z budynku, ale on namówił przeciwko nam wszystkich mieszkańców. Mówił, że on musi książek pilnować. I ojciec zawsze jak z domu wychodził, to on krzychał: tylko żebyś pan książek nie ruszał! Nie pańskie, to pan nie ruszaj. Ale mi czekoladę dawał. Nie całą, ale kostkę mi dawał. Stary był. Mówili, że podobno powstaniec. Ojciec mówił, że zwykły czereśniak. Że jakby taki czereśniak mieszkał w tym naszym mieszkaniu, to by sobie tam zbudował antresolę. No ale my nie zbudowaliśmy. Wiesz, że te mieszkania za komuny specjalnie budowali takie niskie?

– Jak to? – Olga pokręciła głową. – Co to za pomysł?

– Ojciec twierdził, że to był taki pomysł radzieckiego kierownictwa, oni uwielbiali inżynierię społeczną. Odkryli, że człowiek w niskim mieszkaniu czuje się źle, rozumiesz, nie chce tam przebywać dłużej, niż musi, nie

rozumie tego, ale brakuje mu przestrzeni, powietrza, więc tam nie przebywa. Dzieli swój czas na pracę, naukę i na rozrywkę. A ponieważ w domu nie ma warunków na naukę i na rozrywkę, to odwiedza biblioteki, domy kultury i miejsca, gdzie może poznać kogoś, no wiesz, chłopaka, dziewczynę. I w ten sposób człowiek jest zmuszony do nauki i do... – Dorota zawiesiła głos.

– Do miłości?

– No nie, do prokreacji. Do miłości nie można nikogo zmusić.

Stuknęły się kubkami.

Olga pomyślała o tym, ile czasu minęło od chwili, kiedy rozmawiała z inną kobietą w sytuacji, która nie byłaby służbowa. Kilka tygodni temu poszła na kawę z koleżankami z liceum. Przyjechały do miasta na zwiedzanie. No i na kawę do sieciówki. Modne miejsce. Na jednej ścianie półka z książkami pod sam sufit. Nigdy nie widziała, żeby ktokolwiek po te książki sięgał, ale miało to swój sznyt. Najpierw jej koleżanki robiły sobie selfie i wysyłały te zdjęcia nie wiadomo komu. Olga miała z tym problem. Nie była umalowana, miała przyklapnięte włosy i była w swetrze. Nie przemyślała tego. Mogła się domyślić, że to będzie dla nich ważne. Potem wszystkie zerkały na faceta, który na stoliku obok rozłożył wielki komputer, wpiął do niego słuchawki, sączył koktajl warzywny i oglądał jakiś film. Pewnie ambitny, bo to były raczej gadające głowy niż strzelanina i superbohaterowie. W dodatku każdą dziewczynę, która podchodziła do drzwi z napisem „Staff only”, instruował, że toaleta jest dokładnie z drugiej strony i trzeba obejść lokal dookoła. A co u was, pytała. Pierwsza wpłaciła zaliczkę na trekking w Himalajach i bała się, że upadnie gdzieś na lodowcu i coś jej się stanie w ręce. Żebra okej, ale, Boże drogi, tylko niech mi się nie połamią ręce. Druga pracowała dla Biedronia. Prezydent Słupska miał wielkie plany. Większe niż ktokolwiek może dzisiaj przypuszczać. Ale to na przyszłość, na razie nie może nic powiedzieć. Ale odkąd z nim pracuje, zaczęła myśleć o rozwodzie, bo odkryła, że jej mąż jest agresywny

werbalnie, uzależniony od gier i alkoholu. Trzecia nic nie miała do powiedzenia, bo ma fajnego chłopaka i fajną pracę. Czwarta odebrała tydzień temu esemesa od byłego. Napisał, że ma HCV i żeby się zbadła. Zbadana się. Ze stu odmian wirusa ma jedną z czterech onkogennych, więc się boi. Ale nie wie, czy odstawić leki antydepresyjne, bo nie czuje się dobrze, kiedy ich nie bierze. A co u ciebie, Olga? Robisz karierę w stolicy? Masz kogoś nowego? Tutaj to pewnie łatwo mieć nowego chłopaka – zerkały na tego przy komputerze. A Olga nie miała nic do powiedzenia. Bo co u niej? Nic. Trupy. Otrząsnęła się z tych myśli.

– A jak u ciebie z miłością? – zapytała Dorotę.

– Dobrze. Mieliśmy kryzys po śmierci Kasi. Ale szliśmy przez to wspólnie. A u ciebie?

– Mój mąż odszedł do innej kobiety, kiedy leżałam w szpitalu po wypadku. Jeździł na terapię i został z tą terapeutką już na zawsze.

– Kurwa.

– Kurwa. Nigdy bym do takiej nie poszła. W ogóle bym nie poszła na żadną terapię, ale musiałam, bo to był warunek, żebym wróciła do pracy.

– Chciałaś wrócić?

– Chciałam. Nie miałam nic innego.

– A teraz?

– Wciąż nie mam nic innego... Biegam. Czasami rozmawiam przez telefon z takim jednym z Wrocławia. Kotlety mi usmażył. – Uśmiechnęła się do tego wspomnienia.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Masz jeszcze wina, czy już przesadziłyśmy? – Olga zapragnęła zmienić temat, bo na kolejne pytania nie umiałaby odpowiedzieć dzisiaj samej sobie.

– Mam. – Dorota zakołysała butelką. – Mamy jeszcze sporo. A jak się skończy, zamówimy i taksówką nam przywiozą.

– No ale powiedziałaś, że bałaś się książek.

– No bałam się. W czasie kiedy jeszcze nie umiałam czytać, ciekawiły mnie te, które miały takie niezwykle okładki ze skóry, wytłaczane, albo całe były w płótnie. Stały na najniższych półkach, wyciągałam je ostrożnie, żeby mnie nie uderzyły, bo były ciężkie i wielkie. Malowane. Miały namalowane inicjały, wtedy nie wiedziałam jeszcze, że tak się to nazywa. Miniatury, wiesz, na przykład litera „S” przerobiona na czerwonego smoka albo litera „M” na zamek obrośnięty akantem. Wtedy nie wiedziałam. Ale oglądałam te obrazki. No i potem śniły mi się potwory, demony, diabły, czarownice... Bałam się, ale rano znowu je wyciągałam. Pewnie dlatego skończyłam potem etnografię. Z tych dziecięcych fascynacji. No a potem, po tej wizycie Kiszczaka, kiedy ojciec tak się zdenerwował, ojciec sprzedał kilka jakiemuś antykwariuszowi czy może zaniósł do Desy? Nie wiem, nie pamiętam. Było mi żal, że je wynosi. Czułam, że one chcą być razem, że ich nie wolno rozdzielać. Ale on wynosił. Mówił, że tak trzeba, bo Polska się kończy i nie wiadomo, co będzie dalej. Wystarczyło sprzedać kilka, żeby kupić samochód. Potem, w 1989, wynosił więcej. Pakował je do plecaka. Kupił to mieszkanie na Suzina. To, gdzie teraz jesteśmy. No a wreszcie, kiedy okazało się, że go wyrzucą z policji, postanowił, że sprzeda cały księgozbiór, kupi za to kilka mieszkań w różnych częściach Warszawy i będzie żył z wynajmowania.

– Kupił?

– Nie wiem. Przecież nawet to mieszkanie na Wilczej okazało się nie jego.

– Jak to?

– No dwa tygodnie po tym, jak się spalili, jak ich zamordowano, pojechałam, żeby sprawdzić, co tam zastanę. Wcześniej nie umiałam. Nie żeby byłam jakaś otepiała. Raczej dobrze to znosiłam. Ale nie miałam siły się zająć czymkolwiek innym niż pogrzeby. Nawet nie zachorowałam. Nic. Myślałam, że coś może ze mną jest nie tak. Ludzie dziwnie reagują na

śmierć. No ale potem pojechałam. Obudziłam się i pomyślałam, że muszę jechać sprawdzić, czy kwiaty podlać, jeśli jeszcze żyją. Sprawdzić, czy lodówka nie zgniła. Takie tam podstawowe sprawy. Przyjechałam, ale było zapieczętowane.

– Przez policję?

– Nie. Na drzwiach, ale nie na tych do mieszkania, tylko na drzwiach do budynku wisiała kartka, że wszelkich informacji w sprawie nieruchomości udziela kancelaria Łoskowski i Partnerzy. I numer telefonu.

– Stacjonarny? – Oldze momentalnie włączył się tryb śledczy.

– Nie no, komórka.

– Zadzwoiłaś?

– Tak. Od razu. Od razu zadzwoniłam. No i umówił się ze mną w kawiarni.

– Jak to w kawiarni, nie w kancelarii?

– No jakoś nie zwróciłam na to uwagi. Zresztą zapłacił za kawę, a ja przecież rzadko bywam w kawiarniach. Ale to nie była łatwa rozmowa. Okazało się, że jego kancelaria przed kilkoma miesiącami zakupiła nieruchomość od właściciela, żydowskiego profesora. Zdziwiłam się. Ojciec przecież nic nie wspominał, że będzie się musiał wyprowadzić. Mecenas się zasmucił, kiedy mu powiedziałam, że ojciec zginął tragicznie, w pożarze. Powiedział, że wyprowadził się dwa miesiące wcześniej. Zapytał, czy podejrzewam samobójstwo w związku z tą wyprowadzką.

– No i?

Dorota usiłowała sobie to dokładnie przypomnieć.

– Chyba nic nie powiedziałam. Chyba mnie po prostu zatkało. Może płakałam. Może pomyślałam, że to samobójstwo, że się wstydził przyznać, że będzie teraz mieszkał na działkach? Na pewno mu nie powiedziałam, że wiem, że ich zabili. Płakałam. Tak. Pokazał mi akt notarialny. Powiedział, że starają się właśnie o wpis do księgi wieczystej. Zobaczyłam. Sprzedający Uri Hubner. Przypomniałam sobie, że to nazwisko, Hubner, było

w książkach. Ekslibris Józefa Hubnera. Zapytałam o książki. Mecenas powiedział, że ojciec mieszkanie zostawił kompletnie puste.

– Dziwne.

– No. Myślę, że nawet jeśli ojciec sprzedał książki, to obrazu by nie sprzedał przecież. Nie Witkacego, prawda? Był w naszej rodzinie, odkąd pamiętam. A poza tym, gdzie pieniądze? Obrazu nie było w tym domku na działce. Zauważyłabym.

– Nie zostawił żadnych pieniędzy, testamentu, numerów kont?

– Może zostawił. Nie wiem. Może sprzedał książki i miał i konto, i testament. Ale wszystko się przecież spaliło. Prawda? Szukaliśmy przez ZUS, przed urząd podatkowy, nawet do banków napisałam największych, ale nic. Kamień w wodę. Co jeszcze mogłam zrobić? Detektywa wynająć?

– Nie wiem. Dziwne, że... – Telefon Olgi rozdzwonił się nagle. – Muszę odebrać.

Dzwonił Kosiński, że znalazł bezdomnego, ale tamten uciekł.

– Jak to uciekł?

– Pobił mnie. Uciekł. Lepszy był.

Pomyślała, że to przez tę niewygojoną rękę.

– Klamkę miał?

– Nie miał.

– To jak oberwałś?

– No pierdolnął mi po prostu w brzuch.

– No coś ty, przecież to żul jakiś.

– Nie, on się umie bić, ale powiem ci, że byłem z Arturem, moim kolegą, tym z ABW, no on to naprawdę świetnie się bije, świetnie, przecież trenuje. I Artur też oberwał.

– No nie pieprz mi tu, że jeden żul wam dokopał.

– Nie. Artur dostał od jakiegoś gościa w śmiesznej czapce. Od klauna.

– Jak od klauna?

– Normalnie, ma rozbitą twarz i wybite dwa zęby. Potem się okazało, że to nie były jego włosy. No ale ja widziałem. Myślę, że go rozpoznam na zdjęciu.

Olga pomyślała, że Kosiński musiał coś wypić. Albo po prostu był w szoku.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

1960

Właściwie, pomyślał, kiedy człowiek wypije dość wódki, to tak jakby był w szoku: zaczyna widzieć tylko dobre strony życia. Czasami widzi lepsze strony już na samą myśl o tym, że się napije. Dzisiaj tak właśnie myślał. To była ich rocznica. Piętnaście lat od dnia, kiedy popchnął wyrwane z framugi drzwi gdzieś w gruzowiskach na Grzybowskiej i zszedł do piwnicy zatechłej i strasznej. Może nie była to rocznica dokładna, ale warto było zaczekać do soboty, żeby świętować jak należy. Nie, nie obchodzili szabat� jak ortodoksyjni uczniowie chasydów, profesor był przecież racjonalistą świadomym wyzwania nowego świata. Znał Kanta, Hegla, Locke'a i Proppera. Ale nie był fanatykiem. Reprezentował postawę zwątpienia, a stawianie właściwych pytań uważał za bardziej istotne niż przywiązywanie się do utartych odpowiedzi. Z drugiej strony był dumny ze swojego dziedzictwa. Z tego, że stały za nim pokolenia ludzi odważnych i niezłomnych, wiernych zadaniu, jakie postawili przed nimi ojcowie. Że potrafili nieść ciężar własnej tożsamości przez stulecia niechęci i pogardy, ale także pokus przeróżnych mód i benefitów, jakim potrafili się opierać może nie jak skała, bo skały kruszeją pod wpływem wody zamarzającej w szczelinach, ale jak trzcina, która usycha czasem, ale tylko po to, żeby znowu odrosnąć. Tak, nie chciał zapomnieć, że jest Żydem. Nie z powodu Zagłady, to było zbyt proste, ale dlatego, że czuł się spadkobiercą tajemnicy. Strażnikiem sekretu, którego świat nigdy nie pojmie. Miał przy tym problem ze swoją religijnością. Z nieobecnością Boga, który nie słyszał szurania stóp po bruku Umschlagplatz. Ani nie słyszał lamentu matek, kiedy

ich dzieci szły do łaźni. Czy umarłym cuda chcesz pokazać, Panie? Czy umarli wstawszy będą Ciebie czcili? Czy dobroć Twoja w grobach będzie powiadana albo czy pod ziemią prawda wyznawana? Czasami jednak, kiedy studiował stare księgi z biblioteki ojca, zwłaszcza rozważania kabalistów, czuł, że w tej płątanie znaczeń rozpiętych pomiędzy literami i cyframi, delikatnymi jak pajęcza sieć, którą można zniszczyć jednym gestem dłoni, ale która umie przetrwać w mroku i otchłani, istnieje jakaś nieuchwytna, niematerialna potęga i gdyby uniósł wzrok, mógłby jej spojrzeć w oczy.

Nie podnosił oczu.

Czuł się wtedy Żydem bardziej niż socjalistą.

Ale był świadomy, że przeszłe światy należą do przeszłości. Minęły i nie ma dla nich powrotu. Nie ma powrotu dla ludzi, których imiona były nazbyt błahe, żeby komukolwiek chciało się je zapamiętać. Dzisiaj może zaistniałyby przynajmniej w jakiejś księdze meldunkowej, sto lat temu w parafialnej, ale jeśli żyli kilka wieków temu, jedynym śladem, który po nich pozostawał, była pamięć. Wierzący mieli jeszcze nadzieję, że Bóg znał ich imiona.

Nie czytał hymnów Zemirot przed piątkowymi kolacjami, ale lubił, kiedy Hela zapalała świece, wypowiadała nad nimi błogosławieństwo, zakrywała oczy i ogarniała je trzykrotnym ruchem dłoni.

– Daj mi zasługę wychowania dzieci i wnuków mądrych i rozumnych – mówiła – kochających Haszem, bojących się Boga, ludzi prawdy, którzy będą rozświecili świat Torą i dobrymi czynami, i wszelką pracą w służbie dla Stwórcy.

Nie zawsze mógł to usłyszeć. Wracał późno z politechniki. Czasami zbyt późno. Ale zdarzało mu się zakończyć zajęcia wcześniej, zdążyć przed zachodem słońca. Wtedy słuchał. A nawet odmawiał kidusz, co Szymon i Sara przyjmowali z niekłamany zachwytem, bo w ich nastoletnich głowach ten rytuał miał w sobie coś rewolucyjnego, a oni oboje zaczynali właśnie dostrzegać to pęknięcie w świecie dorosłych, które profesor Hubner

sam naprędce, każdego dnia, szpachlował przekonaniem, że rewolucja wymaga ofiar i że bezgraniczny świat proletariuszy wszystkich krajów zjednoczonych w imię postępu i sprawiedliwości społecznej sprawi, że nie będzie już trzeba uciekać się do Boga. Że możliwy jest świat, w którym nie będzie wojen, bomb atomowych, schronów, masek przeciwgazowych, czarnej wołgi, stukania w drzwi o świcie i smutku w oczach tych kolegów z uczelni, którzy wrócili z więzień po tym, jak rząd ogłosił amnestię.

Wracali, ale nie śmiali się już tak jak wcześniej. Nie zatrzymywali się, żeby pogawędzić. Przyciskali swoje papiery do piersi mocno i nieprzejednanie, kiedy szli na zajęcia. Nawet wskaźnik przy tablicy trzymali niczym miecz. Patrzyli na czubki butów częściej niż w niebo.

Współczuł im i o nic nie pytał. Utalentowani ludzie mają obowiązek korzystać ze swojego daru. On miał dar niepytania. Miał dar wątpienia we wszystko, co widzi i czego nie dostrzega. Miał dar wątpienia w milczeniu. Nie miał pewności co do nieistnienia Boga. Ale miał pewność, że rewolucja, przy wszystkich swoich ograniczeniach, prowadzi świat ku wolności. Chciał wolności dla swojego kraju. Uważał, że to byłoby sprawiedliwe. Na razie jednak Niemcy, które przegrały wojnę, dużo lepiej niż Polska potrafiły wygrać pokój.

Mimo wszystko, jeśli zdążył na szabat, odmawiał kidusz, zerkając w oczy Sary, i widział, jak zaczynają płonąć. Miała czarne, nieprzeniknione spojrzenie swojej matki. Tak naprawdę piwne, ale przecież wieczorem, przy świecach – czarne.

Odrywał wzrok od jej oczu, kiedy szeptał fragment Tory, bo wtedy trzeba przecież patrzeć na świece. A potem mówił głośno: „*Jom hasziszi. Wajechulu haszamajim*”⁶. Słowa, których pierwsze litery tworzą imię Boga. Patrzył na kielich. Gdyby można było zobaczyć niewidzialne albo gdyby istniało to, co miał za nieistniejące, zobaczyłby może aniołów, którzy wypowiadają nad nim samym słowa błogosławieństwa.

Tak uczyła go babka.

Patrzysz na kielich, a anioły czynią nad tobą gest błogosławieństwa. Nie wierzył w anioły. Gdyby istniały, nie pozwoliłyby ludziom zdychać z głodu w bydłych wagonach.

Nie wierzył w anioły, ale uważał, że trzeba pamiętać o słowach błogosławieństwa.

– Błogosławiony jesteś Ty, Haszem, Bóg nasz, Król świata, który uświęcił nas swoimi przykazaniami, a Twój święty szabat w miłości i w łasce dałeś nam.

Łamał chałkę, posypywał solą i próbował przeniknąć wzrokiem mrok salonu. Czasami wydawało mu się, że w cieniach biblioteki widzi ojca, jak siada w swoim wyściełanym fotelu, na którym czytywał księgę pełną imion Boga. Dałby sobie rękę uciąć, że widział, jak fotel ugina się pod ciężarem ciała.

Ale kiedy podchodził bliżej, nie było tam przecież nikogo.

No ale teraz był dzień. Szabat. Sobota. Dzień, w którym należy powstrzymać się od pracy i świętować razem z rodziną. Nie był pobożnym Żydem, ale pamiętał o tym, żeby nie chodzić w sobotę do fryzjera i nie strzepywać włosów z ubrań. A włosy pojawiały się na ramionach jego marynarki coraz częściej. Nie wiązał też butów. Wsuwał sznurówki do środka i kiedy szedł, czuł sznurki pod palcami stóp. Był świadomy, że nie powinno się podróżować ani nawet daleko chodzić w szabas, ale przecież dzisiaj była ich rocznica. Zresztą co to znaczy daleko? Czy miał liczyć kroki jak chasydzi? Nie powinno się też palić, więc nie palił, ale uważał, że wolno dotykać palcami cybucha schowanego w kieszeni pałta. Przecież kiedy był pusty, nie palił się w nim żaden ogień.

Czasami dotykanie wystarcza ludziom za całą miłość.

Jedną ręką dotykał cybucha, a drugą trzymał Helę za rękę. Wstydziała się. Czuł to. Za chwilę puści ją, pozwoli, żeby go ujęła pod ramię. Ale dopóki nie przeszli przez skrzyżowanie z Alejami, trzymał. Miała chłodną dłoń. Jesień szła w tym roku jakby wcześniej niż zwykle.

A oni szli na wódkę do Grubej Kaśki. Kiedy był dzieckiem, nie było Grubej Kaśki, ale zwyczajnie stała tam, na Tłomackiem, synagoga.

Pobożny Żyd powinien iść do synagogi. I szabat powinien świętować w domu, ale świat się zmienił i porządny Żyd w świecie proletariuszy mógł spokojnie iść na porządną kosztowną białą polską wódkę. Czerwona etykieta. Czterdzieści osiem złotych za pół litra. Człowiek, który idzie na wódkę, widzi dobre strony życia już na samą myśl o tym, że się napije. Uśmiechnął się do tej myśli. Do tego, jak im się dobrze żyło. Jak im dobrze było razem. W jakim pięknym miejscu na ziemi mieszkali.

Warszawa wydawała się Hubnerowi najpiękniejszym miastem świata. Śnieżnobiałe ściany Pałacu Kultury i Nauki lśniły po deszczu jak żywe srebro, wygrywając pośród naburmuszonych, jakby spuchniętych od bezbrzeżnego smutku chmur, melodię hardą i beztroską. Może nawet głupią. Tak głupią jak pierwsza miłość.

Myślał o tym, że Hela jest jego pierwszą miłością. Jedyłą. A przecież nie każdy ma takie szczęście, żeby kochać raz a dobrze. Zdarza się to przecież niezwykle rzadko. Jakby to przełożyć na kosmiczną skalę – rzadko jak życie w niezmierzonej, mrocznej, zimnej i obcej pustce wszechświata. Być może właśnie samotność jedynej żywej planety w bezmiarze innych, martwych i suchych jest najlepszym dowodem na istnienie Boga.

– O czym myślisz? – Delikatnie ścisnęła jego ramię.

– Zapaliłbym fajkę. – Uśmiechnął się.

– A naprawdę?

– Naprawdę myślę, że prawdopodobieństwo spełnienia w miłości za pierwszym razem jest równe zero.

– Nie jest ci ze mną dobrze? – Wyczuł, że zapytała szczerze. Zaniepokoiła się.

– Ależ jest. Po prostu trudno mi w to uwierzyć. Więc sprawdzam.

Podskoczyła lekko. Tak jak dziecko, kiedy wie, że do lodziarni zostało kilka metrów.

Mogliby pojechać tramwajem, ale dobrze im się szło Marszałkowską, parasol złożony, ale w pogotowiu, deptając kałuże jak dzieci i ciesząc się tym dniem. Tęczę. Dobrze mieć taką pewność, że się wybrało w życiu tak, jak należy. Najlepiej.

On wybrał najlepiej.

Ile się zmieniło przez ten czas, kiedy byli razem? Dzieci urosły, a wuj postarzał się strasznie i już nie wychodził z domu. Ale miał szczęśliwy czas. Miał bibliotekę z mnóstwem książek. Odkrył w sobie tę dziwną namiętność poznawania światów, które nie mają miejsca. Światów zbudowanych z liter. Czytał namiętnie, choć wzrok gasł mu właściwie z każdym dniem.

Sara już nie tańczyła. Chciała być odkrywczynią dalekich kultur i marzyła o wyprawie do Afryki. Dziewczyna miała jasne włosy po swoim dziadku, którego nie poznała. Słomiane włosy słowiańskich dziewcząt i gdyby nie te ciemne oczy, nawet w najgorszych czasach mogłaby zostać po aryjskiej stronie. Na szczęście czasy, kiedy trzeba udawać kogoś innego, minęły bezpowrotnie i nieodwołalnie.

Szymon miał urodę po matce Heli. Nie wróciła z wojny. Ani ona, ani żaden list. Nic. Tylko pamięć i echo jej urody w tym chłopcu. Długi, wąski, niemal orli nos i kręcone włosy. No i wzrost. Szybko urósł. Kiedy szli razem, kobiety oglądały się za Szymonem na ulicy, ale on jeszcze nie zwracał na to uwagi, i profesor uśmiechał się w duchu, myśląc o tym dniu, kiedy to się wreszcie stanie. Kiedy jego syn zrozumie, że największą namiętnością człowieka, jedyną siłą, która naprawdę potrafi odmienić bieg życia, zrywać mosty, stawiać ściany drapaczy chmur, obalać rządy, zmieniać bieg rzek i kazać górom się kłaniać, jest miłość.

Młody Hubner odziedziczył po ojcu umysł skłonny do zadawania pytań. Dlaczego nie wolno wyjeżdżać zagranicę? Albo dlaczego tak mało jest w Warszawie samochodów? Jak to się dzieje, że jedni mają prawo je posiadać, a inni nie mają? Czasami nie wystarczało mu proste rozróżnienie na być i mieć. Czytał mnóstwo, bo odkąd Gomułka objął władzę,

ukazywały się w Polsce książki do tej pory praktycznie zakazane. Czytał więcej, niż powinien to robić czternastolatek, i chodził do kina na wszystko, co tylko możliwe. Na *Pociąg*, *Lotną* i na *Bazę ludzi umarłych*.

Profesor rozumiał jego dylematy. Sam przynosił do domu wątpliwości. Kiedy wyszła na wolność kobieta skazana na trzy lata więzienia za posiadanie i przechowywanie paryskiej „Kultury”. Odsiedziała wyrok jedenastu miesięcy więzienia, zanim uwolnił ją Sąd Najwyższy. Już nie byliśmy „najweselszym barakiem w obozie ludowej demokracji”.

Albo kiedy znajomy profesora, Antoni Słonimski, został przez ministra kultury zmuszony do ustąpienia z fotela prezesa Związku Literatów Polskich na rzecz uległego wobec partii Jarosława Iwaszkiewicza. A teraz w dodatku pojawiły się podejrzenia, że środowisko Klubu Krzywego Koła jest inwigilowane przez służby. Profesor bywał na czwartkowych spotkaniach i miał wśród bywalców kilkoro znajomych – Brauna, Urbana, Bartoszewskiego, Kołakowskiego, Munka, Jasienicę, Moczarskiego czy Lewicką. Młodemu Hubnerowi imponowały znajomości ojca, ale profesor miał nadzieję, że za rok, dwa, święte prawa młodości wybiją synowi ze łba wszelkie dziwne pytania.

– Jesteś bardzo zamyślony – powiedziała Hela – niczego nie chcesz mi powiedzieć?

– Oj powiem ci, powiem wszystko, co wiem. – Odegnął myśli o przyszłości syna. – Pytaj.

– No chciałabym wiedzieć, o czym myślisz.

– Myślę o tym, jak nieprawdopodobnym cudem jest ludzkie istnienie na tej planecie oddalonej od granic wszechświata, w gruncie rzeczy bardzo samotnej i kruchej, o tym, jak rzadkim cudem jest miłość.

TERAZ

– Sama pomyśl, jak rzadkim cudem jest miłość. – Szymon był w refleksyjnym nastroju. Podobało jej się, że użył słowa „miłość”. To dobre słowo. Wyświechtane, niemodne i nienowoczesne. Jak stare dresowe spodnie, które powinnaś wyrzucić, ale masz je zawsze pod ręką, bo są już rozciągnięte tak, że nie będą cię nigdzie uciskać. Nawet jeśli za dużo zjesz. Nawet jeśli sama wypijesz butelkę wina. Poczwała się dobrze z myślą, że słowo, o którym całkiem już zapomniała, wróciło do jej życia, nawet jeśli tylko żartem. Albo przypadkiem. Ucieszyła się, kiedy zadzwonił, choć to był koszmary dzień i chciała wreszcie zasnąć.

– Nie wiem – powiedziała – nie wiem, jak to jest z miłością. Nie znam się. Zapomniałam już. Kiedyś wierzyłam nawet, że istnienie świata zależy od kogoś, kogo się kocha. Okazało się nawet, że to prawda. Świat trwa tylko do momentu, kiedy istnieje miłość.

– A potem co?

– Potem pracujesz z trupami. Nie potrafisz kochać, ale i nie kłamiesz, rozumiesz? A ty nie dzwonisz, nie przyjeżdżasz, nie odzywasz się i nie rozumiesz, dlaczego mam cię słuchać o dwudziestej trzeciej po bardzo, bardzo trudnym dniu w fabryce. Muszę zasnąć już, wiesz? Naprawdę.

– Jasna choleha – westchnął – znowu się spóźniłem z tym telefonem? No wcześniej nie dzwoniłem. Miałem trudny dzień w phacy. Ledwo zdążyłem ze wszystkim, usiadłem w ciepłym i od razu zasnąłem.

Uwielbiała sposób, w jaki nie wymawiał „r”.

Milczał. Przestraszyła się, że się wyłączył.

– Halo – powiedziała – nie obrażaj się. Po prostu pomyślałam o Ance. Wiesz? O tym, że mój świat trwał, dopóki istniała.

– Hozumiem. – Zamilkł.

– Czemu milczysz?

– A co powiedzieć, kiedy umieha dziecko?

– Kiedyś, wtedy jak już byłam sama, jak już wróciłam do pracy, ale ciągle nie wiedziałam, czy żyć, chodziłam na spotkania z ojcem, zakonikiem, który pracuje w hospicjum. Wkurzały mnie te kościelne rytuały, te pomysły, żeby odwiedzać święte miejsca, żeby klękać przed jakimś świętym obrazem, te ich specjalne modlitwy. Ale ten był z hospicjum, pomyślałam, że więcej rozumie. Opowiedział mi taką historię, że u niego w kościele był też taki jeden obraz. Ikona z czasów, kiedy cuda zdarzały się na porządku dziennym. Kolejka była do tej modlitwy okrutna. Zaczepiła go babcia. Powiedziała, że jej syn ma córkę. Że się o nią starali z żoną przez długie lata. Dziewczynka ma dziewiętnaście miesięcy i jedzie na kolejną chemię. I że nie ma czasu, czy mógłby odprawić bez zwłoki. I tak uczynił. Po paru tygodniach przyszedł list. Od tej babci. Dziękowała mu. A potem był dopisek, że modlitwa nic nie pomogła. Powiedział mi, że ludzie często pytają: „Dlaczego ja?”. Albo: „Dlaczego moje dziecko?”. Są różne odpowiedzi. Słowa wytrychy, których księża uczą się od stuleci, kiedy nie wiedzą, co powiedzieć. Że Bóg tak chciał. Albo że nie znamy boskich zamierzeń. Albo że co się miała ta dusza nauczyć, już poznała. A potem mi powiedział, że on nie wie dlaczego, że nie zna boskiego planu. Ale lepiej, że dziewczynka była na tym świecie dziewiętnaście miesięcy, niż żeby miała nie być kochana nigdy. I ja też tak myślę o sobie. Nawet jeśli sama jestem już martwa. Że miałam miłość. I że to jednak lepiej, wiesz? Nawet jeśli na wszystko już za późno.

Milczał.

– Czemu milczysz? Powiedziałam coś nie tak? Obraziłeś się?

– Nie obhażam się – westchnął – sphawdzam pociągi.

– Jakie pociągi?

– No do domu. Późno już. Czasami tak się zdarza, że przegapiasz odpowiedni moment i przyjeżdżasz gdzieś za późno. No i wtedy musisz whacać. To nie piehwszy haz. Ale nie masz tehaz czasu, więc opowiem ci tę histozię kiedy indziej.

– Nie, no mów. – Przestraszyła się, że się rozłączy, a przecież nie rozmawiali już od tyłu dni. – Jeśli już zacząłeś, mów.

– Zakochałem się kiedyś w dziewczynie. Jasne włosy, wysoka, niebieskooka, no marzenie. Sam nie pothafiłem uwierzyć, że ludzka istota może być taka piękna. Pisaliśmy do siebie. A czasami spotykaliśmy się w tych miasteczkach przy thasie z Whoćławia do Świnoujścia. Bo ona ze Świnoujścia była. Wyjeżdżała na weekendy pod phetekstem studiów podyplomowych w Zielonej Górze. A ja przekładałem dyżuhy w hobocie, zamieniałem się z kolegami, bhałem zwolnienia lekahskie na zapalenie okostnej, no wszystko hobiłem, żeby się uhwać z Whoćławia. Miała męża. Ja też kogoś wtedy miałem...

Zamilkł.

Cholera, pierwszy raz się przed nią otwierał, pozwolił, żeby zajrzała pod kurtynę, za którą poupychał swoje smutki, a teraz się znowu zatrzaśnie. Zamknie. Zniknie.

– Mam mówić? – zapytał jednak.

– Mów. – Chciała wiedzieć. Nawet jeśli miało ją to zaboć.

– No byłem gotowy rzucić wszystko. Sprzedać książki i płyty, zmienić hobotę, zamieszkać gdziekolwiek. Na tych ich czterdziestu cztereh wyspach.

– Na czym?

– Świnoujście. Miasto na czterdziestu cztereh wyspach, nie słyszałaś o tym?

– Nie.

– Mają tam mnóstwo wysp, nie na morzu, ale na zalewie. Spodobałoby ci się. Mi się spodobało. Mieliśmy lato miłości. Ten jej mąż, mahynarz, wypłynął gdzieś do Ihaku czy do Kuwejt, nie wiem. Przecież i tak byli w thackie hozwodu. On ciągle znikał. Taki los żołnierza NATO... No więc było nam dobrze. Pływaliśmy kajakiem pomiędzy wyspami zahośniętymi trzcina, jeździliśmy na howehach po niemieckiej sthonie wyspy. Szwendaliśmy się po kazamatach jakichś twiehdz. Nie uwierzyłabyś, jak tam jest pięknie. Tydzień wielkiego słońca... Whóciłem do Whocłwia, żeby pozamykać sphawy. Hozstałem się ze swoją ówczesną dziewczyną, pophosiłem o przeniesienie. Myślałem, że mogę zacząć w patholowej, w dhogówce, wszystko jedno. W końcu wziąłem uhlop i znowu pojechałem do Świnoujścia. Spotkaliśmy się na takim skwerze koło muzeum. To blisko przystani phomów, bo tam phomem do miasta płyniesz, nie mają mostu. Miałem motoh i tyle rzeczy, ile się zmieściło w plecaku. Była jakaś smutna. Ale nigdy nie była taka piękna jak wtedy. Siehpień, wieczóh, kolohy jak w bajce. Jakiś statek zakhęca na rzece. Słyszysz, jak wydaje ten niski odgłos, tę syhenę, słyszysz mewy, jazgot miasta, bo to przecież jeszcze wakacje. Ona ma khótkie spodenki. Długie opalone uda. Siedzi na ławce. Patrzy mi w oczy. Mówię jakieś głupie słowa o tym, że się przephowadzam, że nam się uda wszystko, że to pewnie jest miłość. A ona mówi: „To jest Mihek, mój nowy chłopak”. A on podchodzi, siada obok niej, obejmuje i uśmiecha się do mnie. Spiehdałaj, dziadu. No i ja biohę plecak i idę do motocykla. Więc już wcześniej tak było, przeżyję.

– Ale co wcześniej było – nie zrozumiała.

– Jak to co?

– No dlaczego mi to opowiadasz?

– Bo chciałem ci powiedzieć, żebyś się nie mahtwiła, że whacam. To nie piehwszy haz. Przeżyję.

– Ale czym nie martwiła?

– Że whacam.

– Skąd wracasz? – zaczynała się irytować. Była zmęczona. Musiała zasnąć. Ale nie chciała przerwać, nie chciała się rozłączać.

– Z Wahszawy.

– Jak to?!

– Przyjechałem, ale mi mówisz, że za późno. – Słyszała, że mu się zmienił ton, że się w głębi serca z niej śmieje. – Hozumiem. Mam nocny eksphes, już stoję przy kasie.

– Wariat jesteś! Weź taksówkę, proszę. To lepiej, niż miałabym po ciebie jechać. Nie mogę po ciebie pojechać. Wypiłam trochę, no i w łóżku już jestem – zaczęła mówić coraz szybciej i coraz bardziej chaotycznie, bo nie chciała, żeby zniknął, żeby wyjechał, żeby przestał dla niej istnieć. Przestraszyła się, że nie da rady już dłużej rozmawiać i zemdleje ze zmęczenia. A z drugiej strony bała się, co będzie, jeśli on jednak przyjedzie. Co będzie między nimi? Czy wciąż będą się lubić, chcieć, czy się nie rozczarują sobą? Nie była pewna, czy mówi to wszystko tylko w swojej głowie, czy może mówi to na głos. Boże, na głos mówi, jaki wstyd...

– Tak – przerwał jej.

– Co tak?

– Przyjadę. Już nie musisz nic mówić.

Podawała mu kod do domofonu.

– Pamiętam.

– Drzwi będą otwarte. W pokoju Anki jest twoje łóżko. Bo ja może nie dam rady. Zasnę. To był koszmary dzień.

Zamarła, kiedy usłyszała, jak wchodzi. Siedziała na łóżku oparta o ścianę i okryta kołdrą tak, że wystawała jej tylko głowa. Miała zamknięte oczy, których nie otworzyła nawet na moment. Słyszała, jak ściąga buty, i zapach skarpetek dotarł do niej, zanim wszedł do pokoju. Wszedł na palcach. Był w kurtce i dziwnej, grubej czapce. Nieogolony.

Otworzyła oczy.

– Nie śpisz?

– Chcę gorącego mleka. Dasz radę?

– Co?

– Nie przypalić i żeby nie było kozucha? – mówiła cicho, bo kiedy mówisz cicho, nie płoszą się cienie.

Pokiwał głową.

Potem opowiedziała mu o tym, jak pojechali z Kosińskim do Zakładu Transportu Miejskiego, żeby sprawdzić, czy mają tam monitoringi w autobusach. I że z ręką Kosińskiego źle, bo mu się rana rozbabrała na nowo, ale że się zaciął, że niewiele mówi, ale ona widzi, jak to przeżywa. I że ma poczucie winy wobec Artura. Artur taki z agencji, z abwery, no jakiś Kosińskiego przyjaciel. Przystojny jak nie wiadomo co, a teraz oberwał strasznie.

Siorbnęła mleka.

Było bez kozucha.

– Zęby mu wstawiają, jak się ta pokancerowana twarz zagoi. No i że oni mieli ten monitoring, wyobraź sobie, że nie tylko metro, ale i autobusy, i niektóre przystanki, i niektóre tramwaje. I mogą w centrali ruchu obserwować na żywo. A te nagrania z autobusów trzymają po trzydzieści dni. I oglądaliśmy to. Te nagrania ze 158. No i bezdomny usiadł tak, że go słabo widać. Ale Kosiński po ubraniu poznał, że to musi być on. I widać tego drugiego. No bo ten drugi, ten co wpieprzył temu agentowi, to idzie przez cały autobus i go widać. Nie jest to jakaś rewelacja, bo to taka kamera z szerokim kątem, bardzo ona ten obraz zniekształca, ale to zawsze lepiej niż rysopis. Bo ten Artur, ten agent, to nie za bardzo przydatny, bo wtedy ten facet był w masce, ten, co go pobił.

Zachciało jej się nagle płakać. To chyba ze zmęczenia. No przecież nie z powodu mleka, co nie? No weź, nie śmiej się, bo ja zaraz stracę przytomność, naprawdę. No więc mamy to zdjęcie i koledzy z abwery

sprawdzą, co to za koleś. No a jutro z Kosińskim jedziemy do franciszkanów, oni zupełnie dają bezdomnym na Miodowej. I tam może trafimy na tego gościa, tego bezdomnego. To dziwna sprawa jest, mówię ci, a ja teraz właściwie to mam jeszcze tę sprawę z Anką. No mówiłam ci. Nie mówiłam?

Piła mleko. Nie miała siły już nawet podnieść powiek.

A wiesz, że miłość nie jest na zawsze? Wiesz? I że na końcu zostaje tylko smutek? Czytałam, że serce to tylko mięsień i że jest pusty w środku. I że nawet nie może boleć. Mówisz, że cię boli serce, ale to nieprawda. Serce nie boli. I nie myśli, i nie kocha. Serce tylko pompuje krew. A wiesz, że jakby z człowieka wyjąć te wszystkie żyły, tętnice i te nawet najmniejsze naczynia włosowate, i rozpiąć je w jedną nić, to miałyby łącznie jakieś sto tysięcy kilometrów długości? To znaczy... że sięgnęłyby prawie do księżyca. No nie, nie wiem... czy by sięgnęły. Nie wiem, jak daleko jest księżyc...

Nagle poczuła się dziwnie spokojna. Jak wzrok babci ze ślubnej fotografii, chociaż dziewczyna z domu pod lasem miała osiemnaście lat. Upuściła kubek, a resztkę mleka rozlała się na kołdrę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

1963

– Mleko się rozlało i już się tego, kurwa, nie naprawi. – Jaroszewicz nalał im po szklaneczce koniaku z Armenii. – Pij, Ignacy, bo lepszego trunku w życiu nie spróbujesz, Stalin wysyłał taki skrzynkami Churchillowi po Jałcie. Niektórzy żartują sobie, że bez tego koniaku nie byłoby na świecie pokoju, a Świnoujście byłoby dalej w NRD.

– Granice z Niemcami niepewne – zauważył Hubner – a pokoju jak nie było, tak nie ma.

– No jak nie ma? Jak nie ma? U nas nie strzelają – uśmiechnął się Jaroszewicz – chyba że tylko w kinie. Takie mamy czasy i za to pijemy. Oby nie wróciły te gorsze.

Ostatnie czasy były dla wiceprezesa Rady Ministrów Piotra Jaroszewicza znacznie lepsze niż cały ten powojenny okres za Bieruta, bo wtedy siedział w odstawce na boczniczy dla towarzyszy o nie dość prorosyjskim nastawieniu. Teraz odkuś się, przytył, miał wielki gabinet, jak przystało na wiceprzewodniczącego Rady Ministrów, jednego z pięciu zastępców towarzysza Cyrankiewicza. Miał też znacznie mniej czasu dla dawnych znajomych, ale cenił te dwa, trzy dni w roku, kiedy spotykali się z Hubnerem na wódkę i na wspominki z czasów wojny. Dobrze jest mówić prawdę na głos i bez lęku, nawet jeśli jesteś członkiem kierownictwa.

Poopowiadali sobie o dzieciach. Hubner o tym, że Szymon hardy się staje, ale córka dobrze. Chciałaby być baletnicą. Jaroszewicz o tym, że jego syn, Andrzej, toczy z Alicją nieustanne wojny. Nie potrafi zaakceptować

macochy, chce uciekać z domu i jest z nim, kurwa, siedem światów.

Hubner nie znał dobrze Alicji, ale pamiętał ją jeszcze z czterdziestego czwartego. Miała wtedy osiemnaście lat i dwa dni wcześniej przepłynęła Wisłę wpraw, żeby złożyć w sztabie Ludowego Wojska Polskiego meldunek o powstaniu w Warszawie. Jak przepłynęła, dostała mundur, żeby się przebrać. No i od razu awans na porucznika. I tak ją zobaczyli. Młodą, piękną, pewną siebie.

Sztab podjął decyzję, że wojsko spróbuje zdobyć przyczółek na Czerniakowie. No i tamtej nocy Jaroszewicz powiedział Hubnerowi, że się zakochał.

No ale miał żonę. Po wojnie ona wyszła za Solskiego. Ale rozwiodła się, kiedy Oksana Jaroszewiczowa zmarła. Andrzej uważał, że rozwiodła się, żeby wyjść za wiceprzewodniczącego, bo to dla dziennikarki była gwarancja błyskotliwej kariery.

– Czasami chuj mnie strzela, jak mam iść do domu i słuchać, jak na siebie warczą. Już wolę słuchać, jak na siebie kablują ci od Alstera i ci od Moczara. Czasami mi się zdaje, że najlepsze czasy to mieliśmy, kiedyśmy szli na Berlin. Strzelali, ale czasy były dobre.

– Nie wybiera się swojego czasu. I żaden czas nie dostosuje się do człowieka. To człowiek musi się dostosować – Hubner wpadł w jakiś filozoficzny ton – w przeciwnym przypadku zginie.

– Czekaj, czekaj, znam ten cytat, tylko nie pamiętam – Jaroszewicz podniósł palec do góry, ale nie. Nie przypomniał sobie.

– Andrzejewski – uśmiechnął się Hubner. – *Popiół i diament*.

– A, no pewnie, no pewnie! – Minister wstał i podszedł do półek z ciężkiego, dębowego drewna. Otworzył przeszkłone drzwi i zaczął szukać właściwej książki, przeciągając palcem po grzbietach.

– Wiesz, że było polityczne zapotrzebowanie na tę książkę. – Wyciągnął egzemplarz i uniósł tryumfalnie w górę. – Mam, mam! Berman wezwał Andrzejewskiego do siebie, chyba to nawet do tego gabinetu, i powiedział

mu, że Polsce grozi wojna domowa i potrzeba, żeby pisarze wyjaśnili narodowi, że tak nie może być. Andrzejewski nie rozumiał albo udawał, że nie rozumie, ale bał się, bo się Bermana bali wtedy wszyscy. Więc milczał. A Berman na strachu znał się jak nikt. Wiedział, że jak pisarza postraszyć, to milczy, ale żeby mówić, trzeba go kupić. No i kupił Andrzejewskiego.

– Za pieniądze? – zdziwił się Hubner. – Jerzy by na to nie poszedł.

– Przecież że nie za pieniądze – prychnął Jaroszewicz. – Nie pieniądze, ale pycha jest słabością artystów. – Odłożył książkę na półkę i zatrzasnął drzwi biblioteki. – Zaczął kadzić mu, że pisarz tej miary co Andrzejewski mógłby, jeśliby zechciał, zmienić losy kraju. Oszczędzić rozlewu krwi. Może nawet całkiem zatrzymać przemoc. Bo przemoc, przelewanie krwi bratniej, nie jest Polsce Ludowej do niczego potrzebna. Potrzebna jest zgoda narodowa, spokój. Ale jak to, pytał Andrzejewski, czy literatura może jeszcze mieć taką siłę? A Berman na to, że pisarze tej miary co Żeromski i Sienkiewicz nie mogą mieć wątpliwości. Że talent zobowiązuje. Niech więc Andrzejewski pisze, niech pisze, że przemoc sensu już nie ma, że się historia, nie Wisła, kijem nie da zawrócić, ale niech pisze tak, żeby na końcu ci... reakcyoniści byli jednak, no... nie można odmawiać im jakiego rodzaju bohaterstwa.

Jaroszewicz przerwał, a Hubner czekał na puentę.

– W końcu, kiedy Andrzejewski się jeszcze wahał, Berman powiedział, że jeśli dobrze się sprawi, to wydadzą tego więcej niż Sienkiewicza. Że partia się zajmie tym, żeby każdy tę lekturę miał przeczytaną. A jak przyjdzie pora, to jeszcze i film o tym nakręcą. No, nie wtedy, bo wtedy to można było nakręcić w Polsce tylko kronikę filmową, ale wiadomo, że kiedyś nakręcą. Zdrowie pisarzy. – Podniósł szklaneczkę.

– I filmowców.

– Uch, jakie dobre. – Jaroszewicz skrzywił się teatralnie. – No ale mleko się rozlało i mamy koniec przyjaźni partii z filmowcami. Już się tego nie da zatrzymać.

– Ale opowiesz mi, czy mam zgadywać? – Hubner nie wiedział, co się stało.

– No stało się to, że niektórzy naoglądali się „zgniłych burżuazyjnych opowieści o ludziach, którym się z nudy w dupach przewraca”, i ten żydek, przepraszam cię serdecznie, wiesz, że nie miałem na myśli nic złego. – Jaroszewicz rozłożył ręce w geście, który miał podkreślić szczerłość. – No naprawdę mi przykro.

– Proszę cię, wyrzucaliśmy razem trupy z pociągu, ty akurat możesz mi mówić, co i jak chcesz. – Hubner zawstydził się z powodu tych przeprosin. – Czy ja nie mam uszu, no powiedz? Czy ja nie słyszę tych dowcipów? Czy ja nie wiem, co ten twój przyjaciel Moczar wygaduje na korytarzach?

– To nie jest mój przyjaciel – zaperzył się Jaroszewicz – i zapewniam cię, nie wiesz, co on wygaduje, i lepiej, żebyś nie wiedział.

– Ja głuchy nie jestem. Słyszę, że Żydzi chcieliby świata bez granic narodowych, wspólnoty europejskich państw, zjednoczenia światowego proletariatu, co w jakimś sensie, nie będę krył, uważam, że nie byłoby przecież złe. No ale teraz w Polsce modny jest nasz osobisty socjalizm, polski.

– Ja nie o tym mówię, tylko mówię o tych żartach, o tych humorach, jakie on powiada.

– Ale o filmowcach mówiliśmy. – Żydowskie tematy nie były Hubnerowi w smak. – Musisz mnie męczyć tym Moczarem? Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że zapadła decyzja, żeby nie robić filmu z tej jego książki o partyzantach?

– Nakręcą, nakręcą. Passendorfer już kręci. Z tym młodym Mikulskim. Wszystkie kobiety się w nim teraz kochają.

– Mikulski w roli Moczara, Cybulski by nie był lepszy?

– He, he, he – Jaroszewicz się zaśmiał.

Podszedł do stolika i podniósł w górę butelkę Araratu. Poruszył nią. Bursztynowy płyn zachlupotał w środku. Przez chwilę jakby się nad czymś

zastanawiał, a potem podszedł do profesora, mrugnął i nalał mu pół szklanki.

– Powiem ci, że Passendorfer zostanie, ale ten młody kurdupel Polański to już długo miejsca w kraju nie zagrzeje.

Hubner lubił *Nóż w wodzie*. Film wydał mu się świeżym powiewem w zatechłym, obciążonym nachalnym dydaktyzmem albo bezbrzeżnym smutkiem polskim kinie. Bohater otwiera okno, zapala papierosa, patrzy w dal. Okrutna głębia. U Polańskiego było zupełnie inaczej. Normalniej.

– Co ten Polański przeskrobał?

– Nakręcił film, jak się zabawiają na jachcie dziennikarz ze studentem i luksusową kobietą.

– No to wiem, widziałem.

– A towarzysz Gomułka nie widział, a jak zobaczył, to się wściekł. „Co to ma być? – krzyczał, w kraju sytuacja trudna, przemysł trzeba budować, a tu sobie papierosy palą, kawę piją!”. Bo Pierwszy Sekretarz pije tylko zbożową. A w sprawach prywatnych chodzi pieszo. A oni co? Samochody, jachty, koszule, garnitury. A przecież on sam miał przez pół życia tylko dwie koszule i wystarczało. W końcu wziął i rzucił popielniczką w ekran. Nie obejrzał do końca. Jak to się mówi po robociarsku, się wkurwił. Nie mógł zrozumieć, że ludzie na to do kina chodzą. A jak mu jeszcze Bossak, wiesz, pamiętasz...

– Ten kamerzysta, co z nami do Berlina jechał, żeby kręcić zwycięską armię i zdobycie Berlina? Ten co został profesorem?

– Dziekanem w szkole filmowej. I on zaczął Polańskiego tłumaczyć. Ależ towarzyszu, mówi, reżyser chciał tu poddać pod dyskusję te burżuazyjne...

– Ale skąd się wziął ten Bossak?

– Gomułka go zawezwał, żeby mu wyjaśnił, o co chodzi w tym filmie. Bo towarzysz Wiesław lubi filmy wojenne, lubi też współczesne kino zaangażowane w sprawy społeczne. Wajdę lubi. *Popiół i diament*, wiesz,

lubi *Bazę ludzi umarłych*. A z nowszych filmów to *Krzyżaków* i *Zezowate szczęście*. No a takiego filmu, gdzie pierdolą i pierdolą, to nie rozumiał. I Bossak mu powiedział, że Polański sam chciał w tym filmie zagrać, że przyszedł, rozebrał się do gołego i pytał Bossaka, czy jest dość przystojny.

– No i co Bossak na to?

– Że mu powiedział: przystojny to jesteś, ale jeszcze bardziej głupi. A Gomułka na to, że: o to, to, głupi, a dla głupich artystów w ojczyźnie chleba nie ma. Niech wypierdala do Hollywoodu. W dodatku wydało się, że na początku to ten dziennikarz miał mercedesem jeździć, a nie peugeotem, ale scenariusz zmienili. Bo wiesz, kto w tym kraju może mercedesem jeździć?

– Partia i ambasady.

– I tego peugeota rozbili. Spili się i rozbili. Spili się, bo Munk umarł, akurat jak oni to kręcili, i w dodatku Polańskiego żona opuściła. A tam wszyscy Munka znali przecież. No i się po pijanemu rozbili tym samochodem, co był do filmu. Polański dwa tygodnie w szpitalu leżał. Ale tego towarzysz Wiesław nie wie, bo by ich jeszcze kazał pozamykać.

– Zdrowie młodych – uśmiechnął się Hubner – myśmy też przecież młodzi byli.

– Zdrowie... ale powiem ci, ta sprawa się dobrze nie skończy. Plenum się zbliża. Będzie z tego awantura.

Minął miesiąc. W czasie Plenum Komitetu Centralnego PZPR Pierwszy Sekretarz przemówił, bezlitośnie piętnując młodą sztukę. Powiedział, że tacy artyści jak Polański tworzą tylko pozory głębi psychologicznej i filozoficznej, że ich „dzieła” są płytkie intelektualnie i poznawczo, wątpliwe lub wręcz osobliwe pod względem ideowo-wychowawczym, oderwane od konkretów społecznej rzeczywistości Polski budującej socjalizm, że sieją pesymizm w traktowaniu losu człowieka, a cała ta gadanina o walce pokoleń ma wsteczny charakter i trzeba położyć jej kres, bo mogłaby wnieść zamęt w umysły młodzieży. A zadaniem kultury jest

przecież upowszechnianie marksistowsko-leninowskiej ideologii i socjalistycznych zasad etyczno-moralnych i formowanie nowego, socjalistycznego oblicza kultury narodowej.

Jaroszewicz, choć wtedy nikt o tym jeszcze nie myślał, zrozumiał, że oto właśnie skończył się czas odwilży i Gomułka zacznie dokręcać Polakom śrubę. Najpierw oczywiście artystom. Ale przyjdzie czas na innych. Że pozwoli Moczarowi bezkarnie kęsać Żydów. Że odsunie powoli wszystkich nie dość wyrazistych działaczy partii i oprze się na narodowcach.

Profesor Bossak nie rozumiał z tego nic a nic. Zareagował ostro, twierdząc, że pan przewodniczący Rady Ministrów nie jest przecież ani filmowcem, ani artystą, ani nawet nie jest widzem, bo do kina nie chodzi, więc się na filmie nie zna.

Bronił Polańskiego i nie rozumiał do ostatniej chwili, że podpisuje na niego wyrok banicji. Gomułka nie owijał w bawełnę. Stało się jasne, że Polański powinien się z Polski ewakuować. I tak zrobił. Jego film nominowano do amerykańskiej nagrody Oscara, co Gomułkę rozsierdziło do ostateczności.

Na szczęście Amerykanie przyznali tę nagrodę pewnemu Włochowi, Felliniemu.

Hubnerom już nie żyło się w Polsce Ludowej tak dobrze jak do tej pory. Płace już nie rosły. W sklepach towarów było coraz mniej i kosztowały coraz więcej. Listów za granicę nie wolno już było wysyłać nawet naukowcom.

Hubner odbył kilkukrotnie spotkania z przedstawicielem wydziału VII departamentu I MSW i ze zdziwieniem odkrył, że jego badania na temat zachowania materiałów narażonych na działania ekstremalnie niskich temperatur budzą żywe zainteresowanie ludowej ojczyzny. Departament gotów był umożliwić profesorowi uczestnictwo w zagranicznych sympozach i konferencjach nie tylko w Związku Radzieckim, ale nawet w krajach imperialistycznych, pod warunkiem składania sprawozdań z tych

wizyt. Hubner wyjechał na uczelnię w Monachium, ale po powrocie okazało się, że pytania przedstawicieli departamentu daleko wykraczają poza temat konferencji i właściwie chodzi o to, żeby opowiadał o zachowaniu swoich kolegów, profesorów czeskich i węgierskich. O czym żartowali, co kupowali w sklepach, z kim rozmawiali, czy spotykali się z jakimiś kobietami. Wstał i powiedział, ba, wykrzyczał, że chce wyjść. Kiedy powiedzieli, żeby nie żartował i jeszcze to przemyślał, przypomniał im, że nie po to przejechał szlak bojowy od Lenino do Berlina z obecnym wiceprzewodniczącym Rady Ministrów, żeby pozwolić teraz komukolwiek na takie zachowanie. Że ma ich w dupie i nie zawaha się, żeby o wszystkim opowiedzieć. Oni wcale się nie przestraszyli, bo przecież mieli już do czynienia z lepszymi graczy od tego żydka. Powiedzieli, że ma żonę, dzieci, że chyba mu w Polsce za dobrze, skoro nie wypierdala na Syjon. I że mieszka przy ruchliwej ulicy. A to nie jest dobrze, bo nigdy nie wiadomo, skąd wieje wiatr.

Ale dostał przepustkę. Pozwolili mu wyjść.

Szedł pieszo. Zgubił kapelusz. Wiatr rozwiewał mu włosy. Lubił wiatr w swoim mieście. Ale czy to wciąż było jeszcze jego miasto? Znał złych ludzi. Wszyscy oni byli tacy sami. I ci z gułagu, których widział na własne oczy. I ci z Majdanka, o których słyszał czasami w opowieściach Heli, kiedy byli jeszcze młodzi i kiedy dzieci już spały. Budził się czasami nocą i widział, jak płyną jej łzy po policzkach w kompletnej, zupełnej ciszy.

Nocami tramwaje na Marszałkowskiej nie jeździły. Wilcza była cicha jak tajga. Pamiętał tajgę. Siedzieli w lesie, palili trociny zawinięte w papier z plakatów ze Stalinem i słuchali, jak mróz idzie. Wydawało się, że zamarza nawet wiatr. Patrzył na nią, na żonę, na jej otwarte oczy, na łzy i nie mówił nic. Przytulał ją, a ona mówiła o tym, że we śnie widziała oczy złych ludzi. Nie dym z komina, nie kolejkę do „łaźni”, nie bocznice kolejową, nie lufy karabinów. Oczy.

Dzisiaj znowu widział takie spojrzenia. Pogardę. Ale był mądrym

Żydem. A mądry Żyd wie, że jeśli chcą od ciebie, żebyś kablował, powinieneś o tym powiedzieć każdemu, kogo spotkasz. Musiał wziąć na siebie winę.

Zamiast do domu poszedł aż do Parany na rogu Marszałkowskiej i Sadowej. Wpadali tam czasami jego znajomi, Szpilman i Wasowski. Mieszkali na Wilczej 11, Szpilman już się przeprowadził, ale do Parany lubił przychodzić, bo miał przywiązanie do miejsca silniejsze niż do czasu. A Wasowski przeprowadzać się nie zamierzał, bo w kamienicy należącej do Polskiego Radia miał służbowe mieszkanie z dodatkowym pokojem na pianino. Kiedyś mieszkał w tym pokoju Jungerwirth, stary Żyd, którego Hubner znał jeszcze sprzed wojny, a po nim Santor, co miał żonę piosenkarkę. Kiedy się Santor wyniósł, pianino zostało. Wasowski komponował tam piosenki dla Starszych Panów. Do stałych klientów Parany należał jeszcze ten dziwak, powiadali, że może wariat, co chodził nawet latem w pelisie z bobrowym kołnierzem. Siadywał przy stoliku pod oknem i zawsze tylko kawę pił. Mówili, że to przedwojenny właściciel kamienicy. Tej kamienicy, po której nie było już śladu. Kiedy Hubner wszedł do Parany i trzasnął drzwiami, wszyscy oni podnieśli głowy, a wtedy powiedział: nie uwierzycie, kurwa, esbecja chce mnie wziąć na kapusia. Potem postawił wszystkim piwo. Niektórzy się napić nie chcieli, ale niektórzy nie odmówili. Tydzień później Jaroszewicz zadzwonił i poprosił, żeby na razie nie prowadził żadnej korespondencji i żeby się nie starał o paszport. Najlepiej, żeby zapomniał o wszystkim, a resztę, to znaczy żeby urząd zapomniał o Hubnerze, on jakoś załatwi.

Taka jest umowa. Jeśli nie dotrzyma, będą mieli kłopoty. Jeśli dotrzyma, to mu załatwi, że sublokatora wykwaterują.

Wykwaterowali, więc żyło im się przez moment lżej, ale smutniej, bo akurat wuj zmarł. Na cmentarzu żydowskim niektóre groby zapadały się, zaniedbane od czasów wojny. Inne rozgrzebane przypominały czasy, kiedy cmentarz był jedynym bezpiecznym miejscem, żeby przeżyć. Jeszcze inne

były pamiątką po tych, co przychodzili tu nocami, by wyrywać trupom złote zęby.

Jesienią partia nałożyła limity wydawnicze na książki. Niektóre filmy nie dostały finansowania, a niektórych pisarzy przestano drukować. Zimą, w czasie plenum Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich, Hertz, Wańkowicz, Jasienica, Kisielewski, Cat-Mackiewicz i Słonimski uradzili, że się na to zgodzić nie można. W marcu Słonimski złożył w Kancelarii Rady Ministrów List 34 pisarzy z protestem przeciwko tłumieniu pracy artystycznej. List ukazał się w zagranicznych gazetach i Gomułka wpadł we wściekłość. Sygnatariusze dostali zakaz publikacji. Wyrzucono ich z gazet, w których pracowali. Ich książki SB wykupiła z księgarń, a dyrektorzy bibliotek dostali nakaz usunięcia ich z księgozbiorów. Kilku pisarzy, podejrzewanych o przesłanie listu do paryskiej „Kultury”, zostało objętych dochodzeniem. Partia okazała łaskę i zapowiedziała cofnięcie represji, jeśli sygnatariusze Listu 34 napiszą wyjaśnienie i prześlą do zachodnich czasopism protest, w którym stwierdzą, że żadnych represji w Polsce w stosunku do artystów nie ma. Podpisało go tylko dziesięciu i tym władze represje cofnęły. Pojawił się też list intelektualistów protestujących przeciwko Listowi 34. Hubner odmówił podpisania, choć było tam już ponad pół tysiąca nazwisk. Dwa dni później we drzwiach stawiał się z nakazem zakwaterowania student z uniwersytetu, młody chłopak, Pawliszук Stefan. Przystojny, wesoły. Powiedział, że kłopotów sprawiał nie będzie, że jest zaszczycony, bo o profesorze słyszał, choć przecież on filolog, a nie inżynier, ale że czytał, owszem, taką rozprawę o znaczeniu imion i o liczbowych konotacjach niektórych pojęć w judaizmie. Tak, wie, że to bardzo hermetyczne ujęcie zagadnienia, że publikacja w kilkuset egzemplarzach almanachu, ale nie chodzi o to, że on wszystko zrozumiał, tylko po prostu, że dobrze napisane. I za każdym razem, kiedy wychodził, pytał Hełę, panią Hełę, czy śmieci nie znieść na dół, i wymyślił, że zamiast z kubłem latać jak wszyscy to przecież łatwiej do worka to pakować, nawet

tego jutowego po ziemniakach, jeśli się gazetami wyłoży dno, to nie przemoknie.

Profesor pomyślał, że student to lepiej, niż miałyby powrócić tamten stary ponurak z agentury. Zresztą jesień była piękna.

Martwiło Hubnera tylko to, że jego koledzy przestali opowiadać dowcipy. Że już tylko czasami, w jakimś kącie ludzie opowiadają sobie o sprawach innych niż pogoda, sport i piosenki w radio. O polityce już ani słowa.

Wobec pisarzy, którzy nie wycofali podpisu pod Listem 34, toczyły się dochodzenia. Cat-Mackiewicz był przerażony. A Wańkowicza to nawet aresztowali. Wtedy wróciły rozmowy półgłosem. Ktoś z uczelni rozmawiał z żoną Wańkowicza. Podpisał list, a potem jakieś przemówienie swoje podobno posłał na Zachód. Był za bardzo pewny siebie. Sądził chyba, że ktoś tak sławny jest poza prawem.

– Albo ktoś tak stary – zauważył profesor. – Ile on ma lat, pewnie z sześćdziesiąt pięć? Albo więcej.

– Albo więcej. I przyjaciół na świecie. Ale nie pomogło. Żona mówi, że ma w areszcie osobny pokój, że mu nawet dali pościel i zezwolili, żeby mu przynosiła paczki. Ale dwóch strażników siedzi w tym pokoju cały czas i nie pozwalają mu nigdy zgasić światła. Zapytała go, czy iść do ambasadora amerykańskiego po pomoc, ale odmówił. Powiedział, że wolałby już jednak umrzeć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

TERAZ

Umarła. Dostała zawału i umarła. Wszystko wokół było szare i nie oddychała, ale mogła mieć otwarte oczy i mogła też mrugać. Szarość była taka jak deszcz. Pac, pac, widziała każdą pojedynczą kroplę. Jakby to były galaktyki, wszechświaty. Niebieskie, białe i czerwone. Ale skąd... skąd czerwone? Leciała pomiędzy nimi, jakby była ptakiem, nie, nie ptakiem, ptaki są przecież powolne. Była strzałą. Uderzyła w szybę, a szyba rozprysnęła się na tysiące kawałków. Czas stawał w miejscu i wszystkie te kawałki wisiały wokół niej jak galaktyki. Czerwone. Białe. Złote. Wisiała do góry nogami w rozbitym samochodzie. Samochód obracał się powoli na asfalcie, szyba rozbita, deszcz wpadał do środka, a asfalt był całkiem mokry. Widziała czerwone światła. Wysoko, wysoko nad tą czarną rzeką. Ale tylko przez moment, bo galaktyki odpłynęły i zobaczyła, jak wszechświat obraca się dookoła niej, wolno, ale nieodwołalnie. I wokół są już tylko ciemności. A potem widzi siebie. Wisi w pasach do góry nogami w rozbitym samochodzie, a obok niej, w takich samych pasach wisi Anka. Mamo! – krzyczy Anka, a wtedy rozżarzone do białości lampy ciężarówki rozpędzonej jak ekspres pożerają wszystko. Ankę, ją, cały wszechświat i Olga dusi się w zmiażdżonej kabinie. Widzi żółtą masę. I jeszcze pokrzwawione ciało Anki. Jej otwarte oczy. Mamo! Ciągle jeszcze słyszy to wołanie. Słyszy, ale usta dziewczynki się już nie poruszają. I Olga rozumie, że to ona sama tak krzyczy.

– Hej! – Potrząsnął jej ramieniem. – Hej, obudź się, phoszę.

Obudziła się.

– Krzyczałaś. – Stał nad nią, ale teraz usiadł i zaczął ją głaskać po włosach dokładnie tak, jakby wiedział, że tego właśnie potrzebuje. I nie przestawał. Kogoś, kto powraca z bardzo daleka, trzeba głaskać tak długo, aż przestanie drżeć.

– Śniło mi się, że nie żyję. – Siorbnęła nosem i uświadomiła sobie, że ma tłuste włosy.

– Wołałaś Ankę – powiedział tylko.

– Taki miałam sen... – Przytuliła się do jego uda policzkiem, a potem objęła za nogę rękami. – Pewnie za dużo o tym myślę ostatnio. O tym wypadku. Miałam to już wszystko opakowane w folię, w papier, owinięte sznurkiem, zapieczetowane i upchnięte w zakamarkach, do których nie trzeba powracać. Wszystko przez tego mojego nowego dowódcę. A może po prostu za dużo pracuję? Bardzo jestem zmęczona. Przepraszam, jeśli cię obudziłam.

– Nie, coś ty, już zdążyłem zhozić śniadanie. Ale tylko z tego, co znalazłem. Poszedłbym po zakupy, ale wiesz... nie mam kluczy.

– No nie masz, wiem. Są w szufladzie w przedpokoju. W tej górnej. Jeśli zechcesz wyjść, weźmiesz. Jeśli nie będziesz chciał wrócić – zostawisz w skrzynce na listy.

Uśmiechnął się. Nie widziała tego, nie podniosła głowy, ale była pewna, że tak właśnie postąpił.

– Chodź, zjesz coś.

– Zaraz się pobieram. Ale jeszcze muszę poleżeć. – Nie poruszyła się.
– Kosiński przyjedzie po mnie. Zadzwoni, jak będzie miał kwadrans do Wilsona. Powinam wstać, ale ten sen... Rzadko mam sny, wiesz? Częściej cierpię na bezsenność.

– Podobno bezsenność zdarza się wtedy, kiedy śnisz się komuś innemu.

– Pomyślał, że dobrze zmienić temat, ale nie w jakiś nachalny sposób. – Pewnie za często śnisz się właśnie mnie.

– Śnię ci się?

– No. – Poczuł, że objęła go jeszcze mocniej. Jakby chciała to udo zmiążyć ramionami. – Czytałem też, że czasami śnią się człowiekowi nie swoje sny. Bo tak naphawdę snów jest każdej nocy dokładnie tyle samo, co ludzi. No i one czasem błędzą. Ludzie błędzą i sny się myślą. Thafiają nie tam, dokąd trzeba. Wszystko przez to, że ludzie nie wiedzą, czego phagną.

– Czasami ludzie nawet są z kimś, kto do nich zupełnie nie pasuje – powiedziała. – Z kimś, kogo nie kochają, ale już się stało przecież, więc są razem.

– Albo są hazem, bo się boją samotności. Albo dlatego, że przywykli. Albo myślą, że może miłość z czasem ich znajdzie. Ale jak ma ich znaleźć miłość, skoho nawet sen tego nie pothafi? Przez to czasami śni nam się obcy sen tylko dlatego, że w nim występujemy. Wtedy wszystko jest na opak...

– No... – westchnęła, a potem puściła go i usiadła.

Spojrzała na siebie. Była w porozciągany dresie, w którym wczoraj zasnęła. Kiedy wróciła, było jej bardzo zimno, więc zasnęła w spodniach i w bluzie. A teraz była przepecona i wymięta. Ciekawe, czy spał obok niej, czy u Anki. A może na kanapie spał? Mogłaby zapytać, ale jakoś nie chciała jeszcze przerywać tego momentu. Nie wiedziała, która jest godzina. Żaluzje opuszczone, świeci się lampka, ale światło w kuchni zgaszone i jasno jest. Pewnie więc późno, pewnie Kosiński zaraz zadzwoni i będzie musiała jechać z nim gdzieś na Miodową, sprawdzić, czy bezdomny tam się pojawi. Zaczynają im wydawać jedzenie około jedenastej, ale powinni przedtem jeszcze pogadać z jakimś księdzem albo co.

– Ech...

– Co tam?

Opowiedziała mu, że się martwi. Sprawa Pawliszuka jest dziwna. Prawdopodobnie ktoś go upił i podpalił.

– Tak o tym myślisz?

– Tak. Tak o tym myślę, ale nie mam żadnego dowodu. Tylko Kasię. Ankę. I tego martwego kierowcę śmieciarki.

Opowiedziała mu wszystko.

– Nie przesadzasz?

– Aż tyle przypadków? Przypadkowe zaproszenie ognia w domku na działce, przypadkowe zderzenie, którego sprawca ucieka z miejsca wypadku, i przypadkowa śmierć kierowcy ciężarówki? Co powiedział o tym Kowal, ten gangster, wiesz, co mi wisi przysługę... *Shit happens*. Za dużo przypadków. A ja nie mam od czego zacząć. I jeszcze mam na karku tego bezdomnego.

– Co z bezdomnym?

Opowiedziała mu o Kosińskim. Że to była tylko intuicja, żeby go szukać, a dwaj chłopacy z policji dostali po mordach, i to porządnie. I w obu sprawach impas. Nie wiadomo, od czego zacząć. Bezdomnego może się uda odszukać, Kosiński rozpytał, co i jak, wiadomo, gdzie oni bywają, ale w sprawie Pawliszuka nie ma punktu zaczepienia. Tylko ten adwokat, co się z nim spotkała Dorota...

Zamilkła.

– O czym myślisz?

– Że mało czasu mi zostało. Może zbyt mało.

– Na śniadanie?

– Nie... żeby zbudować dom. Żeby wino dojrzało i chleb. Żeby kurz zdążył uzbierać się pod łóżkiem, a zdjęcia, które miałabym wspólne z kimś fajnym, żeby zdążyły pożółknąć. I żeby książki, które moglibyśmy razem czytać dzieciom, porosły kurzem. I żeby się wspomnień, tych razem, uskładało więcej niż tych bez siebie.

Podniosła na niego oczy.

Uśmiechał się. Nie wyśmiał jej i nie uciekł. Może jednak spał z nią? Może był tutaj, obejmował ją i dlatego jest taka spocona?

Wygrzebała się wreszcie z łóżka.

– No to co? Nastaw kawę, dobrze? Zaraz mój partner zadzwoni i będę

miała kwadrans. Muszę się wykapać.

– Tak jest – powiedział.

Za mało słów, żeby odkryła, czy jest zawiedziony, że tak nagle przerwała tę rozmowę.

– Nie gniewaj się – powiedziała na wszelki wypadek – mam trudną sprawę.

Weszła do łazienki.

– A ja? Co mam hobić? – zapytał. Nie domknęła drzwi. Zostawiła taką małą, maleńką szczelinę, żeby mogła go usłyszeć.

– No wiesz, możesz sobie pooglądać filmy w internecie, poczytać możesz, pospać, zakupy zrobić, wino, ser, co tam zechcesz.

Zrzuciła dres, te grube, szare spodnie, odkręciła prysznic i weszła do wanny. Ściągnęła bluzę. Ciekawe, czy na mnie patrzy, pomyślała. Czy zagląda przez tę szczelinę, którą mu zostawiła? Woda była gorąca. Skóra zapiekła ją od razu. Wyprostowała plecy i napięła pośladki. Ciekawe, czy mu się podoba. A gdyby wszedł, żeby mi umyć plecy? Co bym powiedziała? Zmoczyła włosy i zacisnęła oczy, żeby szampon nie dostał się pod powieki. Teraz był najlepszy moment. Teraz powinien wejść i namydlić mi barki i ramiona, i pupę. Skuliła się na samą myśl, żeby nie pozwolić mu dotknąć się pod pachami. Pod pachami wciąż, jak dziewczynka, miała łaskotki. Gdyby teraz wszedł, wrzasnęłyby na niego i kazałyby mu się wynosić. Woda lałaby się po podłodze. Nikt nie dotykał moich pleców już tak dawno. Siwy mnie przytula i głaska mnie dwa razy w dół i w górę. Kiedy się zegnałam z Dorotą, przytuliła mnie, ale na chwilę, zresztą to się przecież nie liczy. Szymon kiedyś, dawno temu, przytulił mnie. Trzymał długo. Aż zasnęłam. Ale to było dawno temu, tak dawno, że już chyba nie pamiętam kiedy. Jakby to w ogóle nie było naprawdę. Mógłby wejść i mi umyć plecy. Nie krzyczałabym. Ale nie brzuch. Nie, brzucha na pewno bym nie pozwoliła.

Splukała włosy. Wtedy się odwróciła.

Nie, nie stał za nią.

Wyszła z wanny, zostawiając na podłodze mokre ślady stóp. Obejrzała w lustrze swoje piersi. Sutki były brązowe, skóra napięta. Brzuch mniejszy, bo teraz jadła mało, ale znowu nie miała czasu biegać. Włosy na łonie mogłaby zgolić, ale nie lubiła, jak skóra ją po tym szczypie.

Owinęła się ręcznikiem.

Siedział przy stole w kuchni i czytał książkę. Jakaś czerwona okładka. Nie potrafiła sobie jej przypomnieć. Może przywiózł książkę ze sobą. Miał na sobie stary, czarny, rozciągnięty sweter i dawno nieprane spodnie. Zarośnięte policzki i, teraz widziała to dokładnie, podkrążone oczy. Pewnie nie spał zbyt wiele. Może patrzył na nią w nocy? Ugotował jajka, pokroił ser w plastry, w misce pomidory z ogórkiem i twarogiem.

– Jesteś. – Podniósł wzrok. Patrzył w to miejsce, gdzie szyja styka się z tułowiem. Podobało jej się to spojrzenie. Woda z włosów spływała jej na plecy. To było przyjemne, choć zimne. Przyjemnie było stać na podłodze boso przed mężczyzną, który, gdyby tylko chciał, mógłby ją teraz tak zwyczajnie przytulić. Woda spływała z niej na podłogę. Brrr.

– Zaraz przyjdę. – Zawróciła na pięcie.

Wtedy zadzwonił Kosiński, musiała odszukać telefon i zmarznąć. Powiedział, że będzie za kwadrans.

Kiedy jedli, opowiedziała Szymonowi o adwokacie. Jak on się nazywał... mecenas Łosskowski. Łosskowski i Partnerzy.

– Gdybyś się nudził, to warto byłoby go jakoś odszukać, wiesz? Tak nieoficjalnie. W internecie może coś znajdziesz, może sprawdzisz, gdzie ta jego kancelaria, czy tam się w ogóle coś dzieje. Bo nie mam żadnego punktu zaczepienia.

Pocałowała go w drzwiach, ale tylko w policzek.

Pojechali z Kosińskim na Miodową. Pokazała legitymację i wjechali na parking w ministerstwie zdrowia. Poszli potem spacerem dookoła kościoła Franciszkanów. Kosiński miał ze sobą aparat fotograficzny i plecaczek.

Mieli wyglądać na turystów. Znała ten kościół. Była tam kiedyś z Anką zobaczyć ruchomą szopkę w podziemiach. Na łańcuchach jeżdżą zwierzęta i historyczne postaci, Jan III Sobieski, Matka Terasa z Kalkuty i papież Jan Paweł II. Są też Kolumna Zygmunta, zamek, Stare Miasto, Pałac Kultury, są powstańcy, ludzie polityki, a nawet żywe ryby w akwarium udającym Wisłę. Szopka działa podobno od siedemdziesięciu lat. W kościele była trumna z sercem Jana III Sobieskiego. Ale nie weszli do środka. Okrążyli budynek kościoła i klasztorny mur, żeby zajść go od tyłu.

Kilkudziesięciu mężczyzn tłoczyło się dookoła, chuchając w dłonie.

Zakonnicy wydawali zupę. Z misek unosiła się para.

– Co robimy? Zdjęcia może najpierw, co?

– Ustaw się tak jakoś na tle tego klasztoru.

Nie było to łatwe, bezdomni od razu wyczuli, że ktoś chce im robić zdjęcia, zaczęli się odwracać, pomrukiwać. Kosiński strzelił kilka razy migawką, a potem po prostu podeszli. Gdyby ten ich był gdzieś w pobliżu, rzuciłby się do ucieczki, bo przecież i Kosińskiego, i Olgę już widział, ale nikt się nie ruszył. Stali tylko i patrzyli. Bił od nich, mimo że dzień był chłodny i wietrzny, zataęchły odór szczywn i zepsutych zębów. Patrzyli spod byka. Niektórzy odwracali twarze.

– Psy, psy – poszło między ludźmi. O kurwach nie mówili, może z powodu obecności księży.

Olga wciąż nie rozgryzła tego, jak bezdomni potrafią rozpoznać takie sprawy. Skąd wiedzą, w którym śmietniku można znaleźć jedzenie, a w którym nie można? Które drzwi da się otworzyć, a które będą zamknięte? Który kierowca tramwaju wyrzuci ich na pętli, a który pozwoli zostać? No i przede wszystkim, do kogo można podejść na żebry, a od kogo się trzymać z daleka? I skąd wiedzą, kto jest z policji?

Rozstąpili się.

Olga i Kosiński podeszli do duchownego. Wiedziała, że między księdzem i zakonikiem jest różnica, ale nie bardzo się orientowała, po

czym to można rozpoznać. Ten był młody. Właściwie chłopak jeszcze. Wątpiła, żeby się w ogóle golił.

– Policja, poszukujemy tego oto człowieka. – Kosiński pokazał legitymację, a potem zdjęcie.

– Literat... – Brodaty pokiwał głową. – Zrobił coś? On nie jest groźny. Pomaga. Zawsze jak jest coś do zrobienia, to pomaga, potrzyma, przeniesie. Nie gada.

– Co to znaczy, że nie gada?

– Nie mówi. Nie odzywa się. Nigdy nie słyszałem. Co zrobił?

– Właściwie nic, chcemy go przesłuchać, był świadkiem wypadku.

– Jakby był świadkiem wypadku, to byście byli z drogówki, co nie? – uśmiechnął się chłopak. – A wy mi wyglądacie na tajniaków.

– To był wypadek śmiertelny – Kosiński odpowiedział żartem.

– A dlaczego Literat? – zapytała Serbia.

– Tak go nazywają. Podobno litery czyta, wszystkie napisy, i tak robi, jak mu te litery każą. Czasami chłopaki się z niego pośmieją. Kartki mu pokazują. „Stój”, „siad”, „szczekaj” i on wszystko robi.

– Jak to „szczekaj”? – zdziwiła się Olga.

– No tak – duchowny odrobinę się stropił – ale to nie jest złośliwe. Czasami sobie pożartują.

– Skąd mają kartki? – Kosiński dyskretnie rozglądał się po twarzach w tłumie.

– No ja im dałem – uśmiechnął się rozbijając franciszkanin. – Poprosili, dałem im i mi pokazali. Że on jest jak pies, jak komputer. Robi, co mu napiszesz.

Olga pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Tak, wiem, to było złe, ale tak mnie zafascynowało, że nie umiałem im przerwać.

– Ale kartki z „czołgaj się” ksiądz nie napisał?

– Nie jestem księdzem, jestem bratem. Tak. Nie, nie napisałem. Wstydzę się.

Usłyszeli nagle poruszenie wśród tłumu, Kosiński, wysoki na tyle, żeby popatrzeć ponad głowami tych wszystkich brodatych, brudnych mężczyzn poobwieszanych reklamówkami z Lidla i Biedronki, zobaczył pierwszy.

– Jest, kurwa, jest – szepnął.

– Co jest? – Olga spojrzała na niego.

– No jest, kurwa, idzie – Kosiński szeptał, jakby to mogło jakoś pomóc. Olga wspięła się na palce. Literat szedł od strony Hipoteki. Miał rozpiętą kurtkę, zmierzwioną brodę, długi nos i szedł z głową podniesioną do góry, jakby wachał wiatr. Jakby mu się podobało. Pomyślała, że idzie zamasyście. Że nie jest stary. Nie jest napuchnięty jak ci wszyscy ludzie dookoła. Że gdyby go ostrzyc... i może gdyby go ktoś kochał, to mogłaby o nim nawet pomyśleć, że jest przystojny. A potem, w ułamku sekundy przypomniała sobie, że to wariat, że może mieć broń, że jest niebezpieczny i powinna go jakoś unieszkodliwić.

– Dzwon po naszych – powiedziała do Kosińskiego i ruszyła przez tłum, kuląc się w sobie, żeby jej Literat za szybko nie zauważył.

– A ja? – Kosiński był tuż za nią.

– A ty mi po co z tą rozjebaną ręką? Dzwon – syknęła. Ruszyła, a ludzie rozstępowali się przed nią, nie podnosząc głów, każdy wbijał wzrok w ziemię.

1965

Wbił wzrok w ziemię, bo kiedy zauważył to po raz pierwszy, zwyczajnie się zawstydził. W sukience, którą lubił, choć miała coraz mniej kolorów, a na płótnie coraz więcej było mechatych kosmków, Hela nie wyglądała już tak jak kiedyś. Nie, nie chodziło o kolory. Pomiedzy guzikami i dziurkami rodziło się jakieś napięcie, a on, fizyk, wiedział, że nie ma to nic wspólnego z elektrycznością. Że czas przychodzi się o nich upomnieć.

Pół życia badał niskie temperatury w przekonaniu, że czas w jakiś kosmiczny sposób zwalnia, kiedy ugrzęźnie w bezruchu. Ludzie na Syberii, ci nieliczni, co nie byli tam z konieczności: zesłani, uwięzieni, spętani lękiem, chorobami i okrucieństwem stalinistów, ale ci, którzy byli tam z wyboru, wyrastali pośród śniegów i mrozu, byli piękni. Długowieczni. Jakby zawieszeni poza czasem. Jakby się ich nie imał świat czekistów, strażników, psów tropiących, drutu kolczastego, zdychania z głodu i nawet tyfus. Żyli wolni.

Myślał więc, że to właśnie wolność, a nie sława, jak kłamią poeci, jest bliźniaczką nieśmiertelności.

Potem, we własnym kraju poszukiwał wolności w myśleniu, książkach, w zadaniach prostych i pewnych, bo póki trzeba było odbudowywać miasto, wszystko wydawało się oczywiste i piękne. No i miłość. Miłość, jak sądził, jest ostatecznym rodzajem wolności. Czytał ten chrześcijański manifest Pawła z Tarsu i w sumie zgadzał się z nim. Mógłby go napisać jakiś uczoney, mądry Żyd z tamtych czasów.

Patrzył na Helę każdego dnia, a kiedy każdego dnia patrzysz na kogoś, nie dostrzegasz zmian. Siwe włosy, tak, pewnie by je zobaczył, ale ona była z tych kobiet, które nie siwieją szybko. Wciąż miała włosy grube i gęste. Ciężkie. Lubił je. Dzięki takim włosom kobiety nie zginają karku. Wciąż miała te same wielkie oczy. Czasami zgaszone, bo nie udało jej się wrócić do domu z mięsem na obiad. Albo nie dostała podwyżki, albo w tej całej „Kulturze”, którą przynosiła do domu nie wiadomo skąd i ukrywała za książkami w bibliotece, przeczytała coś, co ją skłaniało do smutku. Czasami te oczy bywały jeszcze większe, zachwycone.

Ten zachwyt kochał w niej najbardziej.

Kiedyś dotyczył głównie jego. Teraz dotyczył dzieci.

Uśpiły go ostatnie lata. Dzieci dorastały, widział to, musiałby być całkiem ślepy, żeby tego nie dostrzeżać. Zwłaszcza Sara. Miała długie nogi jak jej matka i duże, nieco zbyt zwracające uwagę jego zdaniem piersi. Gdyby miał na to wpływ, pewnie bandażowałby je, jak to czynili Egipcjanie swoim władcom, ale czy to miałyby jakikolwiek sens? Czy pięć córek Tewji Mleczarza nie poszło swoją drogą na przekór planom i marzeniom ojca?

Hubner założył kapelusz i zszedł na ulicę. Wilcza była zasypana śniegiem. Do Czytelnika miał kawał drogi. Przeszedł przez Marszałkowską, znowu zaskoczony tym, jaka jest wielka, szeroka i jaka pusta. A potem do samego końca, obok kamienicy, której jego dzieci bały się, kiedy były małe. Skąd przyniosły te opowieści? Oczywiście ze szkoły. Wszystko zaczęło się od „cudu”, kiedy zwiędły kwiaty na ołtarzu, który na Boże Ciało postawili na rogu Wilczej i Ujazdowskich księża z kościoła na placu Trzech Krzyży. Następnego dnia Sara przyniosła opowieść, że w tym domu straszy, bo służący zabił tam nożem studenta i jego psa. Plamy z krwi nigdy nie znikają, duchy człowieka i psa wciąż nawiedzają mieszkanie na pierwszym piętrze. Hubner pamiętał te historie jeszcze sprzed wojny, ale wtedy nie chodziło o zabitego studenta tylko o właścicielkę kamienicy zamordowaną przez lokaja.

Próbował polemizować z Sarą co do możliwości objawień zwierząt, które nie mają duszy, ale miała wtedy siedem lat i wiedziała swoje.

– Siedem lat. – Pokręcił głową. Przeszedł przez podwórza Kamienicy pod Gigantami i po chwili meldował się w Czytelniku. Zaparowały mu okulary, więc przez moment stał jak ślepiec pośród gorącego oddechu kawiarni. Było cicho. Słyszał zgrzytanie noża po fajansie i jak ktoś przęłyka. I brzęk szkła. Ale przede wszystkim słowa. Ktoś opowiadał, że Melchior Wańkowicz tuż po Nowym Roku z torbą papierową, w której miał kanapki, szczoteczkę do zębów, mydło, kalesony i ciepłe gacie, stał pod bramą więzienia na Rakowieckiej.

– Walił pięścią i domagał się zamknięcia, bo chce odsiedzieć wyrok. – Hubner przecierał okulary. Nie znał tego opowiadacza, podobno to był jakiś harcerz, bo do Czytelnika wpadał ostatnio jakoś rzadziej, ale pani Marysia, córka Iwaszkiewicza, dała mu znać, żeby wpadł, bo wraca do pracy redakcyjnej i kawiarnię będzie prowadziła odtąd inna dziewczyna. No więc wpadł dzisiaj. A tu wszyscy siedzą w milczeniu i słuchają.

– Klawisze wezwali esbecję, a ta, przekonawszy się, że mają do czynienia ze sławnym w Europie pisarzem, byłym członkiem tak zwanego Rządu Rzeczypospolitej na Uchodźstwie, nieuznawanego co prawda przez lud pracujący miast i wsi, odsądzanego przez tę antyrobotniczą propagandę od czci i wiary, ale jednak niebezpiecznego, bo umocowanego w środowiskach bliskich zagranicznym ośrodkom propagandy, wykonali telefon do ministra Moczara.

– Ale Jacku, skąd ty o tym wiesz?

– Mam swoje źródło, i to źródło absolutnie wiarygodne. – Harcerz rozciągnął usta w uśmiechu od ucha do ucha.

– Pani Marysiu, ma pani dla mnie setkę wódki? – Hubner uśmiechnął się do barmanki.

– Zawsze dla pana mam, profesorze. – Sięgnęła po szkło – Sto?

Hubner pokiwał głową na boki jak jakiś Hindus. Ale i tak zrozumiała.

Naląła dwie setki.

– Moczar wkurwił się. – Harcerz pięknie akcentował „u” i przeciągał drżące „r”, jakby był Francuzem. – Ale że była dopiero dziewiętnasta, zadzwonił do Pierwszego Sekretarza, a towarzysz Gomułka kazał wieźć pisarza do siebie, na pokoje.

– Ha! – Ktoś od stolika filmowców wypił i strząsnął na podłogę. – Trudne życie ma nasza władza.

– Nie przeczę, władza to ciężki kawałek chleba – zgodził się harcerz. – Tak się jednak dziwnie składa, że zawsze jest dużo więcej chętnych do władzy niż stanowisk do obsadzenia. Przeważają zresztą recydywiści, po kilka razy wracają na stanowiska, choć nikt ich przecież nie zmusza.

– No, ale o czym rozmawiali?

– O czym, o czym, tego przecież nie wiadomo, co nie? – Harcerz usiadł.

Hubner spił się ponad miarę. Wydało mu się, że kiedyś już słyszał w kawiarniach taki rodzaj buty, jakiejś skrywanej, prześmiewczej nuty w rozmowach na tematy polityczne. To było w pięćdziesiątym szóstym. Ale wtedy nikt się nie śmiał. Wtedy buta w ludziach rosła ponura i chrzęściła w zębach niczym popiół. Teraz była harda i piekąca jak wódka.

Jakoś miesiąc później wydawnictwo Iskry opublikowało wykład na temat reportażu. *Prosto od krowy* miało sto dwadzieścia stron, miękką okładkę i obwolutę. Sprawa była jasna – Gomułka odwołał zakaz publikacji. Pewnie musiał Wańkowicza przeprosić.

– A przeprosiny zostały przyjęte. – Hubner kartkował tomik, zatrzymując oczy na fragmentach poświęconych kilku dosadnie polskim wyrazom. Na przykład dupie.

„Bronię obywatelstwa dupy w literaturze. Jest to jedna z najbardziej inteligentnych części ciała, która wie, że się taktownie milczy w towarzystwie”⁷ – pisał Wańkowicz. A kilka stron dalej w podobny sposób wychwalał zalety „żołnierskiej gwary z jej kluczowym słowem-wytrychem pierdolić: przypierdolić, wypierdolić, napierdolić, podpierdolić,

zapierdolić, odpierdolić, wpierdolić, spierdolić”⁸...

Jednym słowem towarzyszył Gomułka za procesowanie się z pisarzem musiał połknąć żabę wyjątkowo śliską i raczej nie zieloną, ale w kolorze, jakby to powiedział pan Melchior, gówna.

No a potem Hela przyniosła z kolejki po wołowinę wiadomość, że w kawiarni Nowy Świat od kilkunastu dni trwają przedstawienia Kabaretu Dudek, że założył go ten sławny aktor Dziewoński, co grał Dzidziusia Górkiewicza, i że muszą, ale to muszą iść.

Miała w oczach ten blask, któremu się nie potrafił oprzeć.

– Jak to musimy? – Hubner odłożył książkę na stos papierów, notatek do wykładów i do esejów, nad którymi pracował i w które nie chciało mu się zagłębiać tak od razu po przyjściu z pracy. Przekładanie papierów pozwalało mu pozbierać siły, usypać okopy, wznieść mury obronne, wytyczyć szykany.

– Normalnie! – śmiała się. – Musimy, bo to jest dla nas ważne.

– Dlaczego ważne?

– Bo to żydowski kabaret jest. – Aż klasnęła w dłonie. – Pierwszy od trzydziestego dziewiątego kabaret, w którym opowiadają szmoncesy!

Rozczuliła go tą nagłą, dziewczęcą radością, o której już zapomniał, że istnieje. Uświadomił sobie nagle, że przyglądał się Heli każdego dnia i że właściwie nie widział zmian. To oczywiście całkowicie naturalne, bo skoro zmiany następują powoli, to ich nie dostrzegasz. Ale teraz, nagle, zobaczył w pełni, jak mu poszarzała, przygarbiła się, jak przytyła. Widział jej włosy już nie tak grube i gęste. I jej usta węższe i przygryzane raz po raz, kiedy nękała ją jakaś zła myśl. Teraz powróciła dziewczyna, którą pokochał ich pierwszej wspólnej nocy.

– Oczywiście, że pójdziemy – powiedział szybko, żeby nie zauważyła jego wzruszenia.

– Ale wiesz, to nie będzie łatwe – posmutniała.

Nie zmieścisz się w moją ulubioną sukienkę – chciał zażartować, ale się ugryzł w język. Milczał. W niektórych sprawach milczenie jest najlepszym rozwiązaniem.

– Bo wiesz, o bilety strasznie trudno. Podobno na dwa miesiące wyprzedali. – Popatrzyła na niego jak sarna. Wielkie wilgotne oczy.

Czuł, że topnieje. Nie chciał tego robić. Nie chciał dzwonić do Jaroszewicza. Byli umówieni na spotkanie w marcu, a on przecież, chociaż znał ten prywatny numer, to nigdy, ale to przenigdy by z niego nie skorzystał. Nie. No nie może dzwonić w takiej błahej sprawie! Czuł, że zrozumiała. Zawsze rozumiała go bez słów. Jej oczy stawały się powoli matowe.

– No dobrze – powiedział – zadzwonię.

Rano kierowca przywiózł cztery bilety. Dla całej rodziny. Ale Szymon nie chciał iść. Odmówił. Miał w planie spotkanie z kolegami z uniwersytetu. Dyskutowali, jak powiedział ojcu, o roli urzędniczej biurokracji w socjalistycznym społeczeństwie.

– Ale co masz na myśli? – Hubner przypominał sobie atmosferę w Czytelniku. I pomyślał, ilu tam było swoich, znajomych, a ilu tych, kurwa, przebierańców. Ubeków. Nie, nie ma już przecież w ojczyźnie ubeków. Teraz to są funkcjonariusze resortu. Reprezentanci demokratycznego państwa. Chuje jebane.

– Że ta biurokracja próbuje stać się elitą nowego społeczeństwa, że się sama próbuje wręcz utożsamiać z socjalizmem, a wszelką krytykę tłumi, krzycząc, że to antypostępowe dążenia. A to jest złe.

– Co ty mówisz? Co jest złe? – Profesor przestraszył się. Zdziwił się, że przegapił moment politycznego przebudzenia własnego syna. Ale przede wszystkim przestraszył. – Czytasz te gazetki, które matka chowa w bibliotece?

Szymon uniósł nieznacznie brwi.

Nie, nie wiedział o „Kulturze”. Musiał tę swoją krytykę biurokracji

usłyszeć w innym miejscu. Hubner usiadł. Nie, nie może się zdenerwować. Jeśli okaże słabość, lęk, Szymon przestanie odpowiadać. Ta wątpliwość porozumienia między ojcem a synem pęka przecież przy lada okazji. Tak jest w każdym pokoleniu. Tak było między nim i jego ojcem, ale to było w czasach pokoju. A teraz jest inny czas. Sam się przeląkł tej myśli. Przecież nie było wojny. Socjalizm może idzie w paru sprawach na skróty, ale to nie okupacja.

– Dlaczego złe? – zapytał jeszcze raz.

– Bo daje przestrzeń do krytyki. Błędy urzędników, ich pycha, te nakazy, żeby czekać, ta cała ceremonia przekładania papierów z szuflady do szuflady daje przestrzeń do rozpowszechniania się myśli prawicowej, bo ludzie szukają alternatywy dla systemu urzędniczego, który zaczynają traktować jako wyraz dyktatury. Już twoje pokolenie to przeżyło, a teraz przeżywa to pokolenie nasze.

– Ufasz tym kolegom? – Hubner pomyślał, że syn wyrwał mu się z rąk, zanim zdołał nauczyć go, jak odróżnić ziarno od plewy.

– Ufam. Skoro obiecałem, że będę, to będę.

Na kabaret poszedł z nimi młody Pawliszук.

Siedzieli tuż przy scenie. Hanna i Sara w sukienkach. Profesor w garniturze, a Pawliszук w samej koszuli. Białej. Pewnie jedynej, jaką miał. Kiedy zdjął w szatni ten swój płaszcz, Hubner pomyślał, że musiało być mu zimno. Właściwie to dopiero wtedy rozmawiali ze sobą po raz pierwszy. Dowiedział się, że chłopak z wiejskiej rodziny, z Mazowsza, że najlepszy był w szkole, więc się dostał na studia. I że to polonistyka. Tak, widuje Szymona na uniwersytecie, ale nie rozmawiają ze sobą zbyt często. Bo Pawliszук ma poczucie winy z powodu tego przydziału. No z powodu tego, że tak u nich mieszka. Czuje się, jakby państwu Hubnerom coś odbierał. Profesor pomyślał, że może zrobił błąd. Że powinien o chłopaka zadbać. Może pokazać mu bibliotekę? Zaprosić czasami na herbatę? No bo przecież nie na wódkę, nie ma co przesadzać, ale herbata nie zaszkodzi.

Może poprosić chłopaka, skoro już studiuje na jednej uczelni, żeby uważał na Szymona?

Tymczasem światła przygasły i rozpoczął się spektakl.

– Jest interes do zrobienia – mówił do słuchawki Dziewoński w roli żydowskiego kupca.

– Interes? A ile można stracić? – pytał aktor Michnikowski. W roli żydowskiego inwestora. Sara miała wypieki, że widzi go z tak bliska, *Addio, pomidory* było w radio wielkim przebojem.

– Ty się mnie nie pytaj, ile można stracić, ty mnie natychmiast zapytujesz się, ile można zarobić. – Dziewoński miał idealny przedwojenny żydowski akcent.

– Ile się zarobi, to się zarobi, ja się pytam, ile trzeba mieć, żeby ryzykować w razie, że się straci.

– Niewiele. Dwa, trzy tysiące masz?

– Mam mieć.

To był cudowny wieczór.

Następnego dnia w „Trybunie” nie było recenzji, bo spektakl szedł już niemal od miesiąca, ale były inne wieści. Właśnie zapadł wyrok w aferze mięsnej. Sąd Wojewódzki dla Miasta Stołecznego orzekł karę śmierci dla dyrektora handlu mięsem z obszaru Warszawa Praga, Stanisława Wawrzeckiego. Aresztowano w tej sprawie prawie czterysta osób za kradzież mięsa, zamianę towaru lepszego na gorszy, fałszowanie faktur, ale Wawrzecki przed sądem całą winę brał na siebie, jakby od uratowania tych wszystkich swoich podwładnych, dostawców i sklepikarzy zależało ocalenie świata.

Kiedy wieczorem wracał z politechniki, spotkał na schodach całą trójkę. Szymon i Pawliszuk palili papierosy, strzepując popiół do słoika po śledziach. Sara siedziała na schodach, na teczce wsuniętej pod tyłek, i oplatała rękami kolana.

– Dobry wieczór. – Pawliszuk zobaczył profesora pierwszy.

Zaczerwienił się. Pewnie z powodu tych papierosów, ale Hubner nie był dzieckiem. Studenci od tego mają przecież usta, żeby trzymać w nich papierosy.

– Dobry wieczór, o czym tak gawędzicie? – zapytał.

– A tak sobie siedzimy – powiedziała Sara – o filmach rozmawiamy.

I o Beatlesach.

– O czym?

– O Beatlesach. – Roześmiała się. – Oni są teraz najślawniejsi na świecie.

– Ale co robią? – Wyminął ją i szedł dalej, bo nie chciał im przerywać rozmowy. I tak się nie dowie, o czym mówią.

– Śpiewają! Śpiewają piosenki.

Kiedy zatrzasnęły się za nim drzwi, młodzi pochylili się ku sobie.

– Zwyczajnie wpisali ten list na dziennik podawczy i tak się stał faktem – opowiadał Pawliszuk. – Inaczej nic by z tego nie było, bo przecież nikt by im krytyki naszego systemu politycznego nie wydrukował.

– No i co? – zapytała Sara. – Myślisz, że ich wypuszczą?

– Kuroń na pewno nie wypuszczą – powiedział Szymon – ale to dobrze. Jemu właśnie o to chodziło, żeby nie wypuścili.

– Jak to? – Pawliszuk zdusił niedopałek w słoiku i zaraz poczuł ochotę na kolejnego. Lubił palić, bo wtedy czuł się jak za parawanem. Jakby stał w cieniu.

– No on chce przecież poświęcić się za sprawę. Chce cierpieć za prawdę. Jeśli cierpisz za jakąś myśl, to...

– I co teraz będzie? – Sara była zmartwiona.

– Będzie proces, ale ile mogą dostać za taki list? – Pawliszuk podniósł paczkę do oczu. Były jeszcze dwie nysy. – Czytałeś go?

– Nie czytałem, ale mamy wspólnych znajomych. I wiem, o czym jest.

– Napraaaawdę?

– No. O tym, że nie wolno urzędnikom, biurokratom i funkcjonariuszom oddać rewolucji, bo władza musi należeć naprawdę do ludu. Do ludu, a nie do urzędników. Kuroń i Karol poszli z tym listem do partii, bo chcieli, żeby świat się dowiedział, że rewolucję w Polsce trzeba dokończyć. Kurwa. – Niedopałek poparzył mu palce.

– Ja bym jeszcze zapalił – powiedział Pawliszuk.

– No to dawaj, potem idziemy, matka już pewnie czeka z kolacją.

Pawliszuk wsadził oba papierosy do ust, zapalił je, a potem jeden podał Szymonowi.

O liście i o tym, że jego autorzy dostali po trzy lata więzienia, Hubner usłyszał od Jaroszewicza, kiedy spotkali się, żeby pogadać, napić się i zjeść tatara z koniny z cebulą i czosnkiem. Hubner usłyszał o wizycie towarzyszy Breźniewa i Kosygina oraz kilka nowych plotek o Cyrankiewiczu.

Hubner dziwił się otwartości przyjaciela, ale Jaroszewicz uspokoił go. Rozmawiają przecież w cztery oczy.

– A podsłuchów nie ma?

– Nawet jeśli są, to nie będą przecież szantażować wicepremiera takimi bzdurami jak jakieś plotki.

Cyrankiewicz zajęty był sprawami rodzinnymi, bo jego małżeństwo z Niną Andrycz zaczynało się psuć, no i walką z Moczarem, który szykował się na miejsce Gomułki, więc po drodze musiał odsunąć z drogi premiera Cyrankiewicza. Nie lubił go za spoufalanie się z Żydami i rozpuszczał pogłoski o tym, że Cyrankiewicz niewieścieje, bo ma łysą głowę, i że zemści się na nim odmowa ułaskawienia Pileckiego, z którym przecież siedzieli razem w Auschwitzu.

– I co on na to?

– Że nie łysieje, tylko goli głowę od czasu, jak siedział w obozie. No i że żadnego Pileckiego nie znał wtedy, więc jak mógł skojarzyć, o kogo chodzi? Przecież on w obozie znał tylko Serafińskiego, bo pod takim nazwiskiem Pilecki siedział. Poza tym w dupie ma Moczara, bo Moskwa

woli go bardziej niż Mietka.

Nadeszło lato. Wakacje mijały, a Szymon razem z Pawliszukiem wychodzili wieczorami zupełnie jak w czasie roku akademickiego. Kiedy wychodzili, Pawliszuk dawał Hubnerowi jakiś tajemny znak. Mrugał albo kiwał głową, że pamięta, że będzie na młodego uważał. Odkąd w maju odbyli rozmowę w cztery oczy, Hubner uważał swego lokatora za przyjaciela. Miał mieć oko na Szymona i będzie miał.

Wiedział, że wciąż gadają o polityce, palą mnóstwo, trochę piją, ale odkąd po uczelni nie szwendają się już „harcerze” od Kuronia, jest znacznie spokojniej. Nie dostrzegał jednak, że Sara źle się czuje ze swoją samotnością. Chciałaby chodzić z nimi, brać się za coś istotnego, poszukiwać, dociekać, dyskutować, walczyć. Tak. Walczyć, gdyby było trzeba. Była przecież z wojowniczego plemienia. O tu, w budynku obok była powstańcza poczta. Nie wstydziła się o tym mówić i nie wstydziła się pierwszego sierpnia zanieść kwiatów pod mur PAST-y.

Poprosiła Pawliszuka, żeby z nią poszedł, bo się trochę bała tajniaków. Więc jakby co, to będą udawali, że są parą. A potem się potoczyło.

Wpraszała się na spacer do Łazienek, korzystając z tego, że Pawliszuk nosi w sobie poczucie winy za ten nakaz kwaterunkowy. Szwendali się do zmroku, karmiąc łabędzie, pawie i wiewiórki. Rozmawiać o polityce nie chciał, ale podobało jej się to, co mówi o muzyce i jak się dobrze zna na filmach. A kiedy pojechał na Śląsk i przyjechał stamtąd piękną niebiesko-białą lambrettą, zwyczajnie się zakochała. Lambretta była ładniejsza niż osa. Była nawet ładniejsza niż vespa.

Lambretty przekazano do wolnej sprzedaży z górniczych sklepów, ponieważ nie znalazły tam nabywców. Rzekomo górnikom nie podobały się te małe kółka. Ni to motocykl, ni rower. Miały poważną wadę w postaci ceny, trzeba było wydać na skuter ponad dwadzieścia tysięcy złotych, ale Pawliszuk akurat dostał pieniądze z jakiegoś spadku. Pojechał do Katowic, kupił i nadał maszynę do Warszawy wagonem pocztowym. Sara uwielbiała

wycieczki. Siadała zawsze bokiem, bo lepiej się prezentowały nogi.

W soboty jeździli na Pragę, a potem aż do Błot na Wale Miedzeszyńskim, jak się wyjeżdża na Otwock. Siadywali w kawiarni, w ogrodzie i jedli sernik domowy. Ta kawiarnia w Błotach to było miejsce dla wielbicieli skuterów kultowe, ale byli też kilka razy w klubie Manekin, a raz wieczorem nawet w Bristolu.

Nie opowiadali o tym w domu aż do jej imienin, w październiku, kiedy wszystko wyszło na jaw, bo podarował jej płytę Beatlesów. Prawdziwą, zagraniczną, pierwszą zagraniczną płytę, jaką miała w życiu. *Help*.

Rodzice przyjęli te ich randki bez entuzjazmu, ale i bez rwania włosów z głowy, bo czasy były dziwne: sukienki krótkie, noce gorące, choć już się kończyła jesień. Hela pomyślała, że wcześniej czy później takie sprawy muszą się dziać pomiędzy ludźmi, a już lepiej, jeśli się dzieją w domu, niż miałyby włóczyć się nocami.

A jednak Hubner spał źle. Pewnie to dlatego, że oddech Heli stawał się płytki, niespokojny. Budziło go to. Patrzył na nią, szarą i kamienną. Kiedyś odsunął zasłonę, księżyc wisiał nad Wilczą. W jego świetle włosy miała całkiem jak popiół.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

TERAZ

Włosy ma całkiem jak popiół, pomyślała, kiedy była już na tyle blisko, że mogła dokładnie zobaczyć jego twarz brudną, poszarzałą, ale w jakiś niewytłumaczalny sposób pociągającą. Było w nim coś, co jej się podobało. Może zwinność, z jaką się poruszał? Może nonszalancja widoczna nawet w tym, jak nosił swoje łachmany? Nie wstydził się. Nie podnosił wzroku, to fakt, ale nie wstydził się. Nie szurał i nie posuwał nogami.

Czy to dlatego, że mu zawdzięczam życie? – pomyślała. – Czy też dlatego, że gdyby miał na sobie garnitur, nie, żaden garnitur, gdyby miał na sobie skórzaną kurtkę, wydałby mi się przystojny? Uczyła się, jak ważne jest pierwsze wrażenie. Wystarczy jedenaście sekund, żeby wyrobić sobie na czyjś temat opinię, która potem jest bardzo trudna do przewyciężenia. Wykorzystują to w pracy funkcjonariusze działający pod przykryciem, uczą się, jak to pierwsze wrażenie wyrzucić, jak wykorzystać, jak zbudować relację, która jest zadziwiająco trwała, bo podświadomie ludzie bardzo przywiązują się do swoich rozstrzygnięć. Uczą się też, jak nie dać się sprowokować do łatwych ocen. Mechanizm oceniania człowieka poprzez charakterystyczne cechy wyglądu to atawistyczna pozostałość z zamierzchłej przeszłości naszego gatunku. Rozpoznawaliśmy najpierw członków własnego klanu, potem rangę, pozycję w hierarchii społecznej. To dlatego do dzisiaj ludzie, zwłaszcza mężczyźni, taką miarę przykładają do mundurów, stopni i symboli władzy. Muszą rozpoznać, czy inny samiec stoi w łańcuchu pokarmowym wyżej czy niżej od nich. Kiedyś przydawało się to na wojnach, dzisiaj pozwala awansować w korporacjach. Kobiety

zwracają uwagę na inne sprawy niż emblematy, choć w męskim świecie, który chcą podbić, uczą się także tego. Ale kobieca zdolność jest inna. Kobiety podświadomie widzą przede wszystkim twarze. Poprzez analizę mikroszczegółów umieją rozpoznać stan ducha innych ludzi. Wiedzą, czy coś im grozi, czy ktoś je będzie ścigał, uwielbiał czy też pozwoli im na kaprysy. Kiedyś od rozpoznania takich oznak zależało życie kobiety i jej dzieci. Dzisiaj zależy kariera. Zwłaszcza jeśli pracujesz w psychologii, sprzedaży albo w policji. Być może z tego przystosowania narodziła się kobieca intuicja. Mężczyzna szuka oznak, które pozwolą mu uporządkować hierarchię. Kobieta pochłania wszystkie dostępne informacje, żeby przetrwać.

Teraz Olga skuliła się w sobie. Jakby zwinęła. Starła się nie wzbudzić zainteresowania tego, jak mu tam, Literata. Trzymać w cieniu, zniknąć pośród grupy mężczyzn obwieszonych siatkami, tonących w kilogramach kurtek nakładanych jedna na drugą, nigdy niepranych i niewietrzonych. Czowała, że coś z Literatem jest nie tak. Był inny. Nie miał ze sobą żadnej reklamówki. Nie miał na sznurku niczego z tych cholernie potrzebnych rzeczy. To znaczyło, że nie nosi ze sobą wszystkiego, a przecież musi posiadać jakieś rzeczy. Oni wszyscy coś mają. Nie rozstają się ze swoim stanem posiadania nigdy. Jak ślimaki. A Literat nie miał nic. Miał więc jakąś kryjówkę. Musiało istnieć miejsce, w którym się gnieździ. Był brudny, to fakt. Brudny, sponiewierany, ale... wydawał jej się młody. Może nawet młodszy od niej. Kurwa, Olga, o czym ty w ogóle myślisz? Złapała się na tym, że mu się przygląda. Nie jak bandycie, jak facetowi. A to przecież jest wariat. Wariat, który w dodatku nosi broń i umie łamać ludziom ręce.

Dzieliło ich jeszcze z dziesięć metrów, kiedy zauważyła, że zwolnił, opuścił ręce i pochylił głowę. Tylko oczy błysnęły mu spod kudłów.

Na co patrzysz, kurwa, gościu, na co patrzysz? Pod wpływem jakiegoś impulsu sięgnęła do kabury i dotknęła broni. Kolba była zimna i sucha.

Luter wiedział, że coś jest nie tak. Nawet jeśli jego mózg nie analizował

już świata tak doskonale jak kiedyś, to ciało trenowane do walki czuło, że coś jest nie tak. Było cicho, a powinien słyszeć szmer. Nie jazgot, bo to przecież nie było stado kobiet, ale szmer. Mruczenie, pokasływanie, charczenie, splunięcia, cokolwiek. A było cicho. Tak cicho, jak bywało w dżungli, kiedy szli tamtędy, stawiając nogi ostrożnie, żeby nie budzić na wodzie zbyt wielu kręgowców. Byli niewidzialni, ale dżungla rozumiała, że tam są. Milkła. Najpierw jedna cykada, a po chwili wszystkie. Cisza oznacza niebezpieczeństwo. A teraz zamilkło jego miasto.

Rozejrzył się spode łba.

Misiek, Szarik, Redaktor, Gadocha, Rydzu... poznawał ich. Jego stado. Zawsze tu byli o tej porze, poszturchując się, dogadując, paplając bez sensu, bo nikt nikogo nie słuchał. Samotni ludzie, kiedy znajdzie się blisko nich ucho, które nie ucieka, będą gadać byle co. A teraz nie rozmawiali ze sobą. Nie podnosili oczu. Nagle Gadocha, musiał go widzieć z oddali, bo nie było wątpliwości, że to znak, podniósł do góry białą reklamówkę. Taką z Biedronki. Zielone litery. Za daleko, żeby przeczytał wszystko, ale ten większy napis widział wyraźnie. „Chroń środowisko”.

„Chroń” – powiedziały litery – „chroń”.

Wtedy ją zobaczył. Znał tę kobietę. Mógł nie pamiętać okoliczności, w jakich się spotkali, ale nigdy nie miał wątpliwości co do tego, czy kogoś już spotkał, czy nie. Zobaczył, jak sięga za pazuchę, i wiedział, że przedmiot, który tam ukrywa, jest ciężki i zimny. Odwrócił się i pobiegł w lewo, prosto przez krzaki, bezlistne jeszcze, surowe gałązki łamały się pod naciskiem ciała. Nie oglądał się, biegł.

– Stój! – usłyszał. – Policja!

Wiedział, że nie strzeli. Tacy, którzy strzelają naprawdę, wcale przedtem nie krzyczą. Strzelają i już. Zbiegł ze skarpy i obejrzał się. Biegła za nim. Już zdołała przedrzeć się przez tłum. W ręku nie miała broni. Tymczasem na Solidarności nie było korka. Ci, którzy mieli pojechać do pracy, już pojechali. Ci, którzy chcieli wracać, jeszcze pili kawę nad

biurkami. Tramwaje toczyły się z góry. Pierwszy był dwadzieścia sześć. Luter skoczył między pojazdy i przebiegł tuż przed tramwajem, a potem nie pobiegł w kierunku pomnika Nike, lecz skręcił w lewo, kiedy tylko tramwaj go zasłonił. Ruszył w stronę tunelu.

– Kurwa! – Serbia zatrzymała się na krawędzi jezdni zdezorientowana, gdy uciekinier zniknął jej z oczu. Nie, nie pobiegł prosto, nawet gdyby to był Usain Bolt, widziałyby go u podnóża Nike. Drzewa nie miały jeszcze liści. W prawo nie pobiegł, bo też musiałyby go widzieć, na tym odcinku nie wolno parkować i nie miałyby się gdzie ukryć. Trzynastka przetoczyła się przed nią z hukiem, a wtedy Olga zebrała się w sobie i skoczyła między auta, i drugą stroną ulicy pobiegła w kierunku Starego Miasta.

Tymczasem Szymon zamknął komputer. Łoskowski i Partnerzy. Witryna internetowa okazała się właściwie wizytówką, dyskretną i elegancką. Audyty, postępowania administracyjne w sprawach nieruchomości komercyjnych, wywłaszczenia i nacjonalizacje, regulacje stanu prawnego nieruchomości, zasiedzenia, zniesienie współwłasności. Arbitraż. Niewiele mu to mówiło. Za to sporo mówił mu fakt, że nazwisko mecenasza nie pojawiało się w żadnej, ale to żadnej sprawie, choć internet zaśmiecony był przecież milionem artykułów dotyczących nieruchomości. Google wyświetliło informację tylko raz, przy okazji sprawy Fundacji Krongoldów. Anna Krongold, spadkobierczyni rodu warszawskich kamieniczników, powołała fundację, której celem jest udzielenie wsparcia finansowego dla studentów Wydziału Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego poprzez ustanowienie i finansowanie stypendiów oraz udzielenie finansowania projektów badawczych. Autor artykułu twierdzi, że nikt na socjologii o takiej fundacji nie słyszał, ale pani Anna miesiąc po sądowej rejestracji fundacji zmarła, zapisując jej w spadku tytuł własności do nieruchomości przy ulicach Żłotej i Krochmalnej. Sprawę rejestracji przeprowadziła przed sądem kancelaria Łoskowski i Partnerzy. Teraz trwa proces o odzyskanie nieruchomości od miasta. Skomplikowany proces, bo

na Złotej stoi Pałac Kultury.

Szymon sprawdził w Google Maps adres kancelarii. Nowy Świat. Piękna okolica. Przejrzał zakładki, ale ani Łosskowski, ani partnerzy Offirski i Tołłocki nie mieli żadnych fotografii. Nie mieli Facebooka. Nie istnieli na GoldenLine.

Zadzwonił. Dziewczyna miała miły głos i był pewien, że nosi szarą garsonkę.

Tymczasem Kosiński martwił się, czy patrole zdążą pomóc Serbii. Wątpił. Patrole są zajęte swoimi sprawami, ale kto wie, jeszcze jest dobra godzina, korków nie ma, może się ktoś przebije na Powiśle? Albo do placu Teatralnego? Tymczasem bezdomni powoli porozchodzili się, kilku stało jeszcze, łypiąc spod oka na Kosińskiego. Musiał porozmawiać z księdzem, nie będzie przecież stał jak dupa.

– Powie mi ksiądz...

– Brat. Jestem zakonnikiem.

– Okej, powie mi brat coś jeszcze o tym Literacie? Coś innego niż te kartki, żarty? Może jest o nim coś poważniejszego? Z kimś się przyjaźni, może ma jakąś rodzinę, ja wiem... pytał o niego ktoś?

Duchowny pokręcił głową.

Trzech żuli podeszło bliżej. Słuchali, przekrzywiwszy głowy. Wszyscy w tę samą stronę. Kosiński nie czuł się z tym dobrze, nie wiedział, czy to jakaś choroba, czy sobie z niego robią jaja.

– Nie wiem... – zastawiał się franciszkanin. – Rodziny to nie... Oni tu chyba wszyscy mają rodziny, ale nikt... nikt ich nie chce znać. Nie przyznają się do nich. Jak do wstydlivej choroby.

– A ile ma lat, jakoś się nazywa?

– Daj papierosa – powiedział głośno jeden z tej trójki. – Fajki daj i spadamy.

– Nie mam, chłopaki. – Kosiński odwrócił się w ich stronę.

– Daj, młody, nie pierdoł, możesz sobie być psem, ale nie bądź chujem.

– Nie, no ja naprawdę, nie palę. – Kosiński poczuł, że się czerwieni.

Popatrzył na duchownego.

– Nie, nie odczepią się – uśmiechnął się tamten – poza tym mają czas.

– Ja pier... – Kosiński wyjął portfel i zajrzał do przegródki. Stówa i dwudziestka. Dał im mniejszy papierek. – Kupcie se co. Przepraszam – to do duchownego – przepraszam, że przeklinam.

– A ja do złych słów nawykły. – Tamten wzruszył ramionami. A kiedy trzech bezdomni odeszli, pochylił się i powiedział Kosińskiemu, że Literat to chyba był w wojsku.

– Jak to w wojsku?

– No tak gadali. W szpitalu jakimś we wojsku. Ranny był. Czy coś. Przez to nie mówi.

– O, to ciekawe. – Kosiński wygrzebał z kieszeni mały notes i kawałek ołówka. Kartki wilgotne, ale ołówek nie zamarzał na zimnym powietrzu. Wolał to niż długopis. Zapisał sobie do sprawdzenia wojskowe szpitale.

– A pamięta ksiądz, kto albo kiedy o tym mówił? W jakich okolicznościach?

– Brat, jestem zakonnikiem – uśmiechnął się tamten cierpliwie. – Okoliczności to pan sam widzi, jakie są. Nie pamiętam, ale któryś z nich mi powiedział. Może Gadocha, a może Mecenas?

– Jaki Mecenas?

– No oni tu mają swoje przezwiska. Mają też, nie uwierzy pan, swoje historie. Ludziom się wydaje, że to sama patologia, zaburzenia, uzależnienia i choroby psychiczne. Że margines. Że ludzie z marginesu lądują na bruku, bo przepili pieniądze i komornik im wszystko zabrał. A to nie tak.

Kosiński się nie odzywał. Gdzieś tam w środku zaczynało się w nim gotować z niecierpliwości, bo chciałby usłyszeć syreny. Powiedział dyżurnemu, żeby wyjechali na Wisłostradę i na plac Bankowy, i na

Teatralny. Bo chuj wie, dokąd podejrzany będzie uciekał. Powinien był pobiec z nią, ale miała rację. Poharatany i obolały nie przydałby się na wiele. Słuchał opowieści księdza o tym, jakie trudne losy mają jego podopieczni. Ktoś miał firmę, utopił go VAT, ktoś sobie nie poradził z poczuciem winy za zdradę żony, kochanka odeszła, a on nie miał już powrotu, któryś po pijanemu przejechał dziecko na pasach.

– No, a Literat?

– Mówią, że był w armii ranny. Blizny podobno ma. Tatuaze. No że żołnierzem był. Skąd wiedzą, nie mam pojęcia.

– Może ja bym z nimi pogadał?

– A co, wezwania im pan przyślesz? Na jaki adres? – uśmiechnął się tamten.

– No to może – Kosiński rozejrzył się – może ja teraz z kimś pogadam.

– Nie będą gadać z psami.

– Ja nie jestem psem, proszę księdza.

– A ja nie jestem księdzem, panie oficerze.

Olga biegła pomiędzy stojącymi samochodami, bo u wylotu tunelu zawsze był korek.auta oczekiwały, aż przez przejście dla pieszych przetoczy się gromada wysiadających z tramwajów i autobusów. Dyszała ciężko, źle jej się biegło w kurtce i ciężkich butach, grzała się bez chwili wytchnienia. Broń pod pachą ciążyła i obijała się o żebra. Ale nie, poza tym nie było tak źle. Oddychała, widziała zbiega przed sobą jakieś dwadzieścia pięć, może trzydzieści metrów. Nie wyglądał na żula, alkoholika. Biegł miarowo, oszczędnie machał rękami, nie oglądał się, nie przyspieszał ani nie zwalniał. Musiał czuć, że ona jest tam z tyłu.

Wiuuuu – tramwaj przetoczył się środkiem jezdni z ogłuszającym łoskotem. Było jej duszno, szalik zerwała już dawno temu, ale wciąż trzymała go w ręce. Szkoda jej było. Teraz jednak ciążył coraz bardziej i bardziej. I czapkę by zrzuciła. Kurwa, za gorąco jest. Usłyszała gdzieś za plecami wycie syreny i przez moment ucieszyła się, że będzie wsparcie, ale

to była inna syrena. To pewnie ambulans.

Luter usłyszał ambulans. Zupełnie go to nie obchodzi, bo potrafi rozpoznawać sygnały radiowozów. Zresztą wie, że nie będzie musiał biec już daleko. Mija przystanek tramwajowy. Na wiacie wisi plakat: „Port Praski, tylko tysiąc pięćset metrów od Starówki”. Tylko tysiąc pięćset metrów. Biegnie. Ludzie ruszają spod wiaty do tramwaju, ale on mija ich jeszcze łagodnym łukiem. Mija drugą wiatę. Wisi tam plakat *Szybcy i wściekli 8*.

Serbia wpada w grupę ludzi, którzy akurat teraz zerwali się spod wiaty, żeby wsiąść do tramwaju. Z pojazdu wylewa się gromada dzieci. Wszystkie w żółtych kamizelkach, sześć- może siedmiolatki. Grzęźnie w nich, bo przecież nie porozpycha, nie poroztrąca, szlag by trafił.

– Coś pani, zgłupiała?! – krzyczy na nią jakaś potężna kobieta w wielkiej bordowej czapce, odpycha. Na palcach ma złote pierścienie. Serbia próbuje ją ominąć, traci sekundy. Z następnych drzwi wysoki chłopak wyciąga rower z wielkim zielonym pudłem Uber Eats, Serbia zatrzymuje się w ostatniej chwili. Kurwa. Rzuca szalik na ziemię, ściąga czapkę. Biegnie. Ale zbieg już daleko, z pięćdziesiąt metrów. To dużo. Musi przyspieszyć.

Luter mija Centrum Stomatologii, zna to miejsce, zaraz po schodach w dół i będzie nad rzeką. Na bulwarach. Nad rzeką jest jego świat. I tam będzie bezpieczny. Słyszy w oddali syrenę i tym razem wie, że to policja.

Serbia dopada schodów zaledwie chwilę później. Jest zdyszana, musi odchrząknąć i splunąć. Pieką ją płuca. To nie jest jej tempo. Schody dziwne, wąskie. Mija wielki, czarny znak Polski Walczącej, a kiedy skręca, okazuje się, że cała ściana przy schodach pokryta jest malowidłem. Czerwone rozległe tło, rozdarte, jakby pękła ziemia. Z otchłani patrzą na Serbię dziesiątki ludzkich twarzy. Wszystkie przerażone. Martwe.

Zbiega na chodnik Wisłostrady i zeskakuje na bulwary. Rzut oka w prawo i w lewo.

Nic, kurwa, nikogo. Kamień w wodę.

1966

– Nic, kurwa, kamień w wodę. – Jaroszewicz odłożył słuchawkę. – Ale ty się nic nie martw, znajdę ją. Znajdę.

– No, ale dlaczego nic nie wiesz? Myślisz, że cię okłamują?

– Co? Mnie? No ty sobie nie żartuj. Czterystu aresztowali tych studentów, więc zanim wszystkich spiszą, zanim posprawdzają dokumenty, to musi potrwać, ale znajdę ją, obiecałem, to znajdę.

– A jeśli ona nie ma dokumentów? – Hubner zbladł.

– Jak nie ma? Dorosła jest przecież.

– Ale Sara wciąż czyta o konspiracji. Mogła, nie wiem, wyrzucić, zaprzeczyć. Podać inne nazwisko.

– Znajdę. Najwyżej każę, żeby chodzili po celach i ją wołali.

– Cholera jasna. – Teraz naprawdę się zmartwił. – To ci nie pomoże.

– Tym się nie martw. Nie będą chcieli mi podskoczyć. Ja umiem chodzić pomiędzy cieniami, przecież wiesz. A jeśli nawet jakiś drobny kryzys mnie spotka, to jestem ci to winien.

– Co masz na myśli?

– Przyjaciele, to, rozumiesz – podszedł do półki na książki i z etui na okulary wyjął klucz do szafki, w której trzymał alkohol – rodzina, którą wybierasz sobie sam. A teraz się napijemy, nie zdążyliśmy tych medali nawet ochrzcić, co nie?

No tak, Hubner całkiem zapomniał, że dwa tygodnie temu obaj zostali odznaczeni medalami za udział w walkach o Berlin. Ale nie to miał teraz

w głowie. Umawiali się na tę wódkę kiedyś, w przyszłości, nie spodziewał się jednak, że będzie musiał błagać dawnego przyjaciela o spotkanie. Ale to pierwszy raz, kiedy Sara nie wróciła na noc. Ten jej chłopak, Pawliszuk, przybiegł posiniaczony i pokrwawiony. Powiedział, że zatrzymali dziewczynę w czasie manifestacji na Krakowskim Przedmieściu. On wyrwał się tym oddziałom z Golędzinowa, uciekł, po grzbiecie oberwał, szramę na pysku pewnie będzie miał przez kilka tygodni, bo po głowach lali. Ale dziewczyny nie dało się wyciągnąć.

– Jak zaczęli łać, puściła moją rękę. I dobrze, bo dziewczyn nie bili. Ale złapali ją zaraz i do suki. No a mnie lali, ale nie dałem się pochwycić – opowiadał. – Myślałem, ucieknę, to ją może się uda wyrwać z psiarni. Przecież profesor ludzi zna, na pewno zna kogoś, kto pomoże. Prawda?

Znał... A jakże, znał... Wyciągnął Jaroszewicza z łóżka. Wiedział, że premier tego nie lubi, bo żona się złości, a kiedy się złości, to Andrzejowi, synowi z pierwszego małżeństwa, żyć nie daje, ale gdy wyszło na jaw, że chodzi o Sarę, że ją wzięła milicja, Jaroszewicz nie utyskiwał. Przyjadę, powiedział, spotkamy się u mnie w gabinecie, masz bliżej, zadzwonię, żeby cię wpuścili do sekretariatu. Hubner był pierwszy. Siedział na brzegu krzesła, milczał. Bolała go cisza i bardzo pragnął zapalić. Kiedyś, na zesłaniu, nauczył się cierpliwości. Tego rodzaju trwania poza świadomością, bycia drzewem, jak o tym myślał. Zamrożenia. Kiedy nie możesz nic zrobić, hibernujesz. Odcinasz świadomość. Czasami to potrafił, ale dzisiaj nie. Zegar przy ścianie łomotał mu w głowie jak odgłosy smagnięcia batem.

Wiedział, co milicjanci potrafią zrobić ludziom, jeśli tylko zechcą.

Nagle uświadomił sobie, że nigdy nie siadał w ten sposób. Że zawsze po pańsku, całą dupą. Czy to na drewnianej ławie na zesłaniu, czy to na wojskowych zydlach w tych wszystkich okopach i sztabach, po jakich się tułali. Nawet w ruskim więzieniu siedział jak polski pan. A teraz, kurwa, w gabinecie przyjaciela usiadł jak pańszczyźniany chłop. Wrócił myślą do

rozmowy z Pawliszukiem.

– Ale dlaczego, jak? – pytał go, bo jeszcze nie rozumiał, co mu ten chłopak opowiada. Pawliszук łypał zapuchniętym okiem ponad ramieniem Heli. Kobieta przemywała mu twarz spirytusem. Musiało boleć, Hubner widział, że Pawliszukowi łzy idą po pysku, ale nie mazgał się.

– Nie wiedziałem, że ona idzie na jakąś manifestację. I to jaką? Kościelną? To się nie mieści w głowie.

– No ja też nie wiedziałem. Pytałem się: ale po co ty chcesz na mszę iść? Przecież ty Żydówka jesteś. A ona mi na to: Polka jestem, moje koleżanki idą. Nie wszystkie są wierzące, przecież to dwudziesty wiek, ale przecież tu nie chodzi o Kościół, chodzi, żeby się im nie dać. No to ja pytam: ale komu się nie dać? A ona mówi, że im, że komunistom, że tysiąc lat się kraj obywatel bez komunistów, to i teraz się może obyć. I jeszcze się zapytała, czy wiem o obchodach tysiąclecia chrztu na Jasnej Górze, no to ja, że nie wiem, że nie mam pojęcia. A ona mówi, że pięćset tysięcy ludzi skandowało: wy-ba-czamy. Zdziwiłem się, bo przecież tam było sto tysięcy. A ona, że „Trybuna” kłamie, że telewizja kłamie, bo pięćset. Zapytałem, komu wybaczą. A ona, że wszystkim: Niemcom, Rosjanom, Ukraińcom, komunistom, Ameryce. Że przez wybaczenie świat może być lepszy, a nie przez te zbrojenia dla pokoju. Słucham? No tak, tak... zdziwiłem się. Sądziłem, że ją znam dobrze, a ona nigdy takich rzeczy nie mówiła. Czasami słuchała naszych dyskusji z Szymonem, ale nie mówiła nigdy ani słowa, nawet nie wiedziałem, że ma takie... radykalne poglądy. No to powiedziała, że idzie sama albo jeśli uważam, że to nie jest rozsądne, to żebym szedł z nią. Poszliśmy. Najpierw ludzie stali pod tym zakratowanym oknem od zakrystii, bo tam wystawili ten obraz, który katolicy uważają za święty. Podobno wisiał tam trzy dni. Opowiadali, że go wiozł Wyszyński osobiście samochodem do Warszawy, ale zatrzymała go milicja i obraz zarekwirowali. Wtedy czarni ogłosili w kościołach w całej Polsce, że na warszawskich uroczystościach będzie pusta rama i milicja obraz oddała.

Potem była msza. Wyszyński przemawiał o przebaczeniu. I jeszcze mówił, że na Dzień Matki, kiedy milicja biła ludzi w Brzegu, to pod jego rezydencją na Miodowej grupa chuliganów stała z pochodniami. Krzyczeli: nie, nie prze-ba-czamy, Wy-szyń-ski, zdraj-co, won do Rzy-mu. A potem te pochodnie rzucali na dziedziniec. Powiedział, że stał tam, za firanką, słyszał wszystko i się modlił. Słucham? Nie, nie klękaliśmy w kościele. Ani Sara, ani ja. Większość klękała, ale my nie i nie tylko my jedni. Sporo ludzi nie klękało. Ale brawa bili po mszy, a potem tłum szedł z Wyszyńskim na Miodową i my też poszliśmy, Sara jakieś koleżanki spotkała. Agatę i Martę. I szliśmy we czworo. Tłum krzyczał: prze-ba-czamy, prze-ba-czamy. Potem szliśmy Krakowskim Przedmieściem. Nie wiem, ile ludzi. Z tysiąc na pewno. Może dwa tysiące. Milicjanci stali w bramie uniwersytetu. Nie bili, stali tylko i trzymali się pod rękę, taki podwójny kordon, no to poszliśmy do Nowego Świata i oni nagle wybiegli ze Świętokrzyskiej. No i to wszystko.

– Wszystko? – zapytał Hubner.

– Wszystko.

Profesor westchnął.

– No idź. – Hela nawet się nie odwróciła. – Idź. Wiem, że się boisz. Że się boisz o nią i że się boisz prosić. I że się boisz, co będzie, jak już ją znajdziesz. Ale idź. Zadzwoń.

Milczał. Słyszał, jak zegar tyka. Jak ludzie na ulicy śpiewają, pewnie podchmieleni, w końcu to lato, najpiękniejszy czas w Warszawie. Okna pootwierane, wiatr firanką tarmosi.

– A jeszcze mi się przypomniało – powiedział nagle Pawliszук – że jakeśmy już szli, to ludzie zaczęli skandować: ka-to-licy, łącz-cie się, a Sara na to do tych swoich koleżanek: jak to katolicy, to mnie tu nie ma? To nie jest mój kraj? I one się tak spojrzały, że co mają zrobić, i Marta zaczęła pierwsza: Po-la-cy, łącz-cie się, no a potem Sara i Agata. Potem ja. I tłum tak jakoś za nami.

Hubner uśmiechnął się przez łzy. Nawet nie wiedział, że płacze. Patrzcie

ludzie. Nie jego pobili, a płacze.

– Zadzwoń. Jakby coś się działo Andrzejowi, a ty byś mógł pomóc, to on by zadzwonił.

I Hubner zadzwonił.

A teraz siedział na brzeżku krzesła. Boże święty, którego Imienia nie można przyzywać, Ty spójrz na niedolę swojego stworzenia. Spójrz. Ty, Haszem, który słyszysz modlitwę z każdych ust, który dla Narodu jesteś Ojcem, Ty rozumiesz, co znaczy, kiedy dziecko nie wraca.

Może nie znał odpowiednich słów i może nie był pobożnym Żydem, ale teraz poczuł się lepiej. Usiadł wygodniej. Rozparł się na tym skórzanym fotelu, porządna świńska skóra, Żyd, nie Żyd, skórę umiał rozpoznać zawsze. I pomyślał sobie, że może zapali fajkę, ale nie, nie wypada. I że nie wstanie, jak się drzwi otworzą, ale kiedy to się stało, wstał. Podbiegł do Jaroszewicza i pozwolił się zwyczajnie przytulić. Drugi raz w życiu. Pierwszy był, jak zakopywali trupy w śniegu. Jeszcze w Rosji. A teraz drugi. Wtedy nie płakał. Ale teraz był już stary. Wtedy nikogo nie miał. A teraz miał dziecko. Dziecko zamknięte w jakiejś milicyjnej norze.

Potem Jaroszewicz telefonował. Mówił cicho, ale dobitnie. Wiedział, jak trzeba mówić. Gdyby to on był premierem, a nie Cyrankiewicz, to Polska by była innym krajem. Nie biliby na ulicach. Tego Hubner był pewien.

– No to teraz musimy czekać. – Jaroszewicz odłożył słuchawkę. – Poszukają jej. Z tego, co mówią, nie będzie reperkusji, zatrzymali studentów do wyjaśnienia i tyle.

Hubner przestraszył się, że teraz muszą iść do domu, a przecież on nie pójdzie bez córki. Nie ruszy się stąd. Jakby co, to będzie chodził od komisariatu do komisariatu.

Ale nie poszli.

– Napijemy się, mamy czas. – Wstał i podszedł do szafki, w której trzymał alkohol. – Koniak dobry, ale na takie coś jak dzisiaj to za słaby.

Mam tu coś od znajomych. Stary, żydowski napitek. Nielegalny podobno, ale naprawdę dobry.

Hubner odetchnął.

– Wszystko przez towarzysza Gomułkę. – Jaroszewicz odszpułował butelkę. Nie miała żadnej naklejki. – Przez to, że się uparł rozegrać Kościół. Mówiłem, że nie trzeba, że nie można otwierać wszystkich frontów walki, ale on nie chciał słuchać. A ten Wyszyński drugi taki sam wariat. Jakby cicho siedział, to by nie było tego wszystkiego.

Nalał kieliszek. Popatrzył na niego z niezadowoleniem, sięgnął po szklanę, przelał i dopełnił do połowy. A potem drugą szklanę. Podał jedną Hubnerowi.

– Tylko ostrożnie, bo to pejsachówka, może zabić. Więc tylko umocz usta, zaraz zadzwonię, żeby nam przynieśli jakiejś galarety.

– Ale teraz, w nocy?

– A tu przyniosą z bufetu naszego. Wezmą otworzą i przyniosą.

Zadzwonił.

A potem opowiedział Hubnerowi, że cała ta awantura jest winą Wyszyńskiego. Tej jego nowenny obchodów tysiąclecia chrztu Polski. Tej całej odpustowej, napuszonej błazenady z pielgrzymowaniem obrazu ze wsi do wsi, z budowaniem bram dla obrazu, ołtarzy dla obrazu, obwożeniem go jak jakiegoś bożka. Jakby sam Jezus przyjechał do Pcimia, to by nie było takiej szopki jak z tym obrazem. No to się Towarzysz wkurwił. No i słusznie. Czechom udało się Kościół wysłać do lamusa, Węgrom, Rumunom, a tu, kurwa, czarni trzymają się mocno. No... ale ja studziłem. Mówiłem, że nie warto. Ale nie słuchał. Wypieprzył religię ze szkół. Myślał, że jak się odbierze klechom dzieci, to Kościół sam zdechnie. No ale nie poskutkowało. Stracił kontrolę nad tym, co oni tym dzieciom kładą do głowy. No, a jak stracił kontrolę, to trzeba było służby na klechów napuścić w większym wymiarze. Ale mało było Towarzyszowi, to podatek wprowadził dla duchownych. Czarni nie zapłacą, mówił, to się im odbierze

majątki, samochody się odbierze. No, ale ilu ma samochody? No to im się zabiera radioodbiorniki.

Rozległo się stukanie do drzwi i przynieśli galaretę, szynkę i ser z dziurami. No i bułki.

– Bułki z rana, towarzyszu premierze, ale o tej porze no to jeszcze świeżych nie mamy.

– Dobrze, dobrze, poradzimy sobie, a jak telefon będzie, to łączcie od razu, od razu.

Jedli potem i pili.

Jaroszewicz opowiedział, jak Wyszyński z tym orędziem do Niemców wyjechał. „Przebaczymy i prosimy o przebaczenie”, napisał, jakby był królem Polski. To Gomułkę wkurwiło najbardziej. Cały rząd zresztą.

– No ja też nie lubię, jak mi się pluje do herbaty. Ale słabości bym nie okazał. A oni wzięli i skonfiskowali tę książkę Wyszyńskiego wydaną we Francji, i cały nakład poszedł na przemiał. Ani jeden egzemplarz nie ocalał. A jak się zaczęły te obchody milenijne i Wyszyński jechał do Gniezna, to Gomułka kazał blokować ulice, żeby samochód z obrazem nie przejechał. A robotnicy z Cegielskiego przez te zapory przenieśli samochód razem z obrazem na ramionach.

Zadzwoił telefon i szklanka wypadła z ręki Hubnera. Na szczęście siedział głęboko w fotelu i spadła między nogi. Rozlało się trochę, ale wyschnie. Alkohol szybko wysycha.

– Aha, aha – kiwał głową Jaroszewicz – a to szelma jedna.

Uśmiechnął się.

– No ja wam, towarzyszu majorze, o tym nie zapomnę. Daję słowo.

Odłożył słuchawkę.

– Znaleźli ją – powiedział.

– To biegnę! – Hubner zerwał się, niepomny na te zalane spodnie.

– Spokojnie, spokojnie, musi zeznania złożyć. No oszukała, szelma. Że

nie ma dowodu, że zgubiła w tym zamieszaniu. Że się Kwiatkowska nazywa. Irenka Kwiatkowska. Ha, ha, ha, nadawałaby się do propagandy. Znalazł ją mój zaufany major. Chodził po celach i wołał. No masz, musimy za to wypić.

Hubner podszedł do biurka wicepremiera.

– O, widzisz, rozlałem trochę.

– To nic, Ignacy, to obeschnie. Łzy obeschną. Spodnie obeschną. Zostanie po nas wolna Polska. No to teraz już się nie martw, przywiozą ją tutaj do mnie. Teraz za Berlin pijemy.

– Ależ proszę mnie nie dotykać. – Usłyszeli ją, jak tylko sekretarz wicepremiera otworzył drzwi. – Proszę puścić, sama pójdę.

– Już są – zdążył powiedzieć sekretarz, kiedy weszła, strząsając z siebie nerwowo rękę umundurowanego milicjanta. Wyglądała na zmęczoną, była brudna, miała pod oczami zaschnięte ślady po łzach, ale stała harda, wyprostowana i jakby dumna z siebie.

Milicjant krzywił twarz wyraźnie speszony swoją obecnością w gabinecie należącym do kogoś, kogo znał z telewizji i z gazet. Trzymał mocno za łokieć dziewczynę, a ona próbowała postawić piętę na jego stopie. Była w sandałach, więc pewnie go to nie mogło zabołec.

Jaroszewicz i Hubner wybuchnęli śmiechem na ten widok i Hubner niespodziewanie dla siebie odkrył, że pejsachówka ma na ojców dobroczynny wpływ. Że zupełnie przechodzi im złość, a miłość zostaje bez uszczerbku.

Wstał i ruszył w jej stronę, ale był to krok niepewny i powolny.

– Obywatelu wicepremierze, wszystko załatwione na czysto. – Do gabinetu wsunął się jeszcze jeden mężczyzna, w zwyczajnym, porozciągany, wełnianym swetrze. Kiedyś pewnie zielonym. Na ulicy nie zwróciliby na siebie niczyjej uwagi. Ale nie był speszony ani tym swoim niechlujnym wyglądem, ani okolicznościami.

– Dobrze, majorze, dziękuję panu serdecznie i nie zapomnę.

– Wiem. – Major skinął głową. Wyciągnął z tylnej kieszeni spodni papierosy i podniósł paczkę w górę. – Ma pan może zapalniczki?

– Zapalniczki teraz nie te co przed wojną – westchnął Jaroszewicz – zapala się co czwarta. Ale mam zapalniczkę.

Podał tamtemu ogień.

Major zaciągnął się z wyraźną ulgą.

– Chodźcie, Jeleń, mamy jeszcze sporo roboty – pociągnął posterunkowego za rękaw. Chłopak puścił Sarę i sobie poszli.

– Kurwa, będę miał z tym majorem pod górę. – Jaroszewicz nalał pełną szklaneczkę i wypił spory haust. – No, dziewczyna, opowiadaj. – Kiedy się odwrócił w stronę Sary, znowu się uśmiechał.

Sara tuliła się do ojca.

– Wujku, no mogłabym przeprosić, ale nie będę przepraszać – potrząsnęła głową – nie ma w tym mojej winy.

Hubner trzymał ją za rękę. Głaskał delikatnie. Gdyby mógł, nigdy by jej nie wypuścił, ale właśnie uświadomił sobie, że trzyma ją tak ostatni raz. Dziewczyna przestała być dzieckiem.

Mijały dni, a on nie umiał zapomnieć. Chciał, ale nie potrafił. Kiedy dzieci były małe, wydawało mu się to takie proste. Oczywiście. Będą tak jak on Żydami i Polakami czy może raczej polskimi patriotami żydowskiego pochodzenia, budowniczymi nowego kraju, sprawiedliwego, bezpiecznego i twórczego. Może nie wszystko udało się już osiągnąć, może niektórzy szli odrobinę na skróty, ale to był zły czas i nikt nie chce do tego wracać. Ale byli na dobrym kursie. A teraz nie wiedział, kim będą, ale wiedział, że już nie ma na to wpływu. Na radykalny, rewolucyjny socjalizm swojego syna, który chciałby tak na dobrą sprawę obalić rząd i oddać władzę w ręce demokratycznie wybranych rad robotniczych, bo zupełnie bezrozumnie brał idee za prawdę. A Sara? Sara stała po stronie tych, którzy biorą po grzbiecie, choć nawet nie identyfikowała się z ich religią. Stracił ich. Oboje wychował źle.

– A może dobrze? – Hela, która chyba przestała już walczyć z ociężałością bioder, ale wciąż miała ten sam dziewczęcy uśmiech, mówiła mu nocą, kiedy nie spał, że dobrze. Że wychowali ich oboje na ludzi, którzy idą za tym, w co wierzą.

A lato było upalne tego roku. Komuniści urządzili 22 lipca największą paradę w tysiącletniej historii Polski. Tak wielką, żeby całkowicie przykryć wspomnienie o kościelnych obchodach. Na Marszałkowskiej stał tłum. Na trybunie honorowej marszałek Spychalski mówił o wierności tysiącletniemu państwu polskiemu, Polsce Ludowej, pokojowi i socjalizmowi. Na ścianie wschodniej wisiał monstrualny transparent z napisem „Niech żyje Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, Przewodniczka Dzielnego Narodu Polskiego”. Towarzysz Gomułka był rozpromieniony. Towarzysz Moczar nachmurzony, bo na trybunie stało kilku Żydów, a on uważał, że powinni stać tylko partyzanci. Odrzutowe migi przeleciały w formacji przypominającej kształtem orła. Orzeł był bez korony. Potem przetoczyły się pod oknami Pałacu Kultury czołgi, katusze, transportery, samochody, a za nimi najpiękniejsze dziewczęta z kwiatami, aktorzy scen warszawskich, sportowcy, grupy rekonstrukcyjne. Zaczęło się od drużyny pieszej w strojach wojów Mieszka, potem jechali konno rycerze piastowscy, drużyna wojów spod Grunwaldu, husaria, dragoni Księstwa Warszawskiego. Wszyscy, tylko nie legioniści Piłsudskiego i nie powstańcy Warszawy.

Gomułka był zadowolony, przekonany, że z Kościołem wygrał. Tego ich papieża na obchody do Polski nie wpuścił. Wyszyńskiemu paszport odebrał. Pomysł Jaroszewicza, żeby na tysiąc lat wybudować tysiąc szkół, udał się doskonale. Zbudowali tych szkół tysiąc czterysta pięćdziesiąt. Plan ministra Motyki, żeby artystów zaangażować w walkę z klerykalizmem, okazał się doskonały. W niedzielę, w godzinach kiedy się szło do kościoła, telewizja wyświetlała filmy z Rogerem Moore'em, a kina zagraniczne filmy. Na *Działa Navarony* i na *Rio Bravo* towarzysz wybrał się osobiście.

Ale najlepszy był pomysł, żeby nakręcić *Czterech pancernych*. Premiera była w piątek 13 maja na uroczystości maryjne, a potem Janusz Gajos i Franciszek Pieczka odbyli turę niedzielnych spotkań po Polsce, żeby odciągać uwagę od kościelnych wydarzeń. Był nawet plan, żeby sprowadzić Beatlesów, żeby zagrali na jasnogórskich błoniach, ale menadżerowie zespołu odmówili. Dejmek wystawił na zamówienie partii antyklerykalną sztukę Rolfa Hochhutha pod tytułem *Namiestnik* o tym, jak to katolicki papież w czasie wojny odmawia Żydom pomocy w ucieczce przed bandytami, obojętny na ich dramat jak ryba w akwarium.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

TERAZ

W lobby kancelarii Łoskowski i Partnerzy najciekawsze było wielkie akwarium z rybami. Wypełniało całą ścianę pomieszczenia, nie licząc ukrytej za dębową boazerią maszynerii niezbędnej do tego, żeby natlenić i ogrzać tę masę wody. W zakamarkach sztucznej rafy kryły się barwne ryby. Nawet murena. Ciekawe, czym karmią tego mordercę.

Dziewczyna miała czarną sukienkę, perłowe paznokcie i kiedy wszedł do kancelarii, ona wstała, żeby go powitać. Fotel za jej biurkiem był tak wielki, że mógłby pewnie wznieść się w powietrze, gdyby tylko otworzyć mu okno.

Pan Szlaski? To pan do mnie dzwonił?

– Tak, ja w sphaście zniesienia współwłasności niephawnie nabytej przez zasiedzenie...

– O tym opowie pan panu Offirskiemu, proszę spocząć, napije się pan kawy? Herbaty? Pan mecenas będzie wolny za kilka minut.

– Dziękuję, hehbaty chętnie. – Specjalnie przyszedł wcześniej. Nie miał planu, chciał po prostu zobaczyć, jak wyglądają. Popatrzeć im w oczy. Był pewien, że kiedy zobaczy to, co warto zobaczyć, rozpozna od razu. Czuł się nieswojo w tej skórzanej kurtce, ale przecież nie będzie kupował garnituru z powodu udawanej wizyty w jakiejś kancelarii. Zresztą nie miał prawa tu być. Nie miał prawa tu być służbowo. Ale poczuł impuls. A on zawsze słuchał intuicji. Podobno mają ją tylko kobiety i policjanci.

Dziewczyna postawiła przed nim herbatę.

- Słodzi pan? Pewnie nie, bo kto dzisiaj słodzi?
- Nie, nie słodzę, bahdzo dziękuję.
- Chce pan poczytać? Mam kilka magazynów...
- Dziękuję bahdzo, jeśli pani pozwoli, popatrzę na hyby.

Usiadł tak, żeby z bliska przyjrzeć się temu, co się dzieje w akwarium. To było intrygujące, Szymon przez chwilę śledził ryby i krewetki, ale nagle zorientował się, że za tą grubą, zniekształcającą proporcje szybą i za gęstwiną roślin jest druga szyba, a za nią gabinet. Przez szkło i pół metra wody wszystko wydawało się wykrzywione, zielone, niewyraźne, ale dwaj ludzie, którzy rozmawiali ze sobą, wydali mu się... no właśnie. W kontaktach z bandytami Szymon miał sporą wprawę. A może, jak czasami podejrzewał, miał po ojcu talent do rozpoznawania, kto jest kim, i pod maskami profesjonalizmu, zamożności, wykształcenia, ogłady, nawet nonszalanckiej, ujmującej charyzmy umiał dostrzec skazy. Blizny, piętna, mrok. Nie wynikało to z jakiejś wysublimowanej, intelektualnej analizy, był to raczej instynkt. A może jakieś pęknięcie z czasów dzieciństwa, jego własna rana, która zrosła się na okrętkę, raczej sfastrygowana niż porządnie zaszyta. Kiedy był dzieckiem, widywał ten mrok w oczach ojca. Nigdy nie pytał o przeszłość. Matka nauczyła go nie pytać. Nauczyła mówić: dzień dobry, jak wam minął tydzień, i siorbać rosół przy wtórze telewizji każdej niedzieli, kiedy przyjeżdżał z internatu. A potem z uczelni. Nie pytał. Nawet kiedy przerósł ojca o pół głowy i myślał czasami, że dałby mu radę na rękę. Ale na pięści już nie. Nie potrafiłby uderzyć tak, żeby zabić. A ojciec? Były lata, kiedyś, kiedy Szymon jeszcze był dzieckiem, że ojciec przynosił ze sobą do domu ciemność. Nie, nie chodziło o pijaństwo. Albo że śmierdzi strachem, czy może była to jakaś inna, równie zła woń. Obca, straszna. Przypominała chłopcu baśń o krzesiwie. niesprawiedliwa, okrutna i podła. Nie rozumiał, dlaczego żołnierz odrąbuje głowę wiedźmie, która nic złego mu przecież nie zrobiła. Nie pojmował, dlaczego trzy wściekłe, zaczarowane psy rozszarpują sędziów i króla, a jego córka wcale się tym nie

martwi, nie płacze, ale wychodzi za mąż za człowieka, który poszczuł jej tatę. Czasami jego własny ojciec przyjeżdżał do domu po kilku dniach i czuć było od niego zapach odrąbanej głowy. Tak go Szymon nazywał. I tego zapachu się bał. I bał się też, kiedy tata nic nie mówił. Patrzył na niego, ale jakby nie dostrzegał, jakby przewiercał na wylot, jakby on nie istniał. Raz kiedyś Szymon zajrzał mu do teczki w poszukiwaniu czekolady. Miał pięć lat. Nie mówił „r”. I wtedy jeszcze nie wiedział, że tak mu już zostanie. W teczce były zdjęcia jakiegoś pana, który spał na białym łóżku. Miał czarne ubranie i ta czerń zjadała mu ręce. Ręce były związane. I nie miał oczu, w miejscach oczu też była czerń. Nogi też miał związane sznurem.

– Smarkaczu, spierdalaj, bo jak ci przypierdołę, popamiętasz, kurwa... że też ziemia nosi takie ścierwo. – Nie, nie krzyczał. Syczał te słowa.

– Sznuhem – powiedział Szymon – sznuhem.

I co z tego, że to był jedyny raz, kiedy ojciec odezwał się do niego w taki sposób? Zawsze już został między nimi ten „sznuh”.

Czasami jedno słowo zmienia życie na zawsze. Trzeba przyznać, że ojciec odpracował. Że się bardzo starał. I chyba mu się udało odbudować ten ich wspólny dom ze zgliszczy, z popiołów. I tylko czasami Szymon podejrzewał, że matka nie uciekła z lęku. Patrzył na nią, a ona wyczuwała to spojrzenie, podkręcała telewizor i oglądali razem film. Ale on myślał, że gotuje ten rosół ze strachu, że ojciec i tak ich odnajdzie. Dokądkolwiek by nie poszli, znajdzie ich. Był przecież psem. Najlepszym. Doskonałym. Potrafiłby odgryźć głowy sędziom i królom.

O tak. Szymon potrafił rozpoznać zło.

I właśnie zrozumiał, że teraz na nie patrzy przez grubą powiększającą szybę, wodę słoną i pełną życia, i jeszcze jedną, zieloną, dziwną, grubą jak soczewka, zniekształcającą świat szybę po drugiej stronie. Możliwe, że widział tylko cień. Zbyt niewyraźny, żeby potrafił to racjonalnie wyjaśnić, ale jego wewnętrzny barometr wychylił się i nic nie mogło tego odwrócić.

Mrowiło go w karku.

Tymczasem po drugiej stronie tego akwarium Druid stał przy oknie i spoglądał na Nowy Świat.

– No oczywiście, że mnie posłucha, przecież tłumaczyłem panu, że jego przypadłość skutkuje uwarunkowaniem na komunikaty tekstowe. Jest wariatem, to prawda, ale wariatem, który potrafi zrozumieć i wykonać każdy rozkaz.

– Rozumiesz, że nasi mocodawcy muszą mieć pewność? Absolutną pewność, że jest skuteczny i dyskretny.

– Na to ja daję gwarancję. Byliśmy w akcji nie raz i nie dwa. Jest najbardziej skuteczny ze wszystkich, jakich znałem.

– Był – mecenas Łoskowski zaczynał się irytować – i to właśnie ten tryb dokonany mnie niepokoi. Chciałbym cię poprosić, żebyś... ale za chwilę będzie po mnie pan Przemysław, jestem umówiony na lunch z posłem z tej komisji reprivatyzacyjnej i nie powinienem tego spotkania przegapić... Nasi mocodawcy byliby niepokieszeni, więc powiem krótko i bez ogródek... – Mecenas sięgnął po szklanekę wody. Nigdy nie pił alkoholu przed zmrokiem i nigdy nie jadał mięsa po osiemnastej.

– No czekam, proszę mówić. – Druid odwrócił się od okna, podszedł do akwarium i postukał palcem w szybę. Szyba była gruba, zbyt gruba, żeby murena mogła go usłyszeć. Kiedy podniósł wzrok, wydało mu się, że ktoś na niego patrzy, ale widział tę twarz niewyraźnie, ponieważ gabinet mecenasa tonął w słońcu, a po drugiej stronie akwarium panował mrok.

– Istnieje tylko jeden sposób, żeby sprawdzić, czy ten twój, jak go nazywasz, wariat rzeczywiście potrafi być skuteczny.

– Jaki?

– Trzeba wyeliminować jakiś przypadkowy, z niczym niezwiązany obiekt.

– Nie widzę problemu. – Druid wzruszył ramionami.

– Trzeba to zrobić w miejscu publicznym, wśród ludzi, najlepiej ostrym

narzędziem. Wtedy będziemy mieli pewność, że twój kandydat ma odpowiednie kwalifikacje. Zadanie trzeba wykonać w ciągu tygodnia. Tu, w teczce masz informacje. To przypadkowy obiekt, losowo wybrany przez komputer, więc nie ma z nami nic wspólnego. Pisze do prawicowych gazet artykuły o tematyce religijnej, o roli Kościoła w historii i kształtowaniu tak zwanej europejskiej tożsamości. Świat nie będzie po nim płakał, a dochodzenie będzie zapewne skierowane w stronę jakichś politycznych uwarunkowań. Musimy sprawdzić, czy nikt nie będzie szukał twojego człowieka.

– Szukał to będzie, ale nikt nie znajdzie – uśmiechnął się Druid. Roztarł kark. Dzisiejszy trening był wyczerpujący. Lubił tę nową siłownię w Zachodnim Brzegu. Te wielkie okna z widokiem na rzekę i na Stadion Narodowy. Nigdzie nie było tak znakomitego wyposażenia. Ale czasami wydawało mu się, że trenuje zbyt długo. Kark bolał. Może to już starość? – pomyślał. *Shit happens.*

– Dlaczego nie znajdzie? – zapytał mecenas. Nagle jego komórka piknęła, sprawdził, a potem podniósł się z fotela i podszedł do drzwi. Położył rękę na klamce. Otworzyły się bezgłośnie.

– Naszych mocodawców bardzo interesuje, żeby nikt ich z tą sprawą nie wiązał, żeby nie istniały żadne koneksje, nic – podkreślił.

– Niech pan będzie spokojny, nie będzie ich nic łączyło, nikt niczego nie znajdzie, bo mój człowiek nie istnieje.

– W jakim sensie? – Mecenas zatrzymał się w pół kroku.

– Nie ma go. Ani w żadnej bazie danych. Ani pod żadnym adresem. Nie ma telefonu. Nic nie ma. Ma tylko mój komunikator.

– Obmyśl sprawę. Na test masz tydzień. Pierwszego maja robota musi być wykonana bez pudła. No! To dopij drinka, nie musisz się spieszyć.

Łoskowski odwrócił się i dopiero teraz zauważył, że przy stoliku w lobby, jak nazywali pokój asystentki, siedzi jakiś człowiek. Ciemne, potargane włosy, ziemista cera, skórzana kurtka, pewnie naprawdę stara,

choć teraz nie odróżnisz starej od profesjonalnie postarzonej. Ciekawe, ile usłyszał.

Spojrzeni sobie w oczy.

– Pan mecenas Offihski? – Tamten podniósł się i wyciągnął rękę. Wysoki. Kiedy siedział, nie wydawał się tak wysoki.

– Niestety, mój partner urzęduje za drzwiami po prawej stronie. Łoskowski.

Tamten miał twarde dłonie. Pewnie jakiś przedsiębiorca, może warsztat prowadzi? Ciekawe. Ciekawe, kto go do nas skierował. Ciekawe, kurwa, ile usłyszał.

– Pani Basiu, wróć za dwie godziny, gdyby ktoś dzwonił.

Szymon poczuł uścisk tej ręki, suchej, ciepłej, żylastej. Nie pasowała do zimnego, bystrego spojrzenia. Nie mógł powiedzieć, że jest bezlitosne. Raczej że nie ma w nim żadnych emocji. Jakbyś spoglądał w oczy wypchanego zwierzęcia. Ale była w tym szarym spojrzeniu wąskich źrenic jakaś skupiona siła.

To właściwy adres, pomyślał. To, co usłyszał, nic mu nie mówiło. Ale czuł, że jest we właściwym miejscu. Dobrze byłoby rzucić okiem na tego, który został, żeby dopić drinka... Ale może lepiej teraz wyjść? Nie narażać się na spotkanie z tym drugim prawnikiem? Jeśli jest dobry, zaraz odkryje, że coś tu jest nie w porządku... No, ale jak teraz wyjść? Wtedy, jeśli przecucie go nie myli i to są źli ludzie, nabiorą podejrzeń. Musi zostać.

Dopił herbatę.

Pomyślał, że ten, który właśnie wyszedł, miał w sobie zapach drapieżnika. Wilka. Nieważne, czy jesteś w dobrym garniturze i potrafisz wysławiać się jak najlepszy amerykański kaznodzieja: wilk to wilk. Drapieżniki wyczuwają się nawzajem. Szymon poczuł moc emanującą od tamtego człowieka. Ale i tamten poczuł, że Szymon się nie boi. A nie boi się przecież albo głupiec, ignorant, albo ten, który rozumie.

Otworzyły się drzwi po prawej stronie i mecenas Offirski wylewnie

pożegnał starą damę, kurtuazyjnie podając jej płaszcz i kapelusz. Potem pani Basia dokonała prezentacji i Offirski przepuścił Szymona w drzwiach.

Druid kończył drinka i przeglądał teczkę pana dziennikarza. Gruby, zarośnięty, co pomagało ukryć podbródek, publicysta, ekspert rządowej telewizji, obnoszący się ze swoim katolicyzmem strażnik małżeństwa jako nierozzerwalnego związku kobiety i mężczyzny, pogromca gender i szyderca specjalizujący się w piętnowaniu środowiska LGBT. Jedenaście tysięcy followersów na Facebooku, wkleja filmy ze swoimi mądrościami na YouTube. Chuj, normalnie jakiś chuj. Będzie skandal, ale nie będą po nim płakać. Ciekawsze były raporty z jego zwyczajów. Zawsze bywał na mszy w niedzielę w Świętej Annie. Dobre miejsce. Tłum zapewniony, akcja spektakularna. Blisko rzeki. Luter lubi być blisko rzeki. Musi głęboko wbić ten nóż, grubi nie są łatwym celem.

Tymczasem Olga siedziała za swoim biurkiem głodna i zła na siebie. Niepotrzebnie dała Literatowi zniknąć. Powinna się była bardziej postarać. W ogóle powinni byli urządzić na niego obławę, obstawić miejsce ludźmi, byłby spokój. A tak ma na mieście gościa z bronią. Wariata, który w dodatku świetnie biega. Poza tym martwiła się, bo Szymon nie odbierał. Wykręciła numer jeszcze raz. Pięć sygnałów. Nic. Może spał? Pewnie tak. Siedział całą noc, patrzył na nią, może głaskał ją po włosach, po tłustych, niesfornych włosach zaniedbanej dziewczyny.

– No jak, szefowo? – Kosiński wszedł tyłem, niosąc w rękach kubki z kawą. – W sumie nieźle nam poszło.

– Idź ty – uśmiechnęła się na tę kawę z wdzięcznością – wiesz, że ty masz rację. Jest w tym gościu coś dziwnego.

Wpatrywała się w jego zdjęcie.

– Za dobry jest na to, żeby być zwyczajnym żulem. To się wszystko nie trzyma przecież kupy.

– Powinniśmy posprawdzać ten ślad o szpitalu wojskowym – powiedział Kosiński.

– To może być dobry trop. Spisałeś się. W sumie dzięki temu nie zmarnowaliśmy dnia. Ale jak to sprawdzić? Do ministra obrony mam pisać? Kurwa. Do żandarmerii? Ja nie znam ich procedur. Od czego zacząć?

– Jak ja nie wiem, od czego zacząć, dzwonię do Artura.

– Do twojego kumpla z abwery?

– Tak. On ma spore możliwości. Że tak powiem, poza oficjalnym obiegiem dokumentów.

– Wiem, pamiętam, pomógł nam kiedyś z programem do rozpoznawania twarzy. No to dzwoń do niego.

– Ile mu mogę powiedzieć?

– Poza obiegiem dokumentów? Wszystko.

– Żartowałem. I tak o wszystkim ode mnie słyszy.

1967

Wszystko, co słyszał, wydawało mu się złym snem. Koszmarem. Jakby schodził do Szeolu i nie było żadnego dźwięku, który mógłby go przed tym ocalić.

„W związku z tym, że agresja Izraela na kraje arabskie spotkała się z aplauzem w syjonistycznych środowiskach Żydów – obywateli polskich, którzy nawet z tej okazji urządzali libacje, pragnę oświadczyć co następuje: nie czyniliśmy i nie czynimy przeszkód obywatelom polskim narodowości żydowskiej w przeniesieniu się do Izraela, jeżeli tego pragnęli – Gomułka wymawiał słowa starannie i dobitnie, słysząc było w tym kąśliwym tonie z trudem skrywaną satysfakcję. Hubner nie mógł uwierzyć temu, co słyszy w radio. – Stoimy na stanowisku, że każdy obywatel Polski powinien mieć tylko jedną ojczyznę, Polskę Ludową. – Związkowcy obecni na zjeździe w Łodzi podnieśli aplauz i na moment Gomułka musiał przerwać. – Władze państwowe traktują jednakowo wszystkich obywateli Polski Ludowej bez względu na ich narodowość. Każdy obywatel naszego kraju korzysta z równych praw i obowiązków i na każdym ciężą jednakowe obywatelskie obowiązki wobec Polski Ludowej. Ale nie chcemy, aby w naszym kraju powstała piąta kolumna! Nie możemy pozostać obojętni...”. – Profesor wyłączył radio.

– Piąta kolumna! Kurwa jego mać.

Wykręcił numer.

– Pan wicepremier jest naprawdę zajęty – usłyszał – nie mogę pana

połączyć. Proszę pozostawić numer, przekażę.

Telefon milczał godzinę. Milczał drugą. Hubner palił fajkę i pił wódkę. Żałował, że nie ma dzisiaj zajęć ze studentami, bo powiedziałyby na głos, co o tym myśli. Im więcej pił, tym bardziej pragnął opowiedzieć o wszystkim. O szlaku na Berlin. O Syberii. O tym, kurwa, że to jego kraj. Tak samo jego jak Gomułki albo może nawet jeszcze bardziej.

Patrzył na portret matki. I wydawało mu się, że jej twarz na obrazie Witkacego nabiera coraz ostrzejszych, coraz bardziej nieprzejednanych rysów.

Matka nie akceptowała by takiej ilości alkoholu.

– Hej. – Hela zajrzała do pokoju. – Rosołu ci zrobiłam, zjesz?

– Nie mogę, miła. Może on jednak oddzwoni... a może nie oddzwoni. Może już mu nie wolno do Żydów się przyznawać, do piątej kolumny.

– Chodź, zjesz, przecież usłyszymy, kiedy zadzwoni.

– Nie zadzwoni.

– To przyniosę ci tutaj, chcesz? Postawimy talerz na stoliku.

Nigdy nie jedli w bibliotece. To była jedna z nienaruszalnych zasad w tym domu. Żadnych woni innych niż fajka w pokoju pełnym książek. Hubner zrozumiał, że coś się nieodwołalnie skończyło. I że Hela o tym wie. Że wie więcej, niż mu mówi. Więcej niż mógłby ją o to podejrzewać. Wiedziała, kiedy Sara poszła z tym Pawliszukiem do Kongresowej na koncert tych okropnych, wyzywających Rolling Stonesów. Skąd taki Pawliszук mógł mieć bilety? Jak takiego studenta, który nota bene chyba powinien pisać już pracę magisterską, a przecież niczego nie pisze, stać na Kongresową? Każdy w Warszawie marzył o tych biletach, ale zdobycie ich graniczyło z cudem. O tak, partia miała bilety, bo przecież Rolling Stonesi mogli wystąpić w Polsce tylko dzięki temu, że wnuczki Gomułki wyblagały od niego zgodę na ten koncert w ramach urodzinowych prezentów. Zgodził się, ale żałował i nie chciał, żeby mógł tam wejść byle kto, więc bilety rozeszły się pomiędzy członkami partii i organizacji młodzieżowych.

Sara nic mu nie powiedziała. A Heli tak. Hela musiała wiedzieć na długo przedtem. I nie zdradziła się ani słowem.

Może i ją tracił?

Pomyślał, że nie może odmówić tego rosołu. Nie może zostać sam. Był już sam na Syberii. Nie, nie sam, był z Piotrem. Przyjaźń jest dobra na trudne czasy. Ale miłość też jest dobra. Nawet na zawsze.

– Nie, nie przynoś – zdobył się na uśmiech – już z tobą idę. Nie chcę jeść sam. Nie chcę nigdy być sam, wiesz?

Wiedziała, że wypił zbyt wiele. Pił ostatnio każdego wieczora. A picie wódki nie jest dobre dla Żyda. Dla Polaka też nie jest dobre. A dla Żyda Polaka to już na pewno. Wiedziała, że będzie mu trudno wstać. Że się tego wstydzi. Tak samo, jak wstydził się zadyszki, kiedy szli po schodach. Jak się wstydzi bólu pleców i tego, że ślepnie. Nie zakładał okularów nawet do czytania.

– Chodź. – Wyciągnęła do niego ręce. – Chcę cię przytulić.

Złapał te dłonie i pozwolił się pociągnąć w górę, a potem prosto w ramiona i do ust. Lubił to, że była wysoka. Tak samo wysoka jak on. Wcale nie tak jak żydowskie kobiety, które starzejąc się, malały, kurczyły, jakby je wsysało do środka. Hela była wysoka i piękna. Siwiała coraz bardziej. I miała coraz szersze biodra, ale wciąż nie musiał się nachylać, żeby ją pocałować.

Jedli w milczeniu. Tylko we dwoje. Sara była z Pawliszukiem w kinie na tej nowej komedii muzycznej z Łazuką i Fedorowiczem, którzy zakładają zespół muzyczny, żeby spłacić dług za syrenkę. A może na tym francuskim, o którym teraz tak głośno? Na *Szczęściu*? Szymon poszedł na jakieś zebranie czy prywatkę. W każdym razie jedli sami.

– Pojedziemy nad morze – powiedział. – Chcę jeszcze raz mieć was wszystkich blisko.

– Tak, dobrze pomyśleć – uśmiechnęła się. Kosmyk włosów wysunął się jej zza ucha. Miała nową fryzurę. Taką samą jak dziewczyny z okładki

ostatniego numeru „Przekroju”. Plewiński sfotografował kilku lotników wojskowych i dwie dziewczyny na lotnisku.

Podobała mu się.

– Pojedziemy nad morze. Samochodem.

– Ale to przecież bardzo daleko.

– Daleko, ale kupiłem tę syrenkę, żebyśmy mogli pojechać nad morze, więc pojedziemy. Tego lata. Kupię nam dwa namioty. Albo wypożyczę z PTTK-u, znam tam ludzi. Ile taki namiot może kosztować? Może z pięć tysięcy? Może cztery i pół? No bo nie chcemy tego małego przecież.

– A sądzisz, że oni zechcą z nami pojechać?

– No ba... a jutro zabieram cię do Kurylewicza.

– Dokąd?

– Na Starym Mieście Kurylewicz i Warska otworzyli lokal. Piwnicę, słyszałem od znajomych. Można się napić koniaku, można wypić kawę. Jest tam cała ta jego kolekcja puzonów, które przywiózł z całego świata. No piękne miejsce. Chcesz?

Wtedy usłyszeli telefon. Hubner zerwał się, poruszony talerz zadzwieczał, ale nie było tam już nic, co mogłoby się wylać. Tylko natka pietruszki odłożona na brzeżku.

– Słyszałeś? – zapytał Hubner od razu. – Piąta kolumna? No jak tak można, jak można? Co ja Niemiec jestem? Będę gwałcił, mordował i zamykał w obozach? Kogo, studentów moich? No kurwa mać.

– Ty nie bierz do siebie – powiedział Jaroszewicz uspokajającym tonem – w polityce trwa wojna. Zawsze trwa jakaś wojna. Ta, która się obecnie toczy, nie dotyczy ani ciebie, ani mnie, ani naszych dzieci.

– No a kogo?

– No a towarzyszy radzieckich obchodzi. Nie słyszałeś? Towarzysze radzieccy zażyczyli sobie, żeby obóz demokratyczny jednoznacznie potępił izraelską agresję. Gomułka nie miał wyboru.

– Ale o piątą kolumnie nie musiał powiedzieć.

– I w jutrzejszych gazetach, które wydrukują treść przemówienia, tych słów nie będzie.

– Ale, kurwa, na własne uszy słyszałem.

– Ja też słyszałem, ale radzę tobie, zapomnij. Ty zapomnisz, ja zapomnę i towarzysze Gomółka zapomni. Moczar będzie pamiętał, bo to woda na jego młyn. Ale to nie jest ani twoja wojna, ani moja. Pamiętaj. Gomółka musiał potępić agresję izraelską. Musiał powiedzieć, że to właśnie amerykański imperialistyczny spisek do tego doprowadził. A towarzysze radzieccy obiecali wsparcie i pomoc Egiptowi, a Egipt cały ten potencjał zmarnował. A Izrael, odkąd służby odkryły tajne porozumienie ministrów obrony Niemiec i Izraela, nie ma dobrego obrazu w naszym rządzie. No sam przecież rozumiesz.

– No ale przecież nasi się temu sprzeciwili. Nie chcieli brać tej niemieckiej pomocy.

– Jacy nasi, jacy nasi...

– No kapral Biegun, Menachem Begin...

– Jaki on nasz?

– Nasz. Osiem lat w łagrze przesiedział. Wyszedł z Andersem. Ale gdybyś ty i ja miał szansę wyjść z Andersem, to byśmy poszli.

– Nasza szansa była inna. I tego już nie odwrócisz.

– Ale polski Żyd to polski Żyd. Nie zdezerterował. Uzyskał zwolnienie z Armii Polskiej, zwolnienie z przysięgi Rzeczypospolitej i dopiero wtedy zaczął budować Izrael. No i pieniędzy od Niemców brać nie chciał.

– Ale przecież tam kto inny rządzi. Begin w opozycji. Bez znaczenia. Muszę kończyć, bo mam w dupie rozgrzany pogrzebacz z tym przemówieniem. Ucałuj córkę.

Hubner słyszał już tylko sygnał odłożonej słuchawki. Nie uspokoił się. Wszystko w nim się buntowało przeciw Gomółce. Oddałby te swoje

wojenne odznaczenia, ale na całe szczęście wódka odebrała mu zdecydowanie i do nikogo w tej sprawie nie zadzwonił.

Siedział w fotelu w milczeniu, trochę drzemiąc, a trochę nasłuchując powrotu dzieci, aż w końcu zasnął na dobre, fajka wypadła mu z ręki i dopiero wtedy Hela przyniosła kraciasty, szary pled, żeby okryć mu nogi.

Nigdy by sobie nie pozwolił okazać przy niej takiej słabości, ale ona wiedziała, że nawet jeśli jesteś specjalistą od niskich temperatur, to nic nie uchroni cię od przeziębienia.

Nie spał spokojnie. Śniły mu się trupy z syberyjskich wagonów. Nikt w Polsce nie wiedział, poza może kilkoma rezydentami KGB, że wojna izraelsko-egipska wybuchła dzięki radzieckiej prowokacji, kiedy Nikołaj Podgorny, przewodniczący Rady Najwyższej, przekazał wiceprezydentowi Egiptu Anwarowi Sadatowi tajną notatkę o mobilizacji sił Izraela na granicy z Syrią. Egipski rząd uznał, że to przygotowania do inwazji, i nie rozważał nawet możliwości, że Rosjanie ich oszukali. Egipt ogłosił mobilizację i przrzucił własną armię na półwysep Synaj, żądając ustąpienia sił międzynarodowych. Izrael zareagował, stawiając armię w gotowości. Po kilku tygodniach, 5 czerwca, Egipcjanie ostrzelali siły Izraela w Strefie Gazy. Izrael w sześć dni rozpieprzył siły przeciwnika w drobny mak, zdobywając Synaj, Golan, Zachodni Brzeg, Jerozolimę i część terytorium Jordanii. W wyniku konfliktu na Kanale Sueskim zostały uwięzione dwa polskie statki: M/S Djakarta i M/S Bolesław Bierut, więc Moskwa zażądała, żeby PRL zerwał stosunki dyplomatyczne z Izraelem. W sierpniu Hubner postawił na swoim i choć dzieci się buntowały, syrena 105 potoczyła się w stronę Trójmiasta. Kobiety siedziały z tyłu, Szymon prowadził, a Hubner spał na przednim siedzeniu, marudząc, że opada mu głowa. Nocowali na kempingu, jedli rybę smażoną z cebulą, lody i pili mnóstwo wody z saturatorów, a dwudziestego byli w Operze Leśnej. Mnóstwo piosenek, ale zapamiętali tylko jedną.

– Muzyka Czesław Niemien, słowa Czesław Niemen, śpiewa Czesław

Niemen – powiedział Lucjan Kydryński, a potem na scenę wyszedł wysoki chłopak w białej sukmanie z kolorową krajką, obcięty na pazia i, nie czekając na orkiestrę, wykrzyczał właściwie pierwsze wersy.

„Dziwny jest ten świat, gdzie jeszcze wciąż mieści się wiele zła” – podniósł do góry prawą rękę. Sara zakochałaby się bez reszty w tym pieśniarzu, który wydawał się taki sam jak Stonesi, wiotki, smukły, męski, ale przecież tęskniła za Pawliszukiem i nie mogła spać nocami, bo kłębiły się jej w głowie myśli złe i natrętne. Kto tam u ciebie jest, miły? Kto tam u ciebie jest? Szymon nie był zachwycony Niemenem, nie podobała mu się ta jego histeryczna maniera, ale szanował kostium, bo widział w nim ukłon w stronę ludowej kultury. Hela polubiła słowa o tym, że ludzi dobrej woli jest więcej, a Hubner posmutniał, bo dopadła go nagła myśl, że nigdy już nie będą na żadnym koncercie całą czwórką.

Wracali w strugach deszczu i teraz to on prowadził, bo nie miał zaufania do stylu jazdy swojego syna.

Rok akademicki zaczął się spokojnie. Warszawa cichła pod ciemnym nagle, chmurnym niebem, kiedy wszyscy zaczęli tęsknić za słońcem.

W listopadzie przypadała okrągła, pięćdziesiąta rocznica wybuchu Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji. Aby ją uczcić, dyrektor Teatru Narodowego Kazimierz Dejmek postanowił wystawić *Dziady* Mickiewicza.

Szymon był zachwycony. Widział spektakl dwa razy, a potem nagle zdjęli sztukę z afisza, tłumacząc to chorobą Gustawa Holoubka.

– Oczywiście to nie jest prawda – twierdził chłopak. – Holoubkowi zabronili grać, a Dejmekowi kazali zdjąć *Dziady* z afisza, bo się sztuka nie podoba naszej władzy ludowej. Zdjęli, bo ludzie bili brawo za każdym razem, kiedy trzeba. Jak Holoubek w tej białej koszuli z szerokim kołnierzem mówi: „ludźmi gardziłem, nie znałem aniołów”⁹, to przecież mówi o pogardzie naszej, o tym, że się sprzeniewierzyliśmy rewolucji, a kiedy Józef Duriasz jako ksiądz Piotr w brnatnym habicie, z tym zabandażowanym palcem, bo mu Kobuszewski złamał w czasie premiery

palec, wzywa: „módl się, bo Pańska dotknęła cię ręka, słowa głupstwa, najszersza dla mądrych ust męka, obyś o nich zapomniał, niech ci będą za pokutę”¹⁰, to jest nasza pokuta.

– To religijna sztuka jest? – dziwił się Hubner.

– Jaka tam religijna. – Szymon wyciągnął z kieszeni powygniatą stronę z jakiejś gazety. – To wywiad Dejmka, mówi tak: „jako materialista przesunąłem chrystianizm i mistycyzm autora ze sfery dewocyjnej na grunt ludowej obrzędowości, akcentując rewolucyjność i patriotyczność utworu”¹¹. Rewolucyjność i patriotyczność. O nas mówi. A ty nic nie wiesz, nic cię nie obchodzi. Pijesz, czytasz swoje żydowskie książki i nie ma dla ciebie znaczenia, co będzie z krajem, o który walczyliście.

Od Jaroszewicza Hubner usłyszał, że na premierze byli towarzysze Kliszko i towarzysz Kraśko, i że rekomendowali Gomułce zdjęcie spektaklu jako wbijającego nóż w plecy przyjaźni polsko-radzieckiej. Ale ambasador radziecki był zachwycony. Kraśko tłumaczył, że to tylko dlatego, że nie zna polskiego, ale ambasador nie widział nic wszetecznego w antycarskich wypowiedziach, bo przecież w swojej najgłębszej strukturze Rewolucja była wymierzona przeciwko caratowi.

– No ale Gomułka postanowił zamknąć przedstawienie po Nowym Roku, więc jeśli chcesz iść, to się pośpiesz.

W ostatnim, listopadowym numerze „Przekroju” na pierwszej stronie ukazał się wiersz Agnieszki Osieckiej.

W żółtych płomieniach liści brzoza dopala się ślicznie

Grudzień ucieka za grudniem, styczeń mi stuka za styczniem

Wśród ptaków wielkie poruszenie, ci odlatują, ci zostają

Na łące stoją jak na scenie, czy też przeżyją, czy dotrwają?¹²

Hela czytała go i chciało jej się płakać. Kto odlatuje, myślała, kto zostaje?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

TERAZ

– Zostajesz dzisiaj, prawda? – zapytała najpierw.

– A chcesz? Czy może się już hozmyśliłaś? – Wydało jej się, że usłyszała w jego głosie jakąś radosną nutkę.

– Chciałam, ale teraz już nie jestem pewna.

Milczał.

No mów, powiedz coś, cokolwiek powiedz, myślała. Ale milczał. Słyszała hałas ulicy, więc był gdzieś na zewnątrz. Ciekawe, dokąd wychodził. Przecież miał siedzieć w domu. Może wziął te klucze z szuflady i zostawił je w skrzynce? Nie, no przecież by nie wyjechał bez pożegnania. Próbowwała uspokoić te głupie myśli. Skąd się w ogóle takie myśli biorą? Dlaczego nie odbierał? No powinien coś powiedzieć i powinien to powiedzieć pierwszy.

– Nie dzwoniłam do ciebie, bo przy Kosińskim nie chciałam.

– Dzwoniłaś – odparł – wyświetlają się przecież w telefonie nieodebhanne połączenia.

– Żartujesz? W twoim też?

– A kiedy nie odbiehasz, to kto do ciebie dzwoni?

– Nie wiem.

– Jak to nie wiesz?

– Nie wiem, bo nie odbieram. To jakiś tajemniczy wielbiciel. Może mi kwiaty czasem przyśle albo zaparkuje pod domem i czeka, czy pojawię się w oknie. A ja stoję za firanką. Widzę, że pali papierosa. Ciemno

w samochodzie, tylko ten papieros się żarzy.

– Sebio mówisz? – Zmienił ton głosu.

– Nie, coś ty, nikt do mnie nie dzwoni.

– To dobrze, wahto, żebyś na siebie uważała. To baħdzo źli ludzie są.

Naphawdę.

– Jacy ludzie?

– Znalazłem tego mecenasa. Tego, z któhym hozmawiała twoja koleżanka. Ta cóhka Pawliszuka.

– Jak to?

– Przecież miałem go odszukać.

– Miałeś spać.

– Ale znalazłem.

– Jak?

– W sieci. Dzisiaj wszystko jest w sieci.

– I to ci przeszkodziło odebrać telefon ode mnie?

– Pojechałem mu się przyjrzeć i kiedy dzwoniłaś, byłem w tej kancelahii.

– Kurwa... – Pomyślała, że wszystko zepsuł. Że to bład, szkolny, głupi, szczeniacki. Że jeśli to był jakiś ślad, to teraz tamci staną się czujni. A to przecież jedyny ślad w stronę kogoś, kto zabił jej córkę.

– Jak mogłeś być taki głupi?

Milczał. Chciałaby go zwymyślać, skląć, ale wtedy mógłby wyłączyć telefon. A przecież nie chciała, żeby się wyłączył. Chciała, żeby ją uspokoił, żeby wyjaśnił.

– Byłem osthożny. Nie zepsułem niczego – powiedział spokojnie – nie musisz się niepokoić.

– Ale jeśli to są źli ludzie, będą teraz czujni.

– To są naphawdę źli ludzie, ale nie zepsułem niczego. Hobiłem to już wcześniej.

– Co robiłeś? – Teraz nie była pewna, czy irytacja, która ją dopadła, wynikała z obaw, że Szymon wszystko zepsuł, czy też po prostu z lęku o niego. Jeśli to właśnie są ludzie, których bał się Kowal? Ludzie, którzy być może mieli coś na Siwego?

– Hozmawiałem z takimi ludźmi nie haz i nie dwa.

– W pracy?

– Nie. Jadałem w niedziele obiady z własnym ojcem.

– Co masz na myśli?

– Właśnie to. Nie wiem, czy umiem ci wyjaśnić.

– Spróbuj.

– Ojciec pothafi znaleźć odpowiedzi na pytania, które inni boją się nawet zadawać... – zaczął, ale zaraz się zawahał.

– Wiem. Przydało nam się to już kiedyś, pamiętam.

– Oni są tacy sami. Są tacy sami jak ojciec. Pothafiają być bezwzględni i bezlitośni.

– Skąd wiesz?

– Nazwij to przecuciem, instynktem... Nie umiem tego wyjaśnić. Kiedy przestajesz phowadzić samochód na jakiś czas, powiedzmy, że...

– Że miałam wypadek.

– Tak, tak powiedzmy, to potem, po pół hoku siadasz za kiehownicą i pothafisz pojechać, phawda?

– Tak.

– Jak to wyjaśnisz?

– Co jak wyjaśnię? Że jadę?

– Dokładnie. Że się nie musisz uczyć od nowa.

– Nie wiem. Po prostu już to umiem.

– Ja też nie wiem, jak wyjaśnić, że po phostu wiem... Nauczyłem się to hozpoznawać.

Znowu zamilkł. Znowu słyszała tylko uliczny hałas.

- Ale ja nie po to dzwonię.
- Tylko?
- Martwiłam się. Nie odbierałeś.
- Czułem, jak wibhuje telefon, ale wiesz, to kancelahia adwokacka, nie mogłem odebhać.
- A potem?
- Potem ci wszystko opowiem.
- Kiedy?
- Kiedy już coś zjemy.
- Kotlety usmażysz?
- Nie. Dopieho whacam.
- Do domu?
- Do domu – powiedział. – Do domu.
- Dlaczego posmutniałeś?
- Nie, nic. Po phostu moja taksówka już powinna przyjechać. To co? Do zobaczenia.

Wyłączył się. Nie chciał niczego tłumaczyć przez telefon. Ani tego, co myśli o domu, ani tego, co sądzi o ratowaniu świata. Miał w telefonie zdjęcie, które chciał jej pokazać jak najszybciej. Chciał wymyć zęby. Zmyć z twarzy wszystko, o czym sobie dzisiaj przypomniał. Cały ten dziecięcy strach.

– Ja to, broń Boże, nie jestem żadnym rasistą. Dla mnie po prostu każdy Niemiec to Helmut, tak jak każdy Żyd to Mosiek, Mojsze, rozumiesz pan? – zarzekał się taksówkarz i nawet gdyby Szymon mu coś objaśnił, jakby go zapytał: „A co? Każdy Polak to Janusz?”, to przecież taksówkarz by tego nie zrozumiał, bo jego antysemityzm był kompletnie niewinny. Naiwny jak pierwszy pocałunek.

Słuchał więc, a taksówkarz skręcał już w lewo obok Kolumny Zygmunta i Szymon ucieszył się tym nagłym widokiem zamku i ciemnych,

wysokich marcowych chmur, rozwianych jak po nagłym zderzeniu. Wiedział, że jutro pogoda będzie dobra. Po takim wietrze musi być słońce.

– Moja rodzina mieszkała na rogu Żelaznej i Chłodnej – wrócił do niego głos taryfiarza. – Babcia miała metr pięćdziesiąt, kruczoczarne, kręcone włosy, to do niej wszystkie Żydówki w jidysz mówiły, po hebrajsku, jakbyś pan nie rozumiał. A potem była wojna i z okien widziała getto. Bo wysokie były mieszkania, a mur niski. Wszystko widziała z okna w kuchni. A w naszym domu były sklepy. Na przykład ten z mięsem miał szyld „Dzisiaj za pieniądze, jutro za darmo”. I ludzie przychodzili, myśleli, że za darmo będzie, a on zawsze im mówił jutro, jutro przyjdźcie, i śmiał się. No ale jak zrobili getto, to już nie było, wiesz pan, jutra. A najlepszy był ten ze sklepu z używaną odzieżą, bo to przed wojną był doskonały interes. On te męskie ubrania prasował, czyścił i były lepsze jak nowe. Do kamizelek to do kieszonki wkładał po dwa złote. Jak pan przymierzałeś, to czułeś. O, w kieszonce są dwa złote, kupię, zaoszczędzę. I zaraz kupowali. A ta kamizelka była droższa od innych o pięć złotych. Taki to był kupiec...

– Ale tehas spoho się w Wahszawie zmieniło, phawda? Żydów nie ma, nie ma tych intehesów co dawniej.

– No nie ma, nie ma, panie szanowny, teraz to świat schodzi na psy, ja telewizję oglądam, to wiem. Teraz, panie, to Europa całkiem jak ta ruska komuna, nie dają żyć, panie, cisną i cisną. Żeby bananom krzywiznę mierzyć, słyszał to ktoś? A tu widzisz pan po lewo, Chińczyki. Mają własne miasteczko w tej Warszawie, kto to widział? I zawsze milicja obok nich stoi, pilnują. A kto by chciał na Chińczyka napadać? No sam pan pomyśl, chyba tylko Rusek.

– Ale Żydzi przydaliby się tehas, na handlu to oni się znali lepiej od nas, phawda?

– A żebyś pan wiedział, że by się przydali. Bo Polak co potrafi? Kanałami iść do Śródmieścia potrafi. Na Monte Cassino złożyć dupę Helmutom potrafi. No a Moški, to masz pan rację, by teraz złote interesy

robili, złote. Z tej Anglii, z tego Brexitu by wydusili, co się da. Rokefelery i Goldsztajny by tu największe banki miały. Ale nie będzie tego, panie, nie będzie, bo Polak co? Jak wojny nie ma, to sam ze sobą się kłóci. O Bolka, o Smoleńsk. Ja panu szanownemu powiem. Wszystko dlatego, że się ludziom w dupach przewraca od dobrobytu. W tem mieście, panie, to wszyscy udają lepszych, niż są, nowoczesnych, wyzwolonych, ale to wszystko jest na pozór przecież, bo to wszystko słoiki. Oni wszyscy ze wsi, mam nadzieję, że pana szanownego to nie uraża, ale oni się w głębi serca wstydzą, skąd są, tych domów się swoich wstydzą w małych miasteczkach, tych swoich matek w fartuchach przy kuchni, że takie nienowoczesne i że nie zrealizowały swoich życiowych priorytetów, chociaż przecież były na studiach, tych ojców na pomostowych emeryturach się wstydzą i boją się ich pytać, na kogo głosowali. – Przerwał na chwilę.

Szymon patrzył na świat za oknem. Sporo zieleni w tej Warszawie.

– Tej swojej religijności się wstydzą przecież. Obrazków pierwszokomunijnych w dzieciennym pokoju. No ale mieszkają w stolicy nowoczesnego państwa, piją kawę z papierowych kubków, jedzą sushi, chodzą do tych teatrów na szóste piętro, rowery wolą i hulajnogi, dieslom chcą zabronić wjazdu do centrum, jedzą jedzenie z pudełek i chodzą na wszystkie marsze. Ja panu powiem. Mają po trzydzieści, czterdzieści lat i gównio przeżyli. Muszą się wreszcie zbuntować przeciwko rodzicom, więc buntują się najlepiej, jak potrafią, wolą, żeby zamiast religii była w szkołach etyka, mają drogie ciuchy, ale czy są szczęśliwi? Czy człowiek może być szczęśliwy, jak nie wie, kim jest? Kim była jego babka? Czym się zajmował jego ojciec?

Kiedy wysiadł na placu Wilsona, padał deszcz. Postawił kołnierz i pożałował, że nie ma czapki.

Zanim Serbia przyjechała z fabryki, zdążył zamówić pizzę. Pizza z kartonu i piwo. A jednak to był dom.

Oglądali potem film. Położyła mu głowę na ramieniu. Nie było jej

wygodnie, ale nie chciała zmieniać niczego. Ani tego światła z kuchni, ani tego filmu, który widziała już nie raz i nie dwa, ani zapachu czosnku po sosie z małego, plastikowego pudełka. Ani deszczu za oknem. Nie zasunęła zasłon. Deszcz spływał po szybach wytrwale i bez pośpiechu. Chciało jej się sikać, ale przecież gdyby wstała, to wszystko mogłoby się nagle rozpaść.

– Pokażę ci zdjęcie, które zrobiłem. – Wykonał ruch, jakby chciał się podnieść, kiedy na Polsacie zaczęły się reklamy. – Myślę, że to ważne.

– Ale aż tak, żebyś mnie opuszczał?

– No phoszę cię, co ty gadasz? Wezmę telefon z kuhtki.

– No to ja siku zrobię.

Nie było jej długo. Kiedy wróciła owinięta szlafrokiem, Szymon był w kuchni. Zmywał kubki i talerze. Całą tę pieprzoną stertę brudnych naczyń, których nie miała siły pozmywać przez tyle dni.

– Nie musisz tego robić. – Objęła go od tyłu i przytuliła policzek do pleców. – Zaraz się pewnie skończą te reklamy w telewizji.

– Wiem. – Nie przestawał. – Powinienem to być zrobić, kiedy wyszłaś do hoboty, przephaszam, ale wciągnęła mnie sphawa tego adwokata...

Czuła pod policzkiem, jak pracują mięśnie jego pleców, i prosiła w myślach, żeby nie chciał jej teraz opowiadać o tym spotkaniu albo pokazywać jej zdjęć. Chciała tak stać bosymi stopami na zimnych płytkach. Było jej tak ciepło, że gdyby nie stopy pewnie pomyślałaby, że ma gorączkę. Dobrze było obejmować, naprawdę obejmować żywe, ciepłe, ludzkie ciało. Nie prosić o to, nie błagać, nie poniżać się, nie kupować, nie szantażować, nie sięgać po byle co.

– Nie jestem ładna – powiedziała.

– Słucham?

– Nie jestem ładna. Wiem...

Milczał. W jakiś sposób wyczuwał, kiedy nie trzeba mówić.

– Mam pewnie cellulit, mało biegałam przez to wstrząśnienie mózgu.

Nie mam skóry jak nastolatka, ale piersi mam ładne. Naprawdę.

Zacisnęła powieki, bo poczuła, że chce jej się płakać. Co ty, Serbia, popieprzyło cię? Potrafisz w mordę dać bandycie, nie pierdolisz się w robocie, nie pękasz przed nikim, a teraz się będziesz prosić? Tłumaczyć? Jak nie chce to, niech spierdala. Niech spada.

Wysunęła ramiona spod jego pach i odsunęła się nagle.

– Nie – powiedział. Odstawił kolejny talerz. Reklamy w Polsce właśnie się skończyły i pościg samochodowy trwał dalej. Słyszała pisk opon i nawet strzały.

– Co nie? – Och, jakby to było dobrze zapalić.

– Nie puszczaj mnie. Dobrze było. Naphawdę.

Wahała się. Ale Szymon się nie oglądał.

– No, nie daj się phosić.

Objęła go znowu.

– Nie chcę tak – powiedziała.

– Jak?

– Nie wiem. Samej sobie nie umiem tego powiedzieć.

Stała tak znowu i powoli, powoli zaczęła przesuwać policzkiem po jego plecach. Zamknęła oczy. Bardzo powoli. Żeby nie poczuł. Żeby tylko tego nie poczuł.

– Ale może nie myj wszystkiego. Przecież powinnam mieć chłopaka, który ma ładne ręce. Jak pianista...

– Żeby wygrywał na twoim ciele najpiękniejsze melodie? – zapytał. – Same molowe nuty?

– Nie zapomniałeś. – Poczowała ulgę. Nie podniecenie, nie radość, nie wzruszenie. Ulgę.

– Nie, nie zapomniałem. – Zamknął kran i powoli wysunął się z jej objęć. Odwrócił się z tymi mokrymi rękami, wysoki, niedogolony, z oczami podkrążonymi od niewyspania, pełnymi czerwonych żyłek, z grudami

nieoczyszczonej cery, w odrobinę przepoconym podkoszulku, włosami w nosie i zapachem czosnku, który pewnie rozejdzie się po całej kuchni, jeśli powie jeszcze jedno słowo. Najpiękniejszy chłopak na świecie.

– Chcę zobaczyć, jak się kończy ten film – powiedziała. – Chcę, żebyśmy leżeli na kanapie. I żebyś mógł oprzeć tyłek o moje podbrzusze. I żebyś mnie obejmował. A jeśli ci ścierpnie ręka, to masz milczeć i nie wolno ci nawet jęknąć. Okej?

– Okej. – Skinął głową. – Mogę wytrzeć hęcę?

– Tak. – Zdjęła ścierkę z pałaka do zamykania piekarnika. Ścierka była prawdziwą szmatą. Dawno jej chyba nie prała.

– Wytrzyj o mnie. – Uśmiechnęła się.

Tak zrobił.

Leżeli potem na kanapie. Ona oparła pupę o jego lędźwie, a on nie powiedział, kiedy lewa ręka, ta, na której się opierał, zaczęła mu powoli cierpnąć. Prawą wsunął pod szlafrok i dotykał jej piersi, a ona nie patrzyła na film. Ale po co patrzeć, przecież znała go już i dobrze wiedziała, że to się źle skończy.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

1968

– No przecież oboje wiemy, że to źle się skończy.

– Może nie. Może tym razem nie. – Hela próbowała się uśmiechnąć. Postawiła przed mężem talerz zupy. Pomidorowa. Nie było pod słońcem nic lepszego.

– Dobrze, że Franciszek zdążył zamalować, zanim dzieci zobaczyły. – Hubner natychmiast się rozjaśnił. – Szymon i tak nie chce już z nami mieszkać. Chciałby na swoje, najlepiej do akademika by się przeniósł. Gdyby tylko mógł.

– No ale nie może. – Patrzyła, jak sięga po łyżkę. Zawsze lubiła patrzeć, jak jej mąż je. Najpierw, dawno temu, widziała jeszcze czasami, jak się spieszy. Nie jadł jak naukowiec, ale jak żołnierz. Może nawet jak zesłaniec. Szybko, zachłannie, obejmując talerz ręką, żeby go zasłonić przed światem. Ale potem już inaczej. Dostojnie. Jak ktoś, komu nie zabraknie.

– Ale jakby zobaczył, że na kamienicy, którą postawili jego przodkowie, ktoś nabazgrał: „Żydzi do Izraela”, to byś go nie zatrzymała. „Żydzi do Izraela”? Na moim domu? Co to ma być? – Hubner patrzył na swoją rękę. Drżała. No, a przecież nie był jeszcze tak stary, żeby mu miały drzeć ręce.

– Teraz nie myśl o tym już. Teraz niech się ucieszy, że cię zabiera na te *Dziady*.

– To ja jego zabieram przecież. – Siorbnął. – Ja załatwiłem te bilety.

Przed trzema tygodniami poprosił znajomego z politechniki, żeby załatwił, bo jego żona pracowała w Narodowym. Bez tego nie byłoby szans,

bo przecież takie się zrobiło zainteresowanie, że ludzie po kilkadziesiąt kupowali, nikt nie wiedział jeszcze, że to będzie ostatni spektakl. Chciał iść z Szymonem, żeby pozwolić chłopakowi na chwilę triumfu. Na moment, w którym będzie mógł powiedzieć: a nie mówiłem tato, widzisz, widzisz, jak jest? Ludzie chcą prawdy, wolności chcą.

Każde słowo, jakie mógł usłyszeć od syna, znał przecież na pamięć. Każde powtarzał w głowie nie raz i nie dwa. Ale jeśli nie chciał utracić z nim kontaktu, musiał iść do tego teatru. Tego „tato” chciał Hubner jeszcze posmakować.

Gorzej, że na dwa dni przed spektaklem okazało się, że Pawliszuk, jasna cholera, też ma bilety. Że się wybierają z Sarą. A tymczasem wokół przedstawienia nabrzmiała już poważnie atmosfera buntu, rozróby, jakiegoś chorobliwego rozedrgania.

– Jak w pięćdziesiątym szóstym – powiedział do Heli – będzie jak w pięćdziesiątym szóstym. Nie puszczaj jej.

– Ale sądzisz, że dziewczynę da się zatrzymać? Ona z chłopakami pali papierosy na schodach, ciągle tylko o tym gadają. O prawdzie. O tym, że partia chce zamknąć artystom usta, że sama woda w kranie nie wystarczy, żeby być szczęśliwym. Zresztą od tych podwyżek w grudniu to już i tej wody może nie wystarczyć. Wołowina po czterdzieści sześć, a cielęcina bez kości po pięćdziesiąt osiem za kilo! Zamiast jeść mamy kochać Moskwę.

– Tak mówią? – Zupa była tak dobra, że chętnie wylizałby talerz, ale przecież nie wypadało.

– Tak. Ja czasem słyszę.

– No więc jej nie zatrzymamy. – Odstawił talerz, gotowy już na leniwe z kapustą.

– Nie. – Hela zabrała naczynia.

– Ale dobrze przynajmniej, że z Pawliszukiem idzie. Chłopak rozumny jest, krzywdy jej nie da zrobić.

– Ja nie wiem. – Nakładała kluski jakoś nerwowo. – Już na tysiąclecie

Polski poszli razem i on sam wrócił, czyż nie? Nie uchronił. A poza tym ja nie wiem, skąd on te bilety ma. No sam pomyśl. Czy to każdy może iść, kupić?

– Coś podejrzewasz? Że on nie mówi nam prawdy?

– No oczywiście, że nie mówi. Powiedziała ci, że ze sobą sypiają?

– A sypiają? Podejrzałaś ich? Sara ci powiedziała? – zaczął wyrzucać z siebie słowa coraz szybciej. – No skoro wiedziałaś, to trzeba mi było to powiedzieć, tego nie wolno przecież tolerować, nie w naszym domu.

– Proszę cię. – Postawiła mu talerz przed nosem i położyła rękę na karku. Lubił to. Wciąż lubił jej rękę na karku. Ucisnęła go lekko. – Uspokój się. Nie podejrzalam, nie powiedziała, ale jestem przecież kobietą. Widzę, jaka jest szczęśliwa.

– Ale pewności nie masz? Bo jeżeli coś, to wyrzucę na zbity pysk, wyrzucę won!

– Nie krzycz. Szczęśliwa kobieta nie takie rzeczy robi dla mężczyzny. A ty nie mów o sprawach, których nie możesz spełnić.

– A nie mogę? – Z pełnymi ustami wyglądał teraz, jakby był partyjnym notabłem, którego podwyżki nie dotyczą.

– Moim zdaniem nie możesz. Nie widzisz, że on tu jest jakby gospodarzem?

– Przez Sarę?

– Nie. Przez pewność siebie. Przez to cwaniactwo jakieś. Coś się w nim zmieniło, powiem ci. Nie zauważamy tego, bo codziennie się widzimy, ale się zmieniło. Ale dobre, smakuje?

– No dobre, dobre, tylko mnie martwi wszystko. I te *Dziady*, że to najpierw pozwalają grać, przecież premiera miała być na rocznicę rewolucji, a teraz, że zdejmują. Zakazują.

– A ten twój Piotr co mówi?

– Że to Moczara gra jest. Że chce do przesilenia doprowadzić teraz.

– Do jakiego przesilenia?

– Tego nie mówi. – Hubner nie chciał martwić żony plotkami, ale przecież wiedział, że Moczarowi chodzi o to, żeby, jak twierdzi, partię oczyścić z nadreprezentacji Żydostwa.

Poszli.

Teatr obstawiony był przez milicję, musieli poczekać z wejściem, mieli sprawdzać, czy nikt nie wnosi alkoholu, czy może transparentów, ale tłum napierał tak, że w końcu milicja machnęła ręką i ludzka fala wpłynęła do środka. Sara i Pawliszuk mieli miejsca na dole, a oni z Szymonem na balkonie. Siedzące. Ale ludzie stali wszędzie, dosłownie wszędzie, także im za plecami. Duszno. Ciasno. Gwar. Ale o dwudziestej kurtyna idzie w górę i po pierwszym pomruku zachwytu nad monumentalną scenografią zapada cisza. Pierwszy akt bez najmniejszego szelestu, jak makiem zasiał. Guślarz w kozuchu, z różańcem na szyi, z wielkim krzyżem w dłoni rozpoczyna od dedykacji do drugiej części *Dziadów*.

– Za miłość ku ojczyźnie prześladowanym, z tęsknoty ku ojczyźnie zmarłym, w Archangielu, na Moskwie, w Petersburgu, narodowej sprawy męczennikom – wylicza, a Hubner ma ciarki na plecach, bo w jednej chwili widzi przed oczami swoich współwięźniów, ich twarze wychudłe, pomarżnięte, czarne, ich oczy z głodu wytrzeszczone, żółte. Potem diabły krążą wokół śpiącego senatora i otwiera się na scenie ołtarz tak ogromny, jakby go rzeźbił sam Wit Stwosz. Hubner ma wrażenie, że to jakaś religijna uroczystość raczej, a nie spektakl. Dziwi się. Jak to? Dejmek? Ulubieniec Gomułki, który wystawiał jeszcze rok temu antykościelne spektakle? W trzecim akcie cisza pęka wreszcie i wszystko się zmienia. Ludzie biją brawo niemal bez przerwy. Holoubek gra źle, przerysowuje, bo musi przekrzyczeć ten tłum, i cała intymność, jaką potrafił zbudować wcześniej, znika. Nie mówi już więc po prostu, teraz deklamuje, ale tłum tego właśnie chce.

Po to przyszliśmy, myśli Hubner.

– Co myślisz? – Pochyla się do Szymona.

– No nie czujesz? Tu wszyscy teraz są wolni. Rozumiesz, tato? Jesteśmy wolni. To jakby z tego gówna nagle wypłynąć na powierzchnię.

Kurtyna spada i teatr wybucha aplauzem.

– Nasz naród jak lawa! – krzyczy Szymon.

Wtedy i Hubner traci czujność i daje się wreszcie ponieść, bije brawo razem z tłumem, a rzesza ludzi w jakimś niepojętym, może nawet religijnym, choć Szymon powiedziałaby, że rewolucyjnym, uniesieniu krzyczy, faluje, puchnie, jakby miała eksplodować. Grupa księży skanduje: Mic-kie-wicz bez cen-zury. I daje się ich usłyszeć aż na balkonie.

Będzie z tego bieda, przechodzi przez myśl Hubnerowi.

I wtedy ktoś krzyknął: „Pod pomnik! Idziemy pod pomnik!”.

– To Janek! – Szymon pokazał ojcu tego krzykacza.

– Jaki Janek?

– Lityński, z matematyki. Lecę.

Wepchnął się w tłum za plecami, żeby pobiec na parter, a Hubner chwycił go za rękaw, ale nie miał siły, żeby powstrzymać. Ech. Z dołu, od sceny, słyszy tumult, obraca się i widzi, jak grupa chłopaków, młodych ludzi, pewnie też studentów, wskakuje na scenę.

– De-mok-racja bez cen-zury! – krzyczą – de-mok-racja bez cen-zury!

Przez moment słychać tylko ich chór. Tupią i krzyczą. A po chwili cały teatr zaczyna skandować i Hubner wie, że jest źle, bo on przecież nie może pozwolić, żeby Sara znowu trafiła na milicję. Przed chwilą nie miał dość siły, żeby zatrzymać chłopaka, ale teraz ma, rozpycha ramionami tych, co go dzielą od wyjścia z balkonu, co naciskają, krzyczą, widzi ich czerwone twarze, przecież gorąco, oddychać nie ma czym, pot po czołach płynie. Gdzie się pchasz? De-mok-racja bez cen-zury, gdzie się pan pakujesz? Kurwa. A potem w dół schodami, ślisko, ślisko, i w ten tłum na widowni. Nie znajdę, myśli, nie znajdę, chce krzyżeć: Sara! Córko! Ale nie

przekrzyczy. De-mok-racja bez cen-zury. De-mok-racja! Widzi tylko plecy tych, co przed nim, ale musi iść, musi. Przecież przeżył na Sybirze, przeżył dzieci grzebane w śniegu, Berlin przeżył, nie da, żeby mu córkę zepsuli, kurwa. Uderza. Wali w te plecy, nie czuje, że zapłakany, bo gdzie znajdę, Panie? Gdzie znajdę dziewczynę w tym tłumie, nie odszukam, nie, nie odszukam. A ludzie odwracają się, patrzą, jak mężczyzna w garniturze starym, powycieranym przez czas, płacze, i się rozstępują. Rozchodzi się tłum. Jak przed Mojżeszem, więc profesor brnie pchany impulsem niepojętym dla siebie. Prowadź mnie, Haszem, prowadź niewiernego, niewierzącego może nawet, prowadź, bo nie po to dałeś mi to dziecko, żebym je teraz miał utracić tutaj. De-mok-racja bez cen-zury. Pod pom-nik, pod pom-nik, i-dzie-my, i-dzie-my.

Tłum rusza. Hubner traci równowagę, nie da się stać naprzeciw ludzkiej rzeki. Gdyby jeszcze stał pomiędzy krzesłami, ale nie tak, nie na środku, pozwól mi, pozwól mi, Haszem, niech ją znajdę, niech znajdę. Ale w takim hałasie, pośród tylu słów, czy Ty słyszysz? Czy słyszysz, Haszem, który na pustyni rozmawiasz z człowiekiem?

Hubner próbuje się zaprzeć, ale nie potrafi, nie może, porywa go ta ludzka rzeka, tłamsi. Ktoś następuje na stopę, Hubner próbuje cofnąć, ale to na nic, czuje, że upada, osuwa się i wtedy w ostatnim momencie ktoś go łapie uściskiem stalowym, skąd w człowieku może być taka siła?

– Profesorze! – słyszy znajomy głos – w porządku? – Podnosi oczy. Pawliszук kiwa głową, jakby mu chciał powiedzieć: już dobrze. Jestem.

Tymczasem Szymon wybiega z teatru, a tam Dziewulska, którą zna z widzenia, i jakiś chłopak. Nie wie, że to Seweryn, ze szkoły aktorskiej, bo wszystkich przecież znać się nie da. On ma w rękach transparent. Mizerny, bo to tylko kawałek kartonu na dwóch kijach, jakby takich listewkach ze składnicy harcerskiej. Ale trzyma go i każdy może przeczytać. „Żądamy kolejnych przedstawień”. I ludzie gromadzą się wokół niego, bo kto ma transparent, to przecież jest kierownikiem. Przywódcą.

– Co robić? – pyta, bo wszystko nagle się dzieje, nie można przećwiczyć, przemyśleć.

– Pod pomnik, Andrzej! – krzyczy do niego Lityński, ten z matematyki. – Idziemy pod pomnik. Pod Mickiewicza. – I ruszają. Demokracja bez cen-zury.

Pawliszук wyciąga Hubnera z tłumu. Opierają się o ścianę. Sara wystraszona, bo ojciec twarz ma mokrą od łez.

– Dobrze? Wszystko dobrze, tato? Nie boli cię nic?

Hubner kręci głową.

Nic go nie boli. Nawet go już teraz nie boli serce.

– Do domu – mówi do Sary – weźcie mnie do domu. Ja nie dam rady sam.

Dziewczyna widzi, że profesor nie kłamie. Zna go. Wie, że nie powiedziałby, że czemuś nie da rady, gdyby naprawdę nie było z nim źle. Może zawał ma? Boże, żeby to nie był zawał. Szuka chusteczki w kieszeni szczęśliwa, że Pawliszук powiedział, żeby w szatni nie zostawiali ubrania, bo różnie może być. Bo co by zrobiła teraz bez kurtki. A ojciec tak w samym garniturze, zaziębi się. Zimno przecież.

– Musimy wrócić po płaszcz taty, po kapelusz. – Wyciera ojcu czoło.

– Ale ja muszę iść – Pawliszук mówi twardo – ja muszę pod ten pomnik. Po prostu muszę.

– Ja wiem, ja wiem, kochany. – Sara gładzi go po ramieniu. – Idź. Ja zostanę. Niech tata odetchnie. Niech się uspokoje, ale ty idź. Idź za mnie, idź za siebie.

– No – mówi Pawliszук. Nie tłumaczy im niczego. Niech sobie każdy myśli swoje. Tak jest najlepiej. Najlepiej jest nie tłumaczyć. Biegnie. Chce być z tymi, co są na przedzie.

A demonstracja już jest na rogu Moliera i Trębackiej. Milicja wychodzi, otacza studentów. Cichnie nagle to skandowanie. Andrzej wskakuje na

murek i krzyczy.

– Koleżanki i koledzy, rozejdźmy się, nasz cel osiągnięty.

A wtedy Szymon: „Nie, nie, idziemy! Już blisko!”. I nie zatrzymują się. Idą. A milicja rozstępuje się, bo funkcjonariusze nie wiedzą, co robić. A pod Mickiewiczem, pod pomnikiem, Karol Modzelewski z historii z jakimś drugim chłopakiem przeskakują przez tę żeliwną kratę i ustawiają transparencik u stóp wieszacza.

– Wolna sztuka! Wolny teatr! – krzyczą, a potem nie wiadomo, co robić z tym tłumem, może jest z tysiąc ludzi, może dwa tysiące, Szymon nie wie, widzi tylko morze głów.

– I-dzie-my, i-dzie-my – woła ktoś i ruszają w kierunku uniwersytetu. Ale wejść się nie da, bo w bramie stoi milicja. Trzeba iść dalej.

– De-mok-racja bez cen-zury – krzyczą. Ale poza tym spokój, idą Nowym Światem. Na Chmielnej milicja, nie da się skręcić w prawo, więc idą do ronda. I tam milicji jest mnóstwo. Każą się zatrzymać. Lecą petardy, tłum idzie w rozsypkę, jedni do przodu, inni do tyłu. Zostaje tylko Andrzej, ten co namalował plakat.

Nie ucieka.

– O co wam chodzi? – pyta milicjantów, ale nie mówią. Wykręcają mu ręce i pakują do suki.

Szymon nie czeka. Biegnie w kierunku Smolnej, a potem mostem i do rzeki. Nad rzeką nigdy go nie znajdują.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

TERAZ

– Wiem, że lubisz nad rzeką. Nad rzeką nigdy cię nie znajdą. – Druid wyciągnął z plecaka kebab owinięty w srebrną folię. To była jedna z tych spraw, za które cenił Warszawę. Można było kupić gorący kebab nawet o świcie.

Podał Literatowi, a ten wziął paczkę łapczywie, bez namysłu.

– Kurwa, jaki ty dziwak jesteś, Luter. – Druid pokręcił głową. – Mogłeś zostać w ośrodku, po chuj było iść? I teraz co? Co masz w życiu, kurwa, nawet ciepłego nie zjesz...

Odwinął drugi kebab. Był bardzo pikantny.

Żuł przez chwilę w milczeniu. W porannym słońcu chłodne powietrze snuło się nad powierzchnią rzeki delikatnym nalotem siwizny. Trzy kormorany przeleciały nisko, nad samą wodą. Zauważył, że kaczki krzyżówki już się łączą w pary, a jeszcze niedawno na wodzie był przecież lód. A teraz w słońcu wydawało się, że będzie już ciepło. Że wiosnę czuć. Tylko kupy psie wyłazą z każdego kąta.

– Włóczysz się, kurwa... Lepiej było zostać w szpitalu. No, ale co tu dużo gadać, *shit happens*. Się już, kurwa, nie poskleja mózgu, co nie?

Luter jadł łapczywie, kiwając się lekko w przód i w tył. Miał brudne ręce. Jakby kopał w ziemi. I kurtkę poplamioną wilgocią. Druid chciałby wyhaczyć, gdzie on nocuje, ale nie było potrzeby włóczyć się po krzakach na praskiej stronie Wisły. Teraz w błocie to może by się nawet udało go wytropić... Ale po co? Ważne, że wariat przychodził na wezwanie.

Wystarczyło posłać mu sygnał, koordynaty. Przychodził.

– No mogłem nam wziąć po dwa. Następnym razem wezmę po dwa. – Wyjął dwie puszki piwa.

– Teraz popijemy. Zimne, ale co tam, zahartowany jesteś, co?

Luter wziął piwo, ale nie odpowiadał.

Nie wiadomo, co taki ktoś ma w głowie. Może watę. Gównianą różową watę. Ale nie... on miał w sobie maszynię. Potrafił znikać. Potrafił reagować na polecenia. Potrafił się bić. Druid wiedział o tym doskonale. Bili się czasami. Jak dawniej, jak na treningach. To nie jest szkolenie, żołnierzu, walcz. I Luter walczył. Walczył doskonale. I zabijał bez wahania, choć do tej pory tylko psy. Odkąd Druid odszukał swojego dawnego towarzysza w tym miejskim bagnie, w którym teraz tkwił, miał ochotę sprawdzić, co zostało w Lutrze z żołnierza. Był zaskoczony, jak dużo. Wariat, ale wszystkie odruchy w nim zostały. Potrafił błyskawicznie rozłożyć i złożyć broń. Potrafił wciąż strzelać celniej niż Druid. Kark psu skręcał w ułamku sekundy.

Druid lubił szczuć go psami. Psy srają. Nie mają zalet.

A teraz przyszedł czas, żeby wkręcić gościa do prawdziwej akcji. Za prawdziwe pieniądze. Wycisną z tej sprawy dość, żeby Lutra jakoś urządzić. Kupi mu mieszkanie i zatrudni pielęgniarkę. Jakaś fajną dupę. Taką, żeby ją chciał. Ciekawe, czy taki wariat chce dupy. Czy sam to robi? Pewnie nie, nie takimi brudnymi rękami, ale kto go tam wie...

Przebiegły im za plecami dwie dziewczyny. Pewnie ładne. Druid patrzył na ich pośladki w spodniach do biegania. Luter patrzył na rzekę.

– Ciekawe, co to za gnojki za tobą biegły na tym dworcu... Policjanci. Ciekawe, co przeskrobałeś. Ukradłeś coś? Przypierdoliłeś jakiemuś gościowi? Policjanci... Jeden się umiał trochę bić. Ale ten drugi? Pedał jakiś, co nie? Słabizna. Tu masz zdjęcie. Przyjrzyj się. Przyjdzie sygnał, bądź tam. Koordynaty cię zaprowadzą. Poczekasz, nawinie się ten ze zdjęcia, to jest twój. Tylko biała broń. Nóż, bo to w tłumie. Z bliska.

Rozumiesz, co mówię?

Luter patrzył na zdjęcie. Jakby uczył się go na pamięć.

– Rozumiesz? – Tamten stuknął go w ramię.

Luter skinął głową.

– To nie jest główny cel. Sztab chce mieć pewność, że umiesz, więc musisz wyeliminować cel, a potem zniknąć i czekać. Potem dostaniemy to ważniejsze zadanie. Będzie jak kiedyś, Druid i Luter razem, fajnie co?

Luter znowu skinął głową.

– Zdjęcie weź. Jak się napatrzysz, spal. Albo wypierdol do rzeki. I tak nikogo nie obchodzi, co włóczędzy mają po kieszeniach. Wiesz? Miałem lepszy plan. Miałem taki plan, że powieszę tę fotografię na jakimś słupie ogłoszeniowym, tuż przed zadaniem, że to urządzę tak, że podchodzisz i od razu jesteś gotowy, czytasz zdjęcie, podchodzisz, uderzasz. To by było na miarę naszych zdolności i umiejętności, ale tak zrobimy w czasie właściwej akcji. Ta jest tylko pokazowa. Test. Test dla nowego dowództwa. Rozumiesz? No to bądź gotów. Wyślę ci sygnał. A tu masz broń.

Podał Lutrowi zawinięty w płótno nóż z długim ostrzem i rękawiczki. Luter wsunął nóż do rękawa. Wiedział, że nie ma na nim odcisków palców.

„Śródmieście” – przeczytał na puszcze piwa – „tak smakuje Warszawa”.

Czekał. Czekał, aż Druid sobie stąd pójdzie.

Druid milczał. Kiedy powiesz wszystko, co było do powiedzenia, możesz tylko patrzeć. Rzeka była w niskim słońcu spokojna i lśniąca niczym rtęć.

Luter siedział bez ruchu jeszcze pół godziny. Nie rozglądał się i nie próbował sprawdzać, czy Druid obserwuje go z ukrycia. Potem sięgnął za pazuchę i wyjął stamtąd brudną szmatę. W środku zawinięty był telefon. Nie miał karty i nie miał w pamięci żadnych zdjęć, esemsów ani nie miał w pamięci wybieranych numerów. Na wszelki wypadek, gdyby jednak komuś przyszło do głowy sprawdzić, co bezdomni noszą w kieszeniach, telefon był czysty.

W rozprutym rękawie kurtki miał wszytą kartę telefoniczną. Każdy musi czasami wysłać sygnał.

Westchnął. Już niedługo. Już naprawdę niedługo.

Olga obudziła się nagle, jakby w ciągu jednej sekundy coś wysało ją z bezmiaru snu i wyrzuciło na brzeg. W prawdziwym życiu wszystko było szare. Zasłony przepuszczały światło dnia niemrawo, bez pośpiechu. Tylko z lewej strony, tam gdzie nie zasunęła jej dość dokładnie, w smudze jasnego światła krążył kurz. Stardust, pomyślała, gwiazdny pył. Leżała cichutko, nasłuchując. Jeden oddech. Drugi oddech. Nie spał. Bała się odwrócić. Bała się, że zniknie. Kiedyś, dawno, miała może sześć, może siedem lat uświadomiła sobie, że któregoś dnia umrze. A kiedy umierasz, wszystko znika. Mama, tata, plakat z Michaeliem Jacksonem, miś, którego dostałaś w dniu urodzin, powycierany na łapkach i trochę brudny, szeleszczący sianem żółty miś. Karty telefoniczne ze zdjęciami różnych ciekawych miejsc na świecie. Obraz z Aniołem Stróżem. A potem, kiedy była już całkiem duża, przekonała się, że jest zupełnie odwrotnie. Że kiedy znika to, co kochasz – umierasz.

A może wcale go tam nie było? Gdyby był, czułaby przecież ciepło albo wilgoć, mrowiłaby ją skóra. Nie poruszała się. Czekala. Jeden oddech. Drugi oddech.

Odwróciła się powoli. Był. Spał. Oddychał nierówno, bo śniło mu się coś pewnie. Może coś dobrego? Na pewno. Wszystko było przecież dobrze. Patrzyła, ale tak, żeby nie zbudzić. Nie na powieki. Patrzyła na usta. Na niedogolony podbródek. Z bliska to takie dziwne. Włosy tkwiły w skórze jak ziarna piasku. Każde we własnym dołku. Na pustyni wiatr przewracałby nimi. A w skórze są bez ruchu.

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego podbródka.

Muszę iść do fabryki, przypomniała sobie. Ale jeszcze chwilę, jeszcze chwilę, przecież nie wiem, czy zostanie. Nie wiem, czy kogoś ma. Nie wiem, kto pisze do niego esemesy. Ale teraz jest mój. Tylko mój przecież.

Wsunęła rękę pod kołdrę, żeby dotknąć jego podbrzusza.

No... – Uśmiechnęła się. Był goły. To dobrze. W nocy bardzo chciała wstać i odszukać podkoszulkę. Myślała, że zamarznie bez tego, że nie będzie potrafiła zasnąć. Albo nawet, że zniknie.

– Hej – powiedział.

Musiała go obudzić dotykiem, a przecież chciała tylko sprawdzić... Teraz zobaczy cellulit. Zobaczy siną skórę. Zobaczy strach. Powinna była mieć tę koszulkę. Wtedy widziałaby dwie żyrafy. I ten napis: „Good night sleep tight”. Kurwa.

– Hej. – Wyciągnął rękę i położył jej na policzku. – Nie bój się.

– Wiem, jak smakujesz – powiedziała cicho, żeby niczego nie zepsuć.

– Naphawdę?

– Tak.

– I jak? Mam się wstydzić?

– Dobrze. – Odwróciła się, żeby nie patrzeć mu w oczy. – Jesteś trochę słony, ale nie musisz się o nic martwić.

– Nie skrzywdziłem cię?

Uśmiechnęła się.

– Bardzo. Do samego spodu.

Przytuliła się pośladkami do tego miejsca, które było teraz tylko jej własne.

Potem, kiedy już odsłoniła okno, jedli chleb z masłem. Nie lubiła chleba. Ale skoro już go kupił... Chleb z masłem jest jak dzieciństwo. Jak ten moment, zanim zrozumiesz, że kiedyś umrzesz.

– Muszę iść. Jestem bardzo, bardzo spóźniona.

– Szkoda, dobrze siedzieć z tobą przy stole.

– Wiem.

– Przytulisz się?

Wstała i podeszła. A on wsunął jej dłonie pod koszulkę. Wciąż pod tymi

żyrafami była zupełnie naga. Objęła go za szyję, przytuliła do piersi tak, że musiał zamknąć oczy, i pozwoliła, żeby głaskał jej pupę.

To było lepsze niż chleb.

– Muszę jechać. – Wysunęła się z objęć. – Jeśli nie musisz dzisiaj wracać, ucieszę się, jeśli będziesz. Tylko proszę, nie spotykaj się z tymi adwokatami, bo jeśli masz rację i oni mają coś na sumieniu, to możemy mieć z nimi jakieś problemy, wiesz, procedury-srury.

– A, przypomniałem sobie, że muszę ci coś pokazać. – Zaczął szukać swoich spodni, potem telefonu po kieszeniach. – Zobacz.

Pokazał jej z daleka zdjęcie jakiegoś faceta w ciemnych okularach.

– Kto to? – Wciągała spodnie i nie mogła się przyjrzeć dokładnie.

– Po spotkaniu z panem mecenasem musiałem się nieźle wić w holu właściciela nieruchomości, ale może się nie połapali, nie wiem. Słyszałem, co mówili, to znaczy nie słyszałem, co mówili wcześniej, ale wiem, że to mają zhobić, to ważne, ma się wydarzyć piehwszego maja.

– Ale co?

– No ta ich jakaś akcja, ale nie wiem co.

– Kurwa.

– W każdym hazie po spotkaniu siedziałem w kawiarni naprzeciwko. Chciałem zobaczyć, kto stamtąd wyjdzie. No i wyszedł on. Widziałem go przez takie wielkie akwahium, ale to jest on.

– Co robi?

– Czeka na taksówkę.

– Widział cię?

– Nie, nie sądzę. To nie jest dobre zdjęcie, ale może gdzieś będzie w jakiejś bazie danych czy coś...

– A więc to nie jest ten prawnik?

– Nie, to jest gość, który tam był. Ten, co ma wykonać zadanie piehwszego maja. Mam przeczucie, że to nie było nic dobrego.

– Czyli nie wiadomo, czy się nam przyda?

– Nie wiadomo.

– Ale będziesz, jak wrócę?

– Nie wiadomo.

– Ale już nikogo nie śledź i nie fotografuj. Prześlij mi to zdjęcie na mój telefon. Dropbox ogarniasz? Sprawdzę go.

– O chyba jest, piknęło.

Wzięła swój telefon ze stołu i otworzyła, żeby sprawdzić, czy zdjęcie się przesłało.

– Kurwa, to on! Nie wierzę!

– Jaki on?

– Ten, co pobił naszych chłopaków na dworcu!

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

1968

– Teraz znowu na dworcu wpierdziel parchom sprawili. Starczy, że się po kamień pochylisz, i już, kurwa, wiedzą, że trza spierdalać. Słyszałeś? – Przygryzł wargę, żeby lepiej się skupić na tym ostatnim „n”, jakie malował.

– To już długo nie potrwa. – Pawliszук skończył. Odstawił słoik do dziadówki, wyjął stamtąd starą „Trybunę”, oddał pół strony i wytarł pędzel.

– Co nie potrwa? – Tamten pociągnął nosem.

– Żydokomuna. Wyjadą. – Zawinał pędzel w gazetę. – I dobrze. Będzie można sobie tanio kupić mieszkanie.

– He, he. – Tamten strzepnął swój pędzel. Zielona farba pobrudziła kawałek ściany i płyty trotuaru. – Serio mówisz?

– Serio. – Pawliszук zrobił dwa kroki w tył. Napis był bardzo dobry. Litery równe.

– Bardzo ładnie. – Kolega poklepał go po ramieniu. – Jak przyjdzie następna odwilż, będziesz się mógł nająć za malarza.

Na ścianie budynku farba układała się w napis: „Jude won”.

– Serio, serio, już się zaczyna, na rynek idź, zobacz, ile dobra sprzedają. Srebrne lisy, srebrne łyżki i widelce. Jak chcesz, to i dywany, i meble. Czują, że się czas pakować.

– Żydzi to zawsze czują takie sprawy.

– Teraz nie muszą. Teraz mają to napisane w gazetach czarno na białym. No chodź, jeszcze ze dwie ściany wymalujemy. – Spakowali słoiki i poszli.

Noc była chłodna. Miasto puste. Od kilku tygodni ludziom zwyczajnie nie chciało się wychodzić. Kroki głucho dudniły po bruku.

– A twoi wyjeżdżają, pakują się? – zapytał tamten niskim głosem. Zatrzymał się na chwilę, zatkał jedną dziurkę od nosa i smarknął na ulicę. – Parszywa pogoda i się przeziębicie, kurwa.

– Nie wiem. Jak się młoda wzięła za zbieranie podpisów pod petycją o przywrócenie *Dziadów*, coś się w starym pozmieniało. Bo wcześniej, od tego jej zatrzymania, to się skryty zrobił, unikał mnie, prawie nie rozmawialiśmy, zresztą może to stara na mnie nagadała. Ona mnie nigdy nie lubiła tak naprawdę. Ale kiedy młoda zaczęła chodzić po ludziach po te podpisy, to poprosił, żebym z nią szedł.

– No to studentów z jej roku znasz.

– Znam, znam, podpisywali jak króliki. „My, młodzież studiująca Warszawy, protestujemy przeciwko decyzji zakazującej wystawiania w Teatrze Narodowym w Warszawie dramatu Adama Mickiewicza *Dziady...*” – wyrecytował preambułę petycji na pamięć.

– Ale młoda cię lubi, co nie? Ruchasz ją?

– No co ty? Kurwa! To służbowa relacja przecież.

– Ale że co? Ona nie ma ochoty?

– Ma. Wiesz, jakie są te baby. – Skręcili w Chmielną. – Zawsze mają.

– No to weź, przekonasz się, czy ma w poprzek – zaśmiał się ten kaszlący.

– Ja się z Żydami nie rucham.

– Ale lubisz ją?

– Służbowo to ją nawet Kocham. To tutaj. – Sprawdził numer domu na zmiętej kartce, którą miał w kieszeni. – Malujemy.

– Nie przyuważaj nas ktoś?

– A jakby nawet, to co? Milicją nas postraszą? – Wyciągnął słoik i postawił na chodniku. Odwinął pędzel. Sztywny, ale co robić.

- Co piszemy?
- „Żydzie, pakuj walizki”.
- Trochę długi ten napis.
- To „Żydzie, won”.

Po przemarszu studentów spod pomnika Mickiewicza sprawy nabrały tempa. Oprócz zwyczajnej roboty wychodzili teraz nocami malować napisy na budynkach, w których mieszkali członkowie partii żydowskiego pochodzenia. Drukowali ulotki z referatem podpisanym nazwiskiem Jakuba Bermana. Sami ułożyli ten tekst, Berman nie mógł nic poradzić. Po odsunięciu go od resortu drugi człowiek w tym kraju był zwyczajnym urzędnikiem w wydawnictwie Książka i Wiedza. Tolerowali go, bo wiedział dużo. O wiele za dużo jak na jednego człowieka, ale milczał. Dali mu żyć, chociaż broń pewnie nosił, na wypadek gdyby go ktoś rozpoznał na ulicy. Jego nazwisko wciąż budziło w Polakach lęk. W Żydach też. Ale ulotka miała wzbudzić jeszcze większy. Mądrzy ludzie wiedzieli, że po takiej akcji nie będzie już odwrotu. A Żyd, wiadomo, przebiegły jest, nie da się drugi raz zamknąć do getta. Wyjedzie. Pakowali ulotkę w paczki i rozsyłali do podstawowych organizacji partyjnych w największych fabrykach. Była to „instrukcja przejęcia Polski przez Żydów” w celu włączenia jej w jedno wspólne komunistyczne państwo. Tylko w zjednoczonym państwie proletariatu rządzonego przez inteligencję zaistnieje światowy pokój. Oczywiście miała to być żydowska inteligencja. Tutaj, w Związku Radzieckim, w zjednoczonej Europie, w Ameryce.

„Żydzi mają nie pchać się na stanowiska reprezentacyjne. W ministerstwach i urzędach tworzyć tak zwany drugi garnitur. Przyjmować polskie nazwiska. Zatajać swoje żydowskie pochodzenie. Wytwarzać i szerzyć wśród społeczeństwa opinie i utwierdzić go w przekonaniu, że rządzą wysunięci na czoło Polacy, a Żydzi nie odgrywają w państwie żadnej roli, aż w ich rękach znajdują się prasa, film, radio. W wojsku obsadzać stanowiska polityczne, społeczne, gospodarcze,

wywiad... Trzeba uznać antysemityzm za zdradę główną i tępić go na każdym kroku. Jeżeli stwierdza się, że jakiś Polak jest antysemitą, natychmiast go zlikwidować przy pomocy władz bezpieczeństwa lub bojówek PPR jako faszystę”.

Berman poskarżył się w Komitecie Centralnym. Milicja rozpoczęła dochodzenie celem ustalenia sprawców fałszerstwa, ale to się nie udało. Uznali, że to spisek studentów.

Adresy domów, na których malowali antysemickie hasła, znali wcześniej, bo w resorcie mieli do dyspozycji ankiety personalne wypełniane przez wszystkich przy okazji wymiany dowodów osobistych. Były tam imiona rodziców i adnotacje o zmianach nazwiska. Po tym jak Moczar dokręcił śrubę Żydom z resortu, najbardziej szkodliwi byli ci z ministerstwa spraw zagranicznych, owinęli sobie Rapackiego wokół palca. To na ich ścianach malowali dzisiejszej nocy.

Na Wilczej Pawliszuk bazgrał czasami ścianę z czystej złośliwości, bo wkurzał go stary dozorca, kościółkowiec, w imię Ojca, Syna, Ducha, panie profesorze kochany, jeszcze by w tę żydowską dupę wlażł, jakby potrafił.

Dbął tylko, żeby nikt go nie nakrył. Zadanie było przecież najważniejsze.

Od czerwcowego referatu Gomułki o piątej kolumnie jego zadanie zaczęło wreszcie opłacać się resortowi. Raporty o tym, jaki Żydzi mają stosunek do Izraela i zwycięstwa w wojnie sześciodniowej, miały wkrótce być potrzebne. Przydać się, kiedy Gomułka postawi Żydom ultimatum: albo Polska, albo Izrael. Dlatego, kiedy Hubner zapytał go, czy warto iść na zebranie Związku Literatów, Pawliszuk bardzo go namawiał. Twierdził, że to ważne dla Sary.

- Tak myślisz? – dopytywał stary.
- Wiem. Przecież o tym rozmawiamy.
- Co mówi?
- Że nie można stać z boku. Nie można się godzić na cenzurę, na to,

żeby studentów, którzy bronią narodowej kultury, straszyć relegowaniem.

– No ale oni powiadomili o demonstracji zagraniczne środki przekazu, to było nierozsądne. To działanie na szkodę własnego kraju... – Hubner wiedział, że Szymon zna Michnika i Henia Szlajfera, więc bał się, żeby i jego nie dotknęły represje.

– Boi się pan o Szymona? Proszę się nie niepokoić. Ja mam na niego oko. Jak idziemy do tego Blumsztajna, do Toruńczykowej, to ja go zawsze za rękaw chwycę, żeby się z czymś nie wychylił. Nie wiadomo przecież, czy tam u kogoś podsłuchów nie mają.

– Nie wiem, jak ci się odpłacę, synu. – Hubner zrobił gest, jakby chciał przytulić, ale tylko poklepał Pawliszuka po ramieniu. – Ja wiem, ty rozsądny jesteś. A on we łbie ma ogień. Ja lód, a on ma ogień. I po co ja go na historię posłałem? Teraz czytasz, co o Żydach piszą? Że piąta kolumna. Żeby pakować walizki. Matka twierdzi, że trzeba go było wziąć na politechnikę, że inżynier wszędzie znajdzie robotę.

– Proszę tak nie myśleć.

– To nie ja, to moja ziemia, moje miasto. Wywalczone od Niemca. To matka... matce się śni podróż. Rozmawia z koleżankami. Boją się. Jak się zaczęły w „Trybunie Ludu” te artykuły, to jedna jej koleżanka spotkała na Koszykach Polaka, któryją ukrywał w czasie okupacji, jeszcze wtedy była dzieckiem, ale się do dzisiaj przyjaźnią. I ten Polak powiedział jej: „Emilka, ty się nie bój, jak się zaczniesz, to ja cię znowu przechowam”... a Sara co? Że trzeba bronić narodowych tradycji? Jakich? Tego przechowywania Żydów w szafach? W bunkrach na cmentarzu?

– Dlatego powinien pan iść. Powinien pan iść, żeby pokazać, że się pan nie boi. Sara chce wiedzieć, że się pan nie boi. W teatrze widziała pana lęk.

– Synku, ja się przecież o nią bałem. O nią.

– Ze mną bezpieczna była. Ja już jej nie dam milicji. Ale ona źle rozumiała ten strach, więc niech pan idzie.

I Hubner poszedł. Wrócił po północy. Rozpromieniony. Trochę pijany,

wiadomo, artyści, to któryś miał w zanadrzu jakąś piersiówkę. Czekali. Czekali, jakby wracał z Ameryki. Usiadł, nabił fajkę, poprosił herbaty. Pomilczał, pouśmiewał się i powiedział, że wszyscy byli. Że Putrament był za tym, żeby nie podpisywać. Że trzeba stanąć po stronie ojczyzny. Ale Andrzejewski, Jasienica, Słonimski i Kołakowski byli za tym, żeby podpisywać. Bo literaci powinni stanąć po stronie wolności i prawdy. I jak Kisielewski strasznie się zdenerwował, jak nazwał rząd bandą ciemniaków wyposażonych w absolutną władzę i opowiadał o procesie takiego poety Szpotańskiego, którego postawili przed sądem za napisanie wiersza. No ale nie wszyscy byli za spisaniem tej całej rezolucji. W głosowaniu wyszło jednak, że podpisują. To się spodobało Szymonowi: o, widzi ojciec, to jest prawdziwa demokracja. Jedni są za, inni są, żeby nie podpisywać, ale potem jest głosowanie i rezolucja przyjęta. I o to nam chodzi. Żeby głos należał do ludu, a nie do urzędników. A Hubner śmiał się, bo był bohaterem w oczach swoich dzieci, a kiedy jesteś bohaterem w oczach dzieci, to jesteś naprawdę szczęśliwym człowiekiem. Nie pamiętasz o artykułach z „Trybuny”, nie pamiętasz, co mówią przez radio. Nie słyszysz, jak na własnej ulicy ktoś za tobą woła: koniec bliski, pakuj walizki, nie martwisz się, czy ktoś z twojej rodziny nie ma za bardzo aryjskiego wyglądu, nie boli cię serce ani wątroba, ani nie musisz palić i nie masz ochoty po prostu leżeć i patrzeć w ścianę. Wódki byś się napił. Ale nie, nie, bo im wszystkim jeszcze opowiesz, jak w nocy, późno w nocy już było, już się ludzie zaczęli rozchodzić, to przyjechali robotnicy. „Jacy robotnicy?” – zapyta Pawliszук. A ty możesz odpowiedzieć, że przebrani. Że to na pewno przebrana milicja albo może wojsko, bo szli równym krokiem. Raz dwa, raz dwa. Przecież jak ktoś był na froncie, to pozna dyscyplinę, robotnicy tak by nie szli. Nie słyszałyś jednego kroku, ale szuranie tłumu. No ale powiedzieli, że są robotnikami. Myśleli wszyscy, że będą bić, ale nie bili. Przynieśli swoją uchwałę, że rezolucja literatów jest nieważna.

Od tej nocy, kiedy wszyscy na niego czekali, Hubner naprawdę polubił

Pawliszuka. Lubisz przecież kogoś, kto pozwala ci odbudować własną, osobistą godność. Sara polubiła Pawliszuka jeszcze bardziej, bo wiedziała przecież, że to on namówił ojca, żeby szedł do tego Domu pod Królami, kawał drogi, tak po nocy wracać, ale lubiła ojca znowu młodego, silnego, pewnego siebie. Hela pomyślała, że ten chłopak może nie jest taki zły. Może gdyby wszyscy sąsiedzi tacy byli, to byłaby w Warszawie szczęśliwa. Ale nie umiała już być szczęśliwa, bo wiedziała, że rano w gazecie znowu przeczyta, że syjoniści i neonaziści to jedna i ta sama zagrażająca pokojowi światowemu banda. I znowu będzie rozmawiała z kimś o kupowaniu walizek. O tym, czy jakby coś, to książki zabierać, czy tylko srebro, złoto. O tym, że nie wolno wyjechać, bo trzeba grobów pilnować. Groby święta rzecz. I książki. Co my z tymi książkami zrobimy, co zrobimy z tą biblioteką? Szymon myślał o tym, że się nie wolno poddawać. Że tyle podpisów zebrały dziewczyny, tyle podpisów. Tysiące. Że to jest właśnie wola ludzi. Prawdziwa demokracja.

Pawliszuk myślał o nazwiskach literatów, które należy zapamiętać i zapisać, kiedy już będzie w swoim pokoju. Zapamiętywanie i odtwarzanie z pamięci. Trenował tę umiejętność i był w niej naprawdę mistrzem.

Minister oświaty i szkolnictwa wyższego Henryk Jabłoński podpisał decyzję o usunięciu Adama Michnika oraz Henryka Szlajfera z listy studentów Wydziału Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego za udział w demonstracji 30 stycznia i przekazywanie informacji zagranicznym dziennikarzom. Od tej pory spał wreszcie jak należy.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

TERAZ

Spała wreszcie jak należy. Kanapę miała rozłożoną na całą szerokość, kołdrę skopaną i pomiętą, ale wcale nie marzła. Budziła się w nocy i nie denerwowała się, że nie śpi. Nasłuchiwała. Nocą ulice Żoliborza nie szumiały. Od czasu do czasu załomotał na asfalcie pojedynczy samochód. Deszcz szumiał monotennie. Deszcz się nigdy nie nudzi. Drugi człowiek oddychał tak blisko niej. To takie dziwne, kiedy słyszysz oddech innego człowieka i to jest prawdziwy, osobny, piękny człowiek. Oglądała go. Wzrok przyzwyczajając się do mroku i mogła zobaczyć. A potem wysuwała się z łóżka i szła do łazienki zobaczyć siebie. Miała usta pogryzione i spuchnięte. A skórę wokół sutków podrapaną od jego brody. Kładła się cichutko i słuchała cierpliwie. Słuchała go jak kiedyś dziecka. Nie umiała się znudzić i zupełnie nie chciała zasnąć. Nie chrapał. Nie wzdychał, czasami mamrotał coś niezrozumiałego, ale na ogół po prostu posapywał. Kiedyś, kiedy była jeszcze dziewczynką, widziała parowóz. Stał na szynach mokry od czarnych smarów i posapywał. Pffff, pffff. Szymon robił przez sen dokładnie tak samo. Spał z ramionami rozrzuconymi na boki, więc mogła położyć głowę w zagłębieniu ramienia. Wąchała go przez kilka minut, a potem zaczynał się wiercić i wiedziała, że czas się odsunąć, bo cierpnie mu ręka. Kładła mu swoją na brzuchu albo, jeśli już spał mocno, kładła mu na brzuchu kolano. I wtedy byli najbliżej.

– Jezu, jak ty pięknie pachniesz – powiedział Kosiński, kiedy tylko weszła.

– No coś ty – zachnęła się – ja nie używam zapachów. Tylko mydło.

– Nie... – Powąchał ją. – Nie wierzę, pachniesz mężczyzną. To dlatego tak późno przyjechałaś?

– Idź ty! – Zaczęła szukać czegoś na biurku. – Jak ten twój Artur? Jak baza danych ABW? Kawy bym wypila poza tym.

– No wiesz... – Chrząknął. – Wieści nie są dobre.

Opowiedział, że Arturowi udało się właściwie ustalić tylko nazwisko bezdomnego, Krzysztofa Bielskiego. Jedno, co zdążył znaleźć, to że był leczony długi czas w Centralnym Szpitalu Weterana. Wrzucił też do systemu tego drugiego, tego w okularach. Nazywa się Roman Bugajny. Bugajny musiał odejść ze służby. To nie było na własną rękę, ale powody są niejawne. Protokół jakiejś komisji jest cały zaczerniony. W każdym razie odszedł ze służby i trafił do Blackwater Worldwide.

– Dokąd?

No taka firma zatrudniająca emerytowanych komandosów, agentów i żołnierzy wojsk specjalnych do ochrony najbogatszych ludzi świata. A czasami nawet wysyła ich jako najemników na różne dalekie wojny o najcenniejsze złoża. Teraz zmienili nazwę na Academi. Elita zabójców.

– A, czyli mamy trop?

– Nie mamy, bo Artur więcej nie zadzwoni.

– Pokłóciliście się? – Myślała, że to będzie taki żarcik.

– No wiesz, co ty mówisz? – Kosiński wydał wargi. Poczul się urażony.

– Przepraszam, powiedziałeś to takim tonem, jakby się stała jakaś krzywda.

– No bo się stała przecież. Przesłał esemes, że nie wolno nam się kontaktować. Że naruszył tajemnicę służbową.

– O w mordę. Czyli jesteśmy na naprawdę dobrym tropie.

– Nie, chyba nie. No bo co mam teraz zrobić? O dane medyczne wystąpić tego bezdomnego?

– No tak.

– Ale na jakiej podstawie? Mam iść, pokazać legitymację? To wojskowy szpital, zadzwonią po jakiegoś żandarma...

Zadzwonił telefon. Oboje mieli się natychmiast stawić u szefa.

Młodszy inspektor Kazimierz Leśmian bębnił palcami po biurku. Miał czarny sweter i łysinę lśniąca jak złoto.

– Ha, jesteście. – Podniósł się i wyszedł zza biurka. – Serbia, ty coś inaczej wyglądasz.

– Nie, skąd. – Uścisnęła mu rękę.

– Psa nie oszukasz. – Zmarszczył nos. – Ty zawsze przecież smutna jesteś.

– Przecież się nie śmieję.

– I dobrze, kurwa, bo nie ma z czego. – Podał rękę Kosińskiemu. – Minister mnie wezwał w waszej sprawie. Ale ty jakoś inaczej wyglądasz. – Przyjrzał jej się jeszcze raz. – Widzę, że się nie uśmiechasz, ale cała jesteś jakaś... włosy masz umyte?

– Co nabroiliśmy?

– Pozaregulaminowo nakłoniliście funkcjonariusza abwery, żeby skorzystał z ich baz danych. Jakbyśmy swoich nie mieli.

– Ale on jest komputerowym geniuszem, chciałem przyoszczędzić czasu – wyrwał się Kosiński.

– A czy ja cię pytałem, Kosiński? No i znalazł ludzi, na których jest, kurwa, ban. Żadnych papierów bez klauzuli. Nic. I minister pyta, dlaczego wchodzimy na poletko wywiadu. A ja, że nic nie wiem. A on, że tego twojego Artura przesłuchują. Opowiedział o okolicznościach, w jakich on i jego przyjaciel, policjant, spotkali Bugajnego. A Bugajny to jest lista różnych podejrzanych spraw. No i nawet tego twojego z abwery nie można przesłuchać regulaminowo, bo to procedura, że ja cię pierdolę... Usłyszałem potem o zagrożeniach, jakie niesie ze sobą stąpanie po cudzym poletku.

– Jasna go mać – Kosiński zmartwił się konsekwencjami, jakie mogą spotkać Artura.

– Coś powiedział?

Kosiński pokraśniał, ale zmilczał.

– No to ja mówię, że to nie jest cudze poletko, a minister, jak to? A ja, że to wspólna Polska, o którą wszyscy musimy dbać i nie wolno nam toczyć sporów międzyresortowych. Skoro policja zainteresowała się Bugajnym, to znaczy, że miała powody. I że nie zamierzamy odpuścić. Usłyszałem, że oni, ci wojskowi, nam nie dadzą żadnych informacji, że abwera nic nam nie powie, ale nie będą się sprzeciwiać, że posprawdzamy nasze tropy, pod warunkiem że dostaną raporty. Codziennie. Bo nie chcą, żebyśmy podeszli zbyt blisko. Rozumiecie to? Nie pozwolą skorzystać ze swojej wiedzy nawet nie dlatego, że nie chcą, ale nie spełniacie warunków ustawy o dostępie do informacji niejawnych. A ustawa powstała po to, żeby takich sytuacji unikać. Potem zapytał, co zamierzam z tym zrobić, na to ja, że zbierzemy te informacje, które potrafimy.

– Więc?

– Skąd mieliście zdjęcie tego Bugajnego?

– Wychodził z kancelarii, która zajmuje się między innymi wykupem kamienic. W tym kamienicy z mieszkaniem Pawliszuka.

– Tej, gdzie mieszkał Pawliszuk... a to ciekawe... No, to ciekawy trop. A ten drugi?

– To ten wariat, ten bezdomny.

– Ten bezdomny, o którym twierdzisz, że odebrał broń bandycie i mu połamał kości?

– Ten sam.

– Co ich łączy?

– To Kosiński niech powie.

– Nie wiem. Gonilem bezdomnego i ten Bugajny też go gonił. Spuścił

nam łomot. Na monitoringu w autobusie widać, jak ze sobą rozmawiają.

– Zmuszał bezdomnego do czegoś?

– Nie. Nie ma dźwięku, ale go nie bił. Po prostu gadali.

– Więc zrobimy tak – powiedział młodszy inspektor – Kosiński zajmie się tym żołnierzem ze szpitala, może ktoś go tam pamięta. A ty ogarniesz wreszcie historię tego Pawliszuka. Skoro kręci się wokół niej zawodnik z Academi, to powinnaś przy tym na siebie uważać. Dowiedz się wreszcie czegoś o tym Pawliszuku, no ja wiem, że to stary esbek był, więc trudno, ale się dowiedz. Już wiesz, jak umarł?

– Nie wiem, ale przypuszczam, że to mogło być upozorowane. Ale dowodów nie mam. Tylko poszlaki. On nie pił. A trup miał alkohol we krwi, na miejscu były butelki po wódce. No i w ten sam sposób zginął kierowca, który najechał na moje auto wtedy, kilka dni później... no wtedy.

– No ale dowiedz się o tę kamienicę. Dowiedz się, bo ja wiem, coś mi mówi, że to jest ważne.

– A Bugajny? – zapytała.

– Na strzelnicy ćwiczysz?

– No.

– Z gościem z Academi nie masz szans, więc mu nie wchodź w drogę. Patrz dookoła. Miej oczy z każdej strony. Jak go zobaczysz, odejdz. On cię nie pozna. A ty jego tak. No i ładnie ci z tymi włosami.

Resztę dnia spędziła, wymieniając na Messengerze uśmiechy z Szymonem. Nie pisała mu o Bugajnym, bo przecież te wszystkie Facebooki to jeden wielki podsłuch. Powie mu w domu. Wróci dzisiaj i będzie tam miała kanapę rozłożoną, sushi z Biedronki, wino i Pink Floydów. A potem odwróci się plecami, wtuli w zagłębienie jego brzucha, zamknie oczy i poczeka na jego niecierpliwy, szorstki dotyk.

Sprawdziła w notesie nazwisko. Franciszek Rusiński. Dozorca domu, w którym mieszkał Pawliszuk. Wykonała kilka telefonów i już wiedziała, że nie żyje, ale że miał rodzinę. Zadzwoiła. No tak, tak, był tam dozorcą.

Jeszcze przed wojną był. Potem to nawet w wojnę pilnował. Że rodzina wróci. W powstaniu musiał zostawić, bo wie pani, wszyscy przecież do walki, to i on do walki. Tam poczta była na Wilczej, on w tej poczcie, to oko miał... No a w styczniu, jak Niemce poszły, od razu był na Wilczej. I potem już tak do śmierci. To znaczy do emerytury. Długo żył, długo, bo to przecież długowieczny rocznik był, osiemnasty. A pod koniec życia przyszli do niego z Muzeum Powstania, żeby go nagrywać. No i on, stary już, prapradziadek można powiedzieć, miał swój dzień w telewizji, bo nagrywali do kamery. Kilka razy przychodzili i on opowiadał. Całe życie naopowiadał, to może i tam powiedział, co pani potrzebuje wiedzieć.

Może opowiedział?

Było już za późno, żeby dzwonić do muzeum, przecież do której oni tam mogą pracować? Zresztą... rano pojedzie. Z samochodu zadzwoniła do Kosińskiego. Siedział w szpitalu. Czekał na rozmowę z psychiatrą, bo ten żołnierz był ranny w głowę, czaszkę mu kula przebiła. Długo pozostawał w śpiączce, a potem, jak się obudził, to i tak niezdatny. Armia go spisała na straty. A potem zniknął, ale jeszcze ten psychiatra może coś będzie wiedział.

– Odwiedzał go ktoś?

– Odwiedzali go z armii jacyś tajni ludzie.

– W jakim sensie tajni?

– No nie przedstawiali się. A tu wiedzą kogo można zapytać, a kogo nie można. To nie jest taki zwyczajny szpital. A, i jeszcze była kilka razy jakaś kobieta. Siedziała, płakała. Nauczycielka z Sopotu, zapamiętały ją pielęgniarki, choć to już tyle lat. Tak płakała. Ale przestała przyjeżdżać, zanim on się z tej śpiączki obudził.

– Czasami tak jest z miłością, że nie doczekasz – powiedziała Serbia chyba bardziej do samej siebie.

Kosiński się nie zaśmiał.

Wróciła, żeby nakrzyczeć na Szymona, że nie może się narażać,

wchodząc w oczy facetowi z Academi, który w dodatku ma utajnioną dokumentację na swój temat. Oczekał, aż się wyłóściła, i przeprosił, ale przecież nie wiedział, co to za gość, po prostu miał nosa, że tam coś śmierdzi. Potem pomasował jej plecy i o wszystkim zapomniała. Jedli pizzę, bo oczywiście zapomniał, że prosiła o sushi. Ale pamiętał o winie. Po pizzy miała duży brzuch, ale w ogóle się tego nie wstydziła. Nie wstydziła się nic a nic i koszulę miała na sobie tylko dlatego, że było jej zimno. Potem słuchali *Dark Side of the Moon*, leżąc bez ruchu z otwartymi oczami w pokoju, który polubił mrok. Była tylko poświata latarni zza okien. Nie zasłaniała. Była zbyt szczęśliwa.

Rano pojechali do Muzeum Powstania, bo to w sumie niedaleko, więc postanowiła sprawdzić. Wzięła Szymona ze sobą, bo chciała go mieć blisko, a przecież do muzeum to żaden grzech. Pokazała w bramie legitymację i pan wartownik pozwolił jej wjechać na parking. Stało tam już kilka samochodów. Zaparkowała obok czarnego passata. Kierowca grał w jakąś grę, silnik był włączony.

Ci ludzie naprawdę nie szanują planety. Pomyślała, że może da mu pouczenie, ale zauważyła za szybą niebieską przepustkę. Kancelaria prezydenta.

– Kurwa – mruknęła.

– Co jest? – zapytał Szymon.

– Nic, się pan kierowca musi ochłodzić. – Pokazała mu wzrokiem plamę wody pod passatem. – Mają inny komfort pracy niż my.

Biura Muzeum Powstania Warszawskiego mieściły się nie w samym gmachu, ale w stojącej obok zabytkowej kamienicy mieszczącej kiedyś administrację elektrowni. Olga żałowała, że nie wejdą do muzeum, bo Szymon nie był jeszcze w środku ani razu, a ona była cztery i za każdym razem, kiedy tam szła, chciała płakać. Ale wychodziła dumna, że jest w swoim mieście policjantką, a nie jakąś pindą z korporacji, jedną z tych kobiet, które ciekawi tylko, gdzie zjedzą, żeby nie utyć, dokąd pojedą na

wakacje i jakie sobie kupią wdzianka do treningów jogi.

Chciała, żeby Szymon też się poczuł dumny.

Wartownik powiedział, że do dyrektora to windą na samą górę, ale jakoś nie potrafili znaleźć windy, na szczęście ktoś wszedł do budynku i zbiegł schodami w dół, więc poszli za nim. Serbia знаła tego człowieka z telewizji.

– Dzień dobry – powiedziała, kiedy wcisnęli się do windy, ale Paweł Kowal milczał. Coś go musiało mocno zaabsorbować.

Winda wlecze się, jakby chciała zdobyć nagrodę dla najbardziej dostojnej windy świata. Serbia patrzy w oczy panu politykowi i czuje, że Szymon ją delikatnie trzyma za pupę, i chce jej się nagle śmiać. Ale przecież w towarzystwie nie wypada.

Na trzecim piętrze mężczyzna wysiada pierwszy i od razu odzyskuje mowę, informując sekretarkę, że był umówiony. Ona, że trwa spotkanie i żeby poczekał, bo to może być ważne, ale on zagląda do środka przez przeszklone ściany i mówi, że wszystkich zna, więc wchodzi.

Sekretarka wzdycha.

– Rozumiem, że jest pan umówiony... ale...

– Policja – mówi Serbia i uśmiecha się do sekretarki.

– Słucham?

– Jesteśmy z policji. – Olga pokazuje legitymację. Kowal patrzy na nią, jakby się nagle zainteresował dziewczynami, a ona puszcza oko.

– A w jakiej sprawie, jeśli mogę zapytać?

– Sprawę mamy do pana dyrektora – Olga mówi coraz ciszej, jakby miała na końcu języka jakąś tajemnicę. Polityk tymczasem podchodzi do przeszklonej ściany i zaczyna machać rękami, i trójka, która siedzi w środku, podnosi się. Mężczyzna otwierający drzwi to dyrektor, którego Serbia zna z telewizji. Odsuwa się, żeby przepuścić dwóch pozostałych. Pierwszy jest w granatowym garniturze, drugi to brodacz, pewnie jakiś Żyd, chociaż bez czapeczki, bez tej kipy czy jarmułki, nie wiadomo, która jest

która.

– Witaj – mówi dyrektor do Kowala – no już, już właśnie kończymy.

– Dzień dobry, panie Pawle. – Brodacz wyciąga rękę. – Zna pan ten nowy kawał o kowalu i o czarnym koniu?

Kowal robi się czerwony, ale rękę podaje.

– Marcin! No czy ty musisz... – Dyrektor kręci głową.

– To bardzo dobry dowcip przecież – mówi brodacz – opowiadał mi rabin Schudrich.

– No to gadaj, gadaj – zachęca ten w niebieskim garniturze.

– Ludzie zebrali się na pogrzebie kowala. Dużo ludzi przyszło, bo to był porządny kowal. I rabin pyta: pamiętacie, jakie były jego ostatnie słowa? Dobry konik, dobry konik.

– Panie dyrektorze. – Sekretarka podchodzi do dyrektora. – Państwo z policji przyszli.

– Ale co? Chcą kogoś aresztować? – Zrobił bardzo zafrasowaną minę, jakby naprawdę się zmartwił.

– Oj, z panem to się nie da. – Sekretarka pokręciła głową.

– Przepraszam, panowie tacy rozbawieni, ale mam pilną sprawę – powiedziała Serbia.

– Pani z obyczajówki? Za głośno się śmiejemy? – zapytał brodacz.

– Nie. Ja z terroru. – Olga dygnęła lekko. – W sprawie zabójstwa. Możemy? – Posłała dyrektorowi pytające spojrzenie.

– Tak, tak. – Odsunął się od drzwi. – Paweł, to pożartujcie jeszcze. – I weszli.

Olga opowiedziała co i jak w kilku zdaniach. Ołdakowski pokiwał głową i powiedział, że muzeum zebrało relacje od żyjących wówczas jeszcze powstańców i oczywiście, mogą z tego skorzystać. Jeśli chcą, to nawet teraz. Jest sala przystosowana do odsłuchu takich materiałów.

– A po co odkładać?

Zjechali na drugie piętro, musieli poczekać jakieś dwadzieścia minut na odszukanie nagrań i przygotowanie sprzętu, a potem Franciszek Rusiński swoim monotonnym głosem pradziadka, który wszystko w życiu widział, opowiedział o powstaniu na Wilczej, w Alejach, o kanałach, którymi szli do nich ci ze Starówki. O tym, jak wrócił w styczniu. Jak nie trzeba było mówić, kto kim jest. W jego teczce była jeszcze inna taśma. Magnetofonowa kasetka. Przysłała ją do muzeum córka Rusińskiego, kiedy zmarł. Na pudełku było napisane: „moje wspomnienia z czasów PRL”.

– My się zajmujemy dokumentowaniem powstania, więc właściwie nie zdążyliśmy jeszcze sporządzić stenogramu z tej taśmy. Jeśli chcecie przesłuchać, wypożyczymy – zaproponował Ołdakowski.

– Oddam ją, jeśli nie będzie tam nic ważnego – powiedziała Serbia – ale jeśli okaże się, że jest, to będziecie musieli trochę poczekać na zwrot.

– My się przecież nigdzie nie wybieramy – uśmiechnął się dyrektor.

Wieczorem pili wino. Olga, żeby się napić, musiała unosić głowę z ud Szymona. Rusiński swoim monotonnym głosem opowiadał całe życie. O profesorze Hubnerze, jak go prosił o pilnowanie księgozbioru. Nudy. Ale kiedy opowiadał o Pawliszuku i o Sarze Hubner, Olga się rozpląkała.

1968

Pawliszuk i Sara Hubner szli krokiem szybkim, nerwowym. Ona trzymała w ręce kilka białych i czerwonych goździków na długich nóżkach. On trzymał ją za rękę. Ona nie miała rękawiczek. Zapomniała, bo po prostu jakoś nagle zrobiło się późno. Mieli być przecież na dwunastą. Wiedziała, że nie zdążą, choć do uniwersytetu nie było przecież od nich daleko. Najpierw Pawliszukowi coś się przywidziało, że jest zimniej, niż myślał, i musi założyć zimowe buty. Potem te buty jakoś nie chciały dać się zawiązać, no a jak był gotowy, to jej się rękawiczki gdzieś zapodziały.

– A co tam rękawiczki, to długo nie potrwa przecież.

– Ale weź, weź – naciskał.

– Nie, szkoda już czasu, biegnijmy.

I pobiegli, ale nie za daleko, bo na rogu, koło Rotundy, jeszcze mu przyszło do głowy, że jej kwiaty kupi. Ot tak, z ulicy. Zimno, pod murami domów leżą jeszcze pozmrażane, brudne resztki śniegu, pochmurnie, ponuro, późno, a on, że kwiaty. Nie kupuj, proszę, nie kupuj, spóźnimy się, ale on, że musi, że dzień kobiet i że nie ma wyjścia.

– Ale spóźnimy się!

– Nie spóźnimy. A zresztą wiesz, co się będzie działo. Odczytają petycję. No przecież znamy treść.

– Ale ja muszę, rozumiesz? – Tupałaby nogą, ale kwiaty też chciała przecież dostać. Bo to pierwszy raz. Chciała mieć biało-czerwone kwiaty od swojego chłopaka. Protesty jeszcze przecież będą. Wiedziała, że będą.

Świat się zmieniał. Jeśli ktoś raz posmakuje wolności, to już jej nie odda. Nie tylko w Polsce, ale w Czechosłowacji też. I w innych krajach. Wiedziała, bo ojciec słuchał teraz dużo Wolnej Europy. Słuchał, żeby jej wszystko powtarzać, zapewniał, ale wiedziała, że to nieprawda. Tych wszystkich informacji o antysemickich wystąpieniach polskich notabli nie powtarzał.

– Proszę. – Pawliszук wręczył kwiaty i dostał pocałunek. W usta. Prawdziwa kobieta całuje swojego chłopaka w usta.

Pojechali tramwajem dwa przystanki. Nowy Świat nie był zatłoczony bardziej niż zwykle. Wepchnęli się do autobusu, ale na przystanku pomiędzy Ordynacką i Świętokrzyską Pawliszук pociągnął ją do wyjścia.

– Ale jeszcze jeden, do uniwersytetu przecież jeszcze jeden!

– Ale nie wiadomo, czy się autobus w ogóle zatrzyma, przecież tam teraz tłum, może skręci w Świętokrzyską, może milicja zamkneła ulicę?

– Dlaczego miałyby zamknąć?

– Nie wiem, mam takie przeczucie. – Wziął ją za rękę i poszli. Pomnik Kopernika obrośnięty ludźmi. Wyglądało, jakby się wyroił ul. Ludzie milczeli albo tylko szeptali. Wszyscy patrzyli w głąb Krakowskiego Przedmieścia. Tuż pod samą figurą wyrzeźbioną przez Thorvaldsena stał młody mężczyzna i robił zdjęcia.

– Biegniemy – powiedział Pawliszук i ruszyli.

Skręcili za bramę uniwersytetu razem z pierwszym z autobusów. To był jelcz, niebieski ogórek. Za szybą tablica z napisem: „wycieczka”. Trąbił, ludzie rozchodzili się, a kierowca cisnął w dół i w dół. Za nim skręcały kolejne pojazdy. Nie wiadomo, ile ich było. Pawliszук ciągnął ją w stronę biblioteki.

– Po co tu jadą? – nie rozumiała.

– Musimy się przedrzeć dalej, dalej od nich – popędzał ją. Autobusy hamowały, studenci zaczęli odwracać się w ich stronę.

– Milicja, milicja – poszło ponad tłumem.

Ale nie. Z otwartych drzwi wysypywali się jacyś cywile. Wszyscy ubrani tak samo. Jesionki w jodełkę, biało-czerwone opaski. Nie czekają, ustawiają się w szereg i zaczynają napierać na studentów. Ci chwytają się pod ręce, nie chcą wpuszczać.

– Ale my z wami, my z polonistyki! – krzyczy Pawliszук i przepuszczają ich. A tam tłum gęsty, radosny.

– Co się dzieje? – pyta Sara.

– Przyjęli, obie rezolucje przyjęli.

– Jedna to wiem, a druga?

– Druga też za Szlajferem i Michnikiem, to petycja od Związku Literatów.

– Spóźniliśmy się! – mówi Sara do Pawliszuka. – To przez ciebie.

– Nic się nie spóźniliśmy – odkrzykuje Pawliszук – ale musimy iść stąd jak najdalej, jak najdalej!

I ciągnie ją coraz mocniej.

– Ale co... – Chce go zapytać, rękę wyszarpnąć, ale już rozumie, że coś jest nie tak, bo za plecami narasta krzyk, odwraca się i widzi, jak ludzie w jesionkach z rękawów wyciągają pały i zaczynają siec bez litości. Kordon studentów w jednej chwili pęka.

– Chodź, trzymaj się mnie. – Pawliszук zaczyna torować jej drogę przez tłum, ale to nie jest łatwe, bo ludzie napierają w kierunku atakujących. Chcą powstrzymać, ale są bezbronni wobec tych pał. Ktoś się pochyła po brudną grudę przemarzniętego śniegu, rzuca. Pawliszук ściska jej rękę, w tłumie trudno się poruszać, dobrze, że Sara ma mocne buty, depce czyjeś okulary, czuje już, że nie ma w ręku kwiatów. Przepychają się w kierunku Pałacu Kazimierzowskiego. Jak najdalej od tych, co bili.

– Co teraz?

– Teraz trzeba czekać. – Nie ma dokąd iść. Chyba że do wejścia od Oboźnej, ale tłum nie puszcza. Okrzyki cichną. Widać przestali bić.

Przestali.

Za jakieś pół godziny na balkon wyszedł prorektor. Kazał się rozejść i podziękował ormowcom za obywatelską postawę.

– Macie kwadrans – mówi do tłumu studentów – żeby się stąd rozejść.

– Ale nas nie przepuszczą! – krzyczy tłum – nie przepuszczą!

Prorektor wzywa delegację studentów. Nie ma ich z godzinę, ale potem ormowcy wsiadają do autobusów i brama znowu jest otwarta. Wszyscy ruszają do Krakowskiego Przedmieścia. W tłumie rozchodzi się wieść, że studenci z delegacji aresztowani.

– A kto tam był?

– Lityński, Staniszkis, Lasota, która odczytała rezolucję...

– Nie, to nie był Lityński, to był Rysio Bugaj przecież.

Nagle od lewej, od strony wejścia od Oboźnej słychać hałas. Wrzask jeden wielki. A potem widać milicjantów. Nie, to znowu ormowcy, ale ci mają mundury, napieprzają pałami.

– Musimy wyjść, biegnij! – słyszy w głosie Pawliszuka strach, więc zaczyna biec coraz prędzej i prędzej, potyka się, bo ludzie w tłumie przewracają się, krzyczą. A ormowcy idą ławą i nie będzie już powrotu.

I nagle wszyscy stają, ludzie wpadają na plecy jedni drugim. Od strony głównej bramy idzie milicja. Mundury, hełmy, długie pałki. Leją bez opamiętania.

– Mi-li-cja, mi-li-cja! – słychać. – Ges-ta-po!

No i chuj, jesteśmy w potrzasku, myśli Pawliszuk, bo teren zna i wie, że nie ma którejdy uciec. Że jeśli padł rozkaz, to będą bili. Nie żeby zabić, ale żeby bolało to na pewno. Traci rezon. No bo, kurwa, co? Z jednej strony milicja, z drugiej ORMÓ, mógłby im wyjaśnić, ale jak wyjaśnisz cokolwiek facetowi z pałą w ręce? Zresztą kogo biorą do tego ORMÓ? Pawliszuk wie, że to zwierzęta, bydło ze wsi.

– Jeszcze Polska nie zginieeeeęła – zaczyna ktoś i tłum studentów podnosi

ten śpiew, głośno, bardzo głośno, ale szybko zamiera, bo milicjanci idący od strony Krakowskiego Przedmieścia biją metodycznie, miarowo. Raz dwa wybijają studenciakom chęć do śpiewania. Wałą w łeb, a jak się odwracasz plecami, jak się już skulisz w sobie, to w nerki.

– Idą, idą profesorowie! – krzyczy ktoś i to dobra myśl. Sara wie, że teraz przestaną bić, że to pewnie delegacja z rektoratu. Zatrzymuje się, patrzy, a milicjant profesora z historii wali przez łeb na odlew.

– Nie przedrzemy się tędy. – Pawliszuk odzyskuje zimną krew. – Łatwiej przez tych ormowców, to patałachy są! – Ciągnie Sarę z powrotem.

– O Jezu, Jezu! – Jakiś pokrwawiony zaplątuje się jej pod kolanami, ale nie może go ominąć, bo zgubi rękę swojego chłopaka, a tego najbardziej teraz nie chce. Zostało jej więc tylko to jedno. Depce chłopaka, a Pawliszuk ciągnie ją w kierunku pałacu.

Tymczasem ormowcy zdążyli okrążyć bibliotekę i nie ma jak się przedostać, więc odwraca się do Sary i krzyczy, żeby była za plecami.

– Muszę mieć dwie ręce, ale choćby nie wiem co, bądź jak najbliżej, bo ja cię nie mogę im przecież oddać. – Puszczą jej rękę, ściąga szalik z szyi, owija jednym końcem swoją lewą dłoń, drugi zaciska na prawej i idzie na ormowca jak taran, bez chwili wahania. Tamten rozgrzany już krwią i wódką, upojony przemocą, bo przecież przemoc upaja, czuje adrenalinę, czuje potrzebę, żeby to trwało, żeby trwało, podnosi pałę jak dzieciak nad głową i wali Pawliszuka centralnie w ryj, głupi, studencki, wredny, ale tamten nie zasłania się, czeka spokojnie. I kiedy pała spada, Pawliszuk wyciąga ręce i ten naprężony szalik owija wokół broni, jednocześnie kopiąc ormowca w jaja tym swoim trzewikiem, specjalnie dzisiaj założonym. Najcięższym, jaki ma. I zabiera mu tę pałę. I jeszcze raz kopie. Teraz kolanem w ryj zgięty ku ziemi.

– Sara!

Ona stoi jak wryta. Za dużo przemocy wokoło, za dużo. Płacze. Ale inni ormowcy widzą.

– Jeden z naszych oberwał! O ty świnio! Ty szmato, rękę na władzę podnosisz?

Lecą we dwóch. A Pawliszук pierwszego tą pałą zdobyczną wali z boku. Pod pachę. Tamtemu tchu brakuje, bo nagle wypluwa powietrze i w tej chwili bierze w głowę. Kolejny cios nie dochodzi, bo drugi ormowiec nie czeka, tylko uderza chłopaka w nerki. Boli. Dobrze trafił, chuj, ale Pawliszук wie, że nie wolno się nachylić, nie wolno, że tamten potrzebuje zamach wziąć, więc odwraca się szybko, szybciej, i na odlew pałą w twarz, w ryj, w zęby.

– Sara!

Ona stoi. Nie rozumie. Robi więc dwa kroki w tył, całuje ją.

– Chodź! – Ciągnie dziewczynę do drzwi rektoratu, ale, kurwa, zamknięte. Wali, nie otworzą. Pałą wali.

– Pomóżcie!

Ale okno w kwesturze otwarte, ręce się wyciągają.

– Chodź, dziewczyno, chodź!

Podsadza ją.

– A ty? – Ona patrzy. Oczy wielkie. Przestraszone.

– Ja nie, ale po ciebie wrócę. – Podsadza następną dziewczynę. I jeszcze jedną, a potem już zwalają się na niego kopniaki i ucieka.

Szymon Hubner był na wiecu od początku. Zły, bo już się rozeszło, że aresztowali rano Szlajfera, że go tu nie będzie dzisiaj. Krzyczał z radości, kiedy przyjmowano obie rezolucje, a potem razem z tłumem stał naprzeciw ormowców, krzycząc: „wol-ność, de-mo-kracja!”, a potem, kiedy zaczęli bić: „ges-ta-po, ges-ta-po!”. Ale oni dalej bili. Wyciągali z tłumy i bili po kilku na jednego. Próbował odciągać swoich, ale te bydlaki miały swoją taktykę. Bili jednego w kółku, a innych straszili. Studenci więc po prostu stali. Oberwiesz porządnie, to cię ostudzi. Oj, ostudzi. Potem czekali. Kiedy ormowcy odeszli, myślał, że to koniec. Że skoro odeszli, to znaczy, że my wygraliśmy. Wygraliśmy! Pokazaliśmy partii, że władza jest tutaj, że należy

do ludzi. Że ludzie, kiedy się zjednoczą, kiedy staną razem, to potrafią przekonać urzędników, że się mylą.

Ale to było jak sen, jak bańka mydlana. Kiedy zaczęli iść w kierunku bramy, w stronę Krakowskiego Przedmieścia, przekonał się, że autobusy z bojówkarzami w jesionkach nie odjechały.

Stali tam i czekali. I było w tym oczekiwaniu napięcie, takie jak przed burzą nad morzem. Kiedy byli na wakacjach, widział taką burzę nad morzem. Wszyscy siedzieli w namiotach, a on, wystraszony trochę, bo nawet parasola nie miał, ale zafascynowany, widział, jak się chmury gryzą z falami, jak się w nich uciera gniew, jak rzucają się do gardła jedne drugim. Uciekł, dopiero kiedy się rozpętało. Kiedy wszystko stało się jednolicie szare.

W tłumie ludzi w jednakowych jesionkach widział taki sam gniew. Kotłował się w nich. Prawdziwy, nieudawany, wściekły. Nie rozumiał tego. Jak to? Przecież to robotnicy, zwyczajni ludzie, mają rodziny, dzieci, dlaczego nie chcą żyć w wolnym, dobrym, porządnym świecie? Chcą, żeby ich za mordę trzymać? Żeby nimi pomiatali ci wszyscy przy żłobie, kasta tych urzędników partyjnych? Dlaczego im pozwalają mieć na wyłączność środki produkcji, zarządzać pracą i dzielić jej produkty? Nie rozumieją, że przemysł w naszym kraju jest własnością ludzi pracy tylko na papierze, a naprawdę należy do wąskiej grupy dygnitarzy?

Chciał stanąć przed nimi, mówić. Przecież by zrozumieli. Zrozumielibyście, prawda?

Ruszyli. Odwrócił się w stronę Starego Miasta, ale stamtąd szła milicja. Mundury, hełmy, długie pały. Kordonem. Przeszedł szybkim krokiem przez ulicę i wbiegł na schody kościoła Świętego Krzyża. Kłębił się tam tłum studentów, niektórzy mówili, żeby się schować w kościele, że do kościoła nie wejdą, ale nie chciał, fascynował go ten widok ludzkich mas idących naprzeciw siebie.

Ktoś krzyknął i ormowcy razem z milicjantami włali się przez bramę

uniwersytetu.

Usłyszał okrzyki: gestapo, bandyci, a potem, przez chwilę, hymn.

Kiedy zaczęło się przed kościołem, nie uciekał. Przecież między milicją a nimi stał Chrystus. Ojciec opowiadał, że to ważna figura dla Warszawy, że dopóki ma rękę w górze, to Warszawa nie przegra. I że w czasie powstania, kiedy go Niemcy zwalili, to leżał tak, że ręka ciągle była w górze. I nie zginęliśmy, jesteśmy. Nie wszyscy, ale jesteśmy.

To gówno prawda. Boga przecież nie ma. Ludzie na schodach zaczęli krzyczeć: gestapo, bandyci. Wtedy milicjanci wystrzelili w ich kierunku ładunki z gazem.

Szymon poczuł pieczenie, łzy poleciały mu tak szybko, że nie widział, gdzie nogę postawić, chwycił się za gardło, bo z bólu zachciało mu się rzygać, a tłum pociągnął go w dół, po schodach, na ten chodnik zimny, brudny, przemarznięty. Rzygał, widział pod stopami kwiaty podeptane. No tak, pomyślał, ósmy marca, i wtedy oberwał pałą przez plecy. Ale nie upadł, odwinął się i tego ormowca w pysk.

Za tę jego głupotę. I z drugiej strony. Przecież to za twoją wolność, człowieku! Ale już podbiegają milicjanci i Szymon chce uciekać. Ale ormowiec trzyma mocno. Trzyma z całej siły.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

TERAZ

Luter trzymał się planu z całej siły. W niedzielę dotarł na miejsce wyznaczone przez koordynaty dokładnie o 12.45. Spojrzał na wyświetlacz.

„On position” – mówiły litery.

Stał przed kościołem Świętej Anny. Zanim się zatrzymał, obrzucił uważnym spojrzeniem chłopaka grającego w tenisa piłką na długiej, elastycznej gumie, a potem innego z wiaderkiem jakiegoś płynu i linką na dwóch kijach, za pomocą których tworzył wielkie mydlane bańki ku uciesze chmary dzieciaków. Widział, jak dziewczyna z żółtym parasolem zbiera chętnych do wycieczki w języku hiszpańskim, słyszał, jak Indianie grają wkoło jedną i tę samą melodię, jak radiowóz zajeżdża na plac Zamkowy i jak grupa Chińczyków, czy może Japończyków, wchodzi na teren przykościelnego bazaru. Jak z placu Zamkowego jedzie w jego stronę rower cargo. Za plecami usłyszał nadjeżdżający z Miodowej autobus. Poza tym tłum. Jak to w słoneczną niedzielę. Gdyby mógł się rozejrzeć, pewnie wypatrzyłby gdzieś Druida. W takim tłumie, Luter jest pewien, Druid umie się schować, a Luter umie go odszukać. Ale nie rozejrzy się. Będzie spacerował z opuszczoną głową. Pewnie Druid nie jest sam. Dobrze byłoby wiedzieć, z kim... Może siedzą w którejś z kawiarni. Może w którejś z taksówek zaparkowanych pod Domem Polonii. Mógłby ich wypatrzyć, zlokalizować, ocenić, ale wie, że nie może podnosić głowy. Nie wolno się teraz rozglądać. Staje twarzą do fasady kościoła, bo jest świadomy, że nie ma na niej kamery. To dobre miejsce. Ręce trzyma w kieszeni kurtki, czapka wełniana, popruta, rozciągnięta, nieco więc opada na oczy. Kurtka

poplamiona olejem i porozrywana tu i ówdzie. Ale nie za bardzo. Z bliska widać, że brudna, ale z odległości kilku kroków zwyczajna. Stara. Musi tu stać i czekać. Nie potrwa to długo. Sygnał nadejdzie precyzyjny jak zawsze. Żeby oddalić pokusę, żeby się nie rozglądać na boki, patrzy na Świętego Jana Ewangelistę. Tego z orłem za plecami. Pamięta, że był tu ze szkolną wycieczką. Pani przewodnik mówiła, że Świętego Jana zawsze możemy rozpoznać po orle i że ma twarz króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Tyle spraw zapomniał od tamtego czasu, a to pamięta. Czy to nie dziwne? Czyta teraz napisy. Największy jest po łacinie. Nie rozumie z niego nic, ale nazwiska są po polsku. Stanisłao Augusto Rege, Iosephus Kwiecinski. Litery milczą. Luter robi kilka kroków w prawo. Drzwi zamknięte. Dziwne. Zawsze do Świętej Anny otwarte było oboje drzwi. Na murze jest więcej napisów. „Szukałem Was, Wy teraz przyszliście do mnie, za to Wam dziękuję”.

„Przyszliście” – mówią litery – „przyszliście do mnie”.

Luter ma nadzieję, że tak właśnie jest. Że przyszli. Ale nie obejrzy się. Nie może się obejrzeć. W kieszeni trzyma nóż. Długie ostrze. Doskonale wie, co z nim należy zrobić. I wie, że nie chybi. Nigdy nie chybia. Czeka. Czeka jest w tej robocie najtrudniejsze. Czekać tak, żeby się nie zdekoncentrować. Nie rozglądać się i wszystko widzieć.

Czeka.

Wibracje.

„Your left door” – mówią litery.

Idzie do lewych drzwi. Zna to miejsce. Wie, że za nimi jest wąska kruchta na całą szerokość świątyni. Kruchta tak naprawdę jest przestrzenią między starą, niedokończoną nigdy barokową fasadą i tą nową, postawioną w czasach Stanisława Augusta. Do wnętrza kościoła prowadzi z niej pojedyncze, szerokie wejście. Jeśli ma pilnować lewych drzwi, to znaczy, że ma wsparcie. Prawe są zamknięte nieprzypadkowo. Czy to znaczy, że mają w kościele wspólników? Nie, to absurdalna myśl. Musieli znaleźć sposób na

odcięcie tamtych drzwi. Luter zna mnóstwo takich sposobów. Można zabić zamek i po krzyku. W kruchcie jest mnóstwo napisów. Cała kolekcja epitafiów. Ale nie czyta. Nie słyszy. Ludzie zaczynają wychodzić z kościoła. Luter wciska się pod prąd ludzkiej ciżby do środka. Widzi go. Widzi, jak człowiek z fotografii płynie z tym prądem wolniutko w jego stronę.

Napisy kuszą, ale teraz nie może już szukać żadnej rady, teraz skupiony jest tylko na tym, żeby nie dać się wypchnąć tłumowi. Robi krok w lewą stronę, żeby być bliżej ściany, a tłum spokojnie płynie po jego prawej ręce. Patrzy w oczy obiektowi i widzi w nich strach. Widzi powiększone źrenice, widzi, jak na czole pojawia się pot, jak na karku zaczyna pulsować gruba, nabrzmiąła żyła.

Boi się, myśli Luter, to znaczy, że wie.

To jest dobra myśl. Powinien się bać. Robi krok w jego stronę, tłum przyciska ich do siebie.

Na prawo od drzwi wisi tylko jedna tablica. Inskrypcja zaczyna się od słów: „Pamięci poległych i pomordowanych”.

„Pomordowanych” – mówią litery.

Luter wyjmuje nóż z kieszeni. Długie ostrze, dokładnie wyczyszczone. Nie będzie śladów. Tylko po niebieskiej, gumowej, antypoślizgowej rękawicze. Wbija nóż w bok. Tamten nie wydaje z siebie żadnego dźwięku, idzie dalej, Luter wsuwa nóż do kieszeni i kładzie mu rękę na plecach. Czuje, jak tamten drży. Ludzie napierają. Przez chwilę są bardzo, bardzo blisko siebie. Jak jeden organizm. Tamten człowiek, prawicowy publicysta, nikt po nim nie będzie płakał, robi jeszcze dwa kroki w stronę drzwi, obraca się wokół własnej osi i osuwa na ziemię, szorując plecami o framugę.

Przy framudze, za szybką w czerwonej ramce włącznik alarmowy.

„Pożar” – mówią litery, a Luter bez wahania wciska alarm. Nie wie, że pokaleczy sobie dłoń przez tę rękawiczkę. Rzuca wzrokiem w dół. Tak,

dużo krwi, bardzo dużo, bardzo dobrze. Robi krok i przechodzi nad nogami leżącego. Syrena alarmu wyje, a za jego plecami podnosi się wrzask. Skręca w prawo i idzie powolnym krokiem zmęczonego życiem człowieka w stronę zamku. Krzyk potężnieje, ludzie biegną w tamtą stronę. Luter się nie ogląda. Ma opuszczoną głowę, nasuwa kaptur, skręca od razu na schody za dzwonnica Świętej Anny. Słyszy dźwięk syreny. Patrol policji był na placu Zamkowym. Dobrze, bardzo dobrze. Będą teraz mieli wiele pracy. Schodzi po kilku stopniach, a potem w prawo, na brukowaną ścieżkę wzdłuż murów oporowych świątyni. Idzie spokojnie. Powinien był wyrzucić nóż, ale postanawia tego nie robić. Schodzi wolnym krokiem nad samą rzekę.

Wibracje.

„OK” – mówią litery.

Luter ma nadzieję, że nie kłamia.

Olga nie ma pojęcia, co się dzieje na placu Zamkowym. Stoi na peronie Dworca Centralnego i całuje się z mężczyzną, który sprawił, że się przestała bać. Nie bała się zasnąć ani nie bała się nie spać. Ani kiedy wyciągała do niego rękę, nie bała się, że trafi w pustkę. A kiedy podnosiła wzrok, nie bała się, że będzie patrzył w inną stronę. Nie bała się, kiedy ją dotykał ani nawet kiedy był w niej w środku. Nie wstydziła się fałdek na brzuchu ani blizn na kostkach. Nie zastanawiała się już nawet, czy widzi tę odrobinę cellulitu, której nie pokazałyby nikomu innemu na całym świecie. Nie musiała mieć suchego czoła, nie musiała układać włosów. Mogła być spocona. Nie musiała nawet mieć wymytych zębów, kiedy kochali się, po tym jak jedli pizzę z cebulą i czosnkiem. Mogłaby nawet wymyć zęby tą samą szczoteczką co Szymon. Tak jej się w każdym razie wydawało.

A teraz stoi na peronie i dotyka ustami jego ust. Jeszcze kilka minut. Ale to nic. Każdą z nich przeżyje najlepiej, jak potrafi. Nie będzie się bała. I nie będzie o nic pytać.

Nie boi się, że on już nigdy nie zadzwoni, że już nigdy się nie zobaczą. Nie boi się nawet, że on może ma kogoś tam, daleko, we Wrocławiu. Nie

zapyta. Nie chce wiedzieć. Chce, ale nie musi. Całuje go powoli. Nie gryzie ani nie szarpie. Dotykają się ustami i Olga czuje ciepło.

– To są źli ludzie, Olu.

Serbia wzdycha i kręci głową. Nie lubi, kiedy mówią do niej Olu. Ale nie będzie się gniewać. Wzdycha, żeby ukryć, że jest jej z tym dobrze. Do tej pory tylko tacie i rzeźbiarzowi ze Starówki pozwalała tak do siebie powiedzieć.

– Naprawdę źli?

– No. Naprawdę.

– I co w związku z tym?

– Nikomu nie ufaj. W takiej sphaawie nikomu nie ufaj.

– Czemu mi to mówisz?

– Ktoś wyczyścił akta dotyczące twojego wypadku. Ktoś wybhał papiehy z teczki Pawliszuka. Komuś zależało i być może ciągle zależy.

– A Leśmianowi?

– Temu z dobrej zmiany? No jego w Wahszawie nie było wtedy, ale jaką masz pewność, że nie gha? Że chce sphawdzić, ile pamiętasz? Nikomu. Obiecuj.

– A tobie?

– A mówię przez sen?

Pokiwała głową.

– Trochę mamroczesz.

– Więc nikomu.

Pocałował ją w usta, ale teraz tak do samego spodu.

– Idź. – Odsunęła go – Idź, bo ci odjedzie.

Wskoczył do InterCity i szedł w poszukiwaniu swojego miejsca, a ona szła po peronie, patrząc na jego cień po drugiej stronie lustra, i nie mogła się nadziwić, że nie płacze i nie żałuje. Że jest, kurwa mać, szczęśliwa.

Druid siedzi na miejscu pasażera w limuzynie zaparkowanej przy Domu

Polonii. Numery na wszelki wypadek są odrobinę przemalowane. Nie trzeba wielkiej filozofii, żeby z trójek zrobić ósemki. Myślał o taksówce, ale szofer mógłby go zapamiętać. Pojechał więc z panem Franciszkiem. W Warszawie jest sporo kosztownych samochodów. Policjanci z drogowki nie lubią im się przyglądać. Straż miejska w niedziele ma wolne, więc Druid czuje się z panem Franciszkiem całkowicie bezpieczny. Przy oku ma miniaturową lunetkę. Widzi chaos. Policja odgradza wejście do kościoła. Funkcjonariusze starają się spisać jak największą liczbę osób, poszukują świadków, ale ludzie się rozchodzą. Taka jest kolej rzeczy, będą ich potem szukać na monitoringach wzywać, zapraszać. W kruchcie kościoła nie ma monitoringu. Nie odkryją, co się stało. Nikt by nie zapamiętał, kto się z kim przepychał w tłumie. No on, Druid, zapamiętałby. To oczywiste. Szkolenie żołnierza jest kosztowne, ale opłacalne. Trochę poruszył go dźwięk alarmu przeciwpożarowego, ale trwał tylko chwilę. Ale to dobrze. Panika sprawi, że ludzie pozacierają ślady. Panika nie jest dobra w pomieszczeniach z jednym wyjściem. Zadbał, żeby drugie było nieczynne. Stary sposób. Złamany klucz. Teraz widzi, jak nadjeżdża ambulans. Po chwili kierowca karetki wyłącza sygnalizację. Nie trzeba się spieszyć. Znaczy trup.

– Panie Franciszku, to jedziemy.

– Nie czekamy na karawan?

– A bo to wiadomo, kiedy przyjedzie? Posłuchamy w wiadomościach, co się działo.

Druid wykręca numer i czeka chwilę.

– Tak jak obiecałem – mówi. – Czysto, szybko, jak w zamówieniu.

Słucha chwilę, a potem chowa komórkę do kieszeni. Myśli sobie, że obaj z Lutrem zasłużyli na piwo. Nie... najlepiej na piwo z wiśniówką. Niech się tylko robi trochę cieplej.

Kosiński leży na łóżku. Patrzy w sufit. Słucha God is an Astronaut. Lubi tę płytę od pierwszego wysłuchania. Za kilka godzin wsiądzie do pociągu i pojedzie do Trójmiasta. Spędził dwa dni przy telefonie, ale znalazł panią

Joannę, dawną narzeczoną Krzysztofa Bielskiego. Pani Joanna, słucham. Tak odpowiedziała, kiedy się do niej dodzwonił. Kto tak, kurwa, o sobie mówi, per pani? Nie chciało mu się tam jechać. Chciałby wsiąść z Arturem do jego beemki i rozpędzić się do dwóch pak na drodze do Radomia. To tylko godzina drogi. Kurwa, jak lubił, kiedy tak jechali. A teraz nie może nawet do niego zadzwonić. Nie dzwoń, powiedział Artur, kurwa, nie dzwoń, póki to się nie skończy, bo mam maszynki na podsłuchu.

– Serio?

– No, kurwa, takie są procedury. W gówno wdepnąłeś i tyle. – Usłyszał, że Artur się uśmiecha.

– A wolno ci to powiedzieć?

– Że jesteś w czarnej dupie? Tak, to mi wolno, ale niczego więcej.

1968

– Tak, to mi wolno. To i niczego więcej! – Hela płakała. Przeplakała całą noc. Nie pozwoliła, żeby Hubner ją przytulił, pocieszył, cokolwiek. Żeby powiedział choćby jedno słowo. Chciała zmusić męża, żeby dzwonił do Jaroszewicza. Do gabinetu, a jak będzie trzeba, to oczywiście i do domu. Ale Hubner nie chciał. Po prostu nie mógł tego zrobić. Nie mógł drugi raz wykorzystywać tej ścieżki. Poza tym czasy zmieniły się kompletnie i Hubner rozumiał to doskonale. Rozumiał więcej niż ich wyzwolone dzieci, którym zdawało się tylko, że pozjadały wszystkie rozumy. Przecież w całym tym zamieszaniu nie chodziło ani o wolność, ani o demokrację, ani o zniesienie cenzury.

– Tak? – pytała Hela. – Tylko ty wiesz, o co chodzi? Dlaczego jesteś taki zadufany w sobie? Dlaczego nie pójdziesz, nie padniesz do nóg, jeśli trzeba? Przecież to nasz syn, nasz syn...

– Bo nie chodzi o jakieś *Dziady* i nie chodzi o studentów! – Chciałby zakląć, ale gryzł się w język, bo tego mogłaby mu nie wybaczyć, a jak by dalej żył bez jej bioder, chociaż zrobiły się już miękkie, i bez jej włosów, chociaż coraz bardziej siwiały. Nawet pięścią w stół nie uderzył.

– Ale ja nie wiem, gdzie on jest! Nie rozumiesz?! Nie wiem, gdzie jest mój syn! Szpitale obdzwoniłam, nie wiedzą. Na milicję dzwoniłam, nie mówią.

– Nie powiedzą, ale w areszcie jest, gdzie ma być? Po co do szpitali? Przecież nie strzelali do ludzi, tylko bili.

– Tak! – Popatrzyła na męża ze straszliwym wyrzutem. – Tylko bili? Ty siebie słyszysz? Dzwon, przecież taki jesteś dumny z tej przyjaźni.

– Nie mogę, bo to nie o naszego syna chodzi, tylko o niego.

Zaczęła zawodzić cicho jak ranne zwierzę.

Pękało mu serce. Ale nie zadzwonił. Nie mógł narazić Jaroszewicza na podejrzenie o sprzyjanie piątej kolumnie, syjonistom, rozłamowcom. Wiedział, o co idzie gra. I że nikt tego nie powie na głos. Gra szła o partię. O jedyną, zjednoczoną, która nagle stała się za ciasna. Komuniści namnożyli się, nażarli i byli teraz jak szczury w ciasnej klatce. Za mało miejsca, za mało fruktów, więc zaczęli się nawzajem zagryzać. Moczar wiedział, że to nastąpi, sam zresztą ich wszystkich paśł. Szykował się latami. Miał taki plan, że zagryzie połowę stada. Żydów zagryzie i od tej pory nie będzie już w PZPR żadnych Polaków żydowskiego pochodzenia. Nie będzie obywateli polskich wyznania mojżeszowego. Będą syjoniści czy jak woleli pisać moczarowcy – syjoniści. Polacy będą musieli wybrać: albo znienawidzą, albo sami oberwą. Żydzi będą musieli wybrać: albo Izrael, albo posłuszeństwo Moczarowi. Gomułka, żeby przetrwać, póki jest potrzebny, będzie kukłą, która powtarza o konieczności pozbycia się z Polski piątej kolumny. Ale tylko do dnia, kiedy ich, Żydów, z partii wymiotą. Potem jego też wypieprzą na zbity ryj, bo nie jest na dzisiejsze czasy ten niewyuczalny relikwyt lat pięćdziesiątych w jednym garniturze i okularach jak denka od butelki. Rosjanie się go pozbędą, bo nie jest im potrzebny ktoś, kto nie potrafi porządku utrzymać we własnym chlewie.

Hubner wiedział, że nie będzie łatwo, że Hela wykorzysta każdy argument. Ale nie był tchórzem. Nie będzie dzwonił. Przetrwa.

Rano, niewyspany, bo na fotelu nie potrafił zasnąć, a Hela zatrzęsnęła przed nim drzwi sypialni, ogolił się, zjadł białego sera z chlebem i miodem i poszedł na politechnikę. Kupił po drodze „Trybunę” i „Życie Warszawy”. Przeczytał o wichrzycielach, graczach, żydowskich prowodyrach buntujących studentów do obalenia porządku. Czytał, że dzieci robotników

nie stać, żeby iść na studia, ale dzieci żydowskich notabli nie mają z tym problemu. Że trzeba oczyścić uczelnie ze sjonistów, ukarać mocodawców fermentu na uczelniach. Że Polska nie może tolerować piątej kolumny i Freies Europa.

W czasie wiecu w auli politechniki nie stał, jak inni profesorowie, na balkonie, ale na dole, w tłumie.

– Pra-sa kłamie, pra-sa kłamie – skandowali. – U-wol-nić stu-den-tów, u-wol-nić stu-den-tów.

A potem jeszcze: o-szu-ku-ją ro-bot-ników.

Czuł się dobrze w tym tłumie. Był u siebie. Widział kątem oka rektora Smoleńskiego, widział profesora Bukowskiego, postarzał się ostatnio, wszyscyśmy się postarzeli. Ale nie na tyle, żeby iść jak barany na rzeź. Jak ktoś stał dla Polski naprzeciw kulom, to się nie ulęknie pały – myślał. Ale na marsz pod redakcję „Życia Warszawy” nie poszedł. Spieszył się do domu, żeby sprawdzić, czy Szymon wrócił.

Ale nie. Rusiński stał w bramie. Nie, nie przyszedł, pokręcił głową. Nie potrzebowali słów, żeby się porozumieć.

Sara płakała. Siedzieli na schodach z Pawliszukiem, palili papierosy i szeptali coś do siebie nachmurzeni, gniewni. Chciałby usiąść z nimi. Pawliszук ukłonił się, chciał wstać, ale Hubner pokiwał mu dłonią, żeby nie. Żeby siedział.

– On nie wrócił, tato.

– Wiem, mała, wiem. Ale nie umrze.

– Skąd wiesz?

– Na Syberii byłem. Nie umiera się z braku wolności. Ale bez miłości można.

– Co z nami będzie, tato?

– To nasz kraj, pamiętasz? Będziemy walczyć.

– Na polibudzie coś się dzieje? – zapytał Pawliszук.

– Tak, nie damy się. Wiece są, rezolucje, pewnie będzie nawet strajk. I są głosy z innych uczelni. Z Krakowa, z Wrocławia, oni też będą strajkować.

– Kiedy?

– Jutro, może za dwa dni.

– Wyciągniesz go, tato?

– A gdybyś ty siedziała, a ja prosiłbym kogoś z komitetu, żeby cię wyciągnął?

– Nigdy bym ci nie wybaczyła.

– Dlatego nie zadzwonię.

– A mamie nie powiedziałaś tak. Mamie powiedziałaś, że nie możesz zadzwonić.

– Nie okłamałem jej. Nie mogę i nie zadzwonię.

Poszedł do domu, kiedy Pawliszук objął Sarę. Sam był kiedyś jak oni. Wiedział, kiedy trzeba odejść. Klucz zazgrzytał w zamku jak tłuczone szkło. W przedpokoju mrok. Chłód. Cisza bolała go tak, jakby mu zamarzały palce. Jakby czerniały, jakby tracił w nich czucie i nie pozostawało już niż nic, jak tylko je odciąć. Wyrzucić. Wszedł do kuchni. Kolacja stała na stole, ale chleb rósł mu w ustach. Jakby popiół jadł.

W niedzielę Sara z Pawliszukiem byli na sumie w katedrze. Hubner dziwił się, że żydowska dziewczyna i młody komunista idą do kościoła, ale nie mówił nic. Nie pytał. Nie było go stać na to, żeby stracić jeszcze córkę. Kiedy wrócili, uważnie słuchał, co opowiadała. Prymas Wyszyński krzyczał, że to, co się dzieje, jest niegodne, że ci, którzy znieważają i biją studentów, znieważają siebie samych i Polskę. Że władza państwowa nie może zastąpić rozsądku i sprawiedliwości pałką gumową.

– I co? – pytał Hubner.

– Czy to nie wspaniale?

– Nie. – Kręcił głową. – To nie wystarczy. Wszystko, co Kościół

zbudował dwa lata wcześniej, nie miało już znaczenia, bo ludzie już za Kościołem nie pójda.

Nie chciał ich martwić, ale Gomułka miał za sobą aparat partyjny, miał propagandę, prasę, oficerów politycznych i aktywistów. Skoro wypuścił już wyhodowane w lochach Domu Partii antysemickie upiory, radio i prasa rozkręciły tę spiralę. Nawet „Wiadomości Wędkarskie” pytały, kto jest kim...

W poniedziałek, żeby wejść na uczelnię, musiał przedstawić dowód. Nasłuchał się od kolegów, co się dzieje. Tego wyrzucili z tramwaju, bo przecież Żydzi nie będą odtąd jechać z białymi ludźmi. Tamtemu napisali na murze: „tu mieszka sjonistyczna hołota”. W akademiku pobili się między sobą studenci. Żyd, Dajczgewand, był sam, tamtych było pięciu.

Wieczorem w radio nadawano transmisje z wieców w zakładach pracy.

„Za fermentem na uczelniach nie stoją dzieci robotników, bo naszym dzieciom tam jest trudno się dostać. Jakie więc siły stoją za tym? To literaci ze Związku Literatów – słyszał jakiegoś prelegenta, a w tle okrzyki: precz z piątą kolumną. – A kogo przywołali na pomoc studenci? Brudnych długowłosych chuliganów spod kiosków z piwem. Niebieskie ptaki. Trzeba oddzielić ziarno od plewy”.

– On jest chory – powiedziała Hela, stawiając przed nim jajecznicę.

– Kto jest chory? – Hubner nie zrozumiał w pierwszej chwili.

– Szymon. Chory jest.

– Skąd wiesz?

– Dodzwoniłam się. Jest bardzo chory. Ale nie wypuszczą.

– Od pobicia?

– Nie tylko. Ma zapalenie płuc. Jeśli jemu coś się stanie w tym areszcie, odejdę od ciebie. Zabiorę Sarę i odejdę.

Popatrzył na nią w milczeniu. Zimno było w mieszkaniu. Jajecznicza parowała.

– Do Izraela pojedę – dodała już ciszej. – Wszyscy wyjeżdżają.
Widziałeś napis na klatce?

Pokręcił głową.

– „Żyd i kurwa, mieszkania 4”. – Łzy popłynęły jej po twarzy. –
Wiesz... to o naszej córce.

– Nie widziałem. – Opuścił głowę. Wstydził się patrzeć na jajecznicę.
Wstydził się samemu sobie przyznać, że myśli tylko o jedzeniu. Jakby jego
świat skurczył się nagle do decyzji, czy może już wziąć widelec do ręki.

– No bo pan Rusiński zamalował, zanim wróciłeś. – Hela uklęknęła przy
nim. – No jedz, wystygnie ci.

Wziął widelec.

– Jedz, kochany. A potem zadzwoń. Wyciągnij go. On umrze na te
płuca. Przecież wiesz. Co my zrobimy, jak umrze? Kim będziemy?

Nie umiał nabrać jajka. Ręka mu drżała.

Następnego dnia znowu stał w tłumie w auli politechniki. Brodaty facet,
którego Hubner nie znał, odczytywał rezolucję.

– My, studenci Warszawy, deklarujemy naszą niewzruszoną jedność,
wspólnie występujemy w obronie zasad demokracji socjalistycznej,
wspólnie walczymy o prawne gwarancje dla swobód akademickich
i autonomii wyższych uczelni, potępiamy wszelkie akty przemocy fizycznej
stosowane wobec manifestujących studentów, domagamy się ukarania
winnych brutalnego postępowania milicji, protestujemy przeciwko
kłamliwemu informowaniu społeczeństwa o zajściach na wyższych
uczelniach Warszawy – cedził słowa wyraźnie, musiał czytać w świątyni –
protestujemy przeciwko działaniom mającym na celu wprowadzenie
rozdźwięku między polską klasą robotniczą a polską młodzieżą studiującą.

– O-szu-kują ro-bot-ników – krzyczał tłum – o-szu-kują ro-bot-ników!

W domu włączył radio. Nie było o tym ani słowa. Słyszał za to kolejne
nagrania z robotniczych wieców.

„Oczyścić partię ze sjonistów! Sjoniści precz z Polski! Urwiemy łeb antypolskiej hydrze!”.

Wieczorem postanowił, że jednak zadzwoni.

Stali nad nim wszyscy troje. Hela, Sara i Pawliszuk. Trzymali się za ręce.

Hubner siedział w fotelu z telefonem na kolanach.

Jaroszewicz nie odebrał.

Dziesięć sygnałów. Dwanaście. Tysiąc...

Rozpłakał się.

Hela podeszła do niego i położyła mu rękę na karku.

– Dziękuję – powiedziała, zanim odeszła. Sara za nią.

– Mamo, mamoo...

Pawliszuk stał. Czekał, aż zostali sami.

– Ja go wyciągnę – powiedział.

– Co ty mówisz, synu... co ty wiesz... co ty wiesz o tym świecie.

– Wiem. Mam tam kogoś. Mam tam kogoś, kto może pomóc. To nie będzie łatwe. I za darmo tego nie robi, chociaż to przecież ojciec.

– Co ty mówisz?

– Musi pan to zachować dla siebie. Ojciec, nie ojciec, czegoś będzie ode mnie chciał. A ja go nienawidzę. Nienawidzę go, odkąd wiem, kim jest. Nienawidzę z całego serca. Ale on mógłby to zrobić. Szymon chory jest, to pomoże. Pomoże, bo śmierć w areszcie nikomu niepotrzebna.

Hubner milczał.

Obaj milczeli.

– Rozmawiasz z nim? – zapytał w końcu profesor.

– Od dawna nie.

– Skąd wiesz, że może pomóc?

– On wiele może.

– Więcej niż wicepremier?

– Niż wicepremier lubiący Żydów? Tak. Więcej.

– Czego będzie chciał?

Pawliszук pokręcił głową.

– Dowiem się – powiedział.

Następnego dnia Gomułka w Sali Kongresowej miał przemówienie transmitowane w Pierwszym Programie Polskiego Radia na żywo. Dwie godziny. Hubner palił fajkę. Słuchał, jak Pierwszy Sekretarz twierdził, że linia podziału w naszym kraju przebiega nie między studentami i robotnikami, ale między zwolennikami socjalizmu i jego zajadłymi przeciwnikami: Kisielewskim, Jasienicą, który naprawdę jest Żydem i nazywa się Leon Lech Beynar, dezertor z Ludowego Wojska Polskiego, członek bandy skazanego na śmierć Łupaszkі.

„Śledztwo przeciwko Jasienicy zostało umorzone z powodów, które są mu znane. – Gomułka rzucił sugestię o lojalności Jasienicy i przeszedł do „brudnej prowokacji” o rzekomej śmierci ciężarnej studentki Marii Baranieckiej, zabitej jakoby przez milicję. – Była współtowarzyszka walki każdego z nas i taką pozostanie w naszej pamięci. Zbrodniarze z Gołędzinowa, mordujący pałkami bezbronną dziewczynę, przypominają nam jako żywo stalinowski terror sprzed lat – czytał ulotki zebrane z warszawskich ulic – «Bij PZPR!», «Chwyćmy za broń!», «Precz z komunizmem!», «Rzućmy moskiewskie jarzmo!», «Przeżyliśmy potop szwedzki, przeżyjemy i sowiecki!», «Nie żałujmy kamieni ani cegieł dla milicjantów i innych s...nów», «Precz z Gomułką»”.

Wreszcie doszedł do wskazania winnych. To literaci prowokatorzy podpierający się Mickiewiczem: Jasienica, Kisielewski, Słonimski, Mieroszewski, to sprzyjający im profesorowie: Brus, Baczko, Morawski, Kołakowski, Bauman, oraz młodzież akademicka pochodzenia lub narodowości żydowskiej.

„Rodzice wielu z tych studentów zajmują odpowiedzialne, a także wysokie stanowiska w naszym państwie. Dlatego na fali tych wydarzeń

wypłynęło, opacznie nieraz pojmowane, hasło walki z syjonizmem. W swoim czasie otworzyliśmy szeroko nasze granice dla wszystkich, którzy nie chcieli być obywatelami naszego państwa i postanowili udać się do Izraela”.

Ten wątek Gomułka podkreślał kilka razy.

„Są obywatele naszego państwa, którzy nie czują się ani Polakami, ani Żydami. Nie można mieć do nich o to pretensji. Nikt nikomu nie jest w stanie narzucić poczucia narodowości, jeśli go nie posiada. Z racji swych kosmopolitycznych uczuć ludzie tacy powinni jednak unikać dziedzin pracy, w których afirmacja narodowa staje się rzeczą niezbędną”.

Na zakończenie poszczuł jeszcze raz robotników na studentów. Ale tylko na tych żydowskich.

Wieczorem Pawliszuk przyprowadził do domu Szymona.

Chłopak ledwo trzymał się na nogach. Ale żył.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

TERAZ

– Ledwo trzymał się na nogach, ale żył. – Pani Joanna wytarła nos w chusteczkę. – Zawiozłam go na pogotowie. Miał wybite górne jedyńki, wstrząśnienie mózgu i złamane żebro. Krwią pluł tak, że sądziłam, że ma odcięty język, ale okazało się, że tylko go nadgryzł, kiedy dostał w zęby. Jakby kawałka brakowało... Zawiozłam go na pogotowie. Stamtąd do szpitala. Ja za nim, za tą karetką. Czekałam... Głupia byłam. Ale wie pan, kobieta, kiedy jest w ciąży, nie wszystko potrafi racjonalnie przemyśleć.

Sięgnęła po papierosa. Niewielkie pudełko leżało między nimi na stole spokojne, nietknięte.

Dwie filiżanki kawy, czarna, rozpuszczalna, zwyczajna. Zimna już. I te papierosy. Nauczycielka zdejmuje celofan, mnie go w palcach, przez chwilę nie wie, co z tym zrobić, bo kiedy kładzie na stole, plastik nie chce być zmiętą kulką, rozwija się bezmyślnie. Pani Joanna mnie go jeszcze raz i ukrywa w dłoni. Wyjmuje jednego papierosa, rozciera w palcach, żeby rozgnieść te kulki. Trzask, trzask...

– Mamo, mogę komputer?

– Julka, nie teraz, przecież rozmawiam.

– Ale maaaa-mooo.

Kosiński patrzy na dziewczynkę. Ma jasne włosy związane w kucyki i wielkie niebieskie oczy. Łypią na niego krótkimi zrywami.

– Julka, przywitaj się. Przecież potrafisz.

Julka przewraca oczami.

- No przecież to proste.
- Dzień dobry. – Uśmiecha się leciutko.

Kosiński też się uśmiecha.

- A teraz mooooooogę już?
- Tak, ale tylko pół godziny.

Joanna wstaje z krzesła, otwiera szafkę i wyrzuca celofan. Wraca do stołu z paczką zapalek.

– Ja nie używam zapalniczek. Staram się nie używać plastiku, znaczy używać jak najmniej, ale to przecież niemożliwe w naszych czasach... – Zapala.

Wsysa w siebie dym, jakby to było mleko. Trzyma go w płucach bez końca.

– No a potem – pozwala, żeby dym wreszcie z niej wypłynął – kiedy wyszedł ze szpitala, spał ze mną już tylko raz. Ale nie kochaliśmy się. Myślałam, że to złamane żebro go boli, ale to było co innego... Zresztą nie wiem, czy spał wtedy w ogóle. Rano wyszedł do sklepu. Myślałem, że po bułki, po ser... ale on przyniósł kartony. Zaczął w nie pakować swoje książki. Ubrania. Zadzzwonił po jakiegoś kolegę, co ma SUV-a... Powiedział, że do matki. Że on to pierdoli, że z żadną kurwą mieszkał nie będzie. Że nie wiedział, że ja się zadaję z jakimiś mordercami. I że on za dużo wysiłku włożył w to, żeby osiągnąć miejsce, w którym jest. Że prowadzi kilkanaście ważnych projektów, czasami one wymagają poświęcenia czegoś więcej niż tylko czasu czy jakichś osobistych ambicji, żeby mieć rodzinę. A ja tego nie rozumiem. Nie rozumiem, bo narażam go i powstrzymuję. Ograniczam. Dziecko chcę rodzić, chociaż to nie jest dobry czas i ja o tym wiem, że to jest czas na doktorat, a nie na dziecko... Nie rozumiałam. Potem zaczęłam płakać. Wyc zaczęłam.

Strzepuje popiół do filizanki. I zaciąga się znowu do samego spodu.

– Wyc. Rozumie pan? Poniżyłam się przed nim. Wszystko bym zrobiła, żeby tylko został. Wtedy mi powiedział, że dał słowo tamtemu zabijace, że

zniknie z mojego życia. Że odejdzie. A jeśli nie, to tamten wybije mu wszystkie zęby i połamie mu wszystkie żebra. A policja? Przecież policja nas obroni, mówiłam. Ale on powiedział, że nie obroni. Że przed tamtymi nie obroni policja. Nie widziałam go więcej. Chyba że w telewizji. W naszej, trójmiejskiej. Czasami mówi takie ważne rzeczy. Ekspertem jest. O konieczności zagwarantowania człowiekowi jego podstawowych wolności. O uwolnieniu kobiety z kajdan strażniczki ogniska domowego i umożliwieniu jej pełnej realizacji osobistego, twórczego potencjału. Albo o mansplainingu.

– Pierwsze słyszę – wtrącił Kosiński.

– No że mężczyźni objaśniają kobietom świat, nawet w kwestiach praw kobiet, bo nie przyjdzie im do głowy zapytać, czego by same chciały. Mężczyźni kobietom po prostu muszą uświadomić co i jak... Rozumie pan?

Kosiński milczał. Wyssał resztki zimnej kawy. Czekał.

– Ale ja nie chciałam go wypuścić. I kiedy dostał esemesa, że kolega czeka z tym samochodem, żeby już schodził z tymi kartonami, to chwyciłam go. Za rękaw, za sweter. Szarpnął się. Upadłam. I za nogi go objęłam. Wie pan? No tak, za nogi, a... – Zaciągnęła się jeszcze raz. – No i kopnął mnie. Powiedział, że go chciałam wziąć na dziecko, ale on się nie da. Na takie babskie sposoby jest odporny... A ja mu nie powiedziałam przecież, że jestem w ciąży. Co ty mówisz? Płakałam. Co ty mówisz? A on, że ten, co go pobił, powiedział, że to za dziecko. I kopnął mnie znowu... Kopnął pana ktoś kiedyś?

Kosiński pokiwał głową.

– Taka praca – powiedział.

– Więc pan wie, że nie boli ta rozbita twarz. Tylko że boli serce. Kopał i mówił, że to wszystko moja wina. Że go poszczułam tym nazistą. Kopał, a ręką sobie poprawiał okulary. Spadały mu z nosa, bo miał sklezione plastrem... Tamten mu rozbił okulary przecież.

Pani Joanna wrzuca niedopałek do filizanki.

– Zrobię nam jeszcze kawy, co? – Wstaje – Julia, Juleczko, a ty nie jesteś głodna? Wszystko dobrze u ciebie?

Kosiński patrzy na tę kobietę, szczupłą, kiedyś pewnie piękną, ale teraz poszarzałą. Podkrążoną. Myśli, czy ta niebieska sukienka, jakoś niepasująca do tego smutku, jest nowa, czy może z tamtych czasów, zanim była panią Joanną...

– A może pani zobaczyć zdjęcia? – Budzi się z tego letargu nagle.

– Tak, no skoro pan aż tak daleko jechał.

Kosiński wyciąga fotografie.

– To Krzysiek... – Bierze do ręki rozmazane zdjęcie bezdomnego z monitoringu. – Postarzał się, zabiedzony jakiś, ale to on. Zawsze go poznam... wie pan zresztą.

Wiedział. Przez pierwszą godzinę pani Joanna wyjaśniała mu, dlaczego nie doczekała momentu, kiedy porucznik Krzysztof Bielski odzyskał przytomność. Przyjeżdżała kilka razy. Siedziała od rana do zmierzchu. Mówiła do niego. Ale kiedy dostała telefon, że się wybudził, przestraszyła się i nie pojechała. Nie pojechała nigdy więcej.

– A ten?

– To nie jest najlepsze zdjęcie. – Przygryzła wargę. – Ale to jest ten, który mnie odwiedził i powiedział, że Krzysiek jest w szpitalu. Ten, który skatował mojego narzeczonego.

– Jak to?

– Ja nikomu innemu nie powiedziałam, że jestem w ciąży.

Zadzwoił do Serbii dopiero z InterCity. Ucieszyła się. Mieli jakiś dowód na to, że bezdomny i ten drugi, Bugajny, znali się co najmniej od sześciu lat. Z opowieści nauczycielki wynikało, że byli przyjaciółmi. Znali się więc o wiele, wiele dłużej. Bugajny był powiązany z biurem adwokackim wmieszonym w sprawę przejęcia kamienicy, w której było mieszkanie Pawliszuka. Z opowieści dozorca Rusińskiego wiedziała, że kamienica przed wojną należała do Hubnerów. Dlaczego teraz należy do

inwestorów reprezentowanych przez mecenasa Łoskowskiego? Jaki to ma związek ze śmiercią Pawliszuka? I jaki ma związek ze śmiercią Anki? Wiedziała, że ma związek. Bo nie ma przypadków.

Od kilku dni dzwoniła do Tel Awiwu, ale bezskutecznie. Może telefon do Hubnera nie był prawidłowy? No nic, trzeba próbować.

Wieczór strasznie jej się dłużył. Wykręciła numer do Szymona. Ale nie porozmawiali zbyt wiele, bo miał sprawę jakiegoś niemowlęcia znalezionej w pojemniku na śmieci.

– Nie hożumiem, że wciąż się zdarzają takie sphawy w czasach, kiedy na każdej stacji benzynowej i w każdym sklepie możesz kupić phezehwatywy.

– Co robicie?

– No na hазie oględziny mam, dziecko w heklamówce. Ktoś mu wsadził do tego plastiku gumowego khólika.

– Kurwa...

– No. Muszę iść. Pomyśl, czy nie przyjedziesz do mnie na Święta.

– Jakie Święta?

– No na Wielkanoc, to za kilka dni. Zadzwońię.

Zrobiła sobie zielonej herbaty i wyciągnęła z lodówki resztkę finlandii. Kochali się z Szymonem i nie opróżnili butelki do końca. Zasnęła. Miłość jest na sen lepsza nawet od alkoholu, pomyślała. Dobrze byłoby pojechać na Święta... Włączyła internet.

Prezes Kaczyński na ostatniej miesięcznicy smoleńskiej powiedział, że nie chodzi już o domysły, że to już nie są eksperymenty naukowe, ale wiedza. Doszło do wybuchu przeprowadzonego w specjalny sposób, do dzisiaj były różne teorie, ale brakowało im tego poziomu wiarygodności, bo brakowało eksperymentów, które trzeba było zrobić już na początku.

Jak podał dziennik „Hamburger Abendblatt”, pięciogwiazdkowy hamburski hotel Vier Jahreszeiten nie zgodził się na przenocowanie

Donalda Trumpa w czasie szczytu G20. Powodów nie ujawniono.

Tak, gdyby pojechała do Wrocławia, mogliby leżeć po prostu cały dzień, leżeć i oglądać telewizję. Albo stare filmy w internecie. Jeść rybne puszki, pić finlandię, milczeć, kochać się i niczego nie bać. Nie odbierać telefonów od jego ojca. Od ojca, który być może zna złych ludzi.

Czytała dalej. W Kancelarii Prezesa Rady Ministrów odsłonięto tablicę poświęconą ofiarom katastrofy pod Smoleńskiem. Na tablicy zabrakło nazwiska Izabeli Jarugi-Nowackiej, wicepremier RP.

Afera korupcyjna związana z przekazywaniem prywatnym firmom informacji o wypadkach została wykryta w Stołecznej Komendzie Policji. Do aresztu trafiło sześć osób, dwóch policjantów, dwóch pracowników cywilnych policyjnego stanowiska kierowania i dwóch właścicieli lawet.

Film z wczorajszego napadu na dziennikarza w kościele Świętej Anny trafił na kontakt TVN24.

Na stop-klatce widać było wielką rękę, która zasłania ekran, ale kiedy odtworzyła filmik, czterdzieści siedem sekund, okazało się, że to nagranie, które wykonał ktoś biegnący do kościoła jakoś od strony Kolumny Zygmunta. Słychać wrzaski, obraz drży, tłum wylewa się z drzwi Świętej Anny, ale człowiek, który trzyma smartfona, podnosi go w górę i na końcu nagrania widać zakrwawione ciało dziennikarza. A potem ktoś zasłania kamerkę i koniec.

Coś ją jednak tknęło.

Włączyła odtwarzanie jeszcze raz.

W pierwszej sekundzie wzdłuż krat odgradzających bazarek przy kościele od placu Zamkowego spokojnie idzie sobie jej bezdomny. W stronę przeciwną niż biegną wszyscy inni. Widać go przez ułamek sekundy, ale Serbia ogląda nagranie raz po raz. I wreszcie udaje się we właściwym momencie złapać stop-klatkę, nie może się oprzeć wrażeniu, że to jednak on.

– Przepraszam, że dzwonię tak późno i w trybie pozasłużbowym, ale nie

mogę z tym czekać. Chodzi mi o to wczorajsze zabójstwo, kto to od nas robi?

– Najpierw się zamelduj, bo moja żona pomyśli, że mamy romans – zażartował jej dowódca – a teraz, Serbia, jeszcze raz, tylko wolniej. O co chodzi?

– Kto od nas robi tę sprawę?

– No nie mogę ci powiedzieć przez telefon, ale powiesz mi, o co chodzi?

– Jest taki filmik na TVN24 kontakt. Z tego zabójstwa. Widzieliście?

– Pewnie tak. O co chodzi?

– W trzeciej sekundzie widać pod murem takiego gościa. Idzie w przeciwną stronę. Słabo widać, bo tam drży ta kamera, ludzie biegną, ale to jest on.

– Kto: on?

– To jest ten Bielski, ten bezdomny!

– Ja pierdołę, pewna jesteś?

– Jestem pewna na dziewięćdziesiąt procent. Na dziewięćdziesiąt pięć.

– Uch... – Tamten milczy przez chwilę. – No nie wolno mi tego powiedzieć, ale nie robimy tego. Robi ABW.

– Ale to przecież jest nasza kompetencja, prawda?

– No ale to decyzja ministra. Nawet nie zabezpieczaliśmy ciała.

– Jak to?

– No tak. Byli tam przed nami. Był patrol na placu Zamkowym, zabezpieczyli teren, ale trzy czy cztery minuty potem był ambulans, a pięć minut potem ABW, jakiś prokurator, miał decyzję.

– Niemożliwe.

– Wiem... Bądź u mnie jutro rano.

1968

We czwartek rano poszedł na swoją uczelnię i w auli na parterze usiadł pod ścianą obok gromady studentów z architektury. Tak w połowie drogi, jakby trochę był z nimi, a trochę jednak sam. Sam, bo nikt nie siedział obok niego. Ale jednak z nimi przez sam fakt siedzenia. Nie wiedzieli, na czym to ma polegać, ale kiedy usłyszał: strajk okupacyjny, zrozumiał, że nie wyjdą stąd szybko, i pożałował, że nie kupił po drodze choćby kilku pączków. Tak. Kilka pączków i ćwiartka wódki, i wtedy byłoby dobrze. Chociaż nie, przecież strajk, nie strajk, młodzi ludzie biorą jednak przykład ze starszych. Ale czy ze starszych Żydów też? Z piątej kolumny, która wpuściła Polskę w spiralę przemocy? No bo czym to się teraz skończy? Pogromem, jak w Kielcach? Do obozów zaczną wsadzać? Jeszcze kilka dni temu miał pewność, że chodzi o walkę między Moczarem, Gomułką i tą, jakby to nazwać, bardziej lewicową stroną PZPR. Ale po przemówieniu czuł, że to nie wystarczy. Po takich oskarżeniach nie da się żyć bezpiecznie.

Ale tutaj było bezpiecznie.

– Proszę do nas, profesorze – powiedziała dziewczyna z trzeciego roku. Chustka na włosach. Niebieskie oczy. Gdyby miał z piętnaście lat mniej, to by koło niej nie usiadł. Ale teraz to już mógł. Teraz to już było bezpieczne dla serca.

Słuchał, jak gadają między sobą podnieceni, pełni wiary, że zło można zwyciężyć dobrem. Że nie potrzebują siły, pał gumowych, trotylu do wysadzania pociągów. Że ich bronią są wiara i cierpliwość.

Nie wtrącał się do rozmowy. Było mu dobrze tkwić w kręgu. Rozpiął marynarkę. Tak było naprawdę dobrze. W domu nie chciał zostać, nie chciał słuchać narzekania Heli, że gdyby wcześniej, gdyby wcześniej zadzwonił, to byłoby dobrze. A tak co? Czy ty sobie zdajesz sprawę, człowieku, ilu ludzi umiera na zapalenie płuc? Takim jesteś wielkim naukowcem, a nie wiesz? Tyle książek w tym domu, tyle starodruków, a żaden nie zna odpowiedzi na pytanie, jak mieć pewność w sprawach życia i śmierci? Biegała wokół syna z kompresami, z lekarstwami, które przynosiła nie wiadomo skąd. Z ustami pełnymi pretensji.

Czuł się tam zupełnie niepotrzebny.

Szymon wyglądał źle. Naprawdę źle. Miał bardzo wysoką gorączkę, więc wyrzuty sumienia nie pozwalały Hubnerowi na obecność w domu, który nagle stał się zimny, obcy, przestał być schronieniem dla rodziny. Może to kara, Haszem, może to kara, że nie posłuchałem? Że nie dopełniłem rytuału, Haszem, który każesz spełniać swojemu ludowi? Przecież to Ty nas wybrałeś, a nie myśmy Ciebie wybrali, polecieś nam, a nie pozwoliłeś wątpić. Więc może karzesz mnie teraz, że zważyłem? Że nie urządziłem Szymonowi bar micwy? Że mu nie pozwoliłem być mężczyzną? Że go skazałem na tę niedojrzałość, na wieczne uwięzienie w świecie kobiet? Że go matka będzie pielęgnować już zawsze? A może dlatego, że nie mam przy drzwiach mezuzy? Że nie wsunąłem do jej wnętrza zwitka z modlitwą za szczęśliwy dom? Próbował sobie przypomnieć te słowa. „Słuchaj, Izraelu, Pan jest naszym Bogiem, Panem naszym jedynym. Będziesz miłował Pana, Boga twojego, z całego swego serca, z całej duszy swojej, ze wszystkich swych sił. Niech pozostaną w twym sercu te słowa, wpoisz je twoim synom, będziesz o nich mówił przebywając w domu, w czasie podróży, kładąc się spać i wstając ze snu. Przywiążesz je do twojej ręki jako znak. Niech one ci będą ozdobą przed oczami. Wypiszesz je na odrzwiach twojego domu i na twojej bramie...”¹³.

Bał się też rozmowy z Pawliszukiem. Nie uciekał przed nieuniknionym,

spróbował z nim porozmawiać, ale nie szła im ta rozmowa. Podziękowania wylały mu Hela i Sara za całą rodzinę. Tyle tych podziękowań, że gdyby były wodą, to Pawliszuk nie mógłby złapać oddechu. Krygował się, twierdził, że to w sumie drobiazg, że musieli zwolnić Szymona, bo był chory, a kiedy zadzwonili z milicji, to akurat on był w domu, więc przeprasza, ale odebrał i dowiedział się, żeby przyjść, więc jaka tu jego zasługa.

Uwierzyły.

Hubner był mu za tę ich wiarę wdzięczny tak samo jak za wyciągnięcie syna z więzienia.

– Jaka jest twoja zasługa? – zapytał go Hubner, kiedy już kobiety wzięły się za pielęgnowanie Szymona. Matka myła go, a Sara szykowała łóżko.

– Stuprocentowa – odparł student.

– Wyjdziemy na korytarz?

Poszli. Usiedli na parapecie okna. Nie zapalali światła. Nad Warszawą noc. Ale nie czarna, raczej granatowa. Mury kamienicy naprzeciwko rude od świateł. Okno otwarte. Powietrze było świeże. Wiosna szła pełnym krokiem.

– Czego chce twój ojciec? – powiedział wreszcie profesor. – Pieniędzy? Sprzedam księgozbiór, jest niezwykle cenny, nawet w skali europejskiej, więc pieniądze będą...

– Nie, to nie jest takie proste.

– Wiem, bo to by trzeba za granicą, trzeba zgody ministra na wywóz, ale są sposoby przecież, ale...

– Nie o to chodzi – przerwał mu Pawliszuk. – Stary nie chce pieniędzy.

– Czego więc chce?

– Czegoś, co mogę mu dać tylko ja – westchnął. – Da mi pan papierosa?

– Nie mam, bo ja tylko tę fajkę. – Wyjął z kieszeni i zaczął się tłumaczyć.

– Tsssz, tssz – Pawliszuk się zmartwił. Pokręcił głową.

– Ale wiem, gdzie Szymon trzyma przecież – powiedział profesor z ulgą. – Przyniosę.

Wrócił po chwili z niebieską paczką papierosów Silesia. Pięć złotych dwadzieścia za paczkę.

Pawliszuk rozerwał papier i wsunął jednego do ust. Czekał.

– Nie powiesz mi? – Hubner osłaniał płomień dłonią. Rusiński mył dzisiaj schody, zostawił otwarte okno i na klatce wiało.

– Muszę to przemyśleć. – Pawliszuk palił z wyraźną ulgą. – To nie takie proste.

– Ale muszę wiedzieć, muszę mieć czas, przygotować się...

– Nie, profesorze. – Pawliszuk położył mu rękę na ramieniu. – To ja muszę się przygotować.

– W jakim sensie?

– Ojciec powiedział, że w areszcie stan osobowy musi mu się zgadzać, więc mam się zastanowić, czy znam jakiegoś studenta, który będzie tam za Szymona pasował. – Pawliszuk zaciągnął się znowu. – No, to teraz pan już wie. Idę. – Wsadził papierosa do ust, splótł palce i wygiął w przód. Kości strzeliły. – Muszę się czegoś napić.

Uśmiechnął się i zbiegł zeskakując po kilka stopni. Hubner stał dalej, gniotąc w rękę niepotrzebne pudełko zapalek. Pomyślał, że nie ma gdzie się schronić.

„Bądź mi skałą schronienia i zamkiem warownym, aby mnie ocalić – przyszło mu do głowy to zdanie z psalterza. – Tyś opoką moją i twierdzą”¹⁴.

Nie potrafił sobie przypomnieć, jak to brzmiało dalej. Ale czuł, że to ważne i że przypomniało mu się nie bez kozery...

Dzisiaj to była przeszłość. Strajkował. Był w grupie, mieli przed sobą cel. Było dobrze, choć rano wcale się na to nie zanosilo. Rano parter auli nie

był pełen nawet w połowie, a na niektórych wydziałach zajęcia szły normalnie. Z balkonu ktoś przez megafon odczytywał, co tam piszą w gazetach i co mówią w radio. Wieści były złe. Po przemówieniu Gomułki do dymisji podał się minister spraw zagranicznych. W jego resorcie było najwięcej Żydów. W zakładach pracy narastała niechęć przeciwko zbuntowanej, niewdzięcznej, żydowskiej młodzieży.

W południe gruchnęła wieść, że profesor Krasnodębski z Wrocławia rozpoczął strajk głodowy, żeby się z nimi, na politechnice, solidaryzować. I to był przełom. Hubner poczuł, jak serce wypełnia mu się nadzieją. Ludzi w auli zaczęło przybywać, z balkonu odczytali komunikat, że AWF rozpoczyna strajk i że być może uniwersytet się nie wycofa. Po południu aula była już pełna, wieść o strajku musiała się rozejść po mieście, bo warszawiacy zaczęli przynosić jedzenie, i profesor uświadomił sobie, że w czasie strajku okupacyjnego, zupełnie jak w czasie działań wojennych, najważniejsze jest zaopatrzenie. Kiedy zjadł chleba z kiełbasą, humor poprawił mu się na tyle, żeby śmiać się z dowcipów, opowiadać historie i pocieszać kilku prymusów zmartwionych przyszłością. Czy aby ich zachowanie nie będzie miało skutków w czasie promocji. Wreszcie padł pomysł drukowania ulotek i malowania plakatów. Na uczelni było przecież kilka powielaczy, ale ani papieru, ani farby, ani płócien nie było. Zebrali ze cztery tysiące i zanim nastąpiła noc, malowali transparenty. Z balkonu usłyszeli, że jest odezwa ZMP w sprawie strajku, że AWF stoi, Wrocław, a nawet zastrajkowali w Jeleniej Górze.

Hubner wypisywał farbą hasła: „strajk okupacyjny”. Potem „Warszawo, prosimy o pomoc” i „nie ma chleba bez demokracji”.

Potem zasnął przy zapalonych światłach pośród puszek farby i malowanych prześcieradeł, i dawno nie spał tak dobrze. Rano stał ze wszystkimi w kolejce do toalety. Dziwiło go, jak taka masa ludzi potrafi to szybko załatwić. Męczyło go, że ma brudne zęby, ale od swoich studentów dostał słodką bułkę i to pomogło. Usłyszał, że wielu poszło po bułki, ale

niektórzy nie powrócili. Podobno milicja wyłapywała ludzi wokół politechniki, ale przestali, bo zebrał się tłum, żeby odczytać postulaty wywieszane w gmachu głównym. Ludzie z miasta przychodzili z jedzeniem. Niektórzy przynosili całe kartony, inni kilka ciastek w papierowych torebkach po cukrze. Kiedy niewidoma kobiecina prowadzona przez wnuczkę przyniosła trzy paczki papierosów, Hubner wzruszył się, jakby to był film. Bardziej niż kiedy przyjechała ciężarówka z ambasady Szwajcarii i jedzenie zaczęli wnosić skrzynkami. Dwie godziny później swoją ciężarówkę przysłali też Amerykanie. Jedzenia było tyle, że można byłoby otworzyć bazar z kiełbasą, chlebem i nawet piwem. Za paczki, jabłka, jajka gotowane na twardo i za papierosy dawali ludziom ulotki z powielaczy i te przepisywane ręcznie. To był dobry, radosny i piękny dzień, dzięki Ci, Haszem.

Trzeci dzień rozpoczął się jak poprzedni, od kolejki do toalety. Potem był hymn. Z balkonu ogłosili, że ma być głośno, żeby było słychać na zewnątrz, bo stoi tam tłum i ludzie też będą śpiewać.

– Jeszcze Polska nie zginęła – śpiewał Hubner. Brudny, najedzony, upojony tym, co się działo wokół niego, znowu młody, znowu u siebie. Zapomniał o Pawliszuku, o gazetach, przemówieniach o tym, że nie wszyscy go chcą w tym kraju. Tutaj chcieli wszyscy.

Ale po południu krótkofalowcy, którzy mieli swój sprzęt w gmachu wydziału elektroniki i nasłuchiwali komunikatów milicji wykryli, że z pokoju 152, gdzie mieściła się Podstawowa Organizacja Partyjna Politechniki, przekazywane są do Domu Partii informacje o rozwoju sytuacji. Przechwycili też komunikat, że to już długo nie potrwa. Wieść rozeszła się pomiędzy ludźmi niczym iskra, ale nikt nie wychodził. Wszyscy czekali na zapowiadany już koncert studentów ze szkoły muzycznej, ale zamiast nich na balkonie pojawili się członkowie senatu uczelni z prorektorami Różyckim i Śmigielskim. Profesor Śmigielski odczytał wezwanie rektora, Dionizego Smoleńskiego, z kategorycznym

żądaniem opuszczenia pomieszczeń należących do politechniki do godziny 21.

– Jeśli się to nie stanie, jeśli tego nie posłuchacie, jeśli od poniedziałku nie przystapicie do normalnych zajęć, minister oświaty i szkolnictwa wyższego zawiesi działalność uczelni i wszyscy przestaniecie być studentami.

– Co robimy? Profesorze? – Ci z architektury zaczęli się tłoczyć wokół Hubnera. A on nie wiedział, co im powiedzieć, bo ścierały się w nim dwie siły, dwie odpowiedzialności. Wobec tych dzieciaków, nagle przestraszonych konsekwencjami swojego działania, i odpowiedzialność wobec Polski. Wobec samego siebie. Wobec wolności.

– Zo-sta-jemy! – krzyknął ktoś. I aula to usłyszała.

– Zo-sta-jemy! – skandowali. – Zo-sta-jemy!

Senatorowie zniknęli, a student, który trzymał megafon, ogłosił, że kto chce, może odejść, a kto chce, może zostać.

Hubner zorientował się, że ludzie wychodzą. Ale ci z architektury zostali.

Godzinę później, może dwie, partia przysłała byłego rektora, profesora Bukowskiego. Ten najpierw straszyl, potem zaczął błagać, żeby się ludzie rozeszli. Ale pożegnał go okrzyk: zo-sta-jemy.

– Zo-sta-jemy! – krzyczy Hubner, ale wie, bo potrafi to rozpoznać, że najpiękniejszy dzień jego życia, no, może nie całego życia, ale ostatnich kilkunastu lat, ma się już ku końcowi. Dziękuję Ci, Haszem, za to, że nawet Żydowi, co jest niekoszerny i niewierzący, dajesz przeżyć dzień wolności, żeby wiedział, jak jest tam, dokąd wszyscy pójdziemy, kiedy już nasze dzieci odprawią za nas sziwę i ci, co po nas zostaną, będą siedzieć na niskich stołeczkach, bo pobożny Żyd powinien siedzieć niżej od wszystkich, którzy odwiedzą go, żeby z nim dzielić czas, kiedy zasłonięte są wszystkie lustra. Dziękuję Ci, Haszem.

Wszystko to myślał w czasie, gdy jego usta krzyczały: zos-ta-jemy, zos-

ta-jemy, najgłośniej jak potrafił. A wiele potrafi ktoś, kto przetrwał Syberię. Potrafi na przykład nie płakać teraz, kiedy wie, że to już koniec. Skąd wie? Od tego jest profesorem, żeby wiedzieć. I żeby nie płakać.

Widział, jak wychodzą. Pojedynczo, dwójkami. Chyłkiem, z opuszczonymi głowami. Ktoś wrócił, wbiegł na balkon i krzyczy, że sami jesteście. Warszawa poszła do domów, deszcz leje, poszli. A inny, że milicja zajęła plac, że zablokowana ulica. Przed północą radio nadało komunikat o rozwiązaniu uczelni i między tymi, co wciąż byli w środku, rozeszła się wieść, że milicja weźmie politechnikę szturmem.

Dziewczyny z trzeciego roku były w szoku. Nie potrafią uwierzyć. A on nie umie ich pocieszyć, mówi, żeby szły, żeby się nie bały, że przecież nie pobiją, ale bez wiary mówi. Przypomina mu się jego pobity, chory syn. Jego córka, którą wyrwał milicjantom w teatrze, Pawliszuk z rozwaloną głową. Jedna z dziewczyn mdleje, a on zna to omdlenie, kiedy strach jest większy niż głód.

Z balkonu auli ciągle ktoś przemawia, ale już trudno rozróżnić słowa. Może to sen? A może mam cukrzycę? Teraz tylu ludzi ma cukrzycę przecież.

Jakoś koło trzeciej nad ranem zrobiło się nagle bardzo cicho. Jakby mowę odjęło wszystkim. Na balkon wyszedł prokurator Kliszko, zaufany śledczy Gomułki. Nie prosił. Powiedział, że albo wychodzą, albo milicja zaatakuje. A wtedy wszyscy idą do aresztu. Studenci won z uczelni, z każdej uczelni w tym kraju. A kadra z wilczym biletem może spierdalać w Bieszczady, bo nigdzie indziej w tym kraju nie będzie dla nich pracy.

Ktoś krzyknął, żeby bronić honoru Polski.

Ale już nie ma Polski, Haszem, jest tylko ten kraj.

Po przemówieniu Kliszki milicjanci otworzyli wrota i tłum szedł pomiędzy szpalerem po mokrym, ciemnym placu. Milicjanci milczeli. I tłum milczał. Nie było już nic do powiedzenia.

Do domu wszedł cichutko. Bo to przecież piąta, nie chciał nikogo

obudzić. Ale drzwi ku jego utrapieniu zamknięte na klucz, musiał go przekręcić, a nad ranem takie przekręcanie brzmi zupełnie, jakbyś łamał komuś kości.

Trzask. I jeszcze raz. Drugi spust.

Wszedł. Zobaczył, że w bibliotece pali się światło. Zdjął płaszcz i chciał go powiesić na wieszaku. Odwrócił się i w tedy, w półmroku, zobaczył, że lustro zasłonięte jest czarnym aksamitem. Hela trzymała ten materiał od lat, na wszelki wypadek.

Zamarł.

Szymon umarł. Nie ma innego wyjaśnienia. Wtedy usłyszał skrzypienie, kroki i Hela stanęła we drzwiach.

Milczał. Patrzył w jej oczy, ale miała za sobą światło, więc nie widział nic w tym miejscu. Dwie czarne otchłanie tam, gdzie ludzie mają źrenice. Nie widział ich, ale czuł, że nie ma tam nic, tylko sól. Takie same dziury po oczach mieli ludzie, których bliskich zagrzebywał kiedyś w śniegu.

– Jesteś – powiedział cień głosem jego żony, cichym, spopielonym, ale przecież jej. – Jesteś wreszcie.

Podszedł pełen lęku, bo nie wiesz przecież, czy kobieta w żałobie uderzy cię, przytuli, czy może wypędzi. Zobaczył, że ma na głowie chustę. I że drżą jej ramiona. Ale nie w złości. Raczej to bezsilność, pomyślał. Wyciągnął ręce, a ona weszła tam bez wahania.

– Jedźmy – powiedziała do rękawa marynarki, kiedy już przytulił ją i pogładził po plecach.

Pomyślał, że po tych wszystkich dniach i nocach musi niesamowicie śmierdzieć. Podniósł rękę, żeby pogłaskać ją po włosach. Ale nie było tam włosów. Tylko nierówna, krótka, miękka szczecina. Stanęło mu serce.

– Dokąd? – zapytał.

– Dokądkolwiek. – Rozplakała się. – Do domu.

– Przecież tutaj jest dom – powiedział.

– Już nie. Polacy zgwałcili ci córkę.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

TERAZ

– Gwałcili ją we czterech. – Serbia siorbnęła kawy. – W piwnicy. Nie krzyczała. Miała w ustach knebel, ale bez tego być może i tak by nie krzyczała. Tak powiedział. Gwałcili ją, a jemu kazali patrzeć.

– I nie pomógł jej? – Leśmian siedział za biurkiem. Miał na sobie nową białą koszulę, bo dzisiaj spotkanie z panią prezydent miasta i musiał wyglądać. Koszula była pewnie z czasów, zanim awansował, bo guziki na brzuchu rozłaziły się nieładnie i Serbia pomyślała, że do białej koszuli pies powinien mieć figurę wyżła. Jak Kosiński.

– No nie, nie pomógł.

Starła się rozumieć. Nie zawsze to jest możliwe, ale w jej robocie zrozumienie jest najważniejszym zadaniem.

– Wyjaśnił dlaczego?

– Powiedzieli mu, że znają jego rodzinę. Że jeśli powie tym parchom zawszonym choćby jedno słowo, to następna jest jego rodzina. Ci, co pomagają syjonistom, są gorsi od samego gówna. Dali mu wybór. I wybrał milczenie.

– I to wszystko jest na tej taśmie?

– No jest... – Pokiwała głową. – To właściwie taka jego spowiedź. Wstydił się tego strachu. Do końca życia nie powiedział nikomu, że na to patrzył. Że wiedział.

– A ona? Ta Żydówka?

– Podobno ona potem nie mówiła nic.

– Co to znaczy?

– No milczała. Nie odzywała się. W każdym razie Rusiński nigdy nie słyszał choćby jednego słowa.

– Ale mogła wskazać sprawców?

– Nie wiem. Chyba ich nie widziała. Kiedy tamten sprowadził Rusińskiego, żeby patrzył, ona miała przecież worek na głowie.

– Jak to miała worek? Mówi o tym?

– Normalnie. – Serbia znowu upiła trochę kawy. Nie chciała, żeby zauważył, że zadrżał jej głos. Przypomniała sobie dzień, kiedy sama miała na głowie taki wór.

– Taki od kartofli. Kiedyś takie worki miał każdy w piwnicy, bo się w workach kupowało ziemniaki na zimę. Na tych ziemniakach ją gwałcili. Każdy po kolei. Jeden po drugim. Szybko, bo zimno było, niewygodnie. Zapamiętał, że śmiali się. Że Żydówka, a pizdę ma jednak wzdłuż, a nie w poprzek. Rusiński myślał, że dziewczyna jest martwa. Nie reagowała w ogóle. To ich wkurwiało... wyzywali ją. A potem jeden powiedział, że trzeba ją spalić, czytał w gazecie, że Żydzi są jacyś tacy łatwopalni. Krew jej płynęła po udach. Brudna była od tych ziemniaków, sina. W pewnym momencie pomyślał, że to rzeczywiście nie jest człowiek, że to taka rzecz, bo człowiek by przecież krzyczał, drapał, a ona ręce miała niezwiązane. Jakby była manekinem. I on też tak zaczął myśleć. Znał dziewczynę od dziecka, a wtedy zobojętniał. I potem, kiedy się okazało, że ona nie mówi, to się nie dziwił wcale. Manekiny nie mówią.

Leśmian milczał.

– No a Pawliszok? – zapytał w końcu.

– Pawliszok był ostatni. Powiedział, że poczeka, aż będzie dobrze przetarta.

– Co to znaczy?

– Rusiński nie mówi, ale może po prostu dziewicą była jeszcze.

– Kurwa mać... no i myślisz, że to profesor go upił i podpalił żywcem za córkę?

– Wikipedia mówi, że profesor nie żyje od 1991, więc tego nie zrobił.

– No to kto?

– Rodzinę miał przecież. Żonę, tę córkę, co nie mówiła, i jej brata. Może jakieś wnuki. Nie wiem. Mogli kogoś wynająć.

– Zabili Pawliszuka...

– A potem, żeby uniemożliwić mi dochodzenie, zabili mi dziecko? – westchnęła. – Tak. Przyszło mi to do głowy.

– No, jeżeli się nie mylisz, to mieli motyw.

Olga wyprostowała się.

– Bez wątpienia.

– A sposobność?

– Mogli kogoś wynająć.

– Na przykład – zerknął do notatek – takiego Bugajnego, tego z Blackwater?

– No na przykład. Chociaż akurat tutaj nie widzę związku między nimi.

– No a ja widzę. Na Bugajnego wpadłaś przy okazji mieszkania Pawliszuka.

Olga zamyśliła się. Czy to możliwe, żeby Hubnerowie wynajęli Bugajnego, żeby zemścił się na Pawliszuku?

Nie była przekonana.

– Nie mam pewności, czy Rusiński w ogóle powiedział Hubnerowi, że to Pawliszuk zgwałcił jego córkę – powiedziała.

– Dlaczego?

– Na taśmie nie ma o tym ani jednego słowa. Jest o książkach, o tym, że Rusiński przysiągł pilnować księgozbioru, kiedy wyjadą, obiecał mieć na Pawliszuka oko, żeby ich nie sprzedawał, że gdyby coś się działo z książkami, to profesor chciałby o tym wiedzieć, że mu przyśle adres, że

będzie dzwonił, kiedy się już w Polsce uspokoi, ale ani słowa nie ma o Sarze. Myślę, że Rusiński nie przyznał się nikomu, że to widział. Bał się o własną rodzinę. Bał się tych ubeków.

– Więc Hubner mógł nie wiedzieć... – Leśmian pogładził głowę otwartą dłonią. Zaczynał się spieszyć, musi przecież do ratusza zaraz lecieć. Na szczęście to blisko, ale przecież nie pójdzie, musi do samochodu zejść, potem zaparkować.

– Tak. Mógł myśleć, że to dlatego, że w marcu nagonka na Żydów była powszechna.

– Ale nie gwałcili ludzi na ulicach, na Boga.

– Przecież w piwnicy ją zgwałcili, nie na ulicy.

Leśmian westchnął.

– Co z tym zrobimy?

– Trzeba to sprawdzić. Muszę z nimi porozmawiać.

– Z Hubnerami?

– Żona, syn, może ta dziewczyna, Sara... Nie wiem.

– A jeśli to oni, to co?

– Nic. Ekstradycja z Izraela to niemożliwa misja. Ale jeśli to ich sprawa, chciałabym wiedzieć, czy mi zabili córkę, żeby pozacierać ślady.

Mówiła spokojnie.

– Ty nie wierzysz, że to oni, prawda?

– Nie znam ich, więc nie mam pewności. Ale muszę wiedzieć.

– No przede wszystkim musisz wiedzieć, dlaczego Pawliszук tam mieszkał i dlaczego musiał się wyprowadzić. Może to jednak zemsta? Ile ten Rusiński nie żyje?

– Z pięć lat.

– Mógł przed śmiercią napisać do Hubnera. Mógł mu taką samą taśmę wysłać. Wtedy Hubner by wiedział. Miałby motyw. Chciałby ukarać Pawliszuka. Mógłby go wypierdolić z chaty, ale było mu mało, więc

mógłby go spalić. To by miało sens. Żydzi to mściwa nacja.

Spojrzała na niego dziwnie.

– Przepraszam – zmitygował się. – Ale to ma sens, nie uważasz?

– Nie mam pojęcia. Żona Hubnera jest sędziwą emerytką. – Dopła kawę. Widziała, że Leśmian się kręci, że chce już wychodzić. Wstała.

– No to co zamierzasz?

– Najchętniej bym poleciała do Tel Awiwu. To cztery godziny lotu czy tam pięć. Blisko. Jednego dnia lecę, drugiego wracam.

– Hm... Leśmian wstał i zdjął marynarkę z oparcia krzesła. Strzepnął jakiś niewidzialny pyłek. – To strasznie dużo papierowej roboty, nawet sobie nie wyobrażasz.

Założył marynarkę, wyprostował plecy i wciągnął brzuch.

– No jak?

– Przydałoby się trochę ćwiczeń. – Zmarszczyła nos i pokręciła głową.

– Wiem, kurwa. No i co z tymi Hubnerami, kurwa, jak to ogarnąć?

– Mogłabym nieoficjalnie polecieć. Prywatnie.

– Serio?

– No. Nie byłam nigdy w Izraelu. Święta są za kilka dni. Nie mam z kim ich spędzić... W Wigilię harowałam, więc mi się teraz należy wolne, co nie?

– Może ci się należy. Kiedy byś poleciała?

– Pojutrze.

– No a jak oni się nie zgodzą porozmawiać?

– Dzwoniłam do tej wdowy. Zgodziła się.

– Kurwa. A ile ona ma lat? Ze sto?

– Dziewięćdziesiąt trzy czy cztery.

– Jezu święty! A wie, w jakiej sprawie chcesz się spotkać?

– W sprawie księgozbioru oczywiście.

– No dobrze. – Otworzył drzwi. – Odprowadź mnie do auta.

– Samochodem pan jedzie pięćset metrów? – zdziwiła się.

– Przecież nie chodzi o trening, tylko o prestiż – odpowiedział. – Czyli lecisz do Izraela i to mi chcesz powiedzieć, żebym nie był zdziwiony?

– Nie, mówię o tym, żebym nie miała przypadkiem dyżuru na Wielkanoc.

– Okej. A inne sprawy? Mieliśmy pogadać o tym twoim bezdomnym, co jest na filmiku w internecie. Jesteś pewna, że to on? Mi nie wygląda.

– Jestem pewna.

– To i tak ślepy zaułek. Sprawę Świętej Anny przejęło ABW. My tylko robimy przesłuchania świadków, zbieramy dokumentację. Rozumiesz?

– Jak to?

– Takie decyzje.

– Czyje?

– No z góry.

– Z jakiej góry?

– No odgórne są decyzje.

– Z ministerstwa?

– Minister mi powiedział, że z góry.

– No i chuj – zaklęła. – Wiedzą przynajmniej, że Bielskiego widać na tym filmiku?

– Nie mam pojęcia. Nie informują. Chcą od nas informacji, ale to działa tylko w jedną stronę. Sprawa jest utajniona. Wiem tyle, co i telewizja. Dziennikarz dostał w śledzionę, wykrwawił się szybko, ambulans był po kilku minutach, ale już do trupa. Kiedy będzie pogrzeb, nie wiadomo, bo dla dobra śledztwa ciało na razie będzie w kostnicy, badają jakieś mikroślady czy coś. Dziwne to.

– Dziwne, ale droga zamknięta.

– No ja za mały jestem. – Doszli do forda i Leśmian zaczął szukać kluczyków. – Kurwa, nie mów, że zostawiłem na biurku. Są.

– Ale Bugajnego możemy namierzyć – powiedziała Olga – a przez niego trafimy na Bielskiego.

– Bugajnego nie ma w żadnych bazach danych. On wyjechał z Polski i nigdy nie wrócił. Wyciągnąłem informacje, że jest gdzieś na Bliskim Wschodzie. Skąd się tutaj wziął?

– Ma inną tożsamość. – Serbia wzruszyła ramionami.

– Co z tym zrobimy?

– Musimy wiedzieć, gdzie będzie pierwszego maja.

– Dlaczego?

– Bo wtedy ma się stać to, co planują.

– Co to może być?

– Nie wiem. Może chcą podpisać jakiś kontrakt, może pojechać na ryby, ale jeśli mój chłopak się nie myli i to są źli ludzie, to mogą planować coś złego.

– A ty, skoro masz chłopaka, to dlaczego nie jedziesz do niego na Święta?

– Nie zaprosił mnie.

– Żałujesz? – Leśmian wszedł za kierownicę. – Kurwa, muszę jechać. Jak znajdziemy Bugajnego? Abwera nam nie pomoże, żandarmi też nie. Nikt nam nie pomoże.

– Kosiński przywaruje koło kancelarii na Nowym Świecie. Jak będzie miał szczęście, to go wyśledzi.

– Nie wyczają Kosińskiego? Zawodowiec, to się zorientuje...

– Warto zaryzykować. Może uważa się za takiego dobrego, że lekceważy chłopaków w rurkach.

– W czym?

– Spodnie takie. Wąskie. Trzeba być szczupłym.

Leśmian spojrzał na swój brzuch. Zapiął pas i zatrzasnął drzwi.

Podróż minęła Oldze jak sen. Nie było wielkich ceregieli w czasie

odprawy, bo nie mieli prawie bagażu. Tylko podręczny. Po kilka ubrań i majtki na zmianę.

– Jeśli to będzie konieczne, kupimy sobie na miejscu – obiecał Szymon.

Była szczęśliwa. To była jej pierwsza podróż od lat. Od wielu lat. Odkąd mąż ją porzucił. Odkąd została bez dziecka. W samolocie przytulała się do Szymona bez przerwy. Nie chciała rozmawiać, nie chciała wyglądać przez okno, nie chciała jeść ani pić wina. Nie chciała go puścić.

– Gniewasz się? – pytała.

– O co?

– Że cię tak ugniatam.

– No coś ty.

– To dobrze, bo ja bym cię wzięła do ust.

– Tehaz?

– No. Nawet w tej latającej toalecie. Robiłeś to kiedyś w toalecie?

– Nie, ale gdyby to się stało, to agent służb specjalnych, co jest na pokładzie każdego El Al, pewnie by nas spacyfikował za pomocą pahalizatoha.

Szymon pił tyle wina, ile tylko mógł dostać.

Do Jerozolimy jechali autobusem. Sądziła, że będzie widzieć pustynię, ale właściwie wciąż były jakieś zabudowania. Brama Jaffy wydała jej się bardziej zatłoczona niż Krakowskie Przedmieście w czasie protestów opozycji. Zamieszkali w miniaturowym pokoiku w New Swedish pięć minut spacerkiem od Bramy i tyle samo od Bazyliki Świętego Ciała. Byli tam jeszcze we czwartek wieczorem na nabożeństwie wielkanocnym. W tłumie wierzących i niewierzących, ciekawskich z całego świata trudno jej było oddychać z gorąca, zaduchu i od emocji. Chciałaby dostać się do Grobu Pańskiego, ale zakrawało na cud, żeby chociaż dopchać się gdzieś w pobliże. Stali więc pośród japońskiej czy może chińskiej wycieczki szczęśliwi, że są wyżsi od wszystkich dookoła.

– Więcej ludzi będzie na phawosławnych obrzędach, bo chcą zobaczyć cud ognia – szeptał jej Szymon.

– Co za cud? – Wyczuła, że Szymon trochę się tutaj nudzi. Powinni byli być w zwyczajny dzień, obejrzyć wszystko. I kamień namaszczenia, na którym, jak mówi tradycja, leżało ciało Chrystusa, i skałę Golgoty, i Grób Pański, do którego dzisiaj nie mieli najmniejszej szansy się dostać. Olga nigdy chyba jeszcze nie była w takim tłumie ludzi.

– No wspólna komisja Żydów, Ohmian i phawosławnych wchodzi do Ghobu Jezusa i sphawdza, czy nie ma tam niczego, co mogłoby posłużyć do zapalenia świec – zapalek, zapalniczki, jakiegoś elekthonicznego gadżetu – Szymon szepce jej do ucha z bliska, z bardzo bliska i Olga uwielbia ten głos i ten podmuch oddechu na płatku ucha. – Potem do wnętrza wchodzi w pojedynkę phawosławny pathiahcha Jehozolimy, któhy trzyma w hękach trzydzieści trzy świece. No i te świece co hoku zapalają się całkiem same. Phawosłani uważają, że to największy cud ze wszystkich cudów świata.

– Ale skąd się bierze ten ogień? – musnęła go w usta.

– Mówią, że to jest to samo światło, które otaczało anioła w dniu zmahtwychwstania.

– Ale ty niewierzący jesteś przecież. – Uścisnęła jego rękę.

– Dlatego chciałbym tu być kiedyś i widzieć to światło. Jak oni to hobia...

Przepchnęli się ku wyjściu, bo wyglądało na to, że nabożeństwo nigdy się nie skończy. Samych księży było z dwustu. A może z tysiąc. Kiedy podążali do wyjścia, ludzie w ornatach ustawiali tabernakulum na kamieniu namaszczenia.

Zjedli w arabskiej dzielnicy porządną baraninę i kochali się w milczeniu w swoim małym pokoiku. Okno było otwarte, więc słyszeli śpiewy pielgrzymów idących w kierunku Getsemani na nocne czuwanie.

W piątek przed świtem wynajętym samochodem ruszyli do Tel Awiwu i w południowej dzielnicy Bat Yam odszukali Nirvanę Tobago.

– Wiem, że to dziwna nazwa, ale lubię tamtejszy taras – powiedziała Rachel Hubner. – Zróbcie to dla starej kobiety, zresztą o tej porze można tu zaparkować blisko wejścia.

Wyszli na taras z widokiem na Morze Śródziemne. Wciąż było wcześniej, na plaży niewielu ludzi. Błękit nieprawdopodobny. Aż bolały oczy. Olga czuła się szczęśliwa. Jakaś lekka. Nowa.

W głębi, w cieniu wielkiego parasola z reklamą piwa siedziała na wózku inwalidzkim okryta kocem, choć przecież było ciepło, stara, wychudzona kobieta w kapeluszu na głowie. Obok niej druga, wysoka kobieta czytała gazetę. Miała siwiejące, kiedyś pewnie jasne włosy.

Restauracja była otwarta, ale oprócz nich nie było nikogo innego.

Podeszli.

– Czy pani Hubner? – Olga przyklękła przed starą kobietą. – Rachel Hubner?

– Hela – uśmiechnęła się stara kobieta. Wciąż miała własne zęby, mocno pożółkłe, ale własne.

Wyciągnęła rękę całą pokrytą brunatnymi plamami. Gdyby nie te plamy, widać byłoby przez skórę na wylot wszystkie żyły i ścięgna.

Olga ucisnęła ją krótko. Popatrzyła kobiecie głęboko w oczy. Chciała wiedzieć, czy to jest ktoś, kto kazał zabić jej Ankę. Oczy były bystre. Jak oczy drapieżnego ptaka. Olga pomyślała, że tej kobiety można byłoby się bać. Ale nie potrafiła starej przejrzeć. Musi poczekać.

– Szymon – powiedział Szymon i wskazał ręką na Olgę – jesteśmy razem.

– Miałam kiedyś syna – uśmiechnęła się kobieta – mojego polskiego syna, komunistę... miał na imię Szymon, zupełnie jak pan. Wie pan, to jest dobre imię dla kogoś, kto poszukuje.

Stara mówiła powoli, dobierała słowa uważnie, jakby przed jej oczami leżał słownik, z którego należy wybrać dokładnie te, o które chodzi. Miała silny, obcy akcent. Ale głos wcale nie był słaby. Był jak te oczy. Był głosem

jastrzębia bardziej niż głosem gęsi.

– Czego poszukuje? – Szymon czuł się źle w obecności tej kobiety. Jakby spotkał śmierć. Tak właśnie ją sobie wyobrażał jako dziecko. Była starą kobietą w kapeluszu, zwiniętą i zasuszoną. A kiedy dotykała ręki kogoś żywego, napełniał ją ogień, powstawała i rozwijała skrzydła.

Wyciągnął do niej rękę.

– Symeon znaczy „Bóg wysłuchał”... wiedział pan? – Jej ręka była sucha i ważyła pewnie mniej niż pierścienie klekoczące na jej palcach. Gdyby ścisnął, pękłaby jak zapałka.

– Przywieźliśmy go tutaj, żeby był szczęśliwy, ale zginął... Nie, nie na wojnie. – Pokręciła głową. – To byłoby łatwiejsze. Zginął w zamachu. W autobusie. Jechał na randkę. Długo nie umiał sobie nikogo znaleźć... ale przepraszam, wybaczenie staremu człowiekowi. – Odwróciła się do kobiety.

– To moja wnuczka – obróciła się w kierunku kobiety czytającej gazetę – Pola. Mój ukochany kawałek Polski, który na całe szczęście nie mówi ani słowa w waszym języku.

Olga i Szymon patrzyli na młodszą z kobiet.

– Shalom. – Pola podniosła oczy znad gazety.

Oczy były niebieskie. Olga pomyślała, że bardziej niebieskie niż morze za jej plecami.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

TROCHEŃ WTEDY I TROCHEŃ TERAZ

– Zobaczyłam te jej wielkie oczy, niebieskie bardziej niż morze, i od razu wiedziałam, że ją pokocham. – Stara Żydówka nawet teraz, choć minęło ponad pół wieku, uśmiechała się do tej myśli. – Bo wcześniej nienawidziłam. Nienawidziłam tego, że nie będzie miała ojca. Zresztą nienawidziłam wszystkiego z tej Polski. Wszystkiego, co nas spotkało. A jej, Poli, nienawidziłam najbardziej. Dziwi was, co mówię? Nie znamy się, wiem, wiem. Nie mówiłam po polsku pięćdziesiąt lat. Myślałam, że już nigdy nie będę. A tu proszę – prychnęła – mój mąż powiadał, że Polska jest jak *cancer*¹⁵, że nie ma antybiotyków na tę chorobę. Proszę wybaczyć starej kobiecie, która musi komuś opowiedzieć o nienawiści. Siadajcie.

Szymon odsunął Oldze ciężkie krzesło z wyplatany oparciem.

– Męczy państwa, co ja mówię? Bo mieliśmy porozmawiać o księgozbiórce, wiem. Księgozbiór to najważniejsze zadanie w życiu mojego męża. A my, Żydzi, jesteśmy bardzo przywiązani do naszych powinności. Mamy poczucie sensu, kiedy robimy ważne sprawy.

Olga pomyślała, że stara ironizuje, ale nie potrafiła rozgryźć dlaczego.

Szymon milczał. Czuł zapach starej i to nie był zły zapach. Pomyślał, że jest jedną z tych starych kobiet, których nie da się przegapić. I że będzie żyła wiecznie.

– Proszę mówić. – Olga sięgnęła po dzbanek z wodą, dopełniła szklanek starej i naląła sobie. – Proszę się nie krępować. Jeśli mamy zacząć od nienawiści, to niech będzie.

– Ciekawi to panią?

– Tak.

– No to powiem pani. Wszystko mi zabraliście. Nie, nie chodzi mi o to, że musiałam porzucić groby. Nie wiem, gdzie są moje groby. To zresztą nie jest polska wina, to jest wina niemiecka i mnie telewizja nie oszuka. Ale moje życie zabraliście mi właśnie wy. W sześćdziesiątym ósmym.

– To nie my. – Serbia pokręciła głową. – Nas wtedy nie było na świecie. Stara machnęła na to ręką.

– Wy, Polacy, nam, Żydom... rozumiesz, młoda damo? Nie, ja źle powiedziałam. Wy, Polacy, nam, Polakom, bo wtedy byłam przecież Polką. Ja nawet nie wiedziałam, jak się po hebrajsku w sklepie przywitać. To nie był mój wybór, być tutaj. Mój wybór był po polsku: dzieci mieć wykształcone, wnuki bezpieczne, nad morze jechać na wakacje, kochać męża, bo miałam najlepszego męża na świecie, Niemena słuchać, Olbrychskiego podziwiać, Łapickiego słyszeć przed seansem w kronice filmowej w kinie... samochód mieć lepszy niż ta syrena, Bratnego czytać i Tyrmanda... Wiosną w Łazienkach na kocu wnuki bawić. Wy mi to zabraliście. Wy napisaliście kartkę w tramwaju numer cztery: „tutej sjonisci siedzieć nie będą”. Do dzisiaj pamiętam. „Tutej”... rozumie pani? Więc to wy. Wy mi zabraliście moje miasto. Wy mi zniszczyliście moją miłość, bo mój mąż, mój wykształcony, wielokrotnie nagradzany w Ameryce i w Norwegii, i w College de France, mąż, naukowiec, duma Izraela umierał każdego dnia z tęsknoty za swoim krajem. Tam był jego kraj. W tej jego auli politechniki był jego kraj i w tym domu na Wilczej, w jego bibliotece, w fotelu z fajką w ręce było miejsce mojego męża. Wrócimy, kochana, mówił. Przyjdzie dzień, wrócimy. Wy mi zabraliście nadzieję. Bo tu nie było nadziei. Tu miałam spakowane walizki przez dwadzieścia lat, że wrócimy.

Kelnerka podeszła. Czerwony fartuszek na szelkach, plik kart w ciężkich drewnianych okładkach, uśmiech namalowany szminką grubości

pędzła do farby olejnej.

Szymon dał jej znak, żeby się zatrzymała.

Stara nie zauważyła dziewczyny, wciąż mówiła.

– Wy mi zabraliście przyszłość. Bo przez was mój syn jedyny zginął od bomby w autobusie. Wy mi zgwałciliście córkę. Nie, nie chodzi o to, że zgwałciliście. Zabraliście jej duszę. Była potem jak skorupka, rozumie pani? Była pusta w środku. Jadła, piła, chodziła i gdybym poderznęła jej gardło, wyleciałaby z niej krew, ale była pusta. Pusta w środku dziewczyna w ciąży. Aj waj, jaki dobry interes dla te parchy Żydy – powiedziała innym, skrzekliwym głosem – dostały dokument podróży dla cztery ludzie, a uciekli w pięć. *Aj waj, aj waj*. Ja nawet po hebrajsku nie umiałam mówić, rozumie pani? Ja z Warszawy, z mojej pięknej Warszawy, w której znałam każdą cegłę prawdziwą i każdą, którą przywieźli z innego miasta na tę odbudowę, każdą tę cegłę znałam po imieniu, wypędzona tu, nad morze obce, gorące. Ja tu nie oddycham nawet zimą. A teraz przyjeżdżacie, żeby mi sprzedać moje własne książki!? Jak tak można? To się przecież nie godzi! – Zaczęła płakać. Łzy znały drogę, bo po pustyni jej pomarszczonej twarzy musiały płynąć nie raz i nie dwa. – Hela. Miałam na imię Hela i znałam wszystkich na mojej ulicy.

Wszyscy czekali chwilę. Pola i Olga spokojne, w każdym razie na zewnątrz. Szymon zirytowany. Nie podobało mu się to, co słyszał. Powinni machnąć ręką i dać sobie spokój z tą starą wariatką. Olga podejrzewała, że Pola, ta wnuczka, mówi po polsku, że ich rozumie, ale z jakichś powodów udaje, że jednak czyta. Nie byłaby taka spokojna, gdyby nie rozumiała. Chyba że Hubnerowa ma ataki hysterii co drugi dzień, wtedy młodsza mogłaby do tego przywyknąć.

Zrobiło się cicho, więc kelnerka podeszła i zagruchała po hebrajsku. Rachela Hubner pozbierała się w jednej chwili. Rozmawiały głośno, pewnie kelnerka uważała, że jeśli ktoś jest stary, to musi być też głuchy. Potem stara zaczęła rozmawiać z Polą. Olga i Szymon nie rozumieli nic a nic.

– Co hobimy? – zapytał Szymon. – Mahnujemy tu czas, co nie?

– Nie, wszystko dobrze – powiedziała Olga.

– Nie wkurza cię to?

– Nie. Smuci mnie, ale nie wkurza. Muszę wiedzieć o Ance.

– Przecież to wariatka jest, nie widzisz?

– Nie... ona nie mówiła po polsku pół wieku, ona tego nikomu nie powiedziała. Wysłucham jej, a potem ona mi powie wszystko, co chcę wiedzieć.

– Zamówiłam nam coś do zjedzenia – powiedziała profesorowa. – Przepraszam za moje zachowanie. Ja to chciałam komuś powiedzieć.

– Rozumiem. – Olga uśmiechnęła się do niej. – My też nie przyjechaliśmy po to, żeby sprzedać pani jej książki.

– Tak podejrzewałam. Ale dla Uriego to najważniejsze, więc nie mogłabym odmówić spotkania w sprawie księgozbioru... Kim jesteście?

– Jesteśmy z polskiej policji. Prowadzimy sprawę zabójstwa pana Pawliszuka.

– Ach! Sądziłam, że Stefan umarł... Przestał się odzywać kilka lat temu. A ja nie wiedziałam, jak go odnaleźć. Kiedy przestał dzwonić, to ja próbowałam, ale słyszałam: „nie ma takiego numeru”...

– Nie próbowała pani pojechać do Polski? Zobaczyć dom? Przywieźć książki?

– Ja? To Uri chciał do Polski. Ale do Polski tego generała, Jaruzelskiego, co wyrzucał z armii najlepszych oficerów, patriotów za to, że byli Żydami, nie mógł pojechać. Jakby swoim kolegom w oczy spojrzął? Chciał jechać, ale nie mógł. A kiedy już doczekał upadku Jaruzelskiego, kiedy doczekał tej swojej wolnej Polski, to już *cancer* miał. Mówił: wyleczę i pojedę. Badał zachowanie *cancer* w styku z niskimi temperaturami. No ale nie wyleczył. I kto miał pojechać? Ja? Ja wszędzie mogłabym, ale nie do Warszawy. Moja Warszawa umarła, kiedy pociąg ruszył wtedy. W maju.

Maj tamtego roku był najpiękniejszy w całym życiu. Taki ciepły, taki piękny, a potem tutaj Szymon zginął. Moja córka Sara całe życie przepracowała w hospicjum. Ona by się bała pojechać. Ona się tylko umarłych nie bała. *Terminally ill children*, nie wiem, jak to po polsku: *cleft palate, renal cancer, microcephaly*¹⁶, takie sprawy. Ona z tymi dziećmi umiała mówić... Taki chłopiec z *microcephaly* miał umrzeć w trzy miesiące, a ona go sześć lat tuliła, jak płakał. Bo jemu przychodził ból. A kiedy przychodził, cały się napręzał. Jakby był z drutu, a nie z ciała. Lekarstwa nie pomagały. Z bólu nie słyszał. Ale przytulała go, żeby wiedział, że nie jest sam. Nie mogła mu tego bólu podzielić, ale chciała, żeby nie był wtedy sam. On nie mówił. Tylko patrzył. Spokojnie patrzył. Tak jej mówił „dziękuję”. Ona rozumiała. Sama nie mówiła przez kilka lat. I kto miał pojechać do tej Polski? Ona miała Stefana szukać? Ona ze swojego hospicjum wychodziła tylko na Chanukę do domu. Więc kiedy Stefan przestał dzwonić, nie było komu pojechać.

– A pani Pola? – zapytał Szymon.

Pola podniosła wzrok na dźwięk swojego imienia.

– Pola nie mówi po polsku. Ale wie, że ma imię na cześć swojej ojczyzny.

– Stefan – powiedziała Olga. – Nigdy tak o nim nie myślałam.

– Znaliście się państwo?

– Z pułkownikiem Pawliszukiem? Nie, ale moja córka chodziła do jednej klasy z jego wnuczką.

Kelnerka przyniosła wino. Prosecco. I mnóstwo talerzyków z różnymi pastami. I chleb. Czy może raczej naleśnik, Serbia nie wiedziała, jakie słowo będzie lepiej pasować.

– Ma pani córkę? – Stara przełamała chleb na pół i podała jej jedną część. – To cudownie.

– Miałam. – Olga uśmiechnęła się do niej. – Nie za wcześnie na wino?

– W moim wieku na wszystko jest zbyt późno. Jak to: miałam?

– Nie żyje. Zabił ją ktoś. Myślę, że ten sam ktoś zabił Pawliszuka.

– Jak to zabił? On stary człowiek już był. Komu by zależało, żeby zabić?

– Na przykład pani.

Stara podniosła wzrok.

– A jaki bym miała powód?

– Zgwałcił pani córkę.

Rachela przymknęła oczy. Jadła chleb z humusem, gryząc powoli i dokładnie. Jej długie, wąskie palce, niemal przezroczyste, kiedy padało na nie słońce, nawet nie drgnęły. Odwróciła wzrok w kierunku morza. Plażą biegły dzieci z latawcem, a za nimi pies. Na horyzoncie duży, biały wycieczkowy statek. Do restauracji zaczęli wchodzić rozbawieni ludzie. Ona w białej sukience i okularach w złotej oprawce, on w zabawnej czapeczce na kędzierzawych włosach, brązowa skóra, białe zęby, tańczył wokół niej w rytm tęsknej, skrzypcowej melodii.

Olga usłyszała ją dopiero teraz, a przecież muzyka musiała grać cały czas. Szymon wypuścił powietrze z sykiem. Pola podniosła się i położyła babce rękę na ramieniu, a stara kobieta poklepała ją po dłoni.

Potem odwróciła się do stołu i sięgnęła po kolejny kawałek chleba. Przełamała go i podała Oldze.

– Jedz, jedz ze mną chleb obcej ziemi – powiedziała tylko. Miała oczy pełne łez. – Powiedziałas, że ktoś ci zabił córkę, tak?

– Tak. Ktoś uderzył w mój mały samochód wielką ciężarówką. Miałam zginąć ja, ale zginęła moja córka.

– Jak ma na imię?

– Ania. – Olga zwróciła uwagę na czas teraźniejszy. Pomyślała, że zaraz tu się, kurwa, rozklei.

– Dlaczego powiedziałaś, że zabił ją ktoś, kto zabił Stefana?

– Prowadziłam dochodzenie w sprawie jego śmierci. Chcieli, żebym

przestała.

– Przestałaś?

– Tak, ale teraz znowu prowadzę.

– Wiesz na pewno, że to on zgwałcił Sarę?

– Rusiński, zna pani to nazwisko?

– Tak, znam. U Hubnerów pracował jego ojciec, a on potem, jak znacionalizowali kamienicę, to był tam tym... dozorcą.

– Ten sam. Przed śmiercią nagrał taką taśmę. Mówi tam, że Pawliszuk i trzej inni agenci...

– Jacy agenci?

– No ze Służby Bezpieczeństwa.

– Ale to niemożliwe. – Rachela pokręciła głową. – Stefan wyciągnął z więzienia naszego syna. On obiecał pilnować księgozbioru, Sara go kochała... Myślę, że go kochała do śmierci.

– On miał już wtedy, w sześćdziesiątym ósmym, żonę.

Hubnerowa pokiwała głową.

– Ta melodia – powiedziała – znasz ją?

Olga pokręciła głową.

– Savina Yannatou, z Grecji, ale gdyby śpiewała w jidisz, mogłaby być z Warszawy. Przychodzę do tej restauracji, bo lubię, że puszcza jej płyty. Powinnaś ją poznać. Ona wie, jak śpiewać... Myślisz, że to my? Że pojechaliśmy zabić Stefana za to, że nam odebrał życie?

– Za to, że wam zgwałcił córkę i że wam ukradł mieszkanie, książki...

– Wiesz... wiesz, że masz rację. – Stara pokiwała głową. – Wyjechaliśmy, bo nam zgwałcił córkę. Bo nam Polacy zgwałcili córkę. Przecież w całym mieście ufać mogliśmy tylko jemu. On naszego syna przyprowadził z więzienia. Uri by mu oddał wszystko. Przepisał mu mieszkanie, żeby się odwdzińczyć za to uwolnienie Szymona... Mówił mi potem, że Stefan za Szymona musiał zrobić jakieś straszne rzeczy...

– On kapusiem był. Pisał donosy na profesora Hubnera, chodził z Szymonem na spotkania do Jacka Kuronia i jego kolegów komunistów. Z Sarą chodził na wiece i te manifestacje kościelne. Była jego kamuflażem. A kiedy już przestała być potrzebna, pomyślał, że dobrze byłoby mieć mieszkanie w centrum Warszawy. I że jak ją zgwałci, to wyjedziecie. A że profesor miał wobec niego dług za uwolnienie syna, to mu mieszkanie zapisze, skoro Żydzi i tak muszą mieć te obiegówki, że są z krajem ostatecznie rozliczeni.

– Wiesz o tym, czy tylko tak przypuszczasz?

– O mieszkaniu przypuszczam, resztę... resztę w sumie wiem.

– Pij wino. Pij. Wino pasuje kobietom, które znają smutek. Pij, weźmiemy jeszcze butelkę.

Pola uwolniła rękę spod dłoni starej kobiety i pokazała jej zegarek.

Wymieniły kilka zdań w tym charkotliwym języku.

– Mówi mi, że powinniśmy za pół godziny jechać. Że szabas przecież idzie i powinniście zdążyć do Jeruzalem. Jedzcie, jedzcie, to najlepszy humus w mieście.

– Nie zabiła mi pani córki?

Stara pokręciła głową.

– Wiesz, kim byli ci inni?

– Jacy inni?

– Co zgwałcili Sarę? Wiesz, jak ma... jak się nazywał, jak się mógł nazywać Poli ojciec?

Serbia pokręciła głową.

– Rusiński ich nie znał. Tylko Pawliszuka znał. Pawliszuk gwałcił ostatni.

Stara milczała. Savina skończyła swoją pieśń. Zapadła cisza, a potem zaczęła się inna melodia.

– Opowiedz mi, jak zabili Stefana.

– Spalili go w domu razem z wnuczką. Może nie wiedzieli, że dziecko jest u niego. No i dziewczynka zginęła.

– O Boże... tyle książek... zawsze się bałam, co będzie, jak to się zapali.

– Nie, to nie na Wilczej. To w jego domku na działkach.

– Na jakich działkach?

– No w tych ogródkach, pamięta pani, kiedy w Warszawie ludzie mieli ogródki, na przedmieściach. On się tam przeprowadził, jak stracił mieszkanie. No i tam go spalili.

– Dlaczego stracił mieszkanie? Sprzedał? Wie pani, co z książkami?

– Nie sprzedał. Stracił, bo poprzedni właściciel chciał odzyskać własność i wynajął adwokata, żeby je odebrał.

– Jaki właściciel? – Hubnerowa była naprawdę zdziwiona.

– Pani mąż.

– Mój mąż nigdy by tego nie zrobił. Uważał Stefana za najszlachetniejszego z ludzi.

– A pani?

– Gdybym wiedziała... powiem ci coś, Olga, tak? Olga masz na imię, kiedy tu jechaliśmy, nienawidziłam Polaków. Za to upokorzenie. Nie tylko za gwałt. Za to, jak musiałam nawet do biblioteki iść i mieć pieczętkę, że nie zalegam z książkami, żeby mi pozwolili wyjechać. I nie wolno było zabierać listów, bo rękopisy są przecież własnością państwa. I książek starszych niż te trzydzieści lat. Zdjęć sprzed wojny. Nie wolno nam było mieć pamięci. I mieszkanie też musieliśmy komuś oddać. Albo Gomulce, albo Pawliszukowi. No to jaki wybór? Wyjechaliśmy. Patrzyłam na brzuch mojej córki. I na jej smutek. Ona tego Stefana przecież kochała. Ona do końca życia swojego codziennie tam stała, na dworcu, i całowała go, i milczała. Nie mówiła. I myślała, że on nie wie, że on nie wie, dlaczego ona milczy... Nienawidziłam tego dziecka. Tej Poli. Dopóki była w brzuchu, modliłam się każdego dnia, żeby umarła. Wtedy nie myślałam, żeby umarła,

myślałam, żeby zdechła. Ale Sara, moja córka, chciała ją. Tylko tego chciała. Z całego jej życia tylko to dziecko się liczyło. Chciała ją przecież mieć ze Stefanem. Tylko z nim. Kocham ją. Wiesz, Olga. Kocham ją najbardziej na świecie. Ona w armii była w służbach informacyjnych. Jest dziennikarką. Była na kilku wojnach. W Ukrainie była na tym... na tym placu głównym. W Afryce była. W Central African Republic... Jest dzielna. Ma dwóch synów. Nie mówi po polsku, bo ją nauczyłam, że nie idzie się tam, gdzie cię nienawidzą... Myślisz, że ona może być tego Stefana?

Olga milczy. Gryzie chleb czy może naleśnik... Patrzy na morze.

– Mam wolny pokój – mówi wreszcie. – Mam w domu pokój. Mam wolne łóżko, to łóżko po mojej córce. Gdyby Pola chciała kiedyś, gdyby się odważyła... to pani wie, ja jej wszystko opowiem. Wszystko jej pokażę.

Stara nie powiedziała nic. Pokręciła tylko głową. Na pożegnanie Racheli kupiła im jeszcze Prosecco. Butelkę. Jadą w palącym słońcu. Olga cieszy się, że wracają, cieszy się, że jest w Jerozolimie z mężczyzną, którego się nie wstydzi. Kochają się potem w pokoiku dusznym i wilgotnym.

– Cały czas się uśmiechasz, wiesz? – zapytał ją, kiedy pot wsiąkał w prześcieradło, a owady krążyły tak, żeby trzymać się z dala od dymu. W tanich hotelach można wciąż palić, leżąc nago na łóżku.

– Wiem – odparła – uśmiecham się, bo dobrze mi, kiedy czuję twój ciężar.

– Nie, cały czas się uśmiechasz. Od pożegnania z tą jędzą.

– Ona nie jest jędzą. – Trzepnęła go w pierś otwartą dłonią. – Czuję ulgę. Po prostu.

– Ale ulgę, że co?

– No że nic. – Pocałowała go w brzuch. – Czasami czujesz ulgę, że tak, a czasami, że nie. Nie masz tak?

– Nie mam. – Wyrzucił papieros za okno i pociągnął ją do ust.

Potem poszli pod Mur. Trzeba było iść w lewo, a potem w dół i w dół.

Ściany Płaczu bronią bramki do wykrywania metalu i uzbrojeni strażnicy. Zupełnie jak na lotniskach. Kontrola jest drobiazgową. Olga musi iść w prawo, a Szymon w lewo, bo kobietom nie wolno być w świętym miejscu wspólnie z mężczyznami.

– Enjoy – uśmiechnęła się do Olgi pani oficer w czarnym berecie – tylko proszę, nie rób zdjęć. Nie w szabat.

Serbia trzyma się blisko ogrodzenia, staje na palcach, żeby zaglądać na męską stronę. Widzi karabiny ustawione w pęczki i splecione ramiona żołnierzy. Tańczą i śpiewają zupełnie jak w Polsce na weselu, kiedy wszyscy mają już w czubie na tyle, że pęka wstyd. Ale tutaj wszyscy trzeźwi. A może pijani radością? Nie są w tej chwili żołnierzami. Ani bankierami. Ani nawet yuppie z Tel Awiwu. Teraz nie ma Hamasu, nie ma Iranu, nie ma Auschwitz, nigdy nie było wojen, światowego kryzysu ani nawet wszędobylskich zasieków z drutu. Teraz jest tylko drewniany parkan, przy którym stoją Olga po swojej stronie, Szymon po swojej. Nikogo z odkrytą głową. Chasydzi w czapach i kapeluszach. Pozostali w kipach. Obcy w papierowych jarmułkach, które trzeba wpiąć we włosy wsuwką, bo inaczej odlecą z wiatrem. Tańczą.

– Jak to możliwe, że ludzie potrafią się tak cieszyć?

– To Szechina, miejsce w którym można doświadczyć obecności Boga – uśmiecha się Szymon. – Tęsknili do tego miejsca dwa tysiące lat. Wy, katolicy, nie tańczycie w kościołach?

Nawet jeśli kpi z Olgi, to nie daje po sobie poznać.

– Nie. Nie tańczymy.

– A wiesz, że Żydzi nie używają już nazwy Ściana Płaczu? Mówią Zachodni Muh.

– Dlaczego?

– Mówili Ściana Płaczu, kiedy byli na wygnaniu. Ale przecież whócili.

Potem szli w górę miastem odmienionym nie do poznania. Wczoraj było duszne od świateł, karaluchów, reklam, plastiku, butów, torebek, świętych

obrazków, elektronicznych gadżetów, było miastem miliona straganów pod jarzeniówkami. Przekupnie zaczepiali pielgrzymów. Pielgrzymi z trudem torowali sobie drogę pośród tłumu kupujących. Gdyby szedł tamtędy sam Chrystus, nikt nie zwróciłby na Niego uwagi. Dzisiaj byli zupełnie sami. W bazylice tłum. Modlitewne czuwanie Wielkiego Piątku. Posiedzieli trochę w milczeniu, a potem poszli coś zjeść. Arabowie wiedzą, że warto mieć otwarte do samego rana.

– To miejsce, Jerusalem, to miasto, w którym najlepiej widać, że dla nas, muzułmanów, w modlitwie liczy się czas, a dla was, chrześcijan, zresztą tak jak dla Żydów, liczy się przestrzeń – tłumaczy im sprzedawca pasty z bakłazanów. – Szukacie świętych miejsc, chociaż nie da się odnaleźć miejsca, w którym stał krzyż. Żydzi wierzą, że moc Boga mieszka w kawałku ściany gdzieś w Zachodnim Murze. My, kiedy nadejdzie czas, klękamy tam, gdzie jesteśmy: na targowisku, na poboczu drogi, na pustyni albo w naszych miastach. W miastach, które są gettami. A najlepiej w domu.

– Tak – powiedziała Olga – najlepiej w domu.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

TERAZ

– W domu jest – potwierdził Kosiński – w każdym razie taką mam nadzieję.

Obserwował monitory. Trwał na posterunku od północy za przyciemnianą szybą w dyżurce ochrony tego luksusowego budynku, uzbrojony w kamizelkę z napisem „Security” i całe mnóstwo kawy. Nie no, kawa się już kończyła. Mać!

– Co to znaczy: masz nadzieję? – Serbia nie potrafiła ukryć irytacji w swoim głosie.

– No drzwiami nie wychodził, ale przecież nie mogę sprawdzić, czy nie zjechał na linie z balkonu – zażartował młody.

– A sądzisz, że mógłby?

– Jeśli jest tym, za kogo go uważamy, mógłby nawet skoczyć z okna na spadochronie. To wysoki budynek.

Kurwa, pomyślała, że są ludzie, którzy potrafią się wymknąć, jeśli zechcą. Co zrobią, jeśli Bugajny zechce? Wtedy cała para w gwizdek. Najbardziej liczyła po prostu na jego pychę. Największa słabość człowieka, który potrafi zrobić coś lepiej od innych. Czasami jedyna. Sprawia, że lekceważysz innych. Że ich nie dostrzegasz. Jeżeli dobrze go oceniła, mają szansę. Oczywiście nie musiała ocenić go właściwie. Nie była profilerką, nawet nie przyszłoby jej do głowy, żeby tak się nazywać, ale miała intuicję.

Intuicja powiedziała jej, żeby przed pierwszym maja nie kontaktować się z kancelarią adwokacką pana Łoskowskiego i Partnerów w sprawie własności kamienicy przy Wilczej. Oświadczenie Racheli Hubner miała

w sejfie w fabryce. Czekają na czwartego maja.

– No... miejmy nadzieję, że zjedzie windą – ziewnął Kosiński. – Jeśli się pojawi, będziesz wiedziała. Śpij. Jeszcze rano. Po co mamy oboje się męczyć? Dam ci znać, dokąd jedzie.

Mercedes klasy G używany przez Bugajnego miał pod podwoziem urządzenie GPS na wypadek, gdyby żołnierz nie miał ochoty wzywać taksówki. Samochód Kosińskiego zaparkowany był obok dyżurki. Nie można przecież polegać tylko na elektronice.

Kosiński wypatrywał Romana Bugajnego kilka dni temu, kiedy ten wchodził do kancelarii na Krakowskim Przedmieściu. W sytuacji, kiedy nie mogli liczyć na wsparcie ABW, jedyną szansą, żeby go namierzyć, była cierpliwość. Kosiński był więc cierpliwy. Siadywał w okolicznych lokalach każdego dnia z tym samym laptopem, zamawiał piwo i udawał, że pisze. Kilkudniową przerwę zrobił tylko w czasie Wielkanocy, kancelaria była i tak najpewniej nieczynna. W ogóle ruch panował tam niewielki. Mecenasi pojawiali się na zmianę – każdy innego dnia. Niestety nie był w stanie ocenić, ilu mieli interesantów, ponieważ w kamienicy mieściło się kilka biur prawnych i innych instytucji, nawet Zarząd Związku Lutniczego. Zakładanie podsłuchów czy kamer nie wchodziło w grę, bo nie mieli pewności, na ile zaawansowana jest operacja ABW, nie mieli też pewności, czy nie chodzą wokół tego miejsca jakieś wojskowe służby.

W dostępnych im bazach danych Bugajny się nie pojawiał.

Pewnie mieszkał w Warszawie pod zmienionym nazwiskiem.

Kosiński siadywał przy stoliku naprzeciw wejścia i fotografował wychodzących z kamienicy, korzystając z kamerki w komputerze. Zdjęcia były fatalne, ale ludzi dawało się czasami rozpoznać, tyle że nie prowadziło to do żadnych wniosków.

Udawał, że pisze. Tym się chwalił kelnerom. Doktorat z wpływu nowych mediów na psychikę pokolenia millenialsów. Nawet czasami coś tam klikał na klawiaturze, ale głównie przeglądał wiadomości. Tamtego

dnia akurat o marszu żywych w Auschwitz.

„Nie mamy prawa zapomnieć, nie mamy prawa wybaczyć” – mówił jeden z uczestników, ocalały z Zagłady. Kolejny news dotyczył stanu zdrowia Tomasza Golloba. Czytał o tym, dlaczego mistrza świata trzeba było wprowadzić w śpiączkę farmakologiczną, kiedy zobaczył, że Bugajny wysiada z taksówki. To był moment, ale Kosiński był pewien na sto procent.

To Bugajny, choć chłopak widział go jedynie od tyłu. Nie chciał czekać, aż tamten wyjdzie. I tak nie byłoby łatwo za nim pojechać, musiałyby mieć na podorędziu samochód, a to mogłoby wzbudzić podejrzenia. Po Krakowskim Przedmieściu mogą poruszać się tylko taksówki, pojazdy uprzywilejowane i samochody tych, którzy mają zaproszenie do pałacu prezydenckiego. Nikomu nie wolno parkować. Kosiński nie zamierzał dać żołnierzowi żadnego sygnału. Zanotował numer taksówki, z której tamten wysiadł, zapłacił za piwo przy barze, zamówił inną taksówkę. Wsiadł, zadzwonił do fabryki i poprosił o sprawdzenie adresu firmy taksówkarskiej, z której korzystał Bugajny. Pojechał tam natychmiast, pokazał legitymację i zapytał o szczegóły kursu na Krakowskie Przedmieście sprzed dwudziestu siedmiu minut. Zapytał potem, czy w taksówce zamontowana jest kamera.

– Niektórzy wożą je na wszelki wypadek, choć napadów na taksówkarzy jest dzisiaj wyraźnie mniej niż przed kilku laty, pan rozumie, panie oficerze, być może to właśnie z powodu tych kamerek, co nie?

– Nie wiem, ja się nie zajmuję statystyką, ale gdyby pani zadbała o to nagranie, to będę naprawdę zobowiązany.

– Rozumiem, że nie otrzymam nakazu, panie oficerze? – Załopotana rzęsa.

– Nie, ale też nie będę pani prosił o zgodę na montowanie monitoringu w taksówkach.

– A my mamy zgody. – Uśmiechnęła się.

– A czy kamery są oznaczone tak, żeby nie było co do tego

najmniejszych wątpliwości?

– A czy ja siedzę w każdej taksówce? No niech pan sam pomyśli?

– Myślę, że nie. – Teraz on się uśmiechnął. – Załatwi mi pani dyskretnie ten filmik? Proszę. – Zostawił jej adres mailowy.

W zamian dostał adres luksusowego apartamentowca w centrum. Podobno można było tam spotkać w windzie kogo tylko dusza zapragnie. Kosiński porozmawiał z właścicielem firmy ochroniarskiej, bardzo powściągliwie zasłaniając się tajemnicą służbową i opowiadając o tym, że chodzi o pomoc strukturom Interpolu, że zachodzi niebezpieczeństwo, że jeden z lokatorów podejrzewany jest o pedofilię, ale nie wiadomo który, zaobserwowano, że podejrzany pośrednik wprowadzał dzieci do tego budynku. Może nie było to najbardziej subtelne z kłamstw, ale miał przekonanie, że nie warto mówić prawdy nikomu, kto jest związany z deweloperskimi przedsięwzięciami na gruntach pozyskanych od miasta w ramach zwrotu mienia dawnym właścicielom. Uznali z Olgą, że Bugajny może tam mieszkać w ramach jakichś barterowych rozliczeń albo po prostu służbowo. Budynek należał do funduszu inwestycyjnego z siedzibą na Arubie. W Polsce interesy firmy reprezentował Łoskowski.

Właściciel firmy ochroniarskiej zgodził się, że informowanie kogokolwiek o podejrzaniach dotyczących domniemanych pedofilskich ekscesów nie leży w niczyim interesie, więc Kosiński zyskał szansę na przejrzanie nagrań z monitoringu w korytarzach, windzie i na parkingu. W innych pomieszczeniach kamer nie było. Nie miał pewności, czy ochroniarze nie poinformują właściciela budynku, ale przynajmniej znalazł samochód, którym jeździł Bugajny.

Kiedy sprawdził numery czarnego mercedesa klasy G, okazało się, że należy do firmy wypożyczającej luksusowe samochody bogatym klientom. Uznali, że pytanie o Bugajnego może rodzić niepotrzebne zagrożenie, a do pierwszego maja pozostało ledwo kilka dni, więc lepiej, bezpieczniej będzie po prostu siedzieć mu na ogonie.

Serbia od powrotu z Jerozolimy myślała tylko o tym, co ma się zdarzyć pierwszego maja, ale nic sensownego nie przychodziło jej do głowy. Tego dnia, choć to dzień wolny od pracy, Warszawa miała być sparaliżowana przeróżnymi marszami i manifestacjami. Największy był marsz OPZZ. Na placu Zamkowym miała stanąć scena, z której przemówią szefowie związków, a potem zagra muzyka. W Łazienkach Piknik Europejski pod patronatem ambasadora Niemiec z udziałem prezydent miasta. Mieli wspólnie otwierać koncert połączonych orkiestr miejskiej i policji. Oprócz tego z pięć innych publicznych demonstracji. Czy zadanie Bugajnego miało dotyczyć którejś z nich?

W czasie piątkowej narady u Leśmiana miała już na końcu języka, żeby może powiadomić ABW o podejrzeniach, o tym, że namierzyli dom, w którym mieszka Bugajny, i dzięki temu zaistniała wreszcie szansa, że dotrą do Bielskiego, no i żeby im powiedzieć, że coś ma się stać pierwszego maja, ale doszła do wniosku, że pozostawi decyzję swojemu szefowi. Jeśli chce, niech im gada, ale ona nie będzie, skoro ABW nie informowało policji o postępach śledztwa w sprawie zabójstwa w kościele Świętej Anny.

Pogrzeb dziennikarza miał się odbyć dopiero czwartego maja. Telewizja pytała o tę sprawę przy byle okazji, nawet TVN, ale rzecznik ministerstwa milczał jak zakłęty, zasłaniając się formułką, że dla dobra postępowania zmuszony jest do powściągliwości. Dziennikarze nie dawali za wygraną, rzadko zdarzało się, żeby czyjeś zwłoki tak długo spoczywały w chłodni.

Na Twitterze krążyły niewybredne żarty na ten temat.

Ale na głównej antenie prawicowy publicysta doczekał się na swój temat kilku słów jeśli nie przyjaznych, to przynajmniej sprawiedliwych. W końcu był w NZS z Agnieszką Romaszewską, Andrzejem Saramonowiczem i Mariuszem Kamińskim.

W nocy z niedzieli na poniedziałek prawie nie spała. Kartkę z kalendarza zerwała o czwartej.

„Na pierwszego maja szron, będzie z tego dobry plon” – przeczytała.

Kurwa, no nie zaśnie już, bo za oknem jasno. Przeczytała gdzieś, że dla wybitnego umysłu jedyną radą na dobry sen jest zasypianie z kimś, kto budzi w nim namiętność. Albo przynajmniej sentyment. Ale to się zdarzy nieprędko. I nie trzeba o tym myśleć. Odkąd wróciła z Izraela, wiedziała, że nie może sobie pozwolić na tęsknoty. Nie warto tęsknić, jeśli nie wiadomo, jak długo ma to trwać. Nie warto się zakochać. Trzeba mieć to życie, które się ma, i skupić się na nim bardziej. Najbardziej. Nie czekać na telefony. A kiedy dzwonią, nie odbierać. Zapominać.

A jednak zasnęła.

Śniło jej się, że wypadły jej wszystkie włosy. Wyjmowała je garściami, a na czaszce zostawały krwawe, mokre plamy. Znała ten sen. Sen o Samsonie. O utracie siły. O rozpacz.

Spojrzała na zegarek. Dziewiąta trzydzieści siedem. Kurwa mać. Wykręciła do Kosińskiego.

– Nie dzwoniłeś?

– Nic się nie dzieje.

– Pewny jesteś?

– Tak.

– A ty tam sam siedzisz?

– Nie, z drugim takim, z tej ochrony. Ale poszedł zrobić obchód.

– Czyli nie przysnąłeś?

– Nie.

– No to dzwoń, jak się coś będzie działo.

– No a jak nie będzie?

– Wykąpię się i przywiozę ci kawy.

Włączyła Trójkę na cały regulator, żeby słyszeć muzykę, kiedy będzie się kąpała. W wiadomościach o dziesiątej usłyszała, że minister Beata Kempa podczas dorocznej pielgrzymki robotników do sanktuarium Świętego Józefa w Kaliszu przypomniała, że rząd PiS odebrał esbeckie

emerytury.

„Kiedy walczyliście za wolną Polskę, wielu z was ponosiło największe ofiary – krzyczała Kempa z głośnika – traciło zdrowie, a nawet życie. Dzięki wam możemy dziś mówić, co chcemy, bez obaw o życie najbliższych. Dziś nadeszła sprawiedliwość: odebraliśmy emerytury waszym oprawcom i mimo wielkiego krzyku nie cofniemy się”. Potem była muzyka.

„Może trochę więcej piję, może trochę mniej śpię – śpiewał Organek – poza tym wszystko, no wszystko okej”.

Tymczasem wibracje na przegubie wytrąciły Lutra z letargu.

„B ready” – powiedziały litery.

Pokiwał głową.

Myślał już, że się nie doczeka, ale od trzech dni litery powracały regularnie. Najpierw tylko „B ready”. Niewiele, ale zawsze coś, zawsze coś. To było, jakby szedł przez pustynię dziesięć dni bez jednego kubka wody. Jeśli wiesz, jak iść, przetrwasz, mimo że nikt inny nie byłby w stanie. Przetrwasz, ale znasz pragnienie. Głód i pragnienie. „B ready”. Dobrze, dobrze, będę. Wrócił sens. Łatwo zgubić przekonanie, że jesteś na dobrej drodze, jeśli nie masz żadnych znaków. Jeśli świat przestaje do ciebie mówić.

Ale on wiedział, jak jest. Świat mówi, kiedy potrzebuje, a kiedy potrzebuje milczeć – milczy. Wtedy trzeba czekać. Przeciągać strunę. Ile się da. Ile można. Wiedział, że przeciąga bardzo. Ukrył się. Ukrył przed wszystkimi. Wypełzał z nory tylko po to, żeby jeść. I tak kilkanaście miesięcy. Kurwa, długo. Może za długo? Może tak długo, że nie będzie potrafił już powrócić? Nie miał pewności. Ale nigdy nie masz pewności, czy to, co robisz, ma sens. Życie jest od tego, żeby być z innymi. Jeść z nimi, śmiać się, spać. Nie od tego, żeby jeździć autobusem w oczekiwaniu na sygnał, który być może nie nadejdzie już nigdy.

Ale on potrafił czekać. Gromadzić energię. Patrzeć na rzekę. Miał takie

miejsce, z którego widział, jak słońce zachodzi pomiędzy Pałacem Kultury a tym nowym budynkiem na Złotej. Najlepszy zachód słońca, jaki znał. Ale to nie wystarczało. Wreszcie trzy dni temu litery znowu zaczęły mówić. No i był gotowy. Spał dobrze. Dobrze spał, kiedy wracał sens. Był tu, gdzie należało. Siedział nad rzeką na betonowych stopniach naprzeciw statku Bajka. O świcie, gdyby był tu o świcie, widziałby, jak cień mostu ślizga się po nim, zanim spadnie do wody. Widział to kilka tygodni temu. Widział cień, a cień wchodził do wody tak samo jak żołnierz. Bez burzenia jej powierzchni. Bez dźwięku. Z ulgą.

Wibracje.

Zobaczył pozycję i kierunek. Wstał, otrzepał dupę z piasku i ruszył w kierunku mostu.

Minęło go dwóch biegaczy w koszulkach półmaratonu warszawskiego.

„Siła, walka, determinacja” – powiedziały mu litery na niebieskiej koszulce.

Zagwizdał czajnik. Olga zaczęła zalewać kawę. Dźwięk telefonu zaskoczył ją tak, że rozlała po całym blacie.

– Jestem – powiedziała.

– No, powiem ci, ruszył się, jest w windzie.

– To na pewno on?

– Tak. Ale nie zdążyłem zauważyć, czy wcisnął parter, czy garaż.

– Kurwa, lecę, nie spuszczaaj go z oka, jak weźmie taksówkę, Ubera, cokolwiek, muszę wiedzieć. Jedź za nim!

Wciągnęła dzinsy, nie tracąc czasu na szukanie majtek. I byle jaki T-shirt. Ten z napisem: „Zaradna mama”, kurwa, jakaś stara koszulka z czasów, kiedy czytała te portale o dzieciach i brała udział w konkursach dla rodziców. Można było wygrać T-shirt. Teraz sięgnęła do szafy i wyciągnęła na chybił trafił. Ale pasował. Super. To znaczy, że jednak schudła. Teraz broń, sweter, nie, lepiej rozpinany polar. Suwak i już. Już?

Zbiegła do samochodu, popatrzyła w lusterko tylko na jedną sekundę, ja pieprzę, te włosy! Zadzwoiła do Kosińskiego.

Jeden sygnał, trzeci, szósty.

– No jadę, jadę za nim, kurwa, Ubera wziął.

– No to nie zgub, kurwa, nie zgub. Gdzie jesteście?

– Alejami w kierunku Wisły.

– Nie wyłączaj się, nie wyłączaj, gadaj mi cały czas, gdzie jesteś. – Zatrzasnęła drzwi nie całkiem pewna, czy ma w kieszeni klucze do mieszkania. Ważne, że te od auta miała w ręce.

Kiedy Kosiński dał jej znać, że Uber jedzie w kierunku Pragi, Serbia postanowiła zjechać na Wisłostradę. Najgorzej to wpakować się w jakąś demonstrację. Wisłostrada powinna być wolna od ludzi. Kolejny raport mówił, że Uber zjechał właśnie z wiaduktu prowadzącego na most Poniatowskiego, jadą na południe. Ale całe miasto uparło się jechać Wisłostradą. Widać każdy, kto musiał ruszyć, wybrał właśnie tę drogę. Cisnęła klakson i klęła w duszy, bo przecież był sam środek długiego weekendu i miasto po prostu powinno być zupełnie puste.

– Skręcamy przy Torwarze – mówił Kosiński, kiedy ona wbijała się na lewy pas na wysokości Cytadeli.

– Mam do ciebie kwadrans, nie zgub go!

– Spokojnie, szefowo. – Głos Kosińskiego brzmiał dobrze. Chłopak musiał się już całkowicie odnaleźć, to ją uspokoiło, ale z drugiej strony nie miała pewności, czy Kosiński wie, na co się porywa. Jeśli Bugajny rzeczywiście jest gościem z Blackwater, nie miałby najmniejszych szans, gdyby musiał się z nim zmierzyć.

Miała nadzieję, że nie będzie musiał.

Luter zszedł z mostu Łazienkowskiego i zmierzał Myśliwiecką w kierunku Łazienek. Powoli. Tacy jak on nie idą szybko. Miał czas. Pozwalał ludziom, żeby go mijali. Tłum warszawiaków parł w kierunku Łazienek na wielki rodzinny piknik. Dzieci szarpały rodziców za ręce,

mężczyźni narzekali, że nie dało się bliżej zaparkować i trzeba teraz iść taki kawał. Ktoś pogwizdywał. Ktoś biegł i nerwowo powtarzał: przepraszam, przepraszam.

– Jebani biegacze! W dupę, w dupę sobie biegnij!

– A czy twoja matka musi koniecznie przyjeżdżać na długi weekend?

Nie masz siostry? Czemu do niej nie jedzie?

– Myślisz, tato, że coś wygramy? – To jakieś dziecko. Za rękę.

– No ja w twoim wieku to na loterii fantowej wygrałem królika.

– Żywego?

„Trójka, usłysz więcej”, przeczytał na budynku Polskiego Radia.

„Usłysz” – powiedziały litery – „usłysz”.

Skupił się. Czy ktoś za nim idzie? Gdyby mógł się odwrócić, wiedziałby o tym w ciągu sekundy. Ale nie mógł. Jedyna rzecz, jakiej nie mógł zrobić, to obejrzeć się teraz. Teraz mógł tylko iść. Liczyć kroki. Liczenie kroków pomaga. Dzisiaj się wszystko wyjaśni. Trzeba rozluźnić mięśnie, kark, ramiona.

„Naj nie bierze się znikąd”, przeczytał na olbrzymim posterze, z którego uśmiechała się do niego Agnieszka Radwańska.

Wystawił twarz do słońca. Ogoliłby się. Tak, to jedno z jego marzeń. Ogolić się. I umyć włosy, ostrzyc.

Tymczasem Serbia denerwowała się coraz bardziej.

– Kurwa, szybciej, no szybciej. – Uderzała rękami w kierownicę. Ale sznur samochodów stojących w kolejce do skrzyżowania w prawo wcale się nie posuwał. – Jesteś, młody? Słyszysz mnie?

– Jestem, jestem, no zgubiłem go, bo wysiadł, chuj jebany, przy wejściu do Łazienek, a tu nie ma gdzie stanąć przecież...

– Ja pierdołę! No ja też nie będę miała gdzie stanąć! Ale co zrobiłeś? Widzisz go? Idziesz za nim?

– Za nim jechały cztery samochody, to jak stanął, widzę, że wysiada, to

skręciłem w Agrykolę. A tam, kurwa, autobusy jeden za drugim, orkiestry wysiadają, no nie ma gdzie stanąć, jadę, kurwa – Olga słyszy, że Kosiński zdyszany. – No i wcisnąłem się na chama w te autobusy, oni w krzyk, że nie wolno, ja, żeby spierdalali.

– A teraz co robisz?

– Zapierdalałam do tych Łazienek. Ale tu, kurwa, jest tłum. Rozumiesz? Tłum jest. Nie widzę go.

– Rozumiem, widzę, ile ludzi jedzie. – Nacisnęła klakson. – Jedź, jedź, kurwo stara, no co się gapisz?! Jedź! Kosiński, przepraszam, ale nie możemy tego zjechać. No ja widzę, że oni się wcale nie poruszają, no nie ma gdzie stanąć. Znajdź go, proszę, ale nie biegnij. Nie może cię zobaczyć. Znajdź. My dzisiaj mamy szczęśliwy dzień. Znajdź. Zadzwoń.

Chciała znowu wcisnąć klakson, ale to była zła myśl. Nie wiedziała, co się kroi. Przecież Bielski może być gdzieś w pobliżu. Bielski. Uzbrojony i niebezpieczny. Nie miała wątpliwości, że zabił tego biednego dziennikarza. A jeśli tu jest? Skręciła na mały parking przed Polskim Radiem i zaparkowała tak, że blokowała wszystkie samochody, które tam stały.

W dupie tam, pomyślała. Trzasnęła drzwiami i pobiegła w stronę Łazienek.

Luter tymczasem dotarł do klombu przed Pałacem Myślewickim. Dookoła tłum. Dzieci, dorośli, psy, jakaś orkiestra, pewnie policyjna, bo muzycy w mundurach. Maszerują, grając marsza. Luter myśli, że to pewnie Strauss. Nie przychodzi mu do głowy żaden inny autor marszowych melodii. Tylko Strauss. Strauss. Strauss. Denerwował się. Czy ktoś za nim idzie? Czy ktoś w ogóle orientuje się, co się tutaj dzieje?

„Piknik Europejski” – mówiły litery – „Piknik Europejski”. Pierwszomajowy Piknik Europejski.

Zatrzymał się. To było tutaj.

Spojrzał na wyświetlacz. Tak. Był w punkcie zero. Współrzędne kazały

mu się zatrzymać. Zatrzymać się i czekać. To nie było rozsądne, bo żołnierz w tłumie powinien poruszać się z prądem. Kiedy nie płyniesz z prądem, jesteś widoczny dla wszystkich. Jakbyś był nagi. Jakbyś był na dłoni olbrzyma. Teraz wszystko było w mocy liter.

Wibracje.

„White Waste Bin” – powiedziały litery.

Kosz na śmieci, biały kosz na śmieci. Spojrzał w prawo. Po lewej miał klomb. Kosz był po prawej stronie.

Zbliżył się tam i zobaczył w środku czarny worek. Płócienny, czysty. Tłum, a worek czysty, więc ktokolwiek go tam włożył, zrobił to przed sekundą. Sięgnął po paczkę. Poczł ciężar i wiedział, co w nim jest. Sądząc po ciężkości, to musiał być makarow. Niewielka masa, krótka lufa, skuteczna tylko przy wystrzale z bliska. Makarow. Wiedział, że tych pistoletów, nierejestrowanych, nawet nieużywanych, może być w Polsce jeszcze całkiem sporo. Ulubiona broń ubecji. Zważył w dłoni. Lekki... Osiem kul. Ale co, jeśli w magazynku jest mniej? Przecież nie musi być pełen. Gdyby to on posyłał Druida na robotę, dałby mu najwyżej dwie. Jedna w cel, druga w cel i nagle jesteś bezbronny. No ale nie sprawdzi. Nie tutaj. Nie wśród ludzi, nie w miejscu, gdzie na pewno go obserwują.

Druid jest pewnie o krok, dwa. Musi być w pobliżu, musi go teraz widzieć. Nie zostawiłby broni bez dozoru. Nie on. To byłoby wbrew wszelkim zasadom. Ale może nie być sam, może nie być sam...

Kosiński szedł szybkim krokiem, rozglądając się za Bugajnym. Gdyby był tutaj trzy, trzy i pół minuty temu, miałby szansę zauważyć, jak żołnierz wrzuca coś do kosza na śmieci przed Pałacem Myślewickim. Ale nie zobaczył. Spóźnił się. Stał i rozglądał się zdezorientowany. Gdyby patrzył w prawo, zobaczyłby Lutra. Ale akurat kiedy zaczął się oglądać, usłyszał dzwonek.

– Kurwa! – Pochylił głowę, kiedy zaczął wyciągać telefon z kieszeni spodni.

– Co jest, młody? Mów – dyszała Olga – mów do mnie.

– Rozglądam się. Nie widzę, kurwa, zgubił mi się w tym tłumie. A ty?

– Szukaj, kurwa, szukaj. Nie rozglądaj się za bardzo, ale szukaj. Takiej łysej pały jak jego to nie ma, no ale może czapkę mieć. Kurwa. Mógł mieć czapkę w kieszeni.

– A ty, gdzie ty?

– No idę, leczę. Szukaj. Będę za cztery minuty.

Luter tymczasem stał z czarnym workiem w dłoni i myślał, co dalej. Czekał. Czekał na sygnał.

Wibracje.

„Move!” – powiedziały litery. Zobaczył nowe współrzędne i strzałkę. SSW. Kilkaset metrów. Ruszył. Ledwo zrobił trzy kroki znowu poczuł wibracje.

„Target on the pict” – powiedziały litery.

Luter wyjął zdjęcie. Prezydent miasta uśmiechała się do niego z lakierowanego, papierowego zaproszenia na Piknik Europejski. Tani papier, nie za dobry druk. Rozumiał to. To nie był rok wyborów. „Prezydent Miasta i Ambasador Niemiec zapraszają na celebrację szczęśliwej rocznicy wstąpienia Polski do zjednoczonej Europy”.

Szczęśliwa. Trzynasta. Osiem kul. Może mniej. Pamiętaj. Może mniej.

„Zapraszamy państwa punktualnie w południe do amfiteatru” – mówiły litery. W południe.

W worku była jeszcze jedna kartka papieru. List. Napisany odręcznie. Czyje to pismo? Nie umiał rozpoznać.

„Zabrałaś mi dom, stara kurwo, od kamienic dobrych ludzi – wara”.

Wielkie, koślawe, drukowane litery narysowane bardziej niż zapisane niebieskim flamastrem.

Wibracje.

„U drop the gun, u drop the letter” – powiedziały litery i Luter miał

pełną jasność.

Do dwunastej miał jeszcze dziesięć minut.

Olga biegnie. Już wie. Chwilę temu podniosła z ulicy ulotkę z zaproszeniem na Piknik Europejski.

„Europa naszym wspólnym domem”. Skleja jej się ten obraz Bielskiego pod kościołem Świętej Anny, kamienicy na Wilczej, płaczącej, starej żydowskiej kobiety, spalonego ciała Pawliszuka. Dziewczynki wiszące do góry nogami w pasach w rozbitym samochodzie ze słowem „dom”. W Świętej Annie też był tłum. On dźgnął w tłumie. Tutaj też jest tłum. Pawliszuk stracił mieszkanie, Brzeska straciła mieszkanie, Bielski jest bezdomnym wariatem. Powinnam była sprawdzić, dlaczego on nie ma domu, kurwa, jeszcze się okaże, że mu jakiś urzędnik dał coś do podpisania.

Olga sięga po telefon. Trzeci sygnał.

– Kosa, jak tam?

– Sraktam! No, kurwa, srak, srak! Zgubiłem go.

Zwolniła, ale się nie zatrzymała.

– Am-fi-teatr – wydyszała – za-pier-dalaj! Tam będzie!

– Skąd wiesz?

– Kur-wa, wiem! Będę za dwie minuty.

Wiedziała. To akurat wiedziała. Biegała w Łazienkach. Jak biegasz w Łazienkach, to wiesz, kiedy będziesz w którym miejscu. No, może nie dwie minuty, ale cztery, bo ludzie szli jak barany. Dzieci pod nogami, niepełnosprawni na wózkach. Pies! Kurwa, tu nie wolno z psem, smycz pod nogami jej się płacze. Zapłaczesz się w to i leżysz. W amerykańskim filmie policjant strzela w powietrze, wszyscy się, kurwa, kładą, a ty lecisz. Lecisz, Serbia.

Pobiegła. Z każdym krokiem orkiestrę słychać było wyraźniej. Dopóki gra, jest dobrze. Dopóki gra, pani prezydent jest gdzieś za kulisami. Za jakimi kulisami, co ty pierdolisz, dziewczyno, jakie tam kulisy w tym

pierdolonym amfiteatrze?

Rozgarnia rękami rodzinę grubasów. Dziecko na trójkołowym rowerku. Torba czipsów leci w powietrzu, co ty sobie myślisz, kurwo jedna, zostaw, Edziu, zostaw... krzaki jakieś, wiewiórkę karmią, kurwa, pojebało tych ludzi, chlebem karmić.

Ścieżka zawałona ludźmi, więc Olga biegnie po tym pieprzonym bluszczu, depce go raz, raz, blisko już, wbija się w tłum na wąskiej ścieżce do amfiteatru. Orkiestra kończy *Odę do radości*. Kurwa mać, idź pan, idź, przepraszam, co się pchasz, kurwo jebana, ja ci dam jebana, przepraszam, no przecież przepraszam!

– Dzień dohny państwu, witam państwa w imieniu własnym i w imieniu jego ekscelencji pana Ambasadoha Fedehalnej Hrepubliki Niemiec – słyszy Serbia i myśli, że jeśli jemu ktoś zabrał mieszkanie i on zwariował, to teraz jest za późno. Za późno przybiegła. Ile jeszcze tych ludzi? Kurwa mać!

Luter czuje wibracje.

„Now” – mówią litery – „Go!”.

Stoi w tłumie między widownią amfiteatru a barierką oddzielającą trotuar od wody. Musi przepchnąć się pomiędzy ludźmi, żeby być z samego przodu. To nie jest skomplikowane, jeśli wiesz, że cały sekret w determinacji. Jeśli naciskasz, będą się rozstępować. Osiem pocisków? Czy tylko dwa? Jestem tylko ja i on, czy jest tu więcej ludzi?

– Witam panstwa sertecznie w imieniu zjetnotszonej Ewhopy. – Ambasador Republiki Federalnej ma białą koszulę z podwiniętymi rękawami. Jest gorąco, bardzo gorąco.

Wibracje.

„Now” – mówią litery – „Go!”.

Luter rozgląda się dookoła. Ręka zaciśnięta na kolbie. Baloniki, lody, dzieci, grube kobiety w bluzkach opiętych na piersiach, mężczyźni niedogoleni, zapach potu, świeżej, mokrej ziemi, ziemi, którą wziąć do garści jest dobrze. Bardzo dobrze. Książki czytać jest dobrze. Kochać się

z kimś, kto jest wyrozumiały, dobry i cierpliwy. Słuchać Floydów. Mieć przyjaciół, prowadzić samochód, skakać do oceanu. Biec, bieć daleko, boso po trawie.

– Strzelaj, kurwa, co ty odpierdalasz? – słyszy za plecami i wie, że Druid jest obok. Zawsze był. Jego brat. Jego najlepszy przyjaciel. Zdrajca, chuj jebany, ile pocisków? Dwa? Nie umie zważyć, kurwa, gdyby cokolwiek innego, wiedziałby, ale nie makarow.

– Dzisiejszy piknik, dhodzy państwo, uważamy za otwahty. – Pani prezydent rozciąga usta w uśmiechu.

Tymczasem Olga jest już blisko, pomiędzy brzegiem wody po prawej stronie i ścianą amfiteatru, miejsca coraz mniej, więc ludzie tłoczą się bardziej i bardziej, coraz trudniej jej się przepychać. Ile jeszcze metrów? – myśli. – Dziesięć, osiem? Gdzie, do kurwy nędzy, ten Kosiński?

Jeśli ma rację, to Bielski jest tutaj, jest tutaj o krok. Tymczasem przepocone koszule, ciała szczupłe, grube, włosy czyjeś rozwiane dotykają jej ust, nie lubi tego, odgarnia ten tłum rękami, przepraszam, przepraszam, stanowczo, ale jeśli trzeba łokciem, to łokciem. Mija jakiegoś grubasa, nastąp się pan, policja, i wtedy widzi go. Widzi go, jak sięga do kieszeni, jak wyciąga worek czarny, dziwny, jakby po butach, i widzi, jak wyciąga broń. I wtedy krzyczy.

– Glebaaaaa! Wypierdaaałać.

Olga wie. Obie ręce na kolbie, kciuki skrzyżowane po lewej stronie. Żeby odrzut zamka ich nie połamiał.

– Policja! – chce krzycheć, ale głos więźnie jej w krtani. Sucho. Nie ma śliny.

– Strzelaj! – Druid nie rozumie, dlaczego ten pojebany chuj, Luter, wariat, głupek, śmieć, odpad ludzki, stoi, patrzy na niego i nie strzela.

– Policja! Gleeba! – krzyczy Olga.

Druid słyszy, jak ktoś się drze za jego plecami, ale teraz nie jest czas na jakieś histerie, teraz jest czas, żeby tej głupiej babie zamknąć ryj i żeby

wszyscy wiedzieli. Wyrwa makarowa z ręki Lutra i obraca się w prawo. Wie, że ma dwie kule. To w zupełności wystarczy.

Olga widzi broń w ręce tego człowieka i nie myśli. Nie myśli już nic.

– Wooooon – krzyczy do jakiegoś gościa w koszuli w kwiaty, który zatoczył się na nią nie wiadomo skąd. Wali go pistoletem w plecy, żeby zszedł jej z linii strzału. Kwiecisty pada, ludzie krzyczą. Jeden, kurwa, wrzask, ale Serbia widzi wszystko klarownie i ostro, jakby to był film, który zatrzymał się jej przed oczami w stop-klatce. Widzi gościa, który podnosi broń, ale ona jest szybsza, zaciska powieki i ciągnie za spust.

A potem jest cisza. Jedna, oleista, gęsta chwila ciszy, zanim amfiteatr eksploduje, jakby oberwał bombą.

Olga widzi plecy tego, który trzymał broń, widzi, jak ciało okręca się wokół własnej osi, patrzy w stronę, w którą wystrzelił, a tam chaos, orkiestra pierzcha na boki, ambasador niemiecki leży na deskach, pani prezydent skulona w pół, przy niej jakiś młody, jasnowłosy, przyciska ręką tę ranę, a spod palców krew. Wtedy Olga czuje, że ją ktoś chwyta za kark. Za kark i do ziemi. Szarpie się, ale to nie pomaga, bo jej wykręca rękę tak, że broń wypada. I leży. Twarz na boku, but na twarzy, kurz, syf, papiery i metr, półtora metra od swoich oczu widzi te niebieskie. Te same niebieskie oczy, które widziała wtedy, gdy bezdomny ocalił jej życie.

Luter leży spokojnie. Krwi coraz więcej. Oblepiają mu włosy. Patrzy na tę kobietę, co strzeliła. Skuta na plecach już się nie szamoce. Ktoś ją szarpie w górę. Luter widzi rozpięty niebieski polar, a pod nim T-shirt.

„Zaradna mama” – mówią litery i wtedy Luter czuje się zmęczony jak nigdy dotąd.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

TERAZ

Czuła się zmęczona jak nigdy dotąd. Padało. Ale to nic. Dobrze jest biec, kiedy tak pada i pada. Rozchlapywać kałuże nie szkodzi, bo i tak jesteś mokra, nie martwić się, że włosy potargane i że cera szara. Przecież nikogo nie spotkasz. Wędkarze patrzą w stronę wody, więc tylko jakiegoś innego biegacza. On podniesie rękę i ty podniesiesz rękę. Jedno spojrzenie. Chwila. Może pomyśli: łał, jakie fajne nogi. Albo oczy. Oczy widać spod kaptura, kiedy jesteś szczęśliwa. Widać, widać. Nawet jeśli masz taką podrapaną twarz. No już nie tak źle, już się trochę goi. Wolno biegniesz, bardzo wolno. Ale nie ma potrzeby szybciej, to nie są wyścigi. Może medytacja? Tak... Medytacja. W słuchawkach Father John Misty śpiewa o ludzkiej komedii... „Mózgi naszych dzieci są zbyt duże dla bioder naszych kobiet...” – nie wszystko rozumiała, ale dość, żeby lubić tę pieśń. Pasowała do deszczu. Do tej porannej godziny, zmokniętych psów, dziewczyn w żółtych kurtkach i do tego, jak gałęzie wierzb płaczących stały w kałużach nabrzmiące od wody, nieruchome. Do tego, żeby pozbierać myśli.

A kiedy nagranie się skończy, zacznie się inna pieśń, na którą Olga czeka jeszcze bardziej.

„Przekraczasz, zakręcasz. Czujesz to i pozwalasz, żeby płonęło. Wszyscy pragniemy i wszyscy tęsknimy. Bądź miękka, nie stawiaj oporu...”. Za każdym razem, kiedy nastawiała *I Could Live in Hope Low*, chciało jej się płakać, bo to przecież była kołysanka dla Anki. Kilka wersów, nuty niczym deszcz. Biegła. Przeczytała wczoraj, że w ostatecznym rachunku liczy się tylko dobro, które okazało się drugiemu

człowiekowi. Całą resztę i tak trzeba będzie zostawić na tym świecie. Ale dobro można będzie ze sobą zabrać. Więc pewnie ona pójdzie z pustymi rękami. Niczego nie będzie mogła podarować Ance. Bo przy wszystkim, w co nie wierzyła, nie umiała przecież pozwolić sobie na myśl, że jesteśmy tylko garścią kwantowej energii, po której nie zostanie nic poza węglowym śladem w wielkiej bieli. I kiedy już będzie tam, po tej drugiej stronie, to przynajmniej zaśpiewa.

Lullaby was not supposed to make you cry, córko. Wyciera łzy. Łzy są tak samo słone jak pot. Ale deszcz słodki i kiedy bierze zakręt wokół wielkiego drzewa na wysepce przy pętli na Gwiazdzistej, tam gdzie jezdnia nad kanałkiem zawraca, Serbia myśli już o tym, jak dobrze było zobaczyć Jerozolimę, że miała ten swój cud, o którym już nawet nie marzyła, choć teraz wydaje jej się zupełnie zwyczajny, bo co to jest, leżeć w ciemnym pokoju na kanapie, trzymając komuś głowę na kolanach. Twardo, boli kark, kolana to jednak nie poduszka, ale i tak dobrze jest. Najlepiej. I dobrze było, kiedy poszli do kina... Blisko domu, a nie była tam od lat. Co to był za film? Nie umiała zapamiętać, ale pili wódkę prosto z butelki, kiedy tylko zgasły światła. I jeszcze jak jedli zupę rybną w Tel Awiwie. I jak stara kobieta, która nienawidziła Polaków, pogłaskała ją po twarzy nad niebieskim morzem i powiedziała, że już odtąd nie będzie płakać. To był dobry czas. Olga zrobiła zdjęcia miasta z Góry Oliwnej. Samolotem leciała. A kiedy ona wcześniej leciała samolotem? I biegała w tym roku więcej niż kiedyś. Lubiła deszcz i śnieg, i wiatr na moście. No... może nie zmądrzała, ale przynajmniej nie przytyła. Może nie całowała się zbyt często, ale całowała się na deszczu. Nie zrobiła niczego na zawsze, ale umiała kilka spraw zrobić bardzo.

Uderzyła stopami mocniej, żeby rozbryzgać kałużę jak dziecko. Przemoknięta i roześmiana.

Nauczyła się budzić samotnie, choć wciąż słabo zasypiała. Na cmentarzach, które zna, nie przybyło grobów. Wciąż ma kilku przyjaciół.

Policzyła ich w myślach. Krótka lista. Musi nad tym popracować.

– Twój problem polega na tym, że w ogóle nie dostrzegasz tego, co masz – powiedział jej Szymon kilka dni temu – widzisz tylko to, co sthaciłaś.

– Nie, nie tylko to widzę. – Przyspieszyła. - Widzę przecież kałuże, kiedy biegnę, i one nie są z łez, tylko z nieba.

Od tygodnia biega dużo. Taki przywilej, jeśli masz wolne dni.

– Olga, weź kilka wolnych dni – powiedział jej Leśmian tamtego dnia rano, bardzo rano, kiedy ich wezwał, Kosińskiego i ją, do siebie.

– Ale nie potrzebuję, dobrze się czuję.

– Ale lustro masz?

Skinęła głową. Wiedziała, jak jest. Pół twarzy podrapane, nos siny. Wargę pęknięta. Wargę sama zagryzła, kiedy wystrzeliła. Reszta to ją ten z agentury chwycił za kark. Profesjonalnie to zrobił, tak jak się podcina uzbrojonego człowieka. Tak, żebyś twarzą do ziemi i żebyś nawet nie miał czasu z tej broni skorzystać. Nie miała żalu. Nie można mieć żalu do kogoś, kto dobrze robi swoją robotę.

– No jeśli lustro masz, to wiesz, że nie możesz tak chodzić po ulicy. Będą, kurwa, na Instagramie cię pokazywać... Ale telefon z góry dostałem w twojej sprawie. I z Ratusza też.

– Medal dostanę?

– A chciałabyś? – Leśmian stał przed oszkloną szafą, wciągał brzuch i wysuwał do przodu szyję, zupełnie nieświadomy, jakie to robi wrażenie na Kosińskim.

– Medalu nie, ale chciałabym bilet na bezpłatne parkowanie w strefie – powiedziała.

– No. – Leśmian jeszcze raz pogładził brzuch, po czym dał za wygraną.

– No w sumie, jakby ode mnie zależało, to byś dostała. Jakby nie ty, to byśmy mieli przedterminowe wybory.

– A ten gościu? – zapytał Kosiński.

– Jaki gościu? – Leśmian wrócił do biurka.

– Ten, co oberwał?

– A, to jakiś z Biura Promocji Miasta, porządny człowiek, rzucił się na pomoc, kiedy zobaczył broń. Oberwał. Kula przeszła pod obojczykiem. – Spojrzał na zegarek. – Nie umrze od tego. Trafiałaś tego bandytę w ostatniej chwili. Drugi raz nie zdążył wystrzelić. No... to teraz weźmiesz wolne, pojutrze masz pierwszą wizytę u psychologa i sama rozumiesz, żadnych rozmów z dziennikarzami. Odsyłaj do rzecznika, nie odbieraj, nie spotykaj się. Masz kogoś w górach? Albo mamę masz gdzieś poza Warszawą?

– No przecież nikt do mnie nie dzwoni.

– Zaczną. Kurwa, začną. Do mnie już zaczęli. – Spojrzał na zegarek jeszcze raz. – No już ósma, mieli być na ósmą.

– Prokurator? – Olga wie, że mimowolnie zadrżał jej głos.

– Skąd ta myśl?

– No... strzeliłam w tłumie.

– Strzeliłaś i to na śmierć, kurwa, a to niedobrze.

Ktoś zastukał do drzwi. Otworzyły się bezszelestnie.

– Już są – powiedział damski głos i po chwili weszło do środka dwóch ludzi w szarych marynarkach.

– Bielski – powiedział Bielski i po wojskowemu skinął głową, nie podając nikomu ręki. Nie poznałaby go, gdyby nie te oczy. Ogolony, ostrzyżony, tylko twarz szara, zmęczona. I podrapana tak samo jak jej.

– Bielski – powiedział ten drugi.

– Jak to? – zapytał Kosiński. – Jesteście braćmi?

– Moje nazwisko i tak nikomu z was nic nie powie – powiedział drugi Bielski.

– Siadajmy. – Leśmian pokazał im gestem, żeby usiedli przy stole.

Luter, przechodząc obok Serbii, pochylił się jej do ucha.

– Zaradna mama? – Uśmiechnął się niebieskimi oczami.

– No... – Przez chwilę była zakłopotana, ale ogarnęła się w sekundę. – Może kiedyś, ale już dawno nie.

Pokiwał głową, jakby rozumiał.

Usiedli. Komu kawę, komu herbatę? Może jakieś ciasteczka poproszę, przyniosą...

– Wszystko, co usłyszycie, musi pozostać między nami – powiedział starszy Bielski, ten o szarych oczach. – Nie zadajecie pytań, bo nie powiemy wam niczego ponad to, co możecie usłyszeć, a to, co możecie usłyszeć, powiemy wam bez pytania. Czy to jasne?

– Tak jest – powiedział Leśmian.

– No to proszę potwierdzić dochowanie tajemnicy.

Kosiński kiwał głową na boki.

Olga siedziała jak wryta.

– Co to ma być? – Uśmiechnęła się. – Żarty jakieś sobie robicie, tak? Przysłał was minister Macierewicz?

– Młodszy inspektorze – powiedział starszy Bielski znużonym tonem faceta, który słyszał taką gadkę już setki razy.

– Olga, proszę cię. Z samej góry zapowiedziano nam tę wizytę. Sądziłem, że rozumiesz, że chcesz wiedzieć. Potwierdzenie, że dochowanie tajemnicy, jest w sumie, jak to powiedzieć – potarł łysinę – no jest formalnym wymogiem.

– Na Biblię mam przysięgać? – Nie wiedziała, co w nią wstąpiło, bo przecież wcale nie chciała być opryskliwa.

Młodszy Bielski popatrzył na nią z leciutkim uśmiechem. Kąciki ust drgnęły, a źrenice na chwilę się rozszerzyły. Wiedziała, że ani Kosiński, ani Leśmian tego nie widzą. Że to jest uśmiech tylko dla niej.

– Jeśli jest pani wierząca, mogę odebrać od niej przysięgę na Biblię – starszy Bielski powiedział z całą powagą. – Ale wystarczy „tak”.

– Tak. – Skinęła głową.

– A ty, Kosa? – Leśmian szturchnął młodego.

– Tak – powiedział szybko Kosiński, niecierpliwy już, żeby o wszystkim powiedzieć Arturowi.

Usłyszeli, że operacja jest poważna i że jest w toku. Bielski, operator wojsk specjalnych, zwerbowany został do niej po swojej długoterminowej rekonwalescencji, ponieważ o bezpośrednie sprawstwo w kilku eliminacjach podejrzewany był jego partner z czasów służby, później pracownik firmy Blackwater, Roman Bugajny. Oficjalnie Bugajny zginął w trakcie operacji odbicia z rąk Boko Haram złóż litu w Borno w Nigerii, ale działania wywiadowcze wskazywały, że mógł pojawić się w Polsce pod zmienionym nazwiskiem i podjąć pracę na rzecz grupy ludzi przejmujących prawa do nieruchomości pozostających w posiadaniu kilku dużych miast oraz Skarbu Państwa. Grupa ta przygotowywała przy pomocy lobbingu i różnego rodzaju nacisków zmiany prawa pozwalające na przeprowadzenie operacji reprivatyzacyjnej. Przejmowali prawa do nieruchomości, podstawiając jako domniemanych właścicieli tak zwane słupy – ludzi rekrutowanych za niewielką gażę spośród bezdomnych. Po przeprowadzeniu operacji notarialnych słupy znikwały. Nikt ich nie szukał. Nikt nie poszukuje bezdomnych. Żmudna obserwacja i niezbędne działania operacyjne sugerowały, że pojawia się w sprawie mężczyzna odpowiadający rysopisowi Bugajnego. Bielski przystąpił do operacji z zadaniem nawiązania kontaktu i zebrania dowodów procesowych obciążających Bugajnego, czy jak on się teraz nazywał, oraz jego mocodawców – grupę zorganizowaną dla celów łamania prawa i rozmycia osobistej odpowiedzialności. Okazało się, że mocodawcy Bugajnego szykują jakąś poważną operację, i podjęto ryzyko pokrzyżowania tych planów. Aby uwiarygodnić udział Bielskiego, zainscenizowano zabójstwo dziennikarza, pana Ryszarda Cichockiego.

– Kogo? – wyrwał się Kosiński.

– Publicysty prawnicowego tygodnika „Do Rzeczy”, nie słyszał pan?

– Ten, co dostał nożem w Świętej Annie?

– Ten sam. Miał pod podszewką kurtki worek ze świńską juchą – powiedział młody Bielski. – Nóż był prawdziwy, ostrze długie, nie jest łatwo precyzyjnie trafić w takim ścisku, więc to była trudna operacja.

– No ale on umarł – powiedział Kosiński.

– Posiniaczył się, padając na kolana – powiedział starszy Bielski. – Leczy te siniaki na Ibizie na koszt Najjaśniejszej.

– Jakiej Najjaśniejszej?

– Rzeczypospolitej. Da mi pan dokończyć?

Kosiński pokiwał głową na zgodę. Zrobił się czerwony.

– Okazało się, że celem operacji jest zamach na prezydent Warszawy. Zamachowiec miał pozostawić sugestię, że to zemsta za odebranie mieszkania.

– A bliżej? – zapytał Leśmian.

– Mieli przygotowany list z wyjaśnieniem. „Wara od naszych mieszkań”.

– Ale po co? – Serbia była zaciekawiona.

– Co po co? – Tamten podniósł na nią znużony wzrok.

– Po co ten zamach?

– Żeby dziennikarze napisali o tym, że zamachowiec miał list z wyjaśnieniem i żeby je przytoczyli.

– Dziennikarze?

Tamten pokiwał głową. Chodziło im o ten przekaz. „Wara od naszych mieszkań”.

– To się nie trzyma kupy. – Olga pokręciła głową.

– Serbia... – włączył się Leśmian – oni chcieli postraszyć wszystkich, którzy wiedzą o mieszkaniach. Rozumiesz? O tej reprzywatyzacji. Że kto będzie gadał, nie będzie bezpieczny. Skoro mogą dosięgnąć prezydent

miasta, mogą osiągnąć każdego. Tak? – Pytanie było w kierunku Bielskiego.

Tamten nie odpowiedział, ale zrobił nieokreślony ruch głową.

– Tyle możecie wiedzieć – powiedział Luter. – Opowiadać o tym nie możecie, bo operacja jest w toku.

– Ale dlaczego wy się tym zajmujecie? Dlaczego nie daliście nam sprawy w Świętej Annie, dlaczego wyłączacie policję?

– Bo to źli ludzie są – powiedział starszy Bielski z wyraźnym zniecierpliwieniem.

– Wiem.

– Nie wie pani. Oni byli związani z Zarządem II Sztabu Generalnego. Mówi to pani coś?

Skinęła głową.

– Zapewniam, że nic to pani nie mówi. I tak jest lepiej. Tak jest lepiej dla wszystkich. No to ja tyle. – Spojrzał na młodszego Bielskiego.

Młodszy chrząknął.

– Dziękuję. – Uśmiechnął się do Olgi i skinął głową. – Uratowałaś mi życie.

– Życie za życie. – Uśmiechnęła się lekko. – Ale chyba mnie przeceniasz.

– Nasi ludzie byli dwa kroki za tobą, ale Druid, Bugajny, miał tę broń. Wiedział, że nie strzelę, miał dwie kule. Więc pewnie jedna dla niej, druga dla mnie. Zeznałby, że się szarpaliśmy, bo zobaczył nagle broń w ręku bezdomnego.

– Serio?

– Chodziło o to, żeby policja znalazła list. A był w mojej kieszeni. Moje życie to nie to samo co życie prezydent miasta, ale wciąż to jedyne, jakie mam. W trakcie przeszukania mieszkania Bugajnego znaleźliśmy niewiele, nad złamaniem kodów w jego komputerze prace trwają. Ale znaleźliśmy to.

– Sięgnął do kieszeni i popchnął w jej stronę kilka zdjęć.

Na jednym z nich była metalowa kasetka. W środku jakieś drobne przedmioty, guziki, skrawki materiału, polaroidowe zdjęcia.

– Co to jest? – Podniosła na niego wzrok.

– Trofea. Druid zbierał trofea. Kilka znam, zdaje się, że je kolekcjonował jeszcze w czasach, kiedy byliśmy żołnierzami. Innych nie umiemy przyporządkować. Nie wiem, kiedy i komu mógł odcinać skalpy albo...

– Dobra, dobra – przerwał starszy Bielski – sądzimy, że może pani wiedzieć coś o tym. – Wyjął z pliku fotografii jedno. Mały, dziecięcy kolczyk w kształcie kwiatka. Oczko z plastiku.

Przyglądała się fotografii dłuższą chwilę.

– Widziałam już taki – powiedziała. – Kolczyk wnuczki Pawliszuka. Pułkownik Pawliszuk, on... no zginął w płomieniach, ale podejrzewam, że...

– Tak, tak. – Starszy Bielski spojrział na zegarek. – Czytałem pani akta.

– I to... – Młodszy podał jej inne zdjęcie.

Był na nim samochód. Leżał na dachu. Zmiażdżony. Ulica w deszczu. Niewyraźne to zdjęcie. Ale to był jej samochód. Cień w środku to była ona. Ale gdzieś tam, od strony pasażera, był drugi człowiek. Przyjrzała się. Czy to możliwe, żeby to była ręka Anki? Cień ręki? Nie miała pewności. Gdyby mogła spojrzeć przez szkło powiększające... A ta mokra plama? Paliwo, woda? Krew? Znowu przez moment była tamtą Olgą, ani pijaną, ani trzeźwą, ani żywą, ani umarłą. Tą, która przekłada papiery z kupki na kupkę całe noce. Czyta akta pod lampką. Wydało jej się, że kiedy podniesie wzrok, zobaczy w tym kręgu lampki swoją córkę. Same rajtuzy. I że zapyta, czy nie dają bucików w lepszym świecie.

Zagryzła wargi. Ale nie rozplakała się.

– Jeśli to ci jakoś pomoże... – powiedział Bielski – to on w tej skrzynce miał jeszcze sporo wolnego miejsca. Niestety, zdjęć nie możemy wam

zostawić.

Pokiwiała głową.

– A to? – Pokazała zdjęcie z rozbitym samochodem. Popatrzyła w te niebieskie oczy tak, żeby zrozumiał. Żeby nie musiała mówić. Życie za życie. Ale on spojrział na tego drugiego.

– Szefie?

– Co?

– Zostawię.

– Co?

– Ostatnie zdjęcie jej córki.

Starszy westchnął i pokręcił głową, a Olga pomyślała, że wie, o czym on myśli. I że to jest prosta myśl: muszę zapalić.

– To wszystko. – Starszy Bielski wstał.

Pozostali też. Bielscy skinęli głowami i chcieli iść w stronę wyjścia.

– Ale zaraz, kurde – nie wytrzymał Kosiński – w tej sprawie wygraliśmy czy przegraliśmy?

Starszy Bielski zamknął drzwi, ale klamki nie puścił.

– List „Wara od naszych mieszkań” nie przedostał się do prasy.

– No to wszystko w porządku – ucieszył się Leśmian.

– Młodszy inspektorze... – Starszy Bielski popatrzył na niego spod oka.

– Ci, którzy mieli się przestraszyć, i tak są zesrani. A jak się jeszcze nie domyślili, to będą. Wystarczy, że ktoś im wyśle zdjęcie pani prezydent klęczącej na tej scenie, i przed komisją Jakiego nie będą chcieli niczego pamiętać.

Leśmian cmoknął tylko. Podali sobie ręce.

Bielski spojrział na Olę.

Podał jej rękę, a kiedy ją puszczał, pochylił się i szepnął.

– Zadzwoń do ciebie, zaradna mamó.

Milczała.

Ale nie potrzebował słów. Wiedział.

TERAZ

Nie potrzebowała słów, ale na jedno, jedyne znaczące westchnienie mogła sobie przecież pozwolić. Przez cały długi, nużący lot, książka, którą wybrała, ta nowa cegła Twardocha, wydała się jej nazbyt pompatyczna, cieszyła się na spotkanie z tym wspaniałym, zwalistym mężczyzną, którego ręce pachniały solą. Myślała o nim przez ostatni miesiąc i gdyby zechciał, miała ochotę zostać w Warszawie nieco dłużej.

– Nic nie mogłem na to poradzić. – Mecenas rozłożył ręce w teatralnym geście. Nieco zbyt zamaszystym.

– Mogłeś zlecić to komu innemu. – Złożyła usta w udawany dąs. – Przecież to od początku była absurdalna sytuacja. Powierzenie zadania komuś niepełnosprawnemu umysłowo nie jest najlepszą opcją.

Zastukała paznokciami w kieliszek. Miała wyjątkowo piękne paznokcie, czyste, długie, naturalne piękno. Żadnego żelu, żadnego lakieru dla tych... jak to się mówi w Polsce... słoików?

– Tak myślisz? – Podał jej salaterkę z sosem buraczkowym.

Glazurowane buraki z wędzonym szpikiem wołowym, polskimi jabłkami i szczawiem to był najnowszy kulinarny hit jego restauracji. Nałożyła sobie odrobinę.

– Proszę cię, a gdzie radość życia? Gdzie odrobina suspensu? Satysfakcja z niewiadomej. Potraktowałem to jako happening... Mmm... znakomite buraki, nie sądzisz? No ale Żołnierz naprawdę uważał, że mamy do czynienia z przypadkiem nieodwracalnego uszkodzenia mózgu

i całkowitego uwarunkowania na... litery. Wyobrażasz sobie?

– Och. – Spróbowała i nie mogła uwierzyć. – Ten smak jest naprawdę zachwycający.

– Pomyślałem, że to opcja win-win. Albo pozbedziemy się problemu tej kobiety, albo pozbedziemy się problemu, jaki Żołnierz zaczął sprawiać ostatnimi czasy. Stawał się nieostrożny. Dostałem informację od naszych ludzi, że jego twarz pojawiła się w monitoringu jakiegoś autobusu, policja zaczęła się interesować jego obecnością na dworcach... wcześniej czy później byłby z tego kłopot.

– Wystawiłeś go?

– Oj, co to za język, młoda damo? – Uśmiechnął się lekko. – A teraz odłóż szampana, bo mam coś specjalnego. – Skinął dłonią i kelner przyniósł wino, które dekantowało się od kilkudziesięciu minut na stoliku obok. Nalał jej odrobinę z kryształowego dekantera. Powąchała z wysokości biodra. Jeżyny, cedr, jakieś kwiaty... Uniosła lampkę do piersi. Teraz poczuła. Fiołki. No i... tak, to tytoń.

– Ha – uśmiechnęła się i obróciła kilka razy ciemną, karminową cieczą. – Merlot jest dobry na wszystko? Czyż nie tego mnie uczyłeś?

– To nie jest zwykły merlot – prychnął – to Chateau Petrus.

– Hahaha – roześmiała się lekko. – Złapać cię na słabości to wielka przyjemność. Sądziłeś, że nie rozpoznam? – Wyciągnęła rękę przez stół i dotknęła jego ramienia. Rozpromienił się. Lubił, kiedy jego goście potrafili należycie ocenić przyjemności życia, a ona zastanawiała się, czy dał się nabrać, czy naprawdę nie zwrócił uwagi, kiedy rzuciła okiem na butelkę, gdy tu wchodziła. Uczył ją takich rzeczy. Skoro mieli grać dalej, umoczyła usta. Taniny były ciężkie, jakby po tej kwietnej łące szedł szwadron kawalerii. A potem znowu lekka słodycz. I na końcu fiołki. Ale delikatnie. To musiał być rok pochmurnego słońca. W winnicy Petrus wszystkie grona zbiera się tego samego dnia, ale, jak to zwykle w przypadku czystego merlota, plon jest niesamowicie delikatny i wrażliwy

na warunki pogodowe.

– Rocznik dwa tysiące sześć?

– Dwa jedenaście – powiedział. – Nie jest najlepszy, ale to też nie jest najlepsza okazja, prawda?

– Czyli jednak nie *win-win*?

– Wspaniały ten farsz, prawda? Wolałbym oczywiście, żeby Żołnierz celniej strzelił... woda stałaby się nagle bardzo mętna, a wtedy łatwiej osiągnąć nasze cele. No ale nie mógł wiedzieć, że ma za plecami tę policjantkę... Suszczyńską. Ambitna. Gdyby miała więcej szczęścia, lepsze wykształcenie, wdzięk... gdyby rozumiała odrobinę ze swojej kobiecości, mogłaby być taka jak ty.

– Hahaha – roześmiała się Izabela. Odgryzł się za Petrusa wyśmienicie.

– Strzeliła pierwsza? – zapytała.

– Policjanci tak rzadko strzelają w tym kraju... – Mecenas pokiwał głową. – Cóż... karma powraca.

– Co masz na myśli?

– Nasz Żołnierz kiedyś urządził jej małą stłuczkę. Skutki były nieodwracalne.

– Samochód nie nadawał się do remontu?

– Wyobraź sobie, że nie. No ale szkoda marnować czas na tę historię. *Shit happens*. Tak o tym mówił. Dziewczynka siedem lat czy coś koło tego...

– O... – Izabela podniosła serwetkę do ust. Burak miał jednak tę wadę, że nadawał im odcień, którego nie lubiła.

– Co z komisją do spraw nieruchomości? Sądzisz, że ludzie zrozumieli, że trzeba milczeć?

– Zadbalem o to, żeby ktoś dotarł do listu schowanego w kieszeni zamachowca. Za dzień, dwa ukaze się to w popularnym, politycznym portalu i sprawa będzie szeroko dyskutowana. Na razie czekamy, żeby

opadł kurz po cudownym odnalezieniu się rzekomo zabitego dziennikarza.

– Nieźle to obmyślili, prawda?

– Tak. – Mecenas z uznaniem skinął głową. – Ktoś tam wreszcie zaczyna rozumieć, na czym polega ta praca. Ale sama widzisz, że Żołnierz nie powinien dłużej z nami pracować. Stał się pyszny. Pycha kroczy przed upadkiem.

– Czy publikacja listu wystarczy?

– Żeby komisja reprivatyzacyjna była kompletnie nieefektywna? Moim zdaniem wystarczy. To mądrzy ludzie. Pełni słabości, zwyczajnych ludzkich przywar, lubią władzę, lubią młode kobiety, które nie zadają pytań, czasami lubią dzieci, zawsze lubią konto na okaziciela, ale jednak mądrzy. Zrozumieją.

– A jeśli nie?

– Jeśli nie, mam awaryjny plan.

– Wianki nad Wisłą?

– O to, to – przytaknął. – Mój człowiek odbył kilkutygodniowy turnus w więziennym szpitalu psychiatrycznym, bardzo dobre warunki. Jeśli okaże się, że świadkowie przed komisją gadają zbyt wiele, użyjemy jego talentów. Wybronimy go potem. Będzie to wina systemu penitencjarnego, opozycja zażąda głowy ministra spraw wewnętrznych, wybuchnie poważny kryzys polityczny, potem nadejdą wybory i komisja spadnie do trzeciej kategorii odświeżania.

– Uspokoileś mnie.

– A jak twoje spotkania?

Opowiedziała mu o swojej amerykańskiej misji. Spotkania z klientami na książki ze zbioru Hubnera były bardzo obiecujące, niektóre egzemplarze, jeśli nad tym mocniej popracować, mogą osiągnąć nawet pół miliona. Może więcej. Gorzej szło ze spadkobiercami wygnanych z Polski przez wojnę i przez komunistów. Izabela uświadomiła sobie, że niektóre operacje organizacji są spóźnione, dlatego że nikt nie pomyślał o nich

w dziewięćdziesiątym czy dziewięćdziesiątym drugim. Oczywiście sama nie mogła o tym myśleć, była jeszcze maturzystką, ale jej mentor powinien był być bardziej przewidujący.

– Sądzę, że dzisiaj powinniśmy pomyśleć o Ukrainie. W dwa tysiące dziewiętnastym będą tam wybory prezydenckie i powinniśmy być obecni w porę. Ukraina wcześniej czy później wejdzie do europejskiej rodziny narodów, a wtedy otworzy się dla nas naprawdę duży, całkiem nowy rynek. Jeśli jesteś w lesie pierwszy, nie musisz toczyć wojen z innymi chętnymi. Poza tym wiesz... Ukraina. Sami przyjaciele.

Mecenas pokiwał głową.

– Kochana. Powiem ci jedno. Nasza branża to delikatna materia. Szlachetna. Wyjątkowa. I krok po kroku jesteśmy coraz bliżsi mistrzostwa. Niestety są pewne granice tej doskonałości. Jeszcze wina?

– Jakie granice? – nie rozumiała.

– Granice imperium.

– Ach – westchnęła. – Nie pomyślałam.

– Wiem. Cenię w tobie tę odwagę. Kiedyś sięgniesz gwiazd.

Dolał jej. Czuł się szczęśliwy.

Wszystko szło dobrze. W Kościele dojrzewała afera pedofilska i biskupi, a oni zawsze czuli pismo nosem, już zaczęli prosić o konsultacje. Nie krył przed nimi, że ofiary będą konieczne. Ale gdyby Kościół zdecydował się uwolnić kilka nieruchomości, na przykład przy Floriańskiej w Krakowie, to byłby wyjątkowy gest dobrej woli. Dlaczego w Krakowie? – pytali, a on mówił prawdę, że potrzebuje dla siebie czegoś w pięknej okolicy. Chciał sobie wreszcie znaleźć kobietę, z którą dobrze byłoby się zestarzeć... Ta Suszczyńska, ciekawa dziewczyna, warto by się jej przyjrzeć... załatwiła problem z Żołnierzem raz na zawsze i nie będzie żadnych zeznań ani wyjaśnień. Właściwie mógłby posłać jej kwiaty albo wino. Czy ktokolwiek może połączyć Żołnierza z kancelarią? Być może, ale przecież zawsze można wyjaśnić, że chodziło o umowy najmu, o porady

dotyczące inwestowania w rynki nieruchomości, o cokolwiek. To nie jest żaden problem.

– Tak, masz rację, Izabelo... organizacja powinna była przyjrzeć się księgozbiorowi Hubnera już kilka miesięcy temu. Nie doceniliśmy potencjału tego skarbu... Czy mogłabyś przygotować prezentację? Znaleźć jakieś miłe miejsce, w którym spędzilibyśmy czas dobrze i pożytecznie?

– W Europie?

– W górach. I żeby było dobre jedzenie.

– Samnaum? Spokojnie, pięknie i przy obecnym kursie franka nikt by nam nie przeszkadzał.

– Nie znam – zainteresowałam się, a kiedy zaczęła opowiadać, pomyślałam, że wyhodował potwora. I że sam nie potrafiłby się jej oprzeć.

Olga tymczasem stała przed lustrem. Uśmiechała się do brzucha, który zaczęła wreszcie lubić. Było lepiej. Dużo lepiej. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie zrobić zdjęcia telefonem i nie posłać go Szymonowi. Ale nie, nie robi tego. Szymon znowu odzywał się rzadko, a jego światełko na Messengerze było zgaszone. A ona przecież nie będzie się prosić. Włączyła radio i zaczęła wciągać dres.

„...czący tak zwanej komisji weryfikacyjnej do spraw reprivatyzacji Patryk Jaki stwierdził, że w Warszawie trwał złodziejski proceder reprivatyzacji. «Moim celem będzie rozliczenie złodziejskiej mafii. Musimy mieć świadomość tego, że do Warszawy przyjechała któregoś dnia zorganizowana grupa przestępcza, która rozkradła nieruchomości warte kilkadziesiąt miliardów złotych, powyrzucała biednych ludzi do piwnic i na ulice, a państwo polskie było bezradne» – słyszała Jakiego – «kolejnym zadaniem komisji będzie podnieść Polskę z kolan po tym, jak ta grupa skopała i upokorzyła państwo».

Kolejne wiadomości – podjął spiker. – Generał Polko stwierdził, że minister obrony narodowej Antoni Macierewicz upokarzał podwładnych. Nadzieje związane z objęciem przez niego funkcji się nie spełniły. Zakupy

uzbrojenia nie nastąpiły i nie zmienił się przestarzały system zarządzania armią. «Minister dokonał takich czystek, że Polska nie ma kogo kierować do struktur międzynarodowych» – stwierdził generał. Detektyw Krzysztof Rutkowski podczas konferencji prasowej przedstawił nowe ustalenia, w sprawie wyjaśnienia śmierci Magdaleny Żuk...”.

Wyłączyła radio, zawiązała buty i zatrzasnęła drzwi. Pogoda była piękna. Wyszła na ulicę i założyła słuchawki.

Spokojna i piękna jest ta płyta. *Low. I Could Live in Hope.*

„Jestem zmęczona, a on ma rację. Tak łatwo jest spotkać ból. Tyle słów, wciąż tyle słów. Słyszę je, słyszę. *And I can hear 'em, and I can hear 'em...*”.

Pobiegła w lewo, uliczka zakręcała łukiem do głównej. A potem wystarczy dotrzeć do metra i na drugą stronę. I w dół, w dół, do rzeki. Biegła przez las. Wszystko takie zielone. Dobrze jest biec przez las, myślała. Dobrze jest. Wszystko jest już dobrze. Uśmiechała się do siebie. Nie myślała, że to się jeszcze kiedyś zdarzy. Że kiedyś znowu będzie mamą.

PODZIĘKOWANIA

To nie była łatwa robota, przeorała mnie i wycięła ze świata na kilkanaście tygodni. Dziękuję przyjaciołom za zrozumienie i za to, że o mnie nie zapomnieli.

Kasi za to, że Burda dała żyć Oldze, Kosińskiemu, Szymonowi i Lutrowi.

Magdalenie i Ewie, czytelniczkom moich brudnopisów, za uwagi, dzięki którym Serbia nauczyła się kochać i nie płakać.

Marcinowi za pomysły, za to, że zamiast problemów podsuwał mi gotowe rozwiązania i że mnie zmusił, abym nie odpuszczał, kiedy już miałem naprawdę dość. No i za adres na rogu Wilczej i Marszałkowskiej, bez którego nie wydarzyłaby się ta opowieść.

Małgosi, dziewczynie, która potrafi zamienić litery w prawdziwą książkę, za cierpliwość i za to, że dała czas starej Żydówce, by mogła znaleźć słowa, aby powiedzieć to, co trzeba było powiedzieć.

Kasi, dziewczynie, która zredagowała tę książkę, za to, że potrafiła wziąć odpowiedzialność na swoje barki, kiedy poszedłem na pustynię przemyśleć kilka spraw i nie zabrałem ze sobą komputera.

Mojej córce, Oli, za to, że poszła tam razem ze mną.

- 1) Juliusz Słowacki, *Pieśń Konfederatów*. ↵
- 2) Sting, *Fragile*. ↵
- 3) Nick Cave, *Do You Love me?* ↵
- 4) Ros. – Trzeba czekać! – krzyknął tamten. – Teraz oni przejadą na nasz brzeg. ↵
- 5) Stanisław Ryszard Dobrowolski (sł.), Władysław Szpilman (muz.), *Do roboty*. ↵
- 6) Hebr.: Dzień szósty. Tak ukończone zostało niebo. ↵
- 7) Melchior Wańkowicz, *Prosto od krowy*, Iskry, Warszawa 1965, s. 57. ↵
- 8) Melchior Wańkowicz, *Prosto od krowy*, Iskry, Warszawa 1965, s. 65. ↵
- 9) Adam Mickiewicz, *Dziady*, scena 3. ↵
- 10) Adam Mickiewicz, *Dziady*, scena 3. ↵
- 11) Za: Łukasz Kamiński, *Przypadki marcowe*, <http://www.e-teatr.pl/pl/artykuly/9870,druk.html>. ↵
- 12) Agnieszka Osiecka, *W żółtych płomieniach liści*. ↵
- 13) Cytat z *Księgi Powtórzonego Prawa* 6, 4–9. ↵
- 14) Cytat z *Księgi Psalmów* 71, 3. ↵
- 15) Ang. rak. ↵
- 16) Ang. *terminally ill children* – śmiertelnie chore dzieci, *cleft palate* – roz-szczep wargi i podniebienia, *renal cancer* – rak nerki, *microcephaly* – mikrocefalia. ↵